

David Anthony Durham

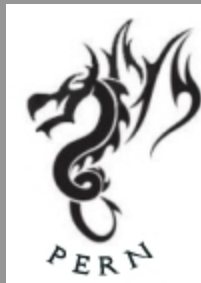
AKACJA

Acacia

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2010



Dla Laughtona i Patricii

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	3
PODZIĘKOWANIA	6
KSIĘGA I	7
KRÓLEWSKA IDYLLA	7
ROZDZIAŁ 1	8
ROZDZIAŁ 2	12
ROZDZIAŁ 3	19
ROZDZIAŁ 4	24
ROZDZIAŁ 5	34
ROZDZIAŁ 6	38
ROZDZIAŁ 7	45
ROZDZIAŁ 8	53
ROZDZIAŁ 9	60
ROZDZIAŁ 10	65
ROZDZIAŁ 11	72
ROZDZIAŁ 12	77
ROZDZIAŁ 13	84
ROZDZIAŁ 14	92
ROZDZIAŁ 15	96
ROZDZIAŁ 16	102
ROZDZIAŁ 17	107
ROZDZIAŁ 18	112
ROZDZIAŁ 19	119
ROZDZIAŁ 20	125
ROZDZIAŁ 21	133
ROZDZIAŁ 22	139
ROZDZIAŁ 23	143
ROZDZIAŁ 24	148
ROZDZIAŁ 25	156

ROZDZIAŁ 26	162
ROZDZIAŁ 27	173
KSIĘGA II.....	183
WYGNAŃCY	183
ROZDZIAŁ 28	184
ROZDZIAŁ 29	190
ROZDZIAŁ 30	201
ROZDZIAŁ 31	214
ROZDZIAŁ 32	225
ROZDZIAŁ 33	239
ROZDZIAŁ 34	250
ROZDZIAŁ 35	260
ROZDZIAŁ 36	266
ROZDZIAŁ 37	271
ROZDZIAŁ 38	277
ROZDZIAŁ 39	283
ROZDZIAŁ 40	289
ROZDZIAŁ 41	296
ROZDZIAŁ 42	302
ROZDZIAŁ 43	309
ROZDZIAŁ 44	316
ROZDZIAŁ 45	321
ROZDZIAŁ 46	327
ROZDZIAŁ 47	339
ROZDZIAŁ 48	350
ROZDZIAŁ 49	359
ROZDZIAŁ 50	370
KSIĘGA III	377
ŻYJĄCY MIT	377
ROZDZIAŁ 51	378
ROZDZIAŁ 52	385
ROZDZIAŁ 53	394
ROZDZIAŁ 54	403
ROZDZIAŁ 55	408

ROZDZIAŁ 56.....	417
ROZDZIAŁ 57.....	424
ROZDZIAŁ 58.....	434
ROZDZIAŁ 59.....	440
ROZDZIAŁ 60.....	447
ROZDZIAŁ 61.....	454
ROZDZIAŁ 62.....	463
ROZDZIAŁ 63.....	469
ROZDZIAŁ 64.....	474
ROZDZIAŁ 65.....	479
ROZDZIAŁ 66.....	487
ROZDZIAŁ 67.....	496
ROZDZIAŁ 68.....	502
ROZDZIAŁ 69.....	508
ROZDZIAŁ 70.....	514
ROZDZIAŁ 71.....	524
EPILOG.....	531

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować nie tylko mojej żonie Gudrun, lecz także Laughtonowi Johnstonowi i Gerry'emu LeBlancowi za przeczytanie rękopisu oraz Jamesowi Patrickowi Kelly'emu za wyrażenie aprobaty. Jestem wdzięczny Sloanowi Harisowi, gwiazdzie wśród agentów, a także Geraldowi Howardowi za to, że jest prawdziwym redaktorem. Dziękuję także wszystkim osobom związanym z programem Stonecoast MFA, a szczególnie ekipie sekcji Literatury Popularnej za wsparcie przy przechodzeniu na ciemną stronę. Składam także podziękowania wszystkim pracownikom wydawnictw Doubleday i Anchor. Może i napisałem tę historyjkę, lecz do wydania powieści, którą trzymają Państwo w rękach, przyczyniło się więcej osób, niż potrafię wymienić.

KSIĘGA I

KRÓLEWSKA IDYLLA

ROZDZIAŁ 1

Zabójca opuścił twierdzę Mein Tahalian przez wielką bramę główną, przeciskając się przez szczelinę między okutymi jodłowymi balami. Wyjechał o wschodzie słońca, odziany jak zwykły żołnierz Meinów. Miał na sobie szczelnie go okrywający płaszcz z jeleniego futra, który zakrywał mu nogi i grzał jego wierzchowca. Pierś chronił mu napierśnik – dwie żelazne płyty, podbite wydrzym futrem. Jechał na południe przez zaśnieżoną, skrzącą się od mrozu krainę.

Panowało tak przejmujące zimno, że przez pierwsze dni oddech mężczyzny krystalizował się, ledwie opuściwszy jego usta. Para wodna utworzyła dziwną narośl wokół warg, przypominającą wejście do tunelu albo jaskini. Z brody zwieszały mu się grudki lodu, które, ocierając się o siebie, podzwaniały niczym szklane dzwoneczki. Nawet kiedy przejeżdżał przez skupiska budynków, spotykał niewielu ludzi. Na śniegu widywał tropy białych lisów i zajęcy, lecz rzadko same zwierzęta. Raz ze szczytu głazu przyglądał mu się śnieżny kot, niezdecydowany, czy uciekać przed jeźdźcem, czy go ścigać. Skończyło się na tym, że mężczyzna przytroczył go sobie do pleców.

Kiedyś wjechał na szczyt wzniesienia i ujrzał na równinie przed sobą stado reniferów. Był to od zamierzchłych czasów widok niezwykły. Początkowo sądził, że może trafił na zgromadzenie mieszkańców świata duchów. Potem jednak wyczuł piżmowy zapach zwierząt. To rozproszyło tajemniczą atmosferę. Zjechał w dół, w stado, uszczęśliwiony szybkością, z jaką zwierzęta umykały przed nim. Grzmot ich kopyt odzywał mu się echem w głębi piersi.

Gdyby ziemie Meinów należały do nich, mógłby zapolować na te renifery tak jak jego przodkowie. Lecz jego pragnienie nie zmieniło rzeczywistości. Rasa ludzi zwanych Meinami, wysoki północny Płaskowyż Mein, wielka forteca Tahalian, królewski ród, który powinien rządzić tym terytorium – wszystko to przez ostatnie pięćset lat podlegało Akacji. Zostali pokonani, zdziesiątkowani i zmasakrowani, a następnie poddani rządowi obcych gubernatorów. Nakładano na nich nieuczciwe podatki i ograbiano z wojowników, z których wielu wysyłano do służby w akacjańskiej armii w odległych krajach i pozbawiano kontaktu z przodkami. Tak przynajmniej postrzegał to jeździec – jako niesprawiedliwość, która nie powinna trwać w nieskończoność.

Dwa razy podczas pierwszego tygodnia zjeżdżał z głównej drogi, by uniknąć punktów

kontrolnych Północnej Straży. Dokumenty miał w porządku. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie zostałby zatrzymany, lecz nie ufał Akacjanom, a myśl, że mógłby udawać, że uznaje ich władzę, napawała go odrazą. Każde takie dodatkowe półkole przybliżało go do Gór Czarnych, ciągnących się równolegle do jego trasy. Ich szczyty sterczały ze śniegu niczym olbrzymie, ostre płyty obsydianu. Gdyby wierzyć starym opowieściom, te szczyty były grotami włóczni, którymi rasa rozgniewanych olbrzymów przebiła dach swego świata, leżącego pod powierzchnią ziemi.

Po dziesięciu dniach jazdy dotarł na skraj Methaliańskiej Krawędzi, południowej granicy Meinu. Zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć na bujne lasy rozciągające się tysiąc metrów niżej, świadom, że już nigdy więcej nie odetchnie powietrzem płaskowyżu. Zdjął wierzchowcowi osłonę z łba i rzucił ją na ziemię. Luźniej ułożył wodze, by nie zdradzały jego pochodzenia. Mimo że wciąż było chłodno, a ziemię pokrywała warstewka szronu, rozpiął płaszcz i też zrzucił go na ziemię. Wyjął sztylet i przeciął rzemień przytrzymujący hełm, po czym cisnął go w krzaki i potrząsnął głową. Oswobodzone z ciasnoty kutego metalu jego długie, brązowe włosy rozwiały się na wietrze. Niezbyt przypominały jasnoblonde włosy typowe dla większości przedstawicieli rasy Meinów, co zawsze wprawiało go w zakłopotanie.

Włożył bawełnianą koszulę, by ukryć pod nią napierśnik, i zjechał z wyżyny. Podążał szlakiem wijącym się zakosami na tereny porośnięte liściastymi lasami i usiane ludzkimi osadami; tworzyły one północne rubieże ziem zarządzanych bezpośrednio z Alesji, biurokratycznej siedziby akacjańskiego rządu.

Ponieważ własne mistrzowskie opanowanie języka imperium napawało go wstrętem, rzadko się do kogokolwiek odzywał, chyba że nie miał wyboru. Kiedy sprzedawał konia handlarzowi na południowym skraju lasów, mamrotał, zakrywając usta dłonią. Jako zapłatę przyjął monety królestwa, ubranie nieprzyciągające uwagi i solidne wysokie buty ze skóry, jako że resztę drogi na wybrzeże zamierzał odbyć pieszo. W ten sposób po raz drugi zmienił swój wizerunek.

Poszedł głównym traktem wiodącym na południe, przez ramię przewiesił sobie okazały worek, powypychany tu i tam przedmiotami, których miał jeszcze potrzebować. Noce spędzał skulony w zagłębieniach na skraju gospodarstw lub w zagajnikach. Chociaż miejscowi uważali, że kraj tkwi w okowach zimy, jemu pogoda bardziej przypominała tahaliańskie lato. Było mu tak ciepło, że się pocił.

Niedaleko portowego miasta Alesja jeszcze raz pozbył się ubrania. Zdjął napierśnik i, obciążony kamieniami, utopił w rzece, a potem wyjął płaszcz uszyty w zimnych pomieszczeniach Meinów z nadzieją, że zostanie uznany za autentyczny. Kiedy go sobie

udrapował na ramionach, wyglądał jak Vadajanin. Choć Vadajanie byli pradawnym zakonem, nie funkcjonowali już jako sekta religijna. Byli uczonymi, którzy badali i przechowywali dawną wiedzę pod oficjalnym kierunkiem kapłanki Vady. Była to powściągliwa grupa, gardząca sprawami imperium, i jako jej przedstawiciel nie będzie budził zdumienia, że jest tak nierozmowny.

Dla dopełnienia wyglądu mężczyzna ogolił sobie głowę po bokach, a długie włosy na czubku związał w ciasny węzeł opleciony cienkimi rzemykami. Ogolona skóra była blada i różowa jak u świni, więc wtarł w nią barwnik używany do przyciemniania drewna. Po tych zabiegach tylko najbystrzejsze oko mogłoby wykryć, że nie jest uczonym, którego udawał.

Tak naprawdę nazywał się Thasren Mein. Pochodził ze szlacheckiego rodu i był synem zmarłego Heberena Meina, młodszym bratem Hanisha, prawowitego wodza plemion Płaskowyżu Mein, oraz Maeandera, dowódcy Punisarich, elitarnej gwardii i dumy jego narodu. Takie pochodzenie przynosiło chlubę, lecz Thasren zrezygnował z tego wszystkiego, by zostać zabójcą. Po raz pierwszy jego życie nabrało prawdziwego sensu. Jeszcze nigdy nie był tak skoncentrowany, tak pełen przekonania o słuszności swych działań. Wypełniał misję, której zaprzysiągł życie. Jak wielu ludzi wie, po co oddycha, i rozumie, co musi zrobić, zanim przeniesie się w pośmierć? On miał wielkie szczęście.

Z pokładu statku transportowego patrzył, jak z jasnozielonego morza wyłania się bezładny stos skał tworzących wyspę Akacja. Z daleka wyglądała niewinnie. Jej najwyższy punkt znajdował się na południowym krańcu. W środku pofałdowane tereny uprawne i łańcuchy wzgórz nieco opadały, lecz zaraz znów się wznosiły seria płaskowyżów, które pokolenia osadników uformowały w teren odpowiedni do wzniesienia pałacu. Wyspę porastały akacje z wielkimi pióropuszcami listowia usianymi gdzieś tam białymi kwiatami. Mimo długiej linii brzegowej wyspy stosunkowo niewielka jej część była łatwo dostępna – nie miała wielu plaż i portów.

Przepluwając obok wież strzegących portu, Thasren dostrzegł flagę imperium, zwisającą bezwładnie w nieruchomym powietrzu. Znał jej kolory, więc wiedział, co by zobaczył, gdyby się rozwinęła: żółte słońce wewnątrz kwadratu o czerwonych brzegach, a pośrodku czarną sylwetkę drzewa, od którego wyspa wzięła swą nazwę. Każde dziecko w Znanym Świecie rozpoznawało to godło, bez względu na to, gdzie się urodziło. Zabójca musiał powstrzymać chęć odchrząknięcia i pogardliwego splunięcia flegmą.

Zszedł ze statku na nabrzeże w tłumie innych pasażerów – kupców, robotników, kobiet i dzieci – przeskakujących nad pasmem krystalicznie czystej wody. Było wśród nich kilku innych Vadajan, lecz Thasren unikał kontaktu wzrokowego z nimi. Stojąc na mocnym

kamiennym nabrzeżu pośród mijających go pasażerów, pojął, że za chwilę wejdzie w paszczę wroga. Gdyby którykolwiek z otaczających go ludzi poznał jego imię, Thasren stałby się celem wszystkich sztyletów, szabli i włóczni na wyspie. Odczekał chwilę, zaskoczony, że nikt go nie rozpoznał.

Beznamiętnie patrzył na wielki mur z różowawego kamienia. Za nim sterczały w górę iglice, wieże i kopuły. Były pomalowane na granatowo, ciemnoczerwono albo rdzawobrazowo, a niektóre, pozłoczone, lśniły w blasku słońca. Tarasowate budowle wyglądały z daleka jak strome skały. Był to piękny widok; nawet Thasren musiał to przyznać.

Te budowle w niczym nie przypominały niskiego, ponurego domu zabójcy. Tahalian był zbudowany z potężnych jodłowych bali, do połowy wkopany w ziemię dla ochrony przed zimnem, pozbawiony ozdób, jako że długo w ciągu roku spowijał go zimowy mrok, a śnieg zalegał wysoko na wszystkich płaskich powierzchniach.

Thasren ruszył powoli w stronę bram dolnego miasta. Musiał się dostać do samego pałacu. Jeśli będzie trzeba, przebierze się, użyje podstępu, byleby dotrzeć do celu. Tam odpowie na pytanie ledwie miesiąc wcześniej zadane od niechcienia przez drugiego brata. Jeśli pragną zabić zwierza o wielu kończynach, powiedział wtedy Maeander, to może na początek obciąć mu łeb? Potem będą mogli zająć się kończynami i tułowiem zataczającego się stworzenia, pozbawionego wzroku i przywództwa. Wystarczy, by zabójca znalazł się dostatecznie blisko głowy i zaczekał na odpowiedni moment, by ją ugodzić, i to publicznie, by wieść o tym czynie, przekazywana z ust do ust, rozprzestrzeniła się jak zaraza.

ROZDZIAŁ 2

Żeby urozmaicić sobie monotonię porannych lekcji, dwunastoletnia Mena Akaran zawsze siadała dokładnie w tym samym miejscu, na kępcie trawy za rodzeństwem. Z tego doskonałego punktu obserwacyjnego mogła patrzeć przez szparę w kamiennej balustradzie okalającej dziedziniec na wielopoziomowe tarasy pałacu. Za zachodnim murem miasta teren nieco opadał, a następnie przechodził w pofalowane pola uprawne. Najdalsze wzniesienie, a zarazem najwyższe, stanowił cypel znany jako Skała Portowa. Mena wyprawiała się tam kiedyś z ojcem i pamiętała smród i hałas, jaki czyniły mieszkające tam morskie ptaki, oraz przyprawiający o zawrót głowy widok urwiska opadającego pionowo pięćset metrów prosto w spienione fale.

Tego ranka Mena nie słuchała nauczyciela, błądząc myślami gdzieś indziej. Wyobrażała sobie, że jest mewą i skacze ze skały. Runęła w dół i wyrównała lot nad powierzchnią wody. Pomykała między żaglami łodzi rybackich i nad barkami handlowymi. Na pełnym morzu fale były wyższe. Turkusowa woda zmieniła odcień na niebieski, a potem na atramentową czerń. Mena leciała nad ławicami połyskujących sardeli i grzbietami wielorybów, wypatrując nieznanego, które musiało w końcu pojawić się na białym od grzywaczy horyzoncie...

– Meno? Jesteś z nami, królewno? – Patrzył na nią Jason, królewski nauczyciel, obaj bracia i siostra. Dzieci siedziały na wilgotnej trawie, a Jason stał przed nimi z księgą w jednej ręce, a z drugą wspartą na biodrze. – Słyszałaś pytanie?

– Oczywiście, że nie – stwierdził Aliver.

Miał szesnaście lat i był najstarszym z królewskich dzieci, a także prawowitym następcą tronu. Ostatnio urósł i był już wyższy od ojca; zmienił mu się również głos. Na jego twarzy malował się wyraz znudzenia – ta choroba dopadła go przed rokiem i wciąż nie opuszczała.

– Znów myślała o rybach. Albo o morświnach – dodał Aliver.

– Ani ryby, ani morświny nie mają związku z omawianym przez nas tematem – rzekł Jason. – A zatem powtórzę pytanie: kogo założyciel dynastii akarańskiej wysadził z siodła pod Galaralem?

To tego pytania nie dosłyszała? Każdy umiał na nie odpowiedzieć! Mena nie znosiła

odpowiadać na proste pytania. Wiedza sprawiała jej przyjemność tylko wtedy, gdy dzięki niej wyróżniała się spośród innych. Dariel, jej młodszy brat, wiedział, kto był pierwszym królem i co zrobił, a miał tylko dziewięć lat. Przeciągała milczenie jak długo się dało, lecz kiedy Aliver otworzył usta, by z niej zadrwić, wyrecytowała szybko:

– Założycielem dynastii był Edifus. Urodził się w cierpieniu i mroku w Krainie Jezior, lecz zwyciężył w krwawej wojnie, która ogarnęła cały świat. Starł się z fałszywym królem Tathem pod Galaralem i zmiażdżył jego siły dzięki pomocy Mówców Santoth. Edifus był pierwszym w nieprzerwanej linii dwudziestu jeden akarańskich królów, z których najmłodszym jest mój ojciec. Synowie Edifusa, Thalaran, Tinhadin i Praythos, rozpoczęli umacnianie imperium poprzez ciąg kampanii nazywanych Wojnami Rozdziału...

– Dobrze – przerwał jej Jason. – To więcej, niż prosiłem...

– Mewa.

– Co takiego?

– Byłam mewą, a nie rybą czy morświnem.

Wykrzywiła się do Alivera, a potem posłała taką samą minę Corinn.

Jakiś czas później, po bezskutecznych próbach powrotu do swych ptasich wyobrażeń, Mena zadowolila się śledzeniem rozmowy. Omawiano kwestie geograficzne. Corinn wymieniła wszystkie sześć prowincji – Łąd zaraz na północ od Akacji, satrapię Meinów na dalekiej północy, Konfederację Candoviańską na północnym zachodzie, Talay na południu od wyspy i górskie plemiona Senivalu na zachodzie; ostatnią prowincję tworzył łańcuch wysp o wspólnej nazwie Archipelag Vumu, chociaż nie miał scentralizowanego rządu jak pozostałe – i udało jej się powiedzieć coś o ich rodach panujących i ustroju.

Jason rozwinął na trawie mapę i kazał dzieciom przycisnąć jej krawędzie kolanami. Mapy sprawiały szczególną przyjemność Darielowi. Pochylił się nisko i powtarzał wszystko, co powiedział nauczyciel, jakby przekazywał te informacje jakiemuś innemu słuchaczowi. Mena postanowiła mu przerwać.

– Dlaczego Akacja zawsze znajduje się na środku wszystkich map? – zapytała. – Jeśli, jak nas uczyłeś, Jasonie, świat się zakrzywia i nie ma końca, jak jedno miejsce może być jego środkiem, a nie inne?

Corinn uznała pytanie za niemądre. Zerknęła na Jasona z uniesionymi brwiami i zaciśniętymi ustami. W wieku piętnastu lat – z jej oliwkową cerą i zaokrągloną twarzą – była akacjańską pięknoscią. Odziedziczyła wiele cech po ich zmarłej matce, Alerze.

– Akacja po prostu jest środkiem świata, Meno. Każdy to wie.

– Zwięźle powiedziane – przyznał Jason – lecz Mena ma rację. Wszystkie narody

uznają siebie za pierwsze. Pierwsze, główne i najważniejsze, tak? Kiedyś powinienem wam pokazać mapę z Talay. Oni rysują świat zupełnie inaczej. I dlaczego nie mieliby siebie uważać za środek świata? Także są wielkim narodem...

Aliver parsknął śmiechem.

– Bądź poważny! Ci ludzie chodzą półnaczy. Polują z włóczyniami i czczą bogów, którzy wyglądają jak zwierzęta. Nadal mają małe rządy plemienne – wodzów i tak dalej. Są nie lepsi od ciągle się sprzecających Meinów.

– I jest tam za gorąco – dodała Corinn. – Podobno przez pół roku ziemia jest wysuszona na pył. Wodę biorą z wykopywanych w niej dziur.

Jason zgodził się, że talayski klimat jest surowy, szczególnie na dalekim południu. Dobrze wiedział, że Talayanie zawsze będą uważać swoje obyczaje za gorsze od akacjańskich. Akacja nie bez powodu kontroluje cały Znany Świat.

– Jesteśmy utalentowanym narodem – stwierdził. – Lecz jesteśmy także narodem łaskawym. Nie powinniśmy pogardzać Talayanami ani żadnym innym...

– Nie powiedziałem, że nimi gardzę. Mają swoje obyczaje i kiedy zostanę królem, postaram się je szanować. Ale dlaczego wyciągnąłeś tę mapę? Chcesz nas czegoś nauczyć czy nie?

Jason usłyszał zniecierpliwienie w głosie Alivera, więc skinął głową, uśmiechnął się i nie ciągnął już tematu. Owszem, był nauczycielem, lecz nigdy nie zapominał, że jest także służącym. Czasami Menie wydawało się, że nie jest to najlepsze rozwiązanie. Jak mieli się nauczyć prawdy o świecie, skoro mogli uciszać swoich nauczycieli samym podniesieniem głosu?

Lekcja toczyła się dalej; słuchali Jasona, nie przerywając mu. Kilka minut później wyszedł na dwór ich ojciec, król Leodan, aby odetchnąć porannym powietrzem. Jego twarz przypominała wygarbowaną skórę. Skronie miał przyprószone siwizną, podkreślającą kolor jego ciemnych włosów i zdradzającą jego wiek oraz królewskie obciążenia. Spojrzał na dzieci, skinął głową nauczycielowi, a potem rozejrzał się po wyspie.

– Jasonie, zamierzam ci dzisiaj przeszkodzić – odezwał się. – Niedługo przybędzie delegacja z Aushenii i w ciągu najbliższych tygodni nie będę miał dla moich dzieci tyle czasu, ile bym chciał. Mam ochotę na przejażdżkę. Jeśli moje dzieci zechcą mi towarzyszyć, chętnie je zabiorę...

Dzieci przystały na propozycję i nim upłynęła godzina, wszyscy wyjechali galopem przez jedną z małych bocznych bram pałacu. Rodzeństwo jeździło konno od czwartego albo piątego roku życia i wszyscy byli znakomitymi jeźdźcami, nawet Dariel. W dyskretnej

odległości za nimi jechało dziesięciu gwardzistów. Nikt sobie nie wyobrażał, że na Akacji królowi zagraża jakieś niebezpieczeństwo, lecz jako monarcha dość często był zmuszony ulegać obyczajom wywodzącym się z groźniejszych czasów.

Pojechali wysoko położoną drogą prowadzącą na zachód. Wąski szlak czasami przecinał tak strome grzbiety, że można było z obu stron oglądać porośnięte jałowcami zbocza, opadające aż do samego morza. Spomiędzy krzewów tu i tam strzelały w górę kolczaste korony akacji; to one oczywiście dały nazwę wyspie i nieformalny tytuł dynastii akarańskiej. Jednocześnie wyróżniały tutejszy krajobraz wśród pejzażu innych wysp Morza Wewnętrznego, na żadnej innej bowiem nie rosły akacje.

Kiedy Mena była młodsza, te drzewa ją przerażały. Były sękaty i kolczaste, nieruchome, a mimo to groźne. Dopiero niedawno zaczęła się czuć w ich pobliżu swobodnie. Do pokoju Dariela został przeniesiony stary, wygładzony i poskromiony okaz, służący chłopcu jako zabawka do wspinania. To w dużym stopniu złagodziło niepokój Meny. Zrozumiała, że akacje można ścinać, przenosić i przerabiać na zabawki dla dzieci; trudno zatem bać się czegoś takiego.

Jeźdźcy zjechali na nierówną plażę południowego wybrzeża, pozostawioną w naturalnym stanie, z której rozciągał się widok na przeciwną stronę zatoki, na urwiska tętnące ptasim życiem. Przez chwilę jechali w luźnej grupie, omijając wielkie, wybielone przez słońce konary drzew wyrzucone na brzeg, albo wjeżdżając wśród rozbryzgów piany do turkusowej wody. Kiedy zsiadli z koni, Aliver zaczął rzucać muszlami w fole. Corinn stała z rozpostartymi rękoma na próchniejącym pniu ogromnego drzewa i wystawiała twarz na podmuchy chłodnego wiatru. Dariel uganiał się po piasku za krabami.

Mena szła obok ojca. Leodan krążył między dziećmi, zainteresowany wszystkim, co robią, i roześmiany, ponieważ kiedy przebywał z nimi, bawiło go wiele rzeczy. Mena trzymała gałązkę wyrzuconą na brzeg, wodząc opuszkami palców po wygładzonym drewnie. Nie myślała o tym, czy taka sytuacja – król bawiący się ze swoimi dziećmi – jest czymś niezwykłym. Tak po prostu zawsze było. Nie umiała wyobrazić sobie innej możliwości. Zastanawiała się jednak, czy ktoś oprócz niej dostrzega napięcie pod maską ojcowskiej wesołości. Okazywanie radości przychodziło mu nie bez wysiłku. Nadal odczuwał ból spowodowany brakiem jednej osoby.

Tego wieczoru, znalazłszy się z powrotem w ciepłym ulu pałacu, Mena i Dariel zwinęli się na jej łóżku, by wysłuchać ojcowskiej opowieści. Jak wszystkie pomieszczenia w pałacu, pokój Meny był duży, z wysoko sklepionym sufitem i podłogą z polerowanego białego marmuru. Mena nie nadała mu osobistego charakteru, w odróżnieniu od pełnego

koronek, rozmaitych poduszek i kolorów gniazdka Corinn. Meble Mena były antyczne, zrobione z sękatego, twardego drewna i obite materiałem łaskoczącym skórę. Na ścianach wisiały gobeliny przedstawiające postacie z akacjańskiej historii. Mena potrafiła wymienić czyny tylko niektórych z nich, lecz odczuwała ich obecność w pokoju jako chroniącą ją siłę. Pilnowały jej. Były przecież rodziną jej ojca. Jej rodziną.

Leodan siedział na stołku przy łóżku.

– Chyba dotarliśmy do punktu – powiedział – w którym muszę wam opowiedzieć o Dwóch Braciach i o tym, jak zaczął się ich spór. Szkoda, że Corinn i Aliver są już za duzi na opowieści. Tę kiedyś lubili, mimo że jest smutna.

I król zaczął opowiadać, że w dawno temu żyli dwaj bracia, Bashar i Cashen, którzy byli sobie tak bliscy, że nie można było ich rozdzielić. Bardzo się kochali i czerpali wielką radość ze swojego towarzystwa. A przynajmniej tak było do dnia, kiedy przybyła do nich delegacja z pobliskiej wioski i oznajmiła, że ponieważ są tak dobrymi i szlachetnymi braćmi, mieszkańcy wioski błagają, by jeden z nich został kimś, kto się nazywa „królem”. Śniący prorok powiedział tym ludziom, że jeśli będą mieli króla, zazną dobrobytu. Bardzo go potrzebowali, jako że od lat prześladowały ich głód i niezgoda. Nie potrafili zdecydować, kogo spośród siebie wybrać, więc postanowili poprosić, by królem został jeden z braci.

Bracia zapytali, czy obaj mogą zostać królami, lecz wieśniacy odparli, że to niemożliwe, że królem może być tylko jeden człowiek. Tak powiedział im prorok. Braciom nadal podobał się pomysł królowania, oznajmili więc, że wieśniacy mogą wybrać jednego z nich, a drugi zaakceptuje ich decyzję. A w sekrecie zawarli układ, że po stu latach zamienią się rolami.

Tak więc wybrano na króla Cashena. Przez sto lat jego rządów ludowi dobrze się wiodło. Lud prosperował. Bashar zawsze był u boku brata, lecz pierwszego dnia sto pierwszego roku poprosił, by Cashen przekazał mu koronę. Ten zmierzył go zimnym wzrokiem. Przyzwyczał się do królowania, polubił władzę. Bashar przypomniał mu o umowie, lecz Cashen stwierdził, że nigdy o czymś takim nie rozmawiali. Usłyszawszy to, Bashar zawrzał gniewem i zaczął się mocować z bratem. Cashen powalił go i czując nagły strach i wstyd, uciekł z wioski na wzgórze. Wyzbył się całej miłości do brata, a jej miejsce zajęła gorycz. Bashar gonił go po wzgórzach, aż zapędzili się w góry. Tymczasem na niebie zebrały się burzowe chmury, niebo rozświetliły błyskawice i lunął deszcz.

Dariel dotknął palcem ojcowskiego nadgarstka.

– Czy to prawda?

Leodan nachylił się ku niemu i szepnął:

– Każde słowo.

– Powinni byli rządzić po kolei – powiedział Dariel głosem, w którym brzmiało znużenie.

– Kiedy Bashar dogonił brata, uderzył go w głowę laską. Pod Cashenem ugięły się kolana, ale zaraz się otrząsnął i rzucił na brata. Bashar tym razem zakręcił laską i trafił Cashena w kolana. Ten się przewrócił na plecy, więc Bashar odrzucił laskę, podniósł brata i, trzymając go nad głową, ruszył w stronę przepaści. Tam zrzucił brata ze skał. Lecz Cashen nie zginął. Na dole wstał i zerwał się do biegu. Przebył dolinę w poprzek wielkimi susami i wspiął się po przeciwnym stoku. Kiedy stanął na szczycie góry, niebo przeszła błyskawica. Światło było oślepiające i Bashar musiał zakryć oczy. Kiedy odzyskał wzrok, spostrzegł, że piorun trafił w Cashena. Nie padł on jednak martwy na ziemię. Cały drżał od krążącej w nim energii, a po jego skórze i zwęglonym ciele przebiegały fale błękitnego światła. Znów ruszył biegiem i teraz był jeszcze szybszy. Stawiając ogromne kroki, wspiął się na szczyt sąsiedniej góry i przeskoczył go, nawet nie oglądając się na brata.

Po długiej chwili ciszy Mena zapytała:

– Czy to już koniec?

Leodan skinął głową w stronę uśpionego Dariela.

– Nie – odpowiedział, wsuwając ręce pod ciało chłopca – to nie wszystko, lecz to koniec na dzisiaj. Bashar zrozumiał, że jego brata pobłogosławił jakiś bóg. Zrozumiał też, że zostali wrogami i czeka ich długa i trudna walka. Prawdę mówiąc, oni wciąż walczą. – Leodan wyprostował się z Darielem przewieszonym przez ręce. – Czasami, jeśli się wyteży słuch, można usłyszeć, jak w górach rzucają w siebie kamieniami.

Patrząc, jak ojciec wychodzi przez otwarte drzwi, zwraca się w stronę żółtego światła padającego od lampy w korytarzu i znika, Mena zwalczyła nagłą chęć zawołania do niego. Przeraziła się, że ojciec na zawsze zniknie w tym korytarzu. Kiedy była młodsza, często wołała go raz po raz, prosząc o pocieszenie, opowieści i obietnice, aż ojciec tracił cierpliwość albo ona sama zasypiała ze zmęczenia. Później jednak zaczęła się wstydzic uczuć towarzyszących jej przy rozstaniu z ojcem. To był ciężar, który musiała dźwigać.

Uświadomiła sobie, że zaciska dłonie na pościeli. Rozluźniła palce, próbując się uspokoić. Powiedziała sobie, że to bezpodstawny strach. Leodan zapewniał ją przecież wiele razy, że nigdy jej nie opuści. Obiecał to. Dlaczego nie mogła mu uwierzyć? Czy dlatego, że mogłoby to być zniewagą jej nieżyjącej matki? Wiedziała, że wiele dzieci w jej wieku nie doświadczyło utraty żadnego z rodziców. Nawet śpiący Dariel nie pamiętał matki na tyle, by za nią tęsknić. Nie znał tego, co utracił. Jaka to dobra rzecz, taka niewiedza. Gdyby tylko

Mena urodziła się zamiast Dariela jako najmłodsza z rodzeństwa... Nie była pewna, czy to podła myśl, krzywdząca jej brata, lecz długo się nad nią zastanawiała.

ROZDZIAŁ 3

Gdy Thaddeus Clegg wszedł do swojej komnaty, miał pewność że kobieta zaraz zemdleje z wyczerpania. Stała pośrodku pomieszczenia oświetlonego blaskiem pochodni. Jej sylwetka odcinała się na tle pomarańczowego światła padającego z kominka. Kobieta słała się ze zmęczenia. Ubranie miała brudne jak wieśniaczka, lecz pod warstwą zaskorupiałego błota Thaddeus widział błysk kolczugi. Na hełmie kobiety był osadzony kosmyk jasnego końskiego włosia.

– Przepraszam cię, posłanniczko, że musiałś na mnie czekać, stojąc – odezwał się Thaddeus. – Moi służący są służbistami nawet wbrew rozsądkowi.

Oczy kobiety zapłonęły.

– Dlaczego zostałam zatrzymana tutaj, kanclerzu? Z rozkazu generała Leeki Alaina z Północnej Straży moja wiadomość jest przeznaczona dla króla Leodana.

Thaddeus odwrócił się do służącego, który wszedł za nim do komnaty, i kazał przynieść posłanniczce posiłek. Kiedy mężczyzna wyszedł, powłócząc nogami, Thaddeus wskazał kobiecie jedną ze stojących za nim kanap, ale dopiero kiedy sam usiadł, kobieta poszła za jego przykładem. Wyjaśnił jej, że została przyprowadzona do niego właśnie dlatego, że wiadomość jest przeznaczona dla króla. Jako kanclerz pierwszy otrzymywał wszystkie informacje.

– Z pewnością o tym wiesz – powiedział z lekką naganą w głosie.

W wieku pięćdziesięciu sześciu lat Thaddeus nie był już tak przystojny jak w młodości. Pałace słońce akacjańskiego lata wryło na jego twarzy głębokie zmarszczki – widział ich coraz więcej za każdym razem, kiedy spoglądał w lustro. Mimo to, kiedy tak siedział wyprostowany w migoczącym blasku ognia, z rękami splecionymi na kolanach i otulony zimowym ciemnoczerwonym płaszczem, kanclerz wyglądał bardzo na miejscu w swojej roli powiernika władcy największego imperium Znanego Świata. Urodził się kilka miesięcy po Leodanie Akaranie, w rodzinie o niemal równie królewskim rodowodzie, lecz bardzo wcześnie powiedziano mu, że jego rolą jest służenie przyszłemu królowi, a nie aspirowanie do jego stanowiska. Został powiernikiem króla i często widywał go takim, jakim mogła go oglądać tylko najbliższa rodzina. Jego rola i pozycja zostały określone w chwili jego narodzin, podobnie jak w przypadku każdego z dwudziestu dwóch pokoleń kanclerzy

przed nim.

Wrócił służący z tacą zastawioną talerzami z wędzonymi ostrygami i sardelami, winogronami i dwiema karafkami, jedną z wodą z sokiem z cytryny, drugą z winem. Thaddeus zachęcił gestem kobietę, by się częstowała.

– Nie chcę między nami nieporozumień – rzekł. – Widzę, że jesteś sumiennym żołnierzem, a sądząc po twoim stroju, miałaś ciężką podróż. O tej porze roku Mein musi być lodową pustynią. Napij się. Odetchnij. Pamiętaj, że znajdujesz się za murami Akacji. A potem powiedz mi to, co musisz.

– Generał Alain przysłał...

– Tak, mówiłaś, że przysłał cię Leeka. A nie gubernator?

– Ta wiadomość pochodzi od generała Alaina – powiedziała wysłanniczka. – Przysłała królowi i jego czworgu dzieciom wyrazy czci oraz umiłowania. Oby żyli długo. Ponawia przysięgę lojalności i prosi, by król uważnie wysłuchał jego słów. Wszystkie są prawdziwe, nawet jeśli jego wiadomość wyda się niewiarygodna.

Thaddeus zerknął na służącego. Kiedy mężczyzna wyszedł z komnaty, kanclerz powiedział:

– Król słucha poprzez mnie.

– Hanish Mein planuje wojnę z Akacją.

Thaddeus się uśmiechnął.

– To nieprawdopodobne. Meinowie nie są głupcami. Jest ich mało. Imperium Akacjańskie rozdeptałoby ich jak mrówki. Od kiedy Leeka stał się takim...

– Wybacz mi, panie, ale nie skończyłam raportu. – Wysłanniczka sprawiała wrażenie zasmuconej tym faktem. Potarła powieki. – Musimy stawić czoło nie tylko Meinom. Hanish Mein zawarł sojusz z ludem zza Pól Lodowych. Przeszli ponad dachem świata na południe, do Meinu.

Kanclerz zrobił zafrasowaną minę.

– To niemożliwe.

– Przysięgam na moją prawą rękę, panie, że przybywają na południe całymi tysiącami. Sądzymy, że posłuchali wezwania Hanisha Meina.

– Wypuścił się poza granice Znanego Świata?

– Widzieli ich zwiadowcy. To dziwny lud, barbarzyński i gwałtowny...

– Obce ludy zawsze są uważane za barbarzyńskie i gwałtowne.

– Przerastają normalnych ludzi więcej niż o głowę. Jeżdżą na wełnistych, rogatych zwierzętach, które traktują ludzi. Przybywają nie tylko żołnierze, ale kobiety, dzieci i starcy, z

wielkimi wozami niczym ruchome miasta, ciągniętymi przez wiele setek zwierząt, o jakich nigdy przedtem nie słyszałam. Podobno mają też ze sobą wieże oblężnicze i inne dziwne rodzaje broni, a także prowadzą wielkie stada bydła...

– Opisujesz nomadów. To są wytwory wyobraźni jakiegoś kłamcy.

– Jeśli to są nomadzi, to nasz świat takich nie widział. Splądrowali miasto Vedus na dalekiej północy. Powiedziałam „splądrowali”, lecz w istocie po prostu się przez nie przetoczyli. Nie zostawili nic, zabrali ze sobą wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

– Skąd wiesz, że Hanish Mein ma z tym coś wspólnego?

Posłanniczka utkwiała wzrok w kanclerzu. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, lecz na jej twarzy już było widać niezwykle cierpienie i ból. Thaddeus wierzył, że kobiety żołnierki są o wiele twardsze niż przeciętny mężczyzna. Ona wiedziała, o czym mówi, a on powinien był to uznać.

Thaddeus wstał i gestem nakazał kobiecie podejść do wiszącej na przeciwległej ścianie dużej mapy imperium.

– Pokaż mi to na mapie. Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Rozmawiali przez następną godzinę; on z coraz większą powagą zadawał pytania, ona z przekonaniem odpowiadała. Wodząc wzrokiem po mapie, Thaddeus mimowolnie wyobraził sobie smagane wiatrem pustkowie, o którym rozmawiali. Żaden inny rejon Znanego Świata nie sprawiał tylu kłopotów, co Satrapia Meinów. Była to surowa ziemia leżąca na północnym płaskowyżu, kraina dziewięćmiesięcznych zim i jasnowłosych ludzi, którym udawało się tam przeżyć. Płaskowyż nosił taką samą nazwę jak jego mieszkańcy, lecz Meinowie nie pochodzili stamtąd. Byli niegdyś klanem z Łądu, żyjącym u wschodnich podnóży Gór Senivalskich, dość podobnym do dawnych Akacjan. Po wysiedleniu przez Starych Akaran zamieszkali na płaskowyżu i musieli nazywać go domem przez dwadzieścia dwa pokolenia, tyle samo czasu, ile Akaranie mieli bazę na Akacji.

Meinowie byli ludem plemiennym, wojowniczym i swarliwym, równie surowym i bezdusznym jak zamieszkiwana przez nich kraina, o kulturze stworzonej wokół złośliwego panteonu duchów zwanego Tunishnevre. Byli dumni ze swego pochodzenia i chronili czystość, żyjąc w izolacji od świata. Zawierali małżeństwa tylko między sobą i potępiali łączenie się z innymi rasami. Dzięki tak postrzeganej czystości rasowej każdy Mein mógł zdobyć dla siebie tron w pojedynku na śmierć i życie, zwanym maseretem.

System ten sprzyjał gwałtownym zmianom władzy, a każdy nowy wódz musiał zdobyć przychyłność mas. Po koronacji wódz przyjmował nazwę rasy jako swoje imię, co oznaczało, że reprezentuje cały naród. W ten sposób ich obecny przywódca, Hanish z rodu

Heberen, w dzień swego pierwszego maseretu, kiedy zachował koronę zmarłego ojca, stał się Hanishem Meinem. Fakt, że Hanish kipiał nienawiścią do Akacji, nie był dla kanclerza niczym nowym. Lecz to, co mówiła ta kobieta, przeszło jego wyobrażenia.

Zachęcana przez Thaddeusa, posłanniczka zjadła wszystko z talerza. Przyniesiono następny, tym razem z twardym serem, który trzeba było kroić ostrym nożem. Kanclerz ukroił trójkątne kawałki dla nich obojga, a potem z nożem w dłoni słuchał, wpatrując się w swoje odbicie w ostrzu.

Wysłanniczka usiłowała walczyć z sennością, lecz powieki opadały jej coraz bardziej.

– Obawiam się, że zasypiam – powiedziała w końcu – lecz wszystko ci już wyjaśniłam. Czy mogę stanąć przed obliczem króla? To są sprawy przeznaczone dla jego uszu.

Na wzmiankę o królu Thaddeusowi przysła nagle do głowy myśl, jakiej wcale by się nie spodziewał w tej chwili. Przypomnił sobie pewien dzień zeszłego lata, kiedy znalazł Leodana w labiryntowych ogrodach pałacu. Król siedział na kamiennej ławie w niszy utworzonej przez oplecione pnączami fragmenty dawnych murów, które stanowiły fundament skromniejszej siedziby pierwszego króla. Na kolanach trzymał najmłodszego syna, Dariela. Razem przyglądali się jakiemuś drobnemu przedmiotowi w dłoni chłopca. Kiedy Thaddeus podszedł bliżej, król podniósł na niego uradowany wzrok.

– Spójrz, Thaddeusie. Odkryliśmy owada z nakrapianymi skrzydełkami – powiedział tak, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie.

Thaddeus najbardziej lubił króla w tych chwilach dnia, kiedy mężczyzna miał czysty wzrok, niezmacony mgłą, która przesłaniała mu oczy co wieczór. W tych mrocznych momentach stawał się ponury, lecz z dziećmi... cóż, w towarzystwie dzieci był głupcem pamiętającym młodość. Mądrym głupcem, który wciąż znajdował w świecie coś cudownego...

– Kanclerzu?

Thaddeus wzdrygnął się. Uświadomił sobie, że od pewnego czasu oboje siedzą w milczeniu. Poczuł na palcu ostry czubek noża do sera.

– Król musi usłyszeć o tym wszystkim w ciągu godziny – powiedział. – Mówisz, że generał Alain przysłał cię prosto tutaj? Nie rozmawiałaś o tym z gubernatorami?

– Moja wiadomość była przeznaczona dla króla Leodana – odparła.

– I słusznie. Posiedź tu chwilę. Ustalę twoje spotkanie z królem. Oddałaś nam wielką przysługę.

Kanclerz wstał. Wciąż trzymał w ręce nóż, ale ruszył do drzwi, jakby o nim

zapomniał. Kiedy minął krzesło posłanniczki i znalazł się za nią, odwrócił się. Przekręcił nóż w dłoni i chwycił trzonek tak mocno, że aż pobiełały mu kostki. Jedną ręką przytrzymał czoło kobiety, a drugą podciął jej gardło. Nie był pewien, czy nóż nada się do tego celu, dlatego użył więcej siły, niż było trzeba. Lecz zadanie zostało wykonane. Posłanniczka nie wydała żadnego dźwięku. Jeszcze przez chwilę stał tuż za nią; klinga noża i trzymająca ją dłoń były zakrwawione. Potem rozprostował palce i nóż upadł na podłogę.

Thaddeus nie był tak całkowicie oddany królowi, jak się wydawało, i po raz pierwszy w życiu potwierdził ten fakt krwawym, nieodwracalnym czynem. Ta okrutna prawda oszołomiła go. Z wielkim wysiłkiem uspokoił się i uporządkował myśli. Odeśle służących, a potem pozbędzie się ciała i posprząta. Zajmie mu to resztę nocy, ale nawet nie będzie musiał wychodzić ze swojej części pałacu. Pod komnatą, w której stał, znajdował się loch. Wystarczy tylko przeciągnąć kobietę po prowadzących do niego kręconych schodach, wepchnąć ją do środka, zamknąć drzwi na klucz i zaczekać, aż szczury, owady i robactwo spokojnie oczyszczą jej kości.

Poradzenie sobie z moralnymi konsekwencjami tego, co właśnie rozpoczął, takie łatwe już nie będzie.

ROZDZIAŁ 4

Jak wszystkie szlachetnie urodzone dzieci, Aliver Akaran został wychowany w przepychu. Po obudzeniu zawsze znajdował kapcie na swoim miejscu przy łóżku, a w misce z perfumowaną wodą, w której mył twarz, płatki kwiatów. Od momentu, kiedy zaczął jeść stałe pokarmy, każdy zjedzony przez niego posiłek był przygotowywany niezwykle starannie, przy użyciu najlepszych składników i z uwzględnieniem wpływu potraw na podniebienie. W zimowy dzień nigdy nie musiał wchodzić do zimnego pokoju, nigdy sam nie przygotował sobie kąpieli czy nie zmoczył rąk, piorąc ubrania. Nigdy nawet nie widział mycia talerzy po posiłku. Żył złudzeniami. Były to bardzo przyjemne złudzenia, wedle których świat funkcjonował w dużej mierze dla jego przyjemności. Jednakże bez względu na wszystko w wieku szesnastu lat Aliver spoglądał na ów świat z niesmakiem.

Wychodząc ze swych komnat tydzień po przejażdżce na wybrzeże z ojcem i rodzeństwem, królewicz chwycił skórzane pantofle treningowe i przerzucił przez ramię szermierczą kamizelkę. Przeszedł między strażnikami stojącymi niczym posągi po obu stronach jego drzwi, a potem minął rząd manekinów ustawionych wzdłuż ściany. Te naturalnej wielkości figury były wyrzeźbione z drewna sosnowego, z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów budowy człowieka. Stały w różnych pozycjach i odziane były w wojskowe ubiory rozmaitych ludów: był tam talayski biegacz z drewna zabarwionego na niemal czarny kolor, by oddać odcień jego skóry, z żelazną włócznią uniesioną w prawej dłoni; senivalski piechur w łuskowej zbroi i z zakrzywioną szablą u pasa; jeździec z Meinu w charakterystycznym grubym napierśniku, obwieszony poszarpanymi zwierzęcymi skórami; wojownik z Vumu przybrany orlimi piórami oraz Akacjanie w rozmaitych mundurach, z obnażoną bronią, w luźnych, powłóczystych spodniach pod delikatnymi kolczugami.

W komnatach Alivera było więcej przedmiotów związanych ze sztuką wojenną, niż podobało się to królowi. Powiedział nawet kiedyś, że Akacja od pokoleń kieruje raczej pokojowym imperium. Lecz królewicz nie miał ojcu za złe jego niezadowolenia. Jego codzienne kontakty z rówieśnikami miały w sobie więcej elementów rywalizacji niż stosunki z ojcem. Leodan już nie szedł przez życie, rozpychając się łokciami w tłumie młodzieńców. Natomiast Aliver miał jeszcze przed sobą wiele prób męskości. Według niego to, że ojciec mógł się oddawać wyższym przyjemnościom, zawdzięczał odwadze mężczyzn i kobiet

chętnych do noszenia broni. To ich waleczność pozwoliła przodkom Leodana zjednoczyć zwaśnione ludy Znanego Świata w luźny sojusz narodów, korzystny dla nich wszystkich. Jak można to było osiągnąć inaczej niż przy użyciu siły? Jak można było utrzymać ten sojusz, jeśli nie groźbą użycia siły?

Kiedy był w gniewnym nastroju, Aliver wyobrażał sobie, jak ojciec przemawia do tego dawnego motłochu, wyjaśnia mu zalety pokoju i przyjaźni. Jak zostaje wyśmiany, przegnany kopniakami, opluty i nazwany tchórzem. A potem ów motłoch rozpętuje wściekłą bitwę, by w ten prymitywny sposób rozstrzygnąć daną kwestię. Czasami Aliver wyobrażał sobie, że przychodzi ojcu na pomoc z szablą w ręce; a kiedy indziej, że tylko się przygląda. Nie chodziło o to, że nie kochał ojca. Bardzo go lubił. Nie podobało mu się, że ma takie myśli. Pojawiały się nieproszone, równie trudne do zduszenia, jak niezrozumiałe ataki cielesnego pożądania, które dręczyły go przez ostatnie parę lat. Ale to także nie miało nic do rzeczy. Chodziło o to, że Akaranie byli dobrotliwymi panami wspaniałego królestwa. Byli nimi od dwudziestu dwóch pokoleń i jeśli Aliver będzie miał w przyszłości coś do powiedzenia, potrwa to jeszcze dłużej. Dlatego tak poważnie traktował sprawy związane z wojskiem.

Do sali treningowej Marahów szło się tylko kilka minut, głównie w dół. Przed Aliverem rozciągała się bryła pałacu, leżące poniżej miasto, wyspa i otaczające ją morze. Blżej położone budynki były przykładem ciężkiej, czysto akacjańskiej architektury. Drogi wiły się serpentynami, wymuszane przez naturalną stromiznę wzgórze. Ludzie znajdujący się na widocznym za bramą zakręcie drogi wyglądali jak powoli poruszające się punkciki, jak kleszcze pełznące po ludzkiej ręce. Wieżyczki dolnego miasta były tak małe, że dałoby się je zgnieść między kciukiem i palcem wskazującym. Trudno było sobie wyobrazić, że wszystko to zaczęło się od wybudowania przez Edifusa prostej fortecy, umieszczonej wysoko obronnej budowli, by ten nerwowy monarcha, bojąc się, że jego świeżo pokonani poddani mogliby się zjednoczyć przeciwko niemu, mógł obserwować wody oblewające wyspę.

Zarumieniony od szybkiego spaceru Aliver wszedł do dużej sali z kolumnami. Oświetlały ją lampy oliwne umocowane na ścianie albo na trójnogach oraz świetliki wycięte w suficie, przez które wpadały do szaro-białego pomieszczenia ukośne promienie światła. Zapach płonącej oliwy był niemal słodki, silniejszy od dymnego aromatu unoszącego się z piecyków używanych do walki z chłodem. Aliver przywitał się ze swoimi instruktorami i skinął głową innym młodzieńcom razem z nim wchodzącym do sali, wśród których znajdowała się też garstka dziewcząt. Przechodziły one szkolenie wojskowe na tych samych zasadach co chłopcy. Kobiety stanowiły w sumie niemal jedną czwartą sił zbrojnych Akacji.

Jednakże szkoleniu Marahów podlegały tylko dzieci arystokratów, przeznaczone do objęcia wysokich stanowisk jako oficerowie i urzędnicy rządowi. Wiele z nich pochodziło z Agnatów, uprzywilejowanej grupy mogącej się wykazać związkami z drzewem genealogicznym Edifusa.

Królewicz wiedział, że poprzedni władcy tworzyli silne związki ze swoimi rówieśnikami z odpowiedniej warstwy społecznej. Powiadano, że jego dziad Gridulan stale miał przy sobie trzynastu towarzyszy, którzy wspólnie jedli, spali, rządili i zawierali małżeństwa. Chociaż rówieśnicy okazywali mu szacunek, Aliver nie odczuwał takiej więzi. Usiłował lekceważyć jej brak i cenić sobie niezależność, ale obawiał się, że jego charakterowi czegoś brakuje, czegoś, czego najwyraźniej nie jest w stanie zmienić.

Aliver uśmiechnął się na widok wchodzącego do sali Melia Sharratta, młodzieńca w jego wieku. Melio był właściwie przyjacielem królewicza. Urodzili się w odstępnie kilku tygodni i od pierwszych wspólnych lekcji Alivera przyciągała inteligencja chłopca. Przez pewien czas, kiedy obaj mieli po dziesięć lat, spędzali po kilka dni w pałacowym labiryncie na zabawie, w której jeden z nich był opowiadaczem, a drugi głównym bohaterem wojennej albo przygodowej opowieści, w której zabijał mityczne stwory i pokonywał zło. Aliver czuł się w towarzystwie Melia swobodnie, co nie zdarzało mu się w obecności innych. Jednakże mimo sympatii dla tego chłopca, królewicz nigdy nie wyzbywał się przy nim – ani przy nikim innym – swej wyniosłości. Właściwie stała się ona nawet większa, kiedy weszli w wiek dojrzewania, który przyniósł zmiany w ich ciałach i emocjach. Niegdyś przyjazny uśmiech Alivera teraz był trudniejszy do zdefiniowania.

– Witaj, królewiczu – odezwał się Melio. – Mam nadzieję, że dobrze się dziś czujesz.

– Owszem – odparł Aliver, patrząc przed siebie, jakby zainteresowało go coś w przeciwległym końcu sali treningowej.

Melio odgarnął z czoła przydługą czarną grzywkę i, naśladując zachowanie Alivera, przyglądał się przybywającym uczniom.

– Ćwiczyłeś piątą formę? Widziałem, że Biteran uczył cię jej w zeszłym tygodniu. Gdybyś ją zdał, mógłbyś zacząć trening z włócznią.

– Zdam ją – odparł Aliver. – Powinieneś się martwić o siebie. Jeśli będzie trzeba, pomogę ci z czwartą formą.

– Ty? – zapytał ze śmiechem Melio. – Moim nauczycielem?

Miał twarz, która nie rzucała się w oczy, lecz kiedy się uśmiechał, wszystkie elementy składające się na jego rysy wskakiwały na swoje miejsce, jakby zostały stworzone dla wyrażania wyłącznie radości. Biel jego zębów na tle oliwkowej cery sprawiała, że wyglądał

zdrowo. Obaj chłopcy wiedzieli, że w sprawach wojskowych nie mają jednakowej pozycji. Aliver może i ćwiczył wyższą formę Marahów niż jego rówieśnicy – taka była długa tradycja – lecz Melio otrzymał propozycję szkolenia jako członek Elity. Elita bardzo się różniła od Marahów. Była to jeszcze mniejsza grupa, której członków dobierano wyłącznie pod kątem ich umiejętności, bez względu na stanowisko czy pozycję społeczną. Propozycja wstąpienia do oddziału była dla Melia zaszczytem, oznaczała, że instruktorzy dostrzegli u młodzieńca nadzwyczajną sprawność.

– Spójrz, jest Hephron – rzekł Melio. – Jest coraz lepszy. Któregoś dnia w walce z ojcem Carvera doprowadził do impasu. Ależ stary był zaskoczony.

Mówiąc to, Melio wskazał podbródkiem nowo przybyłego chłopca. Hephron Anthalar był o rok starszy od pozostałych, wyższy od nich o głowę i miał rudawe włosy opadające w niesfornych kędziorach. Anthalarowie byli także Agnatami i pochodzili z rodu, który kilka razy łączył się dzięki małżeństwom z Akaranami. Hephron mógł więc się wykazać królewskim rodowodem. Właściwie mógłby policzyć kroki dzielące go od tronu na palcach obu rąk. Szedł otoczony grupką swoich zwolenników; pozycja, jaką zajmowali w jego cieniu, była lepsza od tej, jaką każdy z nich mógłby zdobyć na własną rękę.

Hephron skłonił się królewiczowi. Jego towarzysze poszli za jego przykładem z bardziej szczerym szacunkiem.

– Gotów jesteś, królewiczu, do walki z duchami? – zapytał.

Aliver natychmiast zrozumiał przytyk Hephrona i poczuł zawarty w nim jad. Osobliwością szkolenia królewskiego syna było to, że po początkowym wykładzie i pokazach drogi Alivera oraz pozostałych chłopców rozchodziły się. Oni dzielili się na pary i atakowali się nawzajem szablami owiniętymi grubą warstwą materiału, czasami zaś drewnianą odmianą tej broni. Nie miała ostrej klingi, ale i tak można nią było boleśnie uderzyć albo dźgnąć, a nawet złamać kość, jeśli potrafiło się nią dobrze władać. Aliver natomiast trenował tylko z instruktorem, który pracował z nim nad kolejnymi klasycznymi formami. Nauczyciel był wyczulony na najmniejsze szczegóły postawy ucznia, jego oddech, pozycję głowy czy nawet spojrzenie. Fechtowali drewnianymi szablami, poruszając się w zwolnionym tempie i z niezwykłą precyzją. Aliver uważał, że jest szczególnie uprzywilejowanym w tego rodzaju walce. Jego szkolenie cechowało się czystością, która zawsze będzie go wyróżniała spośród innych. Był to dar godny pozazdrosczenia. Uważał tak aż do chwili, gdy Hephron nie podważył wszystkiego jednym pytaniem.

– Z duchami? – powtórzył Aliver. – Nie wierzę w duchy, Hephronie. Jestem za to głęboko przekonany, że instruktorzy wiedzą, w jaki sposób najlepiej wyszkolić następnego

króla narodu.

– Tak, zapewne – odparł chłopak. – Jak zwykle masz rację.

Odwrócił się do swoich towarzyszy i powiedział coś, czego Aliver nie dosłyszał, po czym grupka oddaliła się z pomrukami rozbawienia.

Przez następne kilka godzin Aliver starał się zapomnieć o Hephronie. Lekcje zaczynały się od wykładu. Tego dnia wygłaszał go drugi instruktor, Edvar, mężczyzna o byczym karku i mieszanym pochodzeniu; jego masywny tors świadczył o candoviadzkich przodkach. Mówił o metodzie miękkiego bloku szablą, technice obronnej, w której parowało się ataki przeciwnika przy użyciu minimum siły. Wyjaśnił, że manewr jest cenny, ponieważ można dzięki niemu wykorzystać energię nieprzyjaciela do zapoczątkowania własnego posunięcia z przewagą siły, zanim oponent odzyska swoją. Kiedy miało się przed sobą długą walkę, tak jak Gerta, gdy się zmagał z bliźniakami Talackiem i Tullusem oraz ich trzema wilczarzami, ta metoda pozwalała zaoszczędzić siły.

Po wykładzie uczniowie podzielili się, by ćwiczyć formy. Były to układy wywodzące się z prastarych rekonstrukcji sekwencji ruchów wykonanych przez daną osobę w jakiejś dawnej bitwie. Pierwszą formą były ruchy Edifusa pod Carni, kiedy w pojedynkę walczył z jakimś plemiennym przywódcą. Drugą – ruchy Aliss z Aushenii, która zabiła Szaleńca z Careven, mając jedynie krótką szablę. Była to wyjątkowa forma, ponieważ sami Aushenianie nie czcili Aliss tak bardzo jak Akacjanie. W istocie Szaleniec z Careven był dla Aushenian większym bohaterem, ponieważ walczył w obronie ich starej religii przeciwko świeckiemu ruchowi, za którym opowiadała się Aliss. Trzecia była forma rycerza Bethenria, który poszedł do bitwy z widłami diabła, krótką bronią podobną do sztyletu z długimi zębami umieszczonymi po obu stronach klingi. Wprawni wojownicy umieli nimi łamać szable przeciwników.

Potem następowały inne formy, każda bardziej skomplikowana od poprzedniej, aż do dziesiątej, najtrudniejszej, formy Telamathona przeciwko Pięciu Uczniom boga Reelosa. Aliver miał wątpliwości, czy Telamathon, Pięciu Uczniów albo bóg Reelos kiedykolwiek istnieli, lecz nie mógł się doczekać, kiedy nauczy się tej formy. Wiedział, że spora jej część opisuje walkę Telamathona bez broni i ze zwichniętym ramieniem. Nawet mimo takiej kontuzji udało mu się pokonać przeciwników, wirując i powalając ich kopniakami.

Inni uczniowie ćwiczyli czwartą formę. Aliver, zgodnie z tradycją, pracował nad piątą, ucząc się metody, dzięki której kapłan Adavala zaatakował dwudziestu wilczogłowych strażników buntowniczego kultu Andara. Królewicz dopiero zaczął nad nią pracę. Przez większą część lekcji stał z brzoźowym kijem w ręku, słuchając i starając się wyobrazić sobie

scenę szczegółowo opisywaną przez instruktora. Jak zwykle forma przedstawiała niesamowite zwycięstwo – stary kapłan rozbijał czaszkę za czaszką, mając jako broń tylko młode drzewko.

Aliver czasami czuł na sobie spojrzenia innych. Kiedy indziej sam mimowolnie zerkał na rozstawionych między kolumnami uczniów; było ich wszystkich niemal stu, podzielonych na pary, poruszających się w szermierczym balecie. Co pewien czas któryś z chłopców zadawał partnerowi zwycięski cios. Dzięki owiniętym materiałem szablom była to niemal przyjemność, powód do śmiechu, składania przysięg i obietnic zemsty. Gorzej było, kiedy twarda szabla z jesionu ugodziła kogoś w udo albo trafiła w nieosłonięte żebra. Aliver nigdy nie padał ofiarą takich starć i za każdym razem, kiedy ktoś krzyknął z bólu, miał świadomość jego cierpienia.

Kiedy kończyły się zajęcia, uczniowie musieli odłożyć broń na miejsce. Chociaż byli uprzywilejowanymi synami i córkami, powinni się nauczyć szacunku dla narzędzi wojny. Aliver, znów znalazłszy się wśród innych, ze wszystkich sił starał się rzucać swobodne komentarze, docinki i żarty właściwe chłopcom w jego wieku. Lecz to, co innym przychodziło najwyraźniej bez wysiłku, od niego wymagało takiego samego skupienia jak podczas ćwiczeń.

Z ulgą wciągnął wysokie buty z miękkiej skóry, wstał z podłogi i zebrał treningową kamizelkę oraz pantofle. Kiedy mijał grupkę chłopców przy wyjściu, usłyszał, jak Hephron zwraca się półgłosem do stojącego obok młodzieńca – lecz na tyle głośno, by usłyszał go królewicz.

– Zastanawiam się, jak można przegrać albo wygrać, skoro walczy się tylko z powietrzem? To dziwne, że niektórzy z nas są oceniani, a inni wcale.

Wyjście na korytarz znajdowało się w odległości kilku kroków. Aliver mógł się znaleźć poza salą w parę sekund. Obrócił się na pięcie.

– Co powiedziałeś?

– Och, nic ważnego, królewiczu. Nic ważnego...

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz to.

– Po prostu ci zazdroszczę – rzekł Hephron. – Szkolisz się w walce szablą, ale nigdy nie obrywasz po głowie jak reszta z nas.

– Chciałbyś więc może fechtować się ze mną? Jeśli uważasz, że moje szkolenie jest niepełne...

– Nie. Oczywiście, że nie... – W głosie Hephrona pojawiła się nuta niepewności. Zerknął na towarzyszy, sprawdzając, czy się nie zagalopował, czy może powinien naciskać

dalej. – Nie chciałbym posiniaczyć królewskiego ciała. Twój ojciec mógłby za to zażądać mojej głowy.

– Mój ojciec nie chce niczyjej głowy. I skąd wiesz, że uda ci się mnie dotknąć, a co dopiero posiniaczyć?

Hephron zrobił smutną minę.

– Nie musimy tego robić – powiedział. – Nie chciałem cię urazić. Twoje szkolenie słusznie różni się od naszego. I tak nigdy nie będziesz musiał walczyć w prawdziwej bitwie. Wszyscy to wiemy.

Mimo że Hephron wypowiedział to uprzejmym tonem, Aliver potraktował jego słowa jako szyderstwo, zniewagę. Ruszył w stronę stojaka ze sprzętem.

– Będziemy się fechtować tak, jak robisz to z innymi, drewnianymi szablami. Nie powstrzymuj się. Dotknij mnie, jeśli zdołasz. Masz moje słowo, że mnie nie obrazisz.

Kilka chwil później obaj młodzieńcy stanęli naprzeciwko siebie w milczącym kręgu utworzonym przez pozostałych uczniów, z których wielu zerkało przez ramię, obawiając się, że może wrócić któryś z instruktorów. Hephron miał zwodniczy styl walki. Niczego nie robił w wyraźnym i przewidywalnym rytmie. Zmieniał tempo, a nawet kierunek ciosu, w połowie ruchu. Przez pewien czas wykonywał zasłony w jeden określony sposób, z luźnym nadgarstkiem, zataczając szablą szerokie łuki. I kiedy Aliver zaczynał przewidywać jego ruchy i czuć się niemal swobodnie, Hephron wszystko zmieniał. Obniżał pozycję ciała o kilka centymetrów. Cios zamieniał niemal w pchnięcie. Opadająca ręka nagle zadawała je tak szybko, że wydawało się, że oba te odmienne ruchy nie mają ze sobą nic wspólnego, że jeden nie jest dla drugiego ani wstępem, ani skutkiem.

Przez jakiś czas Aliverowi udawało się odpyierać ataki, nie będąc trafionym. Robił to nieco bardziej gorączkowo, niżby sobie życzył, szybkimi szarpnięciami, niezdarnymi ruchami stóp i ostrymi skrętami tułowia, dzięki którym ledwie trzymał się poza zasięgiem broni Hephrona. Jesionowa szabla dość dobrze leżała mu w dłoniach, lecz Aliver rzadko znajdował moment, by zadać agresywny cios. Cały czas się bronił. Nie mógł wpaść w znajomą, wyuczoną sekwencję ruchów. Uparł się na dwunastą część pierwszej formy, w której mógłby wymknąć się spod zamasytego ciosu z lewej, postąpić do przodu i zablokować nieuniknione uderzenie powrotne, zepchnąć klingę przeciwnika w dół i na prawo, tnąc poniżej kolan, a potem ukośnie w górę, aby trafić go w prawy bok. Takim cięciem Edifusowi udało się rozlać wnętrzności wroga, który znieruchomiał na wystarczająco długą chwilę, by ściąć mu głowę; był to doprawdy teatralny gest, lecz Aliver często go sobie wyobrażał.

Trzykrotnie rozpoczął tę sekwencję, lecz za każdym razem Hephron się z niej

wycofywał i zmieniał formę ataku. Za ostatnim razem zrobił to z taką szybkością, że Aliver ledwie zrobił unik pod szerokim zamachem szabli, która musnęła mu czubek głowy. Gdyby przyjął to uderzenie, mógłby stracić przytomność. Żaden instruktor nigdy tak na niego nie natarł. Usłyszał czyjś drwiący komentarz i cichy chichot. Uświadomił sobie, w jakim milczeniu trwają pozostali uczniowie; jedynymi dźwiękami rozlegającymi się w sali było szuranie ich pantofli po płytkach posadzki, stęknienia walczących i suchy trzask uderzających o siebie drewnianych kling.

Aliver wciąż się cofał; z trudem parował ciosy Hephrona, bo wciąż brakowało mu miejsca. Spodziewał się napotkać za sobą mur młodzieńców, lecz oni przemieszczali się razem z nim, nie rozrywając kręgu. Raz nawet go otworzyli, kiedy walczący znaleźli się przy filarze. Aliver uderzył stopą o jego granitową podstawę. Opuścił do połowy szablę, myśląc, że to wystarczający powód do zrobienia przerwy. Dostrzegł możliwość zakończenia tego ćwiczenia bez żadnej ujmy dla nikogo. Lecz Hephron zamachnął się; jego klinga śmignęła poniżej podbródka Alivera i trafiła w kamienny słup.

Królewicz zachwiał się i potknął. Podparł się wolną ręką i obrócił na niej. Kiedy znów się wyprostował, przypomniał sobie gniew, który to wszystko wywołał. Hephron, arogancki dureń! Wydawało się absurdem, że mógłby zadać taki cios, jakby chciał zmiażdżyć Aliverowi tchawicę. Kątem oka zauważył Melia, w tej chwili znajdującego się po przeciwnej stronie kręgu. Na jego twarzy malowała się troska. To też rozzłościło Alivera. Nie chciał współczucia. Uniósł szablę nad głowę i z wściekłością ciał w dół.

Ale Hephron to przewidział. Odsunął się nieco z linii opadającej szabli i zadał królewiczowi szybki cios w ramię. Następnie obrócił się i trafił Alivera – który zamarł z bólu – w zgięcie łokcia drugiej ręki z taką siłą, że gdyby miał prawdziwą szablę, gładko by ją przepołowił. Aliver krzyknął, lecz Hephron jeszcze nie skończył. Przyciągnął szablę do piersi i całym ciężarem rzucił się do przodu, wyciągając przed siebie ręce tak, że tępy drewniany czubek broni uderzył Alivera w środek piersi. Sparaliżowany bólem, królewicz zachwiał się i padł na matę.

Uśmiech Hephrona rozjaśnił mu twarz.

– Zostałeś rozbrojony, panie. Nie mówiąc o tym, że jesteś martwy. Jaki dziwny wynik. Któżby się tego domyślił?

Chwilę później Aliver zerwał się na nogi, purpurowy na twarzy i zły, lecz bardziej na siebie niż na Hephrona. Poniżył się, reagując na jego drwiny, rzucając mu wyzwanie i przegrywając z kretesem, a także – co najgorsze – pokazując wszystkim swoją irytację. Poza tym wiedział, że całą tajemnicę jego ewentualnych umiejętności rozwiąło kilka uderzeń.

Widział, że wszyscy otaczają teraz Hephrona, poklepują go, chwają, śmieją się z wymuszanego królewicza. Jak będzie mógł tu kiedykolwiek wrócić i ćwiczyć, kiedy wszyscy będą go pogardliwie obserwować kątem oka?

Melio dogonił go, kiedy pędził w górę po schodach.

– Aliverze! – zawołał. – Zaczekaj.

Dwa razy dotknął łokcia królewicza i dwa razy jego dłoń została odtrącona. U szczytu schodów Melio wyskoczył przed Alivera, objął go i zmusił do zatrzymania się.

– Daj spokój. Za bardzo się tym przejmujesz. Nie warto. Hephron jest zerem.

– Zerem? – zapytał Aliver. – Zerem? Jeśli jest zerem, to kim jestem ja?

– Synem króla. Nie odchodź, Aliverze. I nie lituj się nad sobą. Sądzisz, że ta drobna potyczka ma jakieś znaczenie? Powiem ci coś. – Melio cofnął się nieco, lecz w dalszym ciągu trzymał dłonie na ramionach królewicza. – Dobrze, prawda jest taka, że nie dorównujesz Hephronowi. Jest dobry. Nie, zaczekaj! Nie gryź się tym. Aliverze, on ci wszystkiego zazdrości. Nie wiesz o tym? Jego pewność siebie jest udawana. W gruncie rzeczy chciałby być tobą. Nigdy nie spuszcza z ciebie wzroku. Słucha wszystkiego, co mówisz albo co się mówi o tobie. Na lekcjach, kiedy siedzi z tyłu klasy, wpatruje się w tył twojej głowy, jakby chciał się w nią wwiercić.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że Hephron jest małym człowiekiem. Wie o tym i ci zazdrości. Jesteś królewiczem i masz cudowną rodzinę. Twoja siostra jest piękna... Dobra, żartuję. To prawda, ale żartuję. Hephron może się stać albo twoim wrogiem, albo wielkim przyjacielem. Na razie jednak nie pozwól mu tryumfować. Zapomnij o tym. – Melio machnął ręką. – Przyjdź jutro jakby nic się nie stało. Żartuj sobie z tego. Daj mu do zrozumienia, że drobne przykrości, jakie może ci wyrządzić, spływają po tobie jak błoto z butów.

Z nadejściem zmierzchu ochłodziło się. Melio cofnął dłonie i roztań nagie ramiona. Aliver odwrócił wzrok i zapatrzył się na kwadrat nieba o lilaróżowej barwie ograniczony cieniami dwóch budynków. Przemknęły przez niego sylwetki trzech ptaków niczym ścigające się groty strzał.

– Tylko że wychodzę na takiego głupca – powiedział Aliver. – Jestem wściekły, że do tego dopuściłem. Że to... sprowokowałem. Nie wiesz, co to dla mnie znaczy.

Melio nie zaoponował. Po długiej chwili obaj powoli ruszyli w górę następnego odcinka schodów.

– Każdy od czasu do czasu zostaje pokonany w pojedynku i wszyscy tam na dole to wiedzą. Lecz jak wielu z nich potrafiłoby... – Szukał słów, którymi mógłby wyrazić to

delikatnie. – Jak wielu z nich potrafiłoby postawić się w tak żenującej sytuacji jak ty i znaleźć odwagę, by się z tego otrząsnąć? To sposób na okazanie siły, bez względu na to, czy kiedykolwiek przyznają, że to zauważyli, czy nie. I nie dąsaj się. Taka mina ci nie przystoi. Aliverze, ty doskonale władasz szablą. A twoje tradycyjne formy są lepsze od naszych. Tyle że ty znasz tylko formy. W prawdziwej szermierce chodzi o modyfikowanie ich, łączenie, błyskawiczne wymyślanie niesłychanych kombinacji. Trzeba sprawić, by wypływały jedna z drugiej tak szybko, aby działo się to poza świadomością. Tak jak kiedy zrzuci się nóż ze stołu i udaje się go złapać, zanim spadnie na ziemię. Nie można o tym myśleć; to się po prostu dzieje. I wtedy w czasie walki ma się wolny umysł, żeby zajmować się innymi sprawami – na przykład jak uderzyć drania z dołu w jaja.

– Jakim cudem jesteś taki mądry? – burknął Aliver.

Melio stanął na ostatnim stopniu i odwrócił się do niego z szerokim uśmiechem.

– Przeczytałem o tym w podręczniku. Znam też sporo poezji. Dziewczyny to lubią. Posłuchaj, będziemy się czasem fechtować. Nie odpuszczę ci oczywiście, ale będziemy nawzajem się uczyć. Możemy popracować nad czwartą formą, tak jak proponowałeś. Możemy się wiele od siebie nauczyć. Co ty na to?

– Zobaczymy – odparł Aliver, mimo że już znał prawdziwą odpowiedź.

Tylko nie był gotów udzielić jej tak po prostu.

ROZDZIAŁ 5

Nie chodziło o pogłoski o swobodnie grasującej armii. Ani o raport o zniszczeniu Vedus. To były przesadzone opowieści, które generał Leeka Alain słusznie ignorował już wcześniej. Tym razem było inaczej. Gdzieś na białej przestrzeni Meinu zaginął cały patrol. Tego nie dało się tak łatwo wytłumaczyć. Tam naprawdę coś się działo. Generał nie mógł spać, jeść ani myśleć o niczym innym niż o cieniach kryjących się za niesioną wichrem bielą. Wysłał już do króla wiadomość na temat znanych mu faktów, lecz wiedział, że nie może czekać na odpowiedź. Postanowił podjąć dostępne mu działania.

Leeka wyrwał swoją armię z ciepłej, przytulnej fortecy Cathgergen i poprowadził ją w padające ukośnie światło północnej zimy, przez zlodowaciałą pokrywę Płaskowyżu Mein. Przy jego wschodnim skraju leżał olbrzymi obszar tundry zwany Pustkowiami, falujący i nierówny, pozbawiony drzew zarówno z powodu smagających go wiatrów, jak i prowadzonego przed wiekami wyřębu lasów. Podróżowanie po tych okolicach było trudne nawet w najbardziej sprzyjających warunkach. W środku zimy było szczególnie niebezpieczne. Szlak przed armią przecierały psie zaprzęgi, wiozące na saniach większość obozowego dobytku i żywności, wystarczającej dla utrzymania przy życiu tych pięciuset ludzi przez co najmniej sześć tygodni. Żołnierze szli pieszo w wysokich, grubych butach, okutani w wełniane ubrania chronione na wierzchu warstwą grubej skóry, z bronią przymocowaną do ciała, by nie utrudniała ruchów. Dłonie chroniły im rękawice z jednym palcem, uszyte z króliczych skórek.

Do placówki w Hardith dotarli bez problemów. Rozłożyli się obozem wokół ziemnych umocnień na dwa dni. Sprawili tym wielką przyjemność stacjonującym tam żołnierzom, których oficjalnym obowiązkiem było nadzorowanie ruchu na drodze, lecz tak naprawdę najcięższą walkę toczyli o codzienne przetrwanie w całkowitej izolacji. Placówka ta wyznaczała zachodni skraj Pustkowi. Dalej na zachód teren opadał ciągiem szerokich, płytkich zagłębień, w których ocalały fragmenty jodłowych puszczy.

Po trzech dniach od opuszczenia Hardith z północy przysłała zamieć i zaatakowała armię. Rzuciła się na nią niczym rosomak, przygniotła do ziemi i usiłowała rozedrzeć na strzępy. Żołnierze zgubili drogę i spędzili cały dzień na bezskutecznych próbach jej odnalezienia. Śnieg utworzył wysokie, kręte zaspę, które uniemożliwiały orientację w terenie.

Nie widzieli słońca, a nocą żadnych gwiazd. Leeka polecił swoim ludziom, by posuwali się naprzód, stosując nawigację zliczeniową. Było to nużące zadanie, które sprawiało, że większość armii długo tkwiła w miejscu, co w takich warunkach nigdy nie jest korzystne.

Co wieczór generał starał się wybierać miejsce na obozowisko w pobliżu jakiejś naturalnej osłony, łańcucha wzgórz czy kępy drzew. Żołnierze rąbali drewno na opał i budowali wiatrochrony. Kiedy ogniska już dobrze się rozpały, wciągali w płomienie całe drzewa. Stawali wokół nich z zaczerwienionymi, ociekającymi potem twarzami i oczyma piekącymi od dymu, a za ich plecami wył wiatr. Bez względu na to, jak wielkim płomieniem paliło się ognisko wczesnym wieczorem, przez noc ogień niezmiennie przygasał, a wicher roznosił po śnieżnych połaciach popiół i zwęglone kawałki drewna. Co rano żołnierze przebijali się przez skorupę zamarzniętego śniegu, a potem całymi godzinami szukali się wzajemnie pod zaspami, odkopywali się i zaprzęgali psy.

Dwudziestego drugiego dnia obudzili się w straszliwej wichurze, którą przygnało z północy. Kryształki lodu pędziły poziomo i uderzały w skórę jak kawałeczki szkła. Ledwie oddalili się od obozu, kiedy do głównej kolumny wrócił chwiejnym krokiem jeden ze zwiadowców i zażądał rozmowy z generałem. Właściwie nie miał do zameldowania nic konkretnego. Teren rozciągający się przed armią był płaski jak okiem sięgnąć. Zwiadowca oceniał, że będzie on stopniowo się wznosił, aż w końcu doprowadzi ich do Tahalian. Lecz coś go dręczyło. W powietrzu rozchodził się jakiś dźwięk. Usłyszał go tylko dlatego, że był sam, z dala od hałasu poruszającej się armii i sań. Kiedy mijał po drodze psy, widział, że one też go słyszą i są zaniepokojone.

Generał przybliżył usta do ucha mężczyzny, by wiatr nie porwał jego słów.

– Jaki to dźwięk?

Zwiadowca najwyraźniej bał się tego pytania.

– Jak oddech.

Leeka uśmiechnął się szyderczo.

– Oddech? Oszalałeś. Odgłos oddechu podczas takiej pogody? Musiałeś się przesłyszeć.

Generał sięgnął do głowy żołnierza i usiłował zedrzeć z niej kaptur, jakby chciał obejrzeć jego uszy. Zwiadowca nie oponował, niezadowolony ze swojej odpowiedzi.

– Albo jak bicie serca. Nie jestem pewien, panie. On po prostu jest.

Generał niczym nie okazał, że uważa tę wiadomość za szczególnie ważną, lecz jakiś czas potem oddalił się od swoich oficerów, by pomyśleć. Nawet jeśli opowieść zwiadowcy była tylko rezultatem nękającej go choroby, i tak świadczyła o zagrożeniu. Zwiadowcy badają

nie tylko ukształtowanie terenu. Może należy się zatrzymać albo cofnąć po własnych śladach do ostatniego obozu, gdzie wciąż jest wystarczająco dużo drewna na opał. Mogliby tam przeczekać zamiecie, a nawet w razie konieczności naruszyć rezerwy żywności. Przecież są już w pobliżu Tahalian. Nawet jeśli Hanish Mein coś knuje, i tak będzie musiał ich powitać z udawaną uprzejmością...

Usłyszał po raz pierwszy ten dźwięk – jeśli „usłyszał” to odpowiednie słowo – tylko dlatego, że stał na obrzeżu kolumny. Hałas wywoływany przez oddział żołnierzy, odgłosy ich kroków i skrzypienie mijających generała sań sprawiały, że tak naprawdę poczuł ten dźwięk, jakby jego żebra wychwyciły powolną wibrację i zwielokrotniły ją w klatce piersiowej. Oddalił się o kilka kroków od kolumny i przyklęknął. Jeden z oficerów zawołał coś do niego, lecz Leeka wyciągnął w górę zaciśniętą pięść i żołnierz zamilkł. Generał starał się poczuć uwięziony w sobie dźwięk, odciąć się od wycia wiatru i szelestu kaptura ocierającego mu się o głowę. Kiedy już wszystko wyciszył, znalazł to, czego szukał. Było słabe, owszem, lecz niezaprzeczalne. Jak oddech, to prawda. Jak bicie serca... Zwiadowca nie kłamał. Dźwięk miał rytm, pulsujące tempo...

Wrócił biegiem do żołnierzy i krzyknął, by się ustawili, zwarli szyk, wzniesli skierowane na zewnątrz tarcze i mieli broń pod ręką. Poleciał łucznikom schować strzały do kołczanów i dobyć szabli, nieczułych na wiatr i bardziej odpowiednich do walki wręcz. Kazał saniom zawrócić, wjechać między żołnierzy i zebrać psy w jednym miejscu. Ten sam oficer, który do niego przedtem coś wołał, zapytał teraz, co takiego odkrył. Generał spojrzał młodzieńcowi w oczy i dał prostą odpowiedź:

– Słyszać bicie w bęben wojenny.

Kiedy armia uformowała się w obronny klin i pięćset par oczu zaczęło wpatrywać się w coraz bardziej rozszalałą wściekłość północy, w końcu wszyscy to usłyszeli. Dźwięk pulsował nieustannie w tle wycia wiatru, który teraz niósł już ze sobą duże płatki śniegu przylepiające się do ubrań, tarcz, futrzanych oblamowań, a w końcu nawet do chłodnych twarzy żołnierzy, upodabniając ich nieruchome postacie do starannie wykonanych rzeźb ze śniegu. W pewnym momencie odgłos bębna zlał się z biciem serca generała. Dlatego stracił oddech, zaskoczony, kiedy dźwięk ustał. Po prostu umilkł. W następnej chwili Leeka zrozumiał, że popełnił błąd. Ten bęben dudnił nie od kilku godzin, lecz od kilku dni. Może nawet od wielu tygodni. Jak coś takiego mogło mu umknąć?

Nie dane mu jednak było długo zastanawiać się nad tym pytaniem. Przez ścianę miecionego wiatrem śniegu przedarł się jakiś stwór. Parł szaleńczo do przodu, rogaty, kudłaty i ogromny, a na nim siedział okrakiem człowiek odziany w skóry i futra, z włócznią w

uniesionej ręce, i coś wrzeszczał. Zwierz wpadł między szeregi żołnierzy stojących tuż obok gwardii generała i przedarł się przez nie. Miażdżył i odrzucał ludzi na bok, ani trochę nie zwalniając i nie zmieniając kierunku. Zniknął po drugiej stronie kolumny równie szybko, jak się pojawił. W ciągu kilku sekund, jakie miał generał na przyjrzenie się tej scenie, naliczył dziesięciu zabitych i dwa razy tylu wijących się na spryskanym krwią śniegu.

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu; obrócił się i zobaczył to, o czym już wiedział – że jeździec nie jest sam. Pozostali pojawili się jednocześnie, jakby śnieg zrzędniał, by Leeka miał lepszy widok. Było ich mnóstwo, obca masa, jakiej nie widział nigdy przedtem. Obawiał się, że ta groza będzie ostatnią rzeczą, jaką ujrzy za życia, i wiedział, że nawet jeśli jego wiadomość dotrze do celu, to nie uda mu się w odpowiedni sposób ostrzec króla ani mieszkańców imperium przed straszliwym niebezpieczeństwem, jakie ku nim zmierza.

ROZDZIAŁ 6

Późnym wieczorem Leodan Akaran usłyszał, jak ktoś wchodzi do jego osobistej komnaty. Nie uniósł głowy, lecz wiedział, kto to taki. Kroki kanclerza miały niepowtarzalny rytm, którego przyczynę król dawno temu wykrył: sztywna prawa noga Thaddeusa. Służący właśnie rozpalil królowi fajkę z mgłą i wyszedł. W tej chwili jedyną ważną rzeczą był gryzący zapach narkotyku. Przez cały dzień pod powierzchnią królewskich myśli kryła się zjawia, glód. Wyobrażał go sobie jako istotę podobną do nietoperza, która przywarła mu do czaszki i ostrymi, cienkimi jak zakrzywione igły szponami przebija skórę, by chwycić się kości. Dręczyła go podczas porannych spotkań; dała przez chwilę odpocząć w czasie godziny spędzonej z Corinn; lecz wieczorem wróciła z jeszcze bardziej zaostrzonymi szponami. Wbijała je w niego, kiedy jadł kolację, i dręczyła go, kiedy układał Dariela do snu.

Kiedy syn poprosił go o opowieść, Leodan się skrzywił. Natychmiast pożałował tego grymasu. Chłopiec nawet go nie widział, lecz Leodanowi było wstyd, że, będąc w towarzystwie swoich dzieci, potrafi myśleć tylko o własnych przyjemnościach. A co by się z nim stało bez dzieci? Bez Meny, która wciąż – może jeszcze przez kilka cennych miesięcy – chce, by jej opowiadał różne historyjki? I bez Dariela, chłonego każde jego słowo z ufnością, którą, jak wiedział Leodan, zniszczy czas? Bez nich byłby pustą skorupą. Powinien się wstydzic, że je zaniedbuje. Opowiedział Darielowi historyjkę, a potem jeszcze przez kilka chwil stał pod drzwiami chłopca, słuchając jego spokojnego oddechu i żalując własnej słabości.

Wszystko to wydarzyło się wcześniej i jego nieprzekonująca pokuta dobiegła końca. Teraz na niskim stoliku tkwiła przed nim fajka. Była to skomplikowana plątanina wypełnionych wodą zbiorniczków oraz szklanych i skórzanych rurek – jedną z nich król trzymał opuszkami palców obu dłoni. Jej zwężony koniec wsunął między zęby i dotknął językiem. Najpierw zaciągnął się delikatnie. A potem – kiedy poczuł gorzką, jakby zgniłą słodycz mgły – mocniej, aż fajka zabalgotala. Król nadal się pochylał, z zamkniętymi oczyma, świadom, że w pobliżu stoi kanclerz. To nic. Dla Thaddeusa to nic nowego.

Kiedy z powrotem opadł na poduszki leżanki, wypuścił wolno z ust kłęb zielonego oparu. Stwór trzymający się jego czaszki wyciągał z niej po kolei swoje pazury. Rozpłynął się w nicość, zabierając ze sobą szary ciężar, który Leodan dźwigał przez cały dzień niczym

granitowy płaszcz. Narkotyk wyglądał krawędzie świata. Król nie czuł już żadnych zadziorów. Zamiast tego przepęłniał go spokój, poczucie więzi z milionami ludzi w całym jego imperium przywiązanych do tego samego narkotyku. Chłopi i kowale, miejscy strażnicy i śmieciarze, górnicy, handlarze niewolników – w tej jednej sprawie był taki sam, jak oni wszyscy. Była to – według jego otepiałego umysłu – tajna ofiara złożona za ich wybaczenie.

Otworzył oczy, zamglone i poznaczone czerwonawobrazowymi żyłkami.

– Jakimi wieściami pragnie się podzielić ze mną mój kanclerz?

Thaddeus usiadł na sąsiedniej sofie. Założył nogę na nogę, w prawej dłoni trzymał kieliszek mocnego wina. Król wpatrywał się w naczynie, zafascynowany płynem omywającym szkło obracane w palcach. Słuchał sprawozdania kanclerza z przygotowań do przyjęcia aushenijskiej delegacji. Thaddeus mówił, że zaimponują cudzoziemcom siłą i bogactwem oraz że ostrożnie wyciągną do nich dłoń. Jeśli Aushenianie potwierdzą, że uznają akacjańską hegemonię, będzie można, jeśli takie jest życzenie króla, udzielić im pozytywnej odpowiedzi.

Leodan skinął głową. Takie było jego życzenie, lecz wiedział, że już kilkakrotnie sojusze Aushenii z Akacją były torpedowane przez jakieś drobne spory. Wszystko, co do tej pory słyszał o młodym księciu Igguldanie, było obiecujące, lecz nadal o pewnych aspektach takiego sojuszu nie chciał myśleć. Zmienił temat, chociaż myślami nie odbiegł daleko od niepokojących go problemów.

– Mena pytała mnie o Karę.

– Co jej powiedziałaś?

– Nic. Po co ma się dowiedzieć, że w jej żyłach płynie krew ludobójców? To było dawno temu i już tacy nie jesteśmy.

– Masz rację, to było dawno temu – zgodził się Thaddeus. – Dwadzieścia dwa pokolenia... Jakie dziecko potrafi to pojąć?

Król przypomniał sobie, że kiedy Mena zadała to pytanie, dostrzegł w jej oczach niedowierzanie. Czyż nie był to dowód jej przenikliwości? Przecież po raz kolejny bezczelnie skłamał. Kara nie ma wpływu na nasze życie? Rażąca nieprawda wypowiedziana z niewinną miną. Jak długo jeszcze takie rzeczy będą mu uchodziły na sucho? Oczywiście nie tylko Mena zaczęła zadawać pytania. Od pewnego czasu w oczach Alivera widać było niepewność i nieufność, które mogły wybuchnąć w każdej chwili.

– Powinienem wspomnieć – rzekł kanclerz – że przewodniczący wezwał gubernatorów do pośredniczenia w oficjalnym sporze górników z Prios z...

– Muszę się tym zajmować? Nie znoszę wszystkiego, co dotyczy kopalń.

– Świetnie. Możemy zostawić to gubernatorom. Jest jednak coś, czym nie mogą się zająć. – Thaddeus zacisnął usta i zaczekał, aż król spojrzy mu w oczy. – Przedstawiciele ligi chcą potwierdzenia, że naprawdę zamierzasz odrzucić żądania Lothan Aklun zwiększenia Kontyngentu.

Te słowa nieomal zniweczyły otępiający wpływ narkotyku na umysł króla. Lothan Aklun... Umowa zwana Kontyngentem... Te dwie rzeczy były wielkim, skrywanym grzechem Imperium Akarańskiego. Leodan zaciągnął się dymem z fajki. Przez chwilę pragnął, by tą sprawą też się zajęli gubernatorzy. Tak naprawdę ci przedstawiciele prowincji, mający swoje siedziby w zatłoczonej Alesji, zajmowali się większością praktycznych spraw dotyczących imperium. Lecz Tinhadin, dawny król, który pod wieloma względami był głównym budowniczym Imperium Akarańskiego, jasno określił wytyczne Kontyngentu. Kontrola nad nim, zarządzanie, odpowiedzialność – wszystko to spoczywało na barkach monarchy; sekret ten znało wiele osób, lecz tylko on się nimi zajmował. Opłaty szły z osobnego funduszu i były oddzielnie księgowane. Mówiło się o tym wyłącznie w zamkniętych kręgach, a faktyczne przekazywanie Kontyngentu odbywało się z dala od królewskich oczu, chociaż często to sobie wyobrażał. Bez względu na to, jak uważnie wczytywał się w starożytne teksty, szczegóły osiągnięcia porozumienia wydawały się Leodanowi niejasne. Jego istotę można było jednak zrozumieć.

Kiedy Tinhadin odziedziczył po ojcu niedawno zdobyty tron, okazało się, że prowadzi wojny na kilku frontach. Przez Wojny Rozdziału, jak je nazywano, nastąpiły burzliwe, pełne napięcia czasy. Były sprzymierzeniec Tinhadina, Hauchmeinisch z Meinów, stał się teraz jego wrogiem. Sam król nie dowierzał już swoim wiernym czarnoksiężnikom Santoth. Bunty w prowincjach wybuchały niczym letnie pożary na akacjańskich wzgórzach. Jego własne rozumienie świata było wypaczone i przerażało go; walczył z przekonaniem, że każde wypowiedziane przez niego słowo może zmienić konstrukcję istnienia. On też był Santoth, największym z nich wszystkich, lecz kontrolowanie magii stało się dla niego torturą.

Do tego wszystkiego doszło nowe zagrożenie zza Szarych Zboczy. Tinhadin dowiedział się, że kryje się tam potęga większa od jego własnej. Byli to Lothan Aklun. Pochodzili z Innych Ziem, spoza Znanego Świata, oddzieleni od niego wielkim oceanem. Stanowili dla króla całkowitą zagadkę. Tak naprawdę pogłoski o ich potędze były przesadzone, lecz w tamtym czasie Tinhadin nie chciał mieć jeszcze jednego wroga. Złożył im więc propozycję zawarcia pokoju, proponując zamiast konfliktu handel i wzajemne korzyści, a Lothan Aklun nie tylko przyjęli tę propozycję z entuzjazmem, lecz także zasugerowali takie szczegóły, jakich Tinhadin nie umiałby sobie sam wyobrazić.

Ta umowa musiała się wówczas wydawać wielką okazją. Lothan Aklun obiecali nie atakować zniszczonego wojną kraju i zgodzili się handlować w przyszłości jedynie z Akaranami. W zamian należało jedynie raz w roku dostarczyć im dziecięcych niewolników bez zadawania żadnych pytań, bez stawiania żadnych warunków co do ich losu i bez możliwości powrotu tych dzieci na Akację. Za to Lothan Aklun zaproponowali Tinhadinowi mgłę, narzędzie, które wedle ich obietnic miało być wielce pomocne w uspokajaniu jego zrzędlivych podopiecznych. Od tego czasu setki tysięcy dzieci ze Znanego Świata dostały się do niewoli, a miliony ludzi żyjących pod rządami Akaranów zamieniło życie, pracę i marzenia na ulotne wizje sprowadzane przez mgłę. Przez ten sam narkotyk, który co noc wdychał Leodan Akaran. Taka była prawda o Akacji.

– Żądania? – zapytał w końcu Leodan. – Nazywasz to żądaniem?

– Tak, panie, to brzmi wojowniczo i buńczucznie.

– Wojowniczość Lothan Aklun to nic nowego... – stwierdził Leodan. – Już mają dusze mojego narodu. Czego więcej chcą? Lothan Aklun nie są lepsi od otaczającej nas hołoty: górników, kupców, samej ligi. Nikt z nich nie jest ani przez chwilę zadowolony. Może i nigdy nie widziałem żadnego z Lothan, ale dobrze ich znam. Powiedz lidze, żeby przekazali im taką wiadomość: Kontyngent pozostaje w niezmienionej wysokości. Umowa została zawarta przez moich poprzedników i jest wiążąca po wieczne czasy; nie akceptuję żadnych zmian, teraz ani kiedykolwiek indziej.

Powiedział to stanowczo, lecz chyba nie podobało mu się milczenie, z jakim Thaddeus przyjął jego słowa.

– Powinniśmy porozmawiać o czymś jeszcze – ciągnął Leodan. – Dziś rano otrzymałem list od Leeki Alaina z Północnej Straży. Kazał go wysłać do kupca w dolnym mieście, a on przekazał mi list przez służbę. To bardzo niezwykle.

– Tak, dość dziwne. – Thaddeus odchrząknął, najpierw cicho, a potem kilka razy głośniej. – Co ten żołnierz ma do powiedzenia?

– To był dziwny list, oszczędny w szczegółach. Pytał, czy przyjąłem wysłaną wcześniej posłanniczkę. Porucznik Scarę. Wyglądało na to, że miała jakąś ważną wiadomość.

Thaddeus obserwował króla.

– Otrzymałeś taką wiadomość?

– Znasz odpowiedź na to pytanie. Dotarłaby do mnie za twoim pośrednictwem.

– Oczywiście, ale ja nic o tym nie słyszałem. Czy Leeka wyjawiał w liście szczegóły tamtej wiadomości?

– Nie. On nie wierzy słowu pisanemu.

– I słusznie. Kiedy coś zostaje zapisane, każdy może to przeczytać.

Oczy króla poruszały się powoli, ociężale. Zatrzymał wzrok na kanclerzu, oszołomiony od narkotyku, lecz wciąż przytomny. Leodan miał spokojną twarz, lecz bruzdy na jego czole świadczyły o napięciu.

– Tak, możliwe... Zastanawiam się jednak, dlaczego postanowił korespondować ze mną, zamiast wykorzystać pośrednictwo gubernatora. Wiem, że nie przepada za Rialusem Neptosem; jeśli o to chodzi, to ja też nie. Wiesz, że kiedyś Rialus pisał do mnie co najmniej dwa razy w roku, wychwalając swoje zalety i dając do zrozumienia, że powinien zostać odwołany z Meinu i wyznaczony na jakieś wyższe stanowisko tu, w Akacji? Twierdził, że ma czysto akacjańskie pochodzenie i że klimat Meinu niszczy mu zdrowie. Nie będę się o to spierał, to naprawdę jest paskudne miejsce... W każdym razie Leeka chciał porozumieć się bezpośrednio ze mną i to budzi moją ciekawość. Gdzie jest ta Scara?

Thaddeus wzruszył ramionami.

– Nic nie wiem, lecz nawet w tych spokojnych czasach zdarzają się niedobre rzeczy. Jest środek zimy. Tutaj znaczy to niewiele, ale na płaskowyżu Meinu pogoda musi być okropna. Jak miała podróżować? Wierzchem czy rzeką Ask?

– Nie wiem.

– Zajmę się tym – powiedział Thaddeus. – Nie kłopotz się, dopóki nie zbadam sprawy. Wyślę na północ uzbrojony oddział, żeby się spotkał z Leeką. Za twoim zezwoleniem dam wysłannikom królewskie prawa, żeby mogli szybko podróżować i zawsze mieli świeże konie. Przywiozą nam wieści za miesiąc, może szybciej, jeśli poześlą do Aushenii i potem pojedą krótką drogą lądową. To potrwa najwyżej dwadzieścia pięć dni. I wtedy będziesz wiedział wszystko. – Thaddeus przerwał, czekając na reakcję króla. Był nią zaledwie pomruk aprobaty, lecz kanclerzowi najwyraźniej to wystarczyło. Napił się z kieliszka. – I wtedy zobaczysz, że nie było to nic poważnego. Leeka zawsze był pełen podejrzeń co do Meinów, ale kiedy okazały się one słuszne?

– Sytuacja się zmieniła – rzekł król. – Heberen Mein był rozsądnym człowiekiem, ale on umarł. Jego trzej synowie są zupełnie inni. Hanish jest ambitny; widziałem to w jego oczach, kiedy jako chłopiec odwiedził miasto. Maeander to chodząca złośliwość, a Thasren stanowi zagadkę. Mój ojciec był pewien, że nigdy nie będziemy mogli im zaufać. Kazał mi przyrzec, że nie ulegnę tej słabości – zaufaniu. Ty też mawiałeś, że zbyt mało się martwię. Razem obmyślaliśmy plany na wypadek różnych tragicznych wydarzeń, pamiętasz?

Thaddeus uśmiechnął się.

– Oczywiście. To moje zadanie. W młodości wszędzie widziałem zagrożenie. Lecz

Akacja nigdy nie była silniejsza niż teraz. Mówię poważnie, przyjacielu.

– Wiem, Thaddeusie. – Król skierował wzrok na sufit. – Wkrótce zabiorę dzieci w podróż. Odwiedzimy wszystkie prowincje imperium. Spróbuję przekonać ich mieszkańców, że jestem ich dobrotliwym królem, a oni spróbują przekonać mnie, że są moimi lojalnymi poddanymi. I może to złudzenie będzie trwało jeszcze przez jakiś czas. Co ty na to?

– Brzmi nieźle – zgodził się Thaddeus. – Sprawiliby to twoim dzieciom wielką przyjemność.

– Oczywiście towarzyszyłby nam też ich „wujek”. Kochają cię tak samo jak mnie, Thaddeusie.

Kanclerz odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– To dla mnie zbyt wielki zaszczyt.

Król przez jakiś czas obracał to stwierdzenie w głowie, znajdując w nim pociechę. Kiedyś powiedział coś podobnego do Aleery. Co to było? „Zbyt mocno mnie kochasz”. Tak powiedział. Dlaczego? Bo to była prawda, oczywiście. Wyjaśnił jej to pewnego wieczoru kilka dni przed ślubem. Wypił za dużo wina i wysłuchał zbyt wielu pochwalnych mów. Nie mógł już tego znieść, więc powiedział jej, że przed zawarciem małżeństwa powinna się o nim dowiedzieć kilku rzeczy. Wyznał jej wszystko, co wiedział o zbrodniach imperium, o tych dawnych i tych wciąż popełnianych w imieniu jego ojca, a także tych, które prawdopodobnie zawsze będą ciążyć na jego imieniu. Wyrzucił to z siebie płaczącym, żalonym, a chwilami wojowniczym głosem, pewien, że Aleera się od niego odsunie, mając niemal nadzieję, że odwróci się i go odrzuci. Dobra kobieta na pewno by tak postąpiła. A on nie miał wątpliwości co do jej dobroci.

Jej reakcja bardzo go więc zaskoczyła. Przysunęła się bliżej i uniosła ku niemu swoją śliczną twarz z wielkimi oczyma. Nie malowało się na niej zaskoczenie, wyrzuty sumienia czy osąd. Powiedziała wtedy: „Król jest najlepszym i najgorszym z ludzi. Oczywiście. Oczywiście”. I przyłgnęła wargami do jego ust tak żarliwie, że zaparło mu dech w piersi. Być może to w tej chwili tak naprawdę się pobrali, w chwili przypieczętowania umowy między nimi. Trudno mu było teraz określić, co najbardziej go w niej pociągało. Czy fakt, że mogła mu to wszystko wybaczyć i kochać go, ponieważ w głębi duszy jest dobrym człowiekiem? A może chodziło o to, że dała mu do zrozumienia, że tak samo jak on jest zdolna do omijania prawdy i życia w kłamstwie? Tak czy owak, wypowiedawszy się i otrzymawszy jej błogosławieństwo, pokochał ją bez zastrzeżeń. Nie potrafiłby pełnić roli monarchy bez jej wsparcia. Dla mężczyzny tak niepewnego władzy jak on jej oddanie okazało się wielkim darem.

– Może i tak, Thaddeusie – zgodził się Leodan. – Może to dla ciebie zbyt wielki zaszczyt. Wszyscy czasami popełniamy ten błąd. Lecz cóż w tym złego?

Nie usłyszał odpowiedzi kanclerza, jeśli Thaddeus w ogóle coś powiedział. Leodan zamknął oczy. Mgła urosła w nim, wypełniła go. Teraz nadeszła chwila opuszczenia świata fizycznego. Zawsze pojawiała się jako ucisk, jakby jego pierś spoczywała na kamieniu, a jakaś wielka siła stopniowo go w niego wciskała. Kiedy poczuł, że nie wytrzyma już tego ciężaru, zaczął przenikać przez kamień, zlewać się z nim i przeciekać przez niego, jakby kamień był porowaty, a on sam był cieczą. Po drugiej stronie czekała na niego Aleera; łaknął tego chwilowego złudzenia niemal bardziej niż prawdziwego życia. Poszedł do niej z czcią.

ROZDZIAŁ 7

Rialus Neptos sądził, że znalazł sposób na śledzenie, kto przybywa do północnej fortecy Cathgergen i kto ją opuszcza. Uważał, że taka wiedza jest dla gubernatora sprawą zasadniczą, a zwłaszcza dla gubernatora o tak niepewnej pozycji jak on. Rozkazał odlać w piecach położonych u fundamentów fortecy wielką tafłę szkła. Wybił część granitowej ściany w swoim gabinecie i osadził na jej miejscu szybę, tworząc ogromne okno. Było ono wyższe od człowieka i tak szerokie, że wyciągnąwszy ręce na boki, Rialus dotykał jego krawędzi. Wykonane było nie najlepiej. Miało w różnych miejscach różną grubość, obszary mlecznego zabarwienia i pełno pęcherzyków powietrza. Ale było też gdzieś gdzieś przejrzyste i po wielu godzinach oględzin gubernator odnalazł wszystkie te miejsca.

Kiedy był sam w swojej komnacie, przyciskał czoło do tafli szkła. Najczęściej dotyk sprawiał, że Rialusowi robiło się chłodno i nawiedzał go atak kaszlu; przypadłość ta wstrząsała jego drobną ptasią piersią przez całe życie. Nabrał nawet zwyczaju kładzenia się na podłodze. Pas szkła wzdłuż dolnej krawędzi pozwalał gubernatorowi swobodnie obserwować wejście do kwatery głównej, dzięki czemu wiedział, kto przybywa do świata Leeki Alaina i kto go opuszcza. Najlepszy widok miał stojąc na podnóżku i mrużąc jedno oko; wtedy widział cały zachodni mur i umieszczoną pośrodku bramę. Z tego miejsca patrzył, jak wbrew jego bezpośrednim rozkazom oddziały generała Alaina wymaszerowały z fortecy. Z tego samego miejsca obserwował kilka tygodni wcześniej przybycie drugiego z braci Meinów, Maeandera.

Rialus cofnął się od szyby. Znowu zrobiło mu się zimno. Fortecę ogrzewały parujące źródła gorącej wody. Skomplikowana sieć rur i kanałów wentylacyjnych rozprowadzała ciepło po całej labiryntowej budowli. Inżynierowie z Cathgergen twierdzili, że to cud rzemieślniczego kunsztu, lecz tak naprawdę nigdy nie było tu wystarczająco ciepło. Gubernator czasami podejrzewał, że jego komnaty były celowo pozbawione pełnego ogrzewania, ale nie umiał tego udowodnić.

Obszedł biurko i zaczął drugie okrażenie, lecz zaraz podszedł do regału zajmującego całą ścianę i powiódł palcem po grzbietach ksiąg, zakurzonych tomiskach pełnych zapisków, dokumentów rachunkowych oraz gubernatorskich dzienników, prowadzonych od początku nastania w satrapii akacjańskiej hegemonii. Jego ojciec traktował te papiery z szacunkiem.

Usiłował wpoić go swemu jedynemu synowi, lecz na próżno. Rialus należał zaledwie do drugiego pokolenia, które nadzorowało Meinów – wedle akacjańskich standardów nie było to długie urzędowanie. Po wygaśnięciu poprzedniej gubernatorskiej rodziny jego ojciec został wysłany na północ za jakieś przewinienie, którego Rialus już nawet nie pamiętał. W miarę upływu lat inni gubernatorzy zaczęli traktować rodzinę Neptosów z lekceważeniem. Akaranie niemal ją ignorowali. Rialusa irytowało, że ma w nieskończoność płacić za zbrodnię, której nikt nawet nie umiał nazwać. Dręczyło go, że świat nie docenia jego bystrego umysłu, uwięzionego w zdeformowanym ciele i wciąż zdradzanego przez własne szczęki, zaciskające się w niewłaściwych momentach. Gdyby inni zdołali tylko przymknąć oko na te powierzchowne ułomności, uświadomiliby sobie, że Rialus marnuje się na tym stanowisku.

Gubernator lubił mawiać, że Dawczyni nagradza godnych jej wyznawców, lecz jeszcze nie widział żadnego dowodu na to, że boskie siły w ogóle zauważyły jego istnienie. Po dziesięciu latach bycia pomijanym Rialus zrobił się bardzo podatny na intrygi. Starszy z braci Meinów szybko to wykorzystał. Hanish, przystojny i elokwentny mężczyzna, mówił z takim spokojem w szarych oczach, że po prostu trzeba było mu wierzyć. W jego ustach dziwny system wierzeń Meinów wcale nie wydawał się taki osobliwy. Hanish wyjaśnił, że świat żywych przemija, lecz moc Tunishnevre jest stała. Tunishnevre to siła życiowa wszystkich godnych mężczyzn jego rasy, którzy niegdyś żyli i oddychali, utrzymująca się poza ich śmiertelnymi ciałami. Namacalna energia ich wściekłości, dowód na to, że martwi mają większe znaczenie od żywych. Życie to przekleństwo rzucone na duszę przed jej wzniesieniem się na wyższy poziom. Tak jak ciało oddzielone od znajdującego się w nim ducha sprawia temu duchowi mnóstwo bólu, tak los żywych przynosi przodkom straszne cierpienia. Żywi przywiązują do siebie zmarłych i nieświadomie sprawiają, że ich życie po śmierci staje się ciężarem, podczas gdy powinno być słodkim spełnieniem życiowej podróży. Hanish twierdził, że przodkowie błagają go o złagodzenie tej tortury.

Kiedy gubernator zapytał, czego właściwie chcą Tunishnevre i jak można ich uwolnić od cierpienia, Hanish uściśnął go za ramię, jakby byli bliskimi towarzyszami. Umiał w jednej chwili zmienić najpoważniejszy nawet ton na zupełnie swobodny.

– Wiem, że nastąpią zmiany w porządku świata żywych. Do tego zadania się urodziłem. A ty, Rialusie Neptosie, jesteś przedstawicielem mojego wroga.

To też zostało powiedziane lekko, lecz kiedy Hanish wyliczył zbrodnie dokonywane przez akacjańską hegemonię, lista wydawała się długa i obrzydliwa. Jaki naród nie cierpiał pod rządami Akacji? Od białych ludzi północy po czarnych z południa, od wschodu po zachód, tak wiele narodów, dziesiątki ludzkich ras spotykały się z wielką

niesprawiedliwością. Pod jarzmem akacjańskiego „pokoju” żyły i umierały całe pokolenia, lecz Meinowie nie zapomnieli, kto jest ich wrogiem. Wreszcie Akacja ma takiego króla, że można na niego uderzyć. Hanish uważał bowiem Leodana za najsłabszego władcę z tego rodu. Wkrótce zacznie się nowy wiek, z nowym kalendarzem rozpoczynającym się od tego wielkiego dnia, z nowymi zasadami sprawiedliwości, z nowym podziałem bogactw, z przywilejami w rękach tych, którzy tak długo trudzili się dla zysku innych. Rialus musiał się zgodzić z większością stwierdzeń Hanisha. Przecież jemu było najłatwiej ocenić, jak bardzo Akacja wykorzystuje swoich sprzymierzeńców.

Rialus nawet nie pamiętał, kiedy bracia Meinowie okazali mu zaufanie, ale doskonale pamiętał niedowierzanie, z jakim przyjmował słowa Hanisha. Powiedział on, że jego sprzymierzeńcy z ligi są potężniejsi od Akaranów. Że są źli na Leodana, gdyż uważają, że król chce zaprzestać spłacania Kontyngentu i zakazać handlu mgłą. Dlatego też zdecydowali o jego losie. Zostanie usunięty i zastąpiony przez kogoś innego, kto będzie lepiej zaspokajać ich potrzeby. Hanish twierdził, że coś takiego zdarzyło się już dwukrotnie w dwudziestu dwóch pokoleniach po Tinhadinie, ale tym razem król nie zostanie usunięty po to, by jego miejsce mógł zająć jego syn, młodszy, uleglejszy i łatwiejszy do kierowania. Tym razem Lothan Aklun chce wygaśnięcia całego rodu i ustanowienia nowej dynastii – dynastii Meinów.

Dlatego Hanish miał do dyspozycji tę dziwną rasę ludzi, chętnych do marszu przez Pola Lodowe i prowadzenia wojny w imieniu Meinów. Dlatego miał nową broń, która miotła gązdy albo płonące jak słońce kule smoły. Należy do tego dodać ukrytą armię Meinów, intensywnie szkoloną w tajemnicy przed światem w górach na północ od Tahalian. Hanish obiecywał, że mając takie narzędzia oraz jeszcze kilka innych niespodzianek, spadnie na niczego niepodważający świat i rozbije go na kawałki.

Bracia wspominali, że w ich nowym świecie Rialus mógłby zająć wysokie stanowisko, lecz na razie nie zaproponowali mu nic konkretnego. Miał nadzieję, że okaże się pożyteczny. Niestety, sprawa z Leeką nie potoczyła się tak, jak chciał. Wiedział, że armia generała została w tajemniczy sposób zmasakrowana, lecz nie miał żadnej pewności, czy Maeander będzie z tego zadowolony. Przecież zadaniem Rialusa było zatrzymanie generała w twierdzy i ukrycie faktu przybycia cudzoziemców. Nie udało mu się ani jedno, ani drugie.

Maeander wszedł do komnat gubernatora z wyraźnym lekceważeniem szacunku należnego akacjańskiemu urzędnikowi. Minął sekretarza, który przygotowywał się, by go zapowiedzieć, i wkroczył do pokoju krokiem wyglądającym na swobodny, a zarazem tak twardym, że mogłyby od niego popękać kamienie posadzki. Maeander przerastał swego

gospodarza o kilkanaście centymetrów. Miał szerokie ramiona, a z ruchów jego umięśnionych ud, żyłastych przedramion i mocnej szyi promieniowała siła. Jasne włosy – mył je codziennie w lodowatej wodzie i rozczesywał – spadały mu luźno poniżej ramion, co było niezwykle, ponieważ większość Meinów pozwalała swoim się kołtunić. Maeander był pod każdym innym względem wzorowym przedstawicielem grubo ciosanych, pełnych temperamentu potomków swojej rasy, odzianym w strój z garbowanej skóry i dopasowane spodnie.

Zdjął podbite futrem rękawice i rzucił je z głośnym trzaskiem na stół. Rozejrzył się szybko po pomieszczeniu, zatrzymując wzrok na oknie.

– A więc to jest to twoje okno – odezwał się. Mówił po akacjańsku z gardłowym akcentem swego rodzimego języka, co zawsze raziło Rialusa. – Kiedy tu szedłem, strażnicy żartowali ze mną. Gdy poleciłem im, żeby zawiadomili cię o moim przybyciu, jeden z nich powiedział, że już wszystko wiesz, bo zawsze jedno oko przybliżasz do tej szyby. Inny zauważył, że chyba nie zdajesz sobie sprawy, że przez szybę widać w obie strony. Taka zuchwałość nie powinna ujść płazem, gubernatorze.

Rialus się zaczerwienił. Myśl o tym, że będzie widoczny dla ludzi na zewnątrz, nie przysłała mu do głowy. Wyobraził sobie, jak absurdalnie musiała wyglądać jego sylwetka oglądana z zewnątrz, zniekształcona przez niedoskonałości szkła; ludzie zapewne obserwowali go z dołu, ukrywając uśmieški, a czasem śmiejąc się z niego otwarcie... I w ten prosty sposób parę słów rzuconych od niechcienia sprawiło, że poczuł się jak kompletny dureń. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy bracia Meinowie rozmawiali z nim tak, jak na to zasługiwał jego urząd, lecz teraz wszystko się zmieniło. Nie miał pojęcia, jak mógłby odzyskać poprzednią pozycję. W gruncie rzeczy utwierdzał się w przekonaniu, że nigdy jej nie miał.

Maeander odwrócił się od okna. Miał uderzająco szare oczy. Właściwie nie tyle patrzył na kogoś, ile go namierzał. Gubernator pomyślał, że nigdy nie znał człowieka, który patrzyłby tak nieruchomym wzrokiem, i to z taką nieskrywaną wrogością. Mein przypominał w tym dziecko wpatrujące się w żuka, którego zamierza rozdeptać.

– Wiesz, co się stało z armią Alaina?

Ogólnie rzecz biorąc, Rialus nie był dobrym mówcą. W obecności Maeandera zaczynał się jąkać i tracił wątek, co z pewnością wywoływało złe wrażenie. Na szczęście Maeander wolał mówić sam niż prowadzić porządne śledztwo. Według jego słów kolumnę generała zauważyli numreccy zwiadowcy. Niezauważeni, śledzili armię przez kilka dni, aż znaleźli miejsce na zasadzkę. Runęli na żołnierzy wraz z ostatnimi podmuchami zanikającej śnieżycy i wyrznęli wszystkich w pień – i mężczyzn, i kobiety.

– Zapewne ucieszysz cię wiadomością, że Numrekowie są tak sprawni w zabijaniu, jak utrzymywali – rzekł Maeander. – Chętnie podjęli próbę, jaką stanowiła dla nich walka z armią Alaina. Mówili, że ich rozgrzała.

Odwrócił się i przeszedł po pokoju. Z czubka jego głowy spływały trzy cienkie warkocze. W dwa z nich wplótł niebieskie wstążki, w trzeci rzemień nabijany srebrnymi ćwiekami. Rialus wiedział, że to prymitywny system liczenia: niebieska wstążka oznaczała dziesięciu zabitych ludzi, a rzemyk – dwudziestu. A może na odwrót? Gubernator nie pamiętał.

– Nigdy nie widziałem nic podobnego do tej numreckiej armii. Wchłaniają i wypływają wszystko, co napotykają. Ich kobiety i dzieci lubują się w rzezi tak samo jak mężczyźni. Bardzo wątpię, by połączone siły Akacji mogły im stawić czoło w otwartym polu.

– A zatem sprawy ułożyły się bardzo dobrze – stwierdził Rialus. – Dawczyni opiekuje się wszystkimi godnymi jej wyznawcami. To wielki sukces!

– Nie rozpędzaj się. Nie udało ci się utrzymać generała w ryzach. Siedziałeś przy swoim oknie, a on opuszczał twierdzę, by zagrozić wszystkiemu, co mój brat planował od lat. Rezultat nie był taki zły, to prawda, ale zmusiłeś nas do szybszej realizacji planów. I czy to prawda, że ten twój generał wysłał paru kurierów?

– Owszem, ale nie ma powodów do zmartwień. Kazałem ich wszystkich wytropić i zabić.

– Nieprawda. Jeden się przedarł i spotkał z kanclerzem króla, Thaddeusem Cleggiem.

– Aha – powiedział Rialus.

– Tak. „Aha”. Jednakże znów ocalił cię zbieg okoliczności. – Przerwał, by Rialus jeszcze przez chwilę się pomęczył, a potem dokończył: – Thaddeus jest... rozdarty, i to na tyle, że być może nie postrzega swoich interesów jako zgodnych z interesami Leodana.

Usta Rialusa ułożyły się w owal.

– Rozdarty?

– Właśnie tak – odparł Maeander. Sięgnął do miseczki z oliwkami stojącej na biurku Rialusa; w Meinie trudno było zdobyć te importowane smakołyki. Włożył kilka do ust, nie spuszczając wzroku z gubernatora. – Właściwie powody jego rozdarcia mają wiele wspólnego z twoim położeniem. Mam ci to wyjaśnić?

Rialus skinął głową; wahał się, lecz był zbyt ciekaw, by odmówić. Maeander mówił z pełnymi ustami. Poprosił gubernatora, by wraz z nim cofnął się w czasie i wyobraził sobie Leodana i Thaddeusa jako młodych ludzi. Młodego królewicza: marzyciela, idealistę, niezdecydowanego co do przyjęcia władzy, do której go przygotowywano, zadržanego w

młodej piękności, Alerze, sprawiającej wrażenie, że jest dla niego ważniejsza niż tron. A przy nim kanclerza: stanowczego, pewnego siebie, ambitnego zdyscyplinowanego, utalentowanego szermierza.

– Ojciec Leodana właściwie nigdy nie uważał go za skarb – stwierdził Maeander, odsłaniając w uśmiechu zęby.

Powiedział, że według Gridulana jego syn był słaby. Ale syn to syn; Gridulan nie miał innego. Nie mógł się go wyprzeć. Dlatego robił wszystko, co w jego mocy, by uczynić z Leodana twardego człowieka, a jednocześnie kątem oka obserwował Thaddeusa. Chciał, by jego syn miał silnego kanclerza, lecz miał powody, by obawiać się talentów Thaddeusa. Przecież był on Agnatem. Wywodził swój ród od samego Edifusa. W pewnych okolicznościach mógłby słusznie zażądać tronu. Stało się to większym zagrożeniem – z punktu widzenia starego króla – kiedy Thaddeus poślubił młodą kobietę, Dorling, także pochodzącą z agnackiej rodziny. W pierwszym roku ich małżeństwa urodził im się chłopiec – całe dwa lata przed tym, zanim Aleera urodziła Alivera. Był więc silny Thaddeus, oficer Marahów, mający młodą żonę i dziecko, doskonałe pochodzenie, miłość ludu i wsparcie gubernatorów, którzy widzieli w kanclerzu bystrego orędownika ich spraw. Krótko mówiąc, Thaddeus stał się zagrożeniem, którego Gridulan nie mógł ignorować, nawet jeśli Leodan nie zdawał sobie z tego zagrożenia sprawy.

– Zgadnij, co na to poradził – zachęcił Rialusa Maeander. – Przychodzi ci coś do głowy?

Nie przychodziło, chociaż przekonanie o tym Maeandera zajęło gubernatorowi kilka chwil.

– A zatem będę musiał ci powiedzieć – ciągnął Mein. – Gridulan uknuł spisek z jednym ze swoich towarzyszy. Na rozkaz króla człowiek ten zdobył rzadką truciznę, której używali członkowie ligi. To była zabójcza substancja. Osobiście dopilnował, by Dorling spożyła ją w herbacie. Dziecko – jeszcze karmione piersią – zostało otrute mlekiem matki. Oboje umarli.

– Zostali zabici z rozkazu króla? – zapytał Rialus.

– Właśnie tak.

Wówczas nikt nie wiedział, co myśleć o ich śmierci. Niektórzy podejrzewali morderstwo, lecz nie wysunięto żadnych oskarżeń – a przynajmniej nie we właściwym kierunku. Gridulan jako pierwszy złożył Thaddeusowi kondolencje. Leodan nie posiadał się z żalu. Sam Thaddeus znosił cierpienie w sposób godny podziwu, lecz nie był już tym samym człowiekiem. Gridulanowi udało się zdusić ambicje kanclerza, pozostawiając go jednocześnie

przy życiu, by pomagał jego synowi. Leodan dowiedział się o morderstwach dopiero po kilku latach, kiedy po śmierci ojca przeczytał jego prywatne zapiski. Co miał jednak zrobić ze świadomością, że po to, by go chronić, jego własny ojciec zabił żonę i dziecko jego najlepszego przyjaciela?

– Być może silny człowiek wyznałby wszystko przyjacielowi – rzekł Maeander i wzruszył ramionami. – Być może. W każdym razie Leodan milczał. Nic nikomu nie powiedział, wymierzył tylko karę towarzyszowi swego ojca, temu, który podał truciznę. Domyślasz się, kim był ów człowiek?

Tym razem Maeander nie czekał na odpowiedź Rialusa.

– Słusznie – powiedział. – Truciznę wprowadził na scenę twój ukochany ojciec, Rethus! Dlatego teraz stoisz tu przede mną jako nędzny gubernator nędznej prowincji. Ponosisz karę – jak przedtem twój ojciec – za lojalność wobec Gridulana. Rodzinne tajemnice są skrywane głęboko, Rialusie. Widzę z konsternacji malującej się na twojej twarzy, że cię zaskoczyłem i zarazem odpowiedziałem na nurtujące się od dawna pytania.

Trochę potrwało, zanim Rialus zebrał myśli i zapytał:

– Skąd to wszystko wiesz?

Maeander zerknął na bok i wypluł pestkę oliwki.

– Mój brat ma mnóstwo znajomych, którzy wiedzą takie rzeczy. Na przykład liga obserwuje wszystko z wielkim zainteresowaniem i chętnie przekazuje nam drobne informacje, byśmy mogli dolewać oliwy do ognia. Uwierz mi, Rialusie, historia, którą właśnie ci opowiedziałem, jest prawdziwa. Przed kilkoma miesiącami mój brat podzielił się tą informacją z samym Thaddeusem Cleggiem. Zrobiła na nim ogromne wrażenie. Dlatego też uważam, że można powiedzieć, iż nie stoi już całkowicie po stronie Leodana. Pomyśl o życiu, jakie wiódł Thaddeus po śmierci żony i syna. Pomyśl o miłości, którą obdarzył dzieci Leodana. O tym, jak wspierał króla, gdy ten stanął w obliczu śmierci – oczywiście z przyczyn naturalnych – własnej żony. Pomyśl, co czuł, kiedy odkrył, że to wszystko zasada się na kłamstwie, morderstwie, zdradzie. Czy będąc na jego miejscu, nie chciałbyś sprawić, by Akaranie ponieśli karę? Chęć zemsty to emocja najłatwiejsza do zrozumienia i manipulowania. Chyba się zgadzasz?

Rialus się zgadzał, chociaż rozpaczliwie potrzebował czasu i samotności do przemyślenia wszystkiego, co właśnie wyjawiał mu Maeander.

– W każdym razie – Mein wrócił do sprawy, która spowodowała dygresję – nie zabiję cię za twoje potknięcia, lecz obawiam się, że będziesz musiał za nie zapłacić. Obiecałem Numrekom Cathgergen. Kiedy przybędą, przekazesz im fortecę. Ufam, że nie rozżościsz ich

wodza, Calracha; z tego, co zaobserwowałem, nie jest wielkoduszny.

– Nie chcesz powiedzieć...

Maeander zrobił urażoną minę.

– Protestujesz? Chyba nie chcesz, żebym oddał im Tahalian, prawda? Nie ma innego wyjścia. W fortecy mogą odpocząć i się przegrupować. Jeśli chcesz, możesz pozwolić armii na obronę, a potem uciec. Nie patrz tak na mnie, Neptosie. Nigdy nie znałem nikogo, kto by tak przypominał szczura jak ty. – Przez chwilę w głosie Maeandera brzmiał rzeczywisty gniew, lecz Mein opanował go i dalej mówił już chłodnym tonem. – Możesz jeszcze oddychać, lecz prawdziwe nagrody otrzymują ci, którzy służą nam skuteczniej.

– Skazałeś mnie na zagładę – rzekł Rialus.

– Nic podobnego. Jeśli jesteś skazany na zagładę, to jej ziarna zostały zasiane, zanim cię poznałem. Tak się dzieje z nami wszystkimi. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

Rialusowi udało się przemówić dopiero wtedy, gdy Mein odwrócił się, by wyjść.

– Zapominasz, że ja... że jestem gubernatorem tej fortecy. – Maeander wbił w niego zdumione spojrzenie. Rialus natychmiast zmienił taktykę, porzucając groźbę zawartą w swoich słowach. – Może uda mi się jeszcze czymś wykazać.

– Ach, jesteś równie zdradziecki jak twój ojciec? Czym chciałbyś się wykazać?

– Jeśli zadowolili cię to, co mam do zaproponowania, muszę mieć twoją gwarancję, że otrzymam nagrodę. Mogę ci dać rodzinę królewską, to znaczy jej głowy.

– Mam agentów gotowych zaatakować króla. Być może już go zabili. Wiadomość może być w drodze do Hanisha.

– Nie, nie... o tym wiem – rzekł Rialus. Miał niemal ochotę się uśmiechnąć, wiedząc, że najprawdopodobniej właśnie rzucił sobie linę ratunkową. – Nie mam na myśli króla. Ród Akaranów nie zaczyna się i nie kończy na Leodanie.

ROZDZIAŁ 8

Corinn Akaran zdawała sobie sprawę, że nie wie jeszcze wielu rzeczy o świecie, że jest wiele imion, rodowodów i wydarzeń historycznych, które nie chcą się trzymać jej pamięci. Nieważne. Bardzo niewiele z tego miało wpływ na jej codzienne życie. W jej przekonaniu ważne było to, że jest najstarszą córką króla Leodana, i to tą piękną. Nie miała odziedziczyć władzy nad królestwem ojca – to się należało Aliverowi – lecz to też jej odpowiadało. Nie kusila jej perspektywa rządzenia tak skomplikowanym układem spraw. Lepiej stać z boku i mieć wpływy w sferze dworskich intryg. Była przekonana, że to okaże się bardziej interesujące. Świat może w rzeczywistości jest duży, lecz w tej mniejszej części, którą zajmowała, niewielu ludzi miało lepsze powody niż ona, by patrzeć w przyszłość z optymizmem.

Ale chociaż z natury była wesoła i miała zamiłowanie do pięknych strojów, plotek i młodzieńczych romantycznych marzeń, nosiła w sobie świadomość śmierci. Kładła się ona chmurą na duszy Corinn, zawsze obecna i groźna. Jej matka umarła, gdy Corinn miała dziesięć lat. Aleera Akaran odeszła wraz z wiosną ustępującą latu. Zabiła ją choroba, która zaczęła się jako ból krzyża, a zmieniła w nienasyconą pijawkę wysysającą z niej życie.

Corinn dokładnie pamiętała ostatnie chwile spędzone z matką. W snach znów często siadywała przy jej łóżku i obejmowała blade, kościste dłonie matki. Jej ciało było tak wymizerowane, że wyglądała jak na wpół wtopiona w materac. Było wtedy ciepło, więc często leżała odkryta, z nagimi nogami wystającymi spod nocnej koszuli; pierwszą rzeczą, jaką Corinn widziała po wejściu do pokoju, były stopy matki, sprawiające wrażenie nadnaturalnie dużych. Po wielu tygodniach przykucia do łóżka Aleera była tak słaba, że bez pomocy córki nie mogła dotrzeć do stojącego przy oknie stołka. Corinn podtrzymywała lekką jak piórko matkę; z każdym krokiem stopy Aleery zataczały w powietrzu kręgi, jakby była dzieckiem uczącym się chodzić.

Wszystko to dobitnie uświadomiło młodej dziewczynie, że w rzeczywistości świat jest o wiele bardziej przerażający, niż to sobie wyobrażała nawet w najgorszych snach. Gdzie w tym świecie była wszechpotężna matka, która zawsze wiedziała, co powie jej córka, zanim ta jeszcze otworzyła usta, i która śmiała się ze strachu Corinn przed smokami, wielkimi węzami i potworami? Gdzie była ta bohaterka, która wyganiała takie stwory już samym swym

wejściem do pokoju, uśmiechem, zawołaniem Corinn po imieniu? Gdzie była ta piękność, u której boku Corinn przygotowywała się do oficjalnych wystąpień, kobieta, do której porównywano wszystkie inne kobiety? Nadal ją zdumiewało, że sytuacja zmieniała się tak szybko, nawet bez zawołanej sugestii, że to wszystko ma jakieś znaczenie.

Chociaż było to bolesne, jeszcze większym bólem nappełniał ją fakt, że w umierającym ciele matki widzi samą siebie. Aleera dała jej kształt swojej twarzy, układ ust, wzór linii na czole. Miały takie same dłonie, takie same wąskie paznokcie, takie same lekko zakrzywione małe palce. Dziesięcioletnia dziewczynka trzymała w dłoniach starzejącą się, rozkładającą się, zanikającą wersję samej siebie, jakby to było jakieś dziwne połączenie przeszłości z teraźniejszością albo teraźniejszości z przyszłością.

Mimo że często planowała swoje dni z młodzieńczym entuzjazmem, wciąż nękał ją strach, że nie dożyje końca roku. Albo że jeśli dożyje, to tylko po to, by najpierw wszystko zyskać, potem to wszystko stracić, a wreszcie umrzeć. Miała takie poczucie w wieku dziesięciu lat, a potem jedenastu, dwunastu i tak dalej, i nadal było ono równie silne jak na początku. Fakt, że równoważyła te ponure myśli radosnym usposobieniem, dezorientował ją tak samo jak patrzących na nią z zewnątrz. Ukrywała swe mroczne rozważania najlepiej, jak umiała, zaniepokojona nimi i zawstydzona. Często przypominała sobie, że każdą żywą istotę czeka śmierć; a mało kto ma życie tak pełne możliwości jak ona. I może się myli? Może będzie żyła długo i radośnie, może nawet znajdzie sposób, by żyć wiecznie, nie starzejąc się i nie chorując.

Tego ranka, kiedy miała powitać delegację z Aushenii, Corinn długo patrzyła na swoje odbicie w lustrze na toalecie. Wzięła do ręki pędzel z końskiego włosia do nakładania pudru. Zanurzyła go w proszku z morskich muszli i musnęła nim policzki. Miała nadzieję, że lśniące cząsteczki podkreślą błysk srebrzystych nitek w jej eleganckiej, błękitnej jak niebo, obcisłej sukni. Mimo ponurego nastroju z przyjemnością myślała o kilku następnych dniach. Nie musiała – jak Aliver – brać udziału w bezsensownych formalnościach oficjalnych spotkań. W przeciwieństwie jednakże do Meny i Dariela, była na tyle duża, by pełnić rolę gospodyni i przewodniczki dla aushenijskiego księcia, Igguldana.

Mimo ostrzeżeń pokojówki, że dzień będzie chłodny, włożyła pod suknię tylko cienką koszulę; nie znosiła być ubrana bez gustu. Jako jedyne ustępstwo na rzecz pogody postanowiła włożyć przysłany jej właśnie z Candovii biały futrzany szal przypinany wokół szyi specjalnymi zapinkami. Uznała, że może uchodzić za elegancki.

Corinn spotkała aushenijskiego księcia na schodach prowadzących do sali Tinhadina. Stała w otoczeniu kilku towarzyszek, tłumacza i paru pracowników biura kanclerza, na tle

grubo ciosanych, zniszczonych wiekiem i złą pogodą granitowych kolumn. Sala pochodziła z wcześniejszego okresu architektonicznego niż większość miasta; została wzniesiona w czasach, kiedy przywódcy narodu najwyraźniej krzywo patrzyli na gładkie linie i łuki eleganckich miast wznoszonych na talayskim wybrzeżu, z których czerpały natchnienie późniejsze pokolenia.

Książę ubrał się skromnie. Corinn mogła się czuć zawiedziona, lecz swoim zachowaniem tak umiejętnie okazywał szacunek, że musiała uznać jego maniery za nienaganne. Szedł ze spuszczonym wzrokiem, z rękoma przyciśniętymi do boków. On i wszyscy w jego orszaku równocześnie stawiali stopy na schodach, sprawiając wrażenie, że poruszają się kierowani jednym umysłem. Kiedy młodzieniec stanął na ostatnim stopniu przed Corinn, zatrzymał się. Podniósł wzrok, spojrzał jej w oczy i patrzył w nie odrobinę dłużej, niż to było właściwe. Stwierdziła, że może mu to wybaczyć, zarówno ze względu na jego bojaźliwy uśmiech, jak i na fakt, że doskonale wiedziała, że jej suknia, biały futrzany kołnierz, skomplikowany wzór jej warkoczy oraz lśniący proszek z morskich muszli pokrywający jej policzki robią imponujące wrażenie.

Wygląd Igguldana był czysto aushenijski: jego włosy przypominały słomę zanurzoną w kasztanowym barwniku, oczy były intensywnie błękitne i przywodziły na myśl plamiste szklane paciorki podświetlone od tyłu. Corinn kiedyś uważała, że blada, piegowata skóra wygląda gorzej od kremowobrazowej karnacji Akacjan czy niemal czarnej skóry Talayan, lecz, patrząc na Igguldana, poczuła, że to bardzo pociągająca cecha. Miała ochotę przeciągnąć palcem po tych plamkach.

Oprowadziła grupę gości po głównych budowlach górnego poziomu miasta; mijali rozmaite skrzydła pałacu, schodzili aż na tereny treningowe i obchodzili budynki administracyjne. Aushenian zainteresował widok złocistych małpek wałęsających się po terenie górnego miasta, a nawet w samym pałacu. Wyjaśnili, że w swoim kraju nie mają podobnych zwierząt. Corinn obojętnie skinęła głową. Widywała te stworzenia codziennie od urodzenia. Były wielkości kota i miały puszystą sierść koloru od żółtego po niemal szkarłatny. Miały jakieś święte znaczenie, lecz Corinn nie pamiętała jakie i dlatego nie wspomniała o nim.

W końcu znaleźli się przy starych ruinach, w których znajdowały się kamienne fundamenty jednej z pierwszych wież obronnych Edifusa. Jej ocalałe fragmenty kryły się w nowoczesnym budynku, jakby namiocie na łukowatych nogach, z którego roztaczał się widok na trzy strony świata. W środku stał posąg Eleneta z czasów jego młodości. Jeden ze współpracowników kanclerza wystąpił do przodu, by wyrecytować opowieść o pierwszym

czarnoksiężniku, która pod wieloma względami była też opowieścią o Dawcy.

Na początku, jak zaczął informować monotonnym głosem mężczyzna, boska postać zwana Dawcą stworzyła świat jako przejaw radości. Bóg nadał kształt wszystkim stworzeniom ziemi, łącznie z ludźmi, chociaż nie oddzielił ludzi od innych istot. Chodził po ziemi, śpiewając, tworząc mocą słów. Jego język był nicią, igłą, wzorem, według którego został utkany świat. Pewnego dnia osierocony siedmioletni chłopiec, Elenet, zobaczył jak bóg przechodzi przez jego wioskę. Podszedł do Dawcy i poprosił go o przyjęcie na służbę, żeby mógł przebywać w pobliżu boskiej światłości. Spodobał się Dawcy, który spełnił jego prośbę. Lecz Elenet nie był taki jak inne stworzenia ciągnące za Dawcą. On słuchał pieśni boga, uczył się jej słów. Zaczął je rozumieć i dostrzegać ich potęgę. Upajał się możliwością władania nimi samemu. Kiedy nauczył się wystarczająco dużo, uciekł.

– Został pierwszym Mówcą Boga – ciągnął pomocnik kanclerza. – Potem podzielił się swoją wiedzą z kilkoma wybrańcami. Kiedy Dawca dowiedział się o oszustwie Eleneta, był rozczarowany. Odwrócił się plecami do świata i zamilkł. Nigdy już go nie widziano chodzącego po ziemi. Nigdy już nie zaśpiewał. Dlatego nasz świat jest taki, jaki jest.

Sądząc po tym, jak Igguldan przyklęknął i powiódł dłońmi po szczelinach w pradawnym kamieniu, mrucząc coś, opowieść ta była mu dobrze znana i głęboko go poruszała. Corinn miała ochotę skwitować taką żarliwość zmarszczeniem brwi, lecz w ciągu następnej godziny książę okazał się bardzo przyjemnym towarzyszem. Mówił niemal perfekcyjnie po akacjańsku, tak jak większość jego orszaku. Wkrótce tłumacz i współpracownicy kanclerza wycofali się na koniec świty, która podzieliła się na mniejsze grupki.

– Ciekawe, czy to prawda, że Edifus był jednym z uczniów Eleneta – powiedział Igguldan. – Słyszałem, że był czarnoksiężnikiem. To dlatego on, a po nim Tinhadin, odnieśli pełne zwycięstwo. Co o tym sądzisz, królewno?

– Niewiele o tym myślałam, ale nie widzę powodu, by wierzyć w magię. Jeśli mój naród miał taki dar, to dlaczego teraz go nie mamy?

– Nie macie? – zapytał Igguldan z uśmiechem. – Nie możesz na przykład rzucić na mnie zaklęcia i zmusić mnie do wykonywania twoich poleceń?

– Nie potrzebuję magii, by to osiągnąć – zażartowała Corinn, ale kiedy zorientowała się, jak swobodnie zabrzmiały jej słowa, po jej dekolcie rozlał się rumieniec. – Może stworzyliśmy opowieści o magii później, żeby wyjaśnić dokonania Edifusa. Zwykłym ludziom trudno jest uwierzyć w wielkość.

– Może tak... – Książę zabębnił palcami po zerodowanym kamieniu i popatrzył na

przestrzeń rozciągającą się po wschodniej stronie. – Zatem ja chyba jestem zwykłym człowiekiem, bo kocham Stare Opowieści. W gruncie rzeczy wasze podania odgrywają dużą rolę w naszych legendach. W Aushenii nie mamy wątpliwości, że ludzie niegdyś praktykowali magię i że twój naród wykorzystał ją do zapanowania nad światem. Jest taki cudowny wiersz o tym, jak ludzie zdobyli tę wiedzę. Nie wyrecytuję go teraz z obawy przed kompromitacją, ale może później będę miał okazję ci go wyśpiewać.

– A co z magią w naszych czasach? – zapytała Corinn. – Nie widzę tu żadnych czarodziejów.

Aushenijski książę uśmiechnął się, lecz nic już nie powiedział. Kiedy szli z ruin Edifusa ścieżką powoli wspinającą się ku Odpoczynkowi Króla, Corinn przyznała:

– Nie wiem zbyt wiele o twoim narodzie. Jacy jesteście wy, Aushenianie?

– Aushenia wydałaby ci się zimna. Nie tak zimna jak Mein – oni tam na północy zimą ledwie widzą słońce, a śnieg może spaść każdego dnia w roku, nawet w środku lata. W Aushenii mamy krótkie lato, lecz tętni ono życiem. Wszystkie zwierzęta i rośliny wykorzystują te kilka miesięcy, które mają do dyspozycji. Wiosną pączki kwiatów i młode pędy przebijają się spod śniegu, jakby pewnego dnia Dawca im na to pozwolił i nic już nie mogło stanąć im na przeszkodzie. W lecie jest całkiem ciepło. Pływamy w położonych na północy jeziorach. Niektórzy pływają nawet w morzu. W Killintich każdego lata podczas przesilenia mamy wyścig pływaków i biegaczy. Zawodnicy płyną od pałacowego moła na drugą stronę zatoki, a potem wracają biegiem. Trwa to cały dzień.

Zatrzymali się na chwilę przed ostatnim odcinkiem schodów. Osoby towarzyszące zostały nieco w tyle.

– To zabawne, jak w jednej chwili mówisz, że jest zimno – powiedziała Corinn – a zaraz potem opowiadasz o pączkujących kwiatkach i pływaniu. Co jest prawdą, książę?

– W kraju położonym tak daleko na północy jak Aushenia to nie zimno ma na człowieka największy wpływ, ale chwile, kiedy zimno ustępuje. – Corinn kiwnęła głową i przez moment oboje milczeli. – Lecz pod wieloma względami jesteśmy do was podobni. Mój naród szanuje naukę, podobnie jak twój. Niektórzy z naszych najlepszych uczniów nawet uczą się dalej w Alesji. Na pewno o tym wiesz. Aushenia jako pierwszy północny kraj sprzymierzyła się z Edifusem przeciwko Meinom. Niestety, po zakończeniu tego konfliktu sojusz się rozpadł. Dlatego mój ojciec tak bardzo pragnie, by twój ojciec zaszczycił nas swoją obecnością. Bo widzisz, mój ojciec nie czuje się najlepiej i nie może podróżować, ale przez całe życie pracował na rzecz zawarcia przymierza z twoim narodem. Jest przekonany, że razem byłibyśmy silni.

Pozostali jeszcze do nich nie dołączyli, lecz Igguldan wszedł na pierwszy stopień, więc Corinn ruszyła za nim.

– I jesteśmy poetami – ciągnął księżę.

– Poetami?

– Naszą historię przechowujemy w poematach epickich śpiewanych przez bardów. W naszych sądach procesy toczą się wierszem. To dziwaczne, lecz przyciąga publiczność do bardziej skomplikowanych spraw.

– Jakie to dziwne – stwierdziła Corinn, chociaż tak naprawdę wcale nie wydawało jej się to takie dziwne. Nie cierpiała oficjalnych procedur. Może gdyby wszyscy rządowi biurokraci musieli się wypowiadać wierszem, wytrzymałyby na posiedzeniach.

– Jesteś najstarszym synem w rodzinie? – zapytała.

Igguldan skinął głową.

– Tak. Mam trzech młodszych braci i dwóch z drugiego małżeństwa ojca.

Corinn spróbowała unieść brew, lecz udało się jej tylko ułożyć je obie w nierówną linię.

– Z drugiego małżeństwa?

– Cóż... Tak, mój ojciec przywrócił dawne kodeksy i aby zapewnić narodziny następcy, ożenił się dwa razy. Nie musiał tego robić, ale... po prostu był zapobiegliwy.

– Rozumiem. Czy ty zamierzasz być podobnie zapobiegliwy?

– Nie, ja się ożenię tylko raz.

Dotarli do wysoko położonego balkonu na tyłach Odpoczynku Króla. Corinn uniosła podbródek, wskazując rozciągające się przed nimi bezkresne zielonkawoblękitne morze.

– Tylko tak mówisz. W twoim kraju musi być pod dostatkiem piękności, żeby mężczyźni mogli się żenić dwa razy.

– Mylisz się. Nasze kobiety mają o wiele mniej zalet niż kobiety z Akacji. Uwierz mi... – Księżę dotknął jej dłoni. – Królewno, w dniu, kiedy w swojej uprzejmości postawisz stopę w Aushenii, zostaniesz obwołana najpiękniejszą kobietą w kraju, a ja będę twoim największym wielbicielem.

Księżę nie mógł wyczarować nic lepszego, by sprawić Corinn przyjemność. Tym jednym zdaniem powiedział jej komplement, zrobił aluzję do swojej wierności i obiecał powszechne uwielbienie. Przez kilka chwil stała w milczeniu i wyobrażała sobie możliwość spędzenia życia jako łabędź w otoczeniu kaczek. Odpowiedziała coś księciu z fałszywą skromnością i kontynuowała obowiązki przewodniczki, ale postanowiła dowiedzieć się o Aushenii wszystkiego, co się da. Może właśnie znalazła przysłego męża. Wszyscy wiedzieli,

że Aushenia i Akacja pragną zawrzeć sojusz. Jej małżeństwo mogłoby się okazać politycznym strzałem w dziesiątkę. Mogłaby być królową jednego narodu i królową drugiego. To coś, czego warto było wyczekiwać.

ROZDZIAŁ 9

Leeka Alain nie miał złudzeń co do swojego miejsca roli w historii imperium. Nigdy w ciągu czterdziestu ośmiu lat życia – z których ponad połowę spędził w wojsku – nie wyobrażał sobie, że ma jakąś szczególnie ważną rolę do odegrania. Był po prostu żołnierzem, jednym z wielu w szeregu, który wyłonił się anonimowo z mgły historii. Takie miał przekonanie do momentu, kiedy otworzył oczy, budząc się ze snu. Prosta czynność, powtarzana tysiące razy przez całe życie. Lecz tym razem było to niczym powtórne narodziny. W jednej chwili nie było niczego. W następnej mruganiem oczu powołał do istnienia świat poprzednio niewyobrażalny, świat wymagający od niego rzeczy, o których istnieniu nawet go nie ostrzeżono.

Początkowo ten świat był po prostu kwadratem jaskrawej bieli nad Leeką, geometrią, jasnością w pozbawionej kształtu czerni. Z trudem usiadł i znalazł oparcie dla członków, w których niejasno rozpoznawał dłonie, ręce, nogi i stopy. Przez jakiś czas wytrzeszczał oczy – bez zrozumienia, bez punktu odniesienia, bez kontekstu. Poruszył się dopiero wtedy, gdy przestrzeń przeciął jakiś kształt – jeden rozbłysk, który zniknął w tym samym momencie, w którym się pojawił. Leeka obserwował świetlisty kwadrat na tyle długo, by jeszcze raz uchwycić ten sam ruch. Ptak. To był ptak, rozłożone skrzydła widziane z dołu, z ciemności. A za ptakiem przesuwał się świat, zarys miękkości, w której generał rozpoznał przesłonięte wysokimi chmurami arktyczne niebo. To ostatnie odkrycie stanowiło jak dotąd największą pomoc. Wraz z nim nadeszło zrozumienie wszechobecnego ucisku. Leeka wciągnął nosem powietrze wraz z paskudną mieszaniną zapachów i pojął, co to oznacza. Wiedział już, gdzie się znajduje i jak tutaj trafił.

Pierwszy rogaty stwór... siedzący na nim jeździec... mnóstwo innych, które wychynęły za nim z zamieci... To naprawdę się wydarzyło, pomyślał. Straciłem wszystkich. Poprowadziłem ich do... Z jakiego powodu ich stracił? Kim byli ci wrzeszczący, tratujący wszystko z radością miłośnicy jatek? Nigdy wcześniej nie stanął twarzą w twarz z tak zdeformowaną potwornością. Podobnie jak pierwszy jeździec, wszyscy byli głodni przemocy. Niektórzy mieli włócznie, które ciskali, nie zwalniając kroku; była to ciężka broń, przebijająca akacjańską zbroję niczym cienką skórę. Żołnierz stojący obok generała został trafiony w pierś i poleciał w tył, niesiony siłą uderzenia; w jednej chwili trzymał dłoń na

ramieniu Leeki, w następnej już jej tam nie było. Inni wrogowie jechali na wierzchowcach przypominających... jak one się nazywają? Te zwierzęta z Talay... Nosorożce. To był jakiś gatunek udomowionych nosorożców, tyle że pokrywała je masa zmierzwionych szarawych włosów. Przewracały jego żołnierzy, czasami zatrzymując się, by stratować ciało na miazgę.

Największego szoku generał doznał wtedy, gdy tłum wrogów dzierżących szable i topory uderzył na wciąż stłoczonych Akacjan. Napastnicy byli ogromni, silni, mieli długie kończyny. Leeka ujrzał w ich ruchach radość zabijania, jakiej nigdy sobie nawet nie wyobrażał. Tak jak chłopiec z drewnianą szablą udaje, że obcina swemu towarzyszowi rękę, nogi i głowę, a potem unosi zaciśniętą piastkę i szeroko się uśmiecha na myśl o wymyślonych ranach, które zadał, tak właśnie te istoty radośnie odcinały kończyny zamaszystymi ruchami, a potem klepały się po plecach. Pod skołtunionymi czarnymi grzywami widać było skórę białą jak śnieg. Leeka chciał spojrzeć jednemu z nich w oczy, ale do żadnego nie udało mu się zbliżyć.

Usiłował sobie przypomnieć, jakie wydał rozkazy. Chociaż bardzo się starał zareagować rozsądnie na tę rzeź, teraz ani sobie nie przypominał takiej reakcji, ani nie potrafił sobie wyobrazić, co mógł powiedzieć w ciągu tych kilku chwil trwania jatek. Po prostu wróg rzucał się na żołnierzy Leeki, a oni umierali w rozbryzgach krwi, ich odcięte kończyny ślizgały się po czerwonym śniegu, a ciała, powykęcane niczym szmaciane lalki, zaścielały teren. Ani przez chwilę nie miało się wrażenia, że wrogowie dbają o własne życie. Nic się ich nie imać. Niczego się nie bali, a spustoszenie, jakie siali wśród żołnierzy Leeki, było dla nich jedynie wspaniałą rozrywką.

Generał widział, jak włócznik przydeptał jedną z jego podwładnych. Przyglądał się przez chwilę, a potem dźgnął ją prosto w twarz rozdwojonym grotem. To zirytowało Leekę jak jeszcze nic dotąd. Ryknął. Zebrał całą swą wściekłość i cisnął okrzyk w tundrę. Włócznik go usłyszał, wyszarpnął broń z ciała kobiety i ruszył w jego stronę. Pędząc na niego, Leeka obiecywał sobie, że jeśli stwór rzuci włócznią i chybi, to w następnej chwili zostanie wypatroszony przez akacjańską stal. Włócznik rzucił jednak celnie. Pocisk pędził ku generałowi, tworząc rozmazaną smugę. Generał zginąłby na miejscu, gdyby nie jeden z jego żołnierzy, którego imienia nie znał ani nigdy już nie pozna.

Żołnierz ten stanął między włócznikiem i Leeką. Włócznia trafiła go w środek piersi, przebiła ją i wyszła przez plecy w strugach tryskającej krwi, wypychając wyszczerbione kawałki żeber. Czubek włóczni przesunął się nieco na bok i dzięki temu wśliznął się między bok Leeki i jego rękę. Ciało żołnierza pchnęło generała z taką siłą, że obaj runęli na ziemię, a uderzenie hełmem w czoło pozbawiło Leekę przytomności. Leżeli spleceni, sprawiając

wrażenie, że obaj są martwi.

Pewnie dlatego generał nie został dobity i wiele godzin później otworzył oczy, przywalony stertą ciał. Zanim upadł, zauważył, że wrogowie chwytają zabitych żołnierzy za nogi i rzucają ich na jedno miejsce, jakby nie chcieli, by trupy zajmowały im plac zabawy. Zrozumiał teraz, że sam został rzucony na jeden z takich stosów. Potem na nim i wokół niego znaleźli się inni zabici. Unieruchomiony w stercie ciał, zakrwawionych mężczyzn i kobiet, do niedawna służących w jego armii, odzyskiwał i tracił świadomość.

W chwilach przytomności pojął, że na istnienie składa się cierpienie i wielkie gorąco. Leżał tak głęboko w masie ciał, że przez jakiś czas właśnie temu przypisywał to gorąco. Później ogarnął go niewiarygodny żar, za który na pewno nie mogły być odpowiedzialne sztywniejące trupy. Czuł, że te ciała poruszają się i drżą od tego żaru, buchając strasznym swądem palącego się mięsa. Całymi godzinami zalewał go pot i Leeka w tym stanie to zapadał w niespokojny, pełen koszmarów sen, to się z niego budził, aż wreszcie uświadomił sobie z zaskoczeniem, że gorąco szaleje nie tylko na zewnątrz, ale i w nim samym. Ze środka jego czoła rozchodziły się pulsujące fale gorączki. Tkwił tam jakiś insekt. Leeka był tego pewien. Ten insekt wbił mu w czaszkę zakrzywiony dziób i wpompował w niego jakiś jad, kołyszając z wysiłku okrągłym niezgrabnym tułowiem.

Leeka spróbował go dosięgnąć, lecz nie mógł się poruszyć. Cały spływał potem. Oczy piekły go od soli. Oblizwał kąciki ust, przerażony dotykem zaskorupiałej skóry, w jaką zamieniły się jego wargi. Zęby też miał inne. Były to psie siekacze, rozcinające mu język i napelniające usta rtęcią, której żadną miarą nie mógł wypluć. Zakrztusił się nią i stracił przytomność, a kiedy obudził się, chwytając powietrze, przypomniał sobie żar oraz insekta wewnątrz czaszki i uświadomił sobie, że zaczyna z niego obłazić zgniłe ciało. A potem zemdlał. Śnił. Budził się. Wił się w męce. I tak w kółko.

To wszystko się działo, zanim obudził się w chłodzie pod kwadratem światła i ptakiem rzucającym cień na niebie. Kiedy wreszcie z trudem wydostał się spod upiornej plątaniny trupów, pod którymi leżał, nie miał pojęcia, ile dni minęło. Ciała, które zapewniały mu nieco ciepła, były teraz zeszywniałe i zamarznięte. Stertę przyprószył śnieg, lecz wyraźnie było pod nim widać zwęglone szczątki. Ciała zostały podpalone. Wokół piętrzyło się wiele podobnych stosów.

Ten, w którym był zagrzebany Leeka, nie spłonął do końca; może dzięki temu generał wciąż oddychał. Otaczająca go tundra była zarzucona różnymi szczątkami – umazaną krwią i połamaną bronią, trupami zwierząt jucznych i psów, częściami ciał mężczyzn i kobiet. W zasięgu wzroku nic się nie ruszało prócz kilku padlinożernych ptaków. Były krępe, miały

grube szyje i ogromne, krótkie i wyraźnie ząbkowane dzioby. Leeka przeżył chwilę nadziei, że naprawdę umarł, a to, co go otacza, to świat pośmiertny. Lecz świat ten był zbyt brutalnie namacalny, by mógł w to uwierzyć.

Gdyby w pobliżu nie usiadł sęp i nie zaczął szarpać zakrzywionych palców jednego z żołnierzy, generał mógłby tak stać przez dłuższy czas, zanurzony po uda w zwęglonych szczątkach. Rozgrzała go myśl o zabiciu paru ptaków. Nim upłynęła godzina, znalazł łuk i kilka strzał. Ubił trzy ptaki, a reszta wzleciała w powietrze i krążyła nad jego głową, skrzecząc wściekle. Wkrótce jednak Leeka zrozumiał, że postawił sobie niewykonalne zadanie. Pojawiało się coraz więcej ptaków; siadały na ziemi, kiedy tylko odwracał się do nich plecami.

Uświadomił sobie, że dookoła są też inne stworzenia: nieduże białe lisy z różową obwódka dookoła pyska, zwierzę podobne do łasicy z ogonem w czarno-białe pasy, a nawet jakiś gatunek owadów o twardym pancerzu, sprawiających wrażenie odpornych na zimno. Zabił kilka z nich samym dotykiem ciepłych palców. Gorąco. Jaka to potężna siła, narzędzie zarówno życia, jak i śmierci, tortur i wybawienia.

Przy tej ostatniej myśli zaczął zbierać opał na ognisko. Był słaby, więc szło mu to opornie. Musiał się często zatrzymywać i popijać z bukłaka przypiętego na brzuchu oraz pogryzać twarde podpłomyk, jedyne pożywienie, jakie mógł znieść jego żołądek. W ukośnie padającym świetle wczesnego zmierzchu podsyczał coraz większy ogień i wrzucał do niego zamrożone, osmalone ciała swoich żołnierzy. Wypuszczał się w mrok i zimno i przyciągał ofiary dla płomieni. Wiele razy odbywał taką podróż między skrajnościami. Kiedy robił zbyt szybki ruch, kręciło mu się w głowie, dlatego często przykładał z zamkniętymi oczyma, nieruchomiał i czekał, aż to minie. Znowu wzmógł się wiatr i przy jego zmiennych, wściekłych podmuchach trudno było nie wdychać dymu. Mimo to Leeka nie przerywał pracy, dopóki jej nie ukończył. Jego żołnierze nie mogli być pożywieniem dla padlinożerców. Lepiej uwolnić ich, by mogli ulecieć w zaświaty i poszukać spokoju, rozrzućeni po całym niewydarzonym dziele stworzenia Dawcy.

Później tego samego wieczoru Leeka skulił się przy ogniu. Oczy łzawiły mu od unoszącego się na wietrze popiołu. Brud zlepił mu wargi i przywarł do zębów. Kilka razy podmuchy wiatru przyniosły głosy śpiewających w oddali kobiet. Wydawało mu się to niemożliwe, a mimo to Leeka słyszał je niemal na tyle wyraźnie, by rozróżniać pojedyncze słowa i móc zanucić melodię. Co ma teraz zrobić? Raz po raz usiłował się skupić na tym pytaniu. Był generałem, którego spotkała tragedia; przede wszystkim musi ułożyć plan działania. Nie udało mu się jednak wyjść poza postawienie tego pytania, bo zawsze jego

uwagę odwracało wspomnienie rzezi. Choć głowę miał pełną obrazów, nie umiał odnaleźć choćby jednego, na którym ginął któryś z wrogich stworów. Przez cały dzień nie znalazł ani jednego zabitego napastnika. Wszystkie kończyny, które zebrał i wrzucił do ognia, należały do jego ludzi. Nie znalazł żadnego dowodu na to, że zginął choćby jeden wróg, niczego, co przekonałoby go, że któryś z nich został ranny.

W lśniącym świetle poranka szlak najeźdźców był doskonale widoczny. Śnieg i wiatr nie zdołały go zatrzeć; wyglądał jak koryto wyschniętej rzeki wcinające się w tundrę. Pojazdy na kołach, które pchali lub ciągnęli, musiały być potężne, ponieważ pozostawiały w lodzie koleiny głębokie na kilkadziesiąt centymetrów. Leeka widział też przecinające się tropy tych dziwnych nosorożców oraz niezliczone ślady stóp wrogów. Niektóre były o połowę większe od ludzkich. Inne najwyraźniej pozostawiły dzieci. A jeszcze inne wyglądały na odciski butów akacjańskich żołnierzy. Jeńcy?

Leeka ruszył po tych śladach. Wszystkie zapasy, jakie zdołał odnaleźć, ciągnął na małych saniach. Z masztów do namiotów zrobił kijki, które przy każdym kroku wbijał w lód. Biegł, samotny, w pościgu za armią. Nie miało to wielkiego sensu, ale po prostu musiał coś robić. Był przecież żołnierzem imperium, a po okolicy krążył wróg i trzeba było ostrzec naród.

ROZDZIAŁ 10

Jak wszyscy Aushenianie, których widywał dotąd Aliver, Igguldana z dumą nosił strój narodowy: skórzane obcisłe spodnie, zieloną koszulę, niebieską kamizelkę i filcowy kapelusz włożony na bakier. W gruncie rzeczy był to prosty strój, odpowiedni na polowanie. Pasował do narodowego charakteru Aushenian, którzy kochali swój pofałdowany, lesisty kraj i wciąż uważali siebie za takich samych myśliwych, jakimi byli ich przodkowie. Patrząc na sylwetkę Igguldana, Aliver pomyślał, że może rzeczywiście nimi są.

Powiedział kiedyś ojcu, że nie powinno się innym narodom pozwolić na zachowanie urzędu króla. Jaki sens ma panowanie jednego króla nad innymi królami? To podkopuje jego władzę, grozi zrównaniem pozycji innych królów z jego pozycją. Czy w imperium nie powinien być tylko jeden monarcha? Leodan odpowiedział wtedy cierpliwie, że nie, tak nie byłoby lepiej. Wszystkie narody Znanego Świata – oprócz Aushenii – zajmują drugorzędną pozycję wobec Akacjan. Są to ludy podbite, lecz nie pozbawione dumy. Pozostawienie królów i królowych oraz ich obyczajów pozwala im zachować odrobinę tej dumy. Jest to ważne, ponieważ ludzie bez poczucia tożsamości są zdolni do wszystkiego.

– Niczego ci nie ubędzie, jeśli czasem nazwiesz kogoś innego królem – dodał wtedy. – Niech będą tym, kim są, a nasze rządy niech wydają im się tak łagodne, jak dotyk ojcowskiej dłoni na ramieniu syna.

Z aushenijskim księciem nie spotkała się cała Królewska Rada. Kilku jej wyższych członków przysłało swoich sekretarzy – co Leodan skomentował z niezadowoleniem. Obok króla siedzieli Thaddeus, Sire Dagon z Ligi Statków oraz wystarczająca liczba innych dostojników, by nadać spotkaniu odpowiednią rangę. Cudzoziemskiego księcia otaczali urzędnicy z jego kraju, doradcy i wytrawni ambasadorzy. Aliver wiedział, że księżę jest starszy od niego tylko o trzy lata, lecz sprawiał wrażenie o wiele bardziej doświadczonego. Starsi okazywali mu szacunek. Zanim się odezwali, prosili wzrokiem o pozwolenie. Księżę swobodnie rozmawiał z Leodanem i Thaddeusem, a także wygłosił długie pozdrowienie od ojca, Guldana, które dzięki rytmowi i paru rymom brzmiało jak wiersz. Aliver mógłby się nawet poczuć urażony, widząc młodego człowieka, który zachowuje się w takiej roli swobodniej od niego, tyle że trudno było nie lubić Igguldana z jego rozjaśnioną uśmiechem twarzą.

– Szlachetni radni Akacji – powiedział książę – szczerze mówiąc, nigdy nie widziałem piękniejszej wyspy ani pałacu robiącego większe wrażenie. Jesteście błogosławionym narodem, a sama Akacja to główny klejnot w najbogatszej koronie.

Przez pewien czas przemawiał tak, jakby jego jedynym celem było wychwalanie akacjańskiej kultury. Mówił o tym, jak zachwyca go widok roztaczający się z wysoko położonych cytadel. Jak podziwia funkcjonalne mistrzostwo akacjańskiej architektury, wyrafinowany sposób prezentowania bogactwa bez pretensjonalności. Nigdy nie jadł tak doskonałej potrawy, jak zeszłego wieczoru – był to miecznik pieczony na otwartym ogniu i hojnie skropiony sokiem z jakiegoś słodkiego owocu. Wszyscy spotkani tu ludzie są tak uprzejmi i pełni godności, że zawiezie do domu nowy wzór zachowania. Jako że pochodzi z mniejszego narodu, podatnego na zmiany i charakter pór roku, podziwia u Akacjan niezrównane połączenie potęgi i spokoju.

Miał tak gładki język, że Aliver nie zauważył, kiedy przeszedł do prawdziwego powodu swej wizyty. Zanim się zorientował, Igguldan oznajmił, że jego naród jest dumny ze swojej długiej historii wolnego i niezależnego państwa. Wie, że nie musi nikomu z zebranych przypominać o roli, jaką Aushenia odegrała w zapewnieniu pokoju. To połączone siły Aushenii i Akacji pokonały przed wielu laty ich wspólnych wrogów. Od tamtych czasów w stosunkach obu tych państw mogło czasami pojawiać się napięcie, lecz jego ociec pragnie, by oba narody pamiętały teraz o duchu ich poprzednich relacji.

– Dlatego przybywam z prośbą mojego ojca o pokojowe przyjęcie Aushenii do Imperium Akacjańskiego jako prowincji partnerskiej, stojącej na równi z Candovią, Senivalem czy Talay. Jeśli nas przyjmiecie, Guldan przyrzeka, że wasz naród na tym skorzysta i nigdy nie będzie żałował tej decyzji.

A więc o to chodzi, pomyślał Aliver. Propozycja została przedstawiona wyraźniej, niż sobie wyobrażał, że to możliwe. Odpowiedź Akacjan nie była jednak równie bezpośrednia. Członkowie Królewskiej Rady zasypali młodzieńca pytaniami. Zapytany, czy Guldan odwoła Dekret Królowej Eleny – tę wyniosłą deklarację wieczystej niepodległości – Igguldan odpowiedział, że jej słowa w owych czasach były prawdziwe. Nie można sięgać w przeszłość i zmieniać minionych wydarzeń. Guldan nigdy nie podważy stwierdzeń królowej Eleny, lecz teraz mówi o teraźniejszości, o chwili obecnej, o przyszłych dniach i latach.

Thaddeus zapytał, jakie nieszczęście spadło na Aushenię, że po tak długim czasie w końcu błaga o miejsce przy stole.

– To nie żadne nieszczęście, panie, lecz żyjemy już wystarczająco długo poza strefą handlowych wpływów imperium. Wśród mego ludu panuje nowy duch, nakazujący spoglądać

w przyszłość świeżym wzrokiem. Widzimy teraz możliwości, jakich nie dostrzegaliśmy przedtem. Mój ojciec pierwszy się do tego przyzna.

– Aha – powiedział Thaddeus obojętnie. – A więc wasza sytuacja jest aż tak zła?

Kiedy księżę zaprzeczał, w jego głosie pojawił się cień zdenerwowania. Powiedział, że Aushenia jest skromnym narodem, lecz nigdy nie była biedna. Jest bogata w bursztyn, kamień ceniony na całym świecie. Jej olbrzymie sosny są najlepszym budulcem dla statków w Znanym Świecie. A inne drzewa dają olej, który w sekretnym procesie przetwarza się na pak służący do uszczelniania kadłubów statków oraz ich ochrony przed wodą, solą i robactwem. Igguldan stwierdził, że byłby to skarb dla każdego narodu żeglującego po głębokim oceanie.

Sprawiał wrażenie, że jest przygotowany do ciągnięcia wyводу, lecz Sire Dagon chrząknął znacząco. Do tej pory siedział milczący i nieruchomy przy końcu stołu, lecz Aliver cały czas wyczuwał potęgę jego obecności. Liga Statków. Jego ojciec kiedyś powiedział, że to największa siła w całym imperium.

– Myślisz, że ja rządę światem? – zapytał wtedy sardonicznym i zagadkowym tonem.

Liga wyłoniła się z chaosu przed czasami Edifusa jako awanturnicza unia żegluga, a właściwie banda piratów. Pod rządami Tinhadina zdobyli kontrakt na zapewnienie transportu dla handlu z Lothan Aklun. Wraz z legalizacją przyszło takie bogactwo, że liga stała się monopolistą, sprawującym kontrolę nad całym handlem odbywającym się drogą morską. Wkrótce miała wpływy w każdym zakątku Znanego Świata. Po zdobyciu kontroli nad morską potęgą Akacji – umowa została wynegocjowana, kiedy siódmy akarański monarcha rozwiązał sprawiającą kłopoty marynarkę wojenną i poszukał skutecznej alternatywy u ligi – stała się potęgą militarną dysponującą prywatną armią, Inspektorem Ishtat.

Sire Dagon wyglądał obco, jak każdy przedstawiciel ligi. Zachowaniem przypominał bardziej kapłana jakiejś starożytnej sekty niż kupca. W dzieciństwie owiązano mu czaszkę tak mocno, że przybrała wydłużony kształt jaja z wąskim czubkiem. Szyję miał nienaturalnie długą i cienką, co było efektem noszenia podczas snu obręczy, których liczbę członkowie ligi zwiększali wraz z upływem lat. Mówił tak cicho, że ledwie go było słyhać, dziwnie bezbarwnym głosem.

– Ile osób liczy twój naród?

Księżę skinął głową w stronę starszego od siebie pomocnika, by ten udzielił odpowiedzi. Aushenianie liczą trzydzieści tysięcy mężczyzn, czterdzieści tysięcy kobiet, niemal trzydzieści tysięcy dzieci i niewielką liczbę starców, jako że Aushenianie najczęściej

sami kończą życie, kiedy uznają się za nieproduktywnych. W granicach ich państwa mieszka duża populacja cudzoziemskich kupców, lecz ich liczba jest nieznana, utrzymują też niedużą klasę służących, liczącą jakieś dziesięć do piętnastu tysięcy dusz.

Kiedy mężczyzna skończył, odezwał się Igguldan:

– Ale to już i tak wiecie. Od pewnego czasu mamy świadomość, że obserwują nas agenci ligi.

– Z całą pewnością jesteś w błędzie – odparł Sire Dagon, chociaż nie wyjaśnił, której ze spraw ten błąd dotyczy. – W przeszłości twój naród wyrażał zastrzeżenia wobec zasad naszego handlu. Mamy uwierzyć, że uległo to zmianie? Że twój ojciec spełni wszystkie wymagania odpowiadające naszej pozycji w imperium? Czy wiesz, jakim towarem handluje imperium i co otrzymujemy w zamian?

W chwili ciszy, jaka zapadła, zanim Igguldan odpowiedział, Aliver przeniósł wzrok z jego twarzy na innych członków Rady, na swego ojca i przedstawiciela ligi. Poczul, że jego tętno, muśnięte powiewem zagrożenia, przyśpiesza, i oznaki tego samego dostrzegł na innych twarzach, lecz nigdzie nie widział takiej dezorientacji, jaką sam odczuwał. O jakim towarze mówił Sire Dagon? Minerale z kopalń, węgiel z Senivalu, towary i drogocenne kamienie z Talay, egzotyczne produkty z Archipelagu Vumu – to są przedmioty międzynarodowego handlu. Towary wymienione przez Igguldana także znajdą nabywców. O jakim jeszcze towarze przedstawiciel ligi mówił, i to z tak złowieszczą powagą?

Igguldan odpowiedział mu niechętnym skinieniem głowy.

Sire Dagon z zadowoleniem skrzyżował dłonie i położył je na stole. Klejnot w jego pierścieniu przez chwilę odbijał rozbite światło.

– Po upływie pewnego czasu i rozsądnym namyśle wszystkie narody uznały nasze zasady za słuszne. Wszystkie dostrzegły korzyści płynące z naszych propozycji. Lecz musimy chronić nasze dokonania. Osiągnęliśmy równowagę i nie chcielibyśmy jej zachwiać. Dlatego w tej chwili nowi członkowie nie są mile widziani. Jestem przekonany, że mówię też w imieniu króla. – Sire Dagon skinął głową w stronę Leodana, nawet na niego nie patrząc, a potem jakby zmienił front. – Z drugiej strony... Powiedz mi, czy wasze kobiety są płodne?

Igguldan parsknął śmiechem, lecz szybko się opanował, jako że nikt nie poszedł w jego ślady. Rozejrzał się i wrócił spojrzeniem do Sire'a Dagona. Po twarzy młodzieńca było widać, że potraktował to pytanie jak niesmaczny, rubaszny żart. Wywiązała się dyskusja, której Igguldan przysłuchiwał się najwyraźniej z takim samym zdumieniem jak Aliver. Aushenijscy negocjatorzy byli bowiem przygotowani na to pytanie. Podali dane statystyczne dotyczące wieku, w jakim aushenijskie kobiety dojrzewają płciowo, częstotliwości

zachodzenia w ciążę i liczby zgonów wśród dzieci.

Aliverowi wydawało się przez moment, że kąciki ust Sire'a Dagona unoszą się z rozbawieniem, lecz po chwili już nie był pewien, czy to słuszna interpretacja jego miny. Przedstawiciel ligi powstrzymał się od jakiegokolwiek odpowiedzi i ponownie pogрузzył się w milczeniu. Spotkanie toczyło się dalej bez słowa z jego strony.

Leodan z wyraźnym zadowoleniem skierował rozmowę na inne tory.

– Słyszę przekonanie w twoim głosie, książę, i podziwiam je. Lecz także od dawna podziwiam niezależność twojego narodu. Jako ostatni w Znanym Świecie jesteście całkowicie samodzielni; dla niektórych z nas twój naród stanowi... no cóż, natchnienie.

– Panie – odparł Igguldan – nie da się wyżywić, odziać i zaspokoić potrzeb narodu samym tylko natchnieniem. My, Aushenianie, nie mamy się czego wstydić, lecz jest dla nas jasne, że świat odszedł od wzorca, za którym tak długo tęskniliśmy.

– To znaczy? – zapytał Thaddeus. – Odśwież nam pamięć.

– Aushenią od czasu do czasu rządziły kobiety o wielkiej mądrości. Nasza królowa Elena proponowała w swoich dekretach, by Znany Świat stanowił federację wolnych i niezależnych narodów, z których żaden nie podlegałby innemu, handlującym swoimi najlepszymi towarami, trzymającym się swoich obyczajów i narodowego charakteru, uznającym dawne tradycje i religie, lecz wyciągającym przyjazną dłoń do innych. To właśnie zaproponowała Tinhadinowi.

Jeden z członków Rady zauważył, że taki system mógłby funkcjonować na poziomie podstawowych potrzeb – każdy naród mógłby radzić sobie samodzielnie i przestrzegać zasad równości. Niestety, żaden nie osiągnąłby bogactwa i stabilności, jakie stworzyła akacjańska hegemonia dzięki handlowi zarządzanemu przez ligę. Pozostałyby sprzeczącymi się ze sobą wyspami narodowego zapału, tak jak to było przed Wojnami Rozdziału.

Igguldan nie usiłował tego kwestionować. Skinął głową i gestem ręki pokazał, że ten oto pałac jest potwierdzeniem, że to prawda.

– Królowa odpowiedziałaby ci, że to, co najwspanialsze, nie zawsze jest najlepsze, szczególnie kiedy bogactwa zbudowane na pracy wielu ludzi należą do nielicznych. – Igguldan pochylił głowę i przeciągnął dłonią po włosach. – Lecz nie przybyłem rozmawiać o tym. Elena należy do przeszłości; my patrzymy w przyszłość.

– Czasami potrafię sobie wyobrazić świat, jakiego pragnęła wasza królowa – rzekł Leodan.

– Ja też – odparł książę – lecz tylko z zamkniętymi oczyma. Gdy się je otworzy, świat jest zupełnie inny.

Kiedy po mniej więcej godzinie spotkanie dobiegło końca, król zasiadł do herbaty z Aliverem i kanclerzem. Starsi mężczyźni przez jakiś czas omawiali rozmaite aspekty spotkania. Potem Aliver z zaskoczeniem usłyszał skierowane do siebie pytanie:

– Co sądzisz o tym wszystkim?

– Ja? Myślę... że ksiązę wydaje się rozsądny. Jak dotąd nie mogę powiedzieć o nim nic złego. Jeśli prawdziwie przedstawia swój naród, to jest to dla nas dobre. Tylko jeśli tak wysoko nas cenią, dlaczego nie przyłączyli się do nas wcześniej?

– Przyłączenie się do nas oznacza wiele rzeczy – rzekł Leodan. – Słusznie się wahają, lecz od pewnego czasu wyraźnie dają do zrozumienia, że chcą być naszymi przyjaciółmi, jeśli my odpłacimy im tym samym.

Thaddeus pokazał ruchem ręki, że sprawa nie jest taka prosta.

– Twój ojciec jak zwykle szafuje słowami.

– Nie, jest tak, jak mówię. Od wielu lat wyciągają ku nam przyjazną dłoń. My jej po prostu nie przyjmujemy.

– To dobrze. Nasza cierpliwość się opłaciła. – Kanclerz mówił, jakby zwracał się do króla, lecz jego wzrok spoczął na Aliverze odpowiednio długo, by można było się domyślić, że rozwija temat głównie dla niego. – Ksiązę nie przyznał, że Aushenia musi bardzo cierpieć. Dziwię się, że tak długo utrzymali się poza imperium i nie załamali się pod finansowym ciężarem takiej polityki. Mają pewne bogactwa mineralne, owszem, lasy nadające się do użytkowania, kilka dobrych portów, bursztyn i pak, o których mówił Igguldan, lecz bez handlu z ligą niewiele mogą z tym zrobić. To dumny naród, ale został zmuszony do sprzedaży towarów na czarnym rynku i handlowania z piratami. To nie bardzo się zgadza z tym całym ich idealizmem. Składają tę propozycję tak bezpośrednio, ponieważ potrzebują nas bardziej niż my ich. Jeśli ich przyjmiemy, określenie ich statusu w naszym imperium będzie delikatną kwestią. Na nowego vedela, pokonanego członka najniższej rangi, nakłada się wiele ciężarów.

– A jeśli nie przystąpią do imperium jako vedele? – zapytał król.

– Muszą to zrobić. Stare prawa nie przewidują innej kategorii. Tinhadin wyraźnie powiedział, że za jego czasów cały świat ma wybór i może albo się do niego przyłączyć, albo z nim walczyć. Kiedy Aushenia odmówiła przyjęcia akacjańskiej hegemonii, zadecydowała o swoim losie. – Thaddeus przerwał, by upić łyk herbaty, a potem podniósł głos, by odeprzeć przewidywany argument. – Pokolenia, które minęły od tamtych czasów, niczego nie zmieniają. Każdy przywódca każdego narodu rozumie, że jego decyzje mają wpływ na wszystkie przyszłe pokolenia. Kiedy królowa Elena odrzucała propozycję Tinhadina, wiedziała, że jej lud będzie ponosił tego konsekwencje po wsze czasy.

– Thaddeus mówi o czerni i bieli w świecie tysiąca barw – rzekł Leodan. – W rzeczywistości podczas dawnych wojen ani nie podbiliśmy Aushenii, ani jej nie pokonaliśmy. Gdyby nie była także wrogiem Meinów, być może wcale byśmy nie zwyciężyli. Od setek lat Aushenianie nie są ani naszymi sojusznikami, ani wasalami, ani wrogami.

– Tak, od setek lat – powiedział Thaddeus – a tego nie da się zmienić z dnia na dzień. Prawdę mówiąc, Aliverze, twój ojciec z radością powitałby Aushenian. On jest idealistą. Marzy mu się świat, w którym wszyscy są mile widziani przy stole. Nie chce przyznać, że aby w ogóle był jakiś stół, wielu musi być wykluczonych z uczty. A na tym właśnie liga opiera wszystkie swoje decyzje. Dlatego Aushenia najprawdopodobniej nie zostanie przyjęta. Liga przeciwstawia się jakimukolwiek rozszerzeniu. Mam wrażenie, że Aushenia ją interesuje, ale z jakichś powodów, których zapewne nigdy nie poznamy, liga powstrzymuje się przed jej przyjęciem. Być może wasz nauczyciel jeszcze wam tego dokładnie nie wyjaśnił, ale imperium jest w równej mierze przedsięwzięciem handlowym, jak politycznym. Bardzo mało wiemy o tym, jak liga prowadzi swoje interesy, lecz jeśli nie chce Aushenii, to Aushenia pozostanie poza hegemonią.

Leodan uniósł dłoń do twarzy. Sprawiał wrażenie zmęczonego rozmową.

– I to, synu, jest istota problemu.

– W czerni i bieli – dodał Thaddeus.

ROZDZIAŁ 11

Zabójca przybył do Akacji w tajemnicy, ponieważ nie miał innego wyjścia. Gdyby ktokolwiek wiedział o misji Thasrena, byłoby o wiele za dużo okazji do jej ujawnienia. Wielu mieszkańców imperium narzekało na dominację Akacji, lecz Thasren nie mógł ufać nikomu spoza swojej stolicy. Nawet nie odwiedzał agentów ukrytych w granicach Akacji; niektórzy mieszkali tam od wielu lat, inni od wielu pokoleń. Kto wie, w jak zgubny sposób mógł na nich wpłynąć ten południowy klimat? Sam trafił do dolnego miasta, a potem wszedł przez główną bramę w przebraniu robotnika. Po rojnych ulicach chodził niezauważony, ze swobodą, która napełniała go odrazą do tych ludzi. Żaden obcy nie mógłby w podobny sposób wałęsać się po Tahalian. Jaki jest pożytek z życia w takiej potężnej fortecy, skoro wrogi agent tak łatwo może do niej przeniknąć? Ta wyspa marnuje się przy tym narodzie. Kiedy patrzył na wystawione na widok publiczny bogactwa pałacu, serce biło mu żywiej w oczekiwaniu na przyszłe wydarzenia. Pod panowaniem Meinów Akacja będzie bastionem nie do pokonania. Upajał się tymi myślami, chociaż wiedział, że nie dożyje tych wspaniałych czasów.

Zapytawszy kilku śniadych przechodniów o drogę, znalazł się w dzielnicy, w której mieszkali zagraniczni dygnitarze. Udawał, że jest czymś zajęty, ale w rzeczywistości czekał na tę jedną osobę, z którą planował się spotkać. Nie trwało to długo. Trzeciego popołudnia spędzonego w mieście rozpoznał ambasadora swego narodu. Niegdyś jasne włosy Gurnala nabrały metalicznego połysku, co się często zdarzało, gdy mieszkańcy Meinu zbyt długo przebywali na południu. Najpierw spostrzegł w tłumie tylko jego głowę, lecz kiedy ambasador zatrzymał się blisko niego, Thasren zobaczył, że ma na sobie taką samą luźną szatę jak Akacjanin, sandały i wełniane skarpety. O jego pochodzeniu świadczył jedynie medalion na piersi. Maeander słusznie podejrzewał, że Gurnal przekroczył pewną granicę. Dlaczego słabi ludzie są tak podatni na pokusy? Dlaczego naród zbudowany na kłamstwach jest tak atrakcyjny dla osób, które powinny być mądrzejsze?

Pytania te wciąż nurtowały Thasrena, kiedy wieczorem wspiał się po kamiennym murze i zeskoczył na ciemny dziedziniec na tyłach kompleksu budynków ambasadora. Po popołudniowej obserwacji był przekonany, że wie, ile dokładnie mieszka tam osób. Zaczął metodyczne poszukiwania. Powoli przemierzał cały dom, zatrzymując się w każdym

pomieszczeniu, by oczy przyzwyczaiły się do najmniejszych zmian światła czy cienia. Uważał, by na nic nie wpaść i nie narobić hałasu, co było dość trudne w domu pełnym bezużytecznych przedmiotów – ozdobnych wazonów i posągów naturalnej wielkości, krzeseł za małych, by na ich usiąść, i wypchanych zwierząt. W każdym pomieszczeniu wyczuwał inny zapach. Uświadomił sobie – może z większą łatwością, niż gdyby trafił tam za dnia – że były to zapachy różnych kwiatów.

Znalazł śpiącą córkę ambasadora i związał ją bez najmniejszego hałasu. Kiedy przycisnął do jej otwartych ust skrawek materiału, uniosła tylko dłoń, jakby nie chciała, by ją budzono z przyjemnego snu. Nastoletni syn gospodarza był silny i miał lekki sen, więc wywiązała się krótka szamotanina w ciemności. Były to dziwne zapasy, gdyż chłopak ani razu się nie odezwał, nawet wtedy, gdy zabójca wykręcił mu ręce, niemal je łamiąc. Kiedy matce dzieci przytknął do tchawicy zakrzywiony nóż, kobieta tylko westchnęła. Otworzyła oczy, popatrzyła wprost na niego i wypowiedziała bezgłośnie imię męża, ale Thasren nie wiedział, czy miało to być błaganie, czy oskarżenie. Wszystkich związał tam, gdzie ich znalazł, doskonale zdając sobie sprawę ze swego miłosierdzia. Za to trzej służący to co innego. Spali blisko siebie i wszyscy się obudzili, by z nim walczyć. Rozcinanie ich ciał, słuchanie, jak milkną i nieruchomieją, sprawiło mu niemal ulgę, dało poczucie odprężenia. Szamotanina była na tyle głośna, że nie ruszał się jeszcze przez jakiś czas, nasłuchując, czy nikt tego nie usłyszał.

Gurnal powinien był już dawno się zerwać, być uzbrojony i śmiertelnie groźny, lecz te wszystkie lata spędzone w Akacji przytępiły jego zmysły i odruchy. W chwili, kiedy zabójca wszedł do jego pokoju, ambasador przetoczył się z jednej strony łóżka na drugą, zaplątany w pościel jak dziecko. W końcu uniósł się na łokciach, mamrocząc coś półgłosem, spuścił bose stopy na podłogę i usiadł. Czy czuł, że coś jest nie w porządku? Jeśli tak, to nie zachowywał się odpowiednio. Nie zauważył Thasrena stojącego w mroku za rogiem szafy. Znów coś mruknął, wstał i ruszył w stronę korytarza.

Zabójca wyskoczył zza szafy i wprawnym ruchem ciął ambasadora nożem pod kolanami. Kiedy Gurnal padł na ziemię, chwycił kołnierz jego szaty i szarpnął do tyłu. W następnej chwili już przygniatał kolanami ręce ambasadora. Gurnal wrzasnął z całej siły, jaką udało mu się zebrać, lecz napastnik przycisnął mu do czubka nosa zakrwawioną klingę noża. To go uciszyło.

– Wobec kogo jesteś lojalny? – zapytał Thasren.

Mówił ojczystym językiem, pełnym nieharmonijnych dźwięków; brzmienie słów przypominało trzask rzecznych otoczków rozbijanych dłutem.

Mężczyzna wpatrywał się w szare oczy napastnika.

– Wobec Meinów. Krwi Tunishnevre, tysiacy umarłych, z którymi... stanowią jedno.

– Dobrze, że wypowiadasz takie słowa. Są właściwe, ale czy ty jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu?

– Oczywiście – odparł Gurnal. – Kim jesteś? Dlaczego mnie okaleczyłeś? Jestem...

– Cicho! To ja będę zadawał pytania. – Zabójca przesunął się i teraz wbijał kolano w pierś ambasadora. – Kiedy masz się znaleźć blisko króla?

Westchnieniami i zboląłą miną Gurnal demonstracyjnie pokazywał, że jest mu niewygodnie. Zabójca mocniej nacisnął na jego pierś i wreszcie Gurnal wykrztusił odpowiedź. Początkowo mówił z niedowierzaniem, jakby cała ta sytuacja – jego gwałtowne obudzenie, okaleczenie i zadawanie mu przypadkowych pytań – była nierealna. Napastnik miał jednak więcej pytań. Zadawał je tak, jakby ta rozmowa nie była niczym nadzwyczajnym. Gurnal odpowiadał, opisując szczegóły swego codziennego życia, obowiązki, miejsca, w których go oczekiwano w ciągu kilku najbliższych dni, i to, co miał tam robić. Wkrótce zaczął czerpać pociechę ze swoich odpowiedzi, jak gdyby wszystkie te liczne zobowiązania gwarantowały mu miejsce w świecie żywych.

W końcu Thasren wrócił do pierwszej kwestii.

– Spotkasz się z nim tego wieczoru?

– Tak, oczywiście. Mam być w sali, kiedy będzie witał delegację z Aushenii. Będę jednym z wielu...

– Czy zaplanowano ucztę?

– W pałacu za dwa dni. Będę na niej osobiście. Zaproszono tylko niewielką grupę ludzi. Spożywanie posiłku przy królewskim stole jest rzadkością, ale... – Mężczyzna umilkł. W jego oczach pojawiło się zdumienie. Przez chwilę poruszał szczęką. – Ja cię znam. Thasren! Thasren...

Zabójca uciszył go syknięciem i przytknął usta do jego ucha, muskając wargami miękką skórę.

– To, kim jestem, nie ma dla ciebie znaczenia. Ważne jest to, że stałeś się słaby. Mówisz ustami, a nie sercem. – Ambasador zaczął protestować, zerkając na boki, jakby liczył, że do pokoju wśliznął się niepostrzeżenie ktoś, kto mógłby mu pomóc, i tylko czeka na kontakt wzrokowy. – Może usłyszą cię Callachowie, którzy osądzają wszystkich u bram gór, i pozwolą ci wejść. Lecz w tym świecie twoją wartość ocenia inny pan i nie jest on z ciebie zadowolony. Hanish Mein już nie ceni twego życia, ale ponieważ jesteś Meinem, będziesz miał ostatnią szansę wykazania się lojalnością.

Przez następne kilka godzin wyjaśniał ambasadorowi i jego rodzinie, jak to ma się odbyć. Opisał im ból i tortury, jakie zada im Hanish, jeśli nie spełnią choćby części jego żądań. Przypomniawszy im o obowiązkach wobec swojej rasy i podkreślił, że Tunishnevre mają taki zasięg, że żaden Mein nie zdoła ująć przed ich gniewem. Aby się uratować, rodzina ambasadora ma zrobić tylko kilka rzeczy. Żona i dzieci mają się pokazywać publicznie, tak jakby nic się nie zmieniło. Mają przymilać się do Akacjan, i im schlebiać, znaleźć wytłumaczenie nieobecności służących i nie wpuszczać nikogo do domu. Gurnal nauczy Thasrena wszystkiego, co powinien wiedzieć, by dostać się w pobliże króla, powie mu o obyczajach, których należy przestrzegać, o tym, kogo może spotkać i z jakimi przeszkodami może się zetknąć. Krótko mówiąc, mają mu pomóc zabić króla.

Kiedy Thasren wyszedł po południu z domu ambasadora, miał na głowie perukę zrobioną z włosów obciętych jednemu z zabitych służących, którą przytrzymywała opaska spleciona z końskiego włosia, tradycyjna ozdoba na ważne okazje. Był najlepszym kandydatem do wykonania tego zadania nie tylko ze względu na swoje umiejętności jako zabójcy. Jego twarz była bardzo podobna do twarzy Gurnala – ten sam kształt, niemal identycznie skośne oczy i kości szczęki. Przecież wywodzili się z tego samego drzewa genealogicznego – byli kuzynami w drugiej linii ze strony matek. Najbardziej różnili się włosami, lecz to zostało już naprawione. I Drogę prowadzącą pod górę do pałacu znalazł dość łatwo. Przeszedł przez królewską bramę w tłumie ludzi, nie tylko nie zatrzymywany przez strażników, ale wręcz przynaglony ruchem dłoni jednego z nich. Jako że nikt z tych ludzi nie mógł się znaleźć w pobliżu króla, nie szukano u nich broni, lecz tylko obserwowano ich i zatrzymywano w wyznaczonych miejscach jako widzów, a nie uczestników wydarzeń. Thasrenowi nie podobał się zapach tego miejsca, składający się z mieszaniny rozmaitych woni, wód kolońskich i perfum z wielu obcych krain. Było tak, jak mówił Hanish: przedstawiciele różnych narodów i ras kłaniali się i uśmiechali do akacjańskich panów. Czy cały świat zapomniał, co to jest narodowa duma? Ci ludzie byli jak stado kopytnych – jeleni i antylop – zebranych po to, by wychwalać lwa, który pożera ich dzieci. To nie miało żadnego sensu.

Cały wieczór stał przy wejściu do sali, udając, że jest mu wygodnie w dziwacznym stroju ambasadora, i kiwając głową ludziom, kiedy napotykał ich spojrzenia. Kilka razy odwrócił się od osób, które sprawiały wrażenie, że chcą z nim porozmawiać. Dwa razy wdał się w konwersację z dwoma mężczyznami, którzy najwyraźniej dobrze znali ambasadora. Kaszłał, zakrywając sobie usta, i usprawiedliwiał swoje milczenie przeziębieniem. Akacjanie w lot podchwycili komizm tego tłumaczenia. Żartowali, że zbyt długo przebywa na wyspie.

Staje się Akacjaninem, podatnym na najmniejsze podmuchy zimnego powietrza. Odeszli, uśmiechając się.

Wysiłek, jaki wkładał w to maskowanie się, wyczerpał go. Przez cały czas serce biło mu jak oszalałe. Kropelki potu skapywały mu z nosa, pojawiały się na policzkach i spływały niewidzialne spod pach. Pod peruką czuł warstewkę wilgoci. Lecz ludziom, którzy na niego patrzyli, wydawał się spokojny. Kiedy tłum się uciszył, krzykacz zawołał o uwagę i do sali wszedł król w złotej koronie – wieńcu najeżonym kolcami, imitującym drzewo, od którego nazwę wzięła wyspa – zrozumiał, że jest blisko, bardzo blisko zapisania się w historii swego narodu. Tego wieczoru nie zamierzał jednak zbliżyć się bardziej. To tylko przymiarka; najlepiej dokonać tego czynu nazajutrz.

ROZDZIAŁ 12

Bez wiedzy ojca, rodzeństwa ani nawet niani, pod której opieką miał spędzać popołudnia, Dariel Akaran często uciekał z pokoju dziecinnego i całymi godzinami wędrował po pałacu. Jego podróże zaczęły się ubiegłego lata, kiedy poprzednia niania zachorowała i zastąpiła ją starsza kobieta. Jeśli chodzi o jej sporą tuszę i pogodne usposobienie, nadawała się na opiekunkę, lecz do herbaty dolewała sobie czegoś, co zawsze ją usypiało. I Dariel to wykorzystywał.

Nawet jeśli się obudziła i stwierdziła, że go nie ma, komnaty przeznaczone dla dzieci były tak liczne i duże, że nie warto było go szukać w labiryncie połączonych pomieszczeń. Kiedy się pojawiał, zwykle od razu zaczynał z nią rozmawiać, narzekając na nudę i błagając, by zagrała z nim w jakąś grę planszową, w strzałki lub w żołnierzy królestwa albo żeby się z nim fechtowała na kije... a staruszka nie miała sił do takich zajęć. Zostawiała więc chłopca samego na coraz dłuższy czas, tak jak sobie życzył.

Na ukryty korytarz natknął się przypadkiem, szukając szklanej kulki, która zniknęła w szparze między szafą i ścianą. Szafa była olbrzymia, zakrywała większą część ściany. Zrobiona była z litego mahoniu i mały chłopiec nie zdołałby jej przesunąć. Wcisnął się więc za nią, najpierw wsuwając całą rękę, a potem nogę i resztę ciała; klatką piersiową dotykał drewna szafy, a plecami szorował po zimnym granicze ściany. Usiłował kucnąć, aby sięgnąć palcami tam, gdzie, jak sądził, utkwiała kulka. Tak bardzo chciał jej dosięgnąć i tak bardzo złościły go przeszkody broniące do niej dostępu, że kiedy w końcu przykucnął i przesunął palcami po zakurzonej podłodze, nawet się nie zastanawiał, jak mu się to udało.

Dopiero ściskając w dłoni szklaną kulkę, uświadomił sobie, że znajduje się w jakimś korytarzu, oświetlonym tak, że rozróżniał tylko z grubsza wygładzone kamienie ścian, co we wnętrzu pałacu rzadko się widywało. Panowała tu cisza, spokój, jakiego Dariel nie czuł nigdy przedtem. Powietrze poruszało się lekko, owiewając chłopca niczym szept.

W ten sposób zaczęły się jego wyprawy do od dawna zapomnianej sieci korytarzy, używanej w dawnych czasach przez służących do dyskretnego poruszania się po pałacu. Był to labirynt schodów, tuneli, korytarzy i ślepych zaułków, czasem rozjaśniony światłem wpadającym przez otwory przewiercone w kamieniu. Dariel wchodził do opuszczonych, w pełni umeblowanych komnat z tkaninami ściennymi i dywanami ledwie widocznymi spod

grubej warstwy kurzu. Wędrując po tych zakamarkach, nigdy na nikogo się nie natknął, lecz wystarczająco dużo strachu napędzały mu groźne stworzenia wyrzeźbione na nadprożach, stwory o wylupiastych oczach, chodzące na dwóch nogach jak ludzie, lecz mające części ciała wzięte od dzików i lwów, jaszczurek, hien i orłów; jeden z tych stworów wyglądał nawet jak żaba, tyle że jego pełen agresji pysk nie miał nic wspólnego z zabawnymi stworzeniami wychodzącymi wiosną z ziemi. Jaki dziwny lud musiał wyrzeźbić te wizerunki! Jakże przerażające musiały być czasy, kiedy ludzie jeszcze nie zaczęli się odróżniać od zwierząt. Kiedyś za Darielem weszła do takiej komnaty złocista małpka, lecz, ujrawszy te postacie, czmychnęła, a chłopiec zaczął się zastanawiać, czy nie powinien pójść w jej ślady.

Raz wyszedł z długiego, wąskiego korytarza na jaskrawe światło słońca i rozbijające się tuż pod jego stopami morskie fale. Wyczołgał się na skalną półkę, oślepiiony blaskiem dnia. Odnalazł ukrytą drogę prowadzącą na sam brzeg morza na północnym krańcu wyspy, niedaleko świątyni Vady. Wdychał słono-wilgotne powietrze, a wiatr rozwiewał mu włosy. W odległości rzutu kamieniem kotłowała się w wodzie ławica ryb. Krążyły nad nią duże morskie ptaki z rozwartymi dziobami. Na oczach Dariela jeden z nich złożył skrzydła i zanurkował do morza.

Chłopiec postanowił wrócić tą samą drogą i znaleźć coś, co posłużyłoby mu za wędkę. Kiedy jednak się odwracał, rozbijająca się o skałę pod nim wyjątkowo wysoka fala uderzyła Dariela i uniosła go w powietrze. Przez chwilę wszędzie wokół niego kłębiła się i syczała woda. Zaczął gorączkowo wymachiwać nogami i rękami, aby chwycić się półki, na której do niedawna stał, aż w końcu zaklinował się między dwoma głazami.

Przez chwilę leżał, dysząc spazmatycznie. Mógł zniknąć pod falami i nikt by się domyślił, co się z nim stało. Po prostu by zniknął.

Na myśl o tym zaczął szlochać. Nie wrócił już nigdy do tego miejsca ani nikomu o nim nie wspomniał. Chociaż to wydarzenie przeraziło go – wszystkie jego podziemne eskapady sprawiały, że serce waliło mu jak młotem i mrowiły mu dłonie, a upiorne tchnienia powietrza w korytarzach jeżyły mu włoski na karku – wciąż uwielbiał spędzać czas w tych tajemnych miejscach. Nie chciał zaprzestać swoich wypraw, a wiedział, że będzie musiał to zrobić, kiedy tylko ktoś się o nich dowie.

To znaczy ktoś ze świata górnego pałacu. Zamieszkujący go ludzie nie byli jedynymi jego lokatorami. Dariel odkrył zapomniane korytarze, które prowadziły do wciąż wykorzystywanych pomieszczeń. Ten świat był równie interesujący. Dariel był dobrze znany i lubiany w podziemnej społeczności niewidzialnych służących i inżynierów, kucharzy i techników, dzięki którym pałac funkcjonował. I to właśnie u boku tych ludzi chłopiec zasnął

największej radości w towarzystwie dorosłych – z wyjątkiem ojca, którego wręcz uwielbiał. Trochę to trwało, zanim się do niego przyzwyczaili i wyzbyli strachu, że chłopcu mogłoby się coś stać, za co zostaliby ukarani. Niektórzy wcale nie nabrali do niego sympatii – Dariel przypuszczał, że pod jego nieobecność sprzeczali się o niego – wśród innych znalazł jednak wiernych przyjaciół. Jeździł na ciągniętych przez osiołki wózkach, którymi człowiek imieniem Cevil przywoził do pałacu zaopatrzenie z niżej położonych spiżarni. Stawał między pełnymi biodrami specjalistek od wypieków i podkrażał im swoje ulubione słodkie herbatniki. Siadywał u nóg wiekowych byłych pracowników pałacu, którzy wiedli skromne życie emerytów w labiryncie jaskiń, niewidzialni dla królewskich sfer.

Czuł też wielki podziw dla trudu palaczy, pracujących w parnych, poczerńiałych, podobnych do katakumb pomieszczeniach pod kuchniami. Spędzał tam całe dni. Piece używane przez królewskich kucharzy były ogrzewane przez gigantyczne paleniska, od których rozchodziły się w sklepieniu całe sieci tak splątanych rur, że mimo nieustannie zadawanych pytań chłopiec nie mógł się w nich połapać. Główne pomieszczenie znajdowało się w ponurej jaskini; było pokryte warstwą sadzy i spowite chmurą pyłu węglowego, a pracowali w nim poczerńiali, często półnagzy, lśniący od potu mężczyźni o umięśnionych rękach i ramionach, zaczerwienionych oczach i pożółkłych zębach. Pomieszczenie było otwarte z jednej strony, ale nie z powodu wspaniałego widoku na morze, lecz dla złagodzenia gorąca buchającego z palenisk i przyjmowania ładunków senivalskiego węgla, przywożonego barkami z Łądu.

To tutaj wyprawił się Dariel rano w dniu uczty na cześć Aushenian. Już z daleka słyszał hałas i czuł zapach sadzy w powietrzu, które za każdym zakrętem wykutego w granicie korytarza stawało się coraz cieplejsze. Kiedy stanął w jaskini, gorąco z pieców uderzyło w niego z rykiem, jakby wszedł w paszczę jakiegoś zwierza. Przez kilka chwil mężczyźni oświetleni czerwonym żarem przedstawiali straszliwy widok. Widząc pewną konkretną osobę, Dariel ruszył w jej stronę.

Val utrzymywał, że jest Candovianinem. Utrzymywał też, że w młodości był piratem z Szarych Zboczy. Dariel odnosił się do tych twierdzeń z rezerwą. Val sprawiał wrażenie tak stopionego ze skałami i ziemią Akacji, że Dariel nie umiał sobie wyobrazić, by urodził się gdzieś indziej. Nigdy jednak nie kwestionował jego zdumiewającej siły. Val miał tak potężny tors, że kiedy chłopiec ujrzał go po raz pierwszy – mężczyzna poruszał się przy paleniskach z niezdarną gracją, oświetlony od tyłu ognistym blaskiem – przycisnął dłoń do piersi, pewien, że natknął się na olbrzymów podsycających płomienie wulkanów świata.

Mimo wszystko zadrżał, kiedy ujrzał go teraz. Val rzucił komuś gniewny rozkaz, a

potem pochylił się, by chwycić kawał węgla wielkości małego dziecka. Wtedy spostrzegł Dariela. Wyprostował się i przeciągnął ogromną dłonią po ustach, ścierając z nich dopiero co wypowiedziane przekleństwo.

– Czego chcesz, młody królewiczu? – zapytał, podchodząc i przyklękając. – Nie wiesz, że dziś wieczorem odbędzie się uczta? Twój ojciec wydaje ją na cześć aushenijskiego księcia. To nie jest dobra pora na zabawy tu, na dole. Chyba że dlatego przyszedłeś – żeby narobić staremu Valowi kłopotów.

Jak zwykle Dariel poczuł w obecności rosnącego mężczyzny przyływ nieśmiałości, chociaż coś go do niego ciągnęło i podobało mu się, że czuje się taki mały przy tym zwalistym palaczu. Odpowiedział tak, jak często to robił – wstydliwym uśmiechem i niewyraźnym zapewnieniem o swojej niewinności.

Mężczyzna położył dłoń na ramieniu chłopca.

– Chodź – powiedział, wstając z pewnym wysiłkiem. – I tak jest pora na przerwę. Odetchnijmy świeżym powietrzem.

Oddalili się od pieców. Dariel szedł za Valem, który torował sobie drogę w tłumie robotników. Wszędzie dookoła panował ruch – szufle podrzucały węgiel, wózki ciągnięte przez ponure osiołki przejeżdżały ze skrzypieniem, mężczyźni drżeli z wysiłku i przeklinali – lecz chłopiec wiedział, że dopóki będzie się trzymał blisko Vala, będzie bezpieczny. Czasami potykał się na nierównym podłożu, a raz wpadł na nogi Vala, gdy ten zatrzymał się, by przepuścić wózek. Dłoń mężczyzny spoczęła na chwilę na ramieniu malca, a potem poszli dalej.

Niebo było zaciągnięte grubymi warstwami chmur, lecz mimo to wyjście z jaskini na zimowy poranek niemal ich oślepiło. Wyłonili się niczym ze szczeliny wulkanu, jakby byli śmierdzącym wyziewem z głębi ziemi, witany przez pachnące solą powietrze. Weszli trochę wyżej po schodach wyciętych w skale, a potem ruszyli po pochylni, która otwierała się na piece zasilane z leżących poniżej palenisk.

Kiedy Dariel wszedł do sali jadalnej, zobaczył, że Karan, kobieta wydająca posiłki robotnikom, właśnie wsunęła tacę z twardymi ciasteczkami na półkę stojaka, na której stygły. Na widok jej rozkołysanych piersi stanął jak wryty; zaczerwienił się z zażenowania, którego nie rozumiał i które pojawiło się, kiedy Karan zerknęła na niego, jakby znała jego myśli lepiej od niego. Przeniosła spojrzenie na Vala. Oparła dłonie na biodrach, widocznych spod ściągniętego w pasie fartucha i zmierzyła mężczyznę wzrokiem pełnym dezaprobaty.

– Ależ ty wyglądasz – powiedziała. – Przychodzisz tu, nawet nie spryskawszy twarzy wodą.

Chociaż Dariel miał niewiele lat, wiedział, że to on, a nie brygadzysta, wywołał jej niezadowolenie. Pomyślał, że nigdy mu nie ufała tak jak Val, lecz nie miał pojęcia, dlaczego ani jak mógłby jej zaszkodzić. Wyczuwał także, że bez względu na to, jak chłodnym tonem odzywa się do Vala, lubi go, ale tak ją to krępuje, że chciałaby to ukryć.

– Gdybym miał powód, aby dbać o wygląd, możesz być pewna, że bym to robił, kobieto – rzekł Val – ale przyszedłem tu tylko po ciasteczka i herbatę. Nie wiedziałem, że do zjedzenia ciasteczka i wypicia łyka herbaty muszę się myć.

Zerknął na Dariela, szukając nieco współczucia, a potem jedną ręką zgarmał ciasteczka z tacy i wsypał je do drugiej dłoni.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedział trochę później, kiedy wrócili na schody i usiedli obok siebie z ciasteczkami i herbatą pośrodku; nad skalistym zboczem zwisła jedna para długich nóg i jedna krótkich. – Uważa, że nie powinieneś jeść tego, co robotnicy.

Dariel uniósł ciasteczko w palcach i przyglądał mu się bez entuzjazmu, jako że było twarde i pozbawione smaku.

– Lubię je – powiedział. – Trudno je ugryźć – dodał, jakby to był komplement.

– Jasne. Mówię jej to, ale niektórzy ludzie są dziwni.

Dariel zdecydowanie podzielał tę opinię.

– Dlaczego ona mnie nie lubi?

– Jej rodzina gotuje dla twojej od wielu pokoleń. Jesteśmy służącymi i nie powinniśmy się zadawać z osobami królewskiej krwi. Ona ma rację, ale ja mam swoje zdanie. Jesteś dobrym chłopcem. Poza tym za jakiś rok nie będziesz już sobie zawracał mną głowy. Przystaniesz przychodzić. Nie chcę cię urazić. Po prostu mówię, że będziesz miał ciekawsze zajęcia. Będziesz się szkolił. Będziesz się uczył, jak być królewiczem. Karan sądzi, że w jakiś sposób przyczynisz się do mojej śmierci. Powiedziała, że jej się to przyśniło, na co odrzekłem, że chyba jadła przed snem własne potrawy. Ale ona potrafi zmusić człowieka do myślenia. Więc chcę cię zapytać... o co w tym wszystkim chodzi?

Dariel zrobił zdumioną minę, a Val pochylił się ku chłopcu i ściągnął brwi.

– Dlaczego jesteś tu na dole ze mną, jesz moje twarde ciasteczka i pijesz ze mną czarną herbatę? Jesteś królewiczem, Darielu, to musi być dla ciebie jak jedzenie ziemi, nie mówiąc już o moim prostackim towarzystwie.

Dariel odwrócił wzrok. Speszyciło go nie samo pytanie, lecz ton, jakim olbrzym je zadał. Było w nim coś fałszywego, jakby nie zrodziło się z prawdziwych emocji mężczyzny. Dariel dość dobrze umiał wychwycić fałsz. Już kiedyś wyjaśnił, jak znalazł drogę do robotniczej części pałacu. Powiedział, że lubi przygody, niebezpieczeństwo, że nie lubi tak

wyniosłych i oficjalnych ludzi jak ci na dworze. Val już to wszystko słyszał, lecz co pewien czas zadawał to samo pytanie, jakby żadna z poprzednich odpowiedzi Dariela go nie zadowalała. Aby wypełnić czymś ciszę, chłopiec wypowiedział na głos pierwszą myśl, jaka przyszła mu do głowy.

– Staruszka, która mnie pilnuje, pije coś na zaśnięcie.

– Tak?

– Tak, więc siedzenie z nią jest nudne.

Val wepchnął do ust ciasteczko i zadał pytanie z pełnymi ustami:

– Kto chce patrzeć na śpiącą staruszkę?

I znów Dariel usłyszał w głosie mężczyzny cień ironii, lecz nie zwrócił na nią uwagi. Dostrzegł bowiem zaproszenie do podzielenia się swoimi troskami. Wyjaśnił, że jego starsze rodzeństwo nie zawsze jest dla niego miłe. Natychmiast się poprawił. Mena właściwie zawsze jest miła, ale Corinn uważa go za głupiego, a Aliver go nie lubi. Aliver raz wrzasnął na niego, żeby dał mu spokój, a Corinn powiedziała, że szkoda, że nie urodził się jako dziewczynka. Żadne z nich nie znajduje dla niego czasu. Najwyraźniej nie obchodzi ich, że nie ma z kim się bawić. Odmalował smutny obraz codziennego porzucenia, całych godzin spędzanych w samotności, życia przymusowego odludka.

Val słuchał tego wszystkiego, nie przerywając mu. Jadł i wodził spojrzeniem za statkami na morzu, co pewien czas tylko pomrukując. Dariel podniósł na niego wzrok i przez chwilę wpatrywał się w jego nozdrza poruszające się w rytm oddechu oraz rosnące w środku włosy, pokryte węglowym pyłem. Z jakiegoś powodu pomyślał o ojcu, który czasami przychodził w nocy do jego pokoju i całował go w policzek, czoło i usta. Dariel nigdy nie dawał mu poznać, że nie śpi, chociaż sen miał lekki i słyszał ojca wchodzącego do pokoju. Czasami czuł na twarzy jego łzy.

I wtedy naszły go wyrzuty sumienia, że opowiedział o tym wszystkim. Dlaczego to zrobił? Prawda była taka, że całą swoją rodzinę kochał tak bardzo, że aż go to przerażało. Każde z jego rodzeństwa było na swój sposób uwielbianym przez niego ideałem. Bał się dnia, w którym ojciec przestanie dawać mu dowody swojego wielkiego uczucia, chociaż bał się też niezgłębionego smutku wywoływanego przez to uczucie. Wiedział, że jego matka umarła; nie pamiętał jej. Jeśli coś takiego mogło się stać raz, równie dobrze może się wydarzyć ponownie. Mógłby stracić jeszcze kogoś, co było zbyt straszną myślą. Dla zmiany tematu poprosił przyjaciela, by opowiedział o czasach, kiedy był piratem.

Val nie był pewien, czy powinien spełnić tę prośbę, lecz po chwili wspomnienia wzięły górę. Powiedział, że urodził się w pirackiej rodzinie Verspinow. Odkąd pamiętał,

prowadził wędrowne życie, głównie na pokładzie szybkich statków, czasami w obozie na jednej z Wysp Zewnętrznych, gdzie kryli się po udanych atakach. Działali wzdłuż całego wybrzeża oceanu, od północnej Candovii aż po daleki Talay. Zawsze uderzali nocą, zakradając się do miast czy miasteczek i budząc ich mieszkańców do przerażającej rzeczywistości. Brali, co im się podobało, i surowo traktowali każdego, kto im się przeciwstawiał. Wymieniali łupy na potrzebne zapasy, a potem wracali na wyspy, by przez kilka miesięcy żyć w spokoju, łowić ryby, leżeć na plaży, pić, bić się i cieszyć życiem aż do czasu następnej łupieżczej wyprawy.

Darielowi zaczęło się już robić zimno od północno-zachodniego wiatru, lecz nie chciał się do tego przyznać Valowi.

– Dlaczego nie jesteś już piratem?

Val wzruszył ramionami. Mruknął, że powinien wracać do pracy. Wstał sztywno, znieruchomiał i przez chwilę patrzył na morze.

– Prawda jest taka, że straciłem do tego serce – powiedział. – Zbyt wiele osób, które znałem, umarło w dramatycznych okolicznościach. W młodości nie przeszkadzało mi to tak bardzo. Uważałem, że zasługuję na wszystko, co mogę zdobyć, i że ludzie, których zabiłem albo zraniłem, aby dostać to, co chciałem, stali mi na drodze. Musisz zrozumieć, że na świecie pełno jest ludzi, którzy są niewiele lepsi od zwierząt. Teraz mogę na ten temat żartować; możemy tu sobie siedzieć i rozmyślać o dawnych czasach, lecz przez trzydzieści kilka lat mego życia byłem zwierzęciem. Problem w tym, że człowiek różni się od zwierzęcia. W spokojnych chwilach zastanawiamy się i wiemy, że postąpiliśmy źle. Kiedy porzuciłem dawne życie, przybyłem tu, by służyć twemu ojcu. Myślisz o mnie jako o Valu palaczu, a tymczasem dawno temu byłem okrutnym zabójcą. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Dariel spojrzął na wyraziste rysy mężczyzny, na jego szeroką, poczerniałą twarz; jego głowa tkwiła na ramionach, które, sądząc z wielkości cienia, jaki rzucały na chłopca, równie dobrze mogłyby być górskim pasmem. Mimo to Dariel nie umiał sobie wyobrazić Vala jako zabójcy. Chociaż jego opowieści były straszne i barwne, a jego chłopięcy umysł ochoczo je chłonał, Dariel wciąż nie wierzył, że Val kiedykolwiek zrobił komuś krzywdę. Był po prostu robotnikiem ze świata pod pałacem, sympatycznym olbrzymem, który prawdopodobnie odziedziczył pracę po ojcu i być może nigdy nie wypuścił się poza wyspę, człowiekiem, który dokładnie wiedział, co opowiadać takiemu chłopcu jak on, i który robił to z uprzejmości.

ROZDZIAŁ 13

Leodan Akaran był w stanie wojny z samym sobą. W jego w głowie trwały konflikty, toczyły się zmagania bez chwili przerwy i bez rozwiązania. Wiedział, że natura marzyciela, poety, uczonego, humanisty – to jego słabość, coś, co nie jest pożądane u króla. Otulił swoją rodzinę luksusową kulturą Akacji, jednocześnie ukrywając przed nią wstrętny handel, który tę kulturę finansował. Zamierzał nie dopuścić, by jego dzieci kiedykolwiek doświadczyły przemocy, mimo że zapłatą za ten przywilej była klinga przyłożona do cudzej szyi. Nie podobało mu się, że niezliczone rzesze ludzi na wszystkich jego ziemiach są niewolnikami narkotyku, który gwarantował ich pracę i uległość, a mimo to sam mu uległ. Kochał swoje dzieci tak bezgraniczną miłością, że czasami budził się z przerażeniem z koszmarów o jakimś nieszczęściu, które im się przytrafiło. Wiedział zarazem, że agenci działający w jego imieniu wydzierają inne dzieci z ramion rodziców, którzy nigdy więcej ich już nie zobaczą. To było potworne i król czuł, że to jego wina.

Ale, podobnie jak jego dzieci, urodził się już w tak urządzonym świecie. Wychował się na tych samych opowieściach, z którymi zaznajamiał teraz swoje najmłodsze dziecko. Nauczył się takiego samego szacunku dla bohaterów swego narodu. Ćwiczył formy, patrzył z szacunkiem na dygnitarzy z krain całego imperium i bezkrytycznie wierzył, że jego ojciec jest prawowitym władcą całego świata.

Kiedy w wieku dziewięciu lat po raz pierwszy ujrzał kopalnie Kidnabanu – zięjące czeluście wykute w kamieniu, tysiące ludzi odzianych jedynie w przepaski biodrowe, pracujących niczym owady w ludzkiej postaci – po prostu tego nie zrozumiał. Nie potrafił pojąć, dlaczego ci mężczyźni i chłopcy wybrali takie życie, i nie pytał, dlaczego pod koniec dnia żołądek skręcał mu się z niepokoju. Lecz tuż po swoich czternastych urodzinach dowiedział się, że ci kopalniani robotnicy zostali zabrani siłą ze swoich prowincji i że przywódcy narodów odwiedzający Akację to nieliczni uprzywilejowani, którzy tłamszą swoją własną ludność.

Było to wstrząsające, lecz dopiero informacja o Kontyngencie sprawiła, że udał się z wyrzutami szlachetnej młodości do ojca, przerywając mu ćwiczenia szermierki. Czy to prawda, zapytał, że od czasów Tinhadina dostarczają narodowi mieszkającemu za Szarymi Zboczami roczny Kontyngent niewolników? Czy to prawda, że w imieniu Akaranów agenci

zabierają z prowincji tysiące chłopców i dziewczynek, że dzieci są sprzedawane i ginie po nich wszelki ślad? Czy to prawda, że nikt nie wie, jaki los czeka te dzieci? Czy to prawda, że ci cudzoziemcy – Lothan Aklun – płacą za niewolników olbrzymimi dostawami narkotyku, od którego uzależniła się spora część mieszkańców imperium?

Gridulan przerwał trening. Oparł czubek szabli o matę i spojrzał na syna. Był wysokim mężczyzną – Leodan nigdy nie osiągnął jego wzrostu – o sztywnej, wojskowej postawie. Jego towarzysze – trzynastu wielmożów, których znał od dzieciństwa – rozstawili się po całej sali; kilku się fechtowało, lecz większość stała przy kolumnie i rozmawiała.

– Wszystko to prawda – odparł Gridulan. – Lothan Aklun obiecali także, że nigdy nie będą prowadzić z nami wojny. Za to powinniśmy być im wdzięczni. Tinhadin napisał, że każdy z nich to jakby stugłowy wąż. Cieszę się, że zdobywasz wiedzę o prawdziwym charakterze władzy, ale nie podoba mi się, że...

Młody Leodan przerwał mu głosem cichym, jadowitym, co było u niego czymś bardzo niezwykłym. Pojęcie niewolnictwa wydawało mu się osobistą zniewagą, czymś tak obrzydliwym, że nie umiał pohamować gniewu.

– Jak możesz pozwalać, by coś tak ohydne odbywało się w twoim imieniu? Natychmiast powinniśmy z tym skończyć, nawet jeśli oznacza to wojnę z tymi Lothanami. To jedyne honorowe wyjście. Jeśli tego nie uczynisz, to kiedy ja...

Leodan być może zdołałby zareagować na ruch króla, gdyby nie był on tak niespodziewany. Gridulan przerzucił szablę do lewej ręki, postąpił do przodu i uderzył syna otwartą dłonią w twarz z taką siłą, że chłopiec poleciał do tyłu. Kiedy podniósł się z dłonią przyłożoną do rozpalonego policzka, ojciec wygłosił mu kazanie. Powiedział, że wszystko, co mają, zawdzięczają właśnie tej sytuacji. Wycofanie się z tego układu nie tylko zagroziłoby życiu ich wszystkich, lecz zniesławiłoby także ród Akaranów, którego wszyscy członkowie uznawali Kontyngent za sprawiedliwy. Tylko głupiec mógłby przedkładać wolność nielicznych nad dobrobyt całego narodu.

– To się odbywa od pokoleń – rzekł Gridulan, przysunąwszy twarz do twarzy syna. – Sam Tinhadin się na to zgodził. Kim jesteś, by wątpić w jego mądrość? Jeśli ci to nie wystarczy, to weź pod uwagę, że ja nie dowodzę armią. Owszem, dowodzę nią nominalnie, lecz w rzeczywistości władzę sprawują gubernatorzy. Oni z kolei spełniają życzenia ligi. A liga nigdy nie pozwoli na uchylenie Kontyngentu. W przeciwnym razie spiskowałaby za naszymi plecami. Mogłaby nas zniszczyć i umieścić na tronie kogoś innego, rozumiesz? Wtedy nie mielibyśmy nic, a ty byś usychał z tęsknoty za luksusem, który zawdzięczasz tej ohydzie. Sam mógłbyś zostać sprzedany jako niewolnik. W Alesji jest wiele osób, które z

radością powitałyby taki rozwój wypadków.

– A zatem bycie królem nic nie znaczy? – zapytał Leodan, szykując się na kolejny policzek.

Lecz Gridulan już go nie uderzył. W jego odpowiedzi brzmiał raczej smutek niż gniew.

– Oczywiście jestem potężnym człowiekiem, lecz dlatego, że zajmuję doskonale miejsce w tym tańcu. Znam zasady i stawiam kroki zgodnie z nimi. Lecz taniec jest potężniejszy ode mnie, Leodanie. Jest potężniejszy od ciebie. Być może jest to zbyt skomplikowane, byś teraz to pojął. Pragniesz pokoju i sprawiedliwości dla wszystkich, lecz twoje postępowanie nie zagwarantowałoby ani jednego, ani drugiego.

Król wyprostował się i zważył szablę w dłoni. Zanim wrócił do swego partnera, powiedział:

– Doprawdy, Leodanie, musisz jeszcze się uczyć wiele lat, zanim będziesz mógł mi stawić czoło. Nie mów o tym publicznie, nawet w obecności moich zaufanych towarzyszy.

Siedząc na parapecie jednego z wielkich okien biblioteki, Leodan zastanawiał się, czy to właśnie wtedy jego ojciec znieczulił swoje serce na tyle, by zostać mordercą. Odrzucił szybko tę myśl – za dużo czasu spędza w przeszłości. Ale trudno było tego nie robić, zwłaszcza w taki wieczór, kiedy powietrze zdawało się przepełnione melancholią.

Chociaż Akacja znajdowała się w strefie umiarkowanej, korzystnie położona między wysuszonym buszem Talay i polarnymi przestrzeniami Meinu, czasami wyspę nawiedzało zimno i śnieg. Zwykle prószyło tylko kilka razy w ciągu zimy. Prawdziwe opady pojawiały się co cztery czy pięć lat. Właśnie tego wieczoru – wieczoru uczy na cześć Aushenian – przysła śnieżycą kończąca okres ciepłej pogody.

Zaczęło się od kilku żałosnych płatków wirujących w mętym świetle późnego popołudnia. Wczesnym wieczorem chmury płynęły już tak nisko, że ocierały się o szczyty najwyższych wież pałacu i bombardowały wszystko wokół białymi puszystymi kulkami, spadającymi prosto w dół, jakby ich ciężar klócił się z ich delikatną naturą.

W krótkiej chwili samotności po popołudniowych spotkaniach, zanim nadeszła pora przygotowania się do uczy, Leodan udał się do zacisza biblioteki. Zyskał tylko chwilowe wytchnienie i już czuł, że dobiega ono końca. Chodził po komnacie, kierując wzrok w stronę książek stojących tysiącami na półkach. Była tu książka podobno napisana w języku, którym posługiwał się Dawca do stworzenia świata. Jak zwykle, kiedy był tu sam, poczuł, że ta księga go przyciąga.

Rozejrzał się, sprawdzając, czy rzeczywiście jest sam, a potem znalazł właściwy tom.

Przeciagnał palcem po jego starożytnym grzbiecie, niczym się nie wyróżniającym spośród innych ksiązek. Wiedział, gdzie stoi, od czasu osiągnięcia wieku męskiego, kiedy ojciec mu ją pokazał. Gridulan twierdził, że w środku jest wiedza o wszystkim, dzięki czemu funkcjonuje świat. Że w ksiązce jest język stworzenia i zniszczenia. Narzędzia, dzięki którym Tinhadin podbił Znany Świat. To straszna wiedza, mówił Gridulan. Dlatego Tinhadin wygnał wszystkich, którzy kiedykolwiek przeczytali tę księgę. Zakazał także czytać ją swoim potomkom, chociaż nakazał im jej strzec. Ukrył ją na widoku i od tego czasu wszyscy stosowali się do tego zwyczaju.

Jako dorastający chłopak Leodan spędzał niezliczone godziny na wyobrażaniu sobie, że dzierży boską moc, że tworzy słowami, które spływają mu z języka, i przekształca rzeczywistość. Czasami rozważał zdjęcie ksiązki z półki i przekartkowanie albo podarcie jej czy spalenie albo po prostu wyśmianie jej; nigdy nie wiedział, co najbardziej chciałby zrobić. Lecz nigdy jej nie otworzył i nie zamierzał zrobić tego teraz. Właściwie już jakiś czas temu przestał wierzyć w takie magiczne opowieści. Przecież w prawdziwym życiu jest tak mało dowodów istnienia magii.

Położył palec na następnej ksiązce: „Dwaj bracia”. Zdjął ją z półki i wrócił do swojej wnęki z myślą, że może znajdzie w niej natchnienie do wieczornych opowieści dla Meny i Dariela. Jakże mu się podobało, że wciąż może im opowiadać różne historie, i jakże się bał nieuniknionego momentu, kiedy będzie musiał patrzeć, jak ci najmłodszy oddalają się od niego, rozstają z dziecinnymi sprawami i zaczynają przebywać w towarzystwie równoletków. Część jego jestestwa pragnęła, by dzieci – wspomnienie jego miłości do zmarłej żony – czuły się bezpieczne i szczęśliwe, były w pobliżu, cieszyły się najprostszymi rzeczami i żeby on nadal mógł patrzeć, jak rosną.

A jednocześnie pragnął, by rozbiegły się po całym świecie i zawarły różne przyjaźnie. Chociaż sam nie lubił podróżować, nie świadczyło to o niechęci do świata zewnętrznego. W młodości uwielbiał podróże i w odległych krajach znalazł wielu serdecznych przyjaciół. A przynajmniej uważał ich za przyjaciół, chociaż w rzeczywistości niewiele wiedział o przyjaźni. Nigdy nie był tak blisko ze swoimi rówieśnikami jak jego ojciec ze swoimi. Coś w królewskiej władzy nie pozwalało mu czuć się swobodnie wśród ludzi w jego wieku. Tylko na obcych dworach – gdzie w porozumieniu z innymi pośredniczyli tłumacze, gdzie gesty rąk i śmiech stanowiły konieczne elementy rozmowy, gdzie różnice kulturowe były źródłem rozbawienia i wzajemnego zainteresowania – odnajdował swobodę w kontaktach z innymi, którą uważał za przyjaźń. Była to jedna z przyjemności jego młodości.

Po śmierci Aleery świat wydał mu się inny. Może chodziło tylko o to, że jej prochy

zostały rozsypane ze szczytu Skały Portowej w dzień, kiedy wiał północny wiatr, który rozniósł jej szczątki na całą wyspę. Znalazła się na każdym jej skrawku, w każdej piędzi ziemi, w każdej roślinie, w powietrzu, które wdychał Leodan. Codziennie czuł jej dotyk. Myślał o niej za każdym razem, kiedy szarpał nim podmuch wiatru, kiedy odwracał głowę i wyczuwał w powietrzu przypominający ją zapach. Myślał o niej nawet wtedy, gdy wodził palcami po kurzu nagromadzonym w jakimś odległym kącie biblioteki. Dlatego bał się teraz opuszczać Akację. Bał się opuścić Aleerę. Ich wspólne życie nie trwało długo, lecz jeśli jego prochy zostałyby rozsypane w ten sam sposób i poniesione podobnym północnym wiatrem, to może mogliby dzielić ze sobą długie milczenie śmierci. To była jedyna rzecz, jaką Leodan pragnął poza szczęściem i dobrobytem swoich dzieci. Kto by o to zadbał, gdyby zginął w jakimś obcym kraju? Kto mógłby zagwarantować, że nie spędzi wieczności dręczony smutkiem, tak jak to było po śmierci Aleery?

Leodan podniósł wzrok znad książki. Tylko jedna droga daje mu szansę znalezienia sensu w tym, co mu zostało z życia. Tylko jeden wysiłek jest wart podjęcia, bo gdyby odniósł sukces, to mógłby stanąć przed wspomnieniem żony i przed własnymi dziećmi jako człowiek spełniony. Gdyby zerwał kontrakt Tinhadina z Lothan Aklun... Gdyby mu się to udało, mógłby umrzeć z nadzieją, że zostawia swoim dzieciom w spuściźnie szlachetną przyszłość. Trudno jest zmierzyć się z taką perspektywą i pozwolić jej oblec się w realny kształt, lecz od czasu spotkania z aushenijskim księciem Leodan czuł, że rodzą się pewne możliwości.

Igguldan był dla niego objawieniem. Ten młodzieniec najwyraźniej rozumiał, jakie brzemie niktzemności musi dźwigać ten, kto chciałby się sprzymierzyć z ligą. Chociaż czuł, że jego naród musi to zrobić, jego moralność kazała mu się tym brzydzić. Może właśnie ten młodzieniec jest osobą, której Leodan potrzebuje u swego boku, kimś podobnie myślącym, z kim mógłby przeprowadzić zmiany w imperium.

Jego kanclerz miał oczywiście rację, podejrzewając, że liga nie powita Aushenii z otwartymi ramionami. Bała się, że przyłączenie jeszcze jednego narodu mogłoby na jakiś czas zachwiać równowagę władzy na jej niekorzyść. Chciała otrzymywać aushenijskie wyroby – nie mówiąc o ciałach aushenijskich dzieci traktowanych jako towar – lecz chciała także, by najpierw kraj został jeszcze bardziej osłabiony. Na razie Aushenianie nie byli na kolanach. Mieli silne ciała i nie ulegli nałogowi, który ogłupiał większość mieszkańców Znanego Świata. Wciąż dysponowali wielką potęgą wojskową, co martwiło ligę, jako że zawsze uważała siłę militarną za zagrożenie, i to do tego stopnia, że ograniczyła nawet liczebność własnych sił bezpieczeństwa.

Leodan spodziewał się, że wkrótce pojawi się u niego Sire Dagon z propozycjami

działań, jakie mogliby podjąć w celu osłabienia Aushenii. Mogliby szmuglować na teren tego kraju więcej mgły. Mogliby wysyłać agentów, którzy knuliby intrygi, wciągali ważnych ludzi w żenujące skandale czy też usuwali ich w niewinnie wyglądający sposób: w wyniku niefortunnego wypadku, gorączki, choroby wyglądającej jak jakaś zwykła przypadłość. Na samą myśl o tym Leodanowi zaczęły drżeć ręce. Jego naród w przeszłości posługiwał się takimi metodami. Zapewne znowu zostaną zastosowane.

Chyba że... udałooby mu się szybko wprowadzić Aushenię do imperium. A gdyby uczynił z niej sprzymierzeńca dzięki własnej intrydze? Gdyby przyjął ją jako partnera, by mu pomogła unieważnić Kontyngent, odebrać lidze władzę, zerwać związki z Lothan Aklun? Mogłoby to oznaczać wojnę na kilku frontach – najpierw z ligą i konserwatystami w Radzie, a potem może z Lothan Aklun, jeśli zrealizują swoje wielowiekowe groźby – lecz być może już nigdy nie będzie miał podobnej okazji.

Siedząc w bibliotece z książką w jednej ręce i herbatą w drugiej, Leodan przyrzekł sobie, że spotka się prywatnie z Aliverem i Igguldaniem. Powie im wszystko, co wie o zbrodniach imperium. A potem poprosi syna, by został jego partnerem i pomógł mu to zmienić. Da Igguldanowi szansę zrealizowania marzenia jego dawno zmarłej królowej Eleny. Jeśli teraz nie jest odpowiedni moment na zmianę, to kiedy nadejdzie? Człowiek nie może czekać w nieskończoność na przebudzenie.

Leodan usłyszał, jak do biblioteki wszedł służący. Śledził jego drogę między półkami z książkami, w dół po paru stopniach, pomiędzy stołami do czytania, aż do wnęki, w której siedział. Służący zatrzymał się w pewnej odległości i odezwał się niemal szeptem. Zbliża się czas uczty. Gdyby król zechciał dopasować wieczorowy strój, czeka na niego krawiec. Leodan przycisnął książkę do piersi i ruszył za służącym.

Przez następną godzinę krzątał się wokół niego cały zespół ludzi. Krawiec kazał mu wyprostować ręce na boki. Leodan stał ze skrzydłami materiału zwisającymi z ramion. Jak przy wszystkich takich okazjach, król miał na sobie specjalny strój, którego nawet najdrobniejszy szczegół musiał być zgodny z tradycją. Był to powłóczysty zielony płaszcz z misternie wplecioną w materiał złotą nitką, który tworzył kilka miłych dla oka obrazów. Oglądany z przodu i z wyprostowanymi rękami, przedstawiał moczary środkowej Aushenii, ojczyznę kilku odmian długoszyich wędrownych ptaków wodnych oraz natchnienie dla poetów, a także legendę o Kralithu, bogu pod postacią białego żurawia, zrodzonego z pierwotnego błota moczarów. Kiedy jednak król przyciskał łokcie do boków, a dłonie łączył na mostku, materiał opadający z przedramion ukazywał akacjańskich żołnierzy w zbrojach, kroczących naprzód w bohaterskich pozach. Starannie umieszczone symbole narodowe

przekazywały patrzącemu przesłanie, że mimo uznania dla historii drugiego narodu, Akacja wciąż potrafi wszystko ogarnąć jednym ruchem ręki.

Podwójne drzwi na przeciwległym końcu komnaty rozwarły się z trzaskiem i do środka wpadli Mena i Dariel, od kilku tygodni współzawodniczący ze sobą o to, kto mocniej pchnie swoje skrzydło drzwi. Tuż za nimi weszła spokojnie Corinn w wieczorowej sukni. Na końcu pojawili się Aliver i Thaddeus, zajęci rozmową. Na widok pędzących ku niemu dzieci – przypominających mu swoim wyglądem i gestami Aleerę – król zarumienił się z radości. Starał się nie myśleć, w jaki sposób i dlaczego Thaddeusa pozbawiono podobnej radości. Obiecał sobie, że pewnego dnia przyzna się do tego kanclerzowi. Pewnego dnia.

Musiał unieść ręce w górę, gdyż Mena mocno obejmowała go w pasie. Przewrócił oczyma w stronę krawca, lecz nie skarcił jej. Corinn ucałowała go lekko policzek, ledwie zachowując spokój.

– Ojczy, pada śnieg! – powiedział Dariel z dziecinnym podnieceniem. – Widziałeś? Możemy wyjść? Chodź z nami. Nie możesz? Pobję cię w bitwie na śnieżki.

Te ostatnie słowa rzucił, jakby to była groźba, z przekrzywioną głową i palcem wymierzonym ostrzegawczo w ojca.

Wywiązała się rozmowa, której tak często przysłuchiwał się z podziwem nie jako monarcha, lecz po prostu jako ojciec. Dariel podskakiwał jak na sprężynach i chwycił się wszystkich sposobów perswazji, jakie opanował w ciągu dziewięciu lat życia. Aliver wyjaśnił mu, że król nie ma czasu bawić się śniegiem. Stanowił wzór dojrzałego, mądrego dziedzica, a jego królewska postawa była zapewne wzorowana na popiersiach królów z Wielkiej Sali. Corinn burknęła coś o uczcie, na którą właśnie się wybierają – oni, dorośli. Mimo stanowczego tonu, który odróżniał ją od młodszych dzieci, Leodan usłyszał dziecinnie błaganie skierowane do ojca. A Mena stała na uboczu i słuchała, uśmiechając się do króla. Kiedy to robiła, widział w niej Aleerę, ale nie tyle w jej rysach, ile w cierplivej, pełnej zrozumienia radości kryjącej się w jej oczach.

– Dariel ma rację – rzekł Leodan. – To szczególny wieczór. Zróbmy, o co prosi. Pobiegnijmy po dachach i rozpetamy wojnę na śnieżki. Wszyscy. Będziemy walczyć przy świetle pochodni. A potem przytulimy się do siebie w jednym pokoju. I tak śpimy za daleko jedno od drugiego. Te stare budynki są ogromne, rozdzielają nas. Nie patrz tak, Aliverze. Możesz poświęcić kilka chwil staremu ojcu. Udawaj, że wciąż jesteś moim małym chłopcem. Udawaj, że pragniesz tylko mojej miłości, przebywania w pobliżu mnie i słuchania, jak opowiadam różne historie do późna w nocy. Wkrótce porozmawiamy o poważniejszych sprawach, lecz teraz podaruj mi ten wieczór.

– Dobrze – zgodził się Aliver, przekrzykując pełne zachwyty wrzaski Dariela. – Ale nie spodziewaj się ode mnie żadnych względów. Nim skończy się ta noc, zostanę koronowany na Śniegowego Króla.

– Pojawię się na krótko na dzisiejszej uczcie – powiedział Leodan.

Corinn sprawiała wrażenie, że chce zaprotestować, lecz król uśmiechnął się do niej.

– Na niezbyt krótko. Wymknę się po podaniu trzeciej potrawy. Prawie nikt nie zauważy, a my odbędziemy naszą wojnę.

ROZDZIAŁ 14

Thasren Mein stał jakiś czas na ulicy, czując, jak płatki śniegu osiadają mu na skórze i topnieją. Jak przyjemnie czuć pocałunki śniegu na uniesionej ku górze twarzy. Jego widok był piękny i – w tym kraju – bardzo dziwny. Nocne powietrze było nieruchome, dźwięki stłumione, a przechodnie rozdeptywali wilgotną warstewkę lodowych kryształków na miazgę. Wszystko to bardzo się różniło od śnieżycy na Płaskowyżu Mein. Najwyraźniej było to przesłanie, błogosławieństwo przesłane z domu, zachęta od Tunishnevre dla przypomnienia Thasrenowi, że to, co teraz robi, robi dla wielu ludzi. Śnieg padający na Akację wskazywał, że niebiosa przepowiadają nadchodzącą zmianę.

Kiedy pokonał schody i zbliżył się do sali bankietowej po drugiej stronie kamiennego dziedzińca, inni goście już wchodzili do środka. Dotknął dłonią peruki, sprawdzając, czy przytrzymujące ją szpilki są na miejscu. Strój miał porządny, a płaszcz był jednym z najlepszych płaszczy ambasadora. Wiedział, że na początku rządów Akacji nikt nie zbliżał się do króla na mniej niż sto kroków, a członkowie królewskiej rodziny patrzyli na spotkania towarzyskie z daleka, niczym widzowie na przedstawieniu. Pozostawali bezpieczni za szeregiem strażników Marahów, żołnierzy z dobytymi szablami. Klęczący na jednym kolanie wojownicy byli ubrani na brązowo i przysypani brązowym pyłem, by przypominali posągi gotowe ożyć na widok niebezpieczeństwa. Oprócz sztuk walki uczeni byli obserwowania ruchów ciała i zachowania. Ale to było dawno temu. Luksus sprawia, że ludzie stają się mniej ostrożni.

Skinął głową strażnikom przy drzwiach. Powitali go jako ambasadora i w ich uśmiechach nie było widać nawet cienia podejrzenia. Tak jak powiedział mu Gurnal, aby dotrzeć do celu, musiał przejść przez długą salę recepcyjną. Na obu ścianach wisiały obrazy przedstawiające dawnych Akacjan, a pod nimi ustawiono posągi królów. Za posągami stali w podobnych oficjalnych pozach żołnierze z dłońmi splecionymi na głowniach szabli. Byli tak nieruchomi, jak nieożywione osobistości, które chronili. Przy wejściu do sali zgromadziło się kilka osób – gospodarz i jego strażnicy. Thasren szedł, wiedząc, że każdy jego krok, poruszenie dłoni, postawa, rysy twarzy są obserwowane. W kamizelce zrobił rozcięcie, by mógł sięgnąć do umocowanej tam broni. Musiał odmówić uspokajającą modlitwę, by nie dopuścić do drżenia palców – tak bardzo chciały chwycić tę rękojęść i przebić pierwsze

gardło, z którego wyszłoby jakieś zastrzeżenie pod jego adresem.

W wejściu do sali bankietowej główny strażnik Marahów powitał go uśmiechem, blokując wejście wyraz z dwoma żołnierzami, już nie tak skorymi do uśmiechu. Za nimi Thasren ujrzał zatłoczoną salę oświetloną setkami lamp, rozbrzmiewającą gwarem głosów i muzyką instrumentów strunowych, pachnącą wspaniałymi potrawami. Marah położył mu jedną rękę na ramieniu, a drugą na przeciwnym biodrze. Przywitał Thasrena imieniem Gurnala i zapytał, czy odpowiada mu pogoda, lecz przy tym patrzył poza niego, na strażników strzegących sali recepcyjnej. Uniesieniem podbródka nakazał im zamknąć i zaryglować zewnętrzne drzwi, skoro przyszedł już ostatni gość. Na powrót zwrócił uwagę na mężczyznę, którego trzymał w objęciach i który – mimo pozorów spokoju – był spięty i gotów do skoku, gdyby okazało się to konieczne.

Zanim strażnik zdążył wzmocnić uścisk, co kosztowałoby go życie, w drugim końcu sali zadźwięczał róg. Zaraz po tym rozbrzmiała łagodna melodia, podjęta przez instrumenty strunowe. Oficer powiedział coś wesoło, poklepał Thasrena przelotnie, nie dotykając jego broni, i ruchem ręki pozwolił mu wejść do sali.

Największa przeszkoda została pokonana. Teraz wystarczyło, by przeczekał pierwsze chwile uczty. Patrzył na króla wchodzącego w otoczeniu świty, na jego syna, córkę, aushenijskiego księcia, kanclerza Thaddeusa Clegga i strażników strzegących ich ze wszystkich stron. Chociaż uczta miała być kameralna, w sali było ze sto osób. Przez pierwsze kilka chwil Thasren w ogóle się nie poruszał. Czuł, jak pory wypełniają mu się wilgocią, ale usiłował się uspokoić i oddychać powoli, tak, jak go uczono. Musiał stworzyć moment śmierci swej ofiary, musiał zebrać niezliczone siły poruszające się w świecie i przebić się przez nie wszystkie jak strzała przechodząca przez kółka rzucone w powietrze. Obserwował graczy obecnych w sali: jak się zachowują, na co patrzą, jak blisko króla się znajdują i jakich granic przestrzegają.

Wreszcie ruszył z miejsca razem z tłumem zmierzającym w stronę monarchy. Dwa razy zszedł jakimś gościom z drogi, przepchnął się na otwartą przestrzeń i tam znalazł swoją okazję. Leodan odpowiedział na powitanie rzucone z tłumy. Wyszukał wzrokiem wołającego i podszedł do niego z uśmiechem świadczącym, że rozpoznał starego znajomego. Przez chwilę jego strażnicy znaleźli się za nim. Leodan uniósł ręce, by objąć mężczyznę, i ptaki umieszczone na połach jego płaszcza zafalowały.

Thasren wydobył sztylet z ukrycia. Machnął nim tak szybko, że przyciągnął wiele spojrzeń. Klinga zamigotała w świetle lamp. Ostatnie kilka kroków pokonał biegiem. Król spojrział na niego ze zdumieniem; wydał usta, jakby chciał wymówić imię ambasadora.

Thasren uniósł zakrzywioną klingę sztyletu, aby wbić ją w lewy oczodół ofiary, ale wtedy jeden ze strażników wskoczył na stół i zamachnął się szablą, chcąc odciąć napastnikowi dłoń. Thasren trzepnął go w łokieć i broń chybiła celu, a strażnik stracił równowagę; zabójca chwycił go wolną ręką za kostkę i ściągnął ze stołu. Pchnął padającego mężczyznę na drugiego strażnika, wytrącając mu przy okazji szablę z ręki.

Znajomy króla stał przed nim w obronnej postawie, ale usta miał otwarte z przerażenia. Thasren uderzył go piętą w kolano, powalając na ziemię. Z lewej strony rzucił się na niego z uniesioną szablą kolejny strażnik. Zabójca wyrzucił rękę ze sztyletem w górę, a kiedy strażnik uniósł broń, by sparować przewidywany atak, Thasren przykucnął, obrócił się dookoła własnej osi i wbił czubek rękojeści sztyletu w miękkie miejsce pod pachą strażnika. Kolec z zadziorem wieńczący rękojeść utkwiał na ponad dwa centymetry w ciele mężczyzny. Thasren szarpnął dół, paskudnie rozcinając ciało strażnika aż do pępka.

Usłyszał wysoki krzyk – uświadomił sobie, że to głos królewskiego syna. Jakikolwiek wydał rozkaz, nikt go nie posłuchał. Thasren wciąż nie użył klingi sztyletu, ale teraz nadeszła odpowiednia chwila. Zanim ktokolwiek zdążył go zaatakować, zrobił kilka ostatnich kroków w stronę cofającego się króla. Obserwując jego zdumioną minę, ugodził go w pierś, trafiając prosto w oko jednego z wyhaftowanych aushenijskich żurawi. Pojawiła się plamka krwi, którą król natychmiast zakrył dłonią. I to wszystko. Zadanie zostało wykonane z większą łatwością, niż Thasren sobie wyobrażał.

Wyprostował się. Stał nieruchomo w kręgu ludzi i skierowanych w jego stronę dobotych szabli. Strażnicy króla zabiliby go w jednej chwili, lecz nic nie zaskakuje dobrze wyszkolonych żołnierzy bardziej niż nieoczekiwana bierność. Znieruchomieli wraz z nim i Thasren miał czas, by rzucić okiem dookoła. Utkwił wzrok w królu opierającym się o ścianę za murem strażników i przedstawił się w swoim języku, mówiąc tak, jakby był bohaterem jakiejś dawnej legendy. Powiedział, że nazywa się Thasren Mein, że jest synem Heberena, młodszym bratem Hanisha i Maeandera. Umiera z radością w sercu, bowiem dokonał sprawiedliwego czynu. Zabił despotę z Akacji. Teraz nie ma już żadnych innych pragnień.

– Wielu będzie mnie wychwalać – powiedział po akacjańsku z silnym akcentem. – Wielu będzie mnie wychwalać i pójdzie w moje ślady.

Przycisnął zakrzywiony czubek sztyletu do swojej szyi i szybkim ruchem przeciął tętnicę. W następnej chwili leżał na gładkich kamieniach, a jego serce pompowało krew, która tryskała w górę i pokrywała mu twarz i pierś czerwoną mgiełką. Patrzył przez tę zasłonę, mrugając. Król został pośpiesznie wyprowadzony z sali w otoczeniu licznej świty, niczym pszczela królowa w otoczeniu robotnic; ktoś przyciskał dłonie do jego zakrwawionej piersi.

Przez kilka sekund Thasren widział otwarte usta Leodana. Policzki drgały mu z bólu, a jego wzrok wyrażał niedowierzanie i przerażenie.

Thasren pomyślał o swoim najstarszym bracie i zapragnął, by Hanish był świadkiem jego czynu; miał nadzieję, że kiedy brat o nim usłyszy, będzie z niego dumny. Poczł nienasyconą pustkę pożerającą jego ciało centymetr po centymetrze. Szepnął coś przez krew wypełniającą mu usta i smakującą jak płynny metal. Przepeliło go poczucie podziwu dla samego siebie. Dokonał w swoim życiu przynajmniej jednego wielkiego czynu. Mając to już za sobą, nie czuł żadnego strachu. Uwolnił go u innych, lecz sam zmierzał ku pośmierci bez lęku, jak przystało na żołnierza słusznej sprawy. Zanim stracił świadomość, zaczął recytować Modlitwę Połączenia, pieśń pochwalną Tunishnevre.

ROZDZIAŁ 15

Mena już nigdy nie będzie mogła patrzeć bez uczucia mdłości na ośmiościenną kostkę do gry nazywanej biegiem szczurów. To właśnie w tę grę grała z młodszym bratem w chwili ataku na Leodana. Dariel obawiał się, że ojciec może nie spełnić obietnicy pobawienia się z nimi po kolacji, więc królowa zgodziła się siedzieć z nim pod drzwiami sali, żeby mogli zaczepić króla w chwili, kiedy będzie wolny. Rzucali kostkami raz po raz, patrząc, jak zielone szklane ośmiościany zatrzymują się na jedwabnej tapicerce ławy, na której siedzieli. Mena niezbyt lubiła tę grę ani nie pasjonowała się prostymi regułami prawdopodobieństwa, lecz podobał jej się dotyk kostek objających się we wnętrzu luźno zaciśniętej dłoni. Często potrząsała nimi tak długo, że Dariel zaczynał się niecierpliwić.

Stało się to kilka chwil po zamknięciu wielkich drzwi. Mena właściwie nie zwróciła uwagi na stłumione odgłosy zamieszania dobiegające z sali, lecz kiedy drzwi rozwarły się z trzaskiem, poderwała się zaskoczona i kostki rozsypała się po podłodze. Przez chwilę patrzyła, jak jedna z nich toczy się po dywanie; była zawstydzona i chciała po nią pobiec. Lecz wtedy zobaczyła grupkę mężczyzn przeciskających się przez drzwi; szurali niezdarne nogami, usiłując szybko iść, i krzyczeli coś do siebie. Z rozgardiaszu wybił się głos wołający o przejście dla króla, o przejście dla zranionego króla! Mena jeszcze nie w pełni zrozumiała te słowa, kiedy uświadomiła sobie, że ci ludzie dźwigają jakiegoś człowieka. Jej ojca...

Skóra króla była pozbawiona koloru; przywodziła teraz na myśl przypudrowane zwłoki. Król zaciskał drżące wargi, w oczach miał strach. Przekrzywiła mu się korona, do brody przywarła biała spieniona ślina. Ale to nadal była osoba, którą Mena kochała najbardziej na świecie, odarta z całej swej siły, ojcostwa i mądrości. Przyciągnęła do siebie Dariela i zasłoniła mu oczy. Przytulając go mocno, odwróciła się, jakby dzięki temu mogła się otrząsnąć z tego, co właśnie widziała.

Potem w nocy siedziała na łóżku Dariela i obejmowała szlochającego chłopca. Wiele razy powtarzała, że wszystko jest w porządku. Ojciec wyzdrowieje. To oczywiste. Mówili, że to tylko ukłucie. Czy on naprawdę sądzi, że ukłucie może zaszkodzić królowi Akacji?

– No, nie bądź głupi – powiedziała. – Ojciec znajdzie cię rano i będzie się śmiać z twoich zapuchniętych od płaczu oczu.

Kiedy oddech Dariela nabrał spokojnego rytmu snu, wysunęła się z jego objęć. Oparła

się plecami o ścianę i obserwowała powolne unoszenie się i opadanie piersi chłopca. Przyglądała się rysom jego twarzy. Tak bardzo go kochała. Świadomość ta wycisnęła z jej oczu pierwsze tego wieczoru łzy. Właściwie nie bardzo wiedziała, co się stało i czy ojciec jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, lecz szczegóły nie miały znaczenia. Widok twarzy ojca wyjaśniał wszystko. Bez względu na to, co się stanie jutro czy pojutrze, malującego się na niej strachu nie da się zapomnieć. Zawsze go już będzie widzieć. Czuła się tak, jakby zaskoczyła ojca podczas jakiegoś lubieżnego aktu, czegoś tak hańbiącego, że nigdy już nie będzie się mogła cofnąć do niedawnej niewinności. Już nigdy nie będzie między nimi takiej samej swobody.

Wyszła z łóżka i przez chwilę krążyła po rozległym pokoju, nie wiedząc, co ma robić, dokąd pójść, czy w ogóle jest coś do zrobienia i czy jest takie miejsce, do którego mogłaby się udać. Wiedziała, że tej nocy nikt jej nic nie powie. Pomyślała, czyby nie wymknąć się z pokoju i nie wśliznąć do komnaty ojca, lecz na pewno została by zatrzymana, szczególnie w środku nocy i po takich wydarzeniach. Nie będzie mogła się dostać do ojca aż do rana, a może nawet jeszcze dłużej.

W końcu wspięła się na dolne gałęzie akacji, która zajmowała jeden róg komnaty. To był dziwny prezent urodzinowy od Leodana dla Dariela, który chłopiec dostał zeszłej zimy. Król sam wpadł na ten pomysł, podzielił się nim z rzemieślnikami i stolarzami i kazał pracować nad tym prezentem w tajemnicy, kiedy wraz z dziećmi pożeglował na krótki pobyt do Alesji. Po powrocie wszystkie dzieci weszły do pokoju Dariela i zobaczyły, że stara, sękata akacja została ocalona od powolnej śmierci i osadzona w kamiennej podłodze. Jej poskręcane gałęzie sięgały wysoko i sprawiały wrażenie, że miejscami wtapiają się w ściany i je podpierają. Drzewo zostało wygładzone, a kolce stępione. Potem pomalowano je na czerwony brąz olejem, w którym moczono drewno sandałowe, oraz ozdobiono wstążkami i zielonymi liśćmi z jedwabiu, żeby wyglądało na wiecznie żywe. Wśród gałęzi umocowano linami pomosty oraz drabinki i huśtawki do poruszania się między nimi. To niesłychany pomysł, dziwaczna ekstrawagancja w kulturze, która zasadniczo nie poświęcała uwagi dzieciom, dopóki nie stały się dorosłymi. Sporo ludzi plotkowało wtedy o zdrowiu psychicznym króla.

Mena patrzyła na pokój z wygodnie wygiętego konara. Przygaszone ściennie lampy nadawały mu pomarańczowe zabarwienie. Dariel spał spokojnie, mając obok siebie tacę z jedzeniem i herbatą przyniesioną przez pokojówki. Kiedy dzieci wróciły do pokoju, kobiety krzątały się wokół nich nerwowo. Wciąż pytały, czy im czegoś nie potrzeba, lecz nie umiały odpowiedzieć na jedyne pytanie, które dzieci uważały za ważne. Żadna z nich nie powiedziała

nawet słowa o stanie króla. Mówiły, że rano wszystko będzie lepiej. Ludzie króla zrobią, co muszą, i rano wszystko będzie lepiej. Gdyby nie powtarzały tego tak często, Mena mogłaby im uwierzyć. Pokojówki zawsze coś szeptały na temat króla. Nawet będąc w zasięgu jej słuchu, plotkowały o jego pragnieniach, motywach czy działaniach. Ale teraz było widać, że kobiety są przerażone. Zagubione. I kłamią.

Ponadto zawsze traktowały młodsze dzieci tak, jakby były... cóż, jakby były dziećmi. Mena zawsze wiedziała, że jest doroślejsza niż świadczył o tym jej wiek. Rozumiała to, czego nie rozumiały pokojówki. Jej ojciec był uprzejmy i nadzwyczaj inteligentny, i wiedział, że Mena nie jest dzieckiem, które można traktować protekcjonalnie. Czasami – kiedy byli sami i Leodan był w odpowiednim nastroju – rozmawiał z nią, jakby była dorosła. Wiedziała, że ich porozumienie to coś niezwykłego i że zdarza się tylko bez świadków.

I właśnie siedząc z nią na tym drzewie, powiedział wprost, że nie obchodzi go, czy szlachta, służący, czy w ogóle ktokolwiek uważa go za szalonego. Kiedy to było? Na początku zeszłej wiosny? W pierwszych tygodniach lata? Powiedział wtedy, że w gruncie rzeczy to świat jest szalony. Jest pełen mściwości, złośliwości, chciwości i obłudy. Uświadomienie sobie tego zajęło mu trochę czasu, lecz teraz już wie, że to prawda.

– Kiedy byłem młody – ciągnął, gładząc dłońmi drzewo – myślałem, że mogę zmienić świat. Wierzyłem, że kiedy zostanę królem, napiszę dekrety i prawa, które zlikwidują cierpienie ludzi. Nie sądziłem, że potrafię stworzyć idealny świat. Ale chciałem uczynić świat tak zbliżony do ideału, jak człowiek może to sobie wyobrazić.

Zapytała go, czy to zrobił. Ojciec podniósł na nią wzrok z miną pełną współczucia i miłości. Nie odpowiedział od razu. Podziękował Menie za to pytanie, za wiarę, że jej ojciec może być tak wielkim człowiekiem. Ale nie, nie spełnił żadnego ze swoich chłopięcych marzeń. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego ani w jaki sposób wszystkie te wspaniałe pomysły wyparowały na jego oczach. Wracając myślami do przeszłości, nabrał przekonania, że słowa, którymi opisywał takie sprawy, były równie ulotne jak para wodna wydobywająca się wraz z oddechem z ust w zimowy dzień. Jego słowa nie miały trwałej wagi. Znikały niemal w tej samej chwili, kiedy opuszczały jego usta. Kiedyś, w wielkiej sali w Alesji, zaproponował reformy gubernatorom, którzy złożyli mu hołd. Jego słowa zostały wysłuchane, ich prawda uznana, a jego mądrość pochwalona. Wyszedł z tego spotkania z poczuciem, że świat zaraz się zmieni, a mimo to mijał rok za rokiem, a świat pozostawał taki, jaki był, nie zmieniony na lepsze marzeniami Leodana. Nikt nigdy mu się nie sprzeciwił, ale też i nic się nie działo. Wtedy uświadomił sobie, jak naprawdę jest bezsilny. Wszyscy udawali lojalność wobec Leodana, lecz nikt nie wykonywał jego poleceń. Przyznał, że być może dlatego ograniczył

swoje ambicje i odnalazł sens życia w miłości do kobiety i dzieci, które spłodzili.

– Meno, moja mądra córko, nie jestem tak silnym człowiekiem, jak być może sądzisz.
– Wyciągnął rękę i ujął ją za podbródek. – Nie mogłem zmienić świata. Nie mogłem powstrzymać innych przed popełnianiem zbrodni – straszliwych zbrodni – w moim imieniu. Nie potrafiłem zatrzymać waszej matki, kiedy dopadła ją choroba. Ale kocham moje dzieci. Więc teraz wy jesteście sensem mojego życia, wszyscy czworo. Pomyślałem sobie: „Powiniennem zbudować we własnym domu świat taki, jaki chciałbym mieć”. Gdyby udało mi się wychować was na dorosłych ludzi w niezwykłej szczęśliwości, to coś bym osiągnął. W końcu i tak zobaczycie, jak nikczemnie zachowują się ludzie wobec siebie nawzajem, lecz dlaczego nie mielibyście przedtem zaznać radości? Chcesz być dzieckiem, któremu spełniają się marzenia, prawda?

Wtedy do pokoju wszedł Dariel i krótka chwila bliskości między ojcem i córką minęła. Myśląc o tym teraz, znów zaczęła płakać. Nie odpowiedziała ojcu. Nie zapytała, jakie to straszne rzeczy dzieją się na świecie. Nigdy ich nie widziała, wiedziała tylko o dawnych walkach tryumfalnie opisywanych w podręcznikach historii. Żałowała, że nie odpowiedziała wtedy na pytanie ojca. Naprawdę chciała – bardzo chciała – być dzieckiem, któremu spełniają się marzenia.

Była pewna, że nie zaśnie, lecz w pewnej chwili odpłynęła w sen, wciąż siedząc na drzewie, oparta wygodnie o gałęzie. Śniło jej się coś, co nawet we śnie wydawało jej się wspomnieniem, chociaż później nie była pewna, czy to wspomnienie jakiegoś wydarzenia, czy też snu. Wraz z dziewczynką, której imienia nie pamiętała, przeczłogała się po skałach północnego wybrzeża na kamienny pomost wychodzący w morze. Dziewczynka miała ze sobą rybacką sieć w dziecinnej nadziei, że przyniosą ryby na kolację. Wiedziały, że nie powinny wyprawiać się na poszarpane, jeżące się od małży skały, wokół których unosiły się i opadały fale, kłębiły pióropusze wodorostów i pełzały błękitne kraby. Wszystko jednak będzie dobrze, jeśli przyniosą do domu żywy skarb w sieci.

Kiedy zbliżały się do końca pomostu, Mena zauważyła dziwne poruszenie w wodzie. Tuż pod powierzchnią unosiła się ławica ryb. Było ich tak wiele, że Mena nie widziała ani początku ławicy, ani jej końca. Ryby miały pół metra albo i metr długości. Te płynące tuż pod powierzchnią wody czasami przecinały ogonami powietrze. Wzrok Meny powędrował między nimi daleko w głąb wody. Nie wiedziała, że morze tutaj jest tak głębokie i pełne ryb.

Królewna zwróciła się do tej drugiej dziewczynki o sieć, chwyciła ją i pochyliła się, chcąc ją zarzucić, a wtedy dziewczynka szepnęła, że nie powinny łapać tych ryb.

– Podróżują do boga morza – wyjaśniła. – Zjedzenie ich sprowadziłoby na nas

przekleństwo.

Do jakiego boga morza? Bzdura. Mena zarzuciła z pluskiem sieć i czekała na wijące się życie, które miało ją napęlić. Chwilę później wyciągnęła ją – pustą. Ryby płynęły dalej i ani jedna z nich nie wpadła do sieci. Mena zarzuciła sieć pod innym kątem i znów wyciągnęła pustą. Bez względu na to, jak poruszała siecią pod powierzchnią wody – z boku na bok, pionowo w dół, szybko w górę – nie mogła schwytać ani jednej ryby. Po prostu przepływały obok niej, tak blisko, że widziała drobne poruszenia ich płetw i duże łuski. A także ich smutne oczy patrzące na nią. Coś w tych oczach ją przyciągało. Odłożyła sieć i wskoczyła do wody, pewna, że w ten sposób uda jej się dotknąć ryb i że one tego chcą. Jeśli płyną na wezwanie jakiegoś boga morza, to nie robią tego chętnie. Ona im może pomóc. Wydawało jej się to bardzo ważne. Przebiła powierzchnię wody i zanurkowała...

Mena obudziła się raptownie i o mały włos nie spadła z drzewa. Przez kilka chwil nie wiedziała gdzie się znajduje. Sen zanikał. Mena wiedziała, że powinna pamiętać coś ważniejszego, ale wydarzenia tego wieczoru wróciły do niej dopiero po dłuższej chwili wpatrywania się w półmrok. Spojrzała na wysokie, wąskie okno i spostrzegła, że niebo pojaśniało od zbliżającego się świtu. Pokrywały je cienkie chmury, nadając mu łososiowy odcień. Mena pomyślała, że wstaje nowy dzień. Ile wczorajszych strat da się odrobić? Ile z nich okaże się w jasnym świetle poranka zaledwie grą cieni i nocnego mroku?

Kiedy zaczęła schodzić na dół, otworzyły się drzwi i weszła Corinn; poruszała się z wahaniem i rozglądała się po pokoju, jakby go nie знаła. Zapatrzyła się w śpiącego Dariela. Uniosła dłoń i dotknęła nią warg. Wyszepiała coś jak zabobonna wieśniaczka na widok gwałtownego zachowania przyrody. Za nią weszli do pokoju służący i rozbiegli się, by przygotować go na nadchodzący dzień; odsłonili okna i zgasili lampy, zabrali tacę z niezjedzonym posiłkiem i zastąpili ją tacą z owocami i sokami.

Na widok idącej w jej stronę Meny Corinn się ocknęła. Twarz miała pokrytą czerwonymi plamami i spuchniętą, a wargi nabrzmiałe.

– Nie umrze – odezwała się. – Tak mi powiedział. Powiedział, że nigdy mnie nie opuści. Obiecał matce, że najpierw pozna wszystkie moje dzieci, a one... a one poznają go i usłyszą od niego wszystko o naszej matce. Powiedział, że opowie nam o niej. O tym, jaka była w młodości, kiedy się pobrali...

– Rozmawiałaś z nim?

Corinn machnęła ręką.

– Ostatnio nie. To znaczy zanim to wszystko...

– Ale jak się czuje teraz? Powiedz mi, co wiesz – przerwała jej Mena.

– A co chcesz wiedzieć? – Corinn wodziła nerwowo wzrokiem po pokoju. – Ojciec został pchnięty nożem. Jakiś zabójca z Meinu... Twierdzą, że klinga była zatruta, ale ja w to nie wierzę. Zapytałam, jaka to trucizna, ale nikt nie umiał mi odpowiedzieć. Oni nic nie wiedzą. Nikt nie chciał mi powiedzieć prawdy. I nie pozwolili mi się z nim zobaczyć. Nawet Thaddeus nie chciał się ze mną widzieć! Oni wszyscy zachowują się jak szaleńcy. Wezwali na naradę Alivera, jakby ojciec już nie żył. Ale on żyje. Jestem tego pewna!

Ona jest bardziej przerażona ode mnie, pomyślała Mena. Ujęła obiema dłońmi rękę siostry i ucisnęła ją. Jej dotyk najwyraźniej uspokoił Corinn, bo ściszyła głos i zaczęła mówić wolniej, wbijając wzrok w ramię Meny.

– Meno, to było straszne. Widziałam, jak to się stało. Widziałam tego człowieka, zanim się ujawnił. Pomyślałam, że jest przystojny. Pomyślałam: „To jest Gurnal, prawda? Wygląda na młodszego, niż go zapamiętałam. Jakie to dziwne, że nigdy przedtem nie zauważyłam, że jest taki urodziwy”. I wtedy zobaczyłam, że wyciąga nóż. Po co mu nóż na uczenie? Gdybym krzyknęła w tej pierwszej chwili... nie zdawałam sobie sprawy... nic nie rozumiem.

Mena przyciągnęła siostrę do siebie. Instynktownie czuła, że może lepiej będzie nie mówić w takiej chwili. Coś jej podpowiadało, że role, jakie dotąd pełniły, zmieniły się. Znowu pomyślała o swoim śnie i w przeblysku olśnienia uświadomiła sobie, że ta dziewczynka, która była z nią na skałach, wcale nie była kimś obcym. To była Corinn, jakaś inna jej wersja. Jak to się mogło stać? Była tam ze swoją siostrą, a mimo to uważała ją za kogoś zupełnie innego. To nie miało sensu, lecz śpiący umysł rzadko tworzy coś sensownego. Odsunęła od siebie świat snów. Uświadomiła sobie, że w tej chwili to ona musi pocieszyć starszą siostrę. Problem w tym, że nie mogła jej pocieszać kłamstwami, musiało minąć kilka chwil, zanim odnalazła właściwy ton.

– Nic nam nie będzie – powiedziała. – Jeśli ojciec...

– Przestań! – warknęła Corinn. Utkwiła płonącego wzrok w siostrze. – Ojciec nie umrze. Przestań tego chcieć! Nawet nie mów, że mogłoby się to stać!

Mena była przerażona. Źle zaczęła.

– Ja... Ja tego nie powiedziałam. Wcale tego nie chcę. To wszystko jest takie straszne. Właśnie to...

Przez chwilę wydawało się, że Corinn chce ją uderzyć, ale w końcu wzięła młodszą siostrę w ramiona. Wtedy Mena po raz pierwszy od czasu uczy zaznała pociechy. W gruncie rzeczy było to smutne, lecz w świadomości, że obie czują taki sam strach i smutek, było coś uspokajającego.

ROZDZIAŁ 16

Z daleka ptak bardzo przypominał drobniejszą odmianę gołębia, z której został wyhodowany. Z bliska wyglądał zupełnie inaczej. Był wielkości młodego orła morskiego i miał jego umięśnienie, drapieżny dziób i bystre spojrzenie. Na szponach ptak miał coś w rodzaju skórzanych pokrowców zakończonych zaostrozonymi stalowymi zadziorami; w młodości został nauczony, jak się nimi posługiwać. Do nogi miał przymocowaną tuleję, do której można było wkładać zwinięte wiadomości. Był to ptak pocztowy, którego dzikość dorównywała jego wytrwałości w locie. Prawie nigdy nie padał ofiarą innych skrzydlatych drapieżników. Dlatego wybierano go do przenoszenia najpilniejszych wieści, takich jak ta wysłana wieczorem po ataku Thasrena Meina na króla Leodana.

Gołąb został wypuszczony w dzielnicy Akacji zamieszkaniej przez zagranicznych dygnitarzy. Uderzył skrzydłami w pachnące solą powietrze i wzbił się w nocne niebo. Leciał najpierw przez padający śnieg i poszarzały świat o miękkich konturach. Gdzieś nad stałym lądem na zachód od Alesji niebo się przejaśniło. Ptak leciał dalej przez noc, rzadko tylko przestając machać skrzydłami i szybując.

Dotarł do nadmorskiej wioski pod Aos o świcie następnego dnia. Szybował, mając za sobą migocące cynobrem niebo. Wiadomość przymocowana do nogi ptaka została wyjęta i – nieczytana – włożona do tulei na nodze innego ptaka. Ten przebył tego dnia odcinek dzielący wioskę od dolnej Aushenii, wznosząc się i opadając nad prerią pociętą kamiennymi płytami. Następny ptak poleciał przez Prześwit Gradthicki i przybył do Cathgergen mniej więcej na godzinę przed wschodem słońca drugiego dnia od rozpoczęcia podróży. Tym razem wiadomość została wyjęta z tulei i pośpiesznie zaniesiona zimnymi korytarzami pałacu do rozległych apartamentów, w których tymczasowo mieszkał ze swoją świętą młodszym bratem Hanisha, Maeander.

Maeander obudził się ze świadomością, że ktoś woła go po imieniu. Wołający pozostawał za drzwiami, śpiewając cicho zaszyfowaną modlitwę wyrażającą prośbę o wybaczenie za przerwanie snu oraz zapewnienie, że sprawa jest ważna. Maeander wstał nagi z ciepłego gniazda i przez chwilę patrzył z góry na płataninę ciał, poduszek i futrzanych koców, wśród których spał. Jego łóżko w gruncie rzeczy zajmowało większą część wyściełanej podłogi, podgrzewanej od dołu systemem przewodów rozprowadzających po

całej fortecy parę wydobywającą się z ziemi. Tu i tam widział jakieś fragmenty ciał smukłych kobiet, kosmyk lnianych włosów, nogę, rękę przerzuconą przez czyjeś nagie plecy, palce wplecione w miękkie futro białego lisa. Pięć, sześć, siedem kobiet – patrząc na taką plataninę, nie można było mieć pewności. Kiedy Maeander brał sobie kochanki, było ich dużo, a wszystkie tak do siebie podobne, że zlewały się ze sobą, zatracając swoją tożsamość. Kiedy tak stał, dostał gęziej skórki z powodu zimnego powietrza w pokoju. Najbardziej lubił wszelkie skrajności: gorąco i zimno, zachwyty i ból, miękkie linie ciał konkubin i twarde krawędzie oraz sztywne zasady wojskowego życia.

Kiedy otworzył gwałtownym ruchem drzwi i wystawił rękę po wiadomość, był już w pełni rozbudzony. Zamknął drzwi i przeczytał notatkę. Raz, drugi, a potem jeszcze raz, chociaż była krótka. Wydawało się, że na takie wieści czekał całe życie. Jego serce było wściekle, jakby w jak najkrótszym czasie chciało odliczyć wszystkie te dni.

– Dziękuję, ojcowie – powiedział. – Chwała ci, bracie. Nie zostaniesz zapomniany. Zdobyłeś honor, jakiego chciałeś od życia.

Usłyszał poruszenie wśród futer i koców. Ktoś głośno ziewnął i przekręcił się, odsłaniając pełne biodro. Maeander poczuł poruszenia żądy. Przez chwilę myślał o przyjemności, jakiej mógłby zaznać, budząc kobiety okrzykami podniecenia i kopulując z nimi dla obwieszczenia swej radości z tego, co się wydarzyło. Wiedział jednak, że teraz, kiedy otrzymana wiadomość obwieściła początek wszystkiego, nie może sobie pozwolić na takie rozrywki. Takie postępowanie byłoby równie nieodpowiednie jak oplakiwanie śmierci brata. Zawrócił do drugiego pokoju. Może cieszyć się tym dniem także w inny sposób. Lepiej zająć się tym natychmiast.

Tak więc kiedy Rialus Neptos wszedł do swego biura, zastał Maeandera rozpartego na kanapie. Mein już zaczął działać. Wysłał jeszcze jednego gołębia w lodowaty północny wiatr, grubo odzianego jeźdźca do innego miejsca na północy. Dopilnował, by towarzyszący mu żołnierze już wcześniej pojedynczo i jak najdyskretniej przeniknęli do fortecy, poruszając się najwyżej po dwóch, by nie zwracać na siebie uwagi. Jego konie i sanie od dawna były przygotowane. Aby zakończyć działania w Cathgergen, została mu tylko rozmowa z gubernatorem.

Rialus wszedł zamyślony, mrużąc coś pod nosem, ze zgarbionymi ramionami, ponieważ w pokoju było zimno. Na widok Maeandera zatrzymał się tak raptownie, że rozchlapał trochę parującego napoju z kubka, który trzymał ostrożnie w obu dłoniach.

– Maeander? Co cię sprowadza tak wcześniej?

Maeander zrobił przesadnie obrażoną minę.

– A cóż to za powitanie? Można by pomyśleć, że nie cieszy cię fakt rozpoczęcia dnia w moim towarzystwie.

Rialus natychmiast poczuł się wytrącony z równowagi. Wyjaśnił, że nie miał na myśli żadnej zniewagi. Był po prostu zaskoczony. W gruncie rzeczy szedł do łaźni. Zajrzał do gabinetu tylko na chwilę. Mógł w ogóle tu nie przyjść, a wtedy Maeander próżno by na niego czekał. Trajkotał bez przerwy, jakby nie mógł przestać.

– Dosyć! – Maeander tupnął głośno nogą w czarnym wysokim bucie. – Mam ci do powiedzenia kilka rzeczy. Dobrze by było, gdybyś usiadł.

Rialus nie przejawiał początkowo chęci, by go posłuchać, lecz gość czekał, patrząc na niego surowo, dopóki gubernator nie zmienił zdania.

– Leodan Akaran – rzekł Mein – został usunięty z tronu. Nie przerywaj mi. Powiem ci wszystko, co powinieneś wiedzieć. Mój brat Thasren poświęcił się, by zakończyć panowanie króla. Otrzymałem wiadomość, która potwierdza, że tego dokonał. Spodziewam się, że za kilka dni dowiesz się, że Akaran opuścił ten świat. Uważaj na kawę.

Rialus, oszołomiony słowami Maeandera, nie zauważył, że przechylił spodek.

– Swoim czynem Thasren pokazał, że ludzie już nie szanują rodu Akarana. Wypowiedział wojnę, a ja zamierzam w pełni poprzeć sprawę, za którą zginął. Za kilka godzin wyjeżdżam z niewielkim oddziałem moich ludzi. Nie rób takiej zadowolonej miny; jeszcze nie skończyłem. Otóż, Rialusie, to, co chcę ci wyłożyć, może wprawić cię w zakłopotanie, lecz spróbuj nad sobą zapanować. Masz dzisiaj do wykonania kilka ważnych rzeczy. Pierwsza wiąże się z łaźniami.

– Z... łaźniami?

– Właśnie. Dziś rano będzie z nich korzystać drugi oddział straży, tak? Cóż, rozkażesz pierwszemu i trzeciemu oddziałowi, by dołączyły do niego. To będzie wielki tłum mężczyzn i kobiet, lecz jestem pewien, że nie będą mieli nic przeciwko temu. Wszystkie te ocierające się o siebie ciepłe ciała... Kto nie lubi wilgotnego gorąca zatłoczonej łaźni? Lepiej jednak, byś ty do nich nie dołączał. Wyjaśnisz – jeśli będziesz musiał to komukolwiek wyjaśnić – że tego popołudnia łaźnie będą sprzątane i sprawdzane pod względem stanu technicznego, więc jeśli ktoś chce z nich skorzystać, musi to zrobić rano. Coś w tym stylu. – Ruchem dłoni dał do zrozumienia, że takie szczegóły z radością zostawia w rękach gubernatora. – A potem... rozkażesz zamknąć wszystkie otwory wentylacyjne nie połączone z łaźnią, a następnie każesz poluzować dławice głównych zaworów. Uwolnisz całą moc energii nagromadzonej w źródłach.

– Nie rozumiem – zaczął Rialus. – Temperatura wewnątrz łaźni...

– Będzie znaczna. Wiem. Woda w basenach się zagotuje. Żołnierze poczerwieniają jak homary w garnku. Będą się przepychać i tratować, żeby wydostać z wody, lecz będzie ich zbyt wielu. Powietrze napełni się parą, gorąco wypełni im płuca i się uduszą. Bardzo dobrze wiem, co się stanie, Rialusie.

– Ale będą usiłować uciec do sal, nadzy i... – Gubernator był zbyt skonsternowany, by mówić dalej. – Czy to jakiś żart?

– Czy wydaje ci się to zabawne? Dziwny jesteś, Rialusie. Tak czy owak, homary nie uciekną z łaźni. Zostawiam wystarczającą liczbę żołnierzy, by zaryglowali drzwi do czasu, kiedy para zrobi swoje. A potem pozbędą się wszystkich innych żołnierzy, których znajdą. Następnie pozwolą ci się przygotować do tego, co nastąpi dalej. Czy na razie wszystko jest jasne?

Rialus, jękając się, odpowiedział, że niemal trzy tysiące żołnierzy obu płci – po zniknięciu oddziału Alaina niemal cała Północna Straż – zostanie śmiertelnie poparzonych parą lub ugotowanych. Spuchną, popęka im skóra, wyleją się z nich rozmaite płyny, po czym zginą straszną śmiercią. Nigdy nie słyszał o takim pomysłe. To masowe morderstwo na wielką skalę. Wyjątkowa niegodziwość i podłość.

– To będzie straszny widok – zakończył z pełną oburzenia stanowczością. – W żadnym razie nie mógłbym...

Maeander wstał, położył dłoń na ramieniu drobnego gubernatora i zmusił go do wstania. Potem obrócił Rialusa w stronę jego cennego okna.

– To rzeczywiście będzie straszny widok, ale nie musisz się o to martwić. Wystarczy, że będziesz patrzył przez to swoje okno. Obserwuj horyzont.

Pamiętaj, że tego wieczoru będziesz miał gości. Już tu prawie są. Będą głodni i spragnieni wygod. Będziesz zadowolony, mój przyjacielu, że masz tyle świeżo ugotowanego mięsa na ich przyjęcie.

Maeander wyszedł, nie czekając na odpowiedź. Był tak z siebie zadowolony, że bał się, że nie będzie już mógł dłużej zachować obojętnej miny. Z każdym krokiem mocno uderzał piętami w podłogę. Było to niemal bolesne, ale podobało mu się, że kiedy on idzie, ziemia cierpi. Wiedział, że Rialus patrzy w ślad za nim z ustami otwartymi z przerażenia. Taki mały człowieczek, pomyślał Maeander. Jak ryjówka. Lecz trzeba przyznać, że jest użyteczny i podatny na manipulację.

Maeander był w wystarczająco dobrym nastroju, by wybaczyć temu gryzoniowi jego wady. Właściwie nigdy nie był tak zadowolony. Thasren osiągnął nieśmiertelność. Hanish wkrótce poprowadzi armię wzdłuż rzeki Ask ku Alesji. Jeśli chodzi o niego, Maeander

przeprowadzi kolejną armię przez góry do Candovii. A jego nowi sprzymierzeńcy, ci Numrekowie, przetoczą się przez Aushenię, siejąc straszliwe spustoszenie, jakiego od wieków nie widziano w Znanym Świecie. Potem nastąpi wielkie spotkanie, kiedy to główne siły Akacji staną w obliczu zagłady jeszcze przed rozpoczęciem bitwy...

Obecne czasy, pomyślał Maeander, to błogosławione, najlepsze do życia czasy.

ROZDZIAŁ 17

Do spotkania Leeki Alaina z numreckim wojownikiem doszło w dość zaskakujący sposób. Tak długo szedł wśród obrzydliwych pozostałości znaczących szlak hordy, że stał się nieostrożny. Przygniatało go znużenie. Nie stawiał już nóg z ponurym zdecydowaniem, jak przez pierwsze kilka dni. Osamotnienie i otaczające go pustkowie zwodziły jego umysł. Od czasu do czasu stawał, by przyjrzeć się okolicy i różnym kształtom widocznym w oddali na tle śniegu. Już kilka razy okazało się, że żaden z drżących na horyzoncie widoków nie był rzeczywisty. Coraz częściej w ciągu dnia przebywał myślami w wymyślnym świecie zbudowanym w przeszłości. Nieomal zapominał o celu swej samotnej arktycznej wyprawy, zapominał, że idzie śladem rzeczywistego wroga, zapominał o niedawnej masakrze swojej armii. Sprawiała wrażenie dawno już minionego koszmaru, z trudem dającego się uznać za rzeczywistość.

Przebrnął przez równinę i znalazł się na zachodnim skraju Pustkowi, nie poświęcając temu prawie żadnej myśli. Kraina rozpościerająca się przed nim była tak samo pozbawiona drzew jak ta, którą przebył, lecz teraz falowała jak fałdy pomarszczonej skóry. Tu i ówdzie przecinały się koryta zamrożonych rzek, jeszcze nie poruszonych przez nadchodzącą wiosnę. Za każdym razem, kiedy pokonywał zagłębienia terenu, tracił z oczu horyzont. Mimo wszystko łatwo było podążać drogą wytyczoną przez hordę. Przecinała krainę prostą linią. Leeka włókł się noga za nogą z pochyloną głową.

W taki sposób wszedł na szczyt wzniesienia i ruszył w dół ku temu, co za kilka miesięcy miało się stać rzeką. Zauważył na tle bieli ciemne kształty, lecz nie zwrócił na nie uwagi. Do chwili, kiedy usłyszał chrząknięcie. Był to pierwszy od dłuższego czasu odgłos wydany przez żywe stworzenie.

Odgłos zaniepokojenia, który przywrócił życie zmysłom Leeki. Zamarł. Sanie zsuwające się za nim po stoku dotknęły jego pięt.

Miał przed sobą dwie żywe istoty i jedną martwą. Chrząknięcie wydał włochaty nosorożec. Stał w odległości około trzydziestu metrów, na tyle blisko, że Leeka wyobrażał sobie dotyk jego szorstkiej sierści. Widział żłobkowanie okalające jego rogi i wzory wytrawione na sprzączkach przy siodle. Zwierz zdenerwował się nagłą bliskością Leeki. Cofnął się, wymachując na boki głową. Tuż za nim kuczał przy prowizorycznym palenisku

jeden z najeźdźców. Podniósł wzrok, najpierw na nosorożca, który obszedł go z tyłu, a potem na Leekę. Dlaczego się tu znalazł – czy jako maruder, czy jako dezertier – generał nigdy się nie dowiedział. Nie było szansy na jakąkolwiek rozmowę. Widok, jaki ujrzął, przyprawił go o mdłości jak jeszcze żadna wojenna jatka.

Numrek raczył się ludzkim mięsem. W kotle podgrzewanym od spodu smołą, której ślady Leeka znajdował już wcześniej, leżało ciało młodego mężczyzny. Jego ręce i nogi sterczały na boki, tak że stopy i dłonie opierały się o lód, a tułów się piekł, gotował na parze i jednocześnie dusił. Numrek spostrzegł Leekę w chwili, gdy sięgał ręką, by wepchnąć część ciała i narządów wewnętrznych do bulgocącego bulionu. Odłożył nóż, wstał i wyciągnął ręce na boki, jak stary robotnik wstający do niekończącej się pracy. Pochylił się, przez chwilę czegoś szukał, a potem wyprostował z włócznią w jednej ręce i zakrzywioną szablą w drugiej.

Leeka rzucił rzemienie, którymi był przywiązany do sań. Przed kilkoma dniami przestał nosić u boku szablę i umieścił ją na saniach. Wysunął ją teraz z pochwy. Miał też kuszę i bełty, lecz Numrek zbliżał się o wiele za szybko. Rzucił włócznią, która utkwiała głęboko w paczce zapasów i przechyliła sanie. Leeka odskoczył i zatoczył krąg, zdzierając rękawice i wypróbując wagę szabli w mroźnym powietrzu. Numrek nawet nie usiłował zranić go włócznią. Cisnął ją dla zabawy i trafił do celu, co widać było wyraźnie po złośliwej satysfakcji na jego twarzy. Ruszył do przodu sprężystym krokiem, niemal podskakując – jeśli można tak powiedzieć o stworzeniu tej wielkości, mającym tak mordercze zamiary. Przerzucał szablę z ręki do ręki, demonstrując sprawność w posługiwaniu się tą bronią. Był obwieszony futrami, które powiewały przy każdym jego ruchu. Chociaż rysy jego twarzy kryły się pod zasłoną włosów i czapką wciśniętą aż na brwi, wyraźnie się uśmiechał.

W zakamarkach umysłu Leeki powstało pytanie, jak się zabija coś takiego. Numrek zataczał szablą wielkie półkola, głośno rozcinając powietrze.

Leeka uchylił się przed uderzeniem wymierzonym w głowę, lecz stalowe ostrze odcięło mu kilka pasemek włosów. Kiedy po raz pierwszy sparował cios, zderzenie kling spowodowało porażający ból dłoni trzymającej rękojeść, wykręciło mu rękę w nadgarstku i niemal ją złamało. Utrzymał szablę, przykrywając bolące miejsce drugą dłonią i walcząc nią oburącz. O ile można to było nazwać walką. W rzeczywistości cofał się, potykał i odyskiwał równowagę, ani razu nie atakując. Nie przyjmował już ciosów na klingę, lecz tylko ukośnie je odbijał. Był marionetką uwijającą się na rozkaz przeciwnika.

Leeka zasapał się i spocił, z oczu ciekły mu łzy. Wydawało mu się, że utrzymuje się przy życiu w tej walce już bardzo długo. Wróg coś mówił. Wydawał ciąg gardłowych dźwięków ledwie przypominających słowa. Leeka usiłował obmyślić sposób ataku, lecz jego

przeciwnik był zbyt potężny, zbyt szybki, jak gwałtowna burza. Wydzielał ostry zapach, niemal wywołujący mdłości, podobny do zapachu octu, moczu i cebuli. Kiedy wchodził w blask nisko stojącego słońca, całkowicie je przesłaniał i stawał się cieniem wojownika. Czy człowiek kiedykolwiek zabił coś takiego, takiego olbrzyma?

I wtedy Leeka sobie przypomniał. Ósma forma. Gerimus w walce ze strażnikami Warowni Tullucka. Ci strażnicy podobno byli olbrzymami. Tak mówiły dawne legendy. Byli silniejsi od ludzi. Nieludscy w pogardzie dla życia. To byli wojownicy żyjący po to, by zabijać. Sterroryzowali Pierwsze Królestwo Candovii, poprzednika Drugiego Królestwa Candovii. Sposób na ich pokonanie znaleziono dopiero wtedy, gdy bohater Gerimus odepchnął ich do Warowni i sam zaatakował dwóch strażników. Uświadomił sobie, że są zbyt pewni siebie. Zbyt silni i zbyt niecierpliwi. Wykorzystał tę niecierpliwość przeciwko nim, drażniąc ich czysto obronną walką, aż zaczęli popełniać błędy. Raz zadziało, może zadziała ponownie.

Leeka spróbował więc wpleść do swego obronnego tańca fragmenty formy. Początkowo ledwie mu się to udawało, aż wreszcie znalazł sposób na połączenie tego, co musiał robić, by przeżyć, z prastarymi ruchami Gerimusa. Sytuację komplikował fakt, że bohater walczył z dwoma przeciwnikami, lecz Leeka zmodyfikował większą część układu dotyczącego drugiego olbrzyma. Początkowo jego przeciwnik chyba tego nie zauważył. Olbrzym znieruchomiał ze zdziwienia dopiero wtedy, gdy Leeka zawirował w szaleńczym ataku na powietrze. Odwrócił potężną głowę i przyjrzał się miejscu, które generał tak zażarcie siekł szablą. Patrzył, jak Leeka ciął szablą stopę swego wyimaginowanego przeciwnika, wyciągnął czubek klingi z lodu, skierował go w niebo i wbił w miękkie miejsce pod niewidzialnym podbródkiem. Potem Leeka zwrócił się w stronę Numreka.

Cokolwiek najeźdźca pomyślał o tym pokazie, postąpił do przodu i podjął atak. W miarę trwania walki Leeka coraz lepiej wykonywał ruchy formy. Podobało mu się to. Jeśli ma umrzeć, to przynajmniej umrze z godnością. W tej pewności siebie tkwił przedsmak opanowania. Leeka zaczął mieć wrażenie, że czasem nie tylko przewiduje posunięcia przeciwnika, ale je prowokuje. „Tak”, pomyślał. „Zbliź się do mnie”. Numrek podskoczył bliżej. „Zamachnij się, jakbyś chciał mi obciąć nogi”. Podskoczył w ostatniej chwili. Nie był to idealny taniec, lecz generałowi z coraz większą łatwością udawało się wplatać do walki fragmenty formy. Przeciwnik nie okazywał, że rozpoznaje w tym jakiś plan, ale walczył coraz zacieklej. Jego radość nieco osłabła. Zamilkł i jedynie stękał z wysiłku. Kilka razy nawet opluł Leekę, traktując ślinę jako broń i jednocześnie chcąc go obrazić.

Kiedy nadeszła odpowiednia chwila, przeciwnik zaatakowany z największym jak

dotąd wybuchem wściekłości przerzucił szablę z lewej do prawej ręki. Ruszył do przodu, zataczając bronią krąg; włożył w ten ruch całą siłę ręki, ramienia i brzucha, całego ciała i całą czystą złość. Potęga uderzenia była niewiarygodna, lecz Leeka odsunął się na bok. Klinga spadała z taką szybkością, że generał niemal stracił równowagę od podmuchu rozcinanego powietrza. Ostrze uderzyło w lód, wzbijając kryształową fontannę.

I stało się tak, jak wtedy, gdy ostatni olbrzym Tullucka rozciął granit posadzki Warowni. Leeka stanął na szabli przeciwnika, jedną nogą na tylnej krawędzi brzeszczotu, drugą na rękojeści. Potem znalazł oparcie na przedramieniu olbrzyma i wybił się do skoku połączonego z uderzeniem szablą. Klinga zaśpiewała, zataczając rozmazany krąg tak szybko, że potem nie pamiętał chwili, kiedy gładkim ruchem przeszła przez szyję wroga. Zawsze jednak pamiętał moment, kiedy uświadomił sobie, co zrobił. Głowa najeźdźcy tkwiła na jego ramionach cały czas, kiedy padał na ziemię. Gdy ciało runęło na lód, wystrzeliła do przodu jakby napędzana strumieniem jaskrawoszarłatnej krwi. Leeka nigdy nie ćwiczył tej formy w taki sposób.

Patrząc, jak parująca krew wsiąka w lód, powiedział:

– No proszę... Wyszło.

Chociaż z trudem powstrzymywał torsje, odciągnął od ognia to, co zostało z ludzkiego ciała. Kopniakiem przewrócił kocioł, a końcem włóczni przegarnął węgle i płonącą smołę, by ognisko zapłonęło większym ogniem. Wrzucił do niego palne przedmioty z własnych zapasów, a potem wziął się do powolnej, nieprzyjemnej pracy mającej na celu spopielenie ludzkiego ciała. To był przecież jeden z jego żołnierzy. Nie rozpoznał jego odmrożonej twarzy ani nie znalazł przy nim żadnych dokumentów, lecz wypowiedział nad nim kilka słów. Ogarnął go prawdziwy smutek. Miał taką siłę jak nigdy dotąd, a łzy wcale nie krępowały go mniej dlatego, że płakał w samotności. Nie widział młodzieńca podczas walki z olbrzymem, ale cieszył się, że go pomścił.

Pod koniec dnia skończył to, co się dało zrobić dla poległego. Potem zaczął się przyglądać nosorożcowi, który trzymał się niedaleko i go obserwował. Podeszedł do zwierza z włócznią w dłoni, usiłując zamaskować uraz nogi. Zapewne skręcił kostkę podczas pojedynku. Przy każdym kroku odzywał się ostry ból, a staw był sztywny i spuchnięty. Nie chciał okazać słabości przy zwierzęciu, które za każdym razem, kiedy się do niego zbliżał, odsuwało się, obracało, cofało, cały czas trzymając generała na dystans i pilnie obserwując jednym bądź drugim okiem. Leeka rozejrzał się za czymś do jedzenia, co mógłby mu dać, lecz nie zauważył niczego odpowiedniego.

– Posłuchaj – odezwał się. – Nie mam na to czasu. Jeśli nie zauważyłeś, twój pan

stracił głowę. Lecz my moglibyśmy sobie pomóc. Ja chcę szybko się gdzieś dostać, a to zaszkodziłoby mojej kostce. A ty... ty wyglądasz, jakbyś chciał się dokądś udać.

Uwaga, jaką zwierz poświęcił tej przemowie, miała coś wspólnego z inteligencją, lecz nie było to pełne zrozumienie. Zatupał ciężko w lód. Leeka miał świadomość swojej słabości i siły zwierzęcia. Wpatrywał się w nie z całą irytacją, na jaką potrafił się zdobyć. Lepiej, żeby nosorożec sobie nie przypomniało, że może nabić Leeke na ten swój róg jako ozdobę albo że w każdej chwili może go przewrócić i rozdeptać na miazgę. Nie można dopuścić do współzawodnictwa opartego na sile. I nagle Leece przyszło coś do głowy.

Odkuśtykał i po chwili wrócił z dłonią zaciśniętą na włosach martwego wojownika. Rzucił głowę pod nogi wierzchowca. Stwór przyjrzał się jej, obracając się na boki, jakby podejrzewał jakieś oszustwo. Leeka wypróbował kilka dowcipnych uwag. Żadna nie pasowała do sytuacji, więc zamilkł. Zwierz i tak miał wiele pracy dla swego tępego umysłu. Zamierzał dać mu chwilę, by wszystko sobie przemyślał.

ROZDZIAŁ 18

Aliver ubierał się na spotkanie z wojskową energią. Mimo że był sam w pokoju, mocno strzepnął kamizelkę, w której miał wziąć udział w Radzie, jakby każdy jego ruch obserwowali starsi, gotowi zarzucić mu rozleniwienie. Panował półmrok, ponieważ zdmuchnął większość płomieni lamp, i chłód, gdyż otworzył jedno z dużych wykuszowych okien. Miał po raz pierwszy zasiąść wśród doradców króla; Radę zwołano nagle z powodu próby zabójstwa. „Próby”, powtarzał sobie Aliver. Tylko próby. Chociaż przez dwa dni, od ataku nie pozwalano mu się zobaczyć z ojcem, Thaddeus zapewniał go, że król żyje i ze wszystkich sił walczy o powrót do zdrowia. Powiedział, że na razie mogą go odwiedzać jedynie lekarze. Wydawało się to absurdalne. Jak życie Leodana Akarana i los imperium może znajdować się na łasce tak niewielu ludzi? Jednego z nożem, kilku innych z miksturami i naparami...

Nie chodziło o to, że Alivera nigdy nie ostrzegano przed takimi możliwościami, lecz poprzednie rozmowy na temat zasad dziedziczenia tronu wydawały mu się nierealne, nie mające związku z jego najbliższą przyszłością. Nauczyciel, Jason, powiedział kiedyś, że najbardziej niebezpiecznym czasem dla królewicza są dni czy też tygodnie przed jego koronacją. Utrzymywał, że czasami królewicze byli zabijani przez swoich najbardziej zaufanych doradców, przyjaciół, a nawet krewnych żądnych władzy. Aliver nie pamiętał swojej odpowiedzi, ale na pewno zaprzeczył, by taka zdrada mogła spotkać Akaranów. Lecz Jason i na to miał odpowiedź.

– Z historycznych zapisów wynika, że żaden naród, bez względu na to, jaki był potężny, nie zachował panowania w nieskończoność. Albo wy, Akaranie, wyzwoliliście się od tego schematu, albo historia nieco zmitrężyła w doganianiu was.

Jason powiedział to, kłaniając się, niemal żartobliwie, z szacunkiem i życzliwością, jak zawsze, kiedy rzucał księciu jakieś wyzwanie. Myśląc jednak o tym teraz, Aliver poczuł ukłucie niepokoju.

Z rozmyślań wyrwało go gwałtowne stukanie do drzwi. Chwilę później stanął przed nim giermek ze spoczywającą na wyciągniętych dłoniach szablą zwaną Zaufaniem Króla. Królewicz dobrze znał tę klingę. To była broń, którą Edifus walczył pod Carni. Powiadano, że czarna plama na skórze oplatającej rękojeść powstała z krwi pierwszego króla. W pewnym momencie podczas pojedynku z jakimś przywódcą plemiennym Edifus się potknął, upuścił

szablę i uszedł z życiem tylko dlatego, że chwycił całą dłonią spadającą nań klingę przeciwnika. Znakomity ruch, który później został w celach szkoleniowych zmodyfikowany do ruchu blokującego, w którym krawędzią dłoni odpycha się płaską stroną klingi przeciwnika. Leodan nosił tę szablę tylko przy specjalnych okazjach, lecz Aliver wiele razy odwiedzał ołtarzyk w ojcowskiej garderobie, na którym spoczywała ta broń. Wodził palcami po zabrudzonej plecionce na rękojeści, kładł na niej dłoń z nadzieją, że jego palce będą idealnie pasować do wyrobionego uchwytu.

Raz uniósł ją z podpórki i wyciągnął przed siebie, trzymając jedną dłonią za rękojeść, a drugą za pochwę. Ruchem nadgarstka złamał łączącą je pieczęć i wysunął kilka centymetrów klingi. Tylko tyle. Nigdy potem nie miał pewności, ale wtedy wydawało mu się, że kiedy powietrze i światło dotknęły odsłoniętej części klingi, zaśpiewała. I nie był to głos radości. Był to smutek przekazany poprzez hartowaną stal. Poczuł, że komnata wypełniła się rozgniewanymi duchami. Zrobił coś niewłaściwego, dotknął przedmiotu, którego nie powinien dotykać, dotknął czegoś jeszcze nie przeznaczonego dla niego. Po tym doświadczeniu została mu także obawa, że wojenna historia, jaką zna ta klinga, jest straszna i że jeszcze go na to nie przygotowano.

Teraz stał z uniesionymi rękami, a giermek przypinał mu szablę do pasa; broń ta będzie uchodziła za jego własność, dopóki ojciec nie wyzdrowieje na tyle, by znów ją dzierżyć. Starał się nosić ją z odpowiednią swobodą, nie zważając na to, że z każdym krokiem obija mu się o udo. Nie spodziewał się, że zajmie miejsce w Radzie przed ukończeniem siedemnastu lat. Jeszcze przed kilkoma dniami uważałby zasiadanie między generałami i doradcami za wielki zaszczyt. Teraz poczucie winy z tego powodu ciążyło mu jak kamień. Patrzył, jak zabójca uderza ojca nożem w pierś, i nic nie zrobił. Ten nikkzemnik nazwał jego ojca despota. Despotą! Z jakiego powodu? Aliver wiedział, że źli ludzie przekręcają słowa, by służyły ich celom i że nie są w stanie powiedzieć prawdy, lecz fakt, że zabójca powiedział coś takiego w obecności tak wielu osób z taką pewnością siebie... Alivera to ubodło. Burzyła się w nim od tego krew.

Tak bardzo chciał wrócić do tamtej chwili i chwycić tego człowieka za gardło. Dlaczego tego nie zrobił? Udało mu się jedynie kilkakrotnie wrzasnąć, żeby ktoś go powstrzymał. Gdyby chciał, mógł odepchnąć strażników. Mógł przeskoczyć przez stół. Mógł zrobić tyle rzeczy, z których teraz byłby dumny. Nie zrobił tego jednak. Przed wschodem słońca następnego dnia sto razy odegrał tę scenę w wyobraźni, ze wszystkimi jej możliwymi wariantami. Nie poczuł się od tego ani trochę lepiej. Umocniło to tylko jego przekonanie, że za ranę ojca to on ponosi największą winę.

W porównaniu z wystawną wspaniałością większości akacjańskiej architektury sala Rady był ciasna, klaustrofobiczna i ledwie mieściła w sobie stojący na środku owalny, niski stół z polerowanego granitu, wokół którego zasiadało dziesięciu doradców królestwa. Światło wpadało przez jedyne okno, umieszczone wysoko w południowej ścianie. Świetlista smuga padała na sam środek stołu i, odbijając się od niego, podświetlała twarze doradców. Przez kontrast ściany ginęły w mroku i Aliver miał wrażenie, że to pokój służący do przesłuchań.

Po chwili wahania, spowodowanego koniecznością przystosowania wzroku do oświetlenia, królewicz usiadł na miejscu ojca. Zastanawiał się, czy powinien rozpocząć spotkanie. Rozejrzał się po ukrytych w cieniu, pobrużdżonych twarzach starszych, którzy spoglądali na niego i na pozostałych członków Rady. Patrzył na nich nie jak na żywe osoby, lecz jak na kolekcję kamiennych popiersi. Jak zacząć takie spotkanie?

Nie musiał tego zrobić. Obrady rozpoczął Thaddeus Clegg, przywołując imiona pierwszych pięciu akacjańskich królów i przypominając wszystkim obecnym, że biorą udział w dyspucie najwyższej rangi. To u wymienionych królów powinni szukać mądrości. Z nich powinni czerpać przykład w obliczu powstałego zamętu.

– Zanim przejdziemy do spraw, które musimy omówić, wszyscy na pewno pragniecie się dowiedzieć, jak się czuje król. – Dookoła rozległy się pomruki. – Mogę wam tylko powtórzyć to, co wiem od lekarzy. W tej chwili król żyje. Lecz prawie na pewno został otruty. Są przekonani, że nóż, którym go zraniono, był nożem Ilhachów, starego zakonu raeinińskich zabójców. Wiem, że Edifus go rozwiązał i wyjął spod prawa. Lecz mimo to życie z króla prawdopodobnie wysysa ich zabójcza trucizna. – Kanclerz zatrzymał na chwilę wzrok na Aliverze, lecz kontynuował, już na niego nie patrząc. – Lekarze robią wszystko, co w ich mocy. Możliwe, że król przeżyje, może też jednak umrzeć. Musimy być przygotowani na każdą z ewentualności. Jak wszyscy widzicie, dzisiaj na miejscu króla siedzi królewicz Aliver. Powitajcie go i módlcie się, by wkrótce oddał je ojcu.

Aliver usiłował rozejrzeć się dookoła i odpowiedzieć na pozdrowienia, lecz wkrótce oczy odmówiły mu posłuszeństwa. Resztę uprzejmości przyjął ze wzrokiem utkwionym w blat stołu.

Wciąż wpatrując się w żyłkowanie kamienia, wysłuchał sprawozdania Thaddeusa. Powiedział, że na wyspie nie ma nikogo, kto mógłby potwierdzić tożsamość zabójcy. Pewien urzędnik, który przez rok mieszkał w Cathgergen, prowadząc kontrolę ksiąg satrapii, mógł zaświadczyć, że mężczyzna ten to rzeczywiście Thasren Mein. Lecz sprawa nie jest

zamknięta. Za pośrednictwem gołębi pocztowych meinińscy przedstawiciele z Alesji wydali oświadczenie, że zabójcą nie mógł być Thasren. Upierali się, że to spisek uknuty przez innych konspiratorów, a nie przez Meinów. Ogłosili nawet zamiar natychmiastowego przyplłynięcia na Akację i złożenia deklaracji niewinności. To jednak mogło być wybiegiem, ponieważ jedyny meiniński urzędnik mieszkający na wyspie zniknął. Gurnał uciekł wraz z rodziną, zostawiając w domu kilku martwych służących. Delikatnie mówiąc, trudno było coś z tego zrozumieć.

Kiedy sekretarz skończył, głos zabrał Julian, jeden ze starszych doradców.

– To nie są wystarczające informacje, by na ich podstawie podjąć jakieś działanie – stwierdził. Kilku doradców, najwyraźniej już przez niego rozdrażnionych, zauważyło, że nikt jeszcze nie zaproponował żadnego działania. Julian ciągnął niezrażony: – Hanish Mein miałby wysłać brata na śmierć... i po co? By zacząć wojnę, na zwycięstwo w której nie może mieć nadziei? Nie potrafię uwierzyć ani własnym oczom, ani uszom. Hanish to jeszcze niemal chłopiec. Widziałem go przed kilku laty podczas zimowych obrzędów. Miał na policzkach puchaty zarost, niegolony jak u wszystkich chłopców, którzy czym prędzej chcą się stać mężczyznami.

– On już nie jest chłopcem – rzekł Relos, dowódca akacjańskich wojsk i człowiek, o którym Aliver wiedział, że ojciec mu ufa. – Ma chyba dwadzieścia dziewięć lat.

Julian musnął wzrokiem Alivera, a potem zadał wszystkim obecnym pytanie:

– Jeśli zrobił to Hanish Mein, to z jakiego powodu? Co zamierza?

– Nie wiemy, co zamierza – odparł Chales, inny starszy żołnierz. – Twoje umiłowanie pokoju jest dobrze znane, Julianie, lecz nie wszyscy są tak wielkoduszni, jak ty.

– A chłopcy często są niemądry – powiedział Relos. – Pełni dumy. Szaleni.

Thaddeus uprzedził odpowiedź Juliana.

– Nikt tu nie patrzy na noc i nie nazywa jej dniem – rzekł. – Powinniśmy rozważyć wszelkie możliwości i pytanie Juliana jest zasadne. Może to nie jest sprawka Hanish Meina. Może, ale przekonałem się, że najbardziej oczywisty winowajca zwykle jest prawdziwym winowajcą. Meinowie to pradawny naród. Pradawne narody mają długą pamięć. Hanish być może sądzi, że działa w imieniu swoich przodków. Utrzymuje z nimi kontakt, a oni nigdy nie pożąдали akacjańskiej krwi tak bardzo jak teraz. A przynajmniej tak uważają Meinowie.

– Wszyscy jesteśmy pradawnymi narodami, Thaddeusie – powiedział Relos. – Niektórzy z nas o tym pamiętają, a niektórzy nie. Jedni umieją wymienić z imienia ojca ojca ich ojca, a inni nie. Lecz krew przodków wciąż krąży w naszych żyłach. Wiek nie jest usprawiedliwieniem zdrady.

Chwila ciszy sprowokowała Alivera do zabrania głosu.

– Krążymy wokół tematu, nie patrząc mu w twarz. Ten człowiek – zabójca – czy ktokolwiek wątpi, że pochodził z rasy Meinów? I że swobodnie posługiwał się ich językiem? Czyż nie podał swego imienia? – Doradcy zareagowali milczeniem, najwyraźniej zaskoczeni, że młodzieniec się odezwał, i niepewni, jak mu odpowiedzieć. – Dlaczego więc patrzycie na nocne niebo i zastanawiacie się, czy to jednak nie jest dzień? Wiemy, kto to zrobił. Mojego ojca ugodził nożem jakiś Mein! Odplacimy im! I nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobili. Czyn jest czynem, bez względu na rozumowanie stojącego za nim umysłu. Muszą zostać ukarani.

– Jak najbardziej, królewiczu – przytaknął Thaddeus. – Dlatego tu jesteśmy. Musimy podjąć działanie. Gubernatorzy będą mieli własne pomysły, lecz wskazówek będą szukali u nas, podobnie jak aprobaty swego postępowania.

– A zatem jesteśmy tu po to, by zdecydować o formie ataku? – zapytał Aliver, nabierając pewności siebie. – Jak szybko nasza armia może stanąć pod bramami Tahalian?

W sprawie rozmieszczenia wojsk Thaddeus zdawał się na Carvera, jedyne dowódcę Marahów na wyspie. Trzydziestokilkuletni Carver był najmłodszy wśród obecnych członków Rady. Jako potomek długiej linii wojowników miał szczęście od urodzenia, a jego umiejętności i ambicja pomogły mu się wybić. Przed kilku laty zgłosił się na ochotnika jako dowódca armii podczas Candovianskiej Niezgody. Była to jedna z rzadko przeprowadzanych akcji militarnych, o której opowieści były w mniemaniu Alivera raczej fikcyjne niż prawdziwe, lecz Carver zdobył doświadczenie w walce. Niewielu Akacjan mogło o sobie powiedzieć to samo. Mimo to Alivera nie obchodziło, co żołnierz ma do powiedzenia.

Carver oznajmił, że ataku na Meinów nie można przeprowadzić pośpiesznie. Trzeba wziąć pod uwagę ich waleczność, położenie geograficzne oraz tereny, które trzeba przemierzyć, by do nich dotrzeć. Siły akacjańskie są rozmieszczone w całym imperium w sposób pozwalający im na pełnienie funkcji patrolowo-porządkowych, lecz nie są wystarczająco liczne, by bez reorganizacji i transportu oddziałów przeprowadzić jakąkolwiek kampanię wojskową. Można zacząć ściągać jednostki z prowincji, zarządzić pobór następnych i wczesną wiosną zebrać oddziały wokół Alesji. Może, gdyby dało się uzyskać zgodę Aushenii, mogliby do wiosennej równonocy przesunąć je na bardziej wysuniętą pozycję w pobliżu Prześwitu Gradthickiego. Lecz to byłoby działanie obronne. Na Płaskowyż Mein mogliby wkroczyć dopiero miesiąc później, a i tak trudno będzie się przemieszczać po nasiąkniętej wodą ziemi i wśród wezbranych rzek, nie mówiąc już o owadach...

– O owadach? – zapytał Aliver. – Oszalałeś? Mój ojciec został ugodzony przez meinińskiego zabójcę, a ty mi mówisz o owadach?

Carver zmarszczył krzaczaste brwi.

– Panie, czy widziałeś kiedykolwiek meinińskie wiosenne meszki? Pojawiają się całymi rojami, tworząc chmury tak gęste, że ludzie duszą się nimi. One też gryzą. Ludzie umierają z utraty krwi. Lecz najgorsze jest to, że powodują choroby, gorączkę, zarazy... Podczas kampanii wojennej trzeba wziąć pod uwagę wiele spraw, śmierć można zadać nie tylko szablą. Jedną z tych spraw, mój królewiczu, są owady. Może pierwsza linia, zaznajomiona z zimowymi warunkami Meinu, mogłaby wyruszyć wcześniej, zanim odwilż przywróci do życia miejscowe plagi, lecz nie zalecałbym tego, skoro zaginął generał Alain.

Aliver pokręcił głową, zdumiony, że żołnierz przejawia taką niechęć do walki. Jego samego zawsze uczono myśleć w kategoriach bezpośredniego uderzenia, szczególnie że armia Akacji miała przewagę liczebną nad siłami każdej z prowincji. Chciał zapytać, co się stało z generałem Alainem, lecz po tym, w jaki sposób wspominał o nim Carver, było widać, że wszyscy już coś o tym wiedzą.

– Żołnierzy Meinu jest nie więcej niż dwadzieścia tysięcy – powiedział Aliver – z czego dziesięć służy nam na terenie całego imperium. Tak głosił dekret. Pytam więc, jak szybko możemy zgromadzić na tyle duże siły, by pokonały te dziesięć tysięcy zgromadzone w jednym miejscu? To nie wydaje się niemożliwe.

Carver mruknął, że zawsze trudno było ocenić liczbę ludności Meinu. Czasami nie odpowiadała ona oficjalnym spisom.

– Jeśli mamy przystąpić do wojny z Meinami, to jest mało prawdopodobne, że do bezpośredniego starcia dojdzie przed nastaniem lata. Ekspedycja karna wysłana wcześniej... Nie wiem, czy to możliwe. Jeśli Hanish wybrał taki termin zabójstwa, żebyśmy nie mogli natychmiast wykonać kontrataku, to mu się udało. Trzeba też wziąć pod uwagę charakter meinińskich żołnierzy. Mieszkańcy Meinu zabijają bez wahania. Pozbywają się słabych, dzięki czemu z każdym pokoleniem stają się silniejsi. Szkołą się w najtrudniejszych warunkach. Kultuwują tajne obyczaje, których możemy się jedynie domyślać. Każdy zabity Mein będzie nas drogo kosztował.

Odpowiedziały mu pomruki aprobaty. Jeden z doradców dodał, że słyszał, jakoby Hanish wyszkolił gdzieś w ukryciu armię. Zgodził się z nim któryś z pozostałych. Julian pokręcił głową, słysząc, że rozmowa opiera się na przypuszczeniach, lecz prócz dezaprobaty nie miał nic do dodania.

– Hanish prowadzi maseret – rzekł Carver – ten zabójczy taniec, tak lubiany przez Meinów. Jeśli atak na króla to jego sprawa, to jest niczym sztylet wymierzony w twarz. Chce, żebyśmy się zachwiali, stracili równowagę. Trzeba przyznać, że już mu się udało to

osiągnąć.

– Obawiam się, że już wyprowadził następny cios – wtrącił Chales.

Relos kiwnął głową, jak zwykle, kiedy chciał dać do zrozumienia, że zamierza zabrać głos.

– Ci ludzie mają wiarę. Rozmawiają ze swoimi zmarłymi, a ci zmarli są podobno bardzo przekonującymi mówcami. Wiara zaprzęgnięta w służbę jakiejś sprawy jest niebezpieczna.

Aliver rozejrzał się. Co jest z tymi ludźmi? To, co się przytrafiło jego ojcu, zmieniło prostą taktykę w jakiś taniec? Rozmowy ze zmarłymi? Z tonu przemawiających można by wnioskować, że to tylko jakaś gra wojenna, spotkanie w interesach...

– Zebraliście się tu, żeby spisać warunki poddania prawowitego królestwa mojego ojca? – warknął. – Niech was wszystkich szlag, jeśli nie macie mi nic więcej do powiedzenia.

– Młody królewiczu – odezwał się Thaddeus ze zboląłą miną, jakby wolał odbyć tę rozmowę na osobności – nie musisz nas przeklinać. Nikt z nas nie wierzy, że grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo. Chcemy ci tylko dać do zrozumienia, że sprawa jest poważna.

– Wiem o tym – odparł Aliver. – Czyż nie patrzyłem na twarz ojca? Powiedzcie mi wszystko, co musicie. Lecz powtarzam – rozmawiajcie ze mną o tym, jak ukarzymy Hanisha Meina. Bo tak uczynimy. Musimy tylko zdecydować, w jaki sposób i kiedy. Zrozumiano?

Rozległy się pomruki zgody, lecz przez resztę długiego spotkania Aliver zastanawiał się, czy jego wybuch był rozsądny. Spotkanie zamknięto, a w głowie królewicza kotłowały się rozmaite pomysły, unosząc się i opadając jak kawałki rozbitego statku na falach. Nie miał pojęcia, co nadejdzie. Czuł się jak chłopiec okrętowy, który przywarł do kawałka drewna, zdany na pastwę wszechmocnych prądów morskich.

ROZDZIAŁ 19

Ze wszystkiego, co sprawiało ból Thaddeusowi, kiedy tak stał przy łóżku swego starego przyjaciela, największym żalem napełniał go widok obwisłej twarzy króla. Leodan był postarzałym człowiekiem tak zmęczonym życiem, że mięśnie jego twarzy ledwie miały siłę się kurczyć, drgać czy odzwierciedlać emocje. Stwierdzenie, że jego skóra była ziemista, ledwie dotykała powierzchni prawdy. W rzeczywistości była biała, jak przysypana mąką, a kolor i życie uszły także z jej głębszych warstw. Thaddeusowi przemknęła przez głowę myśl, że bardzo podobnie mógł wyglądać sam Edifus na łożu śmierci. I że ta śmierć – jak śmierć pierwszego króla wiele pokoleń wstecz – może oznaczać zmianę porządku świata.

Thaddeus ledwie powstrzymywał się przed padnięciem na kolana i wykrzyczeniem swego smutku, wyznaniem wszystkiego, zaprzeczeniem wszystkiemu. Oba impulsy były szczere. Pod pewnym względem to wszystko była jego wina. Uwierzył wiadomości otrzymanej od Hanisha Meina. Od chwili, kiedy ją usłyszał, wiedział, że Gridulan jest winien zbrodni wyliczonych przez Hanisha. Bardzo wtedy nienawidził syna za grzechy jego ojca. Chciał go ukarać, chciał, żeby Akaranie cierpieli, a kraj ogarnął chaos. Kilka razy, patrząc na króla pogrążonego w transie mgły, Thaddeus wyobrażał sobie, jak chwytą go za gardło i powoli wyciska z niego życie. Byłoby to łatwe fizycznie, lecz nigdy nie posunął się poza wyobrażenia. Zamiast tego zabił tę biedną wysłanniczkę. Nie zaplanował tego. Nie wiedział, dlaczego to zrobił. Po prostu tamtego wieczoru przyszedł mu do głowy taki niejasny pomysł. Kobieta przyniosła wieści o niebezpieczeństwie grożącym Akaranom. Thaddeus chciał, by te niebezpieczeństwa dalej się rozwijały, więc musiała umrzeć. To było tchórzostwo, lecz w pewien sposób prosił wtedy Hanisha Meina, by ukarał króla tak, jak on sam nie mógł tego uczynić. Dlaczego więc był tak nieszczęśliwy, kiedy Hanishowi się udało?

Zajmując się niezliczonymi zadaniami, którymi obecna sytuacja obarczała wiernego kanclerza, wciąż miał przed oczyma obraz zaskoczonyj twarzy Leodana, plamy na jego ubraniu, palców króla zaciśniętych na ramieniu wstrząśniętego aushenijskiego księcia. Ciągłe był pod wrażeniem zuchwałej szczerości zabójcy, który wyjawiał swoje imię. Thaddeus słyszał meinińskie słowa wydobywające się z ust mężczyzny i szybko zrozumiał, co znaczą. Patrzył, jak zabójca kreśli sztyletem na własnej szyi linię ociekającą krwią. Na twarzy miał taką pewność, ani cienia wątpliwości czy wahania, żadnego strachu przed straszliwą

ostatecznością własnych czynów. Thasren wodził wzrokiem po sali, jakby był prorokiem jakiegoś nieznanego boga; wszyscy inni byli niczego nieświadomi i przekłęci.

Z ust króla wydobył się jakiś dźwięk, niewiele głośniejszy od jęku. Leodan otworzył oczy. Thaddeus chwycił go za rękę i wyszeptał jego imię. Król odwrócił się do niego, lecz nie miał w oczach zaskoczenia, którego spodziewał się kanclerz. Leodan najwyraźniej cały czas wiedział, że Thaddeus jest przy nim. Zaburzenie czynności organizmu wyszło na jaw dopiero wtedy, gdy otworzył usta, by coś powiedzieć. Thaddeus widział, że język ma biały i suchy, spuchnięty i niesprawny. Najwyraźniej nie mógł mówić. To był objaw działania trucizny, znak, że zostało mu na tym świecie jeszcze tylko kilka godzin.

Lecz król nie stracił całkowicie władzy w kończynach. Tak długo poruszał rękami, aż kanclerz pojął, że prosi o pergamin, atrament i pióro. Kiedy miał je już w rękach – siedział podparty przez Thaddeusa kilkoma poduszkami – z wielkim wysiłkiem i skupieniem ułożył odpowiednio dłoń. Wpatrując się w stronicę i w swoje palce, zmusił je do ruchu. Poruszał dłonią szarpnięciami, zatrzymując ją w nieodpowiednich momentach, a litery wychodziły mu niekształtne i ciasno zbite. Przez pewien czas w pokoju było słyhać tylko skrobanie ostrej końcówki pióra po suchym pergaminie. Thaddeus czekał, szarpiąc za płatek ucha, a w głowie wirowały mu nieprawdopodobne domysły na temat tego, co król może pisać. Jakie chce mu postawić zarzuty? Jaką rzucić klątwę? Zadał sobie pytanie, jak zareaguje, jeśli ten umierający człowiek oskarży go o zbrodnię, którą naprawdę popełnił? Czy nadal ma w sobie tyle gniewu, by go zaatakować? Nie umiał w sobie znaleźć takiej emocji.

Chociaż zajęło to dużo czasu, na twarzy Leodana, kiedy uniósł pergamin, by Thaddeus go przeczytał, malowało się zadowolenie. Napisał: „Powiedz dzieciom, że opowiadanie zostało napisane tylko do połowy. Powiedz im, by napisały resztę i umieściły obok najwspanialszej opowieści. Powiedz im. Ich opowieść stoi obok najwspanialszej opowieści, jaka kiedykolwiek została opowiedziana”.

Thaddeus skinął głową.

– Oczywiście, sire.

Następnie król napisał: „Musisz to zrobić”.

– Co mam zrobić? – zapytał Thaddeus z wyraźną ulgą w głosie. – Tylko powiedz, a ja to spełnię.

Natychmiast dostrzegł niestosowność swoich słów i pożałował ich. Dotknął nadgarstka króla i pokazał, że chce, by król to napisał. „Napisz, a ja to spełnię”.

Następną wiadomość Leodan napisał z mniejszą starannością. Kanclerz zmienił pozycję, żeby widzieć stronę i mieć czas na odczytanie słów. Zrozumiał prośbę, zanim została

napisana w całości. Król przypominał mu działanie, które powinno zostać wprowadzone w życie teraz, ponieważ miał umrzeć, zanim dzieci dorosną na tyle, by przejąć władzę. Był to plan, który składał los narodu w ręce kanclerza. Poszczególne jego etapy były znane wyłącznie jemu, a do ich wykonania potrzeba będzie tylko kilku innych osób. Thaddeus z oszołomieniem przypomniał sobie, że już kiedyś o tych sprawach rozmawiali. Wtedy wydawało mu się to zaledwie formalnością. Czystą fantazją, którą brał pod uwagę tylko po to, by złagodzić sporadyczne ataki ponuractwa Leodana. Wyglądało jednak na to, że niektórych fantazji nie da się odróżnić od prawdziwego życia.

– To chyba nie będzie konieczne – powiedział, kładąc rękę na dłoni króla. – Zbyt wielu rzeczy jeszcze nie wiemy. Leodanie, jeszcze możesz wyjść z tego cało. Ten atak na ciebie może być dziełem samotnego głupca. To, o co prosisz, może narazić dzieci na niebezpieczeństwo, zamiast im je zapewnić. Ten plan powstał w luźnej rozmowie w innych czasach...

Król, z twarzą wykrzywioną gniewem, uderzył się pięścią w brzuch. Ze straszliwym wysiłkiem – z szeroko otwartymi ustami, drżącymi językiem, wargami, powiekami i policzkami – udało mu się powiedzieć:

– Zrób... to.

Powtórzył te dwa słowa kilka razy, aż straciły kształt, bo język już go nie słuchał.

Wykonania takiego rozkazu nie można było odmówić. Kiedy Thaddeus potwierdził, że się tym zajmie, Leodan się odprężył. Odetchnął głęboko i mocniej oparł się na poduszkach. Nie usiłował już nic mówić, utkwiał wzrok w kanclerzu i uważnie się mu przyglądał oczyma wilgotnymi i pełnymi życzliwości. Thaddeus chciał się odwrócić, lecz nie pozwolił mu na to królewski wzrok, pozbawiony wszelkich wyrzutów. Kanclerz wyczuł, że przyjaciel prosi go, by pamiętał o wszystkich dobrych rzeczach, które robili w przeszłości, o marzeniach, którymi się dzielili, o chwilach spędzonych tylko we dwóch. Uświadomił sobie, że mimo nagłej bliskości śmierci, król może się cieszyć z jednej rzeczy. W końcu wolno mu było rzucić dzieciom wezwanie do walki o sprawę, za porzucenie której zawsze robił sobie wyrzuty. Prosił kanclerza o wyprawienie dzieci w daleką, nieznaną, przerażającą podróż, lecz było to działanie. Sam Leodan nie miał już innego wyboru. Najwyraźniej nie miał wątpliwości, co teraz jest ważne, i był całkowicie przekonany o słuszności wysłania dzieci w tę podróż.

Król napisał kolejny zwięzły rozkaz. „Najpierw sprowadź dzieci, a potem...”. Thaddeus nie musiał pytać, czego dotyczy druga prośba. Spełni obie.

Przyjął królewskie dzieci pół godziny później. Było mu strasznie zimno, chociaż był pewien, że zimno pochodzi z jego wnętrza, jako że pokój był ogrzany stosownie do pory

roku. Stał oparty plecami o zamknięte drzwi do apartamentów króla; dłonie położył jedna na drugiej, by uspokoić ich ewentualne drżenie. Ujrawszy cztery młode twarze, odczuł zadowolenie, że tak się ustawił. Na ich widok zalała go fala emocji. Poczł się tak, jakby był ich ojcem. Tylko na nich spójrzcie! Spójrzcie na moje wspaniałe dzieci! Aliver... Na Tinhadina, ależ on prosto stoi! Porusza się jak żołnierz, ale swobodnie. Jak doskonale jest wyszkolony, jaki pilny i poważny, jaki silny, jak udaje dzielnego. Corinn zwykle była najładniejsza z nich wszystkich, lecz teraz twarz miała spuchniętą i pokrytą plamami. W pełnej bólu nagości jej uczuć było coś rozdzierającego serce. Oczy Meny posmutniały nad jej wiek; głowę opuściła, jakby doskonale wiedziała, po co zostali wezwani. A Dariel miał oczy szeroko rozwarte i trwożliwe jak u myszy. Thaddeus musiał stłumić własne uczucia. Tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi udało mu się przemówić ze spokojem.

– Wasz ojciec chce się z wami zobaczyć. Nie męczcie go, proszę. Wiedzcie, że będzie się z wami porozumiewał w jedyny sposób, w jaki potrafi. Nie proście go o więcej, niż może wam dać. Nie czuje się dobrze. – Nie wiedział, ile ma im powiedzieć, jak wiele wyjawić szczegółów. Chciał, żeby wiedzieli, co się dzieje, lecz nie mógł się zdobyć, by powiedzieć im prawdę. Zamiast tego usłyszał własne pytanie: – Jesteście gotowi?

Głupie pytanie. Wiedział o tym, słysząc swoje słowa i patrząc w twarze dzieci zdecydowanie niegotowych na ujrzanie ojca po raz ostatni. Odwrócił się, pchnął drzwi i odsunął się na bok. Kiedy minęła go cała czwórka, zamknął drzwi, pozostając na zewnątrz. Odszedł kilka kroków, starając się nie myśleć, co się dzieje między ojcem i jego dziećmi.

Gabinet Thaddeusa znajdował się parę kroków dalej w tym samym korytarzu. Zostawił otwarte drzwi, żeby usłyszeć, kiedy dzieci wyjdą i wiedzieć, kiedy ma wrócić do króla. Sekretarzowi kazał przygotować dla króla jego fajkę z mgłą. Kiedy mężczyzna odwracał się, by wykonać polecenie, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie – a może pogarda. Thaddeus nie skarcił go za to; sługa pod wieloma względami miał rację. Skoro król imperium umiera, to czy nie powinien mieć jasnego umysłu do samego końca? Czyż nie musi się zająć tyloma sprawami i czy nie powinien wydać ostatniego tchu w służbie narodu? To wszystko było oczywiście prawdą – oraz idiotyzmem. Oficjalny opis śmierci króla nie będzie zawierał wzmianki o narkotyku. Oficjalne opisy nigdy ich nie zawierały.

Przez jakiś czas Thaddeus stał przy kominku. Wziął do ręki pogrzbacz i przegarnął polana, chociaż paliły się dobrze i nie trzeba było tego robić. Pomyślał: niech król ma, czego pragnie. To był wielki dar mgły. Narkotyk dawał palącym to, czego najbardziej pragnęli, czego najbardziej potrzebowali, by dalej żyć. Leodan nigdy go nie zażywał przed śmiercią Aleery, lecz podczas żałoby odkrył ową substancję, którą tak wiele milionów jego poddanych

znało aż nazbyt dobrze. Niewolnicy z kopalni Kidnabanu, rodzice dzieci wyznaczonych do Kontyngentu, masy rojące się w slumsach Alesji, kupcy nieustannie unoszący się na morskich prądach, żołnierze stacjonujący długie lata z dala od domu, robotnicy wykonujący wyuczone zawody od dzieciństwa aż do końca życia: wszyscy oni uciekali się do wytchnienia od niekończącej się tortury życia, jakie dawał im narkotyk. Ich król nie różnił się od nich.

Znajdując się pod wpływem narkotyku, Leodan spędzał czas w wyjątkowy sposób – ze swoją zmarłą żoną. Czekala na niego tuż za ścianą świadomości. Kiedy przez nią przenikał, żona witała go ze współczuciem i potępieniem w oczach, z miłością dla niego, lecz bez zrozumienia dla jego nałogu. Po tych kilku pierwszych chwilach brała go za rękę, całkowicie go akceptowała i spacerowała z nim poprzez piękno ich zalotów. Gładko prześlizgiwali się przez wspaniałe chwile wspólnego życia jako mąż i żona, jako młodzi rodzice przy każdym dziecku, na jakie pozwalał im Dawca, przez sprawy wielkie, drobne i intymne. Leodan kiedyś powiedział, że te drobne często go zaskakiwały. Chwile, kiedy patrzył na nią w pewnym świetle, kiedy pamiętał szczegóły jej rysów, specyficzne cechy jej twarzy, głosu czy zachowania... Jak mógł ją kochać tak głęboko, a mimo to tyle zapomnieć z tego, kim była? To tych szczegółów wciąż poszukiwał król za ścianą mgły. Aleera oprowadzała go po wszystkim, co w ich wspólnie spędzonym czasie było cudowne. Wszystko w jeden wieczór.

Życie, pomyślał Thaddeus, musi być w porównaniu z takim szczęściem ledwie odczuwalną karą. Lecz potem pomyślał o dzieciach. Leodan miał przynajmniej dzieci, które odebrano Thaddeusowi. Przynajmniej nie musiał żyć, wiedząc, że jego miłość zmarła z powodu zdrady. Po śmierci Dorling Thaddeusa pytano tysiące razy, dlaczego nie ożenił się powtórnie i nie spłodził kolejnych dzieci. Zawsze wzruszał wtedy ramionami i udzielał wymijających, kłamliwych odpowiedzi – a mianowicie, że boi się stać przyczyną kolejnych śmierci. Może cały czas wiedział, że jego bliscy zostali zabici po to, by stłumić jego ambicje.

Ach! Thaddeus wściekle dźgnął płonące polana, zły, że nie potrafi zapanować nad myślami. Były niczym głodny wąż skręcający mu się w głowie, który czasami sprawiał wrażenie, że zjada własny ogon. Thaddeus odłożył pogrzebacz na miejsce i jeszcze raz spojrzął na notatkę króla, na nabazgrane słowa, falujące zdania, które ledwie przypominały pismo Leodana. Gdyby ten dokument znalazł ktoś inny, nikt by mu nie uwierzył, że sporządził go Leodan Akaran. Niewielu zrozumiałoby jego rozkaz. Tylko on i król rozmawiali o planie, do którego się odnosił. Jakie to dziwne, że coś, co luźno omawiali przed kilku laty – Thaddeus sączył wino, a król był otumaniony mgłą – teraz stawało się rzeczywistością. I tak nie było to przeznaczone dla cudzych oczu, a wyłącznie dla niego. Król

powierzał mu swoją największą troskę. Jakie to dziwne, że nie ma pojęcia, kto jest największym zdrajcą.

Notatka, na którą zerknął po raz ostatni, brzmiała następująco: „Jeśli dojdzie do tego, że będziesz musiał to uczynić, roześlij je na cztery wiatry. Roześlij je na cztery wiatry, tak, jak o tym rozmawialiśmy, mój przyjacielu”.

Przeczytawszy te słowa jeszcze raz, wypuścił kartkę z palców prosto w ogień. Wylądowała na jego skraju i przez chwilę Thaddeus myślał, że będzie musiał ją szturchnąć pogrzebaczem. Lecz wtedy zapaliła się, rozbłysła jasnym płomieniem, zwinęła i poczerniała. Zniknęła. Odwrócił się od ognia, obszedł biurko, niepewny, co ma robić dalej. Pomyślał, że chyba najlepiej sprosta zadaniu, jeśli będzie wyglądał jak kanclerz wypełniający swe obowiązki. Wtedy ujrzał kopertę.

Pojedynczy biały kwadrat leżał na środku wypolerowanego drewnianego blatu olbrzymiego biurka. Nie powinno go tam być. Listu nie było w poprzedniej poczcie, a jeśli był przeznaczony dla niego osobiście, zostałby dostarczony wprost do jego rąk. Poprzednio było mu zimno, lecz teraz poczuł się, jakby był zrobiony z lodu. Nie dotknął koperty, usiadł tylko sztywno na krześle. Skóra początkowo zatrzeszczała pod jego ciężarem, lecz potem mu się poddała, jak przez te wszystkie liczne lata.

Złamał pieczęć paznokciem i przeczytał wiadomość.

„Król nie żyje. Nie miałeś w tym żadnego udziału. Uznanie należy się wyłącznie mojemu bratu. Jeśli jesteś mądry, nie odczujesz ani winy, ani radości. Lecz teraz, Thaddeusie, powinieneś pomyśleć o swojej przyszłości. Zwróć uwagę ku dzieciom. Chcę je, i to żywe. Oddaj mi je, a wraz z zemstą otrzymasz bogactwa. Obiecuję ci to”. Zatrzymał się na podpisie i wpatrywał się w niego, jakby to nie było imię, tylko słowo, którego znaczenia zapomniał. Podpis brzmiał „Hanish z Meinów”.

Na korytarzu rozległ się jakiś hałas. Thaddeus przycisnął list do uda. Przeszły dwie rozgadane kobiety; było je widać przez ułamek sekundy w szparze w drzwiach. A potem zniknęły. Thaddeus ścisnął rogi kartki i siedział, trzymając ją na kolanach.

Trwał tak przez jakiś czas, wracając pamięcią do odległych wspomnień, chwilowo oderwany od sprzecznych żądań wysuwanych pod jego adresem. Potem jednak poczuł ruch powietrza, oznaczający, że otworzyły się drzwi komnaty króla. Nie mógł dłużej zwlekać. Wstał, zaniósł drugą notatkę do kominka i ją też upuścił w płomienie. Odwrócił się, by jeszcze raz udać się do starego przyjaciela. Zaniesie mu jego fajkę i się z nim pożegna, a potem zadecyduje o losie dzieci Akaranów.

ROZDZIAŁ 20

Kilka ptaków pocztowych krótkoskrzydłej północnej odmiany przemierzało Mein, lecąc z Cathgergen krótkimi etapami. Każdy z nich znajdował po drodze punkty w terenie – głązy wynurzające się spod morza lodu i śniegu, niskie i nędzne chaty, w których przy drucianych klatkach kulili się samotni mężczyźni, przemawiając pieszczotliwie do powierzonych im opiece gołębi i głaszcząc je; ci długowłosi pustelnicy zawdzięczali łączność ze światem tylko tym ptakom. To był stary szlak, wyznaczony dawno temu i znany tylko nielicznym, dzięki którym funkcjonował. A funkcjonował z zaskakującą niezawodnością. Dlatego ptasi kurier przybył do Tahalian ledwie cztery dni po wysłaniu go z łagodnego klimatu Akacji, co stanowiło ułamek czasu, jaki przebycie tej samej odległości zajęłoby człowiekowi.

Kiedy ptak wylądował w Tahalian, złożył skrzydła, oplótł drżącymi szponami żerdkę i oddał swój ciężar kolejnemu opiekunowi; adresat tej wiadomości właśnie wstał z trójnogiego stołka w arenie wydrążonej na polach za twierdzą, zwaną Calathrock. Budowały ją setki ludzi przez dziesiątki lat. Potężne belki twardego drewna tworzyły ażurową konstrukcję sklepienia nad areną, wzmocnioną żelaznymi uchwytami. Sama arena stanowiła kwadrat o boku czterystu pięćdziesięciu metrów. Była wysoka i na tyle przestronna, by odbywały się na niej manewry wojskowe, ćwiczenia marszowe i szkolenie w użyciu broni. Odtwarzano tu nawet całe bitwy w ukryciu przed ciekawskimi oczyma i niesprzyjającą pogodą. Był to funkcjonalny pomnik wojskowej sprawy, a zarazem tajemny powód do dumy ludzi, którzy oficjalnie nie mogli mieć ani tajemnic, ani dumy. Mimo że był ogromny, w tej chwili Calathrock był sceną pojedynku tylko dwóch osób.

Hanish Mein wszedł na zostawione dla niego miejsce w środku kręgu. Skłonił się człowiekowi, który zaprzysiągł, że go zabije, i skinął głową na znak, że jest gotowy rozpocząć taniec maseret. Hanish był średniego wzrostu i szczupły; miał na sobie krótką spódniczkę i thalbę, część garderoby zrobioną z jednego płata cienkiej, garbowanej skóry, którą z pomocą służących owinął tors, ręce pozostawiając niczym nie skrepowane. Włosy nosił krótsze niż większość Meinów, mocno podcięte na bokach i potylicy. Na ramię spadały mu tylko trzy warkocze; w dwa z nich miał wplecione rzemienie ze skóry karibu, w trzeci wstążkę z zielonego jedwabiu. Rysy twarzy Hanisha sprawiały wrażenie uformowanych tak, by skupiały uwagę patrzącego na jego oczach: miał szerokie czoło pocięte cieniutkimi

zmarszczkami, ukośne kości policzkowe i orli nos, nieco wklęsły u nasady. Na jednym z nozdrzy widniała niewielka blizna. Skórę miał mleczną, gładką. Kiedy światło padało na nią pod odpowiednim kątem, jaśniała blaskiem, podkreślając szarość tęczy, w których obcy błędnie się wtedy dopatrywali rozmarzenia.

Żołnierz stojący naprzeciwko Hanisha był od niego wyższy o głowę i miał długie kończyny, pasujące do rosnącego ciała. Miał też twarde mięśnie i lśniące blond włosy, tak uwielbiane przez wszystkich Meinów. W dwa warkocze wplótł jedwabne zielone wstążki, co oznaczało, że już odbywał ten taniec i go przeżył. Jako szanowany wojownik siadywał obok Hanisha przez te wszystkie lata, kiedy ich plany powoli kiełkowały. Pod jego kierunkiem nadzorował szkolenie tajnej armii. Dopiero teraz, tuż przed samym atakiem, ambicja zmusiła go do rzucenia wyzwania przywódcy.

Wokół tych dwóch postaci ustawiała się półkolem garstka towarzyszy i oficerów Meinów, wśród których znajdował się główny instruktor maserem, chirurg, a także Punisari, członkowie sił specjalnych, służący tu jako królewscy ochroniarze. Było tam też dwóch zakapturzonych kapłanów Tunishnevre. Jeden z nich czekał, by zabrać niepostrzeżenie ciało zabitego tancerza do świętej komory, by ten natychmiast mógł się połączyć z przodkami. Drugi czekał, gotów przeprowadzić obrzęd objęcia królewskiej władzy, gdyby zwyciężył rywal Hanisha i zajął jego miejsce na czele narodu. Na samym skraju grupy stał Haleeven, najbliższy doradca Hanisha. Jak na Meina był niski, lecz krępy i silny niczym niedźwiedź; miał ślady odmrożeń na nosie, a na policzkach szkarłatną siateczkę naczyń krwionośnych. Był wujem młodego przywódcy.

Na zewnątrz kręgu falował tłum wojowników. Calathrock wypełniały tysiące żołnierzy uzbrojonych jak do bitwy, z bronią w ręku lub przytroczoną do pleców. Walkę miało obserwować dobre dziesięć tysięcy par błękitnoszarych oczu. Wszyscy ci mężczyźni mieli włosy lnianego koloru, skołtunione według tradycyjnej mody, jakiej hołowali meinińscy wojownicy. Nie było to szczególnie niezwykle wydarzenie, lecz taka walka zawsze pobudzała do żywszego krążenia krwi każdego oglądającego maseret. W odpowiedzi na okrzyki widzów Hanish uniósł ręce. Wiedział, dlaczego krzyczą tak głośno, i chciał, by wiedzieli, że najważniejszy spośród nich jest zwolennikiem tych pojedynków. Silny naród zasługuje na silnego przywódcę, który nie boi się prób. Teraz wyzbył się uciążliwych żądzeń, strachu, pragnień. Wyzbył się wszystkiego, co sprawia, że mniejsi ludzie popełniają błędy, by móc później funkcjonować lepiej i to wszystko pamiętać.

Kiedy przeciwnicy zbliżyli się na odległość uderzenia, zaczęli krążyć wokół siebie w powolnym, okrężnym tańcu, a to postępując o krok do przodu, a to cofając się i odsuwając na

bok. Oczom, które nie znały maseretu, ta początkowa część tańca mogła się wydawać powolna i nudna, niemal zniewieściała. Najpierw Hanish, a potem jego przeciwnik pokazali sobie nawzajem swoje profile. Skrzyżowali nogi. Wysunęli jedną stopę o kilka centymetrów do przodu. Obracali się od bioder w górę, jakby dolne i górne części ich ciał były od siebie niezależne. Żaden z nich nie popisywał się niepotrzebnie, mieli tylko po jednej sztuce broni – krótki sztylet w pochwie przymocowanej w poprzek brzucha. Wąska klinga miała około piętnastu centymetrów długości i kształt noża do filetowania rzecznych pstrągów, lecz była zrobiona z o wiele lepszego metalu.

Przywódca z takim mistrzostwem opanował przepisowe ruchy, że zawiadywał nimi niższy poziom jego podświadomości. Starał się wyglądać na spokojnego, rozbawionego i nie dać po sobie poznać, w jaki sposób, kiedy albo gdzie uderzy. Jednocześnie starał się znaleźć u przeciwnika wszelkie słabe punkty, które mógłby wykorzystać. Pobudził do czujności najwyższy poziom świadomości. Uwolnił go od tysięcy nieistotnych szczegółów związanych ze światem, by móc się skupić na kilku nielicznych sprawach niezbędnych mu teraz do przeżycia. Jego instruktor maseretu polecił mu kiedyś wyobrazić sobie dwie kobry spotykające się w dżungli. Wykonują dziwny taniec, przez pewien czas poruszając się powoli i nie robiąc ani jednego fałszywego ruchu. Śmiertelny cios spada w mgnieniu oka. Mimo że Hanish nigdy nie widział żywej kobry, nie zapomniał tego obrazu. Już go wykorzystywał i za każdym razem pierwszy cios zadawał z szybkością iskry przeskakującej między dwoma krzemieniami; czyn następował tak szybko po zrodzeniu się w myślach, że Hanish dopiero później uświadamiał sobie, co zrobił.

Mężczyźni najpierw dotknęli się otwartymi dłońmi. Pochylili się ku sobie i zetknęli szyjami, z podbródkiem opartym na ramieniu przeciwnika, usiłując go pochwycić rękami. Krążyli wokół siebie, napierając całym ciałem od kostek u nóg poprzez kolana i torsy, mierząc wzajemnie swą siłę. Pod względem masy mięśni Hanish zdawał się nie mieć szans, lecz po kilku ruchach zorientował się, że jego przeciwnik oszczędza prawą nogę. Może odzywała się dawna rana, która nie pozwalała na swobodny ruch od kolana w dół. Jego stawy funkcjonowały lepiej, kiedy posuwał się do przodu, niż kiedy się cofał. Nie był mężczyzną, który lubił się wycofywać. Mimo starań, by to ukryć, wolał uderzać pierwszy. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy rzuci się naprzód, a zwłaszcza chwili, w której zrobi krok prawą nogą...

Przywódca rozluźnił uścisk, obrotem uwolnił się od przeciwnika i, celując podbródkiem w tłum widzów, dobył noża. Żołnierz uczynił to samo. Hanish nie był zaskoczony, kiedy mężczyzna napiął mięśnie wysuniętej do przodu prawej nogi, obrócił tors,

przekręcił nóż w dłoni i wyrzucił rękę ukośnie, wkładając w ten ruch całą siłę ciała. Rzeczywiście pragnął uderzyć pierwszy.

Zanim jeszcze dokończył ruch, na jego twarzy odmalował się niepokój. Powinien uderzyć Hanisha pod prawym barkiem, ale natknął się na powietrze. Hanish przykucnął, by uniknąć ciosu. Obrócił się, wyprostował na całą wysokość i wbił sztylet w odsłonięty środek pleców żołnierza. Po sposobie, w jaki stal zanurzyła się w ciało aż po zaciśnięte palce, poznał, że klinga wsunęła się między żebra, nie zahaczając o kość. Zmienił kąt i szarpnął równolegle do wąskiej szpary między żebrami. Odciął kawałek serca, przeciął płuco i wyrwał sztylet przez mięśnie grzbietu.

Mężczyzna upadł. Zebrani żołnierze zaczęli wiwatować, od ogłuszającej kakofonii ich okrzyków zaczął wibrować śnieg na dachu areny. Skandowali imię Hanisha, uderzając się pięściami po piersiach. Część armii runęła w jego stronę niczym pędząca fala, lecz została powstrzymana, nie bez wysiłku, przez Punisarich, którzy bezlitośnie walili żołnierzy włóczniami po głowach i dźgali ich końcami drzewc. Nawet w dzieciństwie Hanish wywierał na swoich pobratymcach ogromne wrażenie.

Najwyraźniej widzieli w nim ucieleśnienie dawnych bohaterów, po raz kolejny potwierdzone zabójczą precyzją tego pojedynku.

Hanish zamknął oczy i w milczeniu poprosił przodków o przyjęcie tego mężczyzny jako wartościowego człowieka. „Niech będzie teraz wojownikiem wśród was” – wypowiedział w myślach słowa, których go nauczono na takie chwile. „Niech jego szabla będzie nocnym wiatrem, a pięść młotem, od którego uderzeń drży ziemia. Niech morze umyka przed jego rozprostowującymi się palcami u nóg, a jego nasienie niech spada z nieba na brzuchy pięknych kobiet...”. W głowie rozbrzmiało mu niespodziewanie imię mężczyzny, a wraz z nim pojawił się jego obraz jako chłopca i wspomnienie wspólnego śmiechu, lecz Hanish wepchnął te myśli z powrotem na ich miejsce.

Otworzył oczy i zwrócił się do kapłanów. Obaj święci mężowie zdjęli kaptury, odsłaniając głowy porośnięte złocistymi włosami, z których większość sterczała tak, że prześwitywała spod nich blada skóra. Na ten widok żołnierze uciszyli się i było już słyhać tylko szepty i wołanie o ciszę.

– Taka jest wola Tunishnevre – odezwał się jeden z kapłanów. Mówił cicho, lecz jego głos niósł się w naelektryzowanym powietrzu. – Obyś przy następnej próbie nie zawiódł przodków, panie.

Po tych słowach skłonili się nisko i odeszli swoim posuwistym krokiem; ich wybite futrem pantofle ślizgały się po drewnie jak po lodzie.

Hanish znów uniósł ręce w stronę tłumu, który wybuchnął entuzjazmem. Podeszedł do żołnierzy i, sięgając nad strażnikami, chwycił ich za ręce, szturchał żartobliwie i przypominał o mających nadejść wielkich rzeczach oraz o wiecznej potędze Tunishnevre. Mówił, że tylko razem są silni. Że nie jest inny od nich i że oni nie są mniej ważni od niego. Każdy spośród nich może wystawić go na próbę, by sprawdzić prawdziwość tych słów. Żadne życie nie ma znaczenia, jeśli nie jest oddane całemu narodowi Meinów. Pod tym względem – oraz pod wieloma innymi – różnią się od swych akarańskich wrogów.

– My, Meinowie, żyjemy przeszłością – zawołał. – Ona oddycha wokół nas i nie można jej zaprzeczyć. Czyż tak nie jest?

Tłum odparł, że tak jest.

– I, szczerze mówiąc, niewiele naszych uczynków przynosi nam wstyd. To Akaranie tworzą przeszłość na nowo, by im pasowała. To oni chcą zapomnieć, że Edifus miał nie jednego syna, lecz trzech. Nie umieją wymienić ich imion, lecz my umiemy. Thalaran, najstarszy, Praythos, najmłodszy, a między nimi Tinhadin.

Każde z tych imion było witane jękiem obrzydzenia, przekleństwami i spluwaniem na ziemię.

– Spokój, spokój – uciszał ludzi Hanish. Mówił teraz cicho, tak że musieli wyciągać szyje, by go usłyszeć. – Obaj ci bracia walczyli u boku Tinhadina, by zabezpieczyć i rozszerzyć panowanie ojca. Uczynili to z pomocą Meinów. Byliśmy ich sojusznikami. I jak nam odplacono? Powiem wam. Wkrótce po śmierci Edifusa Tinhadin zamordował braci. Wybił ich rodziny oraz wszystkie kobiety i dzieci z popierających je frakcji. Następnie, gdy członkowie królewskiej klasy Meinów zaprotestowali przeciwko temu, wymordował jej większość. Wiecie, że to prawda. My z Meinu, którzy byliśmy wiernymi sojusznikami Edifusa, zostaliśmy napiętnowani jako zdrajcy królestwa. Lecz sednem sporu było to, że Hauchmeinish...

Na wzmiankę o starcu z gardeł wojowników wyrwał się ryk.

– Tak – ciągnął Hanish – nasz ukochany przodek czuł odrazę do pomysłu handlu niewolnikami z Lothan Aklun. Uznał Ligę Statków za organizację piracką i wypowiedział jej wojnę. To za to byliśmy mordowani i przeklinani. Tinhadin zdradził naszych szlachetnych i sprawiedliwych przodków. Zostaliśmy wygnani na ten lodowaty płaskowyż w odwecie za nasze cnoty. Lecz to wygnanie wkrótce się skończy, bracia, i na własne oczy będziecie oglądać wolność!

– Potrafisz wzburzyć krew – powiedział do swego bratanka Haleeven, wychodząc mrocznym korytarzem z areny. – Mimo to te zawody wytrącają mnie z równowagi, Hanishu. Zważywszy na sytuację, w jakiej się znajdujemy, są nierozważne. Równie dobrze mógłbym oglądać twojego trupa.

– To było konieczne, zwłaszcza ze względu na sytuację, w jakiej się znajdujemy. Jeśli nie mogę żyć według zasad przodków, jaką wartość ma moje życie? To oni błogosławią nasze ciała w bitwie, to oni chwalą nasze umiejętności lub je odrzucają. Wiesz o tym, Haleevenie. W jaki inny sposób mógłbym się przekonać, że Tunishnevre wciąż mnie błogosławi? Czasami zaskakujesz mnie, wuju. Życie żadnego człowieka nie jest ważne; ważny jest tylko cel.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Lecz każdy człowiek ma swoje miejsce w dążeniu do tego celu. Manleith nie był twoim przyjacielem. Pragnął chwały, która wkrótce przypadnie tobie, to wszystko. Nie powinien teraz rzucać wyzwania tobie, członkowi dwudziestego drugiego pokolenia...

– Nie jestem jedynym synem tego pokolenia – przerwał mu Hanish. – Moim zadaniem jest przewodzić poprzez dawanie przykładu. Dlatego zatańczyłem z Manleithem. Od dzieciństwa był moim przyjacielem. Pomyśl o ludziach na arenie. Pomyśl o tym, jak teraz maszerują, jak przygotowują się do nadchodzącej wojny. Mają jasny wzrok, są sprawni fizycznie, żaden z nich nie jest skażony mgłą. Pomyśl o tym! Porównaj naszych ludzi z tymi milionami na świecie, którzy są niewolnikami oszustwa. Jeśli sądzisz, że potrafię zapewnić sobie ich lojalność, nie udowadniając mojej wobec nich, to się mylisz.

Po tych słowach Hanish rozstał się z wujem, by ten mógł nadzorować szkolenie. Sam wyszedł po schodach z Calathrock na świeże powietrze. Uderzył w niego silny wiatr, tak że Hanish musiał stanąć na chwilę na szeroko rozstawionych nogach i osłonić dłonią twarz przed igiełkami lodu, siekącymi go w policzki i oczy. Chociaż wytrzymał to wszystko przez całe swoje dwudziestodziewięcioletnie życie, surowość meineńskiej zimy zawsze go zdumiewała, szczególnie kiedy opuszczał potężne Calathrock albo ciepło wewnętrznej twierdzy. Zimowa noc sprawiała wrażenie żywej, wściekłej istoty. Im bardziej umacniali się na płaskowyżu i czynili tutejsze życie bardziej znośnym, tym bardziej usiłował ich zasypać śnieg, tym bardziej chciał ich przyprzeć do górskich skał wiatr, tym bardziej wkradało się do ich domostw zimno. Hanish pochylał się i ruszył po zamrożonej ziemi w krótką drogę; przycupnięty przy ziemi Tahalian był w śnieżycy ledwie widoczny.

W twierdzy znalazł go adiutant Arsay. Podał mu maleńki zwój.

– Wiadomość od Maeandera – powiedział. – Thasren dotknął Leodana. Chodził, spał i jadł niezauważony przez wroga, a potem rzucił się na niego podczas uczy i ugodził go klingą

Ilhachów. Czas królewskiej idylli się skończył.

Hanish wziął notatkę, lecz jej nie przeczytał. Myślał o misji brata każdego dnia od wyjazdu Thasrena, a jednak na wzmiankę o nim poczuł ukłucie wstydu, że przez kilka godzin nie poświęcił mu ani jednej myśli. Thasren już od wielu tygodni przebywał na obcej ziemi, otoczony ohydną zdradą, jaką była Akacja, a każdego dnia jego życiu zagrażało niebezpieczeństwo bardzo różniące się od tego stwarzanego przez maseret. Hanish wiedział, że Thasren zawsze uważał się za gorszego. Był najmłodszy, najmniej sprawny wojskowo, najmniej uprawniony do roszczeń wobec patriarchalnego rodowodu ojca. Niełatwo być trzecim synem wśród Meinów. Lecz taki cierń uwierający w boku może być dobrodziejstwem, jeśli pobudza do działania. Tak głosiła meinińska mądrość.

– A mój brat?

Arsay odwrócił wzrok i odpowiedział pradawną formułą używaną na określenie zaszczytnej śmierci:

– Prosi, by go wychwalać.

– Tak będzie – odparł szybko Hanish.

Następnie polecił Arsayowi zwołać na rano radę generałów. Kazał też wysłać dwóch posłańców, jednego w góry z wiadomością dla ukrytej tam armii, że nadszedł czas, a drugiego do Maeandera w Cathgergen z rozkazem spuszczenia Numreków ze smyczy. Miał też postawić na nogi najemnych oficerów marynarki, którzy tak długo byli gośćmi w tej skutej lodem krainie. Wypili już dość grogu i wystarczająco długo spali otoczeni wszelkimi przyjemnościami, jakie mógł im zaproponować Mein. Czas, by zaczęli zarabiać na siebie. Znajdowali się półtora tysiąca kilometrów od morza, lecz flota – której stworzenie wymagało wielu lat tajnego planowania – była gotowa. Wkrótce ruszy przez zamrożony ocean.

– Chcę się spotkać z nimi wszystkimi jutro – rzekł Hanish. – I zawiadam moją skrybę, że jego też będę potrzebował. Dziś w nocy będę czuwał z przodkami. Będą chcieli zrozumieć los Thasrena. Powiniennem im to wyjaśnić. Muszę się też oczyścić z krwi mojego przeciwnika. To będzie długi wieczór.

Przy wzmiance o starszych Arsay skłonił głowę i już jej nie podniósł. Kiedy odchodził, po napięciu jego szyi i pochyleniu głowy Hanish poznał, że mężczyzna się boi. Chociaż potępiał to – nikt nie powinien się bać przodków, nawet jeśli są upiornym ucieleśnieniem gniewu – to sam musiał się przyznać do ściskania w gardle i piersiach. Nikt nie powinien się bać Tunishnevre, lecz wszyscy się ich bali. Wewnątrz świętej komory Hanish czuł pulsowanie niemartwej energii przodków tak wyraźnie, jak wyczuwał gorąco albo zimno na skórze, radość lub strach w sercu. To byli starcy jego ludu, trwający w

bezczasowym zawieszeniu. Wrogość, którą przechowywali w swojej pradawnej pamięci, mroziła krew w żyłach.

Czekał przez jakiś czas, zbierając siły, czując wyrównywanie się sił, które tak długo były niezharmonizowane. Dwudzieste trzecie pokolenie od czasów Kary... to on jest tym pokoleniem. Jeśli Tunishnevre mają rację – a na pewno ją mają – to wszystko w świecie niedługo się zmieni.

ROZDZIAŁ 21

Ten ostatni uścisk miał się snić Corinn jeszcze przez wiele nocy, chwila ta stała się niejako przekleństwem, koszmarem i pułapką zbudowaną z obejmujących ją ramion rodzeństwa i umierającego ciała ojca. Nie miało znaczenia, że wedle jej wiedzy ojciec nie chciał, by tak się stało. Nie miało znaczenia, że nie mógł już nic więcej zrobić, że był to ostatni, pełen udręki gest zrodzony z miłości. Mimo wszystko nadal wołałaby, żeby do niego nie doszło. Wołałaby nie oglądać ojca ten ostatni raz. Pomyślała, że pewne sprawy lepiej pozostawić niedokończone na zawsze.

To, co zaszło w tamtej komnacie między królem i jego czworgiem dzieci, było proste. Czekał na nie na łóżku, oparty na poduszkach. Kiedy pozostali podbiegli do ojca i padli na kolana przy łóżku, Corinn trzymała się z tyłu. Nawet z daleka widziała, że ojciec jest bardziej wyniszczony, niż była w stanie to sobie wyobrazić. Myślała o nim całą minioną noc, wyobrażając sobie, że cierpi ból, widząc go leżącego w rozmaitych pozycjach i warunkach, a nawet znieruchomiałego w śmierci. Lecz kiedy w końcu go ujrzała... Było to tak, jakby demon owinięty płaszczem, który przez całą noc nawiedzał jej sny, zdjął kaptur w świetle dnia, lecz zamiast uśmierzyć jej obawy, okazał się o wiele szkaradniejszy niż wyobrażenie. Chciała się odwrócić i uciec. Mogłaby to zrobić, gdyby nie to, że król utkwiał w niej wzrok w chwili, gdy weszła do komnaty i sprawiał wrażenie, że widzi tylko ją.

Początkowo rodzeństwo szeptało o uldze, że go widzi, o przerażeniu tym, co się stało, pragnieniu, by ojciec szybko wrócił do zdrowia. Lecz on nie mógł długo tego słuchać. Uciszył ich, unosząc rękę i przeciągając palcami w powietrzu. Dzieci czekały, lecz wyglądało na to, że nie może im dać nic więcej. Corinn uświadomiła sobie wcześniej niż reszta, że ojciec nie może mówić, jest straszliwie słaby i tylko godziny dzielą go od śmierci. Nie mógł wygłosić żadnej mowy. Nie mógł im dać ostatnich prezentów ani słów mądrości. Corinn zdała sobie sprawę, że nie może dotrzymać złożonych jej obietnic.

I pierwsza zrozumiała znaczenie jego uniesionych rąk. Rozpostarł je, drżące, szerokim, zapraszającym gestem. Aliver cofnął się o krok, najwyraźniej sądząc, że król otwiera w ten sposób dyskusję na jakiś temat wymagający uznania ogromu zagadnienia. Lecz nie o to chodziło. Po prostu otworzył ramiona, aż dzieci ujrzały w tym geście zaproszenie. Wtedy stłoczyły się niezdarnie w jego uścisku, Corinn jako ostatnia. Wydawało się, że tylko

ona rozumie, jak upiornie jest się zwalić na umierającego, nic nie mówiąc, tylko płacząc i kurczowo obejmując się nawzajem.

W taki sposób młodzi Akaranie spędzili swoje ostatnie chwile z ojcem. Po wyjściu z komnaty Corinn pobiegła przed rodzeństwem, nie zwracając uwagi na błagania Meny, by z nimi została. Nie mogła tego zrobić. Zamiast poczuć, jak łącząca ich więź się umacnia, miała wrażenie, że ich dotyk pali ją niby macki ośmiornicy. Uciekła, gdy tylko nadarzyła się po temu okazja. Ukryła się w prywatnych komnatach i rozkazała strażnikom, by nikt jej nie przeszkadzał.

Tak więc to zza zamkniętych drzwi usłyszała później tego samego dnia wiadomość o śmierci ojca. Najpierw był to szept. A potem, po kilku chwilach zaczął powoli i żałobnie bić ogromny dzwon umieszczony w jednej z wyższych wież. Wiedziała, że tam jest, lecz nie słyszała go nigdy przedtem. Używano go tylko w jednym celu: oznajmienia śmierci króla z rodu Akaranów. Przez głębokie brzmienie dzwonu zaczął przebijać chór zawodzących służących, wyraz żalu, który rozpełzał się po pałacu i spływał do dolnego miasta i portu, by stamtąd roznieść się na cały świat. Corinn zakryła dłońmi uszy, lecz nie umiała odciąć się od tych odgłosów.

Następny tydzień zapisał się w jej pamięci jako ponura, rozmazana plama. Gdyby Corinn miała jakiś wybór, natychmiast zamknęłaby się w swoim pokoju i odrzuciła świat. Jej obecność była jednak wymagana codziennie, wydawało się, że o każdej godzinie, chociaż dziewczyna właściwie tylko zajmowała przestrzeń, stanowiła pustą skorupę, którą obejmowano, przed którą się kłaniano i wylewano łzy. Stała obok rodzeństwa, kiedy ludzka masa śpiewała wraz z nimi pieśń żałobną. Stała, drżąc, kiedy dobosze wybijali powolną wojskową elegię zarezerwowaną dla zmarłych monarchów. Siedziała, nie zwracając uwagi na niekończący się strumień mów pogrzebowych wygłaszanych przez szlachetnie urodzonych przybyłych z bliska i z daleka; każdy z nich wyrażał swój żal słowami, które nakładały się na siebie i traciły znaczenie. Wiedziała, że za tą poważną fasadą aż iskrzy od niepokoju. Wiedziała, że ludzie szepczą o straszliwych zagrożeniach kryjących się za horyzontem, lecz jej osobisty żal zajmował ją bez reszty. Nie obchodziło jej, co się dzieje w szerokim świecie.

Pod koniec tygodnia kapłanki i akolici Vady przygotowali ciało króla i spalili je. Była to jedna z ostatnich pozostających w ich gestii państwowych ról i odegrali ją z wielką powagą. Ich pojawienie się z urną zawierającą królewskie prochy oznaczało przerwę w obrzędach. Corinn wiedziała, że prochy zostaną rozsypane dopiero późną jesienią. Nie wyglądała z niecierpliwością tej ceremonii.

Kiedy tylko mogła, przestrzegwała dawnych obrzędów żałobnych. Nie otwierała okien i

zakazała patrzeć na siebie nawet służbie. Jedzenie i picie zostawiała ledwie tknięte przed drzwiami sypialni. Dni mijały monotonnie. Dwa razy przyszła do niej Mena, raz Aliver i nawet Dariel przysłał jej błagalny liścik, żeby wyszła, lecz nikogo nie przyjęła. Zasnęła i budziła się, prześlizgując się po powierzchni snów, wspomnień i wizji przeszłości, która wydawała się tak odległa. Czasami uderzało ją, jak bardzo zdradliwe jest poczucie czasu. Coś, co istniało kiedyś, nie może zaistnieć ponownie. To, czego się kurczowo trzymała – matka, ojciec – było tak samo ulotne, jak obrazy zakłute w myślach. A na cóż się one zdawały? Nie można było ich dotknąć, zważyć w dłoni, ujrzeć prawdziwymi oczyma ani usłyszeć w powietrzu. Jej życie będzie takie, jak to sobie wyobrażała w najczarniejszych chwilach: znajdowała się na drodze do utraty wszystkiego, co kocha. Takie będzie jej życie, dopóki sama nie zniknie w paszczy tej samej nienasyconej nicości. Nie umiała stawić temu czoła. A zatem nie próbowała. Przynajmniej do chwili, kiedy świat przyszedł do niej w postaci, od której nie chciała się odwracać.

Usłyszała stłumione okrzyki dochodzące z jej poczekalni, huk towarzyszący upadkowi jakiegoś dużego przedmiotu i szybki stukot obcasów na kamieniach. Nie uznała, że jest to na tyle ważne, by musiała wstawać z miękkiego łóżka, na którym się rozciągnęła. Przy pierwszym uderzeniu w drzwi tylko uniosła głowę i spojrzała sennie w ich stronę. Kiedy jednak raptownie się rozwarły, w końcu zrozumiała, że ktoś koniecznie chce się z nią zobaczyć.

Do komnaty wpadł tyłem Igguldan, niemal padając płasko na podłogę. Przesunął się do przodu na kolanach, obrócił, wstał i pobiegł kilka kroków w głąb komnaty. Za nim pojawiło się w drzwiach kilku strażników. Tak bardzo chcieli złapać księcia, że na chwilę utknęli w przejściu, szturchając się, przeklinając i niezdarnie trzymając szable, by nie zrobić sobie nawzajem krzywdy. Igguldan błyskawicznie omiótł komnatę spojrzeniem. Zauważył Corinn stojącą w nogach łóżka; dłonią przykryła serce. Postąpił krok do przodu i się zatrzymał. Strażnicy, którzy już się przecisnęli przez drzwi i runęli ku niemu, stanęli jak wryci. Patrzyli na młodych, nie wiedząc, co robić.

– Królewno Corinn – odezwał się Igguldan – wybac mi to najście. Wiem, że strasznie się zachowałem, lecz musiałem cię zobaczyć. Musiałem się przekonać, że nic ci nie jest i że...

Przerwał mu jeden ze strażników. Też zaczął prosić o wybaczenie i wyjaśniać, że księżę minął ich biegiem, nie zważając na żądania, by się zatrzymał. Corinn przerwała mu gestem ręki.

– Wyjdźcie – rozkazała.

Kiedy tylko znaleźli się sami, Igguldan znów zaczął przepraszać. Powiedziała, żeby przestał. Zapytał ją o zdrowie i próbował składać kondolencje, lecz Corinn ponownie kazała

mu przestać. Przez chwilę stał, jakby rozważając, co ma powiedzieć.

– Zostałem odwołany do Aushenii – rzekł bez dalszych wstępów. – Ojciec chyba obawia się o moje życie. Poza tym sprawia wrażenie zdenerwowanego innymi sprawami, ruchami na północy. Otrzymałem jedynie bardzo zwięzły rozkaz, przyniesiony przez gołębia. Muszę jechać, Corinn. – Po chwili wahania dodał: – Nie chcę cię zostawiać w takim stanie.

Corinn splatała i rozplatała nerwowo dłonie, nie wiedząc, dlaczego w ogóle go przyjęła. Wiedziała, że jest rozczochrana, nieumyta i ma na sobie pomiętą suknię. Spuściła wzrok i w nadziei, że księżę przestanie na nią patrzeć, zrobiła gest w stronę czegoś poza pokojem.

– Mam wrażenie, że świat ogarnęło wrzenie.

– Owszem, mocniej, niż to sobie wyobrażasz. Cała wyspa aż kipi. Co godzinę odpływa jakiś statek w stronę Łądu. Gubernatorzy w Alesji nieustannie odbywają narady. Traktat między naszymi narodami nie jest oficjalnie zawarty, lecz wygląda na to, że gubernatorzy chcą, byśmy zostali sojusznikami. Krążą plotki, że jakaś armia oblega Cathgergen. Twój brat mężnie sobie z tym wszystkim radzi. Powinnaś być z niego dumna. Znajduje się w dziwnej sytuacji – nie jest już królewiczem, ale nie jest też jeszcze królem.

Corinn zapytała, kiedy księżę wyjeżdża. Odparł, że o wschodzie słońca wyruszy do Alesji. Tam wezmą na pokład przedstawicieli, z którymi pragnie się spotkać jego ojciec, i popłyną prosto do Aushenii. Nie podał więcej szczegółów, lecz kiedy w milczeniu zastanawiali się nad jego podróżą, Corinn poczuła każdy kilometr, który będzie ich dzielił. Przypomniała sobie opisy kąpiei w chłodnych wodach oraz pofalowanej okolicy porośniętej gęstym lasem, którymi raczył ją księżę. Jaka cudowna musi być konna przejażdżka wśród takich potężnych drzew. Wyobraziła sobie Igguldana, jak galopuje przez smagane wiatrem pustkowie, tak odmienne od Akacji, wypielęgnowanego klejnotu wśród morza. Aushenia jest tak odległa, i to nie tylko pod względem odległości. To dzikie miejsce, gdzie można się zagubić lub odnaleźć na nowo w odmiennym kształcie.

– Myślisz, że mogłabym pojechać z tobą? – zapytała. – Nie byłabym ci ciężarem. Ja po prostu chcę stąd uciec. Chcę być z tobą, tylko z tobą.

Od śmierci ojca nie poświęciła temu ani jednej myśli, lecz, wymawiając te słowa, była przekonana, że są szczere. Tego właśnie teraz chciała najbardziej na świecie.

Igguldan objął jej dłonie i mocno uściśnął. Usiedli obok siebie na krawędzi łoża.

– Tak bardzo bym chciał, żeby świat nie był taki szalony, i tak bardzo żałuję, że nie poznałem cię w innych czasach. Twój ojciec był wyjątkowym człowiekiem. Kiedy zobaczyłem, że został ugodzony, zrobiło mi się niedobrze. Po prostu niedobrze! Lecz mimo to

wciąż myślałem o tobie. Wszystko, co słyszałem, widziałem albo czułem, przypominało mi ciebie. Świat się rozpada, a ja mogę myśleć tylko o tobie. Powiedziałem sobie: „To niewłaściwe. Opanuj się”. Ale nie umiem tego zrobić. A potem pomyślałem: „Może to miłość? Tak. Zakochałeś się w królownie Corinn”. Wiem, że powiedzenie tego w taki sposób jest z mojej strony niestosowne. Lecz mam tak mało czasu. Po prostu musiałem cię zobaczyć jeszcze raz, zanim oboje rozejdziemy się w różne strony. Chcę, żebyś wiedziała, że jesteś kochana. Dokądkolwiek się udasz, weźmiesz ze sobą moją miłość.

Jeszcze raz księciu udało się znaleźć idealne słowa. Corinn jest kochana. On – odważny, przystojny i wierny – ją kocha. Ścisnęła jego dłoń i lekko się pochyliła.

– Nigdzie nie jadę – powiedziała, myśląc, że źle go zrozumiała. – Żałuję, że tak nie jest. Gdybyś mnie poprosił, pojechałabym z tobą.

Księżę nieco rozluźnił chwyt.

– Jeszcze ci nie powiedzieli? Corinn, ty też masz jutro wyjechać. Wiem o tym tylko dlatego, że powiedział mi w zaufaniu twój brat. Był zły i nie mógł się powstrzymać. Wszyscy młodzi Akaranie mają opuścić wyspę i znaleźć schronienie gdzie indziej. Kanclerz uważa, że będziecie bezpieczniejsi poza Akacją, w jakimś tajnym miejscu.

– W jakimś tajnym miejscu? – szepnęła królowna.

Sądząc, że Corinn chce się dowiedzieć więcej szczegółów, księżę przyznał, że nie wie nic więcej, lecz królowna właściwie nie spodziewała się odpowiedzi. Po prostu zastanawiała się nad istnieniem tego tajnego miejsca. Gdzie może się znajdować? Tak często marzyła o podróżach do odległych miejsc, zastanawiała się, jak zostanie przyjęta i czy zostanie uznana za piękną. Czy pojedą do Talay? Na wybrzeże Candovii? Pożeglują na Wyspy Zewnętrzne, czy może do jakiegoś innego miejsca położonego z dala od serca imperium? A może tylko do Alesji? Nie było to tajne miejsce, ale może snuła zbyt wspaniałe plany. Może następne kilka tygodni spędzi zamknięta w jakimś pokoju w stolicy. Chociaż ta wiadomość ją zaskoczyła, nie odczuwała niepokoju – oznaczała ona ruch, zmianę, wyjazd z pałacu. To przecież nie mogło być złe, prawda?

Corinn zapytała Igguldana, dokąd by się udał, gdyby miał się gdzieś ukryć. Pytanie go zaskoczyło. Po chwili zastanowienia odparł, że najchętniej ukryłby się na dalekiej północy własnego kraju. Jest taki zakątek w Aushenii, gdzie las dochodzi aż podnóża Łańcucha Gradthickiego. To stara kraina, lecz tamtejsze powietrze jest tak dobre, że oddychanie nim dodaje człowiekowi zdrowia i wigoru. Przez większą część roku te północne góry to pustkowia, ojczyzna wielkich niedźwiedzi brunatnych i rzadkiego gatunku wilka. Igguldan był tam tylko raz, przed wielu laty, lecz nigdy nie zapominał uczucia, jakiego doznał, stojąc

na tych skałach o zachodzie słońca; za plecami miał góry, a na południe aż po horyzont ciągnął się prastary las. Krajobraz rozświetlały rozmaite kolory, a ogień zachodzącego słońca muskał ciemniejszy las, nad którym krążyły orły. Książę nigdy nie miał takiego poczucia samotności, jak w owej chwili, czuł też jednak rodową dumę. Jego naród wyłonił się z tej krainy, dzikiej i surowej. Ludzie wyszli z lasów i przybyli na południowe wybrzeże, by założyć Aushenię. Pozostawili za sobą wilki i niedźwiedzie i zajęli prawowite miejsce jako opiekunowie ziemi. To łączyło Igguldana ze wszystkimi Aushenianami.

– Powinnaś to zobaczyć – powiedział.

– Chciałabym. Powiedz, że mnie tam zabierzesz, a pojedę z tobą. Możesz być moim opiekunem i możesz mnie zabrać do tego swojego dzikiego kraju. Będiesz dla mnie polować i bronić mnie przed niedźwiedziami i innymi stworzeniami. Świat może się obejść bez nas.

Dłonie Corinn zwilgotniały. Zauważyła to, kiedy książę się cofnął i dotknęło ich chłodne powietrze. Co ona takiego powiedziała? Pragnęła tego, lecz perspektywa była tak rozległa, że jej w pełni nie ogarniała. Tak czy owak, Corinn była pewna, że, wycofując dłoń, Igguldan odrzucił jej propozycję. Chciała, by powiedział to wyraźnie.

Książę poszukał czegoś w kieszeni na piersi i wyciągnął niewielką kopertę zapieczętowaną woskiem.

– Napisałem to dla ciebie – powiedział. – Nie wiedziałem, czy starczy mi odwagi, by ci to wręczyć. Wciąż tego nie wiem... ale i tak to robię.

Wcisnął złożoną kopertę do dłoni Corinn i zamknął na niej palce dziewczyny.

– Co to jest?

– Zobaczysz, jak przeczytasz, ale nie rób tego teraz. – Wstał i pociągnął ją za sobą. – A teraz musimy podjąć to wyzwanie. Corinn, bardzo chciałbym pokazać ci mój kraj i żeby ziściło się wszystko, co powiedziałaś, lecz pora nie jest odpowiednia. Ojciec odwołał mnie do domu, ponieważ grozi nam wojna. Muszę go posłuchać. A ty musisz wykonać polecenia kanclerza. On na pewno ma rację. – Powstrzymał protesty Corinn, chwytając ją za ramiona; mocny początkowo uścisk przekształcił się w pieszczotę. – Proszę cię, Corinn. Pozwól, bym najpierw służył memu ojcu i pamięci twojego. Potem po ciebie przyjadę. Zechcesz mnie wtedy? Muszę wiedzieć, że walczę za ciebie. Jeśli tak będzie, nikt mnie nie pokona.

Corinn udało się skinać głową. Igguldan przycisnął twarz do jej twarzy – skórę miał rozpaloną, gładką i miękką. Pocałował ją w policzek. A potem się odwrócił i wyszedł dziarskim krokiem.

ROZDZIAŁ 22

Rialus Neptos uciekł z Cathgergen po – jak później twierdził – kilkudniowym oblężeniu. Jego ostatnią czynnością było obrzucenie szklanego okna, które stało się powodem jego wielkiego zakłopotania i zdradziło jego ego, twardymi i ciężkimi przedmiotami: krzesłem, wazonem z miedzianymi kwiatami, przyciskiem do papieru w kształcie niedźwiedzia z Pól Lodowych, wiekowym toporem ofiarowanym niegdyś jego ojcu przez Aushenian. Nie chciało się roztrzaskać w upragnioną kaskadę odłamków, ale popękało i wyszczerbiło się miejscami na tyle, że Rialus uznał, iż powiedział swoje. Nie zastanawiał się, czy przekaz był przeznaczony dla samego okna, dla kogoś, kto będzie później przez nie spoglądał, czy dla niego samego. Zabrał ze sobą mizerną świtę złożoną z urzędników, dworaków i członków rodziny, których był w stanie utrzymać w satrapii – tylko tych na tyle lojalnych wobec niego, że gwarantowało to ich milczenie. Numrekowie, przed którymi uciekał, naprawdę napelniali go takim przerażeniem, jakie udawał. O ile potrafił to stwierdzić, jego nieliczni towarzysze zachowali tyle spokoju, by podejrzewać, że do nieszczęścia, które ich spotkało, przyczynił się sam gubernator. Właściwie, uciekając przez Prześwit Gradthicki, Rialus prawie bał się o swoje życie.

Przybył do Aushenii, zachowując wszelkie pozory swego oszustwa. Podczas pośpiesznej narady z królem Guldanem opowiedział, jak to obcy najeźdźcy wyłonili się ze śnieżycy. Twierdził, że przez pewien czas niepokoił się niejasnymi doniesieniami o działaniach zauważonych aż na Polach Lodowych. Dlatego wysłał generała Alaina, by zbadał ten obszar i przepytał braci Meinów. Nie miał od niego żadnych wieści i bał się, że coś się generałowi stało, lecz sam atak stanowił całkowite zaskoczenie.

Powiedział, że Numrekowie – wielkie istoty, ukryte pod futrami i skórami, uzbrojone we włócznie dwa razy przewyższające wzrost człowieka oraz zakrzywione, obciążone przy czubku szable – przybyli wielką hordą. Wielu z nich jechało na rogatych stworach, okrytych naturalnym pancerzem i włochatą sierścią. Wpadli przez bramy Cathgergen, zanim zdołano wszcząć alarm. Niczego nie wyjaśniali ani się nie przedstawili; po prostu zaczęli zabijać, bez litości i z wyraźną przyjemnością, a wręcz zachłanną radością. Podczas walki ryczeli i tańczyli w rytm uderzeń niewidocznego bębna.

Ta relacja nie odbiegała zbytnio od prawdy. Numrekowie – jego goście, jak ich

nazwał Maeander – rzeczywiście byli zachłanną zgrają. I mimo że spotkali się z bardzo niewielkim oporem, i tak udało im się znaleźć ludzi, których mogli zabić, a robili to z radością opisywaną przez Rialusa. Nie wspomniał oczywiście Guldanowi, że niemal cała Północna Straż zginęła w potwornej pułapce. Zamiast tego twierdził, że oddziały straży cofały się w gorączkowej walce z przeważającymi siłami wroga, oddając kolejno części fortecy, aż wszyscy jej ocalali mieszkańcy zostali przyparci do ostatniej granitowej ściany. Dopiero wtedy, jak powiedział Rialus, zgodził się pertraktować z nikczemną istotą dowodzącą Numrekami.

– Spojrzałeś dowódcy w twarz? – zapytał Guldan. W młodości był wysoki. Nawet teraz, siedząc w sali królewskiej rady, nieco przygarbiony z powodu sztywności pleców, rozciągał atmosferę naturalnej szlachetności. Rysy miał spokojnie, chociaż głos lekko mu drżał z niepokoju. – Jak się nazywa?

– Calrach – odparł Rialus. – To bardzo dziwne istoty. W Znanym Świecie nie ma nic, co by je przypominało, a w każdym razie od czasu, kiedy Starożytni odepchnęli bogów Ithem...

– Mówisz, że są bogami? – przerwał jeden z adiutantów Guldana.

Rialus na chwilę został zbity z tropu.

– No... nie. Chcę po prostu powiedzieć, że mają przerażający wygląd. Bardzo niepokojący.

Podobnie jak o wielu innych sprawach w tej dziwnej szaradzie, Rialus mógł mówić o tym przez jakiś czas z całkowitą szczerością. Stojąc przed Numrekami, czuł się tak, jakby patrzył przez nierówne szkło okna na zupełnie inne czasy, na istoty, które zostały wypalone w innym piecu niż ludzie pochodzący z ziemi, mające zamieszkać inny świat w starszej epoce. Byli wysocy, przerastali ludzi o co najmniej trzy czy cztery głowy, mieli długie kończyny, a ramiona szerokie i płaskie, jakby pod skórą nosili jakieś kanciaste jarzmo. Włosy mieli czarne, a brwi krzaczaste. Przez jakiś czas Rialus sądził, że pudrują albo malują skórę, tak była blada. Zbliżywszy się do nich na nieprzyjemnie małą odległość, spostrzegł, że taką mają karnację; kolor przypominał obrzędową mieszaninę mleka z kilkoma kroplami koziej krwi, którą Vadajanie piją w Nowy Rok. Skóra tworzyła cienką powłokę z pulsującą pod nią skomplikowaną płataniną żyłek, tak wyraźnych, jakby zostały narysowane na papierze i uniesione pod światło lampy.

U Calracha, ich przywódcy, siłę było widać w napiętych węzłach mięśni podtrzymujących szyję. Nawet jego twarz sprawiała wrażenie nadmiernie napiętej. Oczy miał tak ciemnobrązowe, że sprawiały wrażenie czarnych. Brwi były podobne do zwykłych, lecz

bardziej wystające; tworzyły wysoki grzbiet jak morskie fale, które właśnie zaczynają się załamywać. Tkwiło w nich kilka grubych srebrnych pierścieni, osadzonych tak głęboko, że na pewno przebiły kość. Rialus z trudem utrzymywał wzrok na twarzy olbrzyma, ale kiedy tylko go odwracał, nie mógł się powstrzymać przed ponownym zerknięciem, za każdym razem przerażony, że stwór patrzy na niego nieruchomo spoza tej strasznej maski. Był człowiekiem i zarazem nim nie był.

Rialus powiedział, że za tłumacza służył im meiniński skryba; wiadomość ta wywołała wśród aushenijskich słuchaczy pełen zdumienia pomruk.

– Hanish Mein zna tę rasę? – zapytał Guldan.

Rialus stwierdził, że musi tak być, po czym mówił dalej.

– Calrach się nie usprawiedliwił ani niczego nie wyjaśnił. Po prostu powiedział, że mamy się wynosić. Cathgergen już do nas nie należy. Miasto zostało obiecane Numrekom. Uwolnił mnie, żeby pozostali mogli się dowiedzieć o zbliżającym się wrogu i lepiej się przygotować, by dostarczyć Numrekom lepszej rozrywki.

– Kto obiecał im Cathgergen? – zapytał jeden z adiutantów.

Rialus wzruszył szczupłymi ramionami tak, że niemal dotknęły jego uszu.

– Nie wiem, ale znajdowaliśmy się w sytuacji nie pozwalającej na dyskusję. Powiedział, że powinienem pobiec do swoich i powiedzieć im, że nadszedł koniec. Będą na nas polować dla zabawy i piec na roznach.

– Chyba nie mówią poważnie! – zawołał król. – Rialusie Neptosie, czy ty oszalałeś? To, co mówisz, przechodzi wszelkie wyobrażenia. – Monarcha jakby stracił wątek, lecz po chwili powtórzył: – Oszalałeś?

Gubernator potrafił sobie doskonale wyobrazić, że tak się stało. Kłamiąc normalnie, po swojemu, nigdy by czegoś takiego nie wymyślił. Calrach naprawdę tak powiedział. Siedział tam, śmiejąc się ze swoimi generałami, i mówił najpotworniejsze rzeczy, jakby Rialus nie stał przed nim, a tłumacz nie szeptał wszystkiego do ucha drżącego gubernatora. Musiał mocno zaciskać kolana, by nie oddać moczu. Wspominając tę chwilę, poczuł ukłucie zazdrości wobec tych, którzy jeszcze nie widzieli tego co on.

Aushenianie mieli do niego wiele pytań. Wiedzieli, że stanowią następny cel i chcieli usłyszeć od wygnanego gubernatora więcej szczegółów, jego opinie i domysły. Rialus z entuzjazmem przyjąłby rolę zaufanego doradcy – tylko tego tak naprawdę pragnął w życiu. Lecz za tą pokusą widział twarze i Maeandera, i Calracha. One kazały mu pozostać nieugiętym. Tak więc wyjaśnił Aushenianom, że jego obowiązkiem jest udać się do Alesji. Guldan odesłał go z górnolotnie brzmiącą obietnicą, że bez względu to, jak złe zamiary ma ta

horda, najpierw napotka na żołnierzy Aushenii. „Jakie szczytne pomysły!” – pomyślał Rialus. Lecz, jak wiele podobnych, nie miały one większej wagi niż powietrze, które posłużyło do ich wypowiedzenia. Rialus był przekonany, że Aushenia padnie w ciągu dwóch tygodni, najdalej za miesiąc. Zachował to oczywiście dla siebie.

Opuścił królestwo na pokładzie statku z monarszej floty, obserwując wojskową krzątanicę na oddalającym się brzegu. Był z siebie zadowolony; po wylądowaniu w stolicy to uczucie niemal go rozsadzało. Tęsknił za willą na zachodnich wzgórzach Alesji, od kiedy zobaczył to miejsce podczas krótkiej wizyty przed piętnastu laty. Dla niego to Alesja była prawdziwym ośrodkiem akacjańskiego imperium, bijącym sercem, z którego promieniowało wszystko, co miało wartość. Uwielbiał sam fakt istnienia tego miejsca, kontrolowane przez nie bogactwo, przyjemności, jakich można w nim zaznać, dzierżoną przez nie potęgę, nieskończony labirynt intryg, potajemne związki. Ledwie pojmował złożoność tego miasta. Nie szkodzi. Rialus od dawna wierzył, że rozkwitnie wewnątrz połyskujących, jasnych murów stolicy, ogrzewanych słońcem, obwieszonych pnączami i spowitych jedynie słodkimi woniami.

Szkoda więc, że stanął u bram Alesji jako zdrajca ludu, który tak podziwiał. Starał się nad tym nie rozmyślać i w dużej mierze udało mu się skupić tylko na nagrodzie znajdującej się w końcu w jego zasięgu. Tak jak wcześniej oświadczył Maeanderowi, miał w stolicy przyjaciół, którzy podzielali jego pragnienie ponownego podziału bogactwa miasta. Niektórzy z nich należeli do rodziny Neptosów, lecz wielu innych urabiali agenci Rialusa podczas potajemnych spotkań; ludzie ci spotykali się w małych grupkach i zwykle nie wiedzieli o istnieniu innych, podobnie przygotowywanych. Rialus musiał dotrzymać obietnic. Nie wzdragał się przed przelewem krwi, którego miano dokonać w jego imieniu, o ile otrzyma w końcu jakąś część profitów, które od dawna mu się należały. Podczas pierwszych kilku dni pobytu w Alesji Rialus pokazywał dwie twarze. Ta oficjalna spływała łzami żalu z powodu nadciągającej wojny. Prywatnie lustrował wzrokiem wille wybudowane nad miastem, poszukując nowego domu. Zgodnie z jego przekonaniem, wyglądało na to, że Dawczyni rzeczywiście nagrodzi godnych jej wyznawców.

ROZDZIAŁ 23

Takiego hałasu zamrożona przestrzeń jałowego pustkowiec nigdy dotąd nie słyszała: stękanie zwierząt przymuszanych do ciężkiej pracy, nieustanny grad okrzyków, podzwanianie niezliczonych dzwonek, skrzypienie maszerujących butów i wszechobecny chrzęst wydawanego przez olbrzymie przedmioty przemieszczające się po powierzchni, która nie umiała się zdecydować, czy jej istotą jest pomoc czy opór. Było słycać tarcie metalu i drewna o lód – to flota dziewięćdziesięciu okrętów wojennych przemierzała zamrożone morze. Ciągnęły je setki kosmatych wołów, popędzanych przez armię piętnastu tysięcy ludzi, idących z dzwonekami przytwierdzonymi do butów. Przodkowie poinstruowali Hanisha, że każdy powinien mieć przy sobie dzwonek, który będzie do nich śpiewał bez względu na przebytą odległość. Wojownicy powinni ogłaszać się światu głosami, które przemawiały przez wiele milczących pokoleń, zabiegających o urzeczywistnienie tego planu. Tunishnevre na pewno je usłyszą i będą wiedzieć w swej zimnej komorze, jak ich dzieci oddają im cześć.

Wraz z przebytymi kilometrami Hanish czuł, jak kontrola przodków nad nim nieco słabnie, lecz nigdy przedtem nie miał większej pewności, że jest godzien ich zaufania i że osiągnie to, czego od niego wymagają. Z jego powodu pogłoski powtarzane w łagodnym klimacie Akacji były prawdziwe, na skalę wykraczającą poza najbardziej nawet fantastyczne domysły. Te kilka statków zauważonych przez rybaków kilka tygodni wcześniej stanowiło jedynie zwiad wysłany dla sprawdzenia realności planu Hanisha. Polecił on załogom, by pozwoliły się zauważyć. Żywił przekonanie, że bez względu na to, co ludzie usłyszą o ruchach na północy, nie uwierzą w nie, dopóki nie staną twarzą w twarz z przyszłością, którą im przynosił. Dlaczego więc nie pozwolić im na martwienie się zjawami, w które ani nie będą potrafili uwierzyć, ani ich zlekceważyć?

– Przyroda zawsze była dla Meinów niczym bicz dla wołu – krzyknął mu do ucha Haleeven, starając się przekrzyknąć zawrodoenie wichru. – Niczego nie zmienia. Prawie nas nie spowalnia, a zmusza do pracy. Tak jak powinna.

Jego wuj zawsze udzielał takich rad w odpowiednich momentach i Hanish cieszył się z jego obecności. Chociaż nigdy tego nie okazywał, często trudno było mu zachować niewzruszoną pewność siebie. Ten starszy mężczyzna, tak podobny do jego ojca, stanowił żywe źródło siły.

Pewnego ranka pod koniec pierwszego tygodnia podróży na południe pogoda poprawiła się tak nagle, że zwierzęta zaczęły okazywać zdenerwowanie. Zmieniły się dźwięki, wrażenia i sama istota świata; ludzie patrzyli w dal, przekrzywiając głowy, by lepiej wsłuchać się w tę obcość. Cały nieboskłon lśnił bladym błękitem. Słońce ledwie było widać, lecz rozjaśniało cały firmament równomiernym światłem. Hanish wspiął się wysoko na takielunek statku, w którym podróżował. Poskręcane liny wrzynały mu się w dłonie, a stopy ślizgały na oblodzonych szczeblach. Nie był żeglarzem. Kto urodzony w Meinie był? Mimo to, kiedy, stojąc w bocianim gnieździe, oparł się plecami o grotmaszt, ogarnęła go radość; twarz miał zaczerwienioną od wspinaczki, szarpał nim porywisty wiatr porywający pióropusze jego oddechu.

Przed Hanishem rozciągał się biały świat, od patrzenia na niego bolały oczy. Osłonił je przydymionym szkłem. Patrząc w tym sztucznym zmierzchu, po raz pierwszy ujrzał całość swego przedsięwzięcia w ruchu. Otaczała go flota przemierzająca zastygłe białe morze. Dziewięćdziesiąt statków, które nie chwiały się i nie podskakiwały niesione prądami, nie wznosiły się i nie opadały na falach. Żagle miały ciasno zwinięte, a takielunek iskrzył się niczym wilgotne pajęczyny. Statki posuwały się na drewnianych płozach podbitych żelazem, ciągnięte przez długie szeregi wołów, zwierząt pokrytych tak gęstym futrem, że zatraciły kształty. Każdy okręt ciągnęło około pięćdziesięciu wołów w podwójnych zaprzęgach, a poganiali je odziani w futra mężczyźni, którzy przypominali ludzi tylko sposobem poruszania się i wykonywaną pracą.

Za nimi szła lub jechała na saniach cała armia ubrana w zimowe stroje i usiłująca utrzymać się przy życiu. Nie były to jakieś olbrzymie siły, lecz większość oddziałów, które mogli skierować do akcji. Wśród nich znajdowało się wielu siwowłosych mężczyzn i niejeden gładkolicy trzynastolatek. Zamierzali jednak walczyć z dumą i stanowili tylko jedną z trzech armii. Druga, licząca pięć tysięcy ludzi, podążała północnym szlakiem ku candoviańskiej Krainie Jezior. Pod wodzą brata Hanisha wyrządzą dotkliwie szkody. Są też Numrekowie, którzy na pewno zajęli już Aushenię. Jest całe mnóstwo planów układanych przez lata w Tahalian. Zdumiewające, po prostu zdumiewające, że wszystko to poszło w ruch!

Hanish został w bocianim gnieździe jeszcze długo po tym, jak zdrętwiała mu twarz i dłonie, i zszedł dopiero wtedy, gdy słońce, ukryte gdzieś na niebie, zapadło za lód, a świat pociemniał – ścianą roztrzaskanego szkła ciskanego przez wściekły wiatr wróciła śnieżycą.

Kilka dni później dotarli do placówki w Scatevith, skąd zabrali ogromne zapasy żywności. Zatrzymali się tam na dwa dni, by dokonać koniecznych napraw. Wkrótce znów wyruszyli na południe, posuwając się blisko gór leżących na krawędzi Płaskowyżu Mein.

Rozciągała się tam schodząca stopniowo ku Lasom Eilawańskim szeroka dolina, o wiele łatwiejsza do przebycia niż większość terenów za Methaliańską Krawędzią. Zeszli w dolinę i znaleźli się na terenie pokrytym śniegiem, usianym przysadzistymi jodłami, których drewno strzelało w ogniskach. Choć co noc i przez większość dnia temperatura spadała poniżej punktu zamarzania wody, wielu żołnierzy zdejmowało już futrzane czapki i strząsało na plecy ciężkie sznury poskręcanych włosów. Z przyzwoleniem dowódcy grupy ludzi wyprawiały się przed główne siły, by polować na renifery. Nad okolicą unosił się zapach pieczonego mięsa.

Hanish rozdał nozdrza, by go pochwycić, i wspominał dawne opowieści o tym, jak to Akaranie ukradli tron dzięki tymczasowym sojuszom, składanym i łamanym obietnicom, które ponawiali i znów łamali, a potem zaczęli karać każdy lud na tyle odważny lub silny, by się im przeciwstawić i rzucić im w twarz ich zbrodnie. To wtedy na rasę Meinów nałożono klątwę, to wtedy narodzili się Tunishnevre, a cały naród został wypędzony z nizin na tereny leżące nad Methaliańską Krawędzią. Całymi latami podążali za stadami reniferów, żyjąc dzięki nim i z nimi w sposób niewiele się różniący od życia ludzi z odległej przeszłości. Dopiero po upływie kilku pokoleń znaleźli miejsce na budowę Mein Tahalian, odkryli sposoby wykorzystania gorących gazów wydobywających się spod lodowej skorupy i wrócili do osiadłego życia. Nauczyli się powalać olbrzymie drzewa i wybudowali sobie schronienie w najdzikszym rejonie Znanego Świata. Uplłynęło jeszcze wiele pokoleń, zanim znaleźli drogę powrotu do cywilizacji, deklarując posłuszeństwo wobec wszystkiego, co akarańskie, każdym słowem udając, że przeszłość nie była taka, jaka była naprawdę i że pragną jedynie naśladować i wspierać akacjańską hegemonię oraz walczyć w jej służbie.

Takie to bogactwo szczegółów wywołał w myślach Hanisha zapach reniferzego mięsa. Wątpił, by dzieci w Akacji wiedziały cokolwiek o tych sprawach. Jej mieszkańcy uparcie nie przyjmowali do wiadomości sporej części historii świata. Zapomnieli o tym, co przynosiło im wstyd, i przekonali samych siebie, że podobnie zrobili wszyscy inni. Hanishowi bardzo to zresztą odpowiadało. Lepiej, żeby jego nadejście wstrząsnęło nimi do głębi, sprawiło, że otumanieni będą szukać wyjaśnienia, nie umiając już dostrzec prawdziwego kształtu i istoty świata, który dotąd tyranizowali.

Droga stała się jeszcze łatwiejsza, kiedy wychynęli na bezdrzewną i pozbawioną wyrazu powierzchnię Topieli, stanowiącą latem rozległy obszar jezior i bagien, pierwszego zbiornika dla wód spływających każdej wiosny z tającej północy. Przynajmniej przez jakiś czas podróżowało im się łatwiej. Po czterech dniach wędrówki po tej zamarzniętej równinie pod jednym z okrętów załamał się lód. Okręt osiadł na głębokość kilkudziesięciu centymetrów, wypiętrzając dookoła lodowe płyty i otwierając przed sobą wijącą się szczelinę.

Pociągnął za sobą kilkanaście wołów i jednego nieszczęśliwca, który akurat w tej chwili poganiał je biczem. Mężczyznę wyłowiono z lodowatej wody i owinięto futrami, a kilka z wołów wdrapało się z powrotem na lód, kiedy przecięto ich uprząż, lecz wokół pechowego okrętu zamarzła woda. Tej nocy został unieruchomiony na dobre z popękany kadłubem. Uszkodzenia może dałoby się naprawić, gdyby mieli czas i odpowiednie zapasy, lecz brakowało im i jednego, i drugiego. Hanish rozkazał rozładować statek, zabrać z niego wszystko, co mogłoby się przydać, i porzucić.

To wydarzenie zwiastowało rozwój wypadków. Następna część podróży była najbardziej niebezpieczna. Posuwali się po kruchym lodzie, czując na zmianę pulsowanie dziennej odwilży i nocnego mrozu. Hanish wysłał przodem zwiadowców z długimi żelaznymi tyczkami do badania wytrzymałości lodu; kierowali się dźwiękiem, dotykiem i instynktem. Kilka razy wyprawił się samotnie przed armię, idąc ostrożnie i wpatrując się w odległy horyzont. Nie bardzo wiedział, dlaczego to robi. Po prostu czuł, że tak trzeba. Było coś pocieszającego w patrzeniu na zamarznąłą przestrzeń i wyobrażaniu sobie przez chwilę, że jest na niej sam, że jego misja zaczyna się i kończy na nim, na jego mocnych czy słabych stronach. Oczywiście już po chwili słyszał, jak zwiadowcy uderzają w lód swoimi tyczkami, jakby byli jakimiś pasterzami, którzy kroczą przed swoimi podopiecznymi, zamiast za nimi podążać. Nie był sam i za każdym razem, kiedy nawiedzała go ta myśl, stanowiła ona zarazem źródło rozczarowania i otuchy.

Kiedy dotarli do popękanego lodu, sytuacja znów się zmieniła. Nastąpiło to wcześniej, niż Hanish się spodziewał. Przed nimi rysowała się czarna linia otwartej wody. Wkrótce ujrzeli błękitno-brązową kipiącą masę – zbierające się wody topniejącego jeziora, po którym się posuwali, i wypływającej z niego rzeki Ask. Kawały lodu odłamywały się płyta za płytą. Armia spędziła wściekle pracowity poranek, starając się przestawić z podróży po lodzie na podróż wodą.

Ledwie załadowano na pierwszy statek ludzi, konie i zapasy, lód pod nim zaczął trzeszczeć i pękać. Poganiacze wołów rzucili bicz i wdrapali się na okręty. Woły, tak długo zmuszane do pracy, kręciły się dookoła, zaniepokojone i niepewne, co oznacza to nagłe porzucenie. Dopiero kiedy pierwszy okręt wahał się do przodu, a jego rufa na chwilę uniosła się niebezpiecznie w powietrze z trzeszczeniem desek, jakby miał się przełamać na pół, woły odwróciły się i – gniewnie podrzucając rogatymi łbami – popędziły na północ. Nikt ich nie zatrzymywał. Pierwszemu okrętowi udało się ześliznąć do wody, złapać prąd i odpłynąć.

Okręt Hanisha zakołysał się na wodzie jako trzeci. Nie mógł się teraz oderwać od obowiązków i przekazać tej wiadomości Tunishnevre, jak tego pragnął. Przez szpary między

zamarzniętymi deskami kadłuba tryskała do środka woda. Kapitan wykrzykiwał zapewnienia, że deski napęcznieją i okręt na powrót będzie szczelny, więc Hanish przestał o tym myśleć. I tak nie mógł nic na to poradzić. Rzeka zawsze sprawiała kłopoty, zwłaszcza o tej porze roku, wezbrana wodami z odwilży nabierającej rozpędu w Topieli. Hanish chciał wkroczyć do Akacji wraz z wiosną i wyglądało na to, że dobrze wyliczył czas działań. Woda rozlała się daleko między drzewa na obu brzegach, pędząc głównym nurtem tak, jakby każda jej kropla przepychała się w tłumie towarzyszy, by czym prędzej dotrzeć do morza. Czasami okręty unosiły się na falach dorównujących wielkością tym spotykanym na oceanie podczas sztormu. Kiedy indziej rzucały nimi wiry i prądy, tak że ludzie spadali w spienioną wodę. Chwytała za wiosła i łamała je niby zaciśniętymi dłońmi, rozbijając przy okazji niejedną czaszkę.

Jednakże najbardziej zdradzieckie okazywały się miejsca, gdzie rzeka płynęła nad przeszkodami zwykle znajdującymi się ponad poziomem wody. Niektóre z nich były wyspami, które teraz stanowiły jedynie skupiska czubków drzew, sięgających z głębiny niczym palce tonących olbrzymów. Były też kamienne progi, które niemal rozorały kadłub jednego okrętu, i potężne głazy, nad którymi woda przelewała się kipiącym chaosem. Jeden z prowadzących okrętów wpadł na taki głaz. Wbił się w pianę, a potem wzniósł, celując dziobem w niebo, zawieszony na chwilę, jakby chciał wystrzelić w górę. Wtedy jednak – nie zważając na pełne protestu jęki obserwujących to ludzi – zsunął się do tyłu. Rufę pochwycił wartki nurt. Okręt przewrócił się, siejąc ludźmi na wszystkie strony, a potem zwałił w pianę. Przez kilka sekund obracał się jeszcze, a potem zniknął. Kiedy jego kadłub wychynał na powierzchnię, nie był to już żywy statek, lecz pozbawiona życia masa, jak podbrzusze martwego lewiatana.

Rzeka niosła ich dalej. Zupełnie jakby znajdowali się na grzbiecie wodnego węża. Hanishowi bardzo się to podobało. Zbyt długo tkwił w zamknięciu! Jak cudownie jest być wolnym, nawet jeśli ta wolność prowadzi do śmierci. Nie żałował ludzi, których stracił, ani ich nie opłakiwał. Ten wąż po prostu pobierał słońną opłatę za swoje usługi. Liczyło się tylko to, że Hanish zbliża się do celu. Był już na tyle blisko, że mógł spróbować czegoś, z czym poprzednio eksperymentował jedynie w zaciszu Tahalian.

ROZDZIAŁ 24

Aliverowi zaczęło się co nocy śnić, że pojedynkuje się z bezimiennymi, pozbawionymi twarzy przeciwnikami. W przeciwieństwie do fantazji z niedawnej przeszłości, kiedy walka na szable była zmyślonym starciem z mitycznymi wrogami, te wizje przepełniał strach. Zawsze zaczynały się dość niewinnie: Aliver chodził zaułkami dolnego miasta, rozmawiał z towarzyszami przy śniadaniu, albo szukał w swoim pokoju książki, którą na pewno gdzieś w nim położył. Lecz w pewnej chwili zawsze pojawiała się przemoc. Przy końcu zaułka pojawiał się żołnierz z dobytą szablą i wołał Alivera po imieniu; stół w jadalni się przewracał, a kiedy Aliver zza niego wyglądał, do pomieszczenia wlewała się przez okna fala wrogów, niczym tysiąc pajaków, przywierających do sufitu z szablami trzymanymi w zębach, co sprawiało wrażenie, że mają ogromne, metaliczne uśmiechy. Często po prostu wyczuwał za plecami bezkształtne, kłębiące się zło, któremu będzie musiał stawić czoło.

W tych snach walczył do chwili, kiedy musiał ugodzić wroga bronią. Wtedy, wraz ze świadomością, że zaraz zrani żyjącą istotę podobną do siebie, czas się zatrzymywał. Ruch zwalniał. Mięśnie Alivera traciły siłę i stawały się bezużyteczne. Nigdy nie widział, by jego broń zagłębiała się w ciała tych wrogów ze snu. Zamiast tego budził się, dysząc, roztrzęsiony i pełen napięcia, jakby walka właśnie się odbyła w rzeczywistym świecie. Dopiero wtedy docierała do niego z wolna okrutna prawda. Nie obudził się ze złego snu w przyjemnym świecie; jeszcze raz otworzył oczy w codziennie go prześladowującym koszmarze na jawie.

Ojciec nie żył. To oznaczało dla Alivera tysiące spraw, a wszystkie wprawiły go w oszołomienie. Nawet objęcie przez niego tronu nie było proste.

Akaranie byli zaprzysięgłymi monarchistami, lecz sytuacja zewnętrzna okazała się tak zawiślana, że opóźniła zajęcie miejsca ojca przez Alivera. Ten sam szacunek dla rytuałów, który pozwalał ludziom akceptować monarchię, wymagał także ścisłego ich przestrzegania. Nowi królowie byli koronowani wyłącznie jesienią, w tym samym czasie, kiedy rozsypywano prochy zmarłego króla. W taki właśnie dzień rządy objął Tinhadin i uznano za konieczne, by wszyscy jego następcy szli za jego czcigodnym przykładem. Odtąd niemal za każdym razem między śmiercią panującego monarchy i koronacją nowego następowała przerwa. Kilkumiesięczne oczekiwanie miało precedensy. Działaniem bez precedensu byłaby koronacja króla kiedy indziej niż w dzień przesilenia i to nie w obecności pełnego składu

gubernatorów. Kapłanki Vady uznałyby inny termin za niepomyślny dla koronacji i odmówiły pobłogosławienia takiej uroczystości. A machina urzędnicza najwyraźniej nie była zainteresowana szybkim obsadzeniem niedoświadczonego młodzieńca w tak ważnej roli. Może jakiś inny królewicz sięgnąłby po władzę mimo to, lecz nie Aliver. Chociaż nie przyznałby się do tego otwarcie, wbrew sobie czuł coś w rodzaju ulgi, że korona nie została mu od razu włożona na głowę. Na razie do roli królewskiego głosu lepiej nadawał się Thaddeus.

Alivera zasypywały złe wieści. Ledwie zapoznał się z jedną tragedią, a już przyćmiewała ją następna. Cathgergen opanowała jakaś barbarzyńska horda, tamtejszy garnizon uległ zniszczeniu, a gubernator wraz ze świtą został wyrzucony na mróz z przesłaniem o nadchodzącej zagładzie świata. Niczego z tego nie było sobie łatwo wyobrazić. Upadek Cathgergen oznaczał klęskę, stratę... ilu żołnierzy? Dwóch tysięcy? Co najmniej. I nie dotarły żadne wieści, że którykolwiek z nich uciekł, by móc o tym opowiedzieć, albo że ktoś jest w niewoli. I co się stało z innymi mieszkańcami fortecy – rzemieślnikami i kupcami, kurtyzanami i robotnikami oraz ich dziećmi, tymi wszystkimi ludźmi, dzięki którym dało się żyć w tak odizolowanej placówce jak Cathgergen? Po prostu zniknęli, a nikt jeszcze nie wyjaśnił Aliverowi, jak to możliwe.

Kilku najważniejszych urzędników Alesji zostało zamordowanych we śnie. Wielu z nich zginęło razem z żonami, mężami, dziećmi, służącymi i niewolnikami; ich ciała zostały porąbane znacznie bardziej, niż to konieczne, by odebrać życie, jakby każdy z nich był ofiarą szaleńca. Dwa dni później nastąpił atak na członków rodziny królewskiej, kiedy ci usiłowali opuścić Manil, miasteczko zbudowane na skalistym urwisku, do którego przywarły najbardziej luksusowe z rodzinnych pałaców. W blasku poranka w porcie zaskoczono siostrę przyrodnią Leodana, Katrinę, czternaście innych osób urodzonych w rodzie Akaranów oraz wiele takich, które do niego weszły przez małżeństwo. Kiedy tylko znaleźli się na statku, rzucili się na nich mężczyźni przebrani za robotników portowych i powalili ich krótkimi szablami ukrytymi w ubraniach.

Nikt nie wiedział, w jaki sposób tak szeroko zakrojone spiski można było utrzymać w tajemnicy, a potem uruchomić z tak zabójczą sprawnością. Plotki i pogłoski zrodziły przekonanie, że wielu zabójców biorących udział w obu tych atakach było służącymi, ogrodnikami i robotnikami zatrudnianymi przez arystokrację; wielu z nich służyło jej całymi latami, nie zdradzając najmniejszych oznak nieposłuszeństwa. Wedle innych doniesień z zamrożonego Meinu sunęła na południe flota okrętów wojennych. Traperzy widzieli je w pobliżu lodowych palców rzeki Ask, lecz nie wiedziano, w jaki sposób ci prości ludzie mogli

wysłać wiadomość z tak odludnego miejsca ani jak należy te nowiny rozumieć. Niektórzy twierdzili, że pewną rolę w tym powstaniu odegrał Rialus Neptos, który zniknął po masakrze alesjańskich urzędników. A jeszcze inni opowiadali, że cała świta przedstawicieli ligi odpłynęła bez słowa pożegnania.

Aliver rozpaczliwie pragnął zrozumieć, co się dzieje, i połączyć wszystko w całość pozwalającą na uporządkowanie chaosu, lecz chwile, w których mógł spokojnie pomyśleć, zdarzały się rzadko i były niepokojąco krótkie. Skończyły się już dla niego czasy szkolenia Marahów. Jego oficerowie zwracali się do niedawnych uczniów tak, jakby ci nagle urosli w ich oczach. Wydawało się, że wszyscy masowo awansowali. Mówili o czekających ich trudach i próbach z uczciwością, jakiej Aliver się nie spodziewał i jaka mu się nie podobała. Ludzie, którzy zaledwie przed kilkoma dniami wydawali się tak pewni siebie, teraz wydawali rozkazy z niepokojem, ostrożnie i nerwowo. Wyjaśniali, że czekająca ich przyszłość kryje nie tylko fizyczny ból czy upokorzenia związane z porażką podczas pokazowych pojedynków albo nawet społeczną kompromitację, która była dotąd najdotkliwszą karą. Te wszystkie niebezpieczeństwa już przeminęły. Teraz mieli walczyć o własne życie. Wkrótce królewicz będzie musiał zabijać. Sama ta myśl stawiała na głowie jego postrzeganie całego swego szkolenia. Czy będzie umiał to uczynić? Chyba nie. Zastanawiał się, czy to możliwe, że zawiedzie swój naród przy pierwszej próbie? Nigdy jeszcze niczego się tak nie bał jak tego.

Sprawę pogarszał fakt, że Aliver nie wiedział, czego tak naprawdę będą od niego wymagać. Jego pozycja wśród rówieśników jeszcze nigdy nie była tak niezręczna. Jednocześnie obawiał się, że zostanie mu oszczędzona odpowiedzialność za bitwy, tak jak zawsze był separowany od innych podczas szkolenia. Co prawda oficerowie wskazywali na formy jako przykłady bitewnego męstwa, a w większości z nich to król dzierżył szablę, włócznię lub topór. Miał zająć miejsce tych legendarnych postaci i poprowadzić armię do zwycięstwa? Tego nie wiedział, a nikt – nawet Thaddeus – nic mu nie mówił.

Na dwa dni przed poinformowaniem młodych żołnierzy o przydziałach i wysłaniu ich do jednostek Thaddeus Clegg dołączył do oficerów, by razem z nimi dokonać przeglądu oddziałów. Na miejsce przeglądu wybrano stadion imienia żony siódmego króla, Carmelii. Został wybudowany na płaskim klinie lądu wrzynającym się w ocean jak na wpół zanurzona stopa – poniżej pałacu, lecz nieco powyżej dolnego miasta. Wielka misa wykuta w skale mogła pomieścić tysiące widzów, siedzących na pojedynczych, specjalnie wydrążonych ławach. Arena była ogromna, nie osłonięta dachem, a ubita ziemia była niemal tak twarda jak kamień; zamiatano ją często w koliste wzory, które myliły wzrok.

Przed nieruchomymi postaciami oficerów i kanclerza na stadion wkroczyli najlepsi

młodzi żołnierze, jakich miała wyspa, zachowując idealny szyk batalionu piechoty. Poruszali się pod dyktando fletu bojowego, dziwnie melancholijnego, kapryśnego, lecz donośnie brzmiącego instrumentu. W ciągu następnej godziny kilku młodzieńców dostąpiło zaszczytu indywidualnej walki na oczach widzów. Potem większość z pięciuset żołnierzy odegrała skomplikowany układ dziewiętej formy, w której Hadeni i Ludzie Lasu ocalili Narzeczoną Tinhadina od Senivalskiej Zdrady. Później wysłuchali na stojąco mów swoich dowódców o minionej chwale i obecnym konflikcie.

Na koniec przemówił do nich kanclerz. Thaddeus przez jakiś czas pocierał zarost na podbródku i rozmyślał. Twarz miał tak zmizerniałą i pociętą głębokimi zmarszczkami, że, gdyby nie wspinałe szaty i szarfa oznaczająca jego urząd, trudno byłoby go poznać.

– Muszę się z wami podzielić pewną informacją, którą otrzymałem dzisiaj – zaczął. – Wolę to zrobić, stojąc między wami na tyle blisko, że możemy się nawzajem widzieć i dotykać. – Uniósł rękę; Aliver dopiero teraz zauważył, że trzyma w niej zwój. Kanclerz obrócił go, by zobaczyli go wszyscy żołnierze, jakby w ten sposób mogli odczytać jego znaczenie. – To jest wypowiedzenie wojny przez Hanisha Meina, syna Heberena. Mówi o swojej nienawiści wobec nas i ogłasza się wodzem przyszłego świata. Niczego już nie musimy się domyślać. Wiemy, z kim walczymy i dlaczego. Wiemy, że Hanish pragnie naszego unicestwienia. Jest przekonany, że ma odpowiednie siły i dlatego przypuścił te podstępne ataki. Taka nas czeka walka. Taka jest nikczemność zawarta w tym niepozornym dokumencie.

Thaddeus sprawiał wrażenie, jakby chciał cisnąć zwój w powietrze. Żołnierze milczeli, podobnie jak oficerowie, spodziewając się, że kanclerz doda coś jeszcze. Thaddeus wstał, nie odwracając się ani nic nie mówiąc i, mimo otaczających go ludzi, nie patrząc na nikogo. Aliver uświadomił sobie, że słyszy huk fal rozbijających się o skały poniżej stadionu. Raz, drugi, trzeci – był zaskoczony, że nie usłyszał tego wcześniej, zdumiony intymnością, z jaką morze dotyka lądu. Wyczuwał wibrację stopami. Była także w powietrzu, a każde uderzenie fal odczuwał tak, jakby na twarz i ramiona spadał mu niewidzialny, krystaliczny deszcz. Za tym wrażeniem rozciągał się cały świat, który w każdej chwili mógł się tu zjawić bez zapowiedzi.

Thaddeus uniósł głowę i skupił wzrok na otaczających go twarzach. Omiótł je spojrzeniem, nie zatrzymując się dłużej na Aliverze.

– Proponuję – odezwał się – żebyśmy wszyscy od dzisiaj nauczyli się kochać chaos. Uznajmy zamęt za stały element naszego życia. Tak jak po niebie wędruje słońce, nad ziemią świszcze wiatr, noc następuje po dniu i nie może być inaczej... Wszyscy będziemy cierpieć;

nie może być inaczej. Pogódźcie się z tym dzisiaj, a będziecie lepiej przygotowani na jutro. Niedawno pokazaliście dziewiątą formę. Jak wiecie, jest ich tylko dziesięć. Nie ma jednak przeszkód, dla których pewnego dnia nie miałyby się pojawić jedenasta. Nad tym też się zastanówcie, czekając na nadchodzącą walkę. – Odwrócił się, jakby chciał odejść, ale po chwili powiedział coś jeszcze: – Przygotujcie się także na niespodzianki. Świat jest inny, niż myślicie. Być może uznacie, że was na to nie przygotowaliśmy.

Tego ranka, kiedy mieli otrzymać ostatnie instrukcje przygotowujące ich do wojny, Aliver spotkał się na górnych tarasach z Meliem i Hephronem. Królewicz skinął głową im obu, zdumiony, że cieszy go towarzystwo Hephrona. Było w nim coś uspokajającego. Jeszcze przed kilkoma dniami bardzo go nie lubił i uważał za wroga. Teraz jednak zapomniał o tym. Hephron już wycierpiał więcej od niego. Stracił w Manil dwie siostry, kuzyna i kilku służących, których znał od dzieciństwa. Wraz ze śmiercią kilku innych wysoko postawionych Akaranów znacznie przybliżył się do tronu. W przeszłości Aliver spodziewałby się, że Hephrona to ucieszy, lecz teraz takie małostkowe rozważania nie miały żadnego sensu. Na twarzy Hephrona malował się tylko smutek wywołany stratami i postanowienie stawienia czoła wszystkiemu, co nadejdzie.

– Właśnie otrzymałem przydział – odezwał się. – Wysyłają mnie do Alesji. Poprosiłem o możliwość wzmocnienia Aushenii. To tam na pewno odbędzie się starcie z hordą, która zajęła Cathgergen, a ja chcę znaleźć się tam, gdzie będę najbardziej potrzebny. – Zamilkł na chwilę, przez kilka kolejnych kroków zastanawiając się nad własnymi myślami. Na niżej położonym tarasie rozległ się jakiś okrzyk, lecz młodzieńcy znajdowali się w pewnym oddaleniu od niego i nie zwolnili kroku. – Lecz... to stanowisko nie jest całkowicie pozbawione zaszczytów. Mam być zastępcą generała Rewlisa.

– Zastępcą? – zapytał Aliver, stając jak wryty.

– Nie udawaj takiego zaskoczenia.

– Nie jestem... nie jestem zaskoczony.

– Wszystko się zmieniło – rzekł Hephron. – Przyznała to nawet liga. Odwołali wszystkie trzy swoje statki transportowe i odpłynęły bez słowa. Nadal możemy przewozić żołnierzy, ale już nie tak łatwo, jak byśmy chcieli.

– Czy oni maczali w tym palce? – zapytał Melio. – To znaczy liga. Wiesz coś o tym, Aliverze?

– Nic pewnego – odparł królewicz. – Ale wątpię, by tak było. Liga istnieje po to, by ciągnąć zyski z handlu. Nie obchodzi jej, z kim handlują. Jest po prostu ostrożna i dba wyłącznie o własną korzyść.

Hephron się uśmiechnął.

– Nie tylko ona.

– Co to znaczy? – zapytał Melio.

– Nie pora, by o tym mówić. Może później.

– Dlaczego? – zapytał Aliver. – Ze względu na mnie? Jest coś, czego nie ważysz się powiedzieć w mojej obecności?

Hephron zerknął na niego, ale zaraz odwrócił wzrok.

– Zawsze w twoim towarzystwie trzymam język za zębami. Jak wszyscy. Nikt nie chce obrazić przyszłego króla.

– Ty sprawiasz wrażenie jakby ci na tym zależało – zażartował Melio.

– Nie powinniśmy się byli posprzeczać. Całe to współzawodnictwo między nami było niemądre, ale ja wiem o paru sprawach, o których królewicz nie wie i siłą rzeczy o nich myślę. Mój ojciec nie chciał, żebym miał fałszywy obraz sytuacji. Powiedział mi prawdę. Być może to będzie też nowością dla ciebie, Melio. Zawsze mówił, że pewnego dnia nasze zbrodnie do nas wrócą. Wszystko to, co się teraz dzieje... Gdybyście znali prawdę, nie bylibyście zaskoczeni. Na przykład jak waszym zdaniem utrzymujemy nasze bogactwo? Nie mówi się nam o tym. Mamy po prostu żywić przekonanie, że ono trwa. Zdobyliśmy je kiedyś, więc jest nasze na zawsze, tak? Jesteśmy wspaniałym ludem, który po prostu zasługuje na panowanie nad światem. Wszyscy są z tego zadowoleni. Tak jest najlepiej. – Spojrzał kolejno na swoich towarzyszy z uśmiechem wyższości. – Dobrze to brzmi? Zastanówcie się nad tym. Kiedy uświadomicie sobie, że coś się nie zgadza... odszukajcie mnie. Powiem wam wszystko, co wiem o zgniłym sercu Akacji. A wtedy będziecie się zastanawiać, dlaczego nikt nas nie zaatakował wcześniej.

Aliver pomyślał, że powinien go uderzyć. Spoliczkować i wyzwąć do walki na szable. Nikt nie spodziewałby się łagodniejszej reakcji na takie potępienie narodu. Albo powinien na niego donieść. Niech oficerowie go przesłuchają. Czyż nie jest to jego obowiązkiem? A jeśli Hephron przygotowuje się do zdrady?

– Przepraszam, jeśli cię obraziłem – powiedział Hephron bez cienia przeprosin w głosie. – Nie na ciebie jestem zły. Jesteś takim samym pionkiem jak ja. Ale to ja będę musiał nadstawiać za to karku. Ja, Melio i inni nam podobni. – Zaczął się oddalać, idąc tyłem. – Mój ojciec powiedział mi, że dorośli mężczyźni muszą mieć wewnętrzną siłę, by zrozumieć złożoność świata. Tylko głupcy wierzą w prawdy absolutne. Ty nie jesteś głupcem, Aliverze. Jesteś po prostu naiwny.

Idąc pół kroku za Hephronem, Aliver powtórzył sobie w myślach te słowa kilka razy.

Wiedział, że powinien się rozzłościć, przekląć go za słabość w chwili zagrożenia. Zamiast tego szedł, jakby przyciągany przez niego. Porównywał jego słowa z enigmatycznym wyznaniem kanclerza. Kiedy dotarli do szczytu schodów, wciąż myślał o wadze tych wypowiedzi. Hephron, który ujrzał rozciągający się widok ze schodów wcześniej niż Aliver, zmarł w bezruchu. Królewicz przez kilka sekund nic nie rozumiał z rozgrywającej się poniżej sceny.

Na dziedzińcu, znajdującym się w odległości około stu kroków, panował chaos. Ludzie biegali z krzykiem we wszystkich kierunkach. Pierwszą osobą, którą rozpoznał, był generał Rewlis. W tej samej chwili ujrzał, jak ktoś tnie go z tyłu w nogę. Poznał człowieka dzierżącego szablę, lecz nie potrafił wypowiedzieć jego imienia. Rewlis opadł na kolano z głową odrzuconą w okrzyku bólu i chwilę później został uciszony tą samą szablą, która rozcięła mu szyję ukośnym ciosem wymierzonym tuż pod ucho. Generał zwałił się na ziemię; z jego szyi tryskała fontanna krwi, a nogi drgające resztką życia rozmazły ją po kamieniach.

– Hellel? – szepnął Melio.

Hephron zrozumiał go przed Aliverem.

– Ty draniu. Tyle razy mogłem cię zabić we śnie.

To stwierdzenie nie pomogło Aliverowi zrozumieć scen rozgrywających się poniżej. Hellel? Należał do świty Hephrona i zawsze trzymał się blisko niego, jak błądźnik, niemal kończąc za niego zdania.

Zauważywszy, że królewicz wciąż stoi z wytrzeszczonymi oczami, Hephron machnął ręką, wskazując dziedzińiec i zarazem go odsuwając.

– To są Meinowie! Popatrz na nich. Hellel, tam przy balustradzie. I Havaran. I Melish na schodach. Zdradzili nas! Powinniśmy byli się tego spodziewać.

W następnej chwili już pędził w dół po schodach, na złamanie karku, ledwie dotykając stopami stopni. Usiłował jednocześnie wyszarpnąć szablę z pochwy, lecz udało mu się to, dopiero gdy stanął na tarasie. Natychmiast został zaatakowany przez dwóch mężczyzn, nacierających na niego jednocześnie z przeciwnych stron. Chwilę później do tańca włączył się Melio, z zawrotną szybkością kręcąc klingą młynka.

Aliver usiłował później odtworzyć bieg wydarzeń. Pamiętał, że dobył broni, zacisnął zęby i właśnie miał zbiec po schodach do walki... Prawie mu się udało. Tak bardzo chciał to zrobić. I zrobiłby, tyle że zanim zdołał się poruszyć, na jego przedramieniu zacisnęła się czyjaś dłoń i obróciła go dookoła.

To był Carver, dowódca Marahów.

– Królewiczu – powiedział – schowaj szablę do pochwy. Musisz się udać w bezpieczne miejsce.

I wydał rozkaz stojącym za nim wojownikom, by odprowadzili Alivera. Reszta oddziału rzuciła się po schodach za Carverem. I to wszystko. Aliver, odciągnięty z miejsca walki, nie widział, jak się zakończyła. „Udał się w bezpieczne miejsce”, podczas gdy Melio i Hephron stali się wojownikami.

ROZDZIAŁ 25

Thaddeus Clegg wszedł do swej prywatnej komnaty, zmęczony po długim dniu zmagania się z wewnętrznym zamętem i funkcjonowania na pokaz jako sprawny kanclerz. Jego kotka, Mesha, podniosła się z krzesła, gdzie była wygodnie zwinięta, rozprostowała jedną łapę, potem drugą i ćwierknęła do niego wibrującym miauknięciem. Jej rasa wywodziła się z południa Talay, a więc sierść miała piaskową i krótką, z wyjątkiem brzucha i podbródka. Kotka była o połowę większa od zwykłych domowych kotów i, co często spotykało się u przedstawicieli jej rasy, miała po dodatkowym palcu u każdej łapy. Wykorzystywała ten atut z wielką przyjemnością, tłukąc myszami o posadzkę. Pomagało jej to też utrzymywać swoją pozycję wobec złocistych małpek, które już dawno temu postanowiły obchodzić ją szerokim łukiem.

Kiedy Thaddeus zrzucił płaszcz i wieszał go na oparciu krzesła, Mesha zwinnie zeskoczyła ze swego siedziska i podeszła do kanclerza. Ten wyciągnął rękę i poczuł miękkie uderzenie jej łebka o palce. Chociaż nikomu tego nie wyjawiał, czubki palców miał najbardziej wrażliwe na zmysłowe kontakty i ten najintymniejszy dotyk zachowywał dla Meshy. Teraz chciał i potrzebował tylko takiego towarzystwa. Był zbyt dumnym i nieśmiałym człowiekiem, by szukać pociechy u innych ludzi i nie chciał po raz drugi ryzykować jakiegoś większego zaangażowania.

– Mesho, jesteś moją kochaną dziewczynką. Wiesz o tym, prawda? Na zewnątrz tego pokoju panuje szaleństwo, ale ty nie bierzesz w nim udziału. Jaka jesteś szczęśliwa.

Niedługo potem Thaddeus siedział z Meshą zwiniętą na kolanach. Sączył lepki likier pachnący brzoskwiniami i starał się poczuć wewnętrzny spokój, który odpowiadałby jego spokojnemu wyglądowi. Nie udało mu się. Chaos panujący w atakowanym kraju, pośpiesznie przygotowującym się do wojny, wystarczył, by go otumanić. Spędził cały dzień na naradzie z generałami szykującymi się do spotkania z siłami Hanisha Meina pod Alesją, miastem, które według nich stanie się pierwszym celem jego ataku. Omówili wszystkie szczegóły zebrania największej armii, jaką Znany Świat widział od czasów Tinhadina. Przytłaczające zadanie, wykonywane w pośpiechu i bez prawdziwego króla, który by kontrolował jego wykonanie. Owszem, Aliver był obecny na tych spotkaniach i dodawał od siebie, co mógł, dzielnie się trzymając w obliczu tych wydarzeń. Lecz generałowie tak naprawdę zwracali się do

Thaddeusa. Był bardzo zaskoczony, że ta strona jego życia koliduje z pragnieniem zemsty.

Nie zgodził się otwarcie pomagać Hanishowi Meinowi, lecz kiedy przeczytał prostą wiadomość od wodza, jakaś jego część chciała mu ulec. Może zbyt długo był sługą króla, by czuć się swobodnie w roli pana samego siebie. A może była to oznaka potęgi Hanisha, jego umiejętności naginania woli innych ludzi do jego życzeń nawet z daleka. Co Thaddeus miał zrobić z żądaniem Hanisha? Rozkazał mu on schwytać królewskie dzieci. Proste. Gdyby to uczynił, dokonałby zemsty na Akaranach. A także zostałby za to nagrodzony i w inny sposób. Thaddeus zastanawiał się, czy potrafi się zmienić w sługę Meinów. Co mogliby mu zaoferować jako zapłatę? Może stanowisko gubernatora. Pasowałby mu Talay, ta wielka przestrzeń, niekończące się kilometry traw. To była wystarczająco duża prowincja, by mógł się w niej zgubić. Wydawało się to dobrym pomysłem.

A może nie myśli na odpowiednio szeroką skalę. Gdyby wciąż miał w sobie ambicję, którą wyczuł u niego przed wielu laty Gridulan, znalazłby sposób na zawładnięcie tronem. Właściwie kontrolował wszystko na wyspie. Biorąc pod uwagę zabitych, zamęt powstały na Łądzie i krwawe starcie tu, na dziedzińcach Akacji, nikt inny nie trzymałby steru władzy tak pewnie, jak on. Królewskie dzieci mu ufają, a on ma dostęp do każdego z nich nawet w ich prywatnych komnatach. Mógłby odwiedzać je po kolei i wszystkie otruć: filiżanka gorącego mleka podana przez ukochanego wuja, ciastko ze specjalnym lukrem, maść na kciuku, którym ocierałby im łzy... Znał tyle sposobów podania trucizny. Mógłby im we śnie przycisnąć poduszkę do ust, wykrwawić je z rany na szyi, zatrzymać ich serca uderzeniem dłoni, które nauczył się zadawać pod właściwym kątem i z odpowiednią siłą. Mógłby je zabić i w ten sposób odplacić Gridulanowi za jego zdradę.

– Jakie to wszystko żałosne, Mesho – powiedział, głaszcząc kotkę po grzbiecie. Podniosła na niego znudzone spojrzenie skośnych oczu. – Wszystko zepsułem! Powinienem pomyśleć o najpewniejszej drodze i nią podążać. Nic nie powstrzyma nadchodzącej zmiany; widzę to najwyraźniej ze wszystkich. A te dzieci nie są tak niewinne, jak się wydają. Czy młode szakala nie wyrasta na szakala? Czy nie ugryzie kiedyś ręki, która je karmi? Nie może być inaczej. Głupotą jest zachowywać się tak, jakby one albo ja moglibyśmy być kimś innym. Widzę to wszystko jasno. Ale ja je kocham. W tym leży problem.

Kiedy Thaddeus wstał i postawił Meshę na podłodze, właśnie zaczęła zapadać w drzemkę. Złościł się na siebie, że w ogóle o tym mówi, nawet jeśli tylko do kota. Podeszedł do kredensu wbudowanego w ścianę obok łóżka i zdjął z półki fajkę do mgły, należącą niegdyś do króla. To dziwne, że tak późno popadł w ten nałóg. Dziwne, że dopiero pod koniec życia zrozumiał prawdziwy głód zapomnienia. Wiedział, że nazajutrz znów będzie musiał stawić

czoło podjętym i niepodjętym decyzjom, lecz na razie pragnął jedynie o wszystkim zapomnieć lub przynajmniej osiągnąć stan, w którym nic nie ma znaczenia.

Później został obudzony z czarnej nicości, z pobawionego marzeń i myśli istnienia, głębszego od każdego snu. To, co wyrwało go z tego upragnionego stanu, było zniechęcająco silne. Wydawało się, że jego jestestwo dostało się w żelazne szpony, które wloką go ku świadomości. Przetoczył się na plecy, myśląc, że taka zmiana pozycji pomoże mu ponownie zapaść w sen, bo nie nastał jeszcze dzień, wymagający jego obecności. Poczul ucisk w nogach i uznał, że to Mesha. Czasami przywierała do nogi Thaddeusa i zatapiała pazury w ciało jakiejś wyimaginowanej zwierzyny.

Lecz wtedy odezwał się głos:

– Stań ze mną twarzą w twarz.

Thaddeus chciał zawołać strażę, lecz zanim udało mu się odpowiednio ułożyć usta, reszta jego jestestwa wykonała rozkaz. Wyprostował się, a widok przed jego oczyma dostosował się do zmienionej pozycji. Tyle że... tyle że jego prawdziwe ciało się nie poruszyło. Pierś, ręce i głowa nie posłuchały woli. Wyprostował się, lecz w jakiś sposób jego cielesna powłoka wciąż leżała na łóżku. Zupełnie jakby delikatnie wysunął się ze skóry. Czuł, jak jego narządy, mięśnie i kości oddzielają się od jego ducha. Ciało go wypuściło i siedział teraz wyprostowany; jego dolna część wciąż tkwiła w biodrach, kroczu i nogach, a górna była posłusznym duchem postawionym na baczność.

Przed nim, w nogach łóżka, unosił się niewyraźny zarys męskiej postaci. Miał kształt ciała, lecz Thaddeus widział przez niego resztę pogrążonego w mroku pokoju. Istota promieniowała własnym światłem. Jej szare oczy błyszczały jaskrawymi plamkami. Stanowiły najlepiej widoczne elementy mglistej postaci, skupionej wokół dwóch jaśniejących punktów. Tylko one wydawały się na tyle materialne, by można je było dotknąć, chociaż rozświetlająca je energia migotała. Od czasu do czasu zanikała, a potem znów się pojawiała, jakby w oczach lśniło światło księżyca przesłaniane chmurami. Wydobywało ostre rysy zjawy i nadawało materialność jej ramionom i rękóm, lecz dolna część ciała rozpływała się w nicość.

Postać znów przemówiła. Jej głos wydawał się być stłumiony przez odległość i brzmiał głucho, jakby słowa przechodziły przez tubę. Mimo niesamowitości tonu brzmiąca w nich pogarda była niczym policzek wymierzony Thaddeusowi.

– Thaddeusie Cleggu, ty psie, mam ci coś do powiedzenia.

Thaddeus patrzył na gościa oszołomiony. Jak to możliwe? Pogardliwym skrzywieniem warg usiłował okazać intruzowi lekceważenie, nie zważając na czarnoksiężskie

zakłęcia, dzięki którym wtargnął do komnaty kanclerza. Była to reakcja instynktowna, lecz Thaddeusowi trudno było utrzymać ten wyraz twarzy pod hipnotyzującym wzrokiem zjawy. Dlaczego nie zawołał straży? Wiedział, że łatwo może to zrobić, lecz coś go jednak powstrzymywało, więziło w mocy tych oczu. Przede wszystkim musi zidentyfikować tę istotę. Pomyślał, że to klucz do wszystkiego. Wyczuwał imię gotowe do wypowiedzenia, imię już mu znane. By stało się realne, trzeba było je tylko wypowiedzieć.

– Hanish? – zapytał. Mężczyzna się uśmiechnął, najwyraźniej zadowolony z rozpoznania. Wyraz jego twarzy stanowił potwierdzenie, że domysł jest słuszny. – Jak to możliwe?

– Dzięki podróży we śnie – odparła postać. – Śpię i nie śpię; jestem duchem i znajduję się daleko od mego ciała. W każdej chwili odczuwam jego przyciąganie, chęć ściągnięcia mnie z powrotem do tego, co znajome. Nasze duchy nie lubią opuszczać ciała, Thaddeusie. Stanowi to ironię losu, zważywszy, że od czasu przeklętej nieśmierci mój lud pragnie jedynie uciec od tych obciążeń ciała, lecz to prawda. Jestem równie zaskoczony jak ty, że rozmawiamy. Nigdy przedtem nie znajdowaliśmy się wystarczająco blisko siebie ani ja nie wiedziałem, że masz ten dar. Nie wszyscy bowiem go mają. Między moimi braćmi i mną zawsze panuje cisza. Nie można zrozumieć porządku rzeczy...

Hanish rozpląnął się w mroku, lecz chwilę potem znów się ukazał, świecąc jaśniej niż poprzednio.

– Cieszę się, że tak szybko mnie rozpoznałeś, lecz nie przybyłem do ciebie na towarzyskie pogaduszki.

Thaddeus zwrócił uwagę na coś dziwnego w tonie Hanisha, co kazało mu się skupić nie tylko na jego słowach, ale i na tym, jak je wypowiada. Trudno było cokolwiek odczytać z takiej odległości, lecz jego rozmówcą był człowiek, a Thaddeus znał się na ludziach.

– Czy dzieci są bezpieczne? – zapytał Hanish.

– Dzieci? Nie musisz się ich obawiać. Nie stanowią żadnego zagrożenia dla...

– Nie zrobiłeś im krzywdy, co? – zapytał Hanish z nutą niepokoju w głosie.

Przy tych słowach zjawa przygasła i przez chwilę migotała, więc Thaddeus mógł się zastanowić. Widział po oczach Hanisha, że wódz coś ukrywa. Nie kłamał, lecz w jego słowach kryło się dodatkowe znaczenie, którego nie chciał Thaddeusowi wyjawiać.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział, kiedy Hanish znów wyraźnie zajaśniał. – Zatrzymałem je tutaj, blisko siebie, bezpieczne pod każdym...

– To bardzo ważne, by pozostały przy życiu. Rozumiesz? Ich życie ma dla mnie wielkie znaczenie. Przybyłem po to, by jeszcze raz ci powiedzieć, że kiedy dostarczysz mi

dzieci, zostaniesz wynagrodzony. Porozmawiamy o tym w spokojniejszym czasie, a ja cię nie zawiodę. Uwierz mi. Nie jestem jakimś tam złotoustym Akaranem. Ja zawsze mówię prawdę. Tak jak mój naród.

Thaddeus poczuł ostre ukłucie zrozumienia. Już wiedział, co ukrywa Hanish. Stwierdzenie, że jego naród zawsze mówi prawdę, to nie były przechwałki. To była deklaracja dumy narodowej. Meinowie zawsze twierdzili, że zostali wygnani na północ, ponieważ mówili prawdę o akarańskich zbrodniach. Wierzyli też, że nie tylko zostali wygnani, ale i przekłęci. Tunishnevre... Thaddeus nie brał ich dotąd pod uwagę. Akacjanie traktowali ich jako legendę, lecz może dla samych Meinów byli czymś więcej.

Dotychczas myślał jedynie o zadawnionej nienawiści Meinów do Akacji, o tym, jak bardzo pragnęli tej łagodnej krainy, jakie zdobyliby bogactwa, gdyby nią rządili, i jakby ich ucieszyło ostateczne zwycięstwo nad wielowiekowymi wrogami. Nie sięgał jednak wystarczająco daleko w pragnienia Hanisha. Dopiero teraz zrozumiał, że nie jest to wojna tylko o to, co ziemskie. Polem bitwy był Znany Świat, lecz sprawa, za którą walczył Hanish, przechodziła też na inne płaszczyzny istnienia. Zapewne jest przekonany, że jego przodkowie zostali uwięzieni w niekończącym się czyścicu. Pragnie zdjąć klątwę rzuconą na nich podczas Kary i uwolnić Tunishnevre. Legenda powiada, że czynu tego można dokonać tylko w jeden sposób. Pamiętając o tym, Thaddeus pomyślał, że albo Hanish jest szaleńcem, albo świat jest bardziej tajemniczy, niż przypuszczał.

Myśli te szybko przebiegły kanclerzowi przez głowę i Hanish chyba nie zauważył zmiany, jaka w nim zaszła.

– Zbierz je w jednym miejscu – nakazał. – Zatrzymaj je dla mnie. Jeśli coś im się stanie, twoje istnienie zamieni się w nieskończone pasmo udręki. To mogę ci zapewnić. Nie wątp ani w mą hojność, ani w mój gniew.

– Nie wątpię w żadne z nich – odparł Thaddeus. – Bądź pewien, że będę tu na ciebie czekał wraz z dziećmi.

Światło w oczach Hanisha przygasło. Jego postać zachwiała się i rozmyła jak mgła poruszona podmuchem wiatru. Thaddeus poczuł, że z powrotem opada we własne ciało. Spoczął w swej materialnej powłoce, znów czując otulającą go skórę. Powiedział sobie, że nie posłucha rozkazu. Nie jest sługą. Wolno mu postępować tak, jak chce...

Powtarzał to sobie raz po raz, czując, że pogrąży się w zwykłym śnie, i bojąc się, że będzie pamiętał tylko część tej nocy, że kiedy się obudzi, pobłądzi w działaniach. Zażądał od siebie samego, by nie zasypiał i pamiętał, czego się domyślił, ponieważ to wszystko zmieniało. Hanish jest bowiem przekonany, iż potrafi zdjąć klątwę z Tunishnevre, zabijając

dziedzica akarańskiej dynastii. Przywrócić życie jego przeklętym przodkom mogą jedynie krople najczystszej akarańskiej krwi. Gdyby zdołał wprowadzić swój plan w życie, to dzieci ukochane przez Thaddeusa – czwórka, którą uwielbiał przez całe życie, o której marzył, by była jego potomstwem, i którą obdarzył uczuciem przeznaczonym dla własnych dzieci – zostałyby rozciągnięte na ofiarnym ołtarzu, rozcięte i powoli wykrwawione na śmierć. Gdyby się okazało, że klątwa Tinhadina jest jednak prawdziwa, a nie mityczna i że da się ją odwrócić, to powróciłyby dwadzieścia dwa pokolenia meinińskich wojowników. Znow chodziliby po ziemi, a ich zemsta wyróciłaby świat do góry nogami.

To dzięki tej świadomości Thaddeus podjął decyzję. Nie mógł sięgnąć po władzę, jak wyobrażał sobie tkwiący w nim potwór. Nie mógł też dopuścić, by Hanish rozpętał nowe piekło na ziemi. Był jednakże ktoś, czyją prośbę chciał spełnić. Powinien to zrobić od razu. To akurat wiedział z niezachwianą pewnością. Już wcześniej zdecydował, że dzieci trzeba odesłać. Teraz zrealizuje plan, który ułożył dla swoich dzieci Leodan Akaran na wypadek, gdyby przytrafiło mu się nieszczęście, zanim jego potomstwo osiągnie dojrzałość. Thaddeus znał ten plan i miał władzę wprowadzenia go w życie. Mógł to zrobić on jeden na całym świecie. Nawet dzieci o nim nie wiedziały. Nie można im było też o nim powiedzieć, nawet teraz. Aliver znienawidzi go za to. Zapewne przyjmie to jako najgorszy z możliwych losów i uzna Thaddeusa za zdrajcę.

Jakie to stosowne, pomyślał kanclerz. Straszne i stosowne: prawda i kłamstwo zarazem.

ROZDZIAŁ 26

Hanish obudził się po rozmowie z kanclerzem z mnóstwem planów, którymi trzeba było się zająć. Jego flota płynęła rzeką Ask, aż ta wypłynęła okręty na Morze Wewnętrzne. Chociaż marzył o skierowaniu się do samej Akacji, wiedział, że musi na to poczekać, zając ją w odpowiednim czasie. Zebrał swoje pozostałe okręty w pobliżu ujścia rzeki. Dryfowały w grupie, licząc się, czekając na maruderów i udzielając sobie pomocy. Armia Hanisha była w lepszym stanie, niż się spodziewał – może dlatego, że jego ludzie się niecierpliwicko, nade wszystko pragnąc wysiąść na ląd i rozpocząć rzeź. Byli pełni zapału i marzyli, by udowodnić to z szablą w ręku.

Hanish utrzymywał ich na wodzie, a tymczasem spływały do niego wieści. Dowiedział się, że w pierwszej wielkiej bitwie wojny Hanisha Meina z Akaranami nie brały udziału ani oddziały meinińskie, ani akacjańskie. Aushenijski książę, Igguldan, dowodził armią, która starła się z Numrekami pod Wzgórzem Aushenguk. Na skalistym polu zgromadzili się wojownicy, rolnicy, kupcy i kapłani ze wszystkich zakątków królestwa, by bronić swego narodu. Igguldan miał do dyspozycji niemal trzysta tysięcy dusz. Nieprzyjaciela za to nie było więcej niż sześć tysięcy.

Lecz Numrekowie byli przerażający pod każdym względem. Stanowili rozkrzyczaną, hałaśliwą hordę istot podobnych do ludzi, lecz groteskowo się od nich różniących; obserwujących ich zbliżanie się Aushenian całkowicie zaskoczyli. Ostrzygli swoje osławione włochate wierzchowce, by dostosować je do pogody. Gdzieniedzie były jeszcze porośnięte kępkami futra; w innych miejscach ich szare ciała znaczyły blizny od nożyc. Wyglądały na chore, lecz mimo swego wyglądu kroczyły wyniośle, a ich wyraźnie widoczne mięśnie sprawiały wrażenie, że aż drżą od nagromadzonej siły.

Poza tym Numrekowie wykorzystali dotąd nieujawnioną broń: katapulty. Były to niezdarne konstrukcje do miotania płonących kul o średnicy połowy wzrostu człowieka. Kule leciały tuż ponad ziemią, podskakując wielkimi łukami i za każdym uderzeniem wrywając kawałek darni. Pędziły z taką siłą, że wojowników stojących na swej drodze kładły pokotem. Powalały ludzi uderzonych w linii prostej, rozrywały ciała uderzone bokiem, zmiatały głowy z ramion. Wszystko to zaskoczyło młodego księcia, podobnie jak płonąca kula, która porwała ze sobą jego tors, owinięty wokół niej w ognistym uścisku. Próba stawienia oporu przez naród

księcia zakończyła się w jedno popołudnie. Wydarzenie to było tragiczne dla Igguldana, lecz stanowiło słodką muzykę dla uszu Hanisha.

Przybycie Maeandera do Candovii okazało się równym sukcesem. Tak jak bracia zaplanowali, Maeander napadał na klan za klanem, zmuszając je do otwartej rebelii lub posłuszeństwa. Meinowie od lat przygotowywali ten najazd, wysyłając agentów, którzy wyszukiwali sprzymierzeńców i podsycali wśród ludzi atmosferę niezadowolenia. Candovianie byli zawziętymi wojownikami, porywczymi i dumnymi, podobnymi w tym do Meinów. Byli także kłótlivi i dawali się wykorzystywać. Takimi chcieli ich uczynić Akacjanie, faworyzując kolejno różne klany i wzniecając między nimi niezgodę, by, zajęci sprzeczkami, nie kierowali niechęci przeciwko prawdziwemu wrogowi. Maeander miał wszelkie środki perswazji – wojskowe oraz inne – by to wykorzystać. Za pośrednictwem posłańca obiecał, że sprowadzi ze sobą całą Candovię przez góry Senivalu; siły te potroją liczebność oddziałów, z którymi rozpoczął wojnę. Po wojnie być może trzeba będzie Candovian utemperować, lecz na razie wołał ich uważać za sojuszników.

Nawet Akacja załamała się od wewnątrz. Hanish nie wiedział, jak meinińscy żołnierze służący Akacjanom z dala od domu zareagują na wypowiedzenie przez niego wojny. Owszem, miał pewne nadzieje. Czyż wszyscy meinińscy żołnierze nie składali tajnej przysięgi, że odpowiedzą na wezwanie do walki bez względu na to, kiedy i skąd nadejdzie? Mimo wszystko martwił się, że lata przebywania z dala od ojczyzny mogły osłabić ich determinację. Tunishnevre jednakże nigdy nie mieli wątpliwości. Przodkowie zapewniali Hanisha, że ich kontrola nad wszystkimi żołnierzami Meinu jest bardzo mocna. Mieli rację. Meinińscy żołnierze podnieśli bunt w całym imperium, kiedy tylko dotarło do nich wezwanie.

Zaatakowali ludzi, których przed paroma minutami nazywali towarzyszami.

Wszystkich trzydziestu trzech Meinów służących w akacjańskim regimencie i czterech świeżo przybyłych z Alesji dobyło szabli i zabiło połowę akacjańskich oficerów na wyspie, wykorzystując kilka pierwszych sekund zaskoczenia. W Aos grupa pięciu Meinów pomalowała sobie twarze krwią na czerwono i runęła w szale na cotygodniowy miejski targ, zabijając wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Inni zatruli wodotryski z pitną wodą w kurortach położonych na wschód od Alesji. A samotny żołnierz stacjonujący w jednej z placówek na Łądzie zabił swoich przełożonych oraz kilku miejscowych urzędników w ich łóżkach, lecz został schwytyany. Wszyscy oni poświęcili swoje życie, ponieważ żaden z buntowników nie dał się złapać żywcem. Na pewno zachęcali ich do tego Tunishnevre, żądając od nich rehabilitacji poprzez śmierć za hańbę służenia Akaranom.

Jedynie w Talay powstanie zostało stłumione przed jego wybuchem. Ostrzeżenia z

Akacji dotarły do Bocoum niemal równocześnie z wieściami o wojnie. Dlatego meinińscy żołnierze zostali zakuci w łańcuchy, zanim zdążyli pomyśleć o chwyceniu za broń. Źle się stało, lecz nie miało to wielkiego znaczenia. W sumie Hanish był dumny ze swoich ludzi. Jeśli wierzyć szacunkom, rewolta zmniejszyła armię imperium o niemal jedną czwartą: zarówno z powodu odebrania życia akacjańskim żołnierzom, jak i porzucenia służby. Akacjanom nie wiodło się od początku, gdyż nie podejmowali zbyt wielu zdecydowanych działań. To tyle, jeśli chodzi o ten wielki naród! Zaledwie kilka tygodni po śmierci Leodana Akarana, która dała sygnał rozpoczęcia wojny, wódz Meinów nie miał żadnych powodów przypuszczać, że popełnił błąd. A wciąż jeszcze miał w zanadrzu swoją najskuteczniejszą broń.

Główne starcie miało nastąpić na rozległych polach na wschód od Alesji. Z powodu burzliwych czasów nie zostały jeszcze obsiane. Akacjanie zebrali armię, którą uważali za bardzo liczną. Ich środki transportu zostały uszczuplone, kiedy Liga Statków odpłynęła bez słowa wyjaśnienia, lecz na pomoc imperium przybyli inni ze swoimi łodziami rybackimi, promami, barkami, jachtami i czółnami. Na lądzie kupcy pożyczali swoje wozy, konie i muły. Dzięki nim oraz własnym nogom żołnierze zdążyli do Alesji. Nie było jasne, pod którym dowództwem gromadziły się te wszystkie siły. Pojawiały się górnolotne deklaracje wydawane w imieniu królewicza Alivera Akarana, lecz on sam został gdzieś wywieziony, co bardzo Hanishowi odpowiadało.

– Jakie to uprzejme ze strony tego, kto im rozkazuje – rzekł Haleeven – że zgromadził ich tak wielu w jednym miejscu, żebyśmy mogli sobie poradzić z nimi za jednym zamachem. Może, po odpowiednim zastanowieniu, powinniśmy dać im więcej czasu na zebranie sił.

– Wymaga tego uprzejmość – odparł Hanish.

Kiedy wojska Meinów wysiadły na ląd w odległości kilku dni marszu od wroga, nie od razu ruszyły w jego stronę. Rozbito wielki obóz. Kiedy ludzie odprężyli się, zaczęli szukać rozrywek. Klimat był tak łagodny, że zdejmowali ubrania i czuli dotyk powietrza na ciałach nie odsłanianych od wielu miesięcy. Skórę mieli upiornie bladą, pokrytą martwym naskórkiem i szybko różowieli pod ciepłym słońcem wiosny na Lądzie. Sprawdzali swoją sprawność fizyczną w rozmaitych grach: biegach, zapasach, ćwiczeniach z szablami i włóczniami oraz przeciąganiem człowieka, gdzie linę zastępował chwyt ludzkich dłoni. Dziesięciu, a czasem więcej ludzi podnosiło wyznaczonego człowieka i ciągnęło go w swoją stronę, starając się pokonać drugi zespół, zanim nie puściły ręce. Pod wieloma względami było to podobne do któregoś ze świąt w środku lata, pogoda bowiem była cieplejsza niż kiedykolwiek w okolicy Tahalian. Kilku mężczyzn odtańczyło nawet maseret. Pili wino, piwo

i likiery zrabowane w pobliskich wioskach. Choć czasami potężnie się upijali, zawsze budzili się z jaśniejszym wzrokiem i umysłem niż nałogowi palacze mgły.

Wydarzenia te niezwykle podniosły morale i kiedy wreszcie żołnierze wyruszyli w stronę przeciwnika, napędzała ich pieśń. Hanish, który jechał obok wuja na wierzchowcu o potężnej klatce piersiowej, miał wrażenie, że znajduje się w samym centrum świata. Za nim kroczyło mrowie ludzi; z ich ust spływały legendy, a każdy z nich miał płowe włosy, był wysoki i idealnie zbudowany oraz ciasno owinięty dającymi ochronę skórzanymi pasami. Tyle hełmów i grotów włóczni lśniło w słońcu, tyle par błękitnoszarych oczu. Wciąż mieli na sobie dzwonki, które kazali im nosić Tunishnevre, a ich dźwięki tworzyły wspaniałą muzykę. Ilekroć Hanish się na nich oglądał, zalewała go fala wzruszenia. Równej radości zaznał, gdy po raz pierwszy ujrzał wroga.

A jaki zastęp zebrali Akacjanie! Czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy stojących na skopanej ziemi niczym jakieś dziwne, świeżo wzeszłe zboże. Trzykrotnie przewyższali liczebność jego wojska. Mieli rozmaite odcienie włosów i skóry, znajdowały się wśród nich także kobiety, reprezentowali wszystkich zróżnicowanych poddanych Akacji. Wzrok Hanisha uleciał w górę, za armię, do wielkiego kamiennego muru, ciągnącego się z północy na południe od jednego krańca ziemi do drugiego. Kilka kilometrów dalej leżała Alesja, lecz za akacjańską armią stała pierwsza bariera wzniesiona przed laty przeciwko wrogom takim jak on. Mur miał w sobie nieregularne piękno, jako że zbudowano go z bloków rozmaitych rozmiarów i barw. Była to surowa mozaika bez żadnego planu, a mimo to układ odcieni i jakości kamienia, rozmiary i kształty bloków w wielu miejscach przyciągały wzrok.

Hanish znał historię budowy tego muru. Rozpoczęła się z rozkazu Edifus, a mimo że w okolicy trudno było zdobyć odpowiedni kamień. Naród po narodzie spośród niezliczonych nagle podległych mu ludów wysyłał do niego posłańców, a z nimi wydobyty kamień i kamieniarzy do jego obróbki. Wieści o tym się rozniosły i wkrótce nawet najodleglejsze obszary imperium, nawet najmniejsze plemiona przysłały dary w postaci kamienia i robotników, by zbudować mur. Dlatego widok rozciągający się przed Hanishem symbolizował pogodzenie się z porządkiem świata, który Hanish chciał teraz obalić.

Nie umiałby w tej chwili powiedzieć, czy mur jest bardziej, czy mniej imponujący, niż sobie wyobrażał. Hanish wiedział że gdzieś znajduje się w nim czarny kamień, olbrzymi blok bazaltu wydarty z podnóża gór w pobliżu Scatevith. Pozna go, kiedy go ujrzy. W jednym z jego rogów było wyryte imię Hauchmeinisha. Hanish chciał odszukać gład i kazać kamieniarzom wydobyć go z muru. Nie był to dobrowolny dar Meinu i z radością odzyska ten kamień.

Przywódcy zawsze mieli zwyczaj spotykać się przed bitwą i rozmawiać osobiście, na wypadek, gdyby dzielące ich różnice dało się rozwiązać nawet tak późno. Może źle się zrozumieli. Może jedna ze stron zaczęła żałować lub mieć złe przeczucia. Kiedy Akacjanie zażądali rokowań, Hanish nie odmówił im tej ceremonii.

Haleeven zastał go siedzącego na stołku w miejscu wydzielonym czterema ścianami z materiału rozpiętego między postawionymi na sztorc włóczniami w ich nowym obozie. Musiało to wystarczyć jako prywatna przestrzeń dla wodza, jakby pokój do modlitwy i komunikowania się z Tunishnevre, chociaż w gruncie rzeczy, od kiedy spłynął na południe rzeką Ask, Hanish czuł się bardzo oddalony od swoich przodków. Wyczuwał ich jak odległy zapach jedzenia niesiony wiatrem ku głodnemu człowiekowi, lecz było to niczym w porównaniu z ich potężną obecnością, kiedy znajdował się w Tahalian. Tęsknił za tym, zwłaszcza teraz, kiedy miał rozpętać piekło na ziemi.

Jego wuj rozdzielił dłońmi materiał i wszedł do środka.

– Jesteś gotów?

– Tak – odparł Hanish głosem pozbawionym choćby nuty niepewności. – Właśnie słuchałem śpiewu tego ptaka. Słyszałeś go? Śpiewa rano, a potem wieczorem. Brzmi to tak... jakby roztrzaskiwał się kryształ. To znaczy ten dźwięk ma czystość, ostrą czystość roztrzaskującego się kryształu, lecz schwytaną w pieśni ptaka i uwolnioną w powietrzu. Nigdy nie słyszałem czegoś takiego.

– Nasze ptaki nie bardzo mają o czym śpiewać – rzekł Haleeven.

Hanish ubrał się tak, jakby miał zamiar wziąć udział w maseret. Tors owinał białą thalbą, która nadawała sztywności jego postawie. Warkocze odgarnął z twarzy i ramion i owinał rzemieniem z wołowej skóry. Nóż, podobnie jak Haleeven, przytoczył poziomo do pasa. Żaden jednak z nich nie myślał o nożu ani o innych zwykłych akcesoriach wojennych. Haleeven broń dnia miał przy sobie. Ścisnął ją kciukiem i pozostałymi palcami – było to srebrne pudełeczko wielkości palca.

– Mam je otworzyć? – zapytał.

Ponieważ Hanish nic nie powiedział, pstryknął małym zameczkiem, otworzył pokrywkę i przechylił pudełko w stronę bratanka. W środku leżał kawałek materiału, złożony raz czy dwa. Była to szorstka tkanina z grubych nici, bardzo podobna do tej używanej na płaszcz dla szlachetnie urodzonych Meinów. Widniał na niej słaby ślad wzoru zniszczonego przez wilgoć. Hanish długo się jej przyglądał.

– To zabiło mego dziada – rzekł w końcu.

– Niech teraz zabije twego wroga – odparł Haleeven.

Hanish wyciągnął rękę, ujął tkaninę palcami i włożył między fałdy thalby, w zagłębienie pod mięśniami prawej piersi.

– Pamiętaj, by odwlec bitwę o dwa dni – powiedział Haleeven. – Nie zapomnij tego omówić.

Niedługo potem Hanish stał przed półkolem ciemnookich Akacjan ubranych w odświętne stroje w rozmaitych odcieniach pomarańcza wykończone czerwienią oraz w napierśniki jak wypolerowane srebrne rybie łuski. Jeden z Akacjan rozpoczął uroczyste spotkanie, przywołując Dawcę i wymawiając imiona dawnych Akacjan. Hanish nie miał ochoty tego wysłuchiwać.

– Kto spośród was przemawia w imieniu Akaranów? – zapytał.

– Ja – odparł młody człowiek, wysuwając się do przodu. Był to przystojny szlachcic o silnej budowie ciała i swobodnej postawie szermierza. – Hephron Anthalar.

– Anthalar? A zatem nie jesteś Akaranem? Sądziłem, że poznam dziś samego Alivera Akarana. Czemu go tu nie ma?

Hephron sprawiał wrażenie skrępowanego, rozgniewanego tym pytaniem. Mimowolnie położył dłoń na rękojeści szabli.

– Mam zaszczyt przemawiać w imieniu... w imieniu króla. Zapewniliśmy go, że nie jesteś godzien przebywać w jego towarzystwie.

Hanish spodziewał się samego królewicza. Wyobrażał sobie, że ujrzy go na własne oczy i że dotknie młodzieńca palcami. Zerknął na Haleevena tak przelotnie, że nikt się nie zorientował, że się w ten sposób porozumieli. Najwyraźniej wuj uważał, że Hanish powinien postępować zgodnie z planem. Może w pewien sposób okaże się to korzystne...

Patrząc na Hephrona, Hanish odstąpił zęby w pogardliwym uśmiechu.

– A zatem za grzechy Akaranów masz odpowiedzieć ty zamiast twego tchórzliwego monarchy? Jaki dziwny z was naród, rządony przez ludzi, którzy nawet nie dowodzą.

– Ja nie odpowiadam za grzechy Akaranów. Jestem tu po to, by dopilnować kary za twoje. Nie uśmiechaj się! Zanim skończy się jutrzejszy dzień, każę zasznurować ci ten uśmiech drutem.

Hanish machnął palcami w stronę twarzy; tym niewinnym gestem jakby zaprzeczał, że jej wyraz jest radosny.

Inny Akacjanin przedstawił się jako Relos, głównodowodzący siłami wojskowymi Akacji. Był wysoki i kościsty, a krótko przycięte włosy miał przyprószone siwizną. Przez chwilę mówił o militarnej potędze, którą zebrali. Hanish ma o wiele mniejszą armię, mówił, a nawet te siły stanowią jedynie część oddziałów, jakimi dysponuje imperium.

– Co więc masz do zaproponowania? To ty doprowadziłeś do starcia. Musimy rozegrać bitwę czy jesteś gotów ustąpić i ponieść tego konsekwencje?

– Ustąpić? O, nie kłopotce mnie żadna taka myśl.

– Nazywam się Carver i pochodzę z rodziny Dervanów – odezwał się jeszcze inny Akacjanin. – Przed kilku laty dowodziłem naszą armią podczas Candoviańskiej Niezgody. Znam smak bitwy i wiem, jak się zachowują nasze wojska podczas próby. Nie możesz mieć nadziei na wygraną.

Hanish wzruszył ramionami.

– Ja oceniam sytuację inaczej, a wy macie moje wypowiedzenie wojny. Przystąpmy do bitwy za dwa dni.

– Za dwa dni? – zapytał Hephron.

Zerknął na Relosa i pozostałych generałów. Żaden z nich nie zaproponował.

Hanish ponownie wzruszył ramionami.

– Tak, pomyśleliśmy, że to wam będzie pasować. Nie powinniście mieć zastrzeżeń, jako że codziennie rosną wasze siły. Ja w tym czasie nie zyskam nowych oddziałów, lecz przygotuję moich ludzi poprzez modlitwę. Chyba nie chcecie nam tego odmówić?

– Niech więc tak będzie – rzekł Hephron. – Za dwa dni. – Pozostali Akacjanie odwrócili się, chcąc odejść, lecz Hephron stał nieruchomo. Patrzył Hanishowi w oczy, nie chcąc pozwolić mu odejść, lecz nie wiedząc, co właściwie robić dalej. W końcu powiedział: – Leodan był dobrym królem. Robiąc mu krzywdę, popełniliście katastrofalny błąd.

– Tak? – Hanish przybliżył się do młodzieńca. – Coś ci wyjaśnię. Mój przodek Hauchmeinish był szlachetnym człowiekiem. Kiedy wasz Tinhadin płonął żądzą władzy, on opowiadał się za tym, co słuszne. Hauchmeinish przemawiał do Tinhadina jak przyjaciel, jak brat.

Zanim Hephron mógł temu zapobiec, Hanish wyjął rękę z za pazuchy i delikatnie położył dłoń na ramieniu młodzieńca. Hephron wzdrygnął się, spięty i gotowy. Hanish strzepnął palcami, zacisnął usta i w jakiś sposób przekazał ułożeniem ciała, że nie stanowi zagrożenia. Że ta bliskość jest konieczna do zrozumienia jego przesłania.

– Hauchmeinish powiedział Tinhadinowi, że opętały go demony. Poprosił go, by zobaczył, że zabił swych braci, wypędził magię ze świata i sprzedał wszystkich w niewolę. Lecz wasz król nie chciał tego słuchać. Zaatakował Hauchmeinisha i ściął mu głowę. Przeklął jego lud – mój lud – i wypędził go na płaskowyż, gdzie mieszkamy do tej pory. Mówię ci prawdę. Hauchmeinish miał rację. Wasze imperium jest złe i przez te wszystkie lata rozwijało się dzięki cierpieniu poddanych. Przybyłem, by zakończyć wasze panowanie i wierz mi, wielu

będzie mnie za to wychwalać. Nie słyszysz, że to wszystko jest prawdą?

Na szyi Hephrona napięły się mięśnie i ścięgna, jakby całe jego ciało dokonywało jakiegoś wielkiego wysiłku.

– Nie, według mnie nie jest to prawda.

Hanish przez chwilę się nie poruszał. Przyglądał się młodzieńcowi smutnymi szarymi oczyma kogoś, kto wie, że tragedię można oswoić jedynie humorem.

– Szanuję twój gniew. Uwierz mi, że tak jest. Wkrótce staniemy naprzeciwko siebie, lecz spróbuję cię zapamiętać takim, jakim cię widzę teraz.

Zabrał rękę z ramienia Hephrona i musnął dłonią w krótkiej pieszczocie jego szczękę. Hephron szarpnął podbródkiem, lecz Hanish zdążył dotknąć kącika jego ust i zębów. Hephron niemal dobył szabli, lecz Mein już się odwrócił plecami.

– Zabiję cię osobiście! – krzyknął młodzieniec. – Znajdź mnie w bitwie. Jeśli starczy ci odwagi.

Biedne dziecko, pomyślał Hanish, odchodząc. Nie ma pojęcia o potędze dotyku, o tym, co go czeka.

Dwa dni później o świcie Hanish szedł na czele swoich oddziałów. Poruszali się po terenie spowitym mgłą. Błady, niebieskawy opar szybko znikał pod okiem słońca wyglądającego zza horyzontu i oświetlającego scenę zbliżającej się rzezi. Jak Hanish doskonale wiedział, nie czekała na nich żadna armia. Szli bez najmniejszych przeszkód po zaoranym polu, które miało być polem bitwy. Niezatrzymywani zbliżyli się do skraju akacjańskiego obozu. Nikt nie wyszedł im na spotkanie, nie widzieli żadnych żołnierzy ustawionych w szeregu, żadnych lśniących zbroi ani wielkiej armii, na którą patrzyli dwa dni wcześniej.

Obóz był spustoszony, zasnuty dymem tłących się ognisk. Te służące do gotowania posiłków zeszłego wieczoru przygasły i unosiły się nad nimi cienkie pasma dymu. Wrony, zawsze przyciągane przez smród i śmieci wytwarzane przez tak wielkie zbiorowiska ludzkie, siedziały wielkimi stadami na ziemi, na namiotach i rozmaitych przedmiotach. W powietrzu krążyły sępy, cierpliwe, powolne, pewne siebie. Wszystko to stanowiło ponury widok, lecz największą grozę budziły ludzkie ciała.

Wiły się na ziemi wokół ognisk, w przejściach między namiotami i na każdym skrawku otwartej przestrzeni. Tyle ciał. Żołnierze, ciury obozowe – oraz wszyscy ci niezliczeni ludzie tworzący wielką armię Akacji. Tarzali się po ziemi, leżeli rozciągnięci twarzą do niej lub wpatrywali się w niebo z otwartymi ustami, twarzami lśniącymi od potu i wykrzywionymi z bólu; ich ciała pokrywały rubinowe plamy w kształcie kijanek.

Hanish patrzył na to z przykrością. W obozie panowała niesamowita cisza, tylko niekiedy przerywana różnymi dźwiękami. Stanowiły tak niespotykaną, stłumioną kakofonię, że trudno było je odróżnić. Akacjanie dyszeli i sapali. Jęczeli, stękali i chwyтали powietrze wygłodniałymi ustami. Dogorywali w wielkim cierpieniu. Bardzo niewielu z nich potrafiło wyjść poza nie, by pomyśleć o nadciągającej armii. W większości na nic nie reagowali. Hanish doskonale rozumiał ich katusze i w tej chwili trudno byłoby mu powiedzieć, czy spowodowanie ich przynosi mu radość, czy wstyd.

Meinińskie oddziały nie mogły się już dłużej powstrzymać. Minęły Hanisha biegiem, z dobytymi szablami i wymachując włóczniami. Akacjanie leżeli niczym tysiące bezradnych ryb wyrzuconych na ląd. Stanowili zbyt wielką pokusę. Meinowie ruszyli między nich, dźgając ich włóczniami lub odchylając im głowy, by przeciąć gardło. Niektórzy zabawiali się ściganiem Akacjan jeszcze trzymających się na nogach, lecz tych było niewielu. Sam Hanish nikogo nie zabił. Chodził tylko po obozowisku, obserwując chłodnym wzrokiem żądzę krwi swoich ludzi. Rozpuścił wiadomość, że szuka pewnego Akacjanina, z którym chciał porozmawiać, zanim zostanie zabity. W końcu jeden z żołnierzy przyniósł mu upragnioną wiadomość. Hanish znalazł Hephrona w dużym, pięknym namiocie.

Młodzieńcowi udało się oddalić zaledwie kilka kroków od polowego łóżka. Nie był nawet całkowicie ubrany. Leżał z szeroko rozwartymi, nieruchomymi oczyma, zlany potem, spływającym mu strumyczkami po twarzy. Czoło też miał pokryte plamami potu, tak że muchy siadające na nim robiły to ostrożnie.

– Och, Hephronie... Naprawdę wolałbym zapamiętać cię takim, jakim byłeś, a nie takim, jaki jesteś teraz. Zauważyłem twoją siłę. A także gniew. Kłaniam się im i oddaję ci cześć. Dlatego chcę ci wyjaśnić, co się stało. Nic z tego nie rozumiesz, prawda?

Hanish ukląkł przy nim i odpędził muchy.

– Znasz opowieść o Elenecie i jego pierwszej próbie tworzenia za pomocą języka Dawcy? Kiedy Dawca przyszedł po niego i znalazł go w sadzie, Elenet kulił się nad swoim najnowszym błędem. Stare opowieści nie mówią, co takiego stworzył, lecz ja wyrobiłem sobie własne zdanie. Sądzę, że pierwszą rzeczą, jakiej Elenet pragnął dla siebie, było wieczne życie. Zanim Elenet został Mówcą, nigdzie nie ma żadnej wzmianki o Śmierci. Bał się, że skoro kiedyś nie istniał, to może się zdarzyć, że znów nie będzie istnieć. Usiłował uzbroić się przeciwko gniewowi Dawcy. Lecz, próbując uczynić się nieśmiertelnym, wyzwolił choroby odbierające życie. Tego dnia stworzył chorobę, a my płacimy za to do dziś. Ty za to teraz płacisz.

Bo widzisz, taki jest kłopot z ludźmi mówiącymi językiem Dawcy. Nie byli bogami i

nigdy nie mogli nimi być. Nie posiadli umiejętności dokładnego formowania słów. Niedostatki ich ust oraz serc, a także błędne intencje zawsze zmieniały magię w coś paskudnego. Właśnie coś takiego płonie teraz w tobie.

Hephron chyba dopiero wtedy zauważył Hanisha. Skierował na niego wzrok. Źrenice miał powiększone niemal do rozmiarów tęczówki. Coś w gorączkowej intensywności jego spojrzenia świadczyło, że stara się skupić wzrok na Hanishu. Pot Hephrona nabrał teraz czerwonego odcienia. Hanish znalazł w misce stojącej przy łóżku kawałek materiału i osuszył nim czoło młodzieńca. Niemal natychmiast w załamaniach jego skóry znów pojawiła się różowa wilgoć.

– Jakiś czas temu, przed moim urodzeniem, ale kiedy żyła moja matka, mój naród po raz pierwszy zetknął się z Numrekami, a poprzez nich z Lothan Aklun. Ci wszyscy pionierzy zachorowali na tę chorobę. Pierwsza grupa, która wróciła zza Pól Lodowych, zaraziła niemal cały Tahalian. Cała forteca wyglądała tak jak twój obóz. Umarły tysiące ludzi. Lecząc przekonaliśmy się, że ci, którzy przeżyli, już więcej nie chorowali na tę chorobę. A po wyzdrowieniu niedługo zarażaliśmy innych. Początkowo trzymaliśmy tę chorobę w tajemnicy ze wstydu, dopiero później, dzięki geniuszowi mojego ojca, ujrzeliśmy w niej także broń. Twój naród nic o niej nie wiedział. A my i tak nigdy nie podawaliśmy dokładnie naszej liczebności. Po minięciu epidemii byliśmy z tego zadowoleni. Nauczyliśmy się, że można dać przedsmak choroby ukłuciem zakażonej igły; tak ukłuty człowiek nie doświadczał całego jej gniewu. Jeszcze później odkryliśmy, że duch choroby może żyć długo po jej wygaśnięciu. Dotknąłem cię, młody Hephronie, kawałkiem ubrania, w którym umarł mój dziad.

Hanish wsunął dłoń między fałdy thalby – tak jak uczynił to dwa dni wcześniej, zanim dotknął Hephrona – lecz tym razem wyjął kawałek materiału.

– Oto rzecz, która cię dzisiaj pokonała. Jakimś sposobem zawiera w sobie zarazę. Niemożliwe do uwierzenia, prawda? Sam bym w to nie uwierzył, gdybym nie poznał prawdy poprzez cierpienie. Jednak mnie nie zabiłeś, Hephronie Anthalarze. Ta możliwość nigdy nie była realna. To ja zabiłem cię i to zaledwie przez dotknięcie. Z biegiem czasu wielu ludzi wraca do zdrowia, lecz przedtem wiele dni cierpi to, co spotyka cię teraz, a potem przeżywa okres osłabienia. A zatem będzie tak: ta gorączka rozejdzie się falą w twoim narodzie. A za tą falą nadejdziemy my, zniwiarze. Ciesz się, że twoja rola już się skończyła. Idylla Akaranów dobiegła końca, rozpoczyna się nowa epoka. Dla ciebie jest lepiej, że jej nie dożyjesz. Bardzo wątpię, czy spodobałby ci się kształt przyszłego świata.

Kiedy chwilę później Hanish wychodził z namiotu, trzymał w ręce obnażony nóż. Znaczyły go ślady krwi. Wszędzie wokół niego armia dokonywała rzezi. Podniósł wzrok i

spojrzał na mur Alesji. Zanim go pokona, będzie musiał znaleźć kamień ze Scatevith. Przyłoży do niego policzek. To właśnie musi zrobić. Bardzo chciał dotknąć tego kamienia, by ten wyszeptał mu, że wszystko będzie tak, jak powinno. Że wszystko to jest sprawiedliwe i słuszne. Że zaczęło się przed nim i będzie kontynuowane po nim. On jest po prostu narzędziem służącym do osiągnięcia większego celu.

ROZDZIAŁ 27

Wybrany statek był jedną z największych łodzi rybackich; miał dwa prostokątne żagle pośrodku i trójkątny kliwer, który tańczył przed dziobem jak latawiec, strzelając na wietrze tak, że prosty emblemat oznaczający właściciela łodzi to znikał, to się pojawiał. Każdy obserwujący tę łódź z brzegu doskonale ją znał. Pływała po wodach Akacji od ponad trzydziestu lat. Załoga pracująca na pokładzie była nieco liczniejsza niż zwykle, ale w ostatnich miesiącach zimy, zanim z Talayskich Płycizn wróciły ławice ryb, a za nimi przyplłynęły od lądu statki potrzebujące na wiosnę nowych załóg, łodzie rybackie często przyjmowały praktykantów. Ta unosiła się wysoko na wodzie, gdyż miała pustą ładownię. Lecz nic nie było takie, jakie się wydawało.

Mężczyźni ubrani jak rybacy w rzeczywistości byli strażnikami Marahów. Ładunku nie miały stanowić ryby o żółtych ogonach, po które łódź normalnie wyprawiała się zimą na morze. Zamiast nich na pokładzie było czworo akarańskich dzieci. Na początku podróży ukrywały się w śmierdzącej ładowni; były posępne, miały martwy wzrok i starały się jak najwięcej oddychać ustami. Wszystkie wyglądały na bardzo zmartwione; jakby to była ich wrodzona cecha genetyczna, lecz ujawniona dopiero niedawno. Mena wciąż miała ochotę rozmawiać, dzielić się przeżyciami, mówić coś dla złagodzenia napięcia. Za każdym razem powstrzymywał ją bezsporny fakt, że nie ma nic rozsądnego do powiedzenia.

Wydostawszy się z osłoniętego północnego portu, łódź wbiła harpun w podbrzusze wiatru i pomknęła wraz z nim. Rozcinała niebieską wodę pokrytą warstewką lodu, ścigana przez rozwrzeszczane stado morskich ptaków wykrzykujących swoje żądania. Kiedy oddalili się nieco od wyspy, kapitan straży zaprosił dzieci na pokład, mówiąc, że nikt nie zdoła już ich wypatrzeć. Mena obserwowała strażników z rufy, smakując słone powietrze w ustach. Zastanawiała się, którzy z mężczyzn albo nielicznych kobiet kręcących się po pokładzie już kogoś zabił. Niektórzy spośród nich pomagali stłumić powstanie meinińskich żołnierzy. Buntownicy zostali pokonani w ciągu jednej krwawej godziny; ostatni z nich byli ścigani po schodach i w końcu schwytni i zabici na ulicach dolnego miasta. Mena wiedziała, że Aliver został niepostrzeżenie wyprowadzony z zagrożonego terenu. Nie mówił o tym, ale ona wiedziała, że brat się tego wstydzi. Nie była to zresztą jedyna ujma dla jego dumy.

Odwróciła się od strażników i zaczęła się przyglądać kilwaterowi. Nie wiedziała, co

ma myśleć o tej podróży. Thaddeus wyjaśnił, że uciekają z wyspy na krótko, może tydzień, ale nie więcej niż miesiąc. Będą bezpieczniejsi z dala od centrum wydarzeń; wystarczy, że wyjadą tylko na czas stłumienia buntu, wymierzenia kar winnym śmierci ich ojca oraz znalezienia na wyspie wszystkich innych intrygantów i zajęcia się nimi. Mieli popłynąć do północnego krańca Kidnabanu i zatrzymać się w spokojnym zaciszu u mieszkającego tam prezesa kopalni. Thaddeus obiecał, że wrócą na Akację tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Z jakiegoś powodu Mena mu nie uwierzyła. Za tą fasadą rozsądnych słów kryła się jakaś inna prawda, lecz dziewczynka nie miała pojęcia jaka.

Aliver najwyraźniej nie wątpił w szczerłość kanclerza, lecz buntował się przeciwko jego planowi z największą złością, jaką Mena u niego kiedykolwiek widziała. Krzyczał coś o zbliżającej się bitwie, o tym, że jego obowiązkiem jest dowodzić armią. On jest królem! Jest za to odpowiedzialny, choćby miał zginąć w walce! Thaddeus musiał użyć całej siły przekonywania, by Aliver przestał krzyczeć. Przypomnił chłopcu, że jest kanclerzem odpowiedzialnym za okres przejściowy. Złajał Alivera, twierdząc, że odpowiednie rozkazy wydał sam Leodan i że obaj są zobowiązani przez honor do ich wypełnienia. W końcu jednak nie argumenty, lecz siła fizyczna sprawiła, że Aliver znalazł się na pokładzie łodzi. Wraz z rodzeństwem został odeskortowany przez strażników Marahów w przebraniu, którzy jasno dali dzieciom do zrozumienia, że muszą wykonywać rozkazy króla przekazane im przez kanclerza. Aliver z trudem zaakceptował czasowe wygnanie, chociaż gotował się ze złości i czerwieniał na myśl o zniewadze, za jaką je uważał.

Później pierwszego dnia na morzu ujrzeli Przylądek Fallon. Tworzyły go kruszące się urwiska, nad którymi leżały łagodne wzgórza porośnięte wysoką trawą, urozmaicone gdzieniegdzie kolorami zimowych kwiatów. Dariel siedział obok Meny na rufie. Jedli korzenne sardynki na krakersach. Dariel raczej dłużył w rybach niż je jadł, usiłując czubkiem noża oddzielić miękkie ości od mięsa i zbierając je na kupkę, którą co pewien czas wyrzucał za burtę. Widok ten napelniał Menę miłością do brata. Wzbierała w niej wraz z nostalgią za czymś utraconym, jakby Mena nie siedziała obok niego i nie była jego siostrą, a on jej bratem. Zastanawiała się, dlaczego ma takie wrażenie.

Aliver podszedł do nich z ostentacyjnie przypasaną pradawną szablą Edifusa, Zaufaniem Króla. Była to dla niego za duża broń, bardziej nieporęczna niż użyteczna. Aliver ze wszystkich sił starał się otrząsnąć z posępnego gniewu i odzyskać pozory opanowania. Mena miała ochotę go za to uściskać, ale wiedziała, że nie sprawi mu tym przyjemności.

– Zbliżamy się do kopalń – odezwał się, pokazując ruchem głowy. – Pracują w nich za karę przestępcy. Na Kidnabanie jest jeszcze większa kopalnia, a w Senivalu nawet kilka.

Mena wykręciła szyję, by dojrzeć coś ponad relingiem. Kiedy opłynęli cypel, nisko stojące słońce pograżyło wyspę w kontrastowej grze światła i cienia, tak że Mena musiała poczekać chwilę, aż dostosuje się do niej wzrok. Wielkie cienie były w rzeczywistości ogromnymi dołami. Dziewczynka nie potrafiła się domyślić, jak są głębokie, ponieważ widziała tylko ich przeciwległe ściany, poprzecinane rozmaitymi liniami. Tu i tam płonęły światła, duże płomienie zamknięte w załamującym je i wzmacniającym blask szkle, wysyłającym w niebo świetliste promienie. Sądząc po tym widoku, praca nie miała się zakończyć z gasnącym dniem. Mena zastanawiała się, jak to możliwe, że jest tylu przestępców, tylu niemądrych ludzi, którzy okradali lub krzywdzili innych. Może coś z tym zrobi, kiedy dorośnie. Będzie podróżować w imieniu ojca i żądać, by lepiej wykorzystywali dane im możliwości, a nie marnowali długiego pokoju na nieuczciwe działania.

Noc spędzili na spokojnych wodach między Kidnabanem i stałym lądem. Następnego popołudnia łódź wpłynęła ostrożnie do portu Crall na północnym wybrzeżu Kidnabanu. Wieczorem poznali Crenshala Vadala w jego skromnej siedzibie na wzgórzu ponad miasteczkiem. Prezes nie wyróżniał się niczym szczególnym. Jego twarz kończyła się dość raptownie pod dolną wargą i opadała w stronę szyi ostrym skosem. Mówił sztywno i oficjalnie, a zarazem sprawiał wrażenie, jakby chciał się znaleźć gdzie indziej, jakby całe jego ciało pragnęło wymknąć się i zniknąć za rogiem.

Mena zauważyła, że prezes wyraził smutek z powodu śmierci Leodana dopiero po kilku minutach i podejrzewała, że przypominał mu o tym wymowną miną jeden z jego współpracowników.

Kiedy jedli kolację, Crenshal wyjawiał im kolejne szczegóły ich przyszłości. Dzieci miały się po prostu odseparować w jednej z części siedziby prezesa. To wszystko. Miały tam czekać. Nie będą przyjmowały żadnych gości, ponieważ nikt nie może wiedzieć, gdzie są. Thaddeus będzie przysyłał regularne wiadomości na temat zmian czy dalszego rozwoju wypadków. Nie będą wysyłać ani przyjmować żadnej innej korespondencji. Będą musiały się obyć bez luksusów, dobrego jedzenia czy rozrywek, bez ekstrawagancji mogących ściągnąć na nie czyjąś uwagę. Nierozsądne byłoby też chodzenie po dolnym miasteczku. Będzie to proste życie, różne od wielowiekowej obfitości Akacji. Crenshal może zaproponować jedynie przewiewne pokoje w budynku przeznaczonym dla administracyjnego i kierowniczego personelu kopalń, proste posiłki oraz przyjemność czerpaną z jego towarzystwa. To ostatnie powiedział niby żartem, lecz tak ospale, że nie wywołał nawet uśmiechów.

Aliver dodał, że pragnie być informowany o rozwoju sytuacji. Mówił wyniosłym tonem, jakby zajmował inną pozycję niż rodzeństwo. Mena się rozejrzała, ciekawa, czy

pozostali zauważyli jego źle maskowaną niepewność. Bał się, że spycha się go poza główny nurt wypadków i pozbawia możliwości podejmowania decyzji. Znajdował się w zawieszaniu: był kimś więcej niż królewiczem, jak przed kilkoma tygodniami, lecz z pewnością nie był jeszcze królem, którym miał nadzieję zostać. Według Meny jeszcze się nie pogodził z tą sytuacją.

– Masz jakieś konie, które moglibyśmy pożyczyć? – zapytał już swobodniejszym tonem. – Chcielibyśmy obejrzyć wyspę. Dobrze nam zrobi przewietrzenie płuc.

Dariel zaczął entuzjastycznie popierać ten pomysł, lecz prezes mu przerwał.

– Obawiam się, że nie możecie zwiedzać wyspy... Chodzi o to... cóż, najważniejsze jest wasze bezpieczeństwo, królewiczu. Na razie trzeba będzie porzucić przyjemności, takie jak jazda konna. Kanclerz na pewno wam to wszystko wyjaśnił.

– A co z kopalniami? – zapytał Aliver. – Chciałbym przeprowadzić ich inspekcję. Nie musimy robić tego z pompą czy...

– Przeprowadzić ich inspekcję? – Crenshal najwyraźniej słyszał te słowa po raz pierwszy w życiu. – Ale... to także niemożliwe, królewiczu.

W kopalniach jest pełno zwyrodnialców. I tak nie ma w nich nic, co mogłoby cię zainteresować. Znajdziemy dla was rozrywki tutaj. Nie będziecie się nudzić. Obiecuję.

Jednakże w ciągu następnych kilku dni okazało się, że była to obietnica bez pokrycia. Rzadko widywali prezesa. Jadł z nimi co wieczór, lecz poza tym nie było go cały dzień, a dzieci nie miały prawie żadnych rozrywek. Urzędnicy zwykle mieszkający w kompleksie zostali przeniesieni gdzie indziej, a w skromnych salach i korytarzach cisza aż dzwoniła. Mena nigdy nie spotkała tych ludzi, chociaż w swoich pokojach znalazła ślady pośpiesznej wyprowadzki: na wpół pustą butelkę wonnego olejku przy misce do mycia, skarpetkę wepchniętą pod materac, obcięty skrawek paznokcia na podłodze przy toalecie.

Kilka pierwszych dni pozwoliły im przetrwać gry planszowe. Książki z biblioteki poprzedniego prezesa – Crenshal nie interesował się literaturą – dostarczyły im rozrywki trzeciego dnia, kiedy Dariel namówił Alivera, by poczytał im na głos ze zbioru poematów epickich. Chłopiec był oczarowany, lecz Mena mimowolnie pomyślała o ojcu. Być może Corinn doświadczyła czegoś podobnego. Wstała raptownie i wyszła z pokoju bez słowa wyjaśnienia. Od wypłynięcia z Akacji prawie w ogóle się nie odzywała, a kiedy przerywała milczenie, mówiła bezbarwnym, obojętnym tonem, jakby w ich położeniu nie było nic niezwykłego.

Najbardziej znaczącą rozmowę odbyły trzeciego popołudnia. Corinn weszła do wspólnego pokoju, w którym spędzali większość dnia, i rozejrzała się spod na wpół

przymkniętych powiek. Kiedy podeszła do młodszej siostry, usiadła obok niej na kanapie i westchnęła ze znużeniem, Mena była zaskoczona.

– Słyszałaś? Jeden z żołnierzy powiedział, że znaleziono dwóch mężczyzn usiłujących opuścić wioskę. Mówił, że ich za to związano, a ten drugi się roześmiał i odrzekł, że dobrze im tak. Jak myślisz, co to znaczy?

– Na pewno zostali ukarani – odparła Mena.

– To oczywiste! – prychnęła Corinn. – Zawsze mówisz najbardziej oczywiste rzeczy. Ale jak ukarani? O to pytałam.

– Nie mówię najbardziej oczywistych rzeczy – odparła Mena, bojąc się, że ta nieoczekiwana rozmowa szybko się skończy. Jeśli ktokolwiek mówił najbardziej oczywiste rzeczy, to raczej sama Corinn.

Corinn coś mruknęła w proteście.

– Tu jest tak dziwnie, Meno. Nic nie jest takie, jak powinno. Nie podoba mi się wygląd tutejszych ludzi. Sprawiają wrażenie tępych, jakby mieli mózgi zwierząt zamiast ludzi. Tak bardzo chcę wrócić do domu. Nie znoszę tego zawieszenia. Mam zbyt wiele do zrobienia. Ważnych rzeczy.

– Na przykład? – zapytała Mena, usiłując nadać swemu głosowi brzmienie, które nie obraziłoby siostry.

Nie udało jej się. Corinn spojrzała na nią z ukosa.

– Nie zrozumiałabyś.

Czwartego dnia, kiedy służący prezesa przyniósł im kości do gry, Mena przestała udawać, że znajduje jakąś rozrywkę wśród nagich ścian kompleksu. Liczyła dni równie dokładnie jak Aliver; oboje czekali na kolejną wiadomość od Thaddeusa w nadziei, że wezwie ich do powrotu. Jednak pierwsza zwięzła, enigmatyczna informacja od kanclerza nie przyniosła żadnych zmian. Pisał, że sytuacja nadal jest niepewna. Powinni zostać tam, gdzie są. Obiecał, że powiadomi ich o wszelkich zmianach, lecz zarazem nie zdradził ani słowem, co zaszło od ich wyjazdu. Nic nie pisał o wojnie. Nie mówił, czy sytuacja jest lepsza, czy gorsza niż przedtem.

Pewnego popołudnia Mena zauważyła, że niebo jest czymś zasnute i przestraszyła się, że jej złe przecucia przeniknęły do świata w fizycznej formie. W powietrzu unosiły się cienie, podobne do chmur zagęszczenia, które marszczyły się i unosiły na nisko płynących powietrznych prądach. Patrząc na nie przez małe okno w swoim pokoju, uświadomiła sobie, że zawsze tam były. Po prostu wcześniej im się nie przyglądała. Niebo nie było zachmurzone, jak zakładała. Za przesuwającą się ciemnością było widać jasnoblękitną przestrzeń,

rozciągającą się aż do samego nieba. Jakie to dziwne, pomyślała Mena. Po tym pierwszym spojrzeniu mimowolnie odwróciła wzrok; te kształty na niebie sprawiały wrażenie zwiastunów nieszczęścia, za bardzo przypominały wiry i prądy, które mogłyby się zmaterializować jako coś znacznie groźniejszego, gdyby patrzyła w nie za długo.

Obudziwszy się rano, najpierw podeszła do okna. Ciemne opary wciąż wisiały w powietrzu, teraz wyraźne i oczywiste, skoro nauczyła się je dostrzegać. Pod wieczór nawet jeszcze zgęstniały. Im bardziej się im przyglądała, tym wyraźniej uświadamiała sobie obecność tych otaczających ją chmur. Najczęściej przesuwają się z niewyczuwalnymi prądami powietrza, lecz w chwilach ciszy ich cząsteczki opadały wszędzie dookoła, osiadając na płaskich powierzchniach i zbierając się na szorstkiej fakturze ścian. Była to jakaś forma kurzu, tak lekka, że unosiła się wraz z najlżejszymi ruchami powietrza. Mena czuła dotyk pyłków na policzkach i powiekach, czuła, jak gromadzą się na jej brwiach i w płucach, ponieważ wdychała je z każdym oddechem. Były wszędzie. Dziwiła się, że tak długo ich nie zauważała.

Mena zapytała służącą, która zmieniała jej pościel, czy dostrzega ten pył. Dziewczyna sprawiała wrażenie niezadowolonej, że została zagadnięta. Niemal wycofała się z pokoju.

– To, co widzisz, królewno, to pył unoszący się z kopalń. Jest efektem pracy, to wszystko.

Mena zapytała, czy kopalnie są blisko, i młoda kobieta skinęła głową. Wyjaśniła, że tuż za wzgórzami otaczającymi kompleks.

– A zatem gdzie są wszyscy robotnicy? – zapytała Mena. – Dlaczego nie widziałam żadnych oznak istnienia kopalni?

– Widziałas jedną. Wyczuwasz ją w powietrzu. Ale dla ciebie nie musi to być nic bardziej rzeczywistego. Robotnicy? Nie wiem, pani. Może nie ma żadnych robotników. Ja nie mam nic do powiedzenia.

Mena zaczęła się zastanawiać nad jej słowami, a służąca wykorzystała ten moment, by wymknąć się z pokoju. Denerwujące zachowanie. Służąca nie powinna wychodzić w połowie rozmowy. Jednak zuchwałe słowa kobiety miały skłonić Menę do późniejszego działania.

Opuściła kompleks dobrze po zapadnięciu zmroku, owinięta płaszczem, który znalazła w szafie. Uniknęła spotkania ze strażnikiem pilnującego jej drzwi, precyzyjnie się przez okno; zeskoczyła na patio, a potem otworzyła sobie bramę prowadzącą na wolność. Nie wzięła ze sobą żadnego światła, lecz księżyc stał wysoko na niebie. Zdenerwowana i wyczulona na najlżejszy dźwięk, Mena bez wahania ruszyła białą ścieżką prowadzącą z kompleksu.

Po pewnym czasie spotkała jeszcze jednego strażnika. Stanowił ciemny kształt w mroku. Wyczuła szczegóły jego ciała, ułożenie głowy i prawdopodobny kierunek spojrzenia. Podmuch wiatru przyniósł jej nawet jego zatechły zapach. Kiedy nie śmiała już dalej iść ścieżką, zboczyła z niej i ruszyła nisko pochyłona wśród traw, wyczuwając drogę dłońmi i stopami; w ten sposób znalazła bruzdę w terenie, w której ukryła się przed żołnierzem.

Wciąż słyszała dźwięki, które przyprawiały ją o szybsze bicie serca: szelest płaszcza, ostry chrzęst źdźbeł traw pod stopami, szelest przesuwających się pod jej ciężarem ziarenek piasku, nagły hałas spowodowany ucieczką jakiegoś gryzonia, zaskoczonego jej bliskością. Cały czas się spodziewała, że strażnik do niej zawoła. Kiedyś słyszała, że trudno jest bezszelestnie poruszać się nocą i że strażnicy Marahów byli szkoleni do wychwytywania wszelkich ukrytych nieregularności w nocnych odgłosach. Mena zastanawiała się teraz, kto to mówił. Mimo przyśpieszonego oddechu, gwałtu, jaki zadawał jej uszom każdy, choćby najlżejszy dźwięk, i bólu łydek spowodowanego skradaniem się w niewygodnej pozycji – w gruncie rzeczy ucieczka nie wydawała się taka trudna. Nie zatrzymywała się; wkrótce minęła strażnika i zaczęła się wspinać z powrotem ku ścieżce. Wydawało się, że jej stopy, dłonie, palce i mięśnie same wiedzą, co robić. Miała właściwie ochotę usiąść i się nad tym zastanowić, ale musiała przecież dotrzeć do celu, który sobie wyznaczyła.

Od kompleksu prowadził w górę ciąg schodów. Zostały wtopione w zbocze, tak że skulona Mena mogła po nich wchodzić bez obaw, że zostanie zauważona. Schody kończyły się przy drodze wyłożonej kamieniami. Mena ją przecięła i wspięła się po stromym stoku po drugiej stronie, chwytając się długiej trawy.

W sumie cała wspinaczka zajęła jej zaledwie kilka minut, lecz Mena z ulgą przyjęła jej koniec i otwartą przestrzeń nad głową. Pokonując ostatnie kilka kroków, ciężko oddychała i szła powoli, ponieważ dotarła do celu. Wyprostowała się na całą wysokość, by wyjrzeć za krawędź wzgórza i spojrzeć na rozciągający się za nim krajobraz. Wiedziała, co powinno tam być – to, czego była ciekawa, powód tej nocnej eskapady. Mimo to nie była przygotowana na widok, jaki ujrzała.

Po drugiej stronie wzgórza nie było widać ani księżyca, ani czystego nieba, pod którym dopiero co Mena szła. Na ziemi, w wielkim dole, kłębiła się jakby jednolita masa. Dół, a raczej tętniący kakofonicznym hałasem krater, zajmował całe pole widzenia Meny; był niepodobny do niczego, co kiedykolwiek widziała lub sobie wyobrażała.

Patrzyła znad północnej krawędzi kopalń Kidnabanu. Ich widok napełnił ją przerażeniem, takim samym strachem, jaki wywoływały u niej opowieści niemądrej damy dworu o demonach żyjących we wnętrzu dymiącej góry i podtrzymujących płonący w niej

ogień niegrzecznymi dziećmi porywanymi z łóżek. Tak jak w wyobraźni Meny, miejsce to oświetlały setki ognisk. Tafle zakrzywionego szkła umieszczone wokół kotłów z płonącym olejem wysyłały w niebo strzały światła. Dzięki nim Mena znów dostrzegła chaos przecinających się ukośnych linii, które widziała pod Przyłądkiem Fallon. Teraz jednak była o wiele bliżej. Linie się poruszały, rozmywały od ledwie dostrzegalnego ruchu. Mena pomyślała, że to efekt wywołany oświetleniem. Dopiero po chwili zrozumiała, że to coś więcej.

To były schody i półki skalne, szerokie szlaki dla maszyn, pochylnie i wielopoziomowe systemy drabin. Poruszenia nie były wynikiem gry światła. To byli ludzie. Setki ludzi. Tak małych, że nie było ich widać jako poszczególne osoby, lecz jako zbiorowy ruch, tak jak ciąg widzianych z daleka mrówek stanowi jedną istotę. Może było ich więcej niż setki. Raczej tysiące. Dziesiątki tysięcy. A nawet jeszcze więcej. Mena nie miała pojęcia, jak duże są kopalnie i czego jeszcze nie widzi.

Przepełzła ostrożnie przez krawędź i zsunęła się po drugiej stronie na mocny skalny grzbiet. Musiała podczołgać się do góry na brzuchu, by spojrzeć w dół. Kiedy wysunęła głowę ponad głazy, zastygła z zaskoczenia, że tuż pod nią, w odległości jakichś siedmiu czy dziesięciu metrów, biegnie droga wykuta w kamieniu. Tłoczyli się na niej robotnicy. Dźwigali na plecach worki, a skórę i ubrania mieli tego samego szaro-czarnego, kopalnianego koloru, zabarwionego czerwonym światłem.

Dalej na południe stała wieża, a za nią następna. Przysadzista i mocna, nakryta dachem przypominającym nieco kapelusz grzyba, była ozdobiona połączonym emblematem rodu Akaranów. Był to symbol rodziny Meny, Drzewo Akaranów, sylwetka akacji na tle słonecznego kręgu. To był jej symbol, który bazgrała tysiące razy na stołach i serwetkach.

Pod dachem znajdowały się balkony z poruszającymi się sylwetkami. Patrząc ku południowi wzdłuż krawędzi kopalni, Mena zobaczyła jeszcze jedną wieżę strażniczą, a za nią, na całym obwodzie zagłębienia – kolejne. Te sylwetki to byli strażnicy. Wielu z nich miało łuki. Widziała, że stoją ze swobodnie opuszczonymi łukami i strzałami gotowymi do nałożenia na cięciwę. Nie powinna być zaskoczona. Przestępców trzeba pilnować. Lecz było ich tak wielu. Wszędzie było widać wieże, najdalsze ledwie mogła dostrzec na horyzoncie. Robotnicy pod nimi nie mieli szans ucieczki, żadnego wyjścia poza dźwiganiem brzemienia najwyraźniej niekończącej się pracy.

Oczy Meny, która straciła ochotę na przyglądanie się całości, bezwiednie skierowały się na postaci poruszające się tuż pod nią. Widok ten miał w sobie coś niepokojącego. Ludzie wyglądali na wyczerpanych. Szli z opuszczonymi głowami. Nikt z nikim nie

rozmawiał. Nikt nie podnosił wzroku. Im dłużej się im przypatrywała, tym bardziej była przekonana, że widzi poszczególne twarze, ich rysy i kształty, obojczyki okryte cienką warstwą ciała. Dzięki tym szczegółom uświadomiła sobie, że najbardziej upiorna jest nie oszałamiająca liczba tych ludzi, ich przygnębienie czy niewielkie rozmiary w porównaniu z zadaniem, jakie mają do wykonania.

Już wiedziała, dlaczego szeregi ludzi wydawały jej się tak nieregularne. Wśród robotników znajdowały się dzieci. Co trzeci czy czwarty był dzieckiem w jej wieku albo młodszym; niektóre z nich były niższe od Dariela. To przepełniło czarę goryczy.

Mena zeszła parę kroków w stronę kompleksu i odetchnęła świeżym nocnym powietrzem. Usiadła. Nie mogła wrócić ze śladami tego, czego właśnie była świadkiem, wypisanymi na twarzy. Nie miała tego zobaczyć. Nikt z nich nie miał. Najwyraźniej świat nie jest taki, jak kazano jej wierzyć. Pomyślała o ojcu, o jego melancholijnych nastrojach. To akacjańska kopalnia. Kopalnia jej ojca. Jej rodziny. Ci ludzie, te dzieci... pracowali dla niej. Jednak istnieją stwory, które porywają dzieci z łóżek i wysyłają je do podtrzymywania ognisk świata. Działają w jej imieniu. Zadała sobie pytanie, czy tamta niemądra dama dworu sprzed lat o tym wiedziała. Czy dlatego sądziła, że ma prawo ją straszyć, drażnić się z nią i zakłócać jej sny?

Wróciła do kompleksu w ostatniej chwili. Ledwie weszła do pokoju i zrzuciła płaszcz, ciszę przedświtę przerwało stukanie do drzwi. Nieznany jej głos powiedział, że mają się przenieść. I to natychmiast.

– Królewno, od tego zależy twoje bezpieczeństwo.

Dlaczego nie rozpoznała tego głosu? Nie był to żaden z Marahów, którzy stanowili ich eskortę, ani służący czy ktokolwiek z personelu Crenshala. A mimo to Mena miała pewność, że człowiek ten mówi szczerze. Jej bezpieczeństwo naprawdę zależało od przenosin. Chwyliła płaszcz i rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, czy powinna poprosić o przewiezienie swoich rzeczy. Pomyślała, że zapyta o to człowieka, który ją wezwał, lecz kiedy otworzyła drzwi, poczuła się dziwnie gotowa do przestąpienia progu tak, jak stała, nadal zarumieniona od przybywania na dworze, z płaszczem przewieszonym przez rękę. Po prostu gotowa.

Nie wiedziała, że, wychodząc przez te drzwi, na zawsze pozostawia za sobą część swego życia ani że przez wiele lat nie ujrzy braci, siostry ani nikogo, kogo dotąd знаła. Nie była w stanie sobie wyobrazić, że przestąpienie tego progu jest podobne do pogrążenia się w zapomnieniu, zniknięcia z mapy, wyjścia z własnej skóry, porzucenia domu, kraju i imienia; że to wejście w całkowicie inne życie.

KONIEC KSIĘGI I

KSIĘGA II

WYGNAŃCY

ROZDZIAŁ 28

Tylko nieliczni spośród tych, którzy znali go w latach świetności, rozpoznaliby mężczyznę wspinającego się ścieżką powyżej górskiej wioski Pelos. Otaczał go odór kóz, jego ubranie było przesiąknięte zapachem końskiego potu, za paznokciami miał kurze odchody, a w szopie włosów i zaniedbanej brodzie zabłąkane piórka. Jego oddech śmierdział winem. Opiekował się zwierzętami w miasteczkowym zajeździe. Była to praca odpowiednia dla żebraka albo dziecka. Mógł ją wykonywać, kuśtykając po terenie zajazdu i co pewien czas pociągając z bukłaka wino, które stępiało krawędzie rzeczywistości. Niewiele w wyglądzie mężczyzny zdradzało, kim niegdyś był. Nawet nie używał już swego imienia, choć codziennie głośno i niewyraźnie je wymawiał. Chciał słyszeć, jak unosi się w powietrzu, co stanowiło słabą oznakę jego sprzeciwu, lecz nie było ono przeznaczone dla cudzych uszu.

Tego wieczoru zatrzymał się przy głazie sterczącym z podłoża tuż obok ścieżki. Przed nim rysował się górski krajobraz poprzecinany grzbietami i dolinami, oświetlony przez niedawno wzeszły księżyc. Tu i ówdzie snuły się po dolinach strzępy mgły, niczym upiorne ślimaki pełzające po wilgotnej ściółce. Po odległym stoku wzgórza przesuwiał się złoty punkcik światła. Zapewne jakiś kupiec zapalił lampę dla ochrony przed duchami. Ci mieszkańcy gór byli przesądni, bali się nocy oraz istot czających się w mroku. Mężczyzna nie żywił takich obaw. Jakaś część jego jestestwa pragnęła śmierci w szponach belranna lub znalezienia się w niewoli u leśnego upiora. Uważał każdą z tych możliwości za lepszą niż jego codzienna egzystencja. Już nie żył dla świadomie przeżywanych chwil.

Gdyby wywęszył go jakiś rosomadźwiedz i odgryzł mu głowę, mężczyzna żałowałby jedynie utraty swego życia w snach.

Właśnie miał się odwrócić i ruszyć chwiejnie ścieżką ku swej ruderze, napędzany tępym głodem, który ostatnio zaczął określać jego istnienie.

– Leeka Alain. Jestem Leeka Alain – wyszeptał. – Nie umarłem. Nie zostałem zabity.

Leeka Alain, niegdyś generał w najbardziej niespokojnej prowincji Akacji. A kim był teraz? Od kilku lat nie miał już celu w życiu. Wszystkie jego trudy podjęte na zamarznętej północy, to, że jako jedyny przeżył tamtą pierwszą numrecką zasadzkę, jego walka z gorączką i samotny pościg za armią wroga były już za nim. Nie liczyły się, chociaż był jedynym ocalałym z tamtej rzezi. Jego przekonanie, że być może ma do wykonania jakieś ważne

zadanie, okazało się błędne. Przed dziewięcioma laty zjechał z Methaliańskiej Krawędzi na kudłatym, rogatym wierzchowcu, pewien, że jest posłańcem apokaliptycznych wieści.

Zastał kraj już pogrążony w wojnie, chwiejący się pod różnymi ciosami: jego król nie żył, Aushenię rozgromili Numrekowie, Candovianie się buntowali, podburzeni przez Maeandera, a wojskowa potęga Akacji została sparaliżowana przez tajemniczą chorobę, która wydała całą armię na rzeź. Hanish na wiele sposobów zapewnił sobie zwycięstwo na Polach Alesji. Leeki tam wtedy nie było; kiedy przybył na miejsce niedługo potem, zastał tylko upstrzone muchami gnijące ciała, wśród których uwijały się sępy i inni rozmaici padlinożercy.

Podczas następnych tygodni rzeź trwała nadal, tyle że z pola bitwy przeniosła się do zaułków i na dziedzińce, do świątyn i pałaców. Wydawało się, że przepojeni wściekłością Meinowie nie ustaną, dopóki nie usieką szablami ostatniego Akacjanina. Inne narody, obawiające się takiego losu, coraz chętniej sprzymierzały się z Meinami: klany Candovii nigdy jeszcze nie były tak zjednoczone, Senival odłożył topory po mężnej, lecz krótkiej obronie, a Archipelag Vumu wniósł petycję o pokój, zanim jeszcze doszło do jakichkolwiek starć. W Aushenii został właściwie stłumiony wszelki opór. Leeka był zaskoczony, że imperium tak długo tworzące jedność mogło się rozpaść tak szybko. Zupełnie jakby wszystkie te lata posłuszeństwa nic nie znaczyły. Wszystkie pochwały i wyrazy uznania, jakimi była zasypywana Akacja, zniknęły w jednej chwili, wypalone ogniem długo żywionej niechęci.

Jedynie dobrze przygotowany Talay przeciwstawiał się Meinom, nawet po opanowaniu przez nich Lądu oraz Akacji. Nie było jasne, czy Talayanie uczynili to ze względu na Akację, czy dlatego, że chcieli wywalczyć sobie niezależność. Być może – podobnie jak większość świata – spisali Akację na straty, chcąc zarazem walczyć we własnej sprawie. Leeka ani o to nie zapytał, ani go to nie obchodziło. On walczył z Hanishem Meinem i numrecką hordą. To się liczyło. Śpieszył się, by ich dopaść. Szczególnie cieszyła go perspektywa walki z Numrekami.

Wiele osób zakładało, że nie będą oni w stanie walczyć tak daleko na południu. Sprawiali wrażenie nieprzystosowanych nawet do umiarkowanego ciepła Aushenii. Lecz przybywszy do spieczonego słońcem Talay, zdjęli futra i płaszcze, spod których wyłoniły się groteskowo białe istoty. Byli jeszcze bardziej przerażający przez długość kończyn, wężły mięśni oraz olbrzymie stopy i dłonie. Ponieważ od pierwszego dnia wystawiali się na ostre słońce, ich skóra pokrywała się pęcherzami i obłaziła jak mięso pieczone na węglach. Podczas pierwszych bitew wyglądali tak, jakby przeszli przez ogień. Skóra odpadała z ich ciał płatami, a włosy wyłaziły z głów całymi kępkami.

Leeka sądził, że nie będą mogli chodzić czerwoni i ropiejący i żyć. Jednak żyli i walczyli jak szaleńcy. Wyglądali w bitwie gorzej od otaczających ich trupów, lecz padali tylko od najcięższych ran. W ciągu kilku tygodni zaczęli odzyskiwać zdrowie. Ich skóra stała się nieco ciemniejsza, napięta na mięśniach. Potem znów się złuszczyła – już nie tak gwałtownie – a Numrekowie wyglądali jeszcze lepiej. Wkrótce dumnie kroczyli po ziemi, odziani – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – jedynie w spódniczki. Ku przerażeniu wycofujących się Talayan, miedzianoskórzy i nadzy Numrekowie wyglądali na zdrowych i mocnych. W letnie przesilenie odtąpili pochwałą długiego dnia i siły słońca. Rozeszły się nowe plotki. Numrekowie nie są istotami z północy, za jakie wszyscy ich uważali. Musieli kiedyś być rasą tropikalną. Może zostali wypędzeni na północ i dopiero teraz wrócili do ulubionego klimatu. W obliczu najazdu Talay poddawał się plemię po plemieniu.

Ludzie mówili, że Hanish Mein chce całkowicie zniszczyć wszystko, co akacjańskie. Powiadali, że mściwość Tunishnevre jest tak wielka, że Hanish zniszczy wszelki ślad pokonanej rasy. Kiedy jednak zawarto pokój, Hanish zaczął umacniać swoją władzę nad imperium w zaskakująco rozsądny sposób. Nie zniszczył akacjańskiej architektury. Alesja, Manil i Aos zachowały całą swoją świetność. Na samej Akacji nie tknęła ani jednego kamienia czy posągu z wyjątkiem figur Tinhadina, które powalił na ziemię i rozbił na kawałki. Czarny głaz ze Scatevith kazał wyciąć z zewnętrznego muru Alesji, przewieźć do pałacu na Akacji i ustawić jako pomnik w miejscu, gdzie wcześniej stały posągi Edifusa i Tinhadina. Przede wszystkim jednak zapełniał Akację swoimi ludźmi, dodając swoje trofea i pamiątki, ale nie niszcząc zastanych. Pokrywał Akację tym, co meinińskie i najwyraźniej cieszył się przejmowaniem władzy pokonanego imperium. Zamiast zlikwidować akacjański system rządów i handlu, dostosował go do własnych celów.

Nic z tego nie ostudziło ognia nienawiści Leeki, lecz w końcu generał nie mógł już walczyć dalej. Wszyscy jego sojusznicy zginęli, złożyli broń lub się ukryli. Jego wrogowie ze zdobywców zmienili się w gospodarzy odbudowujących kraj, umacniających swoją pozycję i zawiadujących nowo zdobytym bogactwem. Gdyby generał wiedział, jakie stanie się jego życie, rzuciłby się na własną szablę. Nie przewidział tego jednak. Dnie następowały jeden po drugim, a porażka przygniatała go coraz bardziej.

Wędrował po imperium. Zgubił lub porzucił oznaki swej szarzy: kamizelę wymienił na jedzenie, sztylet na wino, hełm zgubił pewnego mglistego wieczoru, a tobolek ukradł mu młodzieniec o wiele szybszy od niego. Wkrótce wyglądał jak przeciętny weteran sterany wojną. Był zaniedbany, dezorientowany, trochę otępiały, wyraźnie nieszkodliwy dla meinińskich żołnierzy, którzy teraz patrolowali większość Znanego Świata. Zawsze sobie

lubił wypić. Po wojnie już go to nie cieszyło – w upojeniu alkoholem nie znajdował już zapomnienia – lecz pił go, jakby był orzeźwiająca wodą. Nie zmartwiłoby go, gdyby się zapił na śmierć. Jak na ironię, ocaliło go upowszechnienie nowego nałogu.

Mgły było w całym Meinińskim Imperium więcej niż za panowania Akaranów. Była dostępna wszędzie, jak chleb czy woda, tańsza od candoviańskiego wina. Kiedy nie mógł dostać nic innego, pewnego wieczoru Leeka wciągnął do płuc dym z całej fajki. Doznał objawienia! Wypełniony mgłą zrozumiał, że się mylił. Nie poniósł klęski. Wojna się nie skończyła. Nie, w gruncie rzeczy był samotnym zwiastunem krwawego odwetu. Już kiedyś zabijał Numreków i nadal będzie to robił. Ułożył się wygodnie i tuż nad sobą ujrzał kilka obrazów, wyświetlonych na nocnym niebie. Kroczył przez Aushenię z szablą w każdej ręce. Ziemia od wieków nie widziała nikogo takiego. W pewnej chwili ta wizja przestała być wyobrażeniem. Żył w niej. Czuł pod nogami ziemię i powietrze wypełniające mu płuca. Przebył tysiąc kilometrów i walczył, aż twarz zaczęła mu ociekać numrecką krwią, a dłonie miał tak spojone z szablami, że ich stal stała się przedłużeniem jego jestestwa. Jakież miał zniszczenie! Jaką świętą, odwetową masakrę rozpętał...

Pierwszego poranka obudził się z tych snów boleśnie rozczarowany, że nadal znajduje się w osłabłym ciele i nie jest żadnym bohaterem. Mógłby wzgardzić narkotykiem i przekląć go, gdyby nie słyszał stłumionego pulsowania pozostałości mgły, a wraz z nim obietnicy, że jego wizja się spełni. Sen wywołany mgłą był tak bardzo rzeczywisty w każdym szczególe, barwny jak życie. Nie, był bardziej dotykalny i rzeczywisty niż życie, które teraz prowadził Leeka.

Istniały zakazy dotyczące zażywania narkotyku za dnia, podczas pracy. Człowiek odurzony mgłą i przyłapany przez żołnierza z Meinu mógł zostać zamknięty i pozbawiony narkotyku, co było karą, której wszyscy uzależnieni obawiali się najbardziej. Leeka wkrótce najął się do obecnej pracy; w ciągu dnia, pijany, opiekował się zwierzętami, by zarobić kilka monet na mgłę pozwalającą mu śnić w nocy. Stał się podobny milionom zamieszkującym Znany Świat. Nawet nie zauważył, że mu się to przydarzyło, nie kwestionował tego. Nie umiałby szczerze powiedzieć, kiedy całkowicie się poddał. Mgła żądała pełnego poświęcenia; Leeka, który już nie wierzył w żadnego innego boga, nauczył się modlić przy nowym ołtarzu.

Właśnie o tym myślał, zbliżając się do ciemnej nory, w której spędzał wieczory. Już wcześniej wyjął z kieszeni paczuszkę z nitkami mgły i szedł, pieszcząc pasemka palcami. Kiedy tylko znajdzie się środkiem, wystarczy kilka minut przygotowań i będzie mógł wdychać, wdychać i wdychać...

Leeka stanął jak wryty. Wyczuł kogoś, jakąś oddychającą istotę, blisko, lecz w

ukryciu. Pomyślał o nocnych drapieżnikach i zrozumiał, że jeśli to jeden z nich, to zapewne zaraz będzie martwy.

– Wybacz mi – odezwał się jakiś głos. – Nie chciałem cię zaskoczyć. – Z cieni otaczających chatę wyłoniła się zakapturzona postać i wstąpiła w plamę księżycowego światła z rękoma uniesionymi w pokojowym geście. – Właściwie to ty mnie zaskoczyłeś, nadchodząc tak cicho.

Mężczyzna mówił życzliwym tonem, lecz Leeka bardzo nie lubił rozmawiać z ludźmi w kapturach, a zwłaszcza z takimi, którzy późną nocą wyłaniają się z cieni otaczających jego norę i zastępują mu drogę. Usiłował to przekazać wymownym spojrzeniem.

– Nazywasz się Leeka Alain? – zapytał mężczyzna.

Pytanie zaskoczyło byłego generała. Najpierw pomyślał, że obcy musiał usłyszeć jego słowa wypowiedziane przy głazie, lecz było to mało prawdopodobne. Włożył pasemka mgły z powrotem do kieszeni.

– Nazywasz się Leeka Alain i dowodziłeś armią Leodana w Meinie? Leeka Alain, którego niektórzy nazywają Jeźdźcem Bestii?

Mężczyzna mówił płynnie po akacjańsku, zupełnie jakby urodził się na wyspie. Leeka od dawna nie słyszał tak doskonałej wymowy. Kto mógłby pytać o coś takiego w tym języku? Zapewne tylko ktoś, kto chciał potwierdzić jego tożsamość przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

– Jesteś tym, który twierdzi, że jako pierwszy zabił Numreka?

– Nie – odparł Leeka, posługując się górską odmianą miejscowego dialektu. – Nie jestem tym człowiekiem.

Zakapturzona postać się nie poruszyła. Nieruchoma niczym posąg, niemal wtapiała się w noc. Przez chwilę Leeka zastanawiał się, czy nie ma halucynacji. Może ten posąg zawsze tu stał, a on o tym zapomniał. A może to nie żaden posąg, tylko zjawą wywołana przez jego głodny mgły umysł.

– Ta wiadomość sprawia mi ból – odezwał się obcy w akacjańskim. – Potrzebuję usług Leeki Alaina. To prawda, że niezbyt go przypominasz. Być może się pomyliłem. Przepraszam, że ci przeszkodziłem. Chcę ci coś zaproponować jako zadośćuczynienie za mój błąd. Proszę...

Uniósł rękę, z której wystrzeliła moneta błyskająca za każdym razem, kiedy, obracając się w powietrzu, chwytała księżycowy blask. Leeka mimowolnie podążył za nią wzrokiem. Nabral się na tę złodziejską sztuczkę. Dlatego nie zauważył ruchu obcego. Poczul jednak uderzenie czegoś, co wbiło mu się w brzuch z siłą wystarczającą, by go przebić na wylot.

Lekkie ukłucie w szyję wywołało rozbłysk bólu, który przeniknął go z szybkością ognia rozprzestrzeniającego się w suchych zaroślach, w jednej chwili rozpalonego, a w następnej wygaszonego. Wraz z bólem zniknęła świadomość Leeki.

Otworzył oczy, wiedząc, że minęło trochę czasu i że zmieniło się jego położenie. Przypomniawszy sobie postać w cieniu, jej głos, monetę wirującą w powietrzu, uderzenie, które go uniosło. Przez chwilę leżał, rozpamiętując to wszystko, odzyskując ostrość widzenia i skupiając wzrok na grubo ciosanych belkach sufitu. Oświetlał je migotliwy blask ognia płonącego na kominku. Dobrze znał ten sufit, każdą jego nierówność, sęk deformujący jedną belkę, koronkę starych pajęczyn zwisającą z innej. Leżał na pryczy w swojej norze i patrzył na sufit. Jakie to dziwne...

Ktoś się nad nim pochylił.

– Okłamałeś mnie, Leeko Alainie. Nie twierdzę, że jestem zaskoczony. Nie są to czasy, w których należy zwracać się bezpośrednio do nieznajomych, lecz mógłbym się spodziewać, że będziesz bardziej przekonujący.

Mężczyzna zbliżył do swojej twarzy świecę. Leeka wpatrywał się w niego, kompletnie zdezorientowany. Widział starca o skórze pomarszczonej niczym kora drzewa, siwych włosach i brodzie – dość rzadkiej – zaplecionej na senivalską modłę w warkoczyki. Gdyby jego ciało stanowiło odbicie twarzy, byłby chudym biedaczyną, którego Leeka mógłby nawet nie zauważyć na ulicy. Jakim cudem temu starcowi w ogóle udało się go dotknąć? Czy aż tak bardzo się stoczył?

Starzec chyba czytał mu w myślach.

– Nie jestem aż tak niedołączny, na jakiego wyglądam. Ty też nie. W uczciwej walce nie miałbym z tobą żadnych szans. To, co zaszło... niech nie uraża twojej żołnierskiej próżności. – Przerwał na chwilę. – Spójrz na moją twarz, Leeko. Powiedz, czy mnie poznajesz. Możesz mnie pamiętać, ponieważ raz się spotkaliśmy, w innym czasie i miejscu, właściwie w innym świecie.

Świadomość, że rzeczywiście rozpoznaje obcego, dotarła do Leeki w chwili, gdy się odezwał:

– Jesteś kanclerzem... Thaddeusem Cleggiem.

Starzec się uśmiechnął.

– Dobrze – powiedział. – Jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

ROZDZIAŁ 29

Tak, przyznała w końcu Corinn sama przed sobą pewnego popołudnia, jadąc konno krętym szlakiem wzdłuż grzbietów wzgórz do Skały Portowej, meinińskie kobiety rzeczywiście mogą być piękne. Trzeba się tylko przyzwyczać do ostrości ich rysów. Kobiety Meinów strukturą kośćca i temperamentem były podobne do mężczyzn ich rasy, lecz to, co u mężczyzn było wyraziste, surowe i przystojne, u kobiet wyglądało trochę niezręcznie. A przynajmniej tak sądziła Corinn przez większość czasu spędzonego w ich towarzystwie. Dopiero niedawno zauważyła, że często się do nich porównuje. Nie umiała powiedzieć, kiedy nastąpiło to przesunięcie w jej uczuciach, lecz na pewno uświadomiła je sobie dzięki przejażdżkom, które ostatnio odbywała w otoczeniu młodych meinińskich kobiet.

Wszystko zaczęło się od pewnego rozkazu. Posłaniec poinformował ją, że Hanish Mein prosi, by królowna Corinn spędzała pogodne popołudnia z jego kuzynką, Rhrenną, oraz jej świtą składającą się z młodych szlachcianek, przyjaciółek i służących. Posłaniec użył słowa „prosi”, chociaż oboje wiedzieli, że istotę rzeczy lepiej oddałoby słowo „rozkazuje”. I nazwał ją „królowną”. Wszyscy tak ją nazywali, chociaż w rzeczywistości była więźniem na wyspie, która niegdyś należała do jej ojca. Człowiek, który zaplanował zabójstwo króla oraz zniszczenie Imperium Akacjańskiego i rodziny Akaranów, trzymał ją w nieustannym czyścisku. Chodziła tymi samymi korytarzami, które przemierzała przez całe życie. Oglądała z pałacu te same widoki dolnego miasta i morza. Wiele razy jadła kolację przy wielkim stole w głównej sali. Nie należała już jednak do rodziny gospodarza. Na miejscu jej ojca siedział ktoś inny, a modlitwa przed rozpoczęciem posiłku była odmawiana w innym języku i prosiła o błogosławieństwo groźną zbiorową siłę, której Corinn tak naprawdę nie rozumiała. Jej codzienne życie balansowało między tym, co było dawniej i tym, co działo się teraz, a krawędzie obu tych rzeczywistości rozmywała teraźniejszość i wykrzywiała pamięć. Corinn jako jedyna osoba na świecie znajdowała się w tak wyjątkowo niezręcznej sytuacji.

Tego popołudnia Rhrenna jechała na kasztanie, którego chyba wybrała, żeby pasował do jej stroju: kamizelki w kolorach pastelowego błękitu i jasnego brązu oraz spódnico-spodni, które, kiedy stała, wyglądały niemal jak suknia. Była bladą, drobnokościstą dziewczyną o niedoskonałych rysach, które, szczęśliwie dla niej, w sumie składały się na przyjemną całość. Włosy miała długie, zaplecione w warkocze; Corinn dopiero po pewnym czasie nauczyła się

odróżniać warkocze męskie od kobiecych.

Przez pierwsze parę lat okupacji tylko nieliczne mienińskie kobiety odważały się wyjeżdżać z Tahalian. Wydawało się, że Meinowie byli w stosunku do swoich kobiet zaborczy i nadopiekuńczy. Nie lubili mieszać się z innymi rasami i niewiele grzechów uznawali za cięższe niż urodzenie przez meinińską kobietę dziecka półkrwi. Niewiele lepiej było, kiedy kobiety podbitego imperium zaczęły rodzić dzieci bledsze od siebie, szarookie i o ostrych rysach. Mimo że patrzono na to krzywo, nie można było zapobiec takiemu krzyżowaniu ras. Chociaż Meinowie stale zasypywali swoje kobiety komplementami, i tak zadawali się z cudzoziemkami. Najwyraźniej uwielbiali smak, dotyk i kolor ich skóry oraz rysy, wobec których pozornie udawali obojętność. Nawet o Meandrze, bracie Hanisha, mówiło się, że spłodził całe plemię dzieci. Stopniowo coraz więcej meinińskich kobiet podejmowało podróż na południe, by wypełniać role żon i konkubin oraz dodać nieco domowej normalności do życia w pałacu i wśród zwykłych żołnierzy, z których większość prowadziła teraz luksusowe życie.

Rhrenna przybyła na Akację dopiero przed kilkoma miesiącami, lecz najwyraźniej przystosowała się do życia na wyspie. Jedną z jej zalet stanowił głos, wysoki, łagodny i lepiej pasujący do języka akacjańskiego niż głos większości jej pobratymców.

– Hanish uważa, że jesteś piękna – odezwała się. Na głowie miała kapelusz z szerokim ażurowym rondem dla ochrony przed słońcem. Patrzyła przez tę koronkę z fałszywą skromnością. – Ale na pewno już o tym wiesz. Rozumiesz mężczyzn lepiej ode mnie, prawda?

– W ciągu mojego dotychczasowego życia zrozumiałam bardzo niewiele – odparła Corinn. Nie interesowało ją plotkowanie o romansach czy dworskich intrygach. Przede wszystkim to nie był jej dwór. Bardziej jednak przeszywające było dla niej to, że takie kwestie przypominały jej o stracie. Mimo to niespodziewanie dla samej siebie zapytała: – Dlaczego mówisz, że Hanish uważa mnie za piękną?

– To oczywiste, królewno – stwierdziła Rhrenna. – Kiedy jesteś w pokoju, nie może oderwać od ciebie oczu. Podczas letnich tańców właściwie nie zwracał uwagi na inne partnerki.

Inna młoda kobieta, przyjaciółka Rhrenny z dzieciństwa, potwierdziła jej słowa. Odwróciła się w siodle do czterech amazonek za sobą i wydobyła od nich podobne opinie.

Corinn nie chciała o tym słyszeć.

– Jakbym tamtego wieczoru wywarła na kimś korzystne wrażenie! Tylko się potykałam... musiał zwracać na mnie uwagę, bo inaczej zmiażdżyłabym mu stopy na miazgę.

Wasze tańce są dla mnie bezsensowne.

Rhrenna chwilę się nad tym zastanawiała, poddając się swobodnemu ruchowi konia, i w końcu powiedziała:

– Potykasz się z większym wdziękiem niż większość kobiet.

Corinn kilka razy usiłowała zaprzeczyć słowom Rhrenny, lecz ona zawsze znajdowała jakiś sposób, by zbić jej protesty. W końcu zamilkła – zabrakło jej argumentów. Co taki zachwyty może dla niej znaczyć? Przed wojną zachwycały się nią kobiety i mężczyźni bardziej wyrafinowani niż którakolwiek z tych dziewcząt. Rozumiała własną sytuację lepiej od nich i nigdy nie wiedziała, czy zdają one sobie sprawę z fałszu, kryjącego się w ich stosunkach. Wiedziała, że jest trofeum wystawionym na widok publiczny dla przyjemności Meinów oraz umoralnienia poddanych nowego króla. Jej obecność stanowiła niepodważalny dowód tego, że imperium istniejące przed Meinami zostało pokonane. Spójrzcie, jak ta Akaranka siedzi przy naszym stole. Patrzcie na jej maniery, urodę, wyrafinowanie. Patrzcie na nią i pamiętajcie, jak potężni byli Akaranie i jak całkowicie zostali poskromieni i oswojeni. Ten przekaz wzmacniała codzienna obecność Corinn. Cóż to była za męka! Jej życie nie wiązało się z żadnymi fizycznymi trudnościami czy pracą, zachowała wszystkie wcześniejsze luksusy i większość przywilejów. A mimo to czuła się stale zawłaszczana – nawet przez te młode kobiety, które twierdziły, że tak bardzo ja uwielbiają.

Znajdowały się już tak blisko Skąły Portowej, że powiew wiatru przyniósł ze sobą smród nagromadzonych tam ptasich odchodów. Jedna ze służek zatkała ręką nos i zapytała, czy naprawdę muszą podjeżdżać bliżej. Corinn jechała dalej z zaciśniętymi ustami, świadoma, że obraża się na każdą zniewagę wymierzoną wyspie jej ojca, a nawet zwyczajom morskich ptaków. Nie musiała udawać zachwyty nad okolicą. Wyspa znajdowała się w szczytowym rozkwicie lata. Trawa pokrywająca wzgórza wyschła i płonęła metaliczną żółcią. Brakowało jedynie zielonych koron akacji. Wszystkie zostały ścięte w pierwszym roku po zwycięstwie Hanisha; był to akt symbolicznej zemsty i druga rzecz, której Corinn nigdy mu nie wybaczyła.

Wkrótce miały zapłonąć pożary pory suchej, wysyłające w niebo chmury czarnego dymu i przyciągające padlinożerne ptaki do żerowania wśród zwęglonych pasów, przecinających wzgórza niczym rany. Corinn wspomniała o tym swoim towarzyszkom, mówiąc, że wkrótce będą musiały starannie wybierać dni na przejażdżki. Bywało, że w szybko rozprzestrzeniających się pożarach ginęli ludzie. Młode kobiety wysłuchały tego w milczeniu, przerażone myślą o samoistnie wybuchających pożarach. Musiała być przerażająca dla kogoś przyzwyczajonego do dziewięciomiesięcznych zim oraz lat, w których – jak mówił

Igguldan – zawsze istniała możliwość nagłego ataku burzy śnieżnej. Corinn się cieszyła, że tacy ludzie boją się rzeczy, które ona знаła całe życie, chociaż poczuła także ukłucie żalu, które tak często towarzyszyło podobnym myślom. Igguldan. Nie mogła znieść myśli o nim. Cóż za tortura: tak bardzo się zbliżyła do prawdziwej miłości, tylko po to, by utracić ją przez działania bezdusznych szaleńców.

W miarę jak się zbliżały do urwisk Skały Portowej, wiatr przybierał na sile. Kiedy dotarły na skraj przepaści, Rhrenna i jej rodaczki musiały przytrzymywać sobie kapelusze na głowach. Corinn, która nie potrzebowała ochrony przed słońcem, ponieważ pod jego dotykiem jej skóra brązowiała, a nie czerwieniała i pokrywała się pęcherzami, nie miała kapelusza i siedziała na koniu bardzo spokojnie. Jednakże jej rozbawienie nie trwało długo.

– Patrzcie, Larken wrócił z Talay – powiedziała jedna ze służek. – Tam jest jego statek.

Corinn zauważyła statek prawie od razu. Miał szkarłatnego grota ozdobionego wizerunkiem kilofa o krótkim trzonku. To był znak Larkena, którym Hanish obdarzył go za zasługi wojenne. Widok szkarłatnej plamy pędzącej w ich stronę po morzu rozmigotanego, świetlistego błękitu natychmiast napełnił królowną niechęcią.

Larken. Myśl o nim zawsze sprowadzała wspomnienia o czasach sprzed niewoli. To on przed dziewięcioma laty zastukał do drzwi jej pokoju na Kidnabanie. Stał przed nią, wysoki i przystojny, w stroju Marahów. Mówił z taką powagą, z wewnętrznym spokojem świadczącym o sile, jakiej Corinn od dawna u niego nie widziała. Powiedział, że przychodzi od Thaddeusa Clegga. Ma ją zabrać w bezpieczne miejsce, tylko ją. Jej rodzeństwem zajmą się inni opiekunowie, ponieważ dzieci mają się udać w różne miejsca. Nie jest rozsądne, by przebywały wszystkie razem. Thaddeus oraz jej ojciec poczynili odpowiednie przygotowania. Larken pokazał odpowiednie dokumenty ze wszystkimi niezbędnymi pieczęciami i podpisami oraz znanym jej znakiem odcisniętym przez pierścień Thaddeusa.

– Chodź – powiedział strażnik. – Możesz mi zaufać. Żyję tylko po to, by cię chronić.

Tak bardzo chciała mu uwierzyć. Zastanawiała się teraz, jak mogła się zgodzić na odejście z nim, nie porozmawiawszy przedtem z rodzeństwem. Próbowwała, lecz on był tak przekonujący i poważny. Powiedział, że zbliżają się do nich agenci Hanisha Meina. Że w całym imperium roi się od zdrajców. Nawet ich gospodarzowi w kopalniach, Crenshalowi, nie można już ufać i dlatego muszą uciekać. Najważniejsza jest szybkość. Jej bracia i siostra już wyruszyli. Jeśli ona pójdzie w ich ślady, może być pewna, że wkrótce znów ich ujrzy. To jedyne wyjście.

Larken był uprzejmy i pełen szacunku, a zarazem sprawny, energiczny i stanowczy.

Doskonale wiedział, co trzeba robić i z wszystkim gładko sobie radził. Wystarczyło, że wykonywała jego polecenia. Po drodze patrzyła, jak wokół nich przesuwają się światy. Z kompleksu zeszli do robotniczego miasteczka Crall, tam uliczkami i zaułkami przemknęli się do portu, gdzie wsiedli na slup, który Larken poprowadził samodzielnie pod wiatr, wykorzystując swe umiejętności wytrawnego żeglarsza. Nim słońce weszło na dobre, już opłynęli przylądek i stracili Crall z oczu. Larken podawał nazwy wszystkich charakterystycznych obiektów na Kidnabanie, a kiedy zmienili kurs, oddalając się od wyspy, i skierowali w stronę Przylądka Fallon, wyjaśnił, co zamierza. Późnym wieczorem wśliznęli się do cichego, uśpionego miasteczka Danos i zmęczona Corinn bez najmniejszych zastrzeżeń zawierzyła opiece Larkena.

Wyjaśnił, że o określonej wcześniej porze i w ustalonym miejscu mają spotkać urzędnika miejskiego. On jako jedyny wiedział, co mają zrobić dalej i można mu całkowicie zaufać. Mężczyzna czekał dokładnie tam, gdzie spodziewał się go Larken. Przywitał Corinn tak wylewnie, że aż ją to skrępowało, co nie przytrafiło się jej nigdy przedtem.

– Jesteśmy tu bezpieczni – mówił urzędnik po drodze. – To spotkanie było utrzymywane w całkowitej tajemnicy. Rozkazy od kanclerza czytałem tylko ja. Przygotowania do kolejnych etapów podróży czyniono oddzielnie, więc tylko ja w pełni znam sytuację. Tak zarządził Thaddeus, a ja wykonałem jego polecenia co do joty. Uwierz mi, królowo Corinn, najgorsze masz już za sobą.

– Nikt nie wie o naszym przybyciu? – zapytał wtedy Larken. – Jesteś tego pewien?

Mężczyzna potwierdził. Mógłby przysiąc na życie swoje i swoich dzieci. Miał wszystkie dokumenty potrzebne dla nich obojga, wraz z pisemnymi instrukcjami, z kim się mają kontaktować, i z tajnymi hasłami, które gwarantowały zdobycie zaufania tych osób. Choć trudno w to uwierzyć, zmierzali do Candovii. Znajdowali się tam ludzie lojalni wobec Akaranów, którzy ukryliby Corinn w tak dobrej kryjówce, że Hanish Mein nigdy by jej nie znalazł, nawet gdyby szukał sto lat.

Wyglądało na to, że wszystko to zadowala Larkena. Nie mówił już nic więcej, tylko szedł dalej. Urzędnik trajkotał bez przerwy, lamentując nad sytuacją w imperium, biadając nad śmiercią Leodana, szczegółowo opowiadając, czego Corinn może się spodziewać w nadchodzących dniach i obiecując, że wszystko wkrótce zostanie naprawione. Corinn pragnęła, by zamilkł, a równocześnie była mu wdzięczna za gadatliwość; chciała się do niego przytulić i poczekać, aż świat wróci do normy. Nigdy nie miała takiej potrzeby kurczowego trzymywania się innych. Już czuła, że wymyka się spod opieki Larkena i chowa pod skrzydłami urzędnika.

Dlatego to, co nastąpiło potem, tak całkowicie ją zaskoczyło. Przez jakiś czas rzeczy, które widziały oczy Corinn, nie docierały do jej świadomości. Kiedy skręcili za róg i weszli w zaułek osłonięty przed księżycowym światłem, Larken coś szepnął. Urzędnik odwrócił się do niego, jakby reagując na ostrzeżenie. Wpatrywał się prosto w strażnika, gdy ten się na niego rzucił. Larken uniósł coś nad głowę i wbił w czoło urzędnika. Mężczyzna stał przez chwilę nieruchomo i wydawało się, że jego ciało zawisło na pięści Larkena. Larken szarpnął ręką do tyłu i urzędnik upadł. Kiedy tak leżał, wyraźnie odcinając się od płyt uliczki, można było zobaczyć broń: niewielki topór, który Larken nosił u pasa. Corinn zauważyła go przedtem, lecz nie zastanawiała się nad jego przeznaczeniem.

Larken ujął ją za łokieć.

– Ani słowa. Nie zabiję cię, ale jeśli krzykniesz, uciszę cię w bardzo bolesny sposób. – Poprowadził ją kilka kroków do przodu, na skraj cienia.

Przysunął do niej twarz, aż Corinn poczuła na skórze ciepło jego oddechu.

– To trzeba było zrobić, królowno. Nie wiń mnie ani jego. Wszyscy gramy w dramacie nas przerastającym. Chodź, nasza podróż jeszcze się nie skończyła.

– Co... co robisz? – zapytała bez tchu Corinn, czując na nadgarstku dłoń Larkena. – Dokąd mnie prowadzisz?

Po raz pierwszy strażnik zignorował jej pytania. Żadnej uprzejmej odpowiedzi. Żadnego wyczerpującego wyjaśnienia. Po prostu ciągnął ją za sobą. Do kryjówki, owszem, lecz nie tej, którą zaplanował dla niej ojciec. Okazało się, że Larken nie jest ani lojalnym Marahem, ani zwykłym zdrajcą. Po prostu przetrzymywał Corinn w starej chacie jakiegoś mnicha i czekał, by po zakończeniu wojny sprzedać królownę zwycięskiej stronie. Chata znajdowała się w głębi łądu w pobliżu Danos, dobrze ukryta wśród dzikich wzgórz nad brzegiem rzeki tak stromym i usianym głazami, że niewielu ludzi znajdowało powody, by się zapuszczać w te okolice. Dni spędzali w milczeniu, przerywanym czasami rozmową, za udział w której Corinn nienawidziła samą siebie. Larken ją karmił i dbał o nią. Co kilka dni ją wiązał i wyprawiał się do Danos, by zebrać wiadomości. Corinn śledziła przebieg wojny, opierając się na jego sprawozdaniach. Oprócz tego Larken miał jej mnóstwo do powiedzenia; były to rzeczy, w które wówczas nie wierzyła, lecz którym teraz nie mogła zaprzeczyć.

Wyszła z tej chaty jako inna osoba. Utraciła resztki niewinności i wszelką nadzieję, że kiedykolwiek będzie umiała znaleźć pociechę w naiwnej wierze. Przynurzała sobie, że nigdy już nie da się zaskoczyć. Nigdy nikomu nie zaufa. Nikogo nie pokocha. Nigdy już nie będzie pokładała wiary w żadnym człowieku. Nauczy się wszystkiego, czego zdoła, o kształcie i istocie świata i znajdzie sposób przetrwania w nim.

Po całych sześciu tygodniach od jej uprowadzenia Larken przedstawił Corinn Hanishowi Meinowi. Dzięki temu kupił sobie uprzywilejowaną pozycję w imperium nowego wodza. Corinn natomiast została wtrącona do dziwnego czyścica, w którym nadal przebywała po dziewięciu latach.

W drodze powrotnej do pałacu w ogóle się nie odzywała do towarzyszek. Podjechały do jednej z tylnych bram. Jasnowłosi strażnicy zawołali do nich żartobliwie, udając, że aby wejść do środka, dziewczęta muszą podać hasło. Corinn nie miała cierpliwości do tej zabawy. Nie ucieszyła się też, kiedy okazało się, że za bramą czeka na nią posłaniec. Chciał się z nią widzieć tego popołudnia Hanish Mein. Jęknęła w duchu i niemal odpowiedziała, że źle się czuje i nie może przyjść. Poczowała jednak na sobie wzrok pozostałych kobiet, jednocześnie pełen podziwu, zazdrości i ciekawości. Nie wiedząc, jak zareagować, przyjęła wiadomość bez komentarza, wyraźnie skonsternowana.

Stojąc na korytarzu przed jego komnatami – należącymi niegdyś do jej ojca – stwierdziła, że z trudem powstrzymuje rumieniec, zachowuje spokojny rytm serca i kamienną twarz. Hanish wywierał na nią wpływ, któremu usiłowała się przeciwstawić. Przypomniła sobie – co zawsze starała się robić przed rozmową z nim – jak się z niej śmiał przy pierwszym spotkaniu. Przywołała imię Igguldana, zapewniając Hanisha, że księżę nie pozwoli na jej uwięzienie. Hanish roześmiał się wtedy i powiedział:

– Igguldan? Ten aushenijski szczeniak? O nim teraz myślisz? Świetnie, rozumiem, że był przystojnym młodzieńcem, podobno poetą. Może miałabyś o nim inne zdanie, gdybyś wiedziała, że poprowadził swoją armię do największej klęski w dziejach narodu. To prawda. Wszyscy zginęli... w dość okrutny sposób. Jego imię, droga królewno, okryło się hańbą. Ale jeśli podnosi cię to na duchu, możesz go pamiętać, jak chcesz. Wy, Akacjanie, jesteście w tym dobrzy.

Corinn nigdy nie nienawidziła nikogo bardziej niż Hanisha w tamtej chwili. Osiągnął w jej oczach szczyty bezdusznej arogancji, okrutnej i odrażającej. Strasznie ją złościło, że tak bardzo musi się starać, by o tym pamiętać. Wiedziała, że zbyt często zerka na niego z odmiennymi uczuciami.

– Corinn? – usłyszała głos Hanisha. – Słyszę twój oddech, królewno. Wejdz, chcę porozmawiać. Dowiedziałem się o czymś, co może cię zainteresować.

Kolejne utrapienie! Wydawało się, że Hanish ma nienaturalnie wyostrzone zmysły. Corinn przestąpiła próg i zobaczyła, że mężczyzna opiera się o biurko jej ojca, w jednej ręce trzymając plik jakichś papierów. Pociągnął za jeden ze swoich warkoczyków, ten oznaczający, jak wiedziała, liczbę przeciwników zabitych w tańcu maseret, który tak lubili

Meinowie. Podniósł na nią wzrok i pokazał w uśmiechu zęby, a ona znenawidziła go za to, w jaki sposób obudziło to urodę jego oczu. Jakież miał oczy! Zawsze przyciągały jej spojrzenie. Miała wrażenie, że coś je rozświetla od środka; jego twarz zmieniała się w latarnię, a oczy lśniły szarym blaskiem. Był w nich spokój. Miały na nią taki wpływ, jak widok turkusowej wody przy jednej z białych piaszczystych plaż w pobliżu Aos. Niektóre rzeczy po prostu są przeznaczone do tego, by je oglądać. Należały do nich oczy Hanisha Meina – a właściwie cała jego twarz. Corinn z dużym wysiłkiem przywdziała maskę zimnego lekceważenia, którą zawsze mu pokazywała.

– Słońce znakomicie ci służy, Corinn – rzekł Hanish. Prawie zawsze zwracał się do niej po akacjańsku, teraz też. – Taka gładka cera, tak dobrze przystosowana do tutejszych jasnych letnich dni. Nawiasem mówiąc, cieszę się, że wybierasz się na przejażdżki z moją kuzynką i jej towarzyszami.

– Nie jest to przysługa, którą oddaję chętnie – stwierdziła Corinn. – Zechcesz pamiętać, że taki wydałeś mi rozkaz.

Hanish uśmiechnął się, jakby królowa powiedziała coś zabawnego.

– Nielatwo jest nauczyć meinińskie kobiety zwyczajów panujących na imperialnym dworze. Są do tego równie źle przygotowane, jak nasi mężczyźni. Wiem jednak, że cenią sobie twój przykład.

Corinn nie umiała nic na to powiedzieć. Hanish położył papiery na biurku, odwrócił się w jej stronę i oznajmił:

– Mam wiadomości, które mogą cię zainteresować. Larken właśnie wrócił z Talay. Przywiózł wiadomości o twoim bracie. – Przerwał na chwilę, przyglądając się uważnie Corinn, ciekaw jej reakcji. – Nie odnaleźliśmy go, przynajmniej na razie. Nie mam jednak wątpliwości, że tak się stanie. Jest gdzieś w Talay, w głębi kraju. Larken uważa, że się z nim rozminął. Dostał wiadomość od jednego z tubylców i napadł na wioskę, lecz Akacjanin, który się w niej ukrywał, wymknął się tuż przedtem. Twój brat Aliver okazuje się dość nieuchwytny.

– Skąd wiesz, że to Aliver, a nie Dariel?

Hanish wzruszył ramionami.

– Myślałem, że może ty mi to powiesz. Czy to Aliver? Czy został wysłany do Talay?

– Czy ta wiedza by ci pomogła?

– Tak, przyznam, że tak.

Corinn popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała szczerze:

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Hanish już nie sprawiał wrażenia, że jest z niej zadowolony. Wyglądał, jakby chciał się odepchnąć od biurka i błyskawicznie do niej podejść, lecz zamiast tego skrzyżował ręce na piersi i odezwał się po meinińsku:

– Bardzo się zmieniłaś i nie jesteś już tą dziewczynką, która stała przede mną dziewięć lat temu, prawda? Pamiętasz, jak się tobą opiekowaliśmy, gdy zapadłaś na gorączkę? Klątwa Numreków. Wierz mi, królewno, gdyby nie nasza znajomość tej choroby, cierpiałabyś o wiele bardziej. Może twoi bracia i siostra odczuli całą jej siłę, a nie mieli przy sobie nikogo, kto by im wyjaśnił, że najprawdopodobniej minie. Oni zapewne też się zmienili. Być może nie rozpoznałabyś ich nawet. Może oni nie rozpoznałoby ciebie. Może, Corinn, jesteś już bardziej jedną z nas niż jedną z nich.

Corinn błyskawicznie podniosła wzrok i utkwiała go w Hanishu z pogardą za taką sugestią.

– Gdzie jest twoje rodzeństwo, królewno? – znów zapytał mężczyzna, tym razem po akacjańsku.

– Już mnie o to pytałeś.

– I będę cię pytał jeszcze wiele razy. Możliwe, że mówisz prawdę, ale gdyby miało to coś dać, to z radością zadawałbym ci to pytanie pięć razy dziennie przez następne dwadzieścia lat.

– A potem byś przestał?

– A potem zadawałbym ci je dziesięć razy dziennie przez kolejne czterdzieści lat, gdybym aż tak długo nie dołączał do Tunishnevre. Corinn, od dziewięciu lat mieszkasz w moim domu, jako gość w pałacu, który niegdyś należał do ciebie. Czy cię skrzywdziłem? Czy spadł ci choć włos z głowy albo do czegokolwiek cię zmuszałem? A zatem pomóż mi odnaleźć twoje rodzeństwo. Jak już mówiłem, pragnę tylko, by twoi bracia i siostra wrócili do pałacu waszego ojca i żyli w spokoju, tak jak ty. Dlaczego wolisz, by żyli na wygnaniu, ukrywając się w którejś z prowincji?

– Gdziekolwiek są, są wolni – odparła Corinn. – Nie chciałabym tego zmienić za żadne skarby świata. Oni też nie.

– Jesteś tego taka pewna, co?

Kiedy Corinn nie odpowiadała, Hanish zmarszczył brwi.

– Dobrze, to nie ma znaczenia. Znajdziemy ich. Mam czas i władzę. Oni mają niewielu przyjaciół i jeszcze mniej środków do życia. Niemal schwytaliśmy jednego z twoich braci. Jestem tego pewien. To oznacza, że on ucieka, że będzie popełniał błędy, że zaufa komuś, komu nie powinien... Uwierz mi, Corinn, oni nie prowadzą luksusowego życia jak ty.

Żałuję, że spędzamy ze sobą tak mało czasu. Minęło tyle lat, a ja cię właściwie nie znam. Chciałbym to zmienić. Nie będę już tyle podróżował. Jestem pewien, że kiedy lepiej mnie poznasz, bardziej mnie polubisz. Może wtedy będziemy mogli znaleźć odpowiedź na to, kim mamy być dla siebie nawzajem. Co ty na to?

– Mogę odejść? – zapytała zaczepnym tonem.

– Zawsze możesz przychodzić i odchodzić wedle swego życzenia, Corinn. Kiedy przyjmiesz to do wiadomości?

Bez słowa odwróciła się do niego plecami. Wiedziała, że odprowadza ją wzrokiem, wpatrzony w jej figurę. Sprawiało to, że trudno jej było swobodnie iść, ale jej się udało. Przeszła z jednej komnaty do drugiej, a potem skręciła i wkrótce Hanish znalazł się daleko za nią. Odetchnęła i zaczęła rozluźniać rysy twarzy, gdy uświadomiła sobie, że nadal jest obserwowana.

W przejściu, do którego zmierzała, stał Maeander. Właśnie wszedł i mówił coś do kogoś stojącego na korytarzu. Zauważył ją i umilkł. Zza niego wyszedł Larken; dopiero po kilku krokach zobaczył królową. Na jego twarzy natychmiast pojawił się wyraz rozbawienia. Mimo że był Akacjaninem, teraz mówił tylko po meinińsku. Obaj z Maeanderem byli wysocy, szczupli i stanowili wzór męskości swoich ras.

Corinn nie zwolniła kroku. Spojrzała ponad mężczyznami na korytarz, jakby jej wzrok mógł się tam czegoś chwycić i przeciągnąć ją między nimi. Larkena minęła bez przeszkód. Kiedy jednak zbliżyła się do Maeandera, ten błyskawicznym ruchem wyciągnął rękę, blokując jej przejście. Nie patrzyła mu w twarz, lecz na miękkie miejsce w zgięciu łokcia jego muskularnej ręki, pokrytej długimi złocistymi włoskami. Widziała pulsującą żyłę, jakby to był robak uwięziony pod skórą. Czuła na sobie wzrok Maeandera, patrzącego na nią spod wydatnych brwi. Wydawało się jej, że czuje ten wzrok w snach co noc, od czasu, kiedy po raz pierwszy na nią spojrzął. Nieraz budziła się, mając wrażenie, że do chwili przebudzenia nie była sama. Ten mężczyzna, bardziej niż ktokolwiek inny, uczynił z domu jej ojca groźne miejsce, a wypowiedział do niej w sumie ledwie kilka słów.

Maeander i teraz nic nie mówił, jakby dopiero się zastanawiał. Pochylił się i palcem drugiej ręki dotknął podbródka Corinn. Przyglądał jej się uważnie kilka chwil, a potem przysunął swoją twarz do twarzy królowy. Szorstkie włoski jego brody musnęły jej policzek. Przekręcił głowę, przycisnął wilgotny, ciepły język do jej skroni i polizał ją.

Corinn szarpnęła głową. Uderzyła Maeandera kantem dłoni w staw barkowy i uciekła na korytarz. Usłyszała pytanie Larkena:

– Smakuje słodko czy kwaśno? Zawsze się nad tym zastanawiałem.

Odpowiedź już do niej nie dotarła. Później nie była pewna, czy rzeczywiście słyszała podążający za nią śmiech Maeandera, czy tylko jej się to wydawało. Hanish Mein mógł sobie mówić piękne słowa. Prawdziwym obliczem Meinów był Maeander. Nigdy im nie zaufa. Już dawno przestała ufać mężczyznom. Nie zamierzała tego zmieniać. Nie miała pojęcia, dokąd uciekli jej bracia i siostra. Była jednak pewna, że znaleźli się w lepszej sytuacji niż ona.

ROZDZIAŁ 30

Bryg zmierzał z pełną szybkością w stronę mielizny. Znajdował się tuż przy rafie, tak blisko, że przecinał ukośnie załamujące się fale, chwiejąc się z burty na burtę jak jakieś pijane monstrum. Szprotek doskonale to widział z niewielkiej platformy, służącej jako bocianie gniazdo „Ballana”. Chciał patrzeć, jak pęka kadłub zdobyczy, którą ścigał cztery dni, a jej bogaty ładunek wpada do morza. Będzie miał na to widok jak z lotu ptaka, a kiedy wróci z pustymi rękami, opowie wszystko Dovianowi. Zróbcie coś, pomyślał. Zróbcie coś, do cholery, durnie! Nie ścigałem was taki kawał drogi tylko po to, żeby...

Z dołu zawołał do niego stary pilot, Nineas. Stary żeglarz potrafił sprawić, że jego głos był słyszalny bez względu na okoliczności.

– Zawracają w naszą stronę! Szprotku! Mam utrzymywać kurs?

Młody kapitan odwrzasnął, że oczywiście powinni utrzymywać kurs! Oczywiście! Ich ofiarą był statek ligi, wprawdzie nie jeden z dużych statków oceanicznych, lecz i tak zdobycz miała olbrzymią wartość. Był to bryg, którego używano do przewożenia ważniejszych osobistości z brzegu do bazy pomostów, pływającego miasta zakotwiczonego do dna oceanu około stu mil na północny zachód od Wysp Zewnętrznych. Normalnie takie brygi podróżowały pod ochroną kilku okrętów wojennych, obsadzonych przez żołnierzy prywatnej armii ligi, Inspektoratu Ishtat. Gdyby na jego pokładzie znajdował się ktoś z zarządu, zapewne wiózłby bogactwa niewyobrażalne dla pirata z Morskiej Wyspy, takiego jak Szprotek. Nie można byłoby się do niego zbliżyć, nie dysponując całą flotą. Nikt nawet nie próbował poważnie się na taki atak. Ten statek jednak płynął niemal pusty jak na normy ligi, nie mając na pokładzie nikogo ważnego ani dość towaru, by zasługiwać na ochronę Ishtatu.

Szprotek o tym wiedział, ponieważ jeden ze szpiegów Doviana, tak zwany przemieniacz, mistrz w maskowaniu się, który przeniknął między robotników portowych nabrzeżnej bazy ligi, przysiągł, że ten statek będzie prawdopodobnie jedynym bezbronnym żaglowcem, jaki zobaczą w tym roku. Wiadomość dotarła wieczorem dnia poprzedzającego wypłynięcie brygu, lecz Dovian był przekonany, że mogą podjąć działanie. Szprotek wypłynął następnego ranka z jego błogosławieństwem. „Ballan” był smukłym kliprem o lekkiej konstrukcji, zbudowanym dla osiągnięcia dużych prędkości, z wysokim grotmasztem. Pod żadnym względem nie przypominał okrętu wojennego. Zapewne dlatego bryg

zlekceważył go pierwszego dnia pościgu. Być może załoga zauważyła dziwną konstrukcję przywiązaną do dziobu klipra, jakby ciąg połączonych ze sobą desek podbitych żelazem i uniesionych ukośnie na dużym, wzmocnionym zawiasie. Na jej końcu sterczał groźnie wyglądający zagięty metalowy szpon, długi na ponad dwa metry, ostry na końcu i niemal na całej długości gruby jak ręka mężczyzny. Wyglądało to jak trap, który można przerzucić przez pomost i do niego przymocować, jeśli statek wymagałby rozładowania przez dziób, co było użyteczne w co bardziej ruchliwych portach Morza Wewnętrznego. Lecz przeznaczenie tego urządzenia nie było tak niewinne, co Szprotek miał nadzieję udowodnić. W sumie to był jego projekt. Jego „gwóźdź”, jak lubił go nazywać.

Płynęli za brygiem przez Płycizny i wzdłuż łańcucha wysp, wyznaczającego najlepszy szlak przez Wyspy Zewnętrzne. Wokół znajdowały się inne statki, a Szprotek nie chciał, by ktoś zauważył jego atak. Żeglował jak gdyby nigdy nic, zatrzymując się w kilku portach, jakby po prostu handlował, a potem dzięki nadzwyczajnej szybkości „Ballan” nadrabiał stracony czas. Bryg zawsze dawał się łatwo zauważyć, ponieważ burty miał jaskrawobiałe, nienaturalnie świetliste.

Trzeciego dnia załoga brygu zaczęła coś podejrzewać. Zwiększyli prędkość, postawiwszy wszystkie żagle, ale dopiero rankiem czwartego dnia „Ballan” zapędził bryg na skraj mielizny przy jednym z niedużych atoli na północnym skraju Wysp Zewnętrznych. Horyzont był pusty i Szprotek dał sygnał, że nadszedł moment ataku. Zdobędą statek tego dnia albo nigdy. Ścigali go, płynąc fordewindem. Mieli przewagę prędkości, lecz zajęcie pozycji umożliwiającej użycie gwoździa nie było łatwym manewrem. Wtedy bryg zrobił gwałtowny zwrot i zaczął się oddalać od rafy kursem na zderzenie. Kapitan zapewne znał rafę lepiej, niż podejrzewał Szprotek. Kąt ataku wreszcie był odpowiedni.

Chociaż wrzeszczał na całe gardło, wcale nie był pewien, czy zostanie usłyszany na pokładzie daleko w dole. Przy tak silnym wietrze i rozbryzgach wody od dziobu jego słowa zapewne ginęły w morskich odmętach. Bojąc się, że pilot z nadmiaru ostrożności może zmienić kurs, Szprotek chwycił linę, która biegła od bocianiego gniazda aż na sam pokład. Miał rękawiczki bez palców, które przystosował do tego właśnie celu podczas pierwszych lat spędzonych na morzu, kiedy był jeszcze chłopcem. Zacisnął na linie obie dłonie, splatając ze sobą palce, i odbił się od platformy. Zjechał na pokład z oszałamiającą szybkością i chwilę później stał już obok Nineasa.

– Nawet nie myśl o zmianie kursu! – wrzasnął mu do ucha. – Płyn prosto na spotkanie z nimi.

Podniósł głos jeszcze bardziej, zwracając się w stronę dziobu. Pokład był zatłoczony

ludźmi, krzepkimi piratami rozmaitych ras; każdy był inny, miał ulubioną broń, własne żale, pragnienia i powody, dla których wybrał życie łupieżcy. Szprotek był szczupły i miał średnią budowę ciała, twarz przystojną i chłopcę, a mięśnie nonszalanckiego nastolatka – ledwie wyglądał na wystarczająco dorosłego, by dowodzić tą zbieraniną. Mimo to czuł się bardzo swobodnie w tej roli.

– Wszystko tak, jak zaplanowaliśmy, panowie – odezwał się z pełną ironii serdecznością. – Wszystko zgodnie z planem i nic bez mojego sygnału.

Dziób brygu górował nad smukłym „Ballanem”. Przepychał się przez wodę jak piersiasta barmanka przez pijane morze marynarzy. Był tak biały, że zupełnie nie wyglądał na zbudowany z drewna. Z burt brygu sterczały dwie linie drucianych stanowisk – jeden rząd na górnym pokładzie, drugi na dolnym. Miały odpowiedni rozmiar i kształt, by pomieścić górną część ciała człowieka wychylającego się nad wodę. Do tych stanowisk wsunęli się kusznicy i wypuścili deszcz bełtów. Słaba to była obrona, zważywszy na co było stać w pełni obsadzony bryg ligi. Na właściwie bronionym statku znajdowałyby się dwa lub trzy razy tyle strzelców. Ale pociski były posmarowane łatwopalną smołą, a jakiś mechanizm powodował, że po wystrzeleniu wybuchały płomieniem. Tych, które trafiły w burtę, pokład albo żagle „Ballana”, nie dawało się ugasić. Załoga mogła jedynie utrać bełty szuflami, zgarniać je wraz ze smołą i wyrzucać za burtę. Była przygotowana na taki atak.

Oba statki płynęły kursem na zderzenie. Znajdowały się tak blisko siebie, że szybkość „Ballana” sprawiała wrażenie szaleńczej. Szprotek niemal już zawołał, by zwinąć lizle, ale nie było na to czasu. Jeden z nich został trafiony i płomień wypalił w nim już sporą dziurę. Wobec tego kapitan wrzasnął do ludzi obsługujących gwóźdź:

– Bądźcie w pogotowiu! Czekajcie na mój sygnał! – Obserwując zmniejszającą się odległość między statkami, dodał, jakby po namyśle: – Ci na pokładzie może powinni się czegoś chwycić.

W ostatniej chwili zarządził poprawkę kursu, by lepiej się dopasować do trajektorii brygu i zmniejszyć siłę uderzenia. „Ballan” się przechylił, lecz kiedy doszło do zderzenia, jego siła przerosła wyobrażenia młodego kapitana. Hałas był straszliwy, podobnie jak wstrząs. Ludzie popadali na przechylony pokład. Runął na nich słup wody, zabierając ze sobą dwóch załogantów. Drobne pożary przygasły, zasyczały i znów strzeliły ogniem. Zanim Szprotek przejechał na plecach po pokładzie, udało mu się wydać rozkaz zwolnienia gwóźdź. Długie ramię urządzenia nabierało ruchu dość powoli, spadając pod własnym ciężarem. Szprotek, który patrzył na to spod relingu, gdzie leżał przemoczony i pozbawiony tchu, był pewien, że mechanizm się zaciął. Ramię spadało za wolno. Może się nawet nie

wbije w drewno brygu.

Lecz broń zadziałała. Jej stalowy czubek przebił pokład ściganego statku. Segmentowa konstrukcja sprawiła, że czubek wbił się głęboko, a potem, pod naporem ciężaru obu statków, natychmiast się wygięła. Po obu stronach haka wyprysnęły połamane pokładniki, a w wybitą dziurę wpadło kilku ludzi z załogi brygu. Ponieważ statek nadal poruszał się do przodu, hak wyorał w nim poszarpaną bruzdę. „Ballanem” szarpnęło i przez kilka chwil Szprotek nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Byli jak podnawka, która niezbyt pewnie przywarła do rozszluszczonego wieloryba. Szprotek czuł, jak żelazny szpon zahacza o poprzecznicę, a one jedna po drugiej pękają. Kilku kuszników zostało zmiażdżonych między burtami statków, pozostali przerwali atak i czym prędzej wycofali się ze stanowisk. Bardzo dobrze, tyle że wydawało się, że gwóźdź się nie utrzyma! Gdyby tak się stało, raptowne odłączenie od brygu oraz wiry kłębiące się za jego rufą mogłyby spowodować przewrócenie „Ballana”.

Szprotek usłyszał głos Nineasa, pytającego, co mają robić. Czy ma jakieś rozkazy? Nie miał, lecz na szczęście jego chwilowe wahanie miało pozostać niezauważone. Gwóźdź nareszcie porządnie się wbił. Nowe ustawienie „Ballana” pozwoliło mu ustabilizować się na tyle, by załoga mogła wstać. Kilka twarzy zwróciło się w stronę Szprotka, który zerwał się na nogi. Następny ruch był oczywisty.

– Na pokład! – wrzasnął. – Na pokład!

Przejście po deskach było szaleńczo niebezpieczne i udało im się tylko dlatego, że tego nie przemyśleli. Szprotek, tak jak pozostali, po prostu zamienił słowa w czyn. Pobiegł, wdrapał się, skoczył, a wszystko to tak szybko, że stanowiło rozmazaną smugę. Postawienie stopy na pokładzie brygu przyniosło zaskoczenie. Tak jak burty, wszystko w zasięgu wzroku było pomalowane grubą, śliską warstwą farby, jakby cały statek został zanurzony w wosku, a potem powieszony do wyschnięcia. Szprotek i ludzie wbiegający razem z nim na pokład zastygli w bezruchu, oszołomieni jego dziwnym wyglądem. Nie trwało to jednak długo. Mieli sprawę do załatwienia – w ich stronę zmierzali marynarze. Wszędzie wokół zaczęły śmigać ogniste bełty. W zgiełku już zaczęła pobrzmiwać muzyka uderzających o siebie szabli. Przez jakiś czas będzie się lała krew, ale na tym polega robota piratów.

Trzy dni później Szprotek szedł zamaszystym krokiem z portu pod górę. Pod jego nogami chrzęściły zgniecione białe muszle, którymi była wyłożona ścieżka prowadząca do miasteczka łupieżców, nazywanego przez nich Palishdockiem. Za Szprotkiem ciągnął rosnący

z każdym krokiem tłum, wśród którego prym wiodła załoga „Ballana”. Dzieci wykrzykiwały pytania. Nawet miasteczkowym psom udzieliło się podniecenie. Dumny syn Palishdocku wracał w tryumfie z łupem mającym służyć im wszystkim! Szprotek nie mógł powstrzymać uśmiechu. Chociaż była to tylko mała, rozwrzeszczana grupka ludzi i zwierząt, przyjemnie mu było stać w centrum uwielbienia, czuć się ważnym, kochanym, widzieć zarumienione, pełne podziwu twarze młodych kobiet. Tę rolę odgrywał z łatwością, chociaż nie uważał, że mu się ona należy. Codziennie starał się na nią zapracować i przynieść chlubę Dovianowi. Pod tym względem wciąż był chłopcem, a Dovia traktował jak ojca.

Palishdock nie był do niedawna stałą osadą. Chociaż istniał już sześć lat, w niechlujnej konstrukcji budynków było widać prowizorkę. Chaty, rozmieszczone na wzniesieniach i we wgłębieniach piaszczystego terenu, miały szpary między deskami i proste dachy z liści palmowych. Ściany często okazywały się zaledwie parawanami wzniesionymi dla uzyskania odrobiny cienia i prywatności. Wiele osób gotowało na ogniskach na zewnątrz domów, zostawiając resztki psom i wielkiej populacji kotów. W miasteczku panowała atmosfera tymczasowości, jakby mogło zostać opuszczone w każdej chwili, gdyby bałagan stał się nieznośny albo od jego mieszkańców odwróciło się szczęście. Oczywiście miało wspaniały port. Był nieco za płytki, lecz miał miękkie dno i jedno wąskie wejście, ledwie widoczne z morza dzięki falistej linii brzegowej i kamuflażowi wysokich wydm. W gruncie rzeczy od strony morza miasteczka nie było widać. Jego mieszkańców mógłby zdradzić jedynie dym, lecz twarde drewno krzewów porastających całą wyspę paliło się niemal bez jego wydzielania. Tylko nieliczni żeglarze przepływający obok uznaliby białe obłoczki unoszące się nad wyspą za coś innego niż jakąś mgielkę. Było to idealne schronienie dla piratów.

Było też domem dla Szprotka od samego powstania, które doskonale pamiętał. Stał u biodra Dovia – będąc jeszcze dzieckiem – kiedy ogromny mężczyzna rozglądał się z uśmiechem po zatoce i oznajmiał, że to jest miejsce właśnie dla nich, ukryte przed światem i doskonale dla wszystkich zajmujących się napadami, spekulowaniem, porywaniem ludzi i wszelkimi innymi formami kradzieży, jaka przyjdzie im do głowy. Powiedział, że tak może być, i z chłopcem u boku stworzył świat będący spełnieniem tych marzeń.

Odłączywszy się od rozentuzjarmowanego tłumy na dziedzińcu Pałacu Dovia, gdzie Nineas i młodszy członek załogi snuli wspaniałą opowieść o schwytaniu brygu ligi, Szprotek wszedł do środka. Niósł wąską, bogato zdobioną szkatułkę ze złota. Pałac Dovia nie był oczywiście prawdziwym pałacem. Była to pełna zakamarków platanina pokojów i korytarzy jedynie odrobinę solidniejszych od chat wioski. Tu i ówdzie do budowy użyto

belek, desek, a czasami całych fragmentów zdobytych statków. Ściany były zawieszane pamiątkami – emblematami, tabliczkami z nazwami i różnymi elementami olinowania. Miejsce to najbardziej przypominało labiryntowy fort przeznaczony do chłopięcych zabaw w chowanego, pirackie oko i łapanie za ogon. Szprotek bawił się w nie wszystkie i w wiele innych na tych korytarzach, a najbardziej lubił czasy, kiedy Dorian jeszcze chodził, zwinny mimo swej tuszy i chętny do biegania i zabawy jak chłopiec.

Szprotek zastukał w futrynę drzwi jego pokoju stopą i, usłyszawszy zaproszenie, przestąpił próg. Wnętrze rozjaśniało jedynie światło wpadające przez liczne szpary w ścianach i dachu, lecz kiedy wzrok chłopaka się do niego przystosował, okazało się, że jest wystarczające. Dorian znajdował się tam, skąd nie ruszał się od kilku miesięcy, kiedy powalił go ból umiejscowiony głęboko w kościach, kaszel rozrywający piersi i drętwienie kończyn. Leżał na łóżku pod przeciwległą ścianą, przypominając ludzką górę wspartą na puchowych poduszkach niemal spłaszczonych pod jego ciężarem. Twarz miał w cieniu, lecz Szprotek wiedział, że mężczyzna na niego patrzy.

Młodzieniec stanął tuż za progiem i zrelacjonował szczegóły ataku. Wymienił ludzi, którzy zginęli, dla każdego mając słowo pochwały. Opisał zajęcie statku, uszkodzenia, jakich doznał „Ballan”, działanie gwoźdźcia. Spisał się dobrze, powiedział, lecz powinni go zamontować na innym statku i prawdopodobnie stosować tylko wobec mniejszych jednostek. W gruncie rzeczy niemal rozerwał „Ballana” na kawałki. Szprotek odmalował walkę, jaka rozegrała się na lśniącym, białym pokładzie brygu, i wyliczył zdobyte skarby. Według norm ligi statek był pusty, lecz normy te były inne niż reszty świata. Ludzie Szprotka ogołocili statek z całego złotego wyposażenia, jakie zdołali znaleźć, ze wszystkich srebrnych sztućców, bogato zdobionych lusterek, dywanów, rzeźbionych mebli, pięknych szklanych lamp – ze wszystkich przedmiotów zwykle spotykanych na statkach ligi. Znaleźli także zamknięte pomieszczenie i zmusili kapitana, by je otworzył. Zapewne sądził, że jest puste, ponieważ wydawał się zaskoczony znalezieniem w środku niewielkiej szkatułki pełnej monet ligi – tej samej, którą teraz Szprotek trzymał w obu rękach.

– Ilu zabiliście? – zapytał mężczyzna przykuty do łóżka.

– Dziesięciu mężczyzn. Dwóch chłopców. I... jedną dziewczynę. Theo ciął ją w szyję, zanim się zorientował. Nie winię go za to.

– A co zrobiliście z resztą?

– Związaliśmy ich i zamknęliśmy w sterówce. Mają dość jedzenia i wody, by przeżyć wiele tygodni, ale sądzę, że liga znajdzie ich za parę dni.

– Dobrze, że okazujesz łaskę.

Szprotek się uśmiechnął.

– Nauczyłeś mnie tego, podobnie jak tego, kiedy i jak zabijać. Tak czy owak, pirat powinien zostawić kilku żywych świadków, którzy będą rozgłaszać wieści o jego czynach.

Dovian wydał jakiś dźwięk; może to było parsknięcie śmiechem, a może kaszel. Poruszył ręką przypominającą niedźwiedzią łapę. Szprotek przeszedł przez pokój, przykląkł na dywanie i spojrzał w twarz olbrzyma. Dovian oddał mu spojrzenie; jako Candovianin, miał grubo ciosane rysy, poorane zmarszczkami od wielu lat przebywania na słońcu. Od kilku tygodni systematycznie tracił na wadze, lecz wciąż był ogromnym człowiekiem. Uniósł dłoń, położył ją ciężko na ramieniu Szprotka i ścisnął tak mocno, że aż spowodował ból. Nie było to jednak napomnienie i młodzieniec się nie skrzywił.

– Jestem z ciebie dumny – rzekł Dovian. – Wiesz o tym, prawda? Nie byłem pewien, czy wrócisz z tej wyprawy.

Szprotek uśmiechnął się krzywo i przyznał:

– Było trochę ryzykownie.

Dovian przyjrzał się mu uważnie, ważąc znaczenie tych słów, zastanawiając się, co się kryje za tym niedopowiedzeniem.

– Nie cieszy mnie, że twoje działania są tak krwawe, lecz tego nie możemy zmienić. To nie my stworzyliśmy świat, prawda? Nie nadaliśmy mu kształtu, treści i nie nastawiliśmy ludzi przeciwko sobie nawzajem. Nic z tego nie jest naszym dziełem, co, chłopcze?

Młodzieniec przytaknął ruchem głowy.

Jeśli chciał w ten sposób pocieszyć starca, to mu się nie udało. Wydawało się, że wręcz przeciwnie. Grubo ciosana twarz Doviana wykrzywiła się, jakby z fizycznego bólu. Mężczyzna przyłożył drugą dłoń do oka, jakby chciał je sobie wydłubać.

– A zatem moja praca została chyba wykonana. Nauczyłem cię wszystkiego, czego mogłem. Spójrz na siebie: masz osiemnaście lat i już jesteś przywódcą. Nie będę narzekał, bo wiem na pewno, że jesteś człowiekiem, który doskonale sobie poradzi. Więcej nie mogłem zrobić. Przykro mi, że nie jest to życie odpowiednie dla królewicza...

– Przestań! Daj spokój. Wyjdę, jeśli będziesz się mazać jak ostatnio. Wróciłem po zajęciu brygu ligi, a ty znowu zaczynasz biadolić nad przeszłością? Nie zniosę tego. Mam wyjść?

Dovian patrzył na niego przez długą chwilę.

– Przynajmniej ludzie widzą w tobie królewską godność. Nie, naprawdę. I nie odchodź, nie pozwoliłem ci! Naprawdę widzą w tobie królewską godność. Nie wiedzą o tym, lecz aż miło patrzeć, jak nad nimi panujesz. Idą za tobą tam, dokąd by nie poszli za kimś

innym. Nazwałem cię Szprotkiem, żeby nikt nawet nie pomyślał, że płynie w tobie królewska krew. Miałaś być po prostu jedną maleńką rybką wśród miliona innych. Ale nie da się zaprzeczyć, chłopcze, że szlachetność patrzy ci z oczu i wylewa z ust, ilekroć je otworzysz.

– Nawet kiedy przeklinam?

– Nawet wtedy... – Wydawało się, że mężczyzna jeszcze bardziej zapadł się w poduszki, zadowolony z tego, co ujrzał oczyma duszy. – Nawet wtedy jesteś moim Darielem, królewiczem, który szukał ludzi podobnych do mnie w jaskiniach pod pałacem. Dlaczego to robiłeś, chłopcze? To bardzo dziwne zajęcie, wędrować w podziemnych ciemnościach. Nigdy tego nie rozumiałem.

– Nie próbuj. W każdym razie nie pamiętam aż tyle, by cię oświecić. – Szprotek wskazał pudełko, które postawił przy łóżku. – Zechcesz spojrzeć na to, co jest w środku?

– Naprawdę nie pamiętasz?

– Nie. Pamiętam i chcę pamiętać tylko moje obecne życie. Liczy się tylko to, co tutaj mamy – powiedział, wkładając w te słowa całą pewność, na jaką mógł się zdobyć.

Starał się bardzo, ale nie była to cała prawda. Chodziło raczej o to, że zupełnie nie rozumiał wspomnień sprzed życia z Dovianem. Wydawało się, że osłabia go każda myśl o tym wcześniejszym okresie. Napierały na niego z melancholią poza tym zupełnie nieobecną w jego życiu. Kiedy jednak cofał się w czasy, kiedy jeszcze się nazywał Dariel Akaran, to pragnął przypominać sobie jedynie ucieczkę przed wojną i rolę Vala w jego ocaleniu.

Opuścił Kidnaban pod opieką człowieka, nazywającego siebie opiekunem. Żołnierz ten pewnego ranka podniósł Dariela prosto z łóżka i odszedł z chłopcem na rękach. Po drodze wyjaśnił, kim jest, chociaż Dariel był półprzytomny i później nie pamiętał słów mężczyzny. W ciągu zaledwie kilku godzin przepłynęli z Crall na Łąd, a potem przez dwa dni podróżowali pieszo. Trzeciego dnia żołnierz kupił Darielowi kuca, ponieważ mały był wyczerpany i miał pęcherze na nogach. Często płakał, pytał o brata i siostry, i prosił, by mógł do nich wrócić albo pojechać do domu. Opiekun nie był niemiły, lecz wydawał się skrepowany obecnością dziecka; często patrzył na królewicza, jakby nigdy przedtem nie widział, by ktoś płakał i za skarby świata nie rozumiał takiego marnotrawstwa wody.

Mężczyzna wyjawiał, że ojciec Dariela zorganizował mu opiekę u przyjaciela w Senivalu. Wystarczy, że do niego dotrą, a męka chłopca się skończy, będzie bezpieczny i wszystko zostanie wyjaśnione. Skierowali się na zachód i przez kilka dni posuwali się krętą drogą przez zniszczony krajobraz podobny do kopalni na Przylądku Fallon, które widział Dariel – podziurawione chodnikami i odkrywkami zbocza gór, całe połączenie ziemi w zasięgu wzroku okaleczone przez ludzi. Opiekun wyjaśnił, że to kopalnie senivalskie. Wszędzie pełno

było pokrytych pyłem robotników, głównie mężczyzn i chłopców, ale też kobiet i czasami dziewcząt. Byli ubrani w łachmany i sprawiali wrażenie zajętych, chociaż nie swą zwykłą pracą. Dariel słyszał, jak wykrzykują gorączkowo jakieś strzępy wiadomości, pełne niepojętych dla niego słów, ale żadna z nich nie wydawała się dobra.

Nic nie wiedział o tym miejscu i jego znaczeniu dla ojcowskiego imperium, ale jego opiekun, rozejrzawszy się po okolicy zabarwionej na szkarłatno przez zachodzące słońce, powiedział:

– Jakież tu stworzyliśmy piekło. Piekło ze złotą koroną, nazywające siebie...

Tu przypomniał sobie o Darielu, przerwał i oznajmił, że powinni iść dalej. Dotarli już niemal do celu.

Kiedy schodzili w dół krętą drogą do górskiego miasteczka, do którego miał dostarczyć Dariela, opiekun się zatrzymał.

– Co jest? – zapytał.

Wioska była prześlicznie położona w płaskiej dolinie otoczonej szczytami. Przez kilka chwil Darielowi podobał się ten widok, dopóki nie zauważył panującego w osadzie bezruchu. Nikogo nie było na ulicach. Na polach nie pracowały żadne zwierzęta ani rolnicy. Z kominów nie unosił się ani jeden obłoczek dymu.

– Coś tu jest nie w porządku – odezwał się opiekun.

Dariel nie mógł się z tym nie zgodzić. Nie wiedział, co się stało z mieszkańcami miasteczka. Po prostu zniknęli i mimo że opiekun bardzo się starał, nie znalazł człowieka, którego szukał. Usiadł na stołku z pnia drzewa, przyglądając się miasteczku, a potem objął głowę rękami i, wydawało się, że na długie godziny zatopił się w myślach. Dariel stał nieopodal i trzymał wodze kuca, który skubał słodką górską trawę.

Kiedy opiekun podniósł głowę, sprawiał wrażenie, że podjął jakąś decyzję. Oznajmił, że uda się do sąsiedniego miasteczka. Leżało o ponad dzień jazdy wierzchem dalej na zachód. Jeśli wyruszy w tej chwili, dotrze tam o wschodzie słońca i jeśli znajdzie tam informację, wróci przed zapadnięciem zmroku. Może ktoś go szuka. Najlepiej będzie, jak zorientuje się w sytuacji i wróci z planem, co robić dalej. Będzie jednak musiał jechać szybko, więc zostawi Dariela w chacie tuż za miasteczkiem. Dał chłopcu swoją torbę i powiedział, że tak będzie najlepiej.

I odjechał. Przez jakiś czas Dariel słyszał stukot kopyt kuca, a kiedy w końcu ten dźwięk ucichł, chłopca ogarnęło przerażenie. Nawet nie zaprotestował, nie powiedział ani słowa. Jak mógł to zrobić, skoro wiedział, że ten człowiek go okłamuje?

Noc spędził w ciemności, drżąc ze strachu, skulony jak myszka i równie bezradny.

Przez kilka godzin padał równy, chłodny deszcz, a kiedy przestał, po dolinie niczym upiory zaczęły się snuć mgły. Dariel nie rozpałił ognia, nie pomyślał, żeby wziąć koc z pakunku zostawionego przez opiekuna, nawet nie całkiem rozumiał, że to, co czuje w żołądku, to głód. Jako że zupełnie nie był w stanie stawić czoła ponurej rzeczywistości swego położenia, po prostu tego nie robił. Fantazjował, że ojciec żyje i podąża mu na ratunek. Kiedy przyszło wybawienie, nie było ono bardziej przewidywalne ani prawdopodobne od tych fantazji, lecz Dariel był gotów przyjąć je z otwartymi ramionami.

– Pamiętasz tamtą noc, kiedy mnie znalazłeś? – zapytał Szprotek, siedząc na stołku przy łóżku swego wybawiciela.

– Jakby to było wczoraj, chłopcze.

– To wtedy wszystko się dla mnie zaczęło, wiesz? Byłeś cieniem, który przepchnął się przez drzwi i znalazł moją kryjówkę...

– Co za nora! – przerwał mu Dovian. – To hańba, że w ogóle spędziłeś tam noc.

– Dokładnie pamiętam twe słowa – ciągnął Szprotek. – Powiedziałeś...

– Kto by pomyślał – odezwał się cień, wchodząc do chaty z wysoko trzymaną żółtą lampą – że ostatnio wszędzie można znaleźć jakiegoś królewicza? Chyba niektórzy z nas mają szczęście.

Dariel może i dobrze pamiętał te słowa, lecz owej nocy dopiero po chwili zrozumiał, co się dzieje. Ukrywał się już trzy dni. Jakaś część jego umysłu wciąż liczyła, że opiekun wróci, chociaż w głębi serca już porzucił wszelką nadzieję. Jaki znajomy głos, pomyślał. Lecz do kogo należy i jak się tu znalazł? Dariel wiedział, że go poznaje, lecz przez kilka pełnych przerażenia chwil nie umiał go przypisać do osoby.

Cień się przybliżył.

– Wszystko w porządku, łobuziaku? Nie bój się. To Val. Przyszedł Val, żeby ci pomóc.

Val? – pomyślał wtedy Dariel. Val z jaskiń pod pałacem – żywiciel kuchennych pieców... Jego Val! Wstał, zachwiał się i przywarł do piersi mężczyzny. Kiedy odetchnął słonym, gryzącym, węglowym zapachem olbrzyma, dał upust wszystkim nagromadzonym lękom w potężnym szloch. Zebrał w dłoniach koszulę Vala i wytarł w nią łzy i zasmarkany nos, jakby był gorączkującym dzieckiem na granicy majaków.

– Och, nie rób tego, chłopcze – powiedział cicho Val. – Nie rób tego. Teraz już wszystko będzie dobrze.

I, zgodnie z jego słowami, było. A przynajmniej tak dobrze, jak to było możliwe w tych okolicznościach. Okazało się, że Val wracał do domu w Candovii; wojna spowodowała falę migracji. Przypadkiem natknął się na opiekuna Dariela w prowizorycznym obozie uchodźców, rozbitym przy drodze. Ów człowiek wypił już sporą część butelki wina śliwkowego i bez zahamowań wyznawał wszystkim dookoła, że był osobistym opiekunem jednego z królewskich dzieci. Val usiadł na tyle blisko, że czuł jego mdląco-słodki oddech. Wypytywał go, aż uzyskał odpowiedź na pytanie, kim dokładnie się opiekował oraz gdzie tchórzliwie zostawił swego podopiecznego. Mężczyzna twierdził, że nie znalazł człowieka, do którego miał przyprowadzić chłopca! Zniknął, prawdopodobnie nie żył, a opiekun nie miał dalszych instrukcji. A napływające zewsząd wiadomości – o Maeanderze w Candovii i klęsce zadanej przez Hanisha armii na Polach Alesji – sprawiły, że nie mógł już dla chłopca nic zrobić. Owszem, pozostawił go własnemu losowi, ale cóż innego mu pozostało?

Val nigdy nie wyznał, co zrobił opiekunowi; mruknął tylko coś niewyraźnie, że do końca życia nie będzie mógł jeść nic twardszego niż kozi ser czy coś podobnego. Chłopiec nic z tego nie zrozumiał, lecz obraz, jaki na podstawie tych słów zbudował sobie w myślach, zajmował go przez dużą część długiej pieszej wędrówki, w jaką zabrał go Val. Mężczyzna powiedział, że akurat zna miejsce odpowiednie dla nich, wspaniałe i rozległe, w którym mogą zniknąć. Większość podróży chłopiec odbył, siedząc na ramionach Candovianina z palcami wplecionymi w jego kędzierzawe włosy.

Wydostanie się z gór zajęło im trzy dni, a czwartego Dariel poczuł w powietrzu zapach soli. Tamtego popołudnia, na wpół śpiąc na ramionach Vala, chłopiec usłyszał jego słowa:

– Spójrz, chłopcze. To nie jest morze. To miejsce, gdzie mógłby się ukryć cały naród.

Zatrzymali się na skarpie, skąd ku zachodowi roztaczał się widok na świat. Mimo że Dariel całe życie mieszkał na wyspie, od razu widział, że rozciągająca się przed nimi woda jest inna. Nie miała turkusowego czy zielonego koloru, do jakiego był przyzwyczajony – była ciemna jak łupek, o odcień jaśniejsza od czerni, i powoli falowała nabrzmiewającymi spiętrzeniami. Bliżej linii brzegowej grzbiety niezliczonych fal wznosiły się niczym płynne góry, na chwilę jakby zawisały, wyciągnięte w powietrzu, a potem zmieniały w spieniony chaos. Czasami do uszu Dariela dochodził grzmot, dziwnie przesunięty w czasie, tak że nie dawało się dopasować widoku do dźwięku. Nigdy przedtem nie widział czegoś tak przytłaczającego potęgą i skalą.

– To mowa Szarych Zboczy – rzekł Val. – To bezkresny ocean. Tutaj znikniesz ze świata swego ojca i pojawisz się w moim.

Dariel nie odpowiedział. Od wielu tygodni wisiał nad nim niejasny, wszechobecny strach. W głębi ducha nie wierzył, że da sobie radę bez rodziny. Zniknie bez niej. Świat go pochłonie. Palce Dawcy porwą go z ziemi i odrzucą w nicość. Bał się, że nie jest bardziej cielesny od płomienia i że równie łatwo go zgasić. Świat toczy się jak zawsze, a on wciąż żyje. Ma jednak w sobie coś równie trwałego i rzeczywistego, jak reszta świata. Pomyślał, że naprawdę może zniknąć z jednego świata i pojawić się w nowym. Zniknąć i pojawić się na nowo...

I to właśnie zrobił. Val dał mu nowe życie, nadał im obu nowe imiona. Opowieści o pirackiej przeszłości nie były po prostu wymyślone, jak sądził chłopiec. Val – Dovian, zdrobnienie od nazwy jego ojczyzny – pochodził ze starego rodu łupieżców. Wkrótce po powrocie na Wyspy Zewnętrzne odzyskał wysoką pozycję i rozpoczął budowę floty oraz werbowanie załóg. Świat dojrzał, by go grabić. Znany Świat pogrążył się w chaosie, niechętnie godząc się z rządami Hanisha Meina. Wiele grup współzawodniczyło ze sobą o znalezienie miejsca na nowej mapie władzy. Val żeglował z Darielem ukrytym pod jego skrzydłami i uczył go wszystkiego, co sam wiedział o żeglowaniu, walce, piractwie, dowodzeniu ludźmi – o przetrwaniu w tej najokrutniejszej z egzystencji.

To, co było wcześniej – pałac w Akacji, jego życie jako królewicza, imperium ojca oraz troje innych dzieci zrodzonych z niego i Aleery Akaran – cóż, to wszystko wydawał się lepiej pamiętać Val niż Dariel. Dlaczego miałby usiłować trzymać się wspomnień ludzi, których nigdy już nie zobaczy? Był taki mały, że nie ułożyły mu się one w głowie w sposób uporządkowany. Owszem, istniały pewne obrazy, chwile pełne emocji, które jakby chwytaly Dariela za kark i odcinały dopływ powietrza do płuc. Czasami budził się ze snu przerażony, że coś jest straszliwie nie w porządku, lecz w miarę upływu lat nauczył się to znosić. Może to właśnie oznaczało, że żyje.

Szprotek – tak, teraz tak się nazywał i nie było powodu wracać do osobowości przestraszonego dziecka – otworzył zameczek szkatułki i wysypał jej zawartość na łóżko Doviana; złote monety popłynęły połyskliwym strumieniem. Mężczyzna popatrzył na nie, przesunął po nich dłonią, sprawdzając je dotykiem. Szepnął, że to jest to. Tego im trzeba. Będą mieli pieniądze na wszystko...

Podniósł w palcach jakiś przedmiot i przysunął go do wstęgi słonecznego blasku. Był zrobiony ze złota, a przynajmniej miał złoty kolor, chociaż wykonanie było zbyt precyzyjne, a krawędzie przedmiotu za ostre jak na tak miękki metal. Miał też niezwykle kształt. Był

grubości dużej monety, kwadratowy, powycinany wzdłuż jednego końca i ozdobiony znakami, które mogły być pismem, ale nie przypominały żadnego znanego im języka. Pośrodku widniał prostokątny otwór.

Szprotek wcześniej go nie zauważył.

– Co to jest?

Dovian przez jakiś czas się zastanawiał. Szprotek niemal widział, jak przegląda wspomnienia, opisane i wycenione skarby zbierane przez całe życie.

– Nie mam pojęcia – stwierdził w końcu. – Ale to piękna rzecz. – Przycisnął przedmiot do piersi młodzieńca. – Masz. Noś to na szyi. Jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w tarapatach i będziesz szybko potrzebował pieniędzy, będziesz mógł to przetopić na monety. Jest twoje. Reszta to więcej niż nam potrzeba na to, co zaplanowaliśmy. Przynieś mi te mapy; przejrzymy je.

Szprotek rozłożył znajome płachty na łóżku i usiadł na jego krawędzi. Uwielbiał takie chwile, kiedy Val zdawał się zapominać o swoich dolegliwościach i obaj, niczym ojciec i syn, pograżali się w knuciu i planowaniu kolejnych awanturniczych przygód. Pod wieloma względami Szprotek wciąż był chłopcem. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak bardzo miało się to wkrótce zmienić.

ROZDZIAŁ 31

Pewna szczególna talayska akacja miała potem dręczyć Thaddeusa w snach. Wznosiła się samotnie na równinie. Stała jak stary, czarnoskóry człowiek, przechylona na bok, jak ktoś osłaniający chore miejsce. Była niebezpiecznie cienka, gałęzie miała powykrzywiane i słabe, a liście tak rzadkie, że Thaddeus przekonał się, że drzewo żyje, dopiero kiedy pod nią stanął. Akacje były wytrzymałe, rosły powoli, przeciwko wrogom miały kolce, a kaprysy pogody przyjmowały ze stoickim spokojem. Może powinno być to pocieszające, lecz jeśli tak, to Thaddeus nie umiał się tego doszukać. Nic w tym kraju nie dawało mu pociechy. Niema wspaniałość krajobrazu jeszcze nigdy nie ciążyła mu tak, jak kiedy stał w skąym cieniu pod tym drzewem. Krzywizna ziemi wydawała się łagodniejsza niż gdzie indziej, odległości większe, dalekie wzgórza masywniejsze. Sklepienie niebios wydawało się w Talay wyższe niż gdziekolwiek indziej. Rozciągało się w górę, wypychane przez kłębiące się białe chmury, ułożone jedne na drugich niczym filary podtrzymujące jakąś potężną świątynię. Wszędzie, gdzie spojrzął Thaddeus – w dół i w górę, we wszystkie strony świata, blisko i daleko – poruszały się rozmaite stworzenia. Nie umiał ich policzyć ani nazwać, lecz podejrzewał, że każde badawczo mu się przygląda.

Z sześciu prowincji byłego Imperium Akarańskiego Talay był najbardziej złożony i najważniejszy. Szerokością dorównywał Candovii, Sanivalowi, Ładowi i Aushenii razem wziętym. Ciągnął się ku południowi spaloną słońcem, falującą równiną; był tak rozległy, że w ciągu trwających dwadzieścia dwa pokolenia rządów Akacjanie nie zdołali sporządzić map całego jego obszaru. Na sporej części w ogóle nie padały deszcze. Mimo że cała prowincja przybrała nazwę pewnego plemienia, w rzeczywistości Talayanie stanowili jedynie uprzywilejowany naród wśród wielu innych. Niektórzy twierdzili, że Edifus był z pochodzenia Talayaninem, lecz sam władca nigdy się do tego nie przyznał.

Natomiast niezaprzeczalnie to Talayanie jako pierwsi na kontynencie sprzymierzyli się z Edifusem. W zamian nadał im zwierzchnictwo nad sąsiadami i obarczył odpowiedzialnością za utrzymanie wśród nich porządku. Nie było to łatwe zadanie. Prowincja była zamieszкана przez trzydzieści sześć plemion i mówiło się w niej niemal taką samą liczbą języków; ludność tworzyły cztery grupy rasowe tak od siebie odmienne, że do mieszkańców prowincji jako całości nie można było stosować żadnych uogólnień. Co prawda wszyscy

mieli ciemną skórę, lecz o rozmaitych odcieniach. Wiele z tych narodów było na tyle licznych, by stanowić militarne potęgi. Pod koniec panowania Akaranów Halalyowie, Balbarowie i Bethuni mogli wystawić armie liczące po dziesięć tysięcy ludzi. Sami Talayanie mogli zebrać niemal dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy i mieli oczywiście prawo powoływać do wojska członków innych plemion. Gdyby ich władza się utrzymała, wojna z Hanishem Meinem mogłaby przybrać inny obrót. Tak się jednak nie stało, z powodów ukrytych w zamierzchłej przeszłości.

Stary duch nie umiera, pomyślał Thaddeus. Czeka jedynie na okazję.

Takie myśli nawiedzały go niespodziewanie, potęgując jego niepokój. Może ukrywał się zbyt długo, zbyt wiele lat pełzał po jaskiniach Candovii, miejscach ciemnych i wilgotnych, otoczony ziemią i głuchymi pomrukami. Lecz nie czuł się nieswojo, kiedy wreszcie wychynął na zewnątrz i rozpoczął pracę. Zbierając informacje od swoich szpiegów i słuchając wszystkiego, co mogli mu powiedzieć, miał dość duże zaufanie do swoich umiejętności. Kiedy odszukał starego generała i skierował go na nową drogę, nie miał żadnych wątpliwości co do siebie. Dlaczego więc teraz ogarnia go przerażenie?

Może, usiłował przekonać samego siebie, chodzi o to, że jest tak daleko od domu, że z każdym dniem oddala się od miejsc, w których spędził całe życie. Te ziemie były zupełnie odmienne nawet od porośniętych bujną roślinnością terenów na północy Talay. Pofalowane pola uprawne rozciągały się tak daleko, jak sięgał jego przytępiony wzrok, usiane rzędami drzew na miedzach i nielicznymi wioskami. To była przyroda wypielęgnowana, ograniczona i oswojona przez całe pokolenia ciężko pracujących ludzi. Tereny te były też gęściej zaludnione. Thaddeus wiedział, że mieszkańców bardzo przetrzebiła zaraza. Wyniszczyła ich, podobnie jak wojna, tak jak w większości prowincji. Widywało się bardzo mało mężczyzn w średnim wieku, lecz kobiety ucierpiały mniej. Było też wiele dzieci. Ich gromady na pewno cieszyły Hanisha Meina. Ustanowił prawo, wedle którego wszystkie kobiety, które mogły rodzić dzieci, musiały je rodzić. Trzeba było na nowo zaludnić Znany Świat. Do jego rozkwitu trzeba było ludzi, którzy zastąpiliby tych utraconych, nowych obywateli, którzy poruszą tryby świata. Thaddeus lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał, dlaczego ma to takie wielkie znaczenie dla Hanisha.

Cel podróży byłego kanclerza leżał dalej na południe, niż kiedykolwiek dotąd się zapuszczał, wśród spalonych słońcem równin i falujących wzgórz, w sercu Talay. Miał do przejścia kilkaset kilometrów, co dla kogoś w jego wieku było daleką drogą. Postanowił jednak iść pieszo. Samotni, obłąkani wędrowcy nie byli niczym niezwykłym. Mógłby wałęsać się w nieskończoność, nie wzbudzając najmniejszego zainteresowania u nielicznych żołnierzy

z Meinu. Może też ten jego marsz stanowił początek pokuty, chociaż Thaddeus tak tego nie nazywał nawet w myślach.

Na dwór Sangae Uluvary przybył pokryty kurzem. Wioska Umae, wtulona w płytkie zagłębienie poniżej dwóch potężnych grzbietów wulkanicznej skały, składała się z nieco ponad pięćdziesięciu chat, kilku magazynów i dołów do składowania rozmaitych produktów oraz z centralnie usytuowanej konstrukcji z drewna krytego strzechą. Służyła ona jako wielki dach nad targowiskiem, dający i cień od słońca, i osłonę przed deszczem. Sangae miał kilkuset poddanych. Ponieważ byli wspólnotą pasterską, mieszkańcy wioski rzadko zbierali się wszyscy razem. Wioska leżała w odległym zakątku świata, niezaznaczona na wielu mapach, może w ogóle nieznaną Meinom. W istocie musieliby bardzo intensywnie szukać, by znaleźć to miejsce albo odkryć zapis dokumentujący więzy przyjaźni łączące zmarłego króla Leodana z Sangae w ich młodości. Oprócz Thaddeusa żaden żyjący człowiek nie wiedział o znaczeniu, jakie dla dziedzictwa Akaranów miał Sangae.

Wezwany wódz wyszedł z wnętrza swej cienistej siedziby na słoneczny blask, mrugając powiekami. Zapatrzył się na przybysza z drzeniem i napięciem, jakby ujrzał zjawę. Po jego minie było znać, że w głowie kłębią mu się chaotycznie myśli; wydawało się, że emocje wiją mu się wręcz pod skórą. Thaddeus wiedział, że nawet tak daleko na południu wódz na pewno słyszał szkalujące go plotki. Sangae mógł nie mieć pewności, który kanclerz stoi przed nim: zdrajca czy wybawca. A to tylko jedna z przyczyn niepokoju, jaki go ogarnął. Ten człowiek od dziewięciu lat był przybranym ojcem. Musiał się obawiać tego, co dla jego syna oznacza przybycie Thaddeusa.

Kiedy jednak Sangae się odezwał, zrobił to pewnym siebie, oficjalnym tonem.

– Słońce świeci na ciebie, stary przyjacielu – powiedział – lecz woda jest słodka.

– Woda jest chłodna, stary przyjacielu, i przejrzysta dla oka – odpowiedział Thaddeus.

Było to w południowym Talay tradycyjne powitanie i Sangae się ucieszył, że były kanclerz odpowiedział na nie tak gładko i to w miejscowym języku. Zaraz jednak sam przeszedł na akacjański.

– Minęło dużo czasu. Tyle, że się zastanawiałem, czy przybędziesz. Tyle, by nabrać nadziei, że może się nie pojawisz.

Thaddeusowi trudno było na to odpowiedzieć. Wódz nie spuszczał wzroku z twarzy byłego kanclerza; wydawało się, że jego nos i usta, wypukłe czoło i szerokie kości policzkowe wyrażają więcej wielkoduszności, niż można dojrzeć na jednej twarzy. Jego pełne rysy kontrastowały ze smukłym torsem, wąskimi ramionami i klatką piersiową opiętą skórą. Oczy miał nie bardziej białe od Thaddeusa, ale mocno się odcinały od czerni jego skóry.

Przez moment Thaddeus poczuł strach. Co spotkało dziecko królewskiej akacjańskiej krwi wśród tych ludzi? Nie umiał sobie tego nawet wyobrazić. To mógł być straszliwy błąd. Odrzucił tę myśl, by nie okazać, że ma jakieś wątpliwości.

– W imieniu króla, przyjacielu – powiedział – dziękuję ci za to, co uczyniłeś.

– Nic nie widzę – odparł Sangae; było to kolejny zwrot właściwy jego ludowi, stanowiący zaprzeczenie, że zrobił cokolwiek zasługującego na podziękowania.

– Władasz moim językiem lepiej niż ja twoim.

– Od paru lat mam z kim ćwiczyć. Jak ci przebiegła podróż?

Rozmawiali przez jakiś czas na ten temat, omijając prawdziwy powód przybycia kanclerza. Tylko drobiazgi. Lecz takie pogaduszki nie mogły trwać w nieskończoność i Thaddeus – mimo strachu – w końcu zadał pytanie:

– Czy królewicz dobrze się czuje?

Sangae skłonił głowę, jakby potakiwał, chociaż nie było to jednoznaczne potwierdzenie. Gestem zaprosił Thaddeusa, by wszedł pod dach i usiadł naprzeciwko niego na kolorowym dywaniku. Młoda dziewczyna postawiła między nimi tykwę z wodą, a po chwili przyniosła miseczkę z daktylami i się wycofała. Dach nie opierał się na ścianach. Nawet w pomieszczeniach mieszkańcy Umae chcieli mieć przestrzeń, rozległe widoki i świeże powietrze. Thaddeus słyszał i widział ludzi, lecz w miejscu, które zajmował z gospodarzem, byli sami. Panował w nim zaskakujący chłód, zważywszy na piekące promienie słońca. Thaddeusowi się to podobało.

– Aliver poluje na laryksa – oznajmił w końcu wódz. – Nie ma go już dwa tygodnie. Jeśli Billau pozwoli, może wrócić lada dzień. Nie powinniśmy jednak o tym mówić. Niedobrze byłoby ostrzec widmowe zwierzęta o jego zamiarach. Ty, oczywiście, będziesz moim gościem do jego powrotu. – Sangae wziął daktyla, ale raczej nie miał zamiaru go zjeść. – Dziewięć lat. Dziewięć lat od przybycia chłopca, wystarczająco długo, żebym zaczął wierzyć, że nie przybędziesz i że Aliver naprawdę jest moim synem. Bo nie mam innego, co jest moim przekleństwem.

Thaddeus chciał coś ostro odpowiedzieć na takie użalanie się nad sobą. Pomyślał, że lepiej w ogóle nie mieć dziecka, niż stracić je w wyniku zdrady. Nie zamierzał jednak kierować rozmowy na ten temat. Powiedział więc tylko:

– Meinowie nie sprawiają ci kłopotów?

– Nie – odparł Sangae. – Słyszałem o nich, lecz oni nie słyszeli o mnie. – Pokazał zęby w uśmiechu. – Nie jestem tak sławny, jak mógłbym pragnąć. Proszę, napij się wody.

Thaddeus ujął tykwę w obie dłonie i pociągnął długi łyk, a następnie podał ją

wodzowi, który też się napił.

– A zatem dobrze, że go tu wysłaliśmy. Hanish nie przestanie polować na dzieci Akarana. Przynajmniej jedno dziecko Leodana dorastało tak, jak życzył sobie tego król.

Sangae stwierdził, że nic nie wie o pozostałych trojgu Akaranach, lecz owszem, droga życia Alivera była zgodna z królewskimi planami. Samotny opiekun chłopca sprawnie wywiózł go z Kidnabanu. Pożeglowali do Bocoum, zeszli na ląd i wtopili się w rzekę uchodźców uciekających przed wojną. Przez jakiś czas jechali wierzchem, potem przyłączyli się do wielbłądziej karawany, a później po prostu pieszo przemierzali równiny, które doprowadziły ich do Umae. Ponieważ musieli się ukrywać, podróż trwała wiele tygodni i królewicz przybył na miejsce zły, zdezorientowany i rozgoryczony. Sangae z niejakim trudem przekonał go, że wygnanie nie jest porażką. Konflikt jeszcze się nie zakończył. Aliver jest ostatnim z rodu wielkich przywódców. Sangae przypomniał mu, że w jego żyłach płynie krew starożytnych bohaterów. Mówił o Edifusie i Tinhadinie, o przeszkodach, które pokonali na drodze ku władzy. Czy piętrzące się przed nimi trudności nie wydawały się nie do pokonania? A mimo to osiągnęli cel. I Aliver też go osiągnie, obiecywał Sangae, tyle że potrzebuje czasu, by wyrosnąć na człowieka, jakim będzie się musiał stać.

Sangae splótł swe duże dłonie na kolanie.

– Tak mu powiedziałem. Dał mi na przechowanie Zaufanie Króla, a ja przez wszystkie te lata trzymałem ją w ukryciu. Miał tu dobre życie jako Talayanin. To jest prawda. A ty powinienesz wiedzieć, że nie jest już dzieckiem. W żadnym razie.

– Opowiedz mi zatem o jego życiu.

W ciągu dziewięciu lat wygnania w Talay, odparł Sangae, Aliver odgrywał rolę syna szlachetnego talayskiego rodu wojowników. Szkolił się w sztukach wojennych tego narodu, opanował władanie włócznią, przypominającą bójkę formę zapasów praktykowaną przez Talayan, a nawet stał się niezłym biegaczem. Początkowo musiała to być straszliwie ciężka praca. Może i dość dobrze opanował formy, lecz nie przygotowało go to do szkolenia, jakie przeszedł w Talay. Nawet ćwiczenia z włócznią były całkowicie odmienne. W przeciwieństwie do form, talayska sztuka wojenna nie dopuszczała działań, które nie są konieczne. Od pierwszego dnia, w którym ujął talayską włócznię, Alivera uczono, że jest to broń służąca do zabijania. Pokazano mu tysiące sposobów zadawania śmierci, a każdy z nich był skuteczny, szybki i nie marnował czasu ani siły. Surowość tej krainy, jej język i kultura oraz fakt, że nie miał w niej żadnego statusu oprócz tego zdobytego dzięki swoim czynom, stale stawiały przed nim wyzwania związane z nauką sztuk wojennych.

– A czy sprostał tym wyzwaniom? – zapytał Thaddeus.

Sangae odpowiedział twierdząco. Nigdy nie uchybił dyscyplinie i wyróżniał się odwagą. Wódz nie umiał powiedzieć, co się dzieje w głowie młodzieńca, jako że Aliver był skryty, lecz wszystkie działania traktował poważnie. Może zbyt poważnie. Jeszcze musi się nauczyć śmiać jak Talayanin. Otrzymał pierwszą opaskę tuwi – oznaczającą, że brał udział w potyczce z sąsiednim plemieniem – razem z najmłodszymi mężczyznami. Nosił ją wysoko na ramieniu. Dlatego miał pełne prawo polować na laryksa i zażądać – gdyby mu się polowanie udało – statusu mężczyzny pochodzącego z tego narodu, na tyle dorosłego, by posiadać majątek, ożenić się i zajmować miejsce w radzie obok starszyny.

– Przynależność jest ważna – rzekł Sangae – a Aliver ma wśród nas swoje miejsce. Nikt w tej wiosce temu nie zaprzeczy. Ma tutaj towarzyszy, kobiety, które z nim śpią. Nikt już nie zauważa koloru jego skóry. Taka różnica niewiele znaczy w rodzinie. On jest jednym z nas.

Thaddeus wyłapał podwójne znaczenie, lekkie zaostrenie tonu wodza. Tak, przyznał w duchu, trudno jest utracić syna, choćby adoptowanego. Pomyślał o własnych stratach i zadał sobie pytanie, dlaczego to, co ktoś stracił – albo może stracić – określa go lepiej niż to, co posiada.

– Nie wiem, jak cię przyjmie – ciągnął wódz – lecz wiedz, że nie zapomniał, dlaczego został tu przysłany. Szczerze mówiąc, sądzę, że myśli tylko o tym, co kryje dla niego przyszłość. To go złości, a mimo to... taki jest.

– A co z zarazą?

– Królewicz przeszedł chorobę jak większość mojego ludu. Pokonał ją jednak, a ona nie pozostawiła na nim żadnego śladu. – Sangae na chwilę zamilkł. Odwrócił wzrok i patrzył, jak jakiś ptak skacze po rozpalonej ścieżce. – O co chcesz go prosić?

– O nic. Prosił go jego ojciec i spełnić tę prośbę może jedynie Aliver. Czy polowanie na laryksa jest niebezpieczne?

Sangae spojrzał na niego.

– Tylko nieliczni przechodzą tak wielką próbę.

Polując na laryksa, wyjaśnił Sangae, człowiek właściwie staje się zwierzyną. Najpierw trzeba znaleźć leże zwierzęcia i rozwścieczyć je. Myśliwy zanieczyszcza okolicę – rozrzuca stopami zbitą trawę, oddaje na nią mocz, pluje, wypróżnia się. Potem czeka w pobliżu, by zwierzę wróciło, zwietrzyło go i rzuciło się w pogoń. Wtedy zaczyna się polowanie.

– Laryks nie reaguje dobrze na zniewagę. Kiedy chwyci zapach, będzie za nim szedł, aż zabije winowajcę albo padnie z wyczerpania. Myśliwy musi przed nim uciekać, starając się, by zwierzę nie straciło tropu. Skręcona kostka, źle wybrana droga lub przecenienie

własnej wytrzymałości... każda pomyłka może oznaczać śmierć. Jediną metodą zabicia zwierza jest doprowadzenie go do całkowitego wyczerpania i zaatakowanie z całą pozostałą siłą i z nadzieją, że to wystarczy. Jeśli Aliver odniesie sukces, będzie to oznaczało, że przeszedł trudną do wyobrażenia próbę fizyczną i psychiczną. Żył z demonem depczącym mu po piętach, ze śmiercią czyhającą na jeden nierozważny krok. Nie musiał podejmować tego wyzwania. Sam się na to zdecydował, a ja od tego czasu się modlę, by okazał się gotów. Ludzie podczas takich polowań giną, Thaddeusie. Być może nie będziesz miał okazji mi go odebrać. Jeśli będziesz miał szczęście spojrzeć w jego żywe oczy, będziesz miał pewność, że jest silny, jak żaden Akaran od wielu pokoleń.

– Jesteś przekonany, że był gotów do tego polowania?

– Zobaczymy – odparł Sangae.

Niepokój, jakim ta odpowiedź napełniła Thaddeusa, nie opuszczał go przez całe trzy dni oczekiwania na powrót Alivera. Jakie to byłoby okrutne, rozmyślał, gdyby królewicz zginął teraz, zanim zdążę wezwać go, by odszukał swe przeznaczenie.

Niepotrzebnie się jednak martwił. Kiedy Aliver przybył, powstał radosny gwar, który mógł oznajmiać jedynie triumf. Thaddeus stał w małym pokoiku, w którym umieścił go Sangae, i obserwował zamieszanie przez otwarte okno podparte kijkiem. Tłum był ogromny. Ludzie wylali się na ulice jak ławica oszalałych ryb; wszyscy jednocześnie dowiedzieli się o powrocie myśliwego i porzucili swe zajęcia. Wyglądało, że jest ich więcej niż mieszkańców wioski. Skąd się oni wszyscy wzięli? Thaddeus niemal się do nich przyłączył, ale na razie chciał jeszcze pozostać w ukryciu, obserwować z cienia.

Ludzie tłoczyli się wokół jakiegoś pojazdu na kołach. Był to wóz ciągnięty przez kilku mężczyzn, na tyle duży, że normalnie zaprzęgnięto by do niego jednego z tych długorogich wołów, których wieśniacy używali do przewożenia większych ładunków. Lecz teraz mężczyźni chwycili dyszle gołymi rękami. Thaddeus zobaczył dokładnie, co leży na wozie, dopiero wtedy, gdy przejechał on obok jego okna. Nadal znajdował się w pewnej odległości, lecz na tyle blisko, że były kanclerz aż cofnął się o krok. Było to martwe zwierzę, tak duże, że początkowo zastanawiał się, czy nie jest to kilka zwierząt leżących jedno na drugim. W jego długich nogach było coś wilczego, w grubej szyi coś z hieny, w pysku coś z niedźwiedzia, lecz nie było to żadne z tych stworzeń. Pod zmierzwioną sierścią miało fioletową skórę, tworzącą suchą, dziobatą powierzchnię pokrytą bliznami i złuszcającym się naskórkiem. To było straszliwe zwierzę, potwór. Jak Aliver mógł zabić coś takiego samą włócznią? Wydawało się to niemal niemożliwe.

Jakiś chłopiec wspiął się na wóz i ciągnął stwora za uszy. Kilku innych chwyciło go

za sierść wokół szyi i do wtóru ryku tłumu zaczęło szarpać jego głowę na różne strony. Jeszcze inny malec naparł całym ciałem na dolną szczękę i otworzył pysk zwierza na tyle, by móc udawać, że wkłada do niego głowę. Zmienił jednak zdanie i odskoczył z przesadnym strachem, wywołując jeszcze większy śmiech zgromadzonych.

Wszystko to było niczym w porównaniu z przyjęciem, jakie zgotowano samemu myśliwemu. Kroczył przez tłum niczym przywrócony do życia i powracający ku powszechnej radości bohater epickich opowieści. Albo jak duch takiego bohatera, bledszy niż otaczający go ludzie. Przepychał się przez poklepujące ręce, przez morze tych, którzy chcieli mu coś powiedzieć, błyskając białymi zębami. Przez chwilę wyglądali, jakby chcieli poodgryzać z niego kęsy, lecz Thaddeus wiedział, że zwodzą go własne oczy i że nie o to im chodzi.

Zdumiał go wzrost Alivera. Był o całą głowę wyższy od ojca. Pod stałym żarem słońca jego karnacja dojrzała niczym naoliwiona, wyprawiona skóra, chociaż w porównaniu z Talayanami i tak był blady. Miał obnażony tors, zarysy mięśni tworzyły delikatne, proporcjonalne linie. Jego falujące włosy rozświetlały żółte błyski, dzięki czemu były o wiele jaśniejsze, niż gdyby mieszkał na Akacji. Mógłby się przez to wydawać nie na miejscu w leżącej daleko na południu talayskiej wiosce. Sprawiał jednak wrażenie bardzo tu zdomowionego i zrównoważonego. Był dobrze zbudowanym, opalonym mężczyzną o twardych, smukłych mięśniach, silnym w żywiołowym stylu młodości. Złotą opaskę tuwi nosił nad lewym bicipsem, jakby była jego częścią i zawsze tam tkwiła. Swobodnie przyjmował zainteresowanie, uśmiechając się i lekko odpowiadając na uwagi, bez cienia wyższości.

Przez chwilę Thaddeus zastanawiał się, czy na jego twarzy nie ma cienia pokory, czy rzeczywiście zabił tego zwierza, jak wyobrażali sobie ci ludzie. Wielu akacjańskich szlachciców przypisywało sobie upolowanie zwierzyny zabitej przez służących. Przyglądając się młodzieńcowi jeszcze chwilę, doszedł do wniosku, że jeśli Aliver coś ukrywa, to nie ze wstydu. Potem posłał wiadomość do Sangae, że nie chce przeszkadzać zwycięzcy w powrocie do domu. Poprosił, by przysłać Alivera do niego później po południu, kiedy już ucichnie zamęt.

Kiedy się spotkali, nic nie poszło tak, jak Thaddeus się spodziewał. Wyobrażając sobie to spotkanie miesiącami, myślał, że uściska Alivera, przyciągnie go do siebie i zdusi wszelkie wzajemne oskarżenia. Natychmiast odnowią więź, a wszystko inne znajdzie się na swoim miejscu. Lecz kiedy Aliver pokonywał ostatnie dzielące ich kroki, Thaddeus zrozumiał, że to były mrzonki.

– Witaj, Aliverze – odezwał się. Z ulgą stwierdził, że jeszcze nieco panuje nad

sytuacją. – Przybywam do ciebie z wezwaniem, byś wypełnił swoje przeznaczenie. I przybywam w odpowiedniej chwili. Widzę, że dzisiaj zostałeś pogromcą potwora. Gratuluję. Twój ojciec byłby z ciebie dumny.

Jakie to dziwne, pomyślał Thaddeus, że tyle z chłopca żyje w rysach tego mężczyzny – w rozstawieniu oczu, zmarszczce na górnej wardze i pełnym kształcie głowy. Mimo to twarz ta była także obca. Patrzenie na nią było jak słuchanie fałszywej nuty wplecionej w znajomą piosenkę. Zniknęły miękkie linie, chociaż było to w równym stopniu skutkiem powściągliwego zachowania Alivera, co ostrości jego rysów. Czy w jego oczach płonie nieposłuszeństwo? Gniew? Zaskoczenie czy rozczarowanie? Thaddeus nie umiał sobie odpowiedzieć na te pytania – nie przerywał milczenia królewicza, usiłując go rozgryźć.

– Naprawdę sam zabiłeś tego zwierza?

Kiedy Aliver w końcu się odezwał, w jego głosie brzmiał cień talayskiego akcentu, pewna niedbałość w wymawianiu samogłosek, lecz nie stracił płynności w posługiwaniu się rodzimym językiem.

– Nauczyłem się wielu rzeczy. A więc nie jesteś martwy?

Nie na takie powitanie liczył Thaddeus.

– Usiądź, proszę – powiedział.

Słowa zabrzmiały, zanim je przemyślał, ale był zadowolony. Nadal sprawiał wrażenie spokojnego. Wiedział o tym. Nadal panował nad sytuacją. Zaczekał, aż Aliver usiądzie ze skrzyżowanymi nogami i plecami prostymi jak deska.

Thaddeus wziął list z niskiego stolika przed sobą.

– Zacznijmy od tego, królewiczu. Przeczytaj. To ważne.

– Wiesz, co tam jest napisane?

Thaddeus skinął głową.

– Ale nie wie nikt oprócz mnie.

– To nie jest pismo mojego ojca – stwierdził Aliver, rzuciwszy okiem na papier.

– Pismo jest moje, lecz słowa jego. Przeczytaj i sam osądź.

Młodzieniec pochylił głowę nad papierem. Jego wzrok prześliznął się po tekście, wrócił do początku i znów zsunął się na dół. Thaddeus nie patrzył. Nie wypada patrzeć, jak ktoś czyta. I tak znał te słowa na pamięć. Znał wszystkie słowa, którymi Leodan wyrażał miłość do swego pierworodnego. Starał się o nich nie myśleć, zapewnić Aliverowi prywatność. Nie potrafił jednak odpędzić wspomnienia słów kończących list, ponieważ kiedy królewicz na niego spojrzy, będzie musiał do nich nawiązać.

– To nie może być prawda – rzekł Aliver.

Przestał czytać, ale nadal wpatrywał się w kartkę, nie podnosząc wzroku ani nie wodząc nim po literach.

– To wszystko jest prawda. W którą część wątpisz?

Młodzieniec potrząsnął papierem, dając do zrozumienia, że kwestionuje całość.

– To o Santoth, o Mówcach Boga... to nie może być prawda. Jeśli mój ojciec chciał mi to powiedzieć, to musiał być na krawędzi śmierci. Nie myślał jasno. Spójrz, co tu jest napisane. „Synu” – udawał nonszalancko, że cytuje z pamięci – „skoro już dorosteś, nadszedł czas, byś zbawił świat”... i prosi mnie, żebym tego dokonał dzięki odnalezieniu jakichś legendarnych, szalonych magów.

– To jest możliwe, Santoth są tak realni, jak ty i ja.

Aliver utkwiał wzrok w byłym kanclerzu.

– Możliwe? Widziałeś któregoś z nich? Używałeś magii albo widziałeś, jak to się robi?

– Istnieją zapiski... – zaczął Thaddeus, a potem musiał podnieść głos, by zagłuszyć protest Alivera. – Istnieją zapiski, o których nic nie wiesz, szczegółowo opisujące Santoth.

– Legenda! – Aliver wypluł to słowo, zmieniając je w przekleństwo.

– Ta legenda żyje, Aliverze! To prawda równie niezaprzeczalna, jak istnienie słońca czy księżycy. Czy widzisz w tej chwili księżyc? Nie, ale jesteś przekonany, że go ujrzysz. Twój ojciec mówi ci, że Santoth znów mogą chodzić po Znanym Świecie. Mogą nam pomóc odzyskać władzę, jak już niegdyś to zrobili. Wystarczy, że ty – królewicz z rodu Akaranów, który zostanie królem – odwołasz ich wygnanie. Po części dlatego zostałeś wysłany do Talay, by znaleźć się najbliżej Santoth, poznać ten kraj i zdobyć umiejętności potrzebne do ich odszukania. Twój brat i siostry też znaleźli się w różnych miejscach, chociaż niewiele z naszych planów udało się wykonać. Wszystko ci o tym opowiem, Aliverze. Będziesz wiedział to samo, co ja. Wszystko. Opowiem ci też o Hanishu Meinie. On coś planuje dla swoich przodków, Tunishnevre. To jeszcze jedna siła, którą można uznać za legendę, a jednak to oni dali Hanishowi siłę...

– Kim są wspomniani przez ciebie „my”?

– Wielu ludzi czeka na twój powrót. W pewnym sensie czeka na ciebie cały świat. Z pewnych powodów tylko ty możesz...

– Dlaczego miałby mnie obchodzić twój świat albo miałbym wierzyć w cokolwiek, co mówisz? Znalazłem inne życie, wśród ludzi, którzy mówią tylko prawdę.

Thaddeus czuł w szyi pulsowanie krwi. Stłumił chwilową pokusę, by przycisnąć do niej rękę.

– Kiedyś nazywałeś mnie wujem. Kochałeś mnie. Mówiłeś to swymi dziecięcymi ustami, a ja odwzajemniałem to uczucie. Wciąż jestem tym samym człowiekiem. I wiem, że obchodzi cię los świata. Zawsze cię obchodził. Nic nie mogłoby tego z ciebie wyplenić. Taki był zamiar twego ojca, Aliverze. To, czego się tu nauczyłeś... mężczyzna, jakim się stałeś... – Z twarzy młodzieńca nic nie można było wyczytać i Thaddeus przerwał. – Widzę, że chcesz być dla mnie zagadką, ale nie jesteś. – I powtórzył z większą pewnością siebie: – Nie jesteś.

– Mówisz, że to, co zrobię, to mój wybór?

– Tak.

– A zatem już uraczyłeś mnie kłamstwami. Wiesz, że nie mam wyboru. Nie przyznałeś się też, że zdradziłeś mego ojca. Uczciwy człowiek od tego by zaczął. Tak, wiem o tym. Jak mogłoby być inaczej? Świat wie o zdradzie Thaddeusa Clegga. Rozgłosił ją sam Hanish Mein, a ja usłyszałem o niej, zanim tu przybyłem, kiedy jeszcze podróżowałem z wielbłądzą karawaną. Ludzie spierali się, czy jesteś zły, czy tylko głupi. Nie brałem udziału w dyskusji, lecz znam prawdę: jesteś i taki, i taki. Być może nie ty go ugodziłeś w pierś, ale... ale równie dobrze mogłeś to zrobić. Gdybyś był prawdziwym sługą mego ojca, padłbyś na kolana i błagał o wybaczenie.

Królewicz wstał płynnym ruchem, unosząc się i prostując nogi. Skończył. Odwracał się, by odejść. Uniósł stopę, by postawić pierwszy krok. Thaddeus nie był na to przygotowany. Nie planował, nie wyobrażał sobie, że Aliver powie to, co właśnie powiedział ani że on sam zareaguje na jego słowa właśnie tak.

Zerwał się i objął nogi młodzieńca. Wcale nie planował tego robić, lecz nie rozluźniał teraz chwytu. Spodziewał się ciosów królewicza spadających mu na głowę. Dopiero wtedy zrozumiał, co chciał zrobić przez te wszystkie lata, czego się najbardziej bał i najbardziej chciał, co miało znaczenie większe niż los narodów. Przebaczenie. Pragnął przebaczenia. Aby je uzyskać, będzie musiał powiedzieć całą prawdę, i to uczyni. Chociaż raz będzie polegał na prawdzie. A jeśli Aliver jest królewiczem, jakiego potrzebuje Znany Świat, to będzie wiedział, jak temu wszystkiemu stawić czoło.

ROZDZIAŁ 32

Młoda kobieta obserwowała węgorza wijącego się w błękitnej, przejrzystej wodzie. Leżała na brzuchu; miała na sobie jedynie kawałek materiału zamotany na biodrach, więc szorstkie, suche drewno pomostu kłuło ją w brzuch, piersi i nogi. Słońce prażyło w jej plecy z siłą, od której mrowiło ciało. Skórę miała brązową od długiego wystawiania na słoneczny blask; miejscami obłaziła, a porastające ją włoski spłówiały. Już od kilku lat nie była dzieckiem – stąd materiał opasujący jej biodra – lecz w wieku dwudziestu jeden lat wciąż miała niemal chłopięcą figurę. Jej piersi były na tyle kształtne, by kapłani z trudem się powstrzymywali, by na nie nie patrzeć, lecz małe, i tak naprawdę jej nie przeszkadzały, z czego była zadowolona. Żadną miarą nie wyglądała na ziemskie wcielenie bogini, za którą ją uważano. Była kapłanką Maeben, głównego żeńskiego bóstwa narodu Vumu, czczonego na wszystkich rozrzuconych wyspach Archipelagu Vumu.

Węgorz, którego tak pilnie obserwowała nie zatrzymywał się ani na chwilę, tylko prześlizgiwał się przez przejrzystą wodę na określoną odległość, po czym zawracał, wielokrotnie kreśląc zarys prostokąta. Woda była nieco głębsza niż wzrost człowieka, ale węgorz pływał tuż pod jej powierzchnią. Białawy piasek dna oceanu był dobrze widoczny, marszczył się wyraźnymi liniami. Młoda kapłanka mogłaby obserwować rybę w nieskończoność. Dawało jej to spokój i pozwalało rozmyślać o tym, że życie stawia więcej pytań niż dostarcza odpowiedzi.

Wstała i ruszyła w drogę powrotną po płataninie pomostów wcinających się w gładki łuk zatoki. Po położeniu słońca poznała, że czas przygotować się do wieczornej uroczystości. Jeśli wkrótce nie wróci do świątyni, przyjdą po nią kapłani. Przez chwilę rozważała, czyby im na to nie pozwolić. Denerwowali się i kiedyś bawiło ją, że jest tego przyczyną. Ale to było dawniej. Coraz trudniej było jej wyobrazić sobie życie, w którym nie byłaby wcieleniem Maeben i w którym rozkład dnia nie byłby temu podporządkowany.

Jej droga wiodła z dala od brzegu, musiała przejść przez środek miasteczka, które nazywało się Ruinat. Było niewiele większe od rybackiej wioski, podobne do wszystkich innych osad na Vumair, głównej wyspie archipelagu. Mieściła się w nim jednak świątynia Maeben, dzięki czemu zajmowało wysoką pozycję, mimo skromnych rozmiarów. Galat, położony na wschodnim brzegu wyspy, był większym ośrodkiem handlu i wymiany, lecz nie

miał w sobie nic świętego. Ruinat był skromny, a teraz cichy, jako że południowe słońce prażyło z rozedrganą, wypłowiałą intensywnością. Większość wieśniaków schroniła się w cienistych domach i drzemała, przeczekując te leniwe godziny.

Kapłanka szła z obnażonymi piersiami mocno ubitą główną ulicą; nie miała nic do ukrycia. Jej ziemską tożsamość nie była skrywana przed zwykłymi ludźmi. Znali ją wszyscy mieszkańcy wioski. Patrzyli, jak wyrasta z dziewczyny, która kiedyś pojawiła się na wyspie. Wyszła z morza z szablą ścisną w garści; mówiła jakimś obcym językiem i nie знаła jeszcze swego prawdziwego imienia. Przez te wszystkie lata śmiali się razem z nią, nauczyli mówić po vumuańsku, ganiłi za nią po ulicach i rzucali jej żarty, czasami nawet sprośne. Oczywiście kiedy wkładała na siebie strój Maeben, żaden z nich nie był tak zuchwały. Lecz wszystko miało swoje miejsce i swój czas.

Zbliżając się do świątyni, kapłanka musiała przejść pomiędzy szpalerem bogów. Totemy były olbrzymie, wykonane z najwyższych drzew z wyspy bogini, tak wysokie, że wizerunki na samej górze nie były widoczne gołym okiem. I tak nie miały być oglądane z ziemskiego punktu widzenia. To były wyrazy hołdu dla Maeben, miały być widoczne z boskiej perspektywy, wysoko z nieba.

Nazwanie bogini orłem morskim stanowiłoby chamski, świętokradczy błąd. Być może przyjmuje ptasią postać i ma siostry oraz kuzynki, będące prawdziwymi ptakami, lecz sama Maeben wszystkie je przyćmiewa. Jej oczy, bystre i jasne, wszystko widzą, potrafiła wypatrzeć każdego i wszystkich przejrzeć do samego środka. Zasługiwała na szacunek i go wymagała. A także miała władzę przypominania im o tym, ilekroć tylko zapragnęła.

W ciągu ostatnich lat młoda kobieta dowiedziała się, że w panteonie Vumu jest wielu bogów. Były bóstwa takie jak Cress, panujący nad przyływami. Przed tuńczykami pływał Uluva, przewodząc im podczas dorocznej migracji w pobliżu wyspy. Banisha była królową-boginią morskich żółwi. Tylko dzięki jej błogosławieństwu jej córki gramoliły się każdego lata na południowe plaże i zagrzebywały swoje jaja w ciepłym piasku. Był też krokodyl Bessis, który co noc zjadał księżyc kęs za kęsem aż do samego końca; nasycony po tej uczcie tylko do chwili, kiedy księżycowy owoc znów urastał do pełni, Bessis budził się z drzemki i ponownie zaczynał ucztowanie. Nowo przybyła zrozumiała, że w tym świecie wciąż się kwestionuje naturalny cykl rzeczy, wierząc, że zależy on od dobrej woli i zdrowia tylu rozmaitych bóstw. Ledwie znała imiona ich wszystkich, lecz nie miało to znaczenia. Szczyt vumuańskiego panteonu dzieliły tylko dwa z nich, a jeden stanowił ośrodek jej życia.

Maeben, w przeciwieństwie do tylu innych bogów, nie była boginią mającą określoną funkcję w naturalnym świecie. Od dnia swoich narodzin gardziła przywiązaniem do takich

trudów. Była boginią gniewu, zazdrosną siostrą nieba, uważającą, że ciągle spotykają ją afronty ze strony bogów, ludzi, zwierząt, a nawet żywiołów. Maeben Wściekła łatwo wpadała w gniew, a jej odwet był straszny. Sprowadzała burze, deszcze i wiatr, a kłapaniem dzioba krzesła iskry widziane jako błyskawice. Patrząc na ludzi, już dawno przekonała się, że są zbyt dumni i że inni bogowie zbyt ich faworyzują. Tylko raz była zadowolona z człowieka, lecz następstwa okazały się tragiczne.

Mężczyzna ten miał na imię Vaharinda. Zrodził się ze śmiertelnych rodziców, lecz z jakiegoś powodu otrzymał błogosławieństwo jeszcze w łonie matki. To nie ona kołysała go śpiewem do snu, lecz on śpiewał, by ją uspokoić. To nie ona głaskała się po brzuchu, by go pocieszyć, lecz on masował ją od środka. Vaharinda umiał postępować z kobietami; jego matka wiedziała o tym jeszcze przed jego urodzeniem. Kiedy wreszcie pojawił się na świecie, wszyscy patrzyli nań ze zdumieniem. Był pięknie zbudowany. Kiedy miał sześć czy siedem lat, dorosłe kobiety mdlały na jego widok. Jako jedenastolatek miał już setki kochanek. Kiedy miał lat piętnaście, tysiąc kobiet nazywało go mężem i twierdziło, że powiło jego dzieci. Był też odważnym i wprawnym myśliwym, wojownikiem, którego nikt nie mógł pokonać. Władał bronią, której inni mężczyźni nie umieli nawet podnieść. Wrogowie na jego widok odczuwali przemożny strach.

Pewnego dnia Maeben zobaczyła, jak Vaharinda sprawia przyjemność jednej kobiecie po drugiej. Widziała, jak leżą pod nim, dysząc, zachwycone, pełne zdumienia i radości. Słyszała, jak wykrzykują imiona innych bogów, wzywając ich na świadków przeżywanych rozkoszy. Wszystko to zaciekało Maeben. Zmieniła postać na ludzką i zbliżyła się do Vaharindy. Nie oczekiwała, że się z nim połączy, lecz kiedy tylko spojrzała mu w oczy, nie mogła się powstrzymać. Co za okaz! Jakie narzędzie przyjemności, wznoszące się pomiędzy jego nóg! Powinna się na nie wspiąć i przekonać, jakich radości może dostarczyć ciało.

I tak zrobiła. I było jej dobrze. Bardzo dobrze. Leżała potem na piasku, dysząc, i powoli uświadomiła sobie, że Vaharinda nie jest podobnie poruszony. Już gawędził z jakąś inną kobietą. Czując wzbierający gniew, Maeben zawołała go i zażądała, by wziął ją ponownie. Vaharinda nie widział najmniejszego powodu, by tak uczynić. Powiedział, że jest miła, ale nie na tyle, żeby miał porzucić inne kobiety. Że jej oczy są bladoniebieskie jak niebo, ale on woli kobiety o piwnych oczach; ona ma włosy cienkie i rozwichrzone jak bardzo wysokie chmury wieszczące zmianę pogody; on woli gęste czarne włosy, którymi może oplątywać swoje wspaniałe palce. Jej skóra ma kolor niemal białego piasku; to niezwykle, owszem, ale on bardziej lubi odcienie muśniętego słońcem brązu.

Słyszając to wszystko, Maeben zawrzała wściekłością. Z rykiem zrzuciła ludzką postać i

zmieniała się w wielkiego morskiego orła gniewu. Nikt jeszcze nie widział tak rozłożystych skrzydeł, a szpony miała wystarczająco duże, by chwycić w pasie człowieka; każdy z nich był niczym zakrzywiona szabla. Zapytała Vaharindę, czy tak mu się bardziej podoba. Świadkowie tego wydarzenia pierzchli w przerażeniu. Został tylko Vaharinda. Nigdy jeszcze nic go nie przestraszyło, i nie zamierzał tego zmieniać. Chwycił jedną ze swych włóczni i wywiązała się zażarta walka. Miotali się wściekle po całej wyspie i wspięli na górskie zbocza. Walczyli w konarach drzew, wyskoczyli na niebo i pomykali po powierzchni morza. Vaharinda walczył tak jak jeszcze żaden człowiek, lecz nie mógł zwyciężyć. Był przecież śmiertelnikiem, a Maeben boginią. W końcu zmiażdżyła go w szponach. Usiadła na gałęzi, gdzie mogli ją widzieć mieszkańcy Vumu, i zjadła go kawałek po kawałku, aż nic nie zostało. A potem odleciała. Lecz historia Vaharindy na tym się skończyła.

Kapłanka wyszła ze szpaleru bogów i pobiegła pod górę krętą ścieżką, prowadzącą do kompleksu świątynnego. Raz przystanąła i obejrzała się na zatłoczoną zatokę. Kilka łodzi żeglowało do portu, wioząc pobożnych pielgrzymów, którzy pragnęli ujrzeć boginię w ziemskiej postaci. Zajmie się nimi za kilka godzin, jak co dzień.

Zbliżając się do kompleksu, młoda kobieta przystanąła jeszcze raz. Uwielbiała patrzeć na posąg Vaharindy, który stał na cokole obok wejścia; miał także przypominać o ostatecznej władzy Maeben. Mieszkańcy Archipelagu Vumu postanowili uczcić swego bohatera. Był z nich najsilniejszy, najpiękniejszy, najdzielniejszy, obdarzony największą zdolnością zaspokajania kobiet. Był kimś, kogo inni mężczyźni chcieli naśladować. Wysłali bogate dary ludowi Teh na wybrzeżu Talay i sprowadzili wielki blok kamienia o fakturze niespotykanej na wyspie, po czym wyrzeźbili posąg Vaharindy. Został przedstawiony w pozycji półleżącej, jaką lubił przyjmować podczas odpoczynku, oddane w kamieniu mięśnie i rysy twarzy były jak żywe. Był nagi, a jego penis – jak przez większość życia Vaharindy – sterczał w górę niczym zaciśnięta pięść wymierzona w niebo. Był to wspaniały posąg, niemający sobie równego.

Patrząc na jego urodę, lud Vumu wkrótce zaczął czcić Vaharindę jako boga. Modlono się do niego, proszono o przysługi, obdarowywano kwiatami, klejnotami i palono dla niego ofiary. Wkrótce kobiety, które widziały w rzeźbie kochanego niegdyś mężczyznę, zaczęły siadać na niej okrakiem i sprawiać sobie przyjemność. Przedkładały go nawet nad mężów i wiele z nich twierdziło, że poczęły dzieci z nasienia kamiennego boga. Przychodziły do niego tak często i tłumnie, że krawędzie rzeźby się wygładziły, a jego penis stopniowo malał. Wciąż jednak dawał przyjemność i – na swój milczący sposób – otrzymywał ją w zamian.

Maeben bardzo się to wszystko nie podobało. Złościło ją to bardziej niż pogarda

Vaharindy. Postanowiła dotkliwie upokorzyć kobiety. Najpierw sfrunęła na posąg, objęła szponami członek Vaharindy i go ułamała, a potem zaniósła nad morze i upuściła do wody, co widział rekin. Myśląc, że upuściła jakiś smaczny kąsek, wychynął z głębi i połknął kamienny penis. Maeben nie posiadała się z radości. Vaharinda nie będzie już zadowalał kobiet. Jednak nie zakończyła jeszcze swojej zemsty. Zabierała dar, który Vaharinda dał kochającym go kobietom – ich dzieci. Spadała z nieba i chwytła maluchy w szpony, a potem uderzała skrzydłami i wznosiła się w powietrze z płaczącym, bezradnym dzieckiem wijącym się w jej uścisku.

Młoda kapłanka, która właśnie przechodziła obok posągu, nie mogła nie rzucić okiem na jego uszkodzone intymne części. Jakaś jej cząstka wiedziała, że to głupie, ale dziewczyna żałowała, że nie widziała Vaharindy w pełni chwały. Śniło jej się nawet, że go dosiada, jak podobno czyniły inne kobiety. W tych snach nie był jednak z kamienia. Żył, a to, co razem robili, było tak zmysłowe, że często się budziła oszołomiona, że w ogóle potrafi wyobrazić sobie takie rzeczy. Była przecież dziewicą, musiała nią być. Odgrywała główną rolę w tym dramacie. Dawno temu kapłani przepowiedzieli, że jedynym sposobem ułagodzenia Maeben jest wybranie jej żywego symbolu, który codziennie stawałby przed ludźmi, by nigdy jej nie zapomnieli. Kapłani powiedzieli, że ludzie muszą uważać, by nie czerpać zbyt wielkiej radości z życia. Zawsze muszą pamiętać, że żyją i mają się dobrze jedynie dzięki hojności Maeben. Muszą patrzeć na swoich ukochanych z domieszką smutku. Nie wolno im się cieszyć dobrym zdrowiem, nie pamiętając, że choroba czai się na wyciągnięcie ręki. Nie powinni chwalić pięknej pogody, nie mając świadomości, że pod koniec każdego lata pojawiają się burze, czyniące szkody bez względu na ludzkie cierpienie. Wszystkie te codzienne zagrożenia są konieczne, powiadali kapłani, by ułagodzić boginię o zazdrosnych oczach, którym umyka niewiele z tego, co się dzieje na ziemi. A nade wszystko kapłanka nigdy nie powinna ulec požądaniu, jakie Maeben poczuła do Vaharindy.

Może dzięki temu wyspy Vumu cieszyły się błogosławieństwem obfitości, które dawało ludziom przeświadczenie o słuszności ich wiary. W jednej z osłoniętych zatok zbierali ostrygi. W mulistych rzekach spływających z gór kłębiły się sumy długości wysokiego mężczyzny; ich grzbiety przecinały powierzchnię wody i wystarczyło, że rybacy tylko stali w swoich pirogach i rzucali włóczniami w przepływające cielska. Wiosną na morzu tuńczyki wypełniały ich sieci tak, że pękały w szwach. Latem drzewa w dolinach uginały się od owoców. Chłopcy w wieku ośmiu czy dziewięciu lat byli uważani za wystarczająco dużych, by wyprawiać się na polowania. Zawsze wracali obładowani mięsem małp, wiewiórkami i nietotami tak pulchnymi, że trudno je było nieść pod pachą. W gruncie rzeczy Maeben miała

wiele powodów do zazdrości, a lud Vumu do wdzięczności.

– Kapłanko! – rozległ się głos ze szczytu świątynnych schodów. – Chodź, chodź, za bardzo się ociągasz.

To wołał Vandi, kapłan odpowiedzialny za odzianie jej do uroczystości. Lubił sprawiać groźne wrażenie, lecz w rzeczywistości traktował ją łagodnie, jak wuj rozpieszczający siostrzenicę, nad którą ma tylko ograniczoną władzę. Wyciągnął ku niej spodnią szatę, jakby kapłanka znajdowała się na tyle blisko, by ją włożyć.

Przeskakiwała kamienne stopnie po dwa albo trzy naraz. Były płytkie, tak że człowiek zbliżał się do świątyni powolnym, odmierzonym, pełnym szacunku krokiem. Odnosiło się to jednak do oddających cześć, a nie tej, której cześć oddawano.

– Uspokój się, Vandi – powiedziała. – Pamiętaj, kto tu komu służy.

Vandi, jak większość Vumuan, był niski, czarnowłosy, miał zielone oczy i lekko wydęte usta. Jako kapłan często przebywał w pomieszczeniach, więc jego skóra nie miała tego miedzianego odcienia, co u reszty wieśniaków, lecz mimo to przedstawiał sobą nadzwyczajny widok.

– Wszyscy służymy bogini – zażartował.

Kapłanka wśliznęła się w podaną szatę i pozwoliła poprowadzić w głąb świątyni. W głębokim odosobnieniu pachnących kadzidłem komnat zaczęły ją ubierać służące. Odziały ją w liczne, pierzaste warstwy jej urzędu, mocując każdą z nich zręcznymi placami. Inne umalowały jej twarz i nałożyły maskę z ptasim dziobem, sprawdzając, czy kapłanka może oddychać. Wokół krążyły perfumiarki, nabierając do ust drobnymi łykami zawartość cennych tykw i wydmuchując pachnącą wodę w postaci delikatnej mgiełki; opanowanie tej sztuki zajęło im wiele lat. Na palce kapłanki wsunięto szpony i przywiązano je rzemieniami okręconymi wokół jej dłoni aż do nadgarstków. Miała ich w sumie sześć: po dwa na palcach i po jednym na kciukach, utrzymujących ciężar zakrzywionych pazurów. Były to przerażające pozostałości po prawdziwym orle morskim, tak ogromnym, że majestatem mógł dorównywać bogini.

Młoda kobieta cały czas stała nieruchomo z rękoma wyciągniętymi na boki. Pamiętała, że dawno temu jej ojciec podczas ubierania stał w podobnej postawie. Pomyślała, że może nie odeszła tak daleko od swych korzeni, jak sądziła. Zanim została kapłanką, miała na imię Mena. Teraz nazywała się Maeben. Podobnie. Czasami pamiętała rodzinę z wyrazistością, która ją oszalała, lecz zwykle była jak nieruchome wizerunki w ramkach, jak portrety wiszące na ścianie jej umysłu. W ten sposób widziała nawet siebie. Królowa Mena, ubrana w zbyt wiele warstw materiału, z wysadzaną klejnotami broszą przy szyi i

królewskimi spinkami we włosach. Dwóch braci pamiętała dobrze, a jej pamięć zamroziła ich odmienne postawy: Aliver był bardzo przejęty swoim miejscem w świecie, a niewinny Dariel o dobrym sercu bardzo chciał zadowolić wszystkich. Corinn nie umiała przypomnieć sobie dokładnie. To ją niepokoiło. Siostrę powinna znać najlepiej, lecz w gruncie rzeczy jej charakter najtrudniej było określić. Teraz nie miało to jednak żadnego znaczenia. Czy jej się to podobało, czy nie, to życie przeminęło. Obecnie poświęcała się czemuś całkowicie odmiennemu.

Pewnego ranka przed wielu laty obudziła się ze snu i jeszcze zanim otworzyła oczy wiedziała, że znajduje się na maleńkiej, kołyszącej się łodzi. Podniosła wzrok na bezkresne, białobłękitne niebo. Gdyby uniosła głowę, ujrzałyby dookoła te same rozhuśtane grzywacze otwartego oceanu, które obserwowała już od wielu dni, ale po raz pierwszy nappełniło ją to bardziej znużeniem niż strachem. Usiadła. Jej talayski opiekun był małomównym człowiekiem. Wyraźnie unikał patrzenia na nią, skupiony na dalekim horyzoncie, wydętym żaglu albo falach wznoszących się ze wszystkich stron łódki.

Ona obserwowała go otwarcie i bez skrupułów, przyglądając się jego szczupłej twarzy i podziwiając sprawność mimo braku dwóch palców u lewej dłoni. Posługiwał się nią bez wahania, lecz dziwnymi, jakby zakrzywionymi ruchami, które przyciągały jej wzrok. W Akacji rzadko widywała kalectwo. Nigdy nie zauważyła go u służących, a dygnitarze odwiedzający dwór na pewno ukrywaliby wszelkie takie ułomności. Mężczyzna nie wydawał się tak rośły, jak początkowo sądziła, ale może po prostu straciła perspektywę, jako że był on jedyną postacią w zasięgu wzroku na małej łódce, na tle ogromu oceanu. Rosły czy nie, był żołnierzem. U pasa miał krótką szablę. Rękojeść długiej szabli wystawała ze skrytki w pokładzie, jakby mężczyzna usiłował ją ukryć.

Po raz setny poczuła chęć pokręcenia głową nad absurdalnością całej sytuacji. Wierzyła twierdzeniu żołnierza, że ten plan ułożył jej ojciec, lecz to wcale nie przydawało mu sensu. To twarz tego mężczyzny ujrzała, kiedy otworzyła drzwi swego pokoju na Kidnabanie. To jemu zaufała, kiedy wsiedli na konie i odjechali nadbrzeżną drogą. W lesie obciął jej włosy nożycami do strzyżenia kóz. Kazał jej włożyć szorstkie ubranie i wyjaśnił, że gdyby potrzebowali przykrywkę, to ona jest chłopcem związanym z nim umową o spłatę rodzinnego długu. Jak się okazało, nikt o nią nie pytał.

Płynęli z portu do portu, rezerwując sobie miejsca na pokładzie gdzie i kiedy mogli, i dopiero po dotarciu do Bocoum mężczyzna zdecydował się kupić łódkę, którą teraz żeglowali. Targował się o nią niemal godzinę, a Mena obserwowała to ze zdumieniem. Pytała go kilka razy, dlaczego podróżują w ten sposób, lecz opiekun zawsze kazał jej czytać list,

który dał jej wcześniej. Zawierał on nazbyt oszczędne wyjaśnienie, napisane ręką Thaddeusa. Najlepszym sposobem ukrycia jej było podróżowanie bez ostentacji, bez przyciągania niechcianej uwagi, rezygnując z luksusów.

Nikomu nie przyszłoby do głowy, że dzieci Akarana podróżują tylko z jednym obrońcą; w ten sposób mogły się ukryć na widoku i działać bez przeszkód. Ważne było, by nie zostawiać żadnych śladów, które później ktoś mógłby wykorzystać do wytropienia uciekinierów. Tłumaczyła sobie, że to dlatego nie mogli sprawiać wrażenia, że mają do dyspozycji finanse królestwa. To udawanie stawało się, delikatnie mówiąc, nużące.

– Dokąd mnie wiesz? – zapytała Mena.

Opiekun odwrócił się i przez chwilę obserwował morze za rufą. Mena zauważyła, że robi to mniej więcej co minutę, jakby był to jakiś przymus, którego powściągliwy zwykle mężczyzna nie umiał pohamować.

– Wypełniam rozkazy – odparł.

– To wiem. Ale dokąd rozkazano ci mnie zawieźć?

– Na Archipelag Vumu. Tak, jak ci mówiłem wczoraj i przedwczoraj, królewno.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ja tylko wypełniam rozkazy.

– Zawieziesz mnie zamiast tego do domu?

Musnął ją wzrokiem wyrażającym uczucie, którego nie potrafiła zidentyfikować. A potem znów spojrzął na morze.

– Nie mogę. Nawet gdybym chciał... nie mogę. Rozumiem, że jesteś przerażona, ale robię wszystko, by ci pomóc.

– Kiedy tam dotrzemy?

– Za kilka dni. To zależy od wiatru i prądów.

Poruszył ręką, jakby im nie ufał, a nawet nie miał pewności, gdzie ich szukać.

Mena wpatrywała się w niego, nieprzekonana.

– Przecież nie powiedziałam, że jestem przerażona. To ty się boisz. Dlaczego ciągle się rozglądasz? Na co patrzysz?

Zgromił ją wzrokiem, a potem popatrzył przed siebie, jakby nie chciał odpowiedzieć. Lecz szacunek dla jej rodziny – jakkolwiek mogły go naruszyć niedawne wydarzenia – kazał mu zmienić zdanie.

– Za nami jest łódź – powiedział w końcu. – Zbliża się do nas.

Rzeczywiście. Na razie była małeńka, Mena ominęłaby ją wzrokiem, uważając ją za grzywacz na jednej z fal. Pojawiała się i znikwała w polu widzenia, kołysząc na falach

podobnie jak ich łódka. Początkowo Mena nie była przekonana, że płynie za nimi. Jak on może być tego pewien na tak rozfalowanym morzu? Lecz po godzinie pomyślała, że może jednak za nimi podąża i nawet jest już nieco bliżej. Za każdym razem, kiedy wynurzała się z doliny między falami i przecinała szczyt jednej z nich, wydawała się większa. Mena zapytała Talayanina, czy nie powinni na nią zaczekać. Może wysłano ją z Akacji, by ich odnalazła. Może mogliby zawrócić. Opiekun nie odpowiedział ani nie zmienił kursu i nie opuścił żagla. Nie miało to jednak większego znaczenia. Ta druga łódka był szybsza, miała dłuższy kadłub i większy żagiel. Stopniowo ich doganiała, popychana nabrzmiewającym sztormem. A może ciągnęła sztorm za sobą. Trudno było powiedzieć, co kieruje czym.

Podmuchy wiatru rozorywały powierzchnię wody i miały łódką niczym zabawką. Fale wznosiły się coraz wyżej. Późnym popołudniem druga łódź zrównała się z nimi i cięła wodę z tą samą szybkością, początkowo oddzielona stoma metrami morza, potem zaczęła się przybliżać. Prowadził ją samotny mężczyzna. Mena ledwie go widziała; usiłowała dostrzec jakieś szczegóły – wciąż mając nadzieję, że to posłaniec od jej ojca – gdy mężczyzna wstał. Przez chwilę łapał równowagę. W ręce trzymał jakby tyczkę. Opiekun też musiał to zauważyć. Wyszczał przekleństwo. Gestem nakazał Menie, by podeszła do niego, i powiedział coś, czego jednak nie rozumiała. Pomyślała, że chyba chce, żeby wzięła rumpel, który zaciskał pod pachą. A może linę, którą szarpał. Tak czy owak zmroził ją niepokój w jego głosie i gestach, i nic nie zrobiła. Wspięli się na falę i rzucili się w dół z żaglem tak wypełnionym gniewnym wiatrem, że Mena się bała, iż może oderwać się i odlecieć jak latawiec zerwany z uwięzi.

Przez chwilę byli w dolinie sami. A potem znów były dwie łódki. Ta druga zsuwała się po fali w ich stronę z sykiem wody rozcinanej dziobem. Ścigający cisnął tyczkę – teraz było widać wyraźnie, że to włócznia – z siłą, od której niemal wypadł z łodzi. Pofrunęła w stronę opiekuna i utkwiała pośrodku jego piersi, jakby tu było jej miejsce. Mężczyzna puścił rumpel i chwycił drzewce włóczni. Nie usiłował jej wyciągnąć, lecz sprawiał wrażenie, jakby chciał podtrzymać jej ciężar. Wykrztusił strumień krwi, a potem sięgnął do tyłu jedną ręką, przeciągnął się nad burtą i zniknął w wodzie.

Łódka okręciła się i przechyliła na bok, nabrała wody, wyprostowała się i znów okręciła. Mena musiała się rzucić na pokład, by nie uderzyła jej rejka. Żagiel miotał się jak przerażone zwierzę, lecz nie chwycił wiatru jak chwilę wcześniej. Mena nie miała pojęcia, co z nim robić. Sparaliżowana, patrzyła w górę na materiał wypełniony wściekłym życiem. A potem poczuła coś, czego nie doświadczyła od wielu dni – uderzenie łódki o coś twardego. Poderwała się.

Druga łódź znajdowała się tuż obok, burta w burtę; obijały się o siebie, jakby rwały się do bitki. Napastnik wyskoczył ze swojej łodzi i pewnie wylądował w łódce Mena. Obrzucił ją spojrzeniem, lecz się nie zbliżył. Trzymaną w ręku liną związał obie żaglówki na tyle luźno, by mogły się nieco oddalić od siebie. Na chwilę zniknął Mena z pola widzenia, a potem się wyprostował, grzebiąc w torbie jej opiekuna. Czego chciał? Co jej zrobi? Nie umiała sobie tego wyobrazić, lecz szczegóły nie miały raczej znaczenia. Bez względu na odpowiedź, będzie to coś przerażającego. Początkowo nie zdawała sobie sprawy, że jej dłonie odnalazły broń – szablę opiekuna. Udało jej się wydobyć ją z kryjówki, była jednak zbyt ciężka, by zdołała ją unieść. Nie mogła jej nawet wyjąć z pochwy, więc czubek kreślił na deskach zygzakowaty ślad. Nigdy nie czuła się tak bezsilna.

Zdziwiło ją, że obcy odwrócił się do niej plecami. Przez chwilę ciągnął linę, a potem przeskoczył przez burtę z powrotem do swojej żaglówki i szybkim ruchem rozwiązał węzeł na linie łączącej obie łódki. Wyglądało na to, że Mena w ogóle go nie interesuje.

– Co robisz?! – krzyknęła.

Żołnierz spojrzał na nią, utrzymując łodzie razem tylko dzięki obłożeniu liny na knadze obok swojej stopy. Najwyraźniej chciał uniknąć odzywania się do dziewczynki, lecz, zapytany, nie mógł odmówić odpowiedzi.

– Nie chcę cię skrzywdzić, królewno – odkrzyknął, by usłyszała go przez szum fal i świst wiatru. – To, co się tu zdarzyło, dotyczyło tylko tego człowieka i mnie. Do ciebie nic nie mam.

– Wiesz, kim jestem?

Mężczyzna skinął głową.

– Dlaczego zabiłeś tego żołnierza? Co ze mną zrobisz?

– Mieliśmy... różne poglądy. Z tobą nie mam zamiaru robić nic.

Wzniesli się na szczyt fali i na chwilę zapanował chaos. Kiedy znów ujrzała twarz mężczyzny, Mena zapytała:

– Chcesz mnie tu zostawić na śmierć?

Pokręcił głową.

– Nie umrzesz. Płyniesz z prądem, który ciągnie cię ku wschodowi. Przepływa przez Vumu jak przez sito. Nawet jeśli nie postawisz żagla i tylko będziesz dryfować, za kilka dni ujrzysz ląd i odnajdziesz ludzi. Od ciebie zależy, co zajdzie między wami.

– Nie rozumiem – odrzekła Mena ze zdenerwowaniem.

Mężczyzna spojrzał na nią z lekkim szyderstwem w oczach.

– Nie tylko ty masz jakąś historię. To, co tu się stało, miało związek tylko z nami

dwoma. – Pogardliwym ruchem podbródka wskazał na głębię pod nimi. – To stary dług, teraz już spleacony.

– Jesteś wrogiem mojego ojca?

– Nie.

– A zatem jesteś jego poddanym! Rozkazuję ci, byś mnie tu nie zostawiał!

– Twój ojciec nie żyje, a ja już nie przyjmuję rozkazów. – Rzucił luźne zwoje liny do jej łódki. – Królewno, nie wiem, co chciał osiągnąć twój ojciec, wysyłając cię tutaj, lecz świat nie jest już taki jak kiedyś. Płyn bezpiecznie w swoją drogę; ja zrobię to samo.

Więcej już się nie odezwał. Odwrócił się do niej plecami i postawił żagiel. Płótno się wydeło i łódka odpłynęła, wspinając się ukośnie na nadsciągającą falę. Mena patrzyła, jak żaglówka znika za jej grzbietem; słowa mężczyzny odczuła jak policzek. Uświadomiła sobie, że do tej pory żywiła naiwną wiarę, że świat kręci się wokół niej i jej rodziny. Nigdy przedtem nie dopuszczała do siebie myśli, że czyjeś postępowanie może zmienić bieg jej życia. Jakie to niemądre. Ostatnie wydarzenia były na to dowodem. Czyż działania Hanisha Meina nie zmieniły jej życia? Jej opiekun i jego zabójca też mieli swoje historie, żywoty, losy. Uświadomiła sobie, że świat to taniec miliona losów, w którym ona jest tylko jedną z wielu dusz. Tak przynajmniej zapamięta to wydarzenie i wpływ, jakie miało na nią.

Ale tymczasem patrzyła na znikającego w oddali zabójcę za każdym razem, kiedy wznosił się na fali. W końcu zniknął jej z oczu. Była sama, a otaczało ją tylko pozbawione wyrazu niebo i ruchome góry wody, które w tej chwili tworzyły cały świat. Było tak jeszcze przez pięć dni, aż wreszcie dostrzegła wyspę, która miała stać się jej domem, jej przeznaczeniem.

– No, znów jesteś boginią – powiedział Vandi, cofając się, by przyjrzeć się kapłance w pełnym stroju. – Niech będzie pochwalona i ujrzy w nas pokorę!

Służące, które ją ubierały, powtórzyły to półgłosem i odstąpiły od niej z szacunkiem. Ta chwila zawsze się wydawała Menie dziwna. Te młode kobiety same ją przekształciły. Włożyły każdą część kostiumu na jej niemal nagie ciało, a mimo to po skończeniu pracy uginały się pod nimi kolana ze strachu przed tym, co stworzyły. Ruszyła między nimi za Vandim w stronę dźwięku czyneli i dzwonków, oznajmiających rozpoczęcie uroczystości. Pomyślała, że Vumuanie to dziwny lud. Mimo to zawsze lubiła tych ludzi i czuła się wśród nich dość swobodnie. Tak było od pierwszej chwili, kiedy ich ujrzała.

Przybyła na wyspę w dramatycznych okolicznościach. Z łatwością mogła zginąć; fakt, że żyła i to, jak wyłoniła się z morza, zadecydowały o późniejszym rozwoju sytuacji. Sama w łódce z mizernymi zapasami, jakie jej zostały, przez dwa bite dni obserwowała, jak wyspa się

do niej przybliżyła. Morze było już spokojniejsze, lecz wyspę otaczała rafa barierowa, przez którą ocean wściekle przerzucał fale. W miarę, jak się przybliżała, Mena nabierała przekonania, że dzięki ich wysokości może uda jej się przebyć spienioną wodę i dotrzeć do spokojnej laguny. Lecz nie miało to być takie łatwe. Łódka zahaczyła o coś dnem. Mena puściła rumpel i runęła do przodu, uderzając ramieniem w pokład. Ból był straszliwy, obezwładniający, przesłaniał niemal wszystko dookoła. Przetoczyła się na plecy, zaparła z całych sił i patrzyła na fale przelewające się przez łódkę. Czuła, jak kadłub szoruje po rafie, a łódka obraca się bokiem i przewraca. Mena na chwilę zawisła w kotłującej się wodzie zalewającej jej usta; oddychała nią i krztusiła się jednocześnie. Maszt zapewne się złamał i łódka zaczęła obracać się wokół własnej osi, aż świat stracił wszelki sens.

Mena została wyszana z łódki, a fale podrzucały ją, obracały i szarpały. Jej twarz, ręce i nogi wiele razy otarły się o koral. Ścisnęła coś w dłoni, jakiś przedmiot, który klinował się i wykręcał jej rękę. Sądziła, że to część łódki i nie chciała go puścić. Mena miała nadzieję, że jeśli będzie się trzymać deski, drzewca czy cokolwiek to było, może przeżyje. Zmieniła zdanie, kiedy to, co trzymała, wyszarpnęło jej rękę ze stawu.

Zapewne straciła przytomność. Nie była tego pewna, lecz po chwili po prostu się obudziła, chwytając spokojne powietrze. Wciągała je spazmatycznie do płuc, całą sobą skupiona na gorączkowej potrzebie oddychania. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że pod stopami ma piasek. Otaczająca ją woda była ciepła i spokojna. Fale załamywały się dość blisko, lecz Mena przebyła ten niebezpieczny pas i widziała poszczególne drzewa na brzegu. Co więcej, dostrzegła dym, strzechy chat i łódkę płynącą wzdłuż brzegu. Przypomniała sobie przeszywający ból ramienia, lecz wszystko było na swoim miejscu, a tępy ból w stawie ledwie czuła.

Kiedy zaczęła iść przez wodę do brzegu, zauważyła, że lewą ręką ciągnie za sobą jakiś przedmiot, dość ciężki mimo zanurzenia w wodzie. Dłoń miała zaciśniętą na rzemieniu, a właściwie to rzemień zaplątał się wokół jej nadgarstka tak mocno, że dłoń zsiniała i spuchła. Kiedy Mena ją uniosła, wyciągnęła na powierzchnię długą szablę swego opiekuna. Rzemień okręcony wokół jej nadgarstka służył do przytrzymywania broni na plecach. Trzymała się szabli, a nie jakiegoś kawałka łódki. Być może przez chwilę trzymała samą szablę, ale nie zgubiła jej tylko dzięki poplątanemu rzemieniowi, jakby sama broń bała się głębi i nie chciała opuścić Meny.

Tak więc jako dwunastoletnia dziewczynka, niedawno osierocona i oddzielona od wszystkich, których wcześniej знаła, przybyła na wyspę uzbrojona w szablę wojownika. To, co zostało z jej ubrania, przywarło do niej w strzępach. Włosy miała potargane. Wieśniacy,

którzy zebrali się na brzegu i patrzyli, jak idzie w ich stronę, nigdy nie widzieli nikogo podobnego. Wydawało się, że przebyła ocean bez łodzi. Kiedy otworzyła usta, usłyszeli obcy język. Nikt go nie rozumiał. I tak narodził się mit.

Jej przybycie do Ruinat poprzedzała przekraczająca jej najśmielsze wyobrażenia opowieść, którą zrozumiała dopiero później. Wyglądało na to, że czas jej przybycia był na tyle szczęśliwy i niezwykły, że dało się je wytłumaczyć jedynie dzięki dziwnej mieszance logiki i wiary. Wieśniacy zaczęli szeptać między sobą. Czy Vaharinda nie mówił, że Maeben w ludzkiej postaci ma bladoniebieskie oczy, tak jak ta dziewczynka? Czy nie powiedział, że jej włosy są cienkie i rozwichrzone? I czy jej skóra nie ma koloru jasnego piasku? No dobrze, dziewczynka jest trochę ciemniejsza, lecz w sumie efekt był przekonujący. Potrzebowali nowej Maeben już od pewnego czasu, lecz kapłani nie mogli znaleźć odpowiedniej dziewczynki. Zwykle rodziła się wśród nich. W tym wypadku bogini wydała się im w jeszcze prawdziwszej postaci. Jej przybycie nie było idealne, jeśli chodzi o symbolikę, lecz na pewne sprawy nie zwrócono uwagi, inne ubarwiono, a pewne szczegóły wręcz zmyślono. W końcu Mena nauczyła się przedkładać mit nad prawdziwą historię swego przybycia na wyspę. Cieszyła się z władzy, jaką jej to dawało, z prawa do gniewu, ze statusu nieszczęśliwego dziecka bogów, nieprzystosowanego do odczuwania radości, co inni uznawali za oczywiste i koniecznego dla podtrzymywania życia. Ze statusu kogoś szczególnego.

Dziewięć lat później, kiedy wyszła na taras ponad ciżbą wiernych, nie było wątpliwości, że właśnie taka jest. Ludzie podnieśli na nią wzrok. Stała oświetlona blaskiem pochodni. Przeszła się po tarasie w pierzastej wspaniałości, ufarbowanej na pięćdziesiąt rozmaitych barw, z potężnymi zakrzywiającymi się szponami. Oczy, które patrzyły na zgromadzonych spoza zakrzywionego dzioba maski, były dalekowzroczne i przenikliwe. Z czubka głowy Meny sterczały w powietrze kolce, szalona, zjeżona płatanina tworząca pióropusz. Stanowiła połączenie piękna i zagrożenia, żyjącą tuż ponad nimi istotę w części drapieżną, w części ludzką, w części boską. Nie wątpiła, że jeśli tylko zechce, może runąć z góry i wyrzucić na nich wszystkich straszliwą zemstę. Tuż obok serca nosiła w sobie zdolność wyrządzania krzywdy.

Pomocnik głównego kapłana oznajmił jej przybycie. Skarcił wiernych za ich mierność. W wyznaczonej chwili Mena wyrzuciła w górę ręce; zatrzepotał pokryty piórami materiał. Wszystkie głowy skłoniły się ku ziemi. Niektórzy padli na kolana, inni rzucili się na płask. Wszyscy błagali o litość. Wielbili ją śpiewem, nakładającym się na rytm wybijany przez dzwonki. Kochali ją i bali się jej. Kapłani gromili ich, przypominali im o szaleństwach ludzkości, pytali, czy rozumieją, że zemsta przychodzi z nieba z szybkością wołania orła.

Falszywie brzmiąca muzyka rozległa się głośniejsz; wszystko pulsowało i drżało od pytań, odpowiedzi, jęków i błagań wiernych rozciągniętych na ziemi.

Patrząc nad głowami kapłanów na tłum szlachetnie urodzonych, na dalej stojące pospólstwo, na kobiety i dzieci na obrzeżach – wszyscy byli zgięci w pełnym szacunku ukłonie, akcie pobożności, którego nie mogli zakończyć, dopóki ona nie da im znaku – pomyślała, że może rzeczywiście jest Maeben. Była nią cały czas. Po prostu odnalezienie samej siebie zajęło jej trochę czasu. Teraz to jest jej dom. To jest jej życiowa rola. Jest Maeben, złodziejką dzieci, zemstą ciśniętą z nieba. To jej ludzie wyjawiają swoje lęki i przyrzekają uwielbienie.

Zawołała, że wierni mogą się podnieść i jeszcze raz na nią spojrzeć. Mówiła czystym głosem, jak zawsze, kiedy przemawiała przez nią Maeben, przebijając się przez inne dźwięki. W takich chwilach nigdy nie była kimś innym. Nie miała najmniejszej wątpliwości, że gdyby rozpostarła skrzydła i rzuciła się z piskiem w powietrze, wyciągnęłyby się wszystkie ręce, by ją złapać. A jeśli można skoczyć z wysokości bez strachu, że się spadnie, to chyba posiadało się tajemnicę latania? Jak ptak, jak bóg.

ROZDZIAŁ 33

Jaki to dziwny kraj, pomyślał Hanish, patrząc z balkonu swego gabinetu na rozmigotane Morze Wewnętrzne. Zawsze wydawało mu się nienaturalne, że ziemia może być tak łaskawa dla żyjących na niej ludzi. W pewnym sensie uważał za niezdrowe, że klimat może być tak dobroczynny, tak łagodny. Oto kraj, w którym zmagania uważane przez Hanisha za konieczne dla życia zostały usunięte lub nigdy nie istniały. O każdej porze roku można było wyjść na dwór na łagodne powietrze, a w najgorszym wypadku w chłód lub kilka płatków śniegu. Meinińskie dziecko mogło spokojnie przetrwać najniższą temperaturę, na jaką było stać Akację, przebywając przez całą noc nago na dworze. Na płaskowyżu tragedię oznaczał jeden zapomniany pakunek z zapasami, jeden popełniony błąd, nagła zmiana wiatru, wskazówka zostawiona wilczym watahom... Na świecie istniało tyle sił zdolnych do wyrządzenia człowiekowi krzywdy, że nigdy nie można było osłabić czujności. Niczego nie można było robić bez pełnego zaangażowania. Akacja była zupełnie inna. Łatwe życie, luksusy... W czymś takim też kryje się niebezpieczeństwo. Trzeba tylko sobie uświadomić, że zagrożenie ma i surową, i łagodną twarz.

– Królu Hanishu Meinie, dziwi mnie, że ktoś na twoim stanowisku stoi plecami do pokoju, do którego każdy może wejść.

Hanish rozpoznał głos. Czekał na tego mężczyznę, a jego głos poznałby wszędzie. Nie można było pomylić tego nosowego brzmienia, nuty samozadowolenia, przerw między pewnymi słowami wypełnionych jakby mruzeniem. Przygotował się, że zostanie wytrącony z równowagi. Lecz po chwili to minęło, nie pozostawiając na jego twarzy żadnego śladu. Przy ludziach takich jak Sire Dagon umiejętność ukrywania prawdziwych myśli i jednocześnie zachowanie sceptycyzmu wobec wszelkich propozycji miała zasadnicze znaczenie.

– Nie jestem królem – rzekł Hanish, odwracając się twarzą do Sire'a Dagona. – Proszę, wolę pozostać wodzem. Tak się składa, że teraz jestem głównym wodzem Znanego Świata. Jeśli zaś chodzi o moje bezpieczeństwo, nie wszystkie pałace są tak groźne, jak te ligi.

– Hmm... Słyszałem coś innego – odparł władca ligi.

Chociaż był wysoki, jego ciało sprawiało wrażenie dziwnie słabego, jakby miał mięśnie ledwie wystarczające do utrzymania pionowej postawy. Wydłużoną głowę okrywał kapturem, lecz jasne światło popołudnia wydobywało z jego twarzy niespotykaną liczbę

szczegółów. Miał przekrwione oczy, charakterystyczne dla nałogowego palacza mgły. Mimo to były czujne, a skrywający się za nimi umysł jasny. Hanish nie rozumiał, jakie zastosowanie znaleźli dla tego narkotyku. Najwyraźniej używali go do zupełnie innych celów, niż otumanione masy.

Przedstawiciele ligi nie dotykali innych na powitanie, więc tylko zbliżyli się do siebie i ukłonili.

– Tak czy owak – ciągnął Sire Dagon – cieszę się, że to z tobą się teraz spotykam zamiast jakiegoś samozwańca. Słysząc pogłoski, że lada dzień możesz zostać wezwany do wzięcia udziału w tym waszym tańcu. Jak go nazywacie?

Hanish bardzo dobrze wiedział, że Sire Dagon pamięta to słowo. Przedstawiciele ligi mieli encyklopedyczną pamięć.

– Maseret – odpowiedział.

– O, właśnie. Maseret. Wybacz mi sugestię, że ten zwyczaj nie powinien być kultywowany. Jesteś znany ze swego męstwa, owszem, lecz błędem jest mówienie każdemu mężczyźnie twojej rasy, że mógłby mieć wszystko to, na co ty zasłużyłeś. Po co dawać innym taką szansę? To mogłoby pchnąć ambitnych głupców do rzucenia ci wyzwania.

Kilku już to uczyniło, pomyślał Hanish. Od czasu przybycia do Akacji tańczył pięć razy, co oznaczało, że od jego noża zginęło pięciu jego własnych ludzi. Każdy z nich pragnął władzy. Każdy miał nadzieję zyskać wszystko dzięki zwykłemu morderstwu. Wiedział, że Sire Dagon też już o tym wie. Nie ma potrzeby o tym wspominać.

– Czynisz mi zaszczyt, sugerując, że liga przywiązuje znaczenie do tego, z kim ma do czynienia.

– Dałeś swojemu ludowi świat, którym teraz rządzi. Liga o tym pamięta, nawet jeśli zapominają o tym niektóre bliskie ci osoby. Osobiście podziwiam twoją determinację. I, owszem, Hanishu, to jest komplement. W moim wieku interesuje mnie niewiele rzeczy. Przyjacielu, nawet zdobywanie bogactwa stało się dla mnie bardziej nawykiem niż ambicją.

Hanish wątpił, czy nawet zbliżająca się śmierć mogłaby stłumić żarłoczną ambicję przedstawiciela ligi, lecz nie dał tego po sobie poznać. Nie skwitował też wzmianki o bliskich mu osobach. Czy to kpina, czy ostrzeżenie? Gestem ręki pokazał, że powinni schronić się przed słońcem.

Znalazłszy się w komnacie, usiedli naprzeciwko siebie w skórzanych fotelach o wysokich oparciach, stojących po obu stronach ozdobnego stołu w senivalskim stylu. Weszła grupa służących z tacami pełnymi jedzenia i napojów, niesionymi na nagich przedramionach. Mężczyźni rozmawiali chwilę. Każdy udawał swobodę w obecności drugiego, niczym starzy

przyjaciele niemający pilniejszych tematów niż długość okresu wzrostu na Akacji, zbliżająca się migracja jaskółek i dodatni wpływ morskiego powietrza na zdrowie. Hanish cieszył się z tego chwilowego wytchnienia. Pozwalało mu przyjrzeć się Sire'owi Dagonowi, ważyć nie tylko to, co mówił, ale i jak to mówił, poszukać myśli zdradzanych ruchem dłoni czy naciskiem, z jakim wypowiadał pewne słowa. Wiedział, że przedstawiciel ligi poddaje go podobnej obserwacji.

– A zatem, Sire Dagonie, wróciłeś niedawno z drugiej strony świata?

– Tak, wróciłem z drugiej strony świata.

Jak wielokrotnie poprzednio, Hanish chciał wyciągnąć od gościa informacje o cudzoziemcach, o Lothan Aklun. Kim są ci ludzie, mający tak wielki wpływ na losy Znanego Świata? Byli jego sprzymierzeńcami w walce z Leodanem Akaranem, lecz nigdy nie widział żadnego z nich i nic nie wiedział o ich obyczajach czy historii. Nawet nie znał imienia żadnego z nich. Mieszkali na łańcuchu wysp, biegnących wzdłuż wybrzeża kontynentu znanego jako Inne Kraje. Nie chcieli się kontaktować ze Znanym Światem, zadowolając się bogactwami, które im zapewniał Kontyngent. O ile Hanish wiedział, żaden z nich nigdy nie wyprawiał się na drugą stronę Szarych Zboczy; robiła to za nich liga.

Podczas pierwszych lat sprawowania władzy żądał informacji, z kim ma do czynienia. Przedstawiciele ligi obiecali przekazać tę „prośbę”, lecz nic z tego nie wynikło. Zasypywał pytaniami o Lothan Aklun nawet Calracha z Numreków, którego lud pochodził z tamtej strony świata. Niewiele z tego, co mówił, miało sens – Calrach określał Lothan Aklun słowem „nieważny”. Twierdził, że są tylko kupcami.

Dziewięć lat u władzy, a Lothan Aklun byli dla Hanisha znani tylko z niezaspokojonego apetytu na małych niewolników oraz produkcji narkotyku, który pomagał mu zapanować nad niespokojnym imperium. Przedstawiciele ligi zapewniali, że tak musi pozostać, a Hanish wiedział, że Sire Dagon nie da mu teraz nowych odpowiedzi. Postanowił nie poruszać tego tematu.

– Nawiasem mówiąc – powiedział Sire Dagon – Lothan Aklun są zadowoleni, że robisz postępy z antokami. Sprezentowali ci je w przekonaniu, że znajdziesz sposób na wykorzystanie ich żarłoczności. Cieszą się, że ci się to udało.

Hanish skinął głową. W rzeczywistości niewiele miał z nimi wspólnego. Te dziwne zwierzęta widział tylko raz. Były ogromne, jak żywe wersje olbrzymów, których kości czasami znajdowano w ziemi. Właściwie nie umiał ich opisać. Stanowiły mieszaninę najgorszych cech świń i psów, były nieczułe, brutalne i żarłoczne. W końcu wymyślił praktyczny sposób wykorzystania ich w bitwie, lecz zajmowanie się nimi zostawił

Maeanderowi w odludnym kompleksie w Senivalu. Im mniej słyszał o tych stworzeniach, tym lepiej.

Sire Dagon nie drażył tematu.

– Ufam, że wiadomość, którą przynoszę, sprawi ci przyjemność – powiedział. – Lothan Aklun chcą rozwinąć handel z tobą. Jak wiesz, od wielu lat wykazują cierpliwość. Niewielka danina, jaką im dotąd posyłałeś... Rozumiesz, że uważają za uprzejmość fakt, że przyjmują ją bez skargi i że zaopatrują imperium w mgłę jakby na kredyt. To był konieczny okres dostosowawczy, lecz już się skończył.

Przerwał i uniósł brew. Hanish dał mu sygnał palcami, by mówił dalej.

– Zobowiązaliśmy się, że dostarczymy im pełen Kontyngent przed zimą. Będzie ich dwa razy więcej niż proponowali Akaranie, lecz zgodziłeś się na to przed wojną. Żądają pięciu tysięcy ciał z każdej prowincji, równo podzielonych na płcie i rasy. Gdyby rozpiętość wiekowa musiała być większa niż poprzednio, to im to nie przeszkadza. W zamian zwiększą dostawy mgły o jedną trzecią. To może się wydawać niezbyt wielkim wzrostem, lecz narkotyk został ulepszony. Nie jest już tak obezwładniający, za to bardziej uzależnia. Ciało przystosowuje się do niego tak, że kiedy zostaje go pozbawione, człowiek doświadcza wielkiego cierpienia – ma halucynacje, gorączkę, bóle. Większość ludzi zrobi wszystko, by zapewnić sobie stały dopływ narkotyku. To wszystko jest opisane w dokumentach dołączonych do poprawionego traktatu. I to wszystko, Hanishu Meinie. Zapewne ucieszysz się, że nie żądają od ciebie nic ponad to.

Hanish odwrócił wzrok, myśląc, że nie żądają nic ponad sam świat. Jacy hojni. Jego wzrok spoczął na złocistej małpce, która przysiadła na balustradzie balkonu. Jej żółtopomarańczowa sierść płonęła w blasku słońca. Hanish od początku nie lubił tych zwierząt. Były hałaśliwe i bezczelne, jakby cały pałac należał do nich, a on był intruzem. Na początku swego pobytu na Akacji sprowadził inną odmianę naczelnych, krępe stworzenia o długiej śnieżnobiałej sierści i jaskrawoniebieskim pysku. Okazały się jednak niesforne i wojownicze. Polowały na złociste małpki i wszędzie zostawiały krwawe, na wpół zjedzone trupy. Ponadto najwyraźniej sprawiało im przyjemność rzucanie odgryzionymi kończynami w grupki kobiet. Hanish rozkazał w końcu wybić sprowadzone małpy, a te złociste zdobyły przychylność szlachcianek i zostały.

– Przywiozłem poprawiony traktat – rzekł Sire Dagon. – Ty i twój lud możecie go przeczytać w dogodnej chwili. I właściwie to będzie wszystko. Będiesz mógł się dalej cieszyć swoim z trudem zdobytym imperium. Jest tylko jeden nowy warunek traktatu, który powinienes wziąć pod uwagę. – Przedstawiciel ligi nagle przypomniał sobie o jedzeniu i

pochylił się, by przyjrzeć tacom. To ostatnie stwierdzenie zawisło w powietrzu, lecz Hanish czekał. – Jako prowizję za wynegocjowanie go, liga prosi o... cóż, nie prosimy o zmianę oprocentowania ani o premię w gotówce – nic w tym stylu. Po prostu chcielibyśmy zdjąć wam pewien ciężar z ramion i złożyć go na nasze barki.

Hanish przelotnie dotknął kciukiem blizny na nosie i powiedział cierpko:

– Nie posiadam się z ciekawości.

– Chcielibyśmy pozbawić was kłopotu z Wyspami Zewnętrznymi. Chcielibyśmy zostać ich właścicielami.

– One się roją od piratów.

Sire Dagon się uśmiechnął.

– Wzięliśmy to pod uwagę. Nie stanowią problemu. Zbadaliśmy sposoby ich działania i jesteśmy pewni, że możemy ich spacyfikować.

– To nie są ludzie, którzy by zaakceptowali bezczynność.

– Stanowią dla was problem, prawda? – zapytał Sire Dagon. – Borykacie się z tyloma trudnościami. Pewnie nie sądziłeś, że pokój stanowi większe wyzwanie niż wojna. Tego można się nauczyć tylko na drodze prób i błędów. Dlatego liga zawsze woli utrzymywać z innymi pokojowe stosunki, nawet jeśli nasi przyjaciele postanowią toczyć między sobą wojny.

Hanish nie mógł zaprzeczyć, że w takim podejściu kryje się mądrość. Kto by pomyślał, że zwycięstwa militarne okażą się tak łatwe w porównaniu z kierowaniem imperium? Kryzysy pojawiały się jeden za drugim. Niektóre kłopoty sprowadzał na siebie sam. Na przykład ta gorączka była bardziej zjadliwa, niż się spodziewał. Nie wziął pod uwagę, jak bardzo się rozprzestrzeni i jak zmieni jego plany. Po prostu zabiła zbyt wielu ludzi, zostawiając do odbudowy kraju po wojnie osłabioną populację.

Także Numrekowie przestali już być użyteczni i mile widziani. Jednak nie wrócili do siebie przez Pola Lodowe, jak początkowo obiecywali, chociaż Hanish hojnie im zapłacił za usługi. W powojennym zamęciu, kiedy gorączka wciąż szalała na południu, umocnili swoją pozycję w Aushenii, zajmując cały region, zasiedlając miasteczka, wioski i królewskie posiadłości i niewoląc tych nieszczęśników, którzy dali się złapać. Co gorsza, zakładali kolonie wzdłuż zachodniego wybrzeża Talay. Doprawdy, stwory skutej mrozem północy! Jak się okazało, najbardziej lubili prażyć się w pełnym słońcu i pływać w przejrzystej wodzie.

Istniały też problemy, do których powstania Hanish nie przyczynił się bezpośrednio. Ludzie – może dlatego, że wojna zakłóciła dostawy mgły – zaczęli mieć rozmaite pomysły. Stali się niezdyscyplinowani, przebiegli, wywoływali powstania, dokonywali aktów sabotażu,

jak na przykład wtedy, gdy podpalili zapasy zboża na Łądzie, co zmniejszyło je o połowę i spowodowało niemal rok głodu. Opowiadali o świętych przepowiedniach, mówili, że Hanish i jego zaraza są zwiastunami powrotu Dawcy. Zaczęli czcić męczenników, krnąbrnych drani, dla których tortury i egzekucja były błogosławieństwem. Talay nigdy nie został całkowicie spacyfikowany; Wyspy Zewnętrzne roły się od piratów, a wojska Hanisha nękali zabójcy udający lojalnych poddanych.

Ale najbardziej denerwujące były bunty w kopalniach. Właśnie kiedy Hanish miał ponownie puścić w ruch koło zamachowe światowego handlu, górnicy ubzdurali sobie, że sami zaczną kierować swoim życiem. Odmówili pracy. Wybił się wśród nich jakiś dureń, który twierdził, że górnikom należy się część zysków z ich pracy. Ten złotousty, grzmiący prorok, Barack Mniejszy, sprawiał niekończące się kłopoty. Twierdził nawet, że widział przysły powrót Alivera Akarana. Bardzo denerwujące. Osiągnął jedynie tyle, że ucierpieli wszyscy zainteresowani. Strajk zlikwidowano dzięki oblężeniu, na które Hanisha nie było stać. Wielu robotników zginęło. Takie bezsensowne marnotrawstwo siły roboczej.

Numrekowie, liga i Lothan Aklun: jak to się stało, że się tak bardzo zadłużył wobec nich wszystkich? W skutym lodem Cathgergen, odległym od wszelkiej władzy i przywilejów, każdy sojusz miał sens. Można było wynająć armię i zapłacić jej skarbami ziem, które pokonała. Można było obiecać ogromne sumy kupcom, którzy pomogą mu zdobyć bogactwo. Nie było lepszego partnera w interesach od dostawców na nienasycony rynek, których nigdy się nie widziało ani z którymi się bezpośrednio nie kontaktowało. Żadna cena nie wydawała się zbyt wielka, jeśli jej zapłacenie pomagało osiągnąć wyznaczone cele. Teraz Hanish zmienił zdanie.

Martwił się też bardzo tym, że udało mu się schwytać tylko jedno z czworga akarańskich dzieci. Corinn nic się nie stało i żyła sobie wygodnie w Akacji. Nic nie wiedziała o losie, jaki ją czeka. Jej obecność powinna dawać mu pociechę, stanowić o jedno zmartwienie mniej. Zamiast tego zadawała mu katusze. Co z nią zrobi? Co chce z nią zrobić?

Sire Dagon zacisnął zęby na śliwce. Przerwał skórkę, znieruchomiał i z przyjemnością posmakował wilgoci, ale nie połknął owocu. Najwyraźniej chciał tylko zaznać smaku jego soku na wargach.

– W każdym razie nie musisz się już kłopotać tymi zbójcami i ich atakami na wybrzeże. Nawet my mieliśmy z nimi nieco trudności, ale jeszcze się z nimi rozprawimy. Do lata wpadną nam w ręce. Ishtat zwycięży tam, gdzie wy się poddaliście; tego jesteśmy pewni. Kiedy skończymy, po cichu zajmiemy wyspy, a wy będziecie się pławić w chwale uwolnienia wybrzeża od zbójców.

– Dlaczego tak bardzo chcecie tych wysp? – zapytał Hanish.

Sire Dagon przyglądał mu się przez chwilę. Dotknął kącika ust, by wytrzeć sok.

– Zanim ci odpowiem, pamiętaj, że podwojony Kontyngent uczyni cię bogatszym, niż kiedykolwiek była Akacja...

– Jak mogą chcieć więcej? – przerwał mu Hanish, nie umiejąc ukryć niedowierzania. – Co oni robią z tymi wszystkimi niewolnikami? Trudno, żeby potrzebowali więcej, nawet gdyby ich jedli.

Sire Dagon zmarszczył brwi i odwrócił głowę, okazując tym, że i pytanie, i sugestia były w strasznie złym guście.

– Nie trzeba pytać o takie rzeczy. Robią, co robią; korzystamy z tego obaj. Pamiętaj, że jedno z pierwotnych założeń umowy o Kontyngent brzmiało, że liga będzie służyć jako jedyny pośrednik między Akacją i Lothan Aklun. Wypełniając umowę, nigdy nie zdradzamy sekretów jednej strony drugiej. Nie zrobię tego i teraz. Jak mówiłem, Lothan Aklun przysięgają, że nigdy nie zmienią tej umowy, ani teraz, ani w przyszłości. Podobnie jak my nie przekroczymy Kontyngentu w prowincjach. To się czasami zdarzało poprzedniej władzy, lecz już się nie powtórzy. Kiedy ustabilizujemy zwiększony Kontyngent, spacyfikujemy Wyspy Zewnętrzne. Oczyszczymy je, zmienimy w grunty orne i zaczniemy produkcję.

– Produkcję czego?

– Jedynej rzeczy, której pragną od nas Lothan Aklun.

Odpowiedź przysłała Hanishowi do głowy jak bezkształtna postać wynurzająca się z głębi jego wyobraźni.

– Będziecie tam hodować niewolników.

Sire Dagon nie okazał ani zaskoczenia, ani zadowolenia. Oderwał tylko winogrono i powiedział od niechcenia:

– Nie znam słowa „niewolnik”. Lecz jeśli masz na myśli, że tam będziemy hodować nasz produkt, to masz rację. To będzie najskuteczniejszy sposób. Już poczyniliśmy odpowiednie plany. Zwłaszcza wyspa Gillet Większy będzie doskonałą plantacją.

Po wyjściu przedstawiciela ligi Hanish oparł się o biurko i patrzył przez cienkie zasłony, falujące w popołudniowych podmuchach wiatru. Pomyślał, że świat potrafi być chwilami tak spokojny, tak nieświadomy. Do komnaty weszli jego brat oraz wuj i Hanish musiał zebrać myśli, by nie okazać niepokoju.

– Minałem na dziedzińcu tego dziwoląga – oznajmił Haleeven. – Nie lubię tych istot, Hanishu. Bardzo ich nie lubię.

Jego twarz świadczyła o trudach mijających lat. Wyglądało na to, że szczególnie

ciężki dla niego był okres pokoju. Chociaż nigdy się nie skarżył, klimat mu nie odpowiadał. Sprawiał wrażenie, że źle się czuje w swojej skórze, zarumieniony, jakby wracał z ćwiczeń, zdezorientowany czymś, co unosi się w powietrzu i czego nie umie określić.

Maeander nie miał takich problemów. Jak zwykle pewny siebie, doskonale się czuł we własnym ciele. Rozwinęły mu się mięśnie na rękach i torsie i opalił się bardziej niż większość Meinów. Skóra schodząca z nosa świadczyła o niegasnącym zapale, z jakim oddawał się zajęciom na świeżym powietrzu.

– Co? – zapytał Maeander, patrząc na brata. – Źle wyglądasz, Hanishu. Jakbyś miał mdłości. Masz?

– Potrzebujemy więcej władzy – rzekł Hanish.

– Powtarzam to cały czas – odparł Maeander.

– Ciągną mnie i popychają tysiące rąk, a każda sięga do mojej kieszeni albo grozi mi nożem.

– Słyszę cię, bracie. Zawsze mówiłem, że potrzebujemy więcej władzy. Co rano budzę się z tą myślą. Wyplątuję się spośród ponętnych ciał i pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to: „Władza! Potrzebuję więcej...”.

– Bądź poważny – warknął Haleeven. – Hanish się nie wygłupia.

Maeander przewrócił oczyma. Usiadł w fotelu, w którym jeszcze niedawno siedział przedstawiciel ligi, wziął pomarańczę i powąchał ją, dotykając nosem skóry.

– Musimy przenieść Tunishnevre i dopełnić ceremonię.

– Wiesz, że jeszcze nie możemy tego zrobić – odrzekł Haleeven.

– Niecierpliwiaj się. W tej kwestii nie mamy wyboru, Hanishu. Do mnie też przemawiają i postawili sprawę jasno. Chcą zostać przeniesieni. Chcą tu przybyć, złożyć swoje ciała w miejscu popełnienia na nich zbrodni, a potem ofiary z kilku kropel krwi żyjącego potomka Akarana. Chcą zostać uwolnieni, bracie, a ty możesz im to dać. Komnata przeznaczona dla nich jest niemal gotowa. Nie ma powodu, by nie zaczynać.

– A co z pozostałą trójką? – zapytał Haleeven.

– Właśnie – powiedział Hanish. – Bez nich Tunishnevre nie mogą powrócić do życia. Teraz przynajmniej nasi przodkowie są bezpieczni, mają stabilne warunki. Ten klimat mógłby ich zniszczyć, sprawić, że nie zdołamy ich uwolnić.

– To niekoniecznie musi być prawda – rzekł Maeander, nieporuszony. – Może wystarczy jeden potomek Akarana. Szczególnie jeśli pozostali nie żyją. Jeśli Corinn jest ostatnia z królewskiego rodu, to wystarczy im tylko jej krew. Ona może ich uwolnić. Wyobraź sobie, Hanishu, jacy będziemy potężni! Wszystkie te drobne problemy, które tak cię

martwią, znikną ot, tak. – Uniósł dłoń z palcami stykającymi się czubkami i raptem je rozwarł, wypuszczając to, co w niej trzymał – niewidzialne, nieważne – w powietrze. – To jest to, co przekazali mi przodkowie. Zaszczepili we mnie prawdę.

– Mnie nie mówili, że potrzebują tylko Corinn.

– Boją się, że w jakiś sposób to miejsce mogło cię zwieść. Przysiągłem, że się mylą. Przyjęli moje słowo. Jesteś ich wybrańcem, lecz nie mogą czekać w nieskończoność. Czują posmak wolności, Hanishu. Nie są cierpliwi, kiedy czują, że czegoś im się odmawia. – Mówiąc z ustami pełnymi miąższu pomarańczy, dodał: – Na bogów, tutejsze owoce są cudowne.

Hanish zignorował tę ostatnią uwagę. Przez długą chwilę rozmyślał o Maeanderze kontaktującym się z Tunishnevre. Wiedział od pewnego czasu, że jego brat to robi. Tylko wódz i kilku wyższych kapłanów miało dostęp do przodków. Hanish pozwalał na to, ponieważ tyle Maeanderowi zawdzięczał. Zawsze był idealną bronią, psem gotowym gryźć każdego, na kogo został poszczuty. Hanish wiedział, że przodkowie uwielbiają go za siłę, z którą się tak swobodnie obnosi. Lecz żeby rozmawiali z Maeanderem o nim samym... Wyrażanie przez nich wątpliwości co do ich żyjącego wodza to poważna sprawa. Można w tym odczytać rozmaite przesłania i groźbę. A on przyzna się do wiedzy o tym dopiero wtedy, gdy lepiej to zrozumie.

– Zagalopowaliśmy się – rzekł Haleeven. – Nie powiedziałaś nam, jaką wiadomość przyniósł ci ten dziwoląg.

Więc Hanish im powiedział. Nigdy nie ukrywał przed nimi dwoma takich rzeczy, nawet jeśli zachowywał dla siebie pewne sprawy podczas spotkań Komisji Doradców, nowego ciała składającego się ze znaczących Meinów, które, jak na ironię, miało swoją siedzibę w Alesji. Hanish z niepokojem zauważył, jak wiele już przejęli ci ludzie z akacjańskiego sposobu bycia. Gdyby widział inną drogę postępowania, poszedłby nią, lecz raz po raz przekonywał się, że akacjańskie wyjście jest jedynym rozsądnym i osiągalnym.

Kiedy Hanish wszystko im opowiedział, Haleeven rzekł:

– Nie cierpię tego, że musimy się kłaniać Lothan Aklun. Nigdy nawet nie widziałem któregoś z nich. Równie dobrze liga mogła ich sobie wymyślić. Już to mówiłem, ale jeśli Aklun istnieją, powinniśmy odsunąć ligę i prowadzić interesy bezpośrednio z nimi.

– Uważam tak samo – poparł go Maeander – lecz nie powinniśmy dyskutować z przodkami. Pobłogosławili nasze ustalenia, a teraz chcą zostać natychmiast uwolnieni. Pamiętaj, Haleevenie, że przez nich przemawia głos twego brata, a ty, Hanishu, że to głos naszego ojca.

Hanish zawahał się przez chwilę, lecz zachował spokój na tyle, że Maeander nie zorientował się, iż milczenie brata wynika z jego niepewności.

– Dziś wieczorem porozmawiam z przodkami – obiecał. – Jeśli się zgodzą, wyślemy wiadomość do Tahalian. Powiemy, że czas rozpocząć transport. Haleevenie, ty zajmiesz się przeprowadzką.

– Nie tak postanowiliśmy – powiedział Maeander. – Daj spokój, Hanishu, przecież wiesz, że to ja powinienem się tam udać. Ty musisz rządzić imperium; ja jestem tylko twoim narzędziem. Chyba nie sądzisz, że źle wykonam takie ważne zadanie! Haleeven pojedzie ze mną, jeśli cię uspokoi, ale czy kiedyś cię zawiedliśmy?

– Nigdy. Ani razu. Tylko chodzi o to, że to trzeba zrobić właściwie.

Maeander udał, że się obraża.

– Chcę powiedzieć – ciągnął Hanish – że musimy się zająć nie tylko przeprowadzką. Musimy zdwoić wysiłki w celu znalezienia Akaranów. Jeśli żyją, musimy ich schwytać. Do tego mi jesteś potrzebny, Maeanderze. Teraz nie masz żadnych innych obowiązków; masz ich tylko znaleźć i sprowadzić tutaj. – Powiedział to stanowczo, świadomie unikając kontaktu wzrokowego z bratem, nie chcąc widzieć buntu na jego twarzy. – Od początku powinienem był uczynić cię odpowiedzialnym za ich szukanie. Jeśli o mnie chodzi, to dopilnuję, by Corinn nadal była bezpieczna, przebywała blisko mnie i była strzeżona.

Obszedł biurko, wyjął klucz z kieszeni na piersi i pochylił się, by otworzyć szufladę.

– Przeczytaj to, wuju – powiedział, wyciągając skórzaną teczkę z dokumentami i kładąc ją na biurku. – Będziesz musiał się dokładnie do tego zastosować. Dokładnie. Rób wszystko słowo w słowo tak, jak mówią starsi. Tunishnevre nie byli przenoszani od dwudziestu pokoleń. Jeśli popełnisz błąd...

Haleeven wziął teczkę i usiadł. Powiódł palcami po skórze z renifera, palcem otworzył prosty zameczek i przez chwilę siedział jakby w nabożnym podziwieniu, wdychając zapach kartek.

– Nie popełnię żadnych błędów – oznajmił. – Dziękuję ci za to. Płaskowyż w lecie... Marzę, by znów go zobaczyć.

– Zobaczysz – powiedział Hanish z uśmiechem, szczerze zadowolony. – Może nawet znajdziesz czas na polowanie. Teraz renifery muszą już być tłuste i nieostrożne, tak długo cię nie było. Wykonaj dobrze zadanie i nabierz sił.

Mógłby powiedzieć więcej, ale czuł na sobie nagłą wzrok Maeandera. Odwrócił się i spojrzał na niego.

– Nie mogę się z tobą sprzeczać, bracie – rzekł Maeander. – Jeśli Akaranie żyją, to ich

odnajdę i przywlokę do ciebie za włosy. A kiedy to uczynię, spodziewam się, że uczynisz mi ten honor i pozwolisz, bym osobiście poderznął im gardła.

ROZDZIAŁ 34

Mężczyzna, który miał towarzyszyć królewiczowi, zastał go w ciemności przedświtu kucającego przed namiotem. Aliver bez słowa zebrał zapasy do worka z koziej skóry i zarzucił go sobie na plecy, a potem pociągnął za pleciny rzemień, by ciężar rozłożył się wygodnie. Miał na sobie tylko krótką plecioną spódniczkę myśliwego. Ta podróż miała być w pewnym sensie polowaniem, więc ubrał się stosownie, dokładnie tak samo, jak przed kilkoma tygodniami, kiedy wybrał się na poszukiwanie laryksa. Owego ranka był przekonany, że jeszcze nigdy nie podjął się niebezpieczniejszego i ważniejszego zadania. Teraz niemal o nim zapomniał.

– Jesteś gotów? – zapytał Kelis.

Rysy miał ostre i Aliver długo myślał, że wyraz jego twarzy świadczy o nieustającym ocenianiu innych; ostatnio nie miał już pewności, że mina Kelisa w ogóle zdradza jakieś jego myśli.

– Oczywiście – odpowiedział Aliver.

Mężczyzna skinął głową i ruszył przed siebie. Aliver szedł obok niego. Dopasował swój krok i utrzymywał to same tempo. Przyśpieszyli do swobodnego truchtu, a następnie do lekkiego biegu, z którego słychać ten lud południa. Zostawili za sobą wioskę i ostatnie cienie jej chat. Wspięli się na szczyt wzniesienia, z którego, gdyby było jaśniej, ujrzeliby pofałdowane pastwiska z porozrzucanymi tu i ówdzie drzewami, spieczone przez porę suchą na złocisty kolor. Żeby dotrzeć do terenów, na których będą mogli zacząć poszukiwania, musieli przebyć ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Cały ten dzień, a potem następne rozciągały się przed Aliverem jako stały ruch. Lecz on był szkolony do takich wyczynów. Każdy oddech dodawał mu sił. Czuł uderzenia ziemi pod nagimi stopami i wiedział, że pasuje do tego życia, do tego miejsca na ziemi.

Jakiż był inny, kiedy przybył do Talay. Ucieczka z Kidnabanu była straszna, lecz przynajmniej dotarł do celu. Opiekun zawłókł go aż na dwór Sangae w Umae. Co wtedy o tym wszystkim sądził? Ledwie to pamiętał. Był zły i przestraszony – to wiedział. Lecz głównie pamiętał oderwane obrazy, jak znalezienie pierwszego ranka płowego węża w bucie, bo wtedy jeszcze nosił buty. Dowiedział się, że wąż jest śmiertelnie jadowity. To był jeden z powodów, dla których Talayanie nie nosili obuwia. Często o tym myślał, rozważając fakt, że

on już też od lat nie nosi obuwia i prawie sobie nie wyobraża, by kiedykolwiek mógł do tego wrócić.

Pamiętał, jak trudno było mu utrzymać równowagę nad dołem, do którego załatwiali się wieśniacy. Niby prosta rzecz, przykucnąć, by opróżnić jelita, lecz on tego nie znosił, nie podobało mu się, że nie potrafi się porządnie wytrzeć liśćmi czy kamykami jak wszyscy. Pamiętał, jak się przyglądał chłopcom bawiącym się w jakąś grę, z której nic nie rozumiał. Polegała na tym, że każdy po kolei dostawał solidnym kijem. Uderzali się mocno i kulili z bólu. Śmiali się jednak, droczyli ze sobą i szczyrzyli do nieba te swoje białe zęby w nieustannej wesołości.

Pamiętał zagrożenie, które widział w szczupłych czarnoskórych młodzieńcach, z którymi trenował. W porównaniu z nimi był słaby. Tracił oddech wcześniej od nich. Składali się z twardych krawędzi, kolan i łokci wbijanych w niego podczas zapasów, podbródków jak noże wbijanych w plecy. Pamiętał dziewczynki obserwujące go okrągłymi oczyma, szepczące między sobą, czasami wybuchające śmiechem boleśniejszym dla jego dumy niż wszystko, co mogli mu zaserwować chłopcy. Pamiętał, jak trudno było prawidłowo wymawiać talayskie słowa. Raz po raz powtarzał dokładnie to, co według niego powiedziała druga osoba, a mimo to spotykały go kpiny. W jego „r” było coś kobiecego, w twardym „g” coś dziecinnego, a nieumiejętność opanowania przerw, które nadawały identycznym wyrażeniom całkowicie odmienne znaczenie, świadczyła, że ma w sobie coś z kretyna. Pamiętał, jak irytował go drobny piasek niesiony wieczornym wiatrem. Pokrywał mu twarz i chociaż Aliver z całych sił starał się powstrzymać łzy, pył uwidaczniał ich ślady.

Lecz wszystko to było tak dawno. Po co w ogóle o tym myśleć? Teraz był myśliwym, mężczyzną, Talayaninem. Biegł obok wojownika, którego miłował jak brata. Oddychał miarowo i pokonywał kilometr za kilometrem, a w miarę wznoszenia się słońca na jego ciele pojawiała się warstewka potu. Tamci chłopcy byli teraz jego towarzyszami; te wielkookie dziewczęta zmieniły się w patrzące na niego przychylnie kobiety, tańczące dla niego kochanki; kilka z nich współzawodniczyło o to, która jako pierwsza urodzi mu dziecko. Mówił językiem tego ludu, jakby się tu urodził. Nie bardzo pamiętał, jak się dokonała ta transformacja. Fakt zabicia laryksa oznaczał w jego społeczności dojrzałość. To prawda, nigdy nie czuł się pełniejszy życia, bardziej świadom swej śmiertelności i niezaprzecznego pragnienia zwycięstwa, jak podczas owego polowania. Nie zwykłego pragnienia przeżycia, lecz zdobycia chwały. Lecz nawet to było tylko jednym epizodem wśród wielu, wielu innych, pomniejszych. Kto może wyjaśnić, w jaki sposób stał się taką osobą? Coś takiego nie zdarza się nagle. To stopniowa ewolucja, zachodząca w niezauważalny sposób. Aliver po prostu stał

się kimś innym.

Tyle że nie była to cała prawda. Myślał o tych pierwszych dniach z powodu Thaddeusa i wszystkiego, co on ze sobą sprowadził. Thaddeusa, którego kochał i nienawidził w równej mierze. Mieszkańcy wioski nazywali go Akacjaninem. W rozmowach z nimi Aliver też używał tego określenia. Żadnemu z nich chyba nie przychodziło na myśl, że to dziwne. Jemu też nie wydawało się dziwne, że czuje się tak swojsko wśród ludzi, których jego wychowanie kazałoby mu uznawać za postawionych niżej od niego. Lecz każdego popołudnia, kiedy siadywał naprzeciwko Thaddeusa i posługiwał się swoim rodzimym językiem, wiedział, że nie jest jednym z tych ludzi, nie tak całkowicie, jakby tego pragnął. On też był Akacjaninem. Co więcej, jeśli wierzyć Thaddeusowi, był osiã, na której miał się obrócić świat.

Aliver i Kelis biegli większą część dnia, zatrzymując się tylko po to, by się napić, coś przekąsić i uspokoić żołądki. Rozprażone popołudniowe godziny przeczekiwali w cieniu akacji, oddając się krótkiej drzemce, lecz potem wzbijali stopami pył aż do zmierzchu lub nawet wczesnego wieczoru. Chwilami Aliver, znajdujący się jakby w transie, zapominał o celu tej podróży i biegł, unoszony siłą własnych nóg, świadom jedynie tego ruchu i roztaczającej się wokół niego panoramy świata.

Kiedy jednak późnym wieczorem zatrzymali się, by rozbić obóz, Aliver poczuł ciężar odpowiedzialności, jaką obarczył go Thaddeus. Biegacze rozpalili niewielkie ognisko, żeby przypominało dzikim zwierzętom, że ludzi lepiej zostawić w spokoju. Nie mieli ze sobą nic, co mogłoby im służyć za poślanie. Wykopali więc w piasku dwa płytkie zagłębienia obok siebie i ułożyli się w nich z głowami blisko ognia. Noc mogła być chłodna, lecz ziemia zatrzymała w sobie dość ciepła, by ogrzać ich do rana. Zjedli pastę zrobioną z cennej wody zmieszanej z roztartymi ziarnami sedi, które mieli ze sobą. Zupełnie nie miała smaku, lecz była pożywna. Aliver jako sztucca użył paska suszonej wołowiny, który następnie zjadł. Kelis znalazł bulwę, którą Talayanie nazywali kłykiem z powodu jej kształtu. Rozciął ją równo przy złączu, po czym obaj mężczyźni usiedli i zaczęli wysysać swoje porcje; płyn był słodki, ostry i oczyszczający.

– Czasami mam wrażenie, że to wszystko jakieś szaleństwo – odezwał się Aliver. – To, co robimy, co ja mam zrobić, nie może być rzeczywistością. To opowieść dla dzieci, mit, jak te, które opowiadano mi, kiedy byłem chłopcem.

Kelis wyjął korzeń z ust.

– Teraz to twoja opowieść – powiedział. – Ty jesteś mitem.

– Podobno. Uważasz nas, Akacjan, za głupców? – zapytał Aliver. – Bo szukamy

wygnanych czarodziejów i w ogóle? Jesteśmy dla ciebie zabawni?

– Zabawni?

W nikłym blasku ognia trudno było dojrzeć rysy mężczyzny, lecz w jego głosie nie było słycać ani krzty rozbawienia.

– Kelisie, wysłano mnie, bym odnalazł liczących sobie pięćset lat czarodziejów i przekonał ich, żeby pomogli mi odzyskać utracone imperium ojca. Rozumiesz taką stratę? Tutaj, dookoła nas, nie ma nic, co pomogłoby ci zrozumieć, ile stracił mój ojciec. Był władcą największego imperium świata. A teraz prosi mnie z grobu, bym je odzyskał. Czy nie jest to śmieszne?

Wokół nich rozległo się nawoływanie szakali; sądząc po kakofonii dźwięków, zwierzęta otaczały ich szerokim półkolem. One najwyraźniej dostrzegały komizm sytuacji. Kelis nadal zachowywał powagę. Odrzucił swój kawałek bulwy i powiedział:

– Nasi gawędziarze też uczą o Mówcach Boga. Należą tak samo do naszych legend, jak do waszych. Słyszałeś je.

– A zatem wierzysz w to?

Kelis nie odpowiedział, lecz Aliver wiedział, co usłyszy, jeśli będzie naciskał. Oczywiście, że wierzy. Dla Talayan prawda żyła w wypowiedzianych słowach. Nie miało znaczenia, że czasami ich legendy były zupełnie nieprawdopodobne albo że często sobie przeczyły. Jeśli były opowiadane – jeśli zostały im przekazane przez przodków – Talayanin musiał w nie wierzyć. Nie miał powodu, by tego nie robić. W ciągu tych wszystkich lat Aliver usłyszał mnóstwo ich legend.

Wiedział, że, udając się na wygnanie, Mówcy Bogów podobno przeszli przez Talay. Według legendy wygnanie ich rozwścieczyło. Pomogli Tinhadinowi zdobyć świat, lecz teraz on, największy spośród nich, zwrócił się przeciwko nim i zakazał posługiwać się boską mową. Przeklinali to półgłosem, cicho, żeby Tinhadin ich nie słyszał. Lecz nawet te szeptane przekleństwa miały wielką moc. Wydzierali całe płyty ziemi; stawiali na sztorc płyty ziemskiej skorupy, rozpalali ogień machnięciem ręki, jednym spojrzeniem zwierzęta żyjące na równinach zmieniali w stwory tak wynaturzone jak laryks. Legendy opowiadały, że wyrządzili wiele szkód, lecz na szczęście przebyli zamieszkane tereny i udali się dalej na południe, na całkiem wysuszone, spalone słońcem równiny. Jak głosił mit, Santoth nadal tam mieszkali. Nikt nigdy się tam nie zapuszczał, żeby to sprawdzić. Dlaczego ktoś miałby to zrobić? Tylko jedna osoba miałaby jakikolwiek powód, by ich szukać – królewicz z rodu Akaranów, zamierzający odwołać wygnanie.

– Chcesz usłyszeć inną opowieść? – zapytał Kelis. – A zatem posłuchaj tej. Był sobie

młody Talayanin, którego ojciec, wojownik, był bardzo dumnym człowiekiem. Żył dla wojny i chciał, by jego syn poszedł w jego ślady. On jednak był śniącym, człowiekiem, który przewiduje, kiedy spadną deszcze, kiedy urodzą się zdrowe dzieci. Człowiekiem, którego życie we śnie jest równie barwne, jak to na jawie. Chłopcu wydarzenia śniły się z wyprzedzeniem. Rozmawiał w snach ze zwierzętami i czasami kiedy się budził, jeszcze przez kilka chwil wciąż pamiętał ich język. Bardzo chciał się czegoś dowiedzieć o swoim darze. Można by pomyśleć, że ojciec będzie dumny, że jego syn został wyróżniony w ten sposób. Tak jednak nie było. Kiedy ojciec spał, był jak martwy; tylko na jawie znajdował znaczenie życia, tylko w wojnie jego sens.

Zabronił synowi śnić. Uczynił to z całą złościwością, na jaką mógł się zdobyć, poprzez drwiny, kąśliwymi i pogardliwymi słowami. Stawał nad chłopcem, gdy ten spał. Kiedy tylko widział, że oczy syna się poruszają na znak, że wkroczył do świata snów, dźgał do drzewcem włóczni. Raz po raz budził go bolesnymi ciosami. Wkrótce chłopiec bał się zasypiać. Jednak sny czasami i tak przychodziły do niego, nawet w białe dzień. Ojciec nauczył się je rozpoznawać w spojrzeniu chłopca i kiedy podejrzewał, że jego umysł błądzi, bił go po twarzy. Żadna z tych metod nie przyniosła pożądanego rezultatu. Chłopiec po prostu nie mógł nic poradzić na to, kim był. W końcu ojciec znalazł sposób.

Kelis przerwał, nasłuchując jakiegoś bliskiego dźwięku, skrobania ostrych pazurów po suchej ziemi. Przez chwilę milczeli obaj, aż słabe odgłosy zagłuszyły przerywane tryle czarnogrzbietego świerszcza. To prawdopodobnie była jaszczurka. Nic, co mogłoby im zagrozić.

– Ojciec znalazł sposób... – odpowiedział Aliver.

– Zaadoptował syna zmarłego człowieka – podjął Kelis – i postawił go przed swoim synem. Nazywał go pierworodnym, co oznaczało, że wszystko, co do niego należy – jego imię, przodkowie, dobytek – dostanie adoptowany syn. Jeśli śniący chciał prowadzić dostatnie życie, mógł zrobić tylko jedno. Wywołał adoptowanego syna do kręgu i zabił go. Wbił mu włócznię w pierś i patrzył, jak wycieka z niego życie. Zamiast się rozgniewać, ojciec był zadowolony. Było tak, jak podejrzewał. W jego rodzonym synu drzemał wojownik, czy mu się to podobało, czy nie. Ojciec osiągnął to, czego pragnął. Po tym wydarzeniu jego syn znieawidził sny. Wciąż śnił, lecz tylko o jednym. Śniła mu się ta walka, zatapianie włóczni w ciele chłopaka, krew, patrzenie na twarz umierającego człowieka. Tak więc śniący został pokonany; pozostał jedynie wojownik.

– Nigdy nie słyszałem tej opowieści – rzekł Aliver.

Jego towarzysz na chwilę przekrzywił głowę.

– Nikt z nas nie wybiera sobie ojca. Ani ty, ani ja, ani nikt inny. Uwierz mi jednak, kiedy człowiek rodzi się z jakimś powołaniem, nie powinien go odrzucać. Wielkim brzemieniem jest nie robić tego, do czego jest się przeznaczonym.

Następnego ranka Aliver miał sztywne nogi, lecz w biegu dość szybko się rozruszał. Drugiego dnia utrzymywali tempo podobne jak dzień wcześniej. Teren był tak samo pofałdowany szerokimi dolinami i upstrzony drzewami. Trzeciego dnia ich zapach zwietrzyło stado czterech laryksów, które zaczęły ich ścigać. Stwory sadziły wielkimi susami, poszczekując w swojej dziwacznej mowie, i zbliżyły się na tyle, że kiedy Aliver się oglądał, widział wyraźnie ich pyski. Jednemu z nich brakowało ucha, inny miał słabsza przednią nogę. Przywódca był większy od laryksa, którego zabił Aliver, a czwarty zwierz co pewien czas wypuszczał się w bok, jakby już przygotowywał się do ataku. Gdyby cała czwórka ich dogoniła i otoczyła, nie mieliby szans na ucieczkę. Nienawiść laryksów do ludzi dorównywała ich strachowi przed nimi. Wydawało się, że tak jak lwy polują na szczenięta mniejszych kotów, tak laryksy polują na ludzi, ze złośliwości.

Biegając przed nimi, Aliver zdał sobie sprawę, jak bardzo się zmienił od czasu, kiedy przed kilkoma tygodniami sam polował na jedno z tych zwierząt. Wtedy miał świadomość, że jeśli zawiedzie, zginie w straszliwy sposób. O dziwo, gdzieś w głębi serca tkwiło w nim przekonanie, że to uczucie jest mu znajome. W pewnym sensie żył z takim strachem od wieczoru, kiedy jego ojciec został ugodzony sztyletem. Zawsze ścigał go jakiś niewidzialny potwór. Stawienie czoła rzeczywistemu potworowi w biały dzień uwolniło coś w Aliverze. Dogonił zwierza, a potem go zaatakował i znalazł się tak blisko, że czuł jego śmierdzący oddech. Patrzył na to całe paskudne ciało i... zrobił to, co miał zrobić. Zatopił włócznię głęboko w piersi laryksa i mocno ją trzymał, gdy ten miotał się resztkami sił. Aliver nie wiedział, co dokładnie zaszło, ale czuł, że ten czyn na zawsze w nim coś zmienił.

Kelis przyśpieszał. Nie zatrzymali się w południe. Biegli w falującym upale. Laryksy potrafiły biec całymi godzinami bez przerwy, lecz robiły to tylko poważnie sprowokowane. Zgubili je, kiedy zwróciły uwagę na łatwiejsze ofiary – guźce. Mężczyźni pobiegli dalej po krótkim odpoczynku i zatrzymali się dopiero kilka godzin po zapadnięciu ciemności.

Piątego dnia przemierzyli słoń, podmokłą równinę i natknęli się na masowo migrujące różowe ptaki. Po ziemi kroczyły ich tysiące, tworząc olbrzymie stado, lśniąca w blasku słońca; miały długie szyje i z wielkim wdziękiem wysoko unosiły czarne nogi. Aliver nie miał pojęcia, dlaczego nie podrywają się do lotu. Po prostu się rozdzielały przed biegaczami, obserwując ich kątem oka.

Późnym rankiem szóstego dnia dotarli do wielkiej rzeki, która spływała z zachodnich

wzgórz. Tworzyła płytki parów, szeroki na ponad półtora kilometra. W porze deszczowej stanowiła potężną przeszkodę i nawet teraz służyła jako południowa granica zamieszkałego Talay. Sama rzeka była obecnie ledwie strużką wody, wąską żyłką wilgoci szeroką na kilka kroków i głęboką do kostek. Dwaj mężczyźni stanęli w wodzie. Aliver cieszył się dotykiem gładkich kamieni pod stopami. Gdyby wokół nich nie ciągnęła się w nieskończoność wypalona, szorstka ziemia, z rzadka porośnięta jakąś spaloną słońcem roślinnością, Aliver mógłby zamknąć oczy i pozwolić, by dotyk kamieni i wody wyczarował wspomnienia bardzo odległych czasów i miejsc.

– Bracie – odezwał się Kelis – dalej nie idę.

Aliver odwrócił się do niego i patrzył, jak mężczyzna nabiera drugą tykwę wody i unosi ją do ust.

– Co?

– Mój lud nie zapuszcza się na południe od tej rzeki. Odtąd będzie z tobą biegł Dawca. Jest lepszym towarzyszem ode mnie.

Aliver wpatrywał się w niego.

– Zaczekam na ciebie – rzekł Kelis. – Wierz mi, Aliverze, kiedy tu wrócisz, będę na ciebie czekał.

Aliver był tak oszołomiony, że nawet nie zaprotestował. Kelis przekazał mu listę rzeczy, które miał robić i których robić nie powinien, przypomniał, jak oszczędzać wodę i gdzie szukać korzeni magazynujących wilgoć oraz które zwierzęta mogą mu dać łyk krwi do upicia. Aliver już to wszystko wiedział, lecz stał, smakując każdą chwilę opóźniającą jego odejście.

– Sangae dał mi dla ciebie wiadomość – powiedział Kelis, podnosząc worek Alivera i pomagając mu przymocować ładunek na plecach. – Powiedział, że jesteś dla niego synem. I że jesteś synem Leodana Akarana. I że dla świata jesteś królewiczem. Powiedział, że wie, że odważnie stawisz czoło wyzwaniom, które na ciebie czekają. A kiedy włożysz na głowę koronę Akacji, to ma nadzieję, że pozwolisz mu pokłonić się jako jednemu z pierwszych.

– Sangae nie musi mi się kłaniać.

– Może tobie jest to niepotrzebne. Lecz jemu może na tym zależeć. Szacunek przepływa w obie strony i może oznaczać równie dużo dla wyraziciela, jak i dla przyjmującego. Idź już. Do zachodu słońca musisz pokonać długą drogę. W nocy powinieneś znaleźć schronienie wśród wzgórz lub skał sterczących z ziemi. Laryksy unikają nocą takich miejsc.

– Jak mam znaleźć Santoth? Nikt mi tego nie powiedział.

Kelis się uśmiechnął.

– Bo nikt nie mógł, Aliverze. Nikt tego nie wie.

Podczas pierwszych samotnych dni Aliver zapadał w trans jeszcze dłuższe okresy niż poprzednio. Wybijały go z niego nie myśli o misji czy wspomnienia z przeszłości, lecz chaotyczne widoki wspaniałości uwięzionej w milczącej tkance świata, w poruszającym się powietrzu i stworzeń wędrujących po okolicy. Raz, znalazłszy się wśród potężnych kraterów, Aliver zapatrzył się na niebo. Nad nim zbierały się i kłębiły chmury. Nie płynęły w żadnym kierunku, jak to zwykle czynią. Sprawiały wrażenie uwięzionych w tym szczególnym miejscu świata, bez końca się zmieniające, lecz nie znajdujące ucieczki.

Takie chwile wydawały mu się bardzo ważne. Nie uważał ich za znak, za jakieś proroctwo. Znaczenie zawierało się po prostu w patrzeniu, w oglądaniu życia tak szeroko otwartymi, pełnymi zachwytu oczyma. W młodości nigdy nie obserwował wschodów słońca czy rozległych widoków ani nie zwracał zbytnej uwagi na zmieniające się kolory liści na Łądzie. Pod tym względem stał się zupełnie innym człowiekiem.

W środku czwartej samotnie spędzanej nocy Aliver obudził się. Kiedy Kelis opowiadał historię tego śniącego, któremu ojciec zakazał iść jego ścieżką... mówił o sobie. Kelis był śniącym, któremu odebrano przeznaczenie. Może powinien się tego domyślić z jego tonu, lecz Kelis nigdy przedtem nic o sobie nie mówił. Nigdy nie prosił o litość. Aliver wiedział, że nie użalał się też, opowiadając tę historię. Dlaczego nie uświadomił sobie tego w odpowiednim momencie i nic nie powiedział?

Później tej samej nocy miał sen i cały następny dzień przypominał sobie rozmowy, które go sprowadziły. Podczas tego tygodnia, a może nawet dłużej, kiedy popołudniami spotykał się z Thaddeusem, rozmawiali nie tylko o wyzwaniach stojących przed Aliverem. Starzec zrzucił z siebie ciężar swej zdrady. Opowiedział o tym, co Hanish Mein wyjawiał mu na temat dziadka Alivera, który prawdopodobnie zabił żonę i dziecko Thaddeusa. Powiedział, że mimo źródła tej informacji wierzy, że Gridulan kazał zamordować jego rodzinę. Dlatego Thaddeus pragnął zemsty i zdradził Akaranów.

Aliver nie wiedział, jak na to zareagować, czy gniewem, czy wybaczeniem, którego były kanclerz wyraźnie łaknął. Młodzieniec nie był pewien, czy powinien go nienawidzić za spiskowanie z Hanishem Meinem, czy przeprosić za swoją własną zdradziecką rodzinę, czy też może podziękować za to, że pomógł uratować jego i jego rodzeństwo.

Podczas tych rozmów Thaddeus wyjawiał skomplikowaną sieć niegodziwości, dzięki

którym funkcjonował świat. Chociaż było to bolesne, Aliver cieszył się, że w końcu to usłyszał. Zawsze się bał tego, co niewypowiedziane, niewyjaśnione. Słyszał wcześniej słowa, takie jak „Kontyngent”, i szeptu na temat Lothan Aklun, lecz nie umiał ich powiązać z jakimiś konkretnymi faktami. Teraz jednak wysłuchał wszystkiego, co Thaddeus miał mu do powiedzenia. Akacja była imperium opartym na niewolnictwie. Handlowała ludźmi i kwitła dzięki przymusowej pracy. Rozprowadzała narkotyki, by zniewolić lud. Akaranie nie byli dobrotliwymi przywódcami, w co zawsze kazano mu wierzyć. Zastanawiał się, co to wszystko znaczy dla niego? Czy może mieć pewność, że nowe rządy akarańskie byłyby lepsze od panowania Hanisha Meina?

W końcu krajobraz się zmienił. Okolica stała się jeszcze bardziej wysuszona; Aliver poruszał się między bryłami spieczonej ziemi. Rzadko rosnąca trawa przybrała niemal srebrną barwę i ostro się odcinała od porzrzucanych tu i ówdzie stert poczerniałych, wulkanicznych kamieni, wyglądających jak odchody jakichś pradawnych stworzeń. Aliver nie wiedział, czy sam wymyślił to porównanie, czy kiedyś słyszał taką opowieść. Miał nawet niejasne wspomnienia tego, jak oglądał te stworzenia, kiedy na ogromnych nogach odchodziły za horyzont w poszukiwaniu lepszej krainy. Między skałami rosły samotne akacje, niskie, skarłowaciałe i sękaty. To byli wiekowi dziadowie rasy, niegdyś tu porzuceni i stojący nieruchomo z ramionami wzniesionymi w niewysłuchanym błaganu.

Aliver nigdzie nie widział ani śladu człowieka. Nie było żadnych wiosek, upraw czy porzuconych narzędzi. Nie było nawet zwierząt. Krajobraz był straszliwie pusty i z każdym dniem wrażenie to potęgowało się jeszcze bardziej. Santoth byli ludźmi, tak jak Edifus, którego krew płynęła w żyłach Alivera. Jeśli mieszkali gdzieś w okolicy, zostawiliby jakieś ślady. Nie było jednak niczego.

Pewnego ranka po tygodniu samotnej podróży Aliver zdał sobie sprawę, że nie przeżyje tych poszukiwań. Jakaś jego część nigdy nie miała nadziei na znalezienie Santoth, lecz dopiero kiedy przejrzał swoje mizerne zapasy – garść ziaren sedi, kilka łyków ciepłej wody, paczuszkę suszonych ziół do zupy – uświadomił sobie, że wystarczą mu najwyżej na kilka dni. Od trzech dni nie widział śladu jakiegokolwiek źródła wody. Nie znalazł kłykcia ani żadnej innej rośliny magazynującej choćby łyczek płynu. Nigdy w życiu nie znajdował się w bardziej wysuszonym miejscu. Siedząc, czuł, jak powietrze wysysa wilgoć z jego skóry. Mógłby spróbować wrócić po własnych śladach do granicznej rzeki, lecz ile dni go od niej dzieliło? Nie umiał tego stwierdzić dokładnie, ale leżała dalej, niż był w stanie przejść.

Stanął na obolałych nogach i rozejrzał się po okolicy. Świat rozciągał się przed nim jednolitym pustkowiem poza horyzont. Nic. Tylko piasek, skały, a nad tym niebo. Postąpił

krok. I jeszcze jeden. Nie próbował biec. Czuł, że musi się poruszać, choć wolno i potykając się. Zapasy zostawił tam, gdzie je położył. Nie pomogą mu, a bez nich szybciej skończy się ta męka. Określił porę dnia z położenia słońca, a potem uznał, że nie ma to znaczenia. Santoth – tak jak podejrzewał cały czas – byli jedynie duchami przeszłości utrzymywanymi przy życiu przez zabobonne umysły. A on jest jedynie chodzącym trupem. Zaskakujące było to, że tak naprawdę mu to zbytnio nie przeszkadzało. W pewnym sensie czuł się usprawiedliwiony. Cały czas miał rację, nie był przeznaczony do jakiejś mitycznej wielkości. Może królewski płaszcz spadnie na Corinn, Menę albo nawet Dariela, a może ród Akaranów nie zasługuje już na władzę, jaką dzierżył.

To wszystko wydawało mu się całkowicie sensowne i pogodzenie się z losem sprowadziło nań spokój, jakiego nie odczuwał nigdy przedtem. Z czułością pomyślał o siostrach i bracie. Żałował, że nie widział, jak dorastają. Miał nadzieję, że im się powiodło. Bez względu na to, jak bardzo się starał, on, Aliver, zawsze był słabym ogniwem. Ojciec pokładał w nim zbyt wielką wiarę.

Około południa potknął się i upadł. Dźwignął się na kolana i ujrzał otaczający go płaski przestwór piasku z porzrzuconymi tu i ówdzie prostokątnymi głazami tej samej płowej barwy, co wszystko dokoła, stojącymi, leżącymi lub opierającymi się o siebie nawzajem. Zaczął się zastanawiać nad tymi geologicznymi osobliwościami, lecz jego wyschnięte gardło wydało mu się bardziej godne uwagi. Jakiś czas temu przestał się pocić. Głowa pulsowała mu w rytm bicia serca i pulsowanie to na przemian ściemniało i rozjaśniało mu wzrok.

Położył się. Nie byłoby tak źle, gdyby już nie musiał nic czuć z wnętrza ciała. Leżał tak przez jakiś czas, zadowolony, że nie ma już żadnego celu. Dlatego przy pierwszej oznace ruchu, zmiany, poczuł zalewającą go falę uczucia, które odbierał jak... nie jak strach, czego mógłby się spodziewać. Nie jak grozę czy niedowierzanie. To uczucie było trudniejsze do określenia. To był jakby żal. Spowodowało go przebudzenie głazów otaczających zewsząd Alivera. Obudziły się i powoli ruszyły w jego stronę.

ROZDZIAŁ 35

Domek myśliwski Calfa Ven przywarł do południowej ściany granitowej skarpy, wychodzącej na ostro zarysowane, dzikie doliny Królewskiego Łowiska. Na wpół wykuty w skale, a na wpół przycupnięty na jej szczycie, domek od ponad dwustu lat stanowił miejsce odpoczynku dla akacjańskiej szlachty. Jego nazwa oznaczała w języku senivalskim „gniazdo górskiego kondora”. Łowisko było gęsto zalesionym terenem obfitującym w zwierzynę, chronionym przez niewielki zespół ludzi, którzy dbali o domek i patrolowali las w poszukiwaniu kłusowników. Corinn nie odwiedzała tego miejsca od dzieciństwa, lecz wciąż dobrze je pamiętała.

Uspokojenie imperium na tyle, by mogli sobie robić wakacje, zajęło Meinom kilka lat. Samo pojęcie wakacje było nieco dziwne dla ludzi, którzy polowali głównie po to, by się wyżywić, lecz ostatnio przekonali się do traktowania tego jako rozrywki. Kiedy Corinn się dowiedziała, że Hanish życzy sobie jej towarzystwa w domku myśliwskim, nie miała właściwie wyboru. Co nie znaczy, że odmówiłaby mu, gdyby mogła. Pilnowała, by jej niechęć wyraźnie przebijała z zachowania i słów, lecz w jego towarzystwie zawsze czuła się pełna nerwowej energii.

Dotarła do domku, jadąc nieco za Hanishem, razem z kilkoma meinińskimi szlachciankami. Z tej strony prezentował się jako szary granitowy budynek, wzniesiony w prostym stylu z dużych bloków, co miało nawiązywać do dawnych, skromniejszych czasów. Na schodach czekał na nich cały personel. Corinn rozpoznała przełożonego służących, Petera. Kiedy była dziewczynką, uważała go za przystojnego i uderzyło ją, jak staro teraz wygląda. On jako pierwszy w otoczeniu domku uświadomił jej upływ czasu.

Peter witał ich wylewnie. Podszedł do Hanisha zgięty w pół, trzęsąc się jak stary pies, usiłujący merdać artretycznym ogonem.

– Twoja wizyta, panie, sprawia nam ogromną przyjemność. Ogromną przyjemność... – Prawie nie zostawił Hanishowi czasu na odpowiedź, zalewając go potokiem słów dowodzących, jak długo czekali, by go poznać, jak starannie się przygotowywali do tej wizyty, jaki bujny jest las i jak polowanie przejdzie oczekiwania Hanisha. – Łowisko roi się od wszelkiej zwierzyny. Bez najmniejszego kłopotu...

Służący przerwał w pół zdania. Jego wzrok, którym właśnie zaczął wodzić po

przybyłych, natrafił na Corinn. Wpatrywał się w nią przez chwilę tak szeroko otwartymi oczyma, że wyraźnie było widać całe tęczęwki. Skłonił głowę i, jękając się, przywitał ją po imieniu, a następnie odwrócił się i ponownie skupił uwagę na Hanishu.

Jego widok wytrącił Corinn z równowagi. Dlaczego sprawiał wrażenie przestraszonego? Bał się Hanisha, to oczywiste, lecz w spojrzeniu, jakie na chwilę utkwiał w królownie, był inny rodzaj niepokoju. Nie umiała całkowicie usunąć z pamięci wyrazu jego twarzy, chociaż obchód domku znacznie go złagodził. Dziwnie było słuchać Petera oprowadzającego całą świtę po pokojach, które już знаła. Mówił tak, jakby wszystko to zostało stworzone wyłącznie dla przyjemności Hanisha, jakby wspomnienie poprzednich mieszkańców było zatarte.

Wewnętrzne pokoje były ciasne i nieco ciemne, oświetlone jedynie lampami wiszącymi na ścianach i ogniem płonącym w kominkach. Widać było stare przedmioty: tkaninę przedstawiającą polowanie, ciągnącą się przez całą długość jadalni, srebrny kandelabr bogato rzeźbiony w sceny z życia Eleneta, szklane misy pełne wonnych ziół i przypraw. Jakże Corinn kiedyś lubiła ten zapach. Wdychanie go groziło zalewem wspomnień. Starła się oddychać płytko i zwracać uwagę na przedmioty, które zostały dostawione lub zmienione wedle gustu nowych panów. Futrzane dywany i przykrycia mebli w meinińskim stylu; kilka niskich stołów na mocnych nogach; emblemat Meinów wytrawiony na kamieniach posadzki przed kominkiem w jadalni: pełno było drobnych zmian.

Obok Hanisha siedł Larken, ten akacjański Marah, który przed laty ją zdradził; pęczniał z dumy i mówił niemal tak dużo, jak Peter. Kiedy nie było Maeandera, Larken niemal zawsze stał u boku wodza. Corinn nadal go nienawidziła, chociaż starała się tego nie okazywać.

Słyszała rozmowy pozostałych kobiet, ich uwagi na temat wyposażenia pokoi, że ten czy inny przedmiot jest uroczy albo czarujący. Rhrenna wodziła palcami po blatach stołów, sprawdzając, czy nie ma na nich kurzu. Tak ostentacyjnie obnosiły się ze swoją nową szlacheckością, że aż złościło to Corinn, chociaż i tego nie okazywała. Jej główną bronią przeciwko tym ludziom był wewnętrzny sprzeciw. Pogarda dodawała Corinn sił, więc pielęgnowała ją niczym ogrodnik doglądający kłującego piękna różanego krzaka.

Największym atutem domku był widok, jaki się z niego roztaczał. Każdy pokój wychodzący na Królewskie Łowisko miał balkon, skąd można było oglądać baldachim bujnego listowia drzew, ciągnący się ku północnemu horyzontowi, pomiędzy którym tu i ówdzie sterczały granitowe skały. Wiatr przeczesywał korony drzew; widok był podobny do morza burzonego podmuchami sztormu. Surowe piękno krajobrazu oszołomiło Corinn. Nie

pokrywał się z jej wspomnieniami – przypominała sobie jedynie strach przed zielenią tego miejsca, cienie pod drzewami, w których zdawały się kryć ogry, leśne upiory i rosomadźwiedzie. Co prawda wciąż wyczuwała ich groźną obecność, lecz teraz przypominała jej to, co wyobrażała sobie na temat północnych lasów Igguldana.

Tego wieczoru zjadła kolację przy stole Hanisha w głównym pokoju. Towarzystwu trzydziestu osób usługiwało mniej więcej tyle samo służących, przemykających korytarzem prowadzącym do kuchni. Jedzenie było nieco zbyt ciężkie jak na gust Corinn, bo składało się z dziczyzny, kaszanek i tłustych wątróbek. Przesuwała je tylko po talerzu. Jedną z rzeczy, których nie znosiła przy podobnych okazjach, była nieustająca groźba, że zostanie wciągnięta do rozmowy jako znawczyni wszystkiego, co akacjańskie. Na początku chwytła przynętę i z przejściem wyliczała osiągnięcia swego narodu, lecz w ten sposób nigdy nie osiągała celu. Albo czuła się głupio, ponieważ jej wiedza nie odpowiadała faktom, które przywoływali jej rozmówcy, albo zyskiwała bolesną świadomość, że dzięki niej tryumf Meinów nad jej narodem wydaje się jeszcze większy. Tego wieczoru raz po raz znajdowała się w centrum zainteresowania. Larken mógłby lepiej od niej odpowiedzieć na każde z pytań, lecz chyba nikt już nie pamiętał, że kiedyś był Akacjaninem.

– Corinn, o czym opowiada ten fresk w korytarzu?

– Który?

– Ten jak... jak cały świat, taki duży i szczegółowy. Ale wszystko skupia się na jednej chłopięcej postaci. Wiesz, o który mi chodzi.

Corinn wiedziała. Odparła, że to opis świata za czasów Eleneta. Sama z siebie nie dodała nic więcej, lecz, naciskana, wyjaśniła, że jest to przedstawienie dramatycznego momentu, kiedy Dawca odwrócił się od świata. Dodała, że więcej nie wie.

– Jakie dziwne wierzenia – odezwała się młoda kobieta imieniem Halren. – Wierzycie, że wasz bóg was opuścił, tak? On was nienawidzi. Gardzi waszymi modłami, a twój naród od wieków czci go bez przekonania. Najpierw mówicie: „Bóg istnieje i mnie nienawidzi”, a w następnej chwili wzruszacie ramionami i żyjecie dalej, nie usiłując odzyskać jego przychylności. Nie widzisz w tym szaleństwa?

Corinn poruszyła się, zerknęła na Larkena i wymamrotała, że niewiele o tym rozmyślała.

– Po co w ogóle ją pytać? – zapytała jedna z pokojówek Rhrenny. – Nie jest uczoną – prawda, Corinn?

Królowna nie wiedziała, czy to miał być przyjazny gest, czy zniewaga. Tak czy owak, poczuła, że się rumieni.

– Gdybym straciła przychylność Tunishnevre, zrobiłabym wszystko, by ją odzyskać – stwierdziła Halren, zerkając ukradkiem na Hanisha. – Na szczęście czuję, że są ze mnie dość zadowoleni. Właściwie z nas wszystkich, dzięki naszemu wodzowi.

To nie przyczyniło się do zmniejszenia rumieńca Corinn. Zwróciła spojrzenie na Halren, na srebrzyste błyski na jej czole i blade rysy.

– Jesteście „błogosławieni” od jak dawna? Od dziewięciu lat? To kichnięcie w porównaniu z panowaniem Akaranów.

Być może powiedziałyby coś jeszcze ostrzejszego – coś, czego później by żałowała – lecz w tej chwili Hanish postanowił skupić na sobie uwagę biesiadników.

– Królowna ma rację – rzekł. Chwilę jakby się nad tym zastanawiał z zamyśleniem w szarych oczach. – Corinn, czy słyszałaś opowieść o Małym Kilishu? To był olbrzym, nazwany tak z ironią. Był rolnikiem i zrobił sobie tak potężną kosę, że tylko on mógł nią władać. Uwielbiał robić nią wielkie zamachy, kładąc miliony kłosów pszenicy. Zrobił drugą kosę i tańczył po polach pszenicy, wycinając koła i inne wzory, za każdym zamachem wykonując pracę dziesięciu ludzi. Zastłynał na całą okolicę. Brał udział w zawodach z innymi kosiarzami, lecz zawsze to on ścinał najwięcej pszenicy. Wkrótce nikt nie chciał stawać z nim do zawodów.

Hanish przerwał, gdy służący zmieniał mu talerz na czysty, a potem ciągnął opowieść. Pewnego dnia pojawił się obcy, drobny mężczyzna o śniadej cerze i złośliwym wzroku. Był to żniwiarz dusz. Zbudował maszynę, która już powaliła większość świata. Była to wielka rama, rozciągająca się nad całym polem, przytwierdzona do kół, na których się poruszała. W stu punktach rozmieszczonych po całej ramie żniwiarz umieścił manekiny z ruchomymi stawami, tak skomplikowane, jak prawdziwi ludzie, zrobione z dębiny. Każdy z nich trzymał sierp. Na widok maszyny ludzie wybuchnęli śmiechem. Cóż to za olbrzymia zabawka? Na co się zdadzą postacie z drewna? Lecz żniwiarz dusz znał trochę mowę boga. Wyszeptał zaklęcia, dzięki którym ukradł dusze tych, którzy się z niego wyśmiewali, i umieścił je w drewnianych figurach. To je ożywiło. Zaczęły wymachiwać sierpami jak prawdziwi ludzie. Żniwiarz dusz klepnął muła i zwierzę pociągnęło urządzenie po polu. Pracowali dla niego wszyscy drewniani ludzie i po kilku chwilach zżęli więcej zboża, niż Mały Kilish zdołałby ścinać w ciągu całego dnia.

Kolejny służący próbował ponownie napełnić kielich wodza, lecz Hanish odprawił go machnięciem ręki, jakby znecierpliwiony czujnością służby.

– Ludzie byli zdumieni – ciągnął. – Chwalili obcego. Wszyscy się zgodzili, że wygrał zawody i zaszczyty przypadły jemu. Małemu Kilishowi nie spodobała się jednak ani

maszyna, ani człowiek, który ją zbudował. Całe zamieszanie wokół niego bardzo Kilisha złościło. Dlaczego ludzie podziwiają coś tak obrzydliwego?

– Na chwilę zapomnieli o własnych duszach – odezwała się Halren.

– Nie zauważali pozbawionych dusz zombich, którzy teraz stali wśród nich. Nie przemyślawszy sprawy do końca, Mały Kilish zamachnął się kosą i obciął głowę żniwiarza dusz. Spadła na ziemię i trajkotała jeszcze przez kilka minut, zanim język zdał sobie sprawę, że wszystko stracone. Mały Kilish rozejrzał się w obawie, że zostanie nazwany mordercą i zbrodniarzem i wygnany. Lecz ludzie go nie wygnali, a nawet ucieszyli się. Powiedzieli: „Niech Kilish ścina naszą pszenicę, bo jest silny i nie musi kraść nam dusz!”. I tak się stało.

Hanish pokazał gestem, że to już koniec opowieści. Rozległo się kilka głosów, chwalać wodza. Halren rozglądała się z uśmiechem, jakby opowiedział to specjalnie dla niej. Lecz wódz nie spuszczał wzroku z Corinn.

– Opowiadamy tę historię od wielu, wielu lat. Rozumiesz jej przesłanie, prawda?

– Powiadasz, że Mały Kilish był olbrzymem, lecz ja podejrzewam, że przynajmniej jedna część jego ciała nie była tak duża – rzekła Corinn. – Na pewno dlatego tak został nazwany. Nie powinno się dowierzać komuś, kto ma na imię Mały. Żaden mężczyzna nie chce myśleć, że jakaś jego część jest mała. Robi się od tego zgorzkniały, niesprawiedliwy i małosłowny...

– Corinn, potrafisz w taki sposób... – zaczęła Rhrenna.

– Mały Kilish – przerwał im obu Hanish – pochodził z rasy Meinów, a żniwiarz dusz był Akacjaninem. W tym tkwi morał. Być może od niedawna dierzymy władzę, królewno, lecz nie sprzedaliśmy naszych dusz, by ją zdobyć. Osiągnięcie uczciwymi środkami tego, co twój naród zdobył dzięki zdradzie po prostu zajęło nam trochę więcej czasu.

– Tę opowieść wymyśliłeś teraz – rzekła Corinn. – „Uczciwymi środkami”! Czy...

Hanish odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Rozgniewałem królewne. Wątpię, czy przyzna, że zaskakuje ją precyzja, z jaką stara opowieść oddaje prawdę o historii naszych dwóch narodów. To zupełnie jak przepowiednia, prawda? Cieszę się, że przyczyniłem się do jej spełnienia.

Wywołało to pochwalne pomruki dokoła stołu, lecz Corinn powiedziała:

– Być może ty się cieszysz, lecz mnie napęnia to smutkiem.

– Nie wierzę – rzekł Hanish. Utkwił w niej wzrok. – Myślę, że mówisz takie rzeczy tylko dlatego, że uważasz, iż powinnaś. Lecz w rzeczywistości, królewno, nie wyrządziliśmy wam wielu krzywd. Owszem, zginął twój ojciec. Nie będę cię prosił, byś mi to wybaczyła, lecz proszę, żebyś pamiętała, że w ciągu tych samych kilku sekund, podczas których straciłaś

ojca, ja straciłem ukochanego brata. Obaj byli narzędziami w większej sprawie, sprzecznych sprawach. Tak się toczą ludzkie dzieje i nie ma w tym żadnej zbrodni. – Odchylił się, ujął kielich i napił z niego. – Poza tym nie wyrządziliśmy ci żadnej krzywdy.

– Żadnej krzywdy... – zaczęła Corinn.

– Właśnie tak. Nie tknęliśmy nikogo z twego rodzeństwa. Nigdy. I nigdy tego nie zrobimy, a przynajmniej nie po to, by im zrobić krzywdę. Zawsze chcieliśmy tylko sprowadzić ich do domu, tam, gdzie ich miejsce. Mogliby żyć obok nas, tak jak ty. Spójrz na siebie, Corinn. Spójrz na swoje życie. Stanowisz część dworu pełnego ludzi, którzy cię uwielbiają mimo przytyków, które robisz pod naszym adresem. Masz wszelkie luksusy związane z królewską pozycją i żadnych obowiązków. Bardzo bym chciał, żebyś polubiła tę sytuację. Naprawdę bardzo bym chciał widzieć cię... szczęśliwą.

Corinn poderwała głowę, by spojrzeć mu w oczy. Czuła się tak, jakby zaraz miał wetknąć jej język do ucha. Tak właśnie dotarło do niej to ostatnie słowo, podobne do wilgotnej pieśczoży, która dosięgała ją przez stół na oczach wszystkich. Lecz on siedział wygodnie oparty, swobodny, z kielichem wina przy ustach. Tylko w obecności Maeandera czuła się bardziej skępowana bez wyraźnego powodu.

– A więc umrzyj – ty i cały twój lud – i oddaj mi rodzinę – powiedziała.

Halren zaczęła coś mówić z oburzeniem, lecz Hanish wyglądał jedynie na rozbawionego.

– Moja droga uczuciowa dziewczyno, jesteś bardzo piękna. Prawda, Larkenie?

– Nieco drażliwa – odparł zdrajca – lecz jej widok nie sprawia przykrości.

Corinn wstała i wyszła z pokoju, czując na sobie spojrzenie wszystkich obecnych.

ROZDZIAŁ 36

Odstawienie mgły nie było dla Leeki Alaina czymś łatwym. Całymi dniami miał wizje, a nocami śniły mu się koszmary. Ciało przeszywały mu fale bólu z taką siłą, że sztywniał i drżał na swojej pryczy. Czasami miał wizje świata takiego, jakim go widział podczas gorączki, którą przetrzymał w Meinie. Lecz miał zapamiętać to delirium jako spalanie, koszmar, w trakcie którego był spalany i spalał sam siebie. Niekiedy miał uczucie, jakby w jego ciele roily się tysiące robaków o ostrych zębach, przegryzające się przez każdy kawałek mięsa, jaki mogły znaleźć. Gorsze jednak było to, że robaki były jego częścią, sam Leeka był i pożerającym, i pożerany. Zjadał sam siebie i był zjadany.

Były kanclerz przez cały ten czas tkwił u jego boku. Od pierwszej nocy, kiedy Thaddeus wpadł na niego w ciemności, kanclerz stale był gotów do pomocy jako surowy lekarz, pielęgniarz, strażnik więzienny i powiernik w jednej osobie. Zamknął Leekę w jego ruderze wśród wzgórz nad tym zabitym dechami miasteczkiem. Przywiązał go za ręce i nogi do łóżka, dodatkowo owiązał go w piersiach szerokim pasem materiału i usiadł przy nim, wyjaśniając, że bardzo potrzebuje jego pomocy. Nie może jednak zacząć omawiać tej sprawy z Leeką, dopóki jego umysł i ciało nie uwolnią się od nałogu. Generał, skonsternowany i przestraszony zamętem narastającym w jego ciele, pomstował na gościa.

W pewnym momencie, kiedy wzrok rozjaśnił mu się na tyle, że ujrzał patrzącego na niego z góry opiekuna, z całkowitym przekonaniem oznajmił, że umiera. Nie był w stanie przeżyć tej męki.

– Widzisz to? – zapytał Thaddeus, rozprostowując dłoń i ukazując kolec przymocowany do czubka małego palca. – Ta szpilka została zanurzona w truciźnie tak silnej, że zabija zanim ofiara poczuje ukłucie. Szybkością działania jest podobna do substancji, której użyłem poprzednio, tyle że jest zabójcza. Zostawię to przy łóżku. Jeśli to prawda, że nie potrafisz żyć bez mgły i wina, posłuż się tą szpilką, by odebrać sobie życie. Albo, jeśli jesteś na to zbyt samolubny, zabij mnie we śnie. Obrabuj mnie z pieniędzy, które mam w torbach, i ucieknij. Złóż los świata w ręce Hanisha Meina. Zrezygnuj z prawa do wielkości. Wszystko leży w twojej mocy, jeśli tak postanowisz. Jeżeli mnie zabijesz, nie będzie to nawet zbrodnia; to będzie dar. Bo widzisz, ja też muszę stawiać czoło wielu demonom. Moglibyśmy razem być tchórzami.

Thaddeus zdjął broń z palca i położył ją na stołku, z którego przed chwilą wstał. Rozwiązał ręce i nogi pacjenta, rozluźnił pas na jego torsie i odszedł. Leeka był prawie pewien, że mimo swej mądrości, Thaddeus nigdy się nie dowie, jak bardzo generał chciał podnieść tę szpilkę i zatopić ją w szyi kanclerza. Wyobrażał sobie każde działanie, każdy ruch przy zabieraniu jego pieniędzy, każdy krok na drodze do wioski, wszystkie transakcje, jakie musiałby przeprowadzić, by w końcu jeszcze raz zacisnąć usta wokół ustnika fajki i się zaciągnąć. Nie miał pojęcia, co go przed tym powstrzymało.

Następnego ranka obudził się z płaczem. Nie miał wątpliwości, że jest sam na świecie. Winił za to wyłącznie siebie. Los świata może i miał wpływ na jego życie, lecz wyłącznie jego winą było to, że nigdy nie kochał kobiety jak należy, nie spłodził dzieci, nigdy nie patrzył na świat ze strachem i nadzieją z myślą o wnukach. Gdyby cokolwiek z tego zrealizował, może lepiej by rozumiał życie. Nie pojmował, jak przeżył tyle lat, nie zdając sobie sprawy, że sumy związane z jego egzystencją miały wynieść zero. Może jednak powinien użyć zatrutej szpilki, by się od tego uwolnić.

– Widzę, że nie przestałeś się całkiem uzalać nad sobą – rzekł Thaddeus, przerywając jego rozmyślenia.

Leeka przetoczył się na bok i zobaczył, że były kanclerz znów siedzi na stołku i przygląda mu się. Z wyciągniętej ręki zwisał mu kawałek materiału. Leeka go wziął i wytarł twarz, świadom, że powinien czuć się skrepowany. Thaddeus zapytał go, czy jest gotów coś zjeść; generał usłyszał własne potwierdzenie.

– Doskonale – stwierdził kanclerz. – To właściwa odpowiedź. Ugotowałem zupę z warzyw i ziół, które znalazłem wśród wzgórz, dodałem też trochę grzybów. Chyba będzie ci smakować. Zjemy razem, a potem wreszcie porozmawiamy o pracy, jaka cię czeka.

Później wiele razy zastanawiał się nad tym, że w jednej chwili człowiek może pragnąć śmierci, a w następnej zostać przywrócony do życia kilkoma życzliwymi słowami, podaną chustką, prostym jedzeniem. Właśnie to pomogło Leece przetrwać. Po tym poranku odmówienie sobie mgły tak naprawdę nigdy już nie było trudne. Owszem, miewał ukłucia dawnego głodu. Czuł je co dzień, niemal co godzinę. Raz po raz musiał podejmować decyzję, by im nie ulec. Sił dodawała mu misja wyznaczona przez Thaddeusa.

Opuścił swoją górską rudere z głową pełną poleceń i niespodziewanie odnowionymi nadziejami. U boku miał akacjańską szablę, pożegnalny prezent od kanclerza. Parę lat wcześniej były żołnierz imperium obnoszący się z bronią ściągnąłby na siebie uwagę, lecz świat nieco się zmienił od pierwszych lat rządów Hanisha. Opór został zdławiony. Bardzo rozproszone meinińskie oddziały prawie nie zwracały uwagi na pojedynczych ludzi,

zachowując energię do ochrony władzy Hanisha i podtrzymującego ją handlu.

Leeka szedł, ciesząc się świeżym powietrzem i bólem nóg. Pod koniec pierwszego tygodnia wędrówki wpadł w swój dawny rytm. Celowo wybierał drogę przez trudniejsze przełęcze, wspinając się po rumowiskach lub stromych zboczach, gdzie każdy krok hamowały luźne kamienie, obsuwające mu się pod nogami. Pewnego popołudnia, kiedy odpoczywał na siodle między dwoma szczytami, chwyciły go skurcze w nogach. Ściągną podkolanowe kurczyły się, wywołując straszliwy ból. Leeka uniósł twarz do nieba, płacząc z radości. Odzyskiwał swoje ciało.

Nigdy nie miał zapomnieć tego radosnego podniecenia, jakie poczuł na szczycie w pobliżu zachodniego grzbietu Gór Senivalskich; nad sobą miał tylko chmury, wszędzie dokoła tysiące szczytów, a każdy z nich był ostry jak zęby rosomadźwiedzia, wymierzony oskarżycielsko w niebo niczym buntowniczy palec. Leeka wykonał dziesiątą formę, tę Telamathona walczącego z pięcioma uczniami boga Reelosa. Nigdy nie przeżył czystszej chwili. Był to swoisty hołd, akt połączenia się ze wszystkim, czym kiedykolwiek był i na co miał nadzieję. Może się mylił, może miał złudzenia i kręciło mu się w głowie od wysokości, może ogarnęła go próżność – lecz tnąc i wirując, skacząc i obracając się, był przekonany, że wszystkie te szczyty patrzą na niego.

A potem, nazbyt szybko, opuścił chwiejnym krokiem góry i wytoczył się na wybrzeże Szarych Zboczy. Wkroczył bezceremonialnie w zamęt handlu i ludzkiej zdrady, panujący w nadbrzeżnych miasteczkach. Tylko nieliczni zwracali ku niemu życzliwe twarze. Wszyscy oceniali go pod względem ryzyka lub korzyści, mogących wyniknąć z kontaktu z nim. Czuł, że w powietrzu unosi się zagrożenie, odmienne od wszystkiego, co wyczuwał za panowania Leodana. Raz po raz nagabywali go handlarze mgłą, zapewniając o jakości produktu, czystości, bezpośrednim pochodzeniu ze źródła, o tym, że jest niecięty. Leeka nie wiedział, czy takich ludzi przyciąga coś w jego twarzy albo zachowaniu, czy może teraz tak się toczy świat. Kilka razy chwycił za ręce kieszonkowców przeszukujących jego ubranie. Dwukrotnie zarzucono mu w tawernie obrazę, której nie był świadom. Raz dobył szabli, przyparty do muru przez trzech młodzieńców w ślepych zaułku. Przeciął powietrze paroma szybkimi ruchami, jakich potrzebowała Aliss, by rozprawić się z Szaleńcem z Careven. Napastnicy mieli dość rozumu, by się wycofać, czym zaskarbili sobie wdzięczność Leeki.

Thaddeus podał mu imię człowieka, którego miał odnaleźć w pewnym nadmorskim miasteczku. Odszukał go i przekonał, że jest wysłannikiem Thaddeusa. Mężczyzna przekazał go innemu, który nakarmił Leekę i pomógł mu walczyć z głodem mgły, a potem posłał z wiadomością do jeszcze innej osoby. Dzięki temu generał zrozumiał, że w świecie działa

ukryta sieć oporu. Stary kanclerz stanowił część czegoś znacznie większego. Dzięki niemu Leeka też.

Cały czas rozmawiał z każdym, z kim się dało – w jak najbardziej niezobowiązujący sposób. Znał imię osoby, której szukał. Posługiwał się nim oszczędnie. Pytania formułował na różne sposoby, zależnie od rozmówcy. W ten sposób minął mu cały miesiąc i spora część następnego, a Leeka nadal nie zbliżył się do celu; niewiele z tego, co słyszał, mogłoby mu pomóc, lecz dowiadywał się na tyle dużo, że rozpałało to jego chęć do dalszego działania. Kiedy nadszedł przełom, początkowo wcale go nie rozpoznał ani się nim nie ucieszył.

W tawernie w porcie rybackim, o którego nazwę nawet nie zapytał, podeszła do niego kobieta. W jednej ręce niosła coś do picia. Uśmiechnęła się do Leeki, a że była młoda i atrakcyjna w dość określony sposób, wziął ją za prostytutkę. Kiedy się odezwała, zrobiła to z zadziwiającą bezpośredniością.

– Dlaczego pytasz o tego zbrojce?

Leeka udzielił jej jednej z przygotowanych odpowiedzi. Celowo mówił ogólnikami. Napomknął o propozycji zrobienia interesu, o bezpośrednim źródle posiadanych informacji, o perspektywie obopólnych korzyści dla niego i dla zbrojcy oraz o tym, że wszystko to stanowi kwestię zbyt delikatną, by wyjawiać ją komukolwiek oprócz samego młodego człowieka.

– Hmm – powiedziała dziewczyna i skinęła głową, jakby to jej wystarczyło.

Upiła swego napoju i bez słowa ostrzeżenia prysnęła Leece w oczy szczypiącym płynem. Generał oślepl. Poczuł na sobie czyjeś dłonie, nie tylko tej kobiety. Nagle nabrał przekonania, że zaczaili się na niego wszyscy klienci tawerny. Poczuł uderzenia pięści i jakichś tępych przedmiotów, odebrano mu broń, a potem uderzano jego głową o ścianę i stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, zorientował się, że jest na morzu. Na twarzy czuł rozbryzgi wody i miał wilgotne ubranie. Właściwie przemoczone. Co pewien czas zanurzał się pod wodę. Uświadomił sobie, że jest przywiązany do deski przybitej do dziobu statku i że jego ciało wyznacza kurs przez kipiące zielone morze. Był żywym galionem.

W takim charakterze przybył do Palishdocku, w dość pożałowania godnym stanie, w o wiele mniejszej tajemnicy, niż by sobie życzył i bez oznak swojej wysokiej pozycji – i tak ujrzała go zbieranina morskich zbrojców, zgromadzona w porcie. Załoga opuszczająca go na pomost nie była zanadto uważna. Przez jakiś czas leżał twarzą w dół na wypłowiałych od słońca deskach. Kiedy w końcu znieśli go na brzeg, po prostu podnieśli całą deskę, a on kołysał się w rytm ich kroków. Upuścili go na gorący piasek, lecz tylko na chwilę. Leeka poczuł, że stawiają deskę i opierają ją o jakiś budynek. I tak czekał, związany, posiniaczony i

zapiaszczony.

Była tam ta młoda kobieta, którą wziął za prostytutkę, i cała zgraja zbirów, którzy tak łatwo go pobili i związali. Opierali się o ściany, swobodni i niefrasobliwi, dopóki z jednego z prowizorycznych budynków nie wyszło dwóch mężczyzn: jeden młody, a drugi rosły. Młodzieniec nie wyglądał na zadowolonego. Zamienił kilka zdań z tymi, którzy przywieźli Leekę, a potem przyglądał mu się z pewnej odległości, jakby się zastanawiał, czy ma z nim porozmawiać, czy odejść.

Rosły mężczyzna opierał się ciężko na lasce. Skórę miał bladą, a ciało, chociaż potężne, obwisłe jak na wpół pusty worek. Wpatrywał się w Leekę bez słowa.

W końcu młodzieniec podszedł do generała. Wyjął sztylet z pochwy na udzie i uniósł go; nie był to gest groźby, lecz łatwo mógł się nim stać.

– Kim jesteś i dlaczego o mnie rozpytujesz?

Patrząc w przystojną twarz młodzieńca; niemal pozbawiony tchu w nadziei na twierdzącą odpowiedź, Leeka zapytał:

– Czy to ciebie nazywają Szprotkiem?

– Owszem. I co z tego?

Leeka żałował, że wargi ma tak spuchnięte i sztywne, oblepione zaschniętą krwią i solą. Żałował, że opuchnięte oko nie pozwala mu dobrze widzieć i że ma sucho w gardle. Nic z tego nie mógł jednak zmienić, więc powiedział to, co sobie zaplanował.

– Królewiczu Darielu Akaranie – zaczął – z radością oglądam...

– Dlaczego tak mnie nazywasz? – przerwał mu młodzieniec, wybuchając gniewem.

Ku zdumieniu Leeki odpowiedział ktoś inny. Rosły mężczyzna podkuśtykał do przodu.

– Uspokój się, chłopcze. To moja sprawa. To wyłącznie moja sprawa.

ROZDZIAŁ 37

Mena chwyciła pętlę zardzewiałego metalu i przysiadła na piasku. Tak zakotwiczona, odchyliła głowę i popatrzyła w górę przez kolumny żywych mięczaków. Siedziała, jak często to robiła, na piaszczystym dnie zatoki, jakieś dziesięć metrów pod powierzchnią wody, i wstrzymywała oddech. Jej włosy unosiły się wokół niej wijącymi się mackami. Wszędzie dookoła wznosił się las złożony z łańcuchów spuszczonej w dół i przymocowanych do podłoża. Z ich ogniw zwisały tysiące ostryg; dorosłe były wielkości głowy dziecka. Choć w większej części składały się z muszli, każda, uduszona w sosie z mleczka kokosowego i podana z przezroczystym makaronem, wystarczyłaby dla trzech czy czterech osób. Stanowiły przysmak, na który świątynia miała monopol. Dzięki eksportowi czarnych ostryg świątynne skrzynie napełniały się za każdym razem, kiedy wzdłuż archipelagu przepływali kupcy.

Płuca zaczynały ją palić. Tłukły się o klatkę piersiową. Wszystkie mięśnie aż po czubki palców u rąk i nóg drgały w odruchu protestu, każda część jej ciała gniewnie krzyczała. Jaskrawy turkus powierzchni morza uwydatniał ciężar i rozmiary ostryg, jakby leżący wyżej świat był błogosławionym miejscem pełnym światła, do którego Mena mogła dotrzeć tylko dzięki bardzo niebezpiecznej podróży. Rozprostowała dłonie i uniosła się w wodzie. Zdążając w stronę światła, wydmuchnęła strumień bąbelków. Nigdy nie wiedziała, czy to za sprawą tych bąbelków, czy też ostrygi inaczej wyczuwały jej zbliżanie się – mięczaki jeden po drugim zamykały muszle, otwierając jej drogę ku powierzchni. Najgorsze, najbardziej gorączkowe były ostatnie chwile; całe jej jestestwo wyrывało się do góry, pewnie, że zwlekała zbyt długo.

Wyskoczyła na powierzchnię z szeroko otwartym owalem ust. Razem z powietrzem dotarło do niej światło, dźwięk i ruch – życie. Nie umiała wyjaśnić potrzeby przechodzenia tej dziwnej próby, lecz zawsze miała po niej chwilowe poczucie czystości duszy. To ją zawsze niepokoiło, szczególnie w dni takie jak ten, kiedy miała patrzeć w twarze rozpaczających rodziców i przysięgać, że śmierć dziecka stanowi dobrodziejstwo dla nich wszystkich, konieczną ofiarę i dar, jaki powinien być gotowy przekazać każdy rodzic.

Opuściła hodowlę ostryg późnym rankiem. Przez niemal pół godziny pokonywała labirynt kei i pływających pomostów, wypełniających płytką zatokę. Część portu należąca do świątyni była samotnym królestwem, w którym Mena spędzała całe godziny. W porcie

handlowym wkroczyła w tętniący życiem tłum kupców i żeglarzy, rybaków i tkaczy sieci. Lawirowała między straganami, na których sprzedawano wszelką żywność: ryby i skorupiaki, owoce z nadbrzeżnych plantacji i mięso z dżungli porastającej góry. Sprzedawcy zachwalali swój towar w śpiewnej mowie Vumu. Mena poruszała się ze spokojną stanowczością, przyjmując ciche pozdrowienia, pełne szacunku ukłony i modlitwy. Wśród tych ludzi chodziła Maeben. Zwykle ich to cieszyło, lecz tego popołudnia w obserwujących ją oczach kryła się powaga.

Pokonując ostatni prosty odcinek pomostu prowadzącego do brzegu, Mena zauważyła przyglądającego się jej marynarza. Stał na relingu barki handlowej, jedną ręką trzymając się lin. Zatrzymała na nim wzrok wystarczająco długo, by zauważyć jego nagi tors, gładko ogoloną, kanciastą szczękę, spokojne oczy i głowę owiniętą paskami białego materiału, których zwisające końce przyklejały się mu do spoconej piersi. Nie pochodził z Vumu, lecz żeglarze zawsze byli zbieraniną ras. W jego twarzy nie było nic życzliwego czy lubieżnego, lecz jego pełne uwagi milczenie zaniepokoiło Menę. Przyśpieszyła kroku.

W świątyni włożyła całe przebranie Maeben: szpony, kilka warstw szat z piór, nastroszone nakrycie głowy, wieńczące jej groźny, ekstrawagancki wizerunek. Czując pracujące wokół niej dłonie, czekała na uczucie boskiej obecności, która ożywiłaby jej postać, włożyła w jej usta słowa i rozpałała w jej umyśle absolutną wiarę. Jednak bogini nie chciała w nią wchodzić wtedy, gdy była najbardziej potrzebna. Milczała i Mena musiała odpowiadać za nią najlepiej, jak umiała.

Początkowo sądziła, że czegoś jej brak. Starszy kapłan zapewnił ją, że bogini, sroga pani, tylko ją wypróbować. Mówił, że to tylko kwestia czasu, że Maeben naprawdę zacznie w niej żyć cały czas – nie tylko podczas gorączki uroczystości. Chociaż tak się nie stało, Mena czuła się w swojej roli coraz swobodniej. Wszyscy wokół niej sprawiali wrażenie głęboko wierzących i to zwykle wystarczyło, by ją podnieść na duchu. Tego dnia było jednak inaczej i Mena bała się czekającego ją spotkania.

Po ubraniu się siedziała przez chwilę na podobnym do tronu krześle w przedsionku świątyni. Obok niej stał główny kapłan zakonu Maeben, Vaminee. Jego ciemna skóra była gładka i nie zdradzała jego wieku, chociaż Mena wiedziała, że piastuje swoje stanowisko od ponad czterdziestu lat. Miał na sobie cienką szatę opadającą z ramion w przezroczystych fałdach; stał tak nieruchomo, że mógłby być posągami. Nie pierwszy raz czekali tak na rozpoczęcie spotkania. Prawdę mówiąc, milczeli tak wspólnie trzy razy w ciągu ostatnich kilku lat.

Weszła para młodych ludzi w otoczeniu pomniejszych kapłanów. Mieli opuszczone

głowy, ręce wyciągnięte przed siebie i zbliżali się powoli. Mena zauważyła, że wydawali się drobni, jakby sami byli dziećmi! Jak mogli spłodzić – a teraz utracić – dziecko? Uklękli przed podwyższeniem.

– Kim jesteście? – zapytał bez ceregieli Vaminee. – Skąd pochodzicie? Czym się zajmujecie?

Odpowiedział ojciec, wysokim głosem, zduszonym przez emocje. Wyjaśnił, że pochodzą z wnętrza wyspy. Mieszkają w górskiej wiosce. On poluje na ptaki dla piór używanych podczas świątynnych uroczystości, a ona splata z palmowych włókien kosze oraz rozmaite przedmioty, które wysyłają na targ w Galat. Ich córka, Ria, była grzeczną dziewczynką, okrągłolicą jak jej matka i nieśmiałą. Kochali ją nad życie. Bez chwili wahania oddałby własną duszę za jej duszyczkę. Nie rozumie, dlaczego...

– Macie drugie dziecko – przerwał mu Vaminee. – Bliźniaka dziewczynki. Cieszcie się tym.

– Mieliśmy przedtem jeszcze jedno – rzekł ojciec, chcąc przedstawić swój punkt widzenia. – Nasze dzieci pojawiły się wszystkie trzy naraz. Pierwsze straciliśmy na rzecz cudzoziemca. Zabrano nam Tan. Dlaczego więc Maeben miałyby karać nas jeszcze raz?

Och, pomyślała Mena, już dali jedno dziecko na Kontyngent. A teraz stracili drugie?

Vaminee był nieporuszony.

– Troje dzieci w jednym łonie to skarb zbyt bogaty, by pozostał niezauważony. Lecz opowiedz nam, co się dokładnie stało z tą dziewczynką.

To opowiedziała kobieta. Nie okazywała emocji tak wyraźnie jak jej mąż. Głos miała jak oczy, bezbarwny i znużony, jakby przekroczyła już granicę rozpacz. Powiedziała, że razem z córką szły grzbietem góry. Ria wlokła się w pewnej odległości za nią, lecz dobrze знаła ten szlak. Matka słyszała jej śpiew, powtarzane bez końca proste zwrotki. W pewnym momencie piosenka po prostu umilkła w środku zdania. Kobieta obejrzała się, lecz miejsce, w którym powinno się znajdować jej dziecko, było puste. Kiedy spojrzała w górę, ujrzała nogi córki, zwisające jakby z samego nieba. I wtedy dostrzegła rozpostarte skrzydła, które uniosły dziecko. A potem usłyszała ich szum.

Na chwilę zatrzymała wzrok na Menie, a potem spuściła go na podłogę.

– Wtedy zrozumiałam, że ukradła ją Maeben.

– Maeben niczego nie kradnie – odezwał się Vaminee. – To, co bierze, należy do niej od chwili, kiedy tego dotknie.

– Myślałam – rzekła matka, podnosząc wzrok – że Ria jest moja. Przybyła z...

I znów przerwał jej podniesiony głos Vaminee'a.

– Spuść wzrok! Zapominasz, gdzie jesteś. Myślisz, że wasz żal należy tylko do was. Mylicie się! Żal należy do Maeben. To, co czujecie, to tylko część tego, co ona cierpi. To jak pojedyncze ziarnko piasku ze wszystkich plaż Vumu. Maeben zabrała wasze dziecko, by dotrzymać jej towarzystwa na Uvumal. Pewnego dnia zrozumiecie, że to dar – dla dziewczynki i dla was. Czyż nie tak, o Wściekła?

To był znak, którego Mena się bała, sygnał, że musi włączyć się do rozmowy. Wstała i ruszyła w stronę małżonków z rękoma uniesionymi na boki, skrzydłami przygotowanymi do lotu. Twarz starała się mieć nieruchomą, chociaż jej umysł gorączkowo szukał odpowiednich słów do uzasadnienia czynów rozgniewanej bogini. Wciąż nie potrafiła ich znaleźć. Czowała, że jej maska jest przerażająca. Przeszyło ją ukłucie wstydu.

Zatrzymała się tuż przed małżonkami przyciskającymi czoła do posadzki. Zobaczyła tatuaż na ramieniu mężczyzny, kręgi odznaczające się na skórze pleców kobiety. Jakże kochała tych ludzi – wszystkich mieszkańców Vumu! Kochała ich wygląd, zapach skóry i kształt roześmianych ust, spokojny wdzięk, z jakim się poruszali. Tych dwoje reprezentowało w tej chwili wszystkich żyjących w tyranii bogini, którą ucieleśniała Mena. Miała nadzieję, że nie podniosą na nią wzroku. Nie musieli. Mogli po prostu mieć spuszczone głowy i słuchać jej usprawiedliwienia działań

Maeben. Wystarczy, że powie kilka zdań, by im przypomnieć, że Maeben przed nikim nie jest odpowiedzialna, że wciąż czuje gniew z powodu afrontu wyrządzonego jej przez ludzkość. Nie musiała za nic przepraszać, a ci dwoje – jak ją nauczono – podziękują jej później za okazanie siły w obliczu ich rozpacz.

Lecz słowa, które w końcu wypowiedziała, zaskoczyły ją. Nie wypowiedziała ich po vumuańsku. Posłużyła się językiem, w którym czasami śniła, językiem swego na wpół zapomnianego dzieciństwa. Powiedziała, że jest jej przykro. Że nie umie sobie wyobrazić ich smutku. Gdyby tylko mogła, odwróciłaby bieg zdarzeń. Oddałaby im ich okrągłolicą dziewczynkę. Naprawdę.

– Lecz nie mogę tego uczynić – powiedziała. – Teraz Maeben dba o waszą córkę, a wy powinniście kochać syna dwa razy mocniej. Uhonorowaliście już boginię darem. Teraz wasze życie będzie błogosławione, a wasz syn będzie wam zawsze radością.

Wychodząc później z komnaty, Mena zastanawiała się, co by zrobił kapłan, gdyby rozumiał język, którym przemówiła. Wystarczyło, że słyszał, jak mówiła tym językiem. Zapewne skarci ją za to później, lecz to nigdy nie przerażało jej tak, jak sądził kapłan. Czasami, kiedy mówił, Mena wyobrażała sobie, że dobywa starej szabli Marahów, z którą przybyła na wyspę, i ścina mu głowę. Dokładnie widziała, jak to robi, nawet tryskającą krew.

Zaskakiwało ją, że może mieć myśli tak pełne przemocy, ale może był to tylko skutek tak długiego wyrażania gniewu Maeben.

Zastanawiała się, czy jej przemowa na coś się tej parze przydała. Z całą pewnością jej słowa były dla nich zlepkiem niezrozumiałych dźwięków. Może to był tylko akt tchórzostwa, niepełne wyznanie. Dlaczego w najtrudniejszych chwilach zawsze ją ciągnęło do tego drugiego języka?

Kiedy szła wieczorem z głównego budynku świątyni do swojej prywatnej siedziby, wciąż zaprzętały ją te myśli. Dla ochrony przed morską bryzą miała na sobie prostą sukienkę. Bosymi stopami uderzała miękko w ubity piasek; biegnąca przed nią ścieżka, osłonięta z jednej strony niskim żywopłotem, była w świetle gwiazd jasnoszara. Mena знаła drogę na pamięć i nigdy nie brała ze sobą światła.

Zamarła w pół kroku, przekonana, że coś usłyszała – może szept, dźwięk, który nie pasował do otoczenia, ale już umilkł. Lecz nie było słyhać nic prócz cykania jakiegoś owada w zaroślach, szybkich kroków gryzonia zaniepokojonego nagłym bezruchem Meny, psa szczekającego gdzieś w miasteczku i głosów rozlegających się w świątyni. Im dłużej nasłuchiwała, tym bardziej wątpiła, by ten dźwięk miał jakieś znaczenie. Niemal się uspokoiła, kiedy w krzaku za nią coś zaszeleściło.

Obróciła się na pięcie i ujrzała ciemną sylwetkę mężczyzny wychodzącego na ścieżkę. Zapewne chował się w krzakach, dopóki go nie minęła. Przerastał każdego Vumuanina z wioski; pewnie nie pochodził z wyspy, może był żeglarzem albo zbójcą, kimś, kto chciał ją skrzywdzić. Bo inaczej dlaczego miałby ją atakować w ciemności? Obliczyła odległość do wioski i rozważyła możliwość wyminięcia mężczyzny i pobiegnięcia z powrotem do świątyni. Mogłaby krzyknąć, tylko jak szybko ktoś by nadbiegł? Zacisnęła dłonie w pięści, czując ostrość paznokci i pulsujące uczucie, który uważała za gniew. W tej chwili bardziej niż przedtem, kiedy była ubrana w jej strój, czuła się boginią.

– Mena? To ty, prawda?

Rozumiała go dość dobrze, ale zauważyła, że jego akcent rzeczywiście nie jest z wyspy. A potem zrozumiała, że nie odezwał się do niej po vumuańsku. Odezwał się... odezwał się w tym innym języku. Rozpoznała słowa i zrozumiała ich znaczenie, słysząc jednocześnie, jak dziwnie brzmią, wypowiedane przez kogoś innego. Mężczyzna zawołał ją po imieniu, które znali tylko nieliczni na wyspie. Przez chwilę bała się, że sprowadziła na siebie demona. Może bogini nie spodobało się, że przemówiła w tym obcym języku. Może mężczyzna, który się do niej odezwał, ma ją ukarać.

– Czego chcesz? – zapytała, świadomie posługując się vumuańskim. – Nie mam

niczego, co mógłbyś wziąć, więc daj mi spokój. Służę bogini. Jej gniew jest dotkliwy.

– Tak słyszałem – odparł nieznajomy. – Lecz ty nie wyglądasz na olbrzymiego orla morskowego, który porywa dzieci. Wcale a wcale.

Mężczyzna zbliżył się o krok. Cofnęła się, więc uniósł rękę, by ją uspokoić. W kompleksie świątynnym rozległ się jakiś hałas. Nieznajomy przechylił głowę; w padającym świetle rozpoznała marynarza, który wpatrywał się w nią rano. Z jakiegoś powodu bardziej ją to zdumiało, niż przestraszyło.

– Mówisz vumuańskim jak miejscowa, lecz nią nie jesteś, prawda? Powiedz mi, że się nie mylę. Jesteś Mena Akaran, z Drzewa Akacji.

Mena pokręciła głową.

– Jestem Maeben na ziemi – stwierdziła, lecz nie na tyle głośno, by przerwać obcemu.

– Twoim bratem był Aliver. Siostrą Corinn. Dariel był najmłodszy. Twoim ojcem był Leodan...

– Czego chcesz?

Nie było to pytanie, lecz nagły krzyk, który jej się wyrwał z potrzeby uciszenia mężczyzny, ponieważ te imiona i język, którym tak spokojnie mówił, wcale nie napawały jej spokojem.

– Znasz mnie, Meno. Byłem towarzyszem twego brata w grupie szkoleniowej. Moim ojcem był Althenos. Zajmował się archiwum twego ojca w bibliotece pałacowej. Tańczyłem z tobą, kiedy miałaś dziesięć lat. Pamiętasz? Stawałaś mi na stopach, powodując straszny ból. Powiedz, że mnie pamiętasz. Proszę cię, Meno.

Przez cały czas przysuwał się coraz bliżej. Mimo że światło nie stawało się lepsze, bliskość uwydatniła jego rysy. To, o czym mówił, pamiętała tylko częściowo. Wspomnienia te obijały się w jej głowie, a ona upierała się, że to niemożliwe, by ten mężczyzna tak stał przed nią i opowiadał takie rzeczy. A jednak знаła jego twarz. W jego oczach, wciąż dużych, szeroko rozstawionych i spokojnych, rozpoznała chłopca, którym niegdyś był. Miał rozchylone usta, lecz Mena pamiętała, jak wyglądały w uśmiechu, jak wesołość zmieniała jego twarz.

– Królewno – rzekł mężczyzna, padając na kolana. – Porzuciłem już nadzieję... Powiedz, że to ty i że się nie mylę.

– Jak się nazywasz? – zapytała spokojnym głosem, choć spokoju nie czuła.

W jego oczach odbijało się światło gwiazd. Widziała, że coś się w nich zmienia i uświadomiła sobie, że napęniają się łzami.

– Jestem Melio – odparł.

ROZDZIAŁ 38

Rialus Neptos żywił niegdyś przekonanie, że gubernatorstwo w Satrapii Meinów jest wielkim przekleństwem jego życia. Nienawidził tego skutego lodem miejsca, pełnego nieokrzesanych wyrzutek imperium. Cały aż się gotował na myśl o lekceważeniu, z jakim traktowali go Akaranie; był gotów zrobić wszystko, by poprawić swoją sytuację. Dlatego zwrócił się do najgorszego elementu wśród swoich znajomych w Alesji – członków rodziny, przestępców, oportunistów wszelkiego autoramentu – by podczas ataku Hanisha Meina wywoływali zamieszki. Z radością patrzył, jak miasto pogrąża się w chaosie. Przez kilka krótkich dni żył w euforii, patrząc, jak znika stary porządek, i czekając nowych rządów Hanisha Meina, pewien, że zasłużył sobie na poczesne w nich miejsce.

Dlatego, gdy Hanish uczynił Rialusa swoim osobistym łącznikiem przy Calrachu, wodzu kłębiącej się numreckiej hordy, poczuł się zdradzony. Nowy władca zapewne uznał ten manewr za najlepszy żart w historii. Rialus często budził się z krzykiem z koszmaru, w którym Hanish mówił mu o tym zadaniu. Mein zauważył wtedy, że Rialus jest jednym z pierwszych Akacjan, z jakimi zetknęli się Numrekowie. Twierdził, że nadal ciepło się wyrażają o przyjęciu, jakie im zgotował w Cathgergen. W kontaktach z tak nieokrzesaną rasą gubernator wykazał się hartem ducha i wielkimi umiejętnościami.

– Jesteś odpowiednim człowiekiem na to stanowisko, Rialusie – mówił Hanish. – Zasłużyłeś sobie na nie.

Rialus nerwowo zaprzeczył. Nic nie wiedział o Numrekach! Nie pasował do zimnej części kraju, w której mieli się osiedlić. O wiele bardziej wolałby jakieś stanowisko bliżej serca narodu, w Alesji lub na wybrzeżu w okolicach Manil. Może mógłby służyć Hanishowi jako główny urzędnik w Bocoum? Odpowiadałoby mu stanowisko tego rodzaju. Ale łącznik przy Numrekach? Nawet nie znał ich języka. Nie chce się wydać niewdzięczny, powiedział wtedy, ale może Hanish mógłby to rozważyć ponownie. Te potwory przecież jedzą ludzkie mięso! Nie jest to raczej towarzystwo, w jakim powinien przebywać ceniony sojusznik.

Potem żałował, że w ogóle zaprotestował. Był przy tym obecny Maeander, który wszystko słyszał i chyba napawał się błaganiami Rialusa. Decyzja nie została zmieniona i w życiu byłego gubernatora rozpoczął się nowy okres niedoli.

Pewną satysfakcję czerpał z faktu, że Numrekowie, ilekroć mieli na to ochotę, nie

zwracali uwagi na rozkazy Hanisha. Nie zostali w Meinie ani nawet w Aushenii, na co się przedtem zgodzili. Rozprzestrzenili się na południe. Sam Calrach osiadł wraz z dworem w willi na talayskim wybrzeżu. Tutaj wreszcie Rialus znalazł ciepłą pogodę, którą tak lubił. Lecz dotyk słońca na skórze okazał się mierną nagrodą za inne niedole codziennej egzystencji.

Jak Numrekowie spędzali czas? Jaką mieli kulturę i jak postanowili wykorzystać szczerobóć Hanisha, na którą zasłużyli podczas wojny? Cóż, uwielbiali smażyć się na słońcu, jakby było to zajęciem godnym myślących istot. W pogodne dni leżeli nago na nadmorskim piasku, poruszając się jedynie po to, by przewrócić się z boku na bok, i sączyli napoje przynoszone im przez akacjańskich służących. Młodzi zawsze przebywali pośród dorosłych, rozpieszczani w jednej chwili, a poszturchiwani w drugiej, lecz zawsze mieli dostęp do wszelkich korzyści płynących z rzezi.

Kiedy nie leżeli na słońcu, okładali się nawzajem pałkami, zakrzywionymi drewnianymi kijami, którymi często łamali sobie kości, albo walczyli na noże, które uważali za zbyt krótkie, by można było nimi zabić. Szczycili się bliznami. Rialus popełnił ten błąd, że okazał zbytnią wrażliwość, jeśli chodzi o rany, co oznaczało, że codziennie pokazywano mu nowe obrażenia; Numrekowie obserwowali jego twarz i bawili się jego reakcjami bez względu na to, jak obojętną minę usiłował zachować.

Popełnił jeszcze jeden błąd związany z lubianą przez nich grą, polegającą na rzucaniu włócznią. Niewolnik musiał biec przez tor przeszkód, a włócznik rzucał w nieszczęśnika oszczepami. Rialus przyznał kiedyś, że widowisko jest zabawne. W odpowiedzi Calrach zmusił go do przebiegnięcia toru. Podniósł go z krzesła, zważył w dłoni włócznię i się uśmiechnął.

– Sztuczka polega na tym, że trzeba mieć szczęście – powiedział.

Rialus nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Serce waliło mu tak mocno, że wyobrażał sobie, że inni widzą, jak obija mu się o klatkę piersiową. Każda chwila spędzona na torze przeszkód wydawała mu się ostatnią w życiu. Po każdym kroku włócznie uderzały w ziemię tuż za nim, znacząc jego ścieżkę. Był pewien, że albo umrze, albo resztę życia spędzi z drzewcem w ropiejącej ranie. Jednak nie trafiła go żadna z włóczni. I dopiero kiedy serce uspokoiło mu się na tyle, że mógł coś dosłyszeć, uświadomił sobie, że Calrach i jego towarzysze ryczą ze śmiechu. Calrach nie próbował go trafić. Dla nich to była zabawa. Wszystko było zabawą i mimo że Rialus bardzo się starał, nie umiał zdobyć się na odwagę, by nie robić z siebie głupca.

– Tak, Neptosie, tak! – powiedział jeden z przybocznych Calracha. – Bardzo zabawne.

Masz rację!

Nie wykazywali żadnych skłonności ku wyższym formom sztuki. Nie mieli obrazów ani rzeźb, żadnej poezji czy zapisów historycznych. Nie mieli języka pisanego, nie potrzebowali go. W gruncie rzeczy ich prymitywna natura przekraczała wszystko, co Rialus widział w życiu. Nie krępowała ich żadna czynność cielesna. Jedli, bekali, puszczały wiatry, wypróżniali się, kopulowali, a nawet zaspokajali sami siebie na oczach wszystkich, nie zważając na płęć, wiek czy pozycję. Rialus tak ich bawił szukaniem w takich chwilach prywatności, że w końcu musiał tego poniechać. Było to powodem żartów, podczas gdy spuszczenie spodni i oddanie moczu na środku dziedzińca nie wywoływało najmniejszego zainteresowania. Czasami się zastanawiał, czy Numrekowie tak naprawdę są ludźmi. Po dziewięciu latach na swoim stanowisku nadal nie znał ostatecznej odpowiedzi na to pytanie.

Nauczył się jednak numreckiego. Był to bardzo dziwny język, nawet prostsze słowa stanowiły kolczaste okropieństwa. Wymagały gimnastyki języka, wciągania powietrza i wydawania gardłowych dźwięków.

Wieczór, kiedy Calrach postanowił powierzyć Rialusowi pierwszą oficjalną misję, rozpoczął się jak wiele innych wieczorów biesiadnych. Rialus, zapewne na czyjąś żartobliwą sugestię, został posadzony między dwiema młodymi kobietami, konkubinami nie związanymi z żadnymi dowódcami. Szczerze mówiąc, nie bardzo się różniły od mężczyzn. Często się o niego ocierały, sięgając poprzez niego po kawałki jedzenia, szturchały dla zabawy palcami o grubych kłykciach.

Najgorsze z tego wszystkiego było to, że te kobiety naprawdę go podniecały. Nie podobało mu się to, napawało obrzydzeniem, nie rozumiał tego, lecz prawda była taka, że siedział skrępowany uczuciem pożądania. Kobiety miały charakterystyczny, lepki zapach, przywodzący na myśl przejrzały, zaczynający się psuć owoc. Nie był przyjemny, lecz zawierał w sobie zaproszenie do cielesnych nadużyć. Znoszenie obecności tych kobiet przez cały wieczór stanowiło rodzaj dziwacznej tortury. Calrach sprawiał wrażenie, że zdaje sobie sprawę z konsternacji Rialusa i że go ona cieszy. Wódz nigdy się nie nudził wyszukiwaniem i komentowaniem jego wad.

– Rialusie, wciąż nie smakuje ci nasze jedzenie? – zapytał. – Jak to możliwe? Mam dla ciebie nową potrawę. Spróbuj.

Służący postawił miseczkę z jakąś breją, a Calrach opisał ją jako potrawkę z wnętrzości ich nosorożców, sfermentowanych w mleku samic i przechowywanych wiele miesięcy w beczkach. Przed podaniem podlewano ją hojnie alkoholem.

Patrzył, jak Rialus dotyka ust łyżką pełną specjału.

– Może twój żołądek jest na to za miękki, jak reszta ciebie – powiedział obojętnie.

– Tylko jedna jego część jest lekko twardawa – odezwała się kobieta siedząca z lewej strony Rialusa.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć o mojej rasie – stwierdził Calrach. – Jeszcze parę lat i staniesz się Numrekiem. I będziesz z tego dumny. – Parsknął śmiechem, rozbawiony absurdalnością pomysłu, a potem zmienił temat. – Jak myślisz, Rialusie, czy Hanish Mein nas szanuje? To znaczy nas, Numreków. Nas, wybrańców. Czy raczej on nas obraża?

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli – rzekł Rialus.

– Czy on nas obraża?

Calrach miał zwyczaj powtarzać ostatnie zdanie, jakby chciał pokazać, że wszystkie możliwe odpowiedzi, znaczenia, interpretacje zawierają się w samych słowach, gdyby tylko Rialus słuchał uważniej.

– A jakiej doznałeś obrazy? – zapytał Rialus.

Calrach wzruszył ramionami, machnął ręką, energicznie podrapał się w policzek, odrywając z niego kilka kawałków łuszczącej się skóry.

– Jeszcze nie doznałem. Ale czuję jej zapach. Nie podoba mi się to. O takim zapachu mawiał mój dziadek. Roztaczali go Lothan, zanim nas zaatakowali i wypędzili ze swego świata. Kiedyś byliśmy ich prywatną armią. Wiesz o tym, prawda? Przez wiele pokoleń byliśmy ich sprzymierzeńcami, lecz w końcu podle nas wykorzystali. Gdybym mógł mieć jedno życzenie, Rialusie, chciałbym pewnego dnia wrócić do Innych Krain i dać powąchać Lothan nowy zapach. Rozumiesz mnie.

Rialus nie znosił, kiedy Calrach tak mówił. Robił to często, szczególnie w sytuacjach, kiedy Rialus nie rozumiał go ani trochę. Dopytywanie się jednak nie miało żadnego sensu. Calrach miał taki styl rozmowy, trzeba się było do niego dostosować. Jeśli coś miało dla niego znaczenie, wracał do tematu później.

Wtedy rozległy się bębny, zapowiadające główne danie. Tego wieczoru miała być podana potrawa, której Rialus jeszcze nie próbował, a takie wydarzenie zawsze go niepokoiło. Cały stół nagle się uniósł nad głowy siedzących biesiadników, dźwignięty przez służących ustawionych przy jego czterech rogach. Młoda kobieta siedząca z prawej strony Rialusa chwyciła go za biceps i wymruczała mu coś do ucha, wyraźnie zadowolona. Zanim pierwszy stół zniknął, na jego miejsce już stawiano inny.

Przed Rialusem leżał smakołyk nazywany przez Numreków tilvhecki. Był wielkości dorosłej świni i wyglądał jak rozdęty worek ze skóry, na tyle przezroczysty, by widać było jego zawartość – coś w rodzaju wielobarwnych podrobów. Zapowiadając czekające ich

przyjemności, Calrach wyjaśnił, że „tilvhecki” w numreckim oznacza jagnię. Podczas wygnania na Polach Lodowych nie mieli owiec, więc przez jakiś czas byli pozbawieni tego dania. Podczas jego przyrządzania stosowano zwykle numreckie metody fermentacji i gnicia. Zaczynano od pozostawienia mięsa i narządów wewnętrznych jagnięcia przez kilka dni na otwartym powietrzu. Następnie mięso marynowano we krwi, przyprawach i winie. Kiedy ruszało się już od robaków, wpychano je do worka ze skóry, ciasno zaszywano i pozostawiano do sfermentowania. Wszystko to trwało kilka tygodni; w końcu całość gotowano i tak jak teraz podawano na gorąco.

Calrach osobiście rozkroił pakunek. Pod dotykiem czubka noża jego zawartość wylała się na zewnątrz. Na widok miękkiego, pełnego plam mięsa, wydobywającego się z rozcięcia, Rialusa ścisnęło w żołądku. Zapach uderzył go w twarz z fizyczną siłą; efekt był porównywalny z wpadnięciem głową do latryny. Gdyby nie opanował do perfekcji oddychania ustami, zwymiotowałby na miejscu. Całkowicie zablokował nos i czerpał powietrze płytkimi haustami.

Mięśnie twarzy Calracha zadrgały i naciągnęły się, ukazując jego krzywe zęby. Być może był to uśmiech.

– Powiedz mi, Neptosie, uważasz nas za obrzydliwych?

Wiedząc, jak musi odpowiedzieć, Rialus odparł, że oczywiście tak nie uważa. Zadowolona z odpowiedzi, jedna z kobiet wlała mu na talerz chochlę tilvhecki. Druga zawołała coś do biesiadników. Wszyscy zwrócili się w stronę Rialusa i czekali, by spróbował dania. Zaczął się wymawiać, że jest już najedzony. Napchany po gardło. Nie zmieści ani kęsa więcej. Pokazywał to wszystko na migi, lecz nikt nie zwracał na jego protesty najmniejszej uwagi.

– Jedz! Jedz! Jedz! – ktoś wrzasnął.

Kolejni podjęli skandowanie. Po kilku powtórzeniach krzyczeli już wszyscy. Wielu biesiadników pochyliło się w stronę Rialusa i ich oddechy owiewały mu twarz niczym podmuchy smrodliwego wiatru.

– Jedz! Jedz! Jedz!

W końcu, nienawidząc siebie tak samo jak Numreków, Rialus uniósł łyżkę do ust i umieścił na języku grudkę śmierdzącego mięsa. Wywołało to huragan śmiechu. Rialus siedział nieruchomo, z zaciśniętymi szczękami, czując, że kęs rośnie mu w ustach. Brat wodza podszedł do niego od tyłu, jedną wielką dłoń położył mu na czubku głowy, drugą na podbródku i zaczął poruszać jego szczękami. To także wywołało niepokonowaną radość towarzystwa. Numrekowie tarzali się po poduszkach, jakby nigdy nie widzieli nic równie

zabawnego.

Kiedy wrzawa ucichła, wódz postanowił przez kilka chwil porozmawiać z łącznikiem o interesach. Mówił równie głośno jak zwykle, jednak takim tonem, że inni odwrócili wzrok i zaczęli rozmawiać między sobą.

– A zatem, Rialusie Neptosie, wysłuchaj teraz wiadomości, którą przekażesz Hanishowi Meinowi. I przygotuj się, to może mu się nie spodobać. My też chcemy Kontyngentu. Zrozumiano?

Rialus wcale nie był pewien, czy rozumiał. Nadal wodził językiem po podniebieniu, usiłując zetrzeć z niego smak tilvhecki.

– Lothan Aklun dostają Kontyngent; Numrekowie powinni dostawać Kontyngent – powtórzył Calrach.

Prawdopodobnie tu leżała granica jego logicznego myślenia o tej sprawie. Rialus niemal go zapytał, po co mu więcej niewolników. Numrekowie mieli ich już aż nadto do zaspokajania wszystkich swoich potrzeb. Rialus bał się jednak, jakie okropieństwa mogłaby nieść ze sobą odpowiedź. Powiedział więc:

– Czcigodny Calrach, jestem pewien, że to niemożliwe. Zapłata, jaką otrzymaliście za wasze usługi, przekracza ich wartość. Twoja prośba nie spodoba się Hanishowi.

Calrach zrobił urażoną minę, której nauczył się, naśladowując samego Rialusa.

– Proszę tylko o jedną rzecz. Kto może odmówić jednej rzeczy? – A potem, patrząc po zgromadzonych wokół zaśmieconego stołu, dodał, nieznacznie zmieniając ton: – A w każdym razie to jest jedna rzecz, dopóki nie wymyślę następnej.

To najwyraźniej już podlegało publicznej dyskusji i było na tyle zabawne, by mogło zostać uznane za numrecki żart. Rialus poczuł klepnięcie w plecy. Zapiekły go, a otaczający zarychali ze śmiechu. Rialus Neptos, po raz kolejny obiekt żartów. To nie może trwać dłużej. Po prostu musi istnieć jakiś sposób na polepszenie jego losu. Musi być, po prostu musi. Znajdzie go albo umrze, próbując tego dokonać. Jakże nienawidzi Hanisha Meina, tego zadowolonego z siebie, niewdzięcznego szczeniaka. A Maeander... Nawet nie powinien o nim myśleć. Nie było słów – nawet w tym jego nowym języku – które mogłyby w pełni wyrazić wstręt Rialusa. Przysiągł sobie, że kiedyś obaj bracia pożałują, że wzbudzili gniew Rialusa Neptosa.

ROZDZIAŁ 39

Ze swego rodzaju rezygnacją Aliver patrzył, jak kamień zmienia się w żywą tkankę, jakby sam fakt, że to obserwuje, czynił takie zdumiewające rzeczy możliwymi. Nie czuł przerażenia. Nie był zdezorientowany. Z miejsca sprawiającego wrażenie, że znajduje się poza jego ciałem, patrzył, jak granitowe głazy przekształcają się w antropomorficzne istoty. Każda z nich stała na dwóch podobnych do słupów nogach, miała wyrastające z tułowia ramiona i zwracała ku Aliverowi głowę o oczach przypominających czarne dziury. Poruszały się powoli, sztywno, lecz płynnie. Zbliżyły się do niego niczym dziwni przedsiębiorcy pogrzebowi, zbudowani ze skał i ziemi, przybyli, by oczyścić jego ciało, pozbyć się go. Bo o to chodziło, prawda? Umierał tu, na dalekim południu, wysuszony na wiór przez słońce, pokonany. Był tak wyprażony, jak piasek, na którym leżał, a teraz przybyły po niego skalne istoty ziemi. Zastanawiał się, dlaczego nikt mu tego wcześniej nie wyjaśnił. Nie wspominały o tym żadne podania, z którymi się zetknął.

Kamienne postacie otoczyły go kręgiem. Wsunęły pod niego ostro zakończone, jakby odłupane kończyny, i uniosły w powietrze. Podzieliwszy między siebie ciężar Alivera, ruszyły z miejsca. Miał wrażenie, że płynie nad ziemią. Głowa opadła mu do tyłu i przez jakiś czas obserwował świat do góry nogami. Pomyślał, że istoty chyba rozmawiają, lecz nie był tego pewien. Odbывała się między nimi jakaś wymiana informacji, lecz bardziej przypominało to oddechy niż jakikolwiek znany mu język.

Nie miał pojęcia, jak długo ani jak daleko go niosły. Czuł natomiast, jak wiruje pod nim ziemia. Widział przemieszczające się wysoko słońce, patrzył, jak rozbłyskują i odpływają gwiazdy, lecz nie zastanawiał się nad takimi sprawami jak upływ czasu albo znaczenie ruchu. Nie było to doświadczenie odmierzane mijającymi chwilami. Jeden moment przechodził w następny tak płynnie, że wszystko sprawiało wrażenie stałości. Nie istniała przyszłość, teraźniejszość ani przeszłość. Wszystkie one stanowiły jedność. Aliver zapomniał, kim jest. Nie odczuwał żadnych ciężarów. Jego życie i wszystko co z nim związane straciło znaczenie. Właśnie to z pierwszego spotkania z jego wybawcami miało go potem nękać najbardziej – obietnica mająca po drugiej stronie życia.

Kiedy się obudził, już z pełną świadomością, ktoś mu w tym pomógł. Ktoś wymówił jego imię, a potem nazwisko rodu. Głos zapytał, czy zechce się obudzić i wytłumaczyć.

Przybył do nich – po co? Poczul ucisk na mostku, na tyle mocny, by wypchnąć powietrze z płuc. Aliver nie mógł powstrzymać jęku. Otworzył oczy.

Nad sobą miał nocne niebo. Czarne sklepienie, pod którym falował cienki muślin wysokich chmur, obramowane jakby krawędzią misy z bladoczerwonego kamienia. Aliver chciał ogarnąć otaczający go świat i zrozumieć, gdzie się znajduje. To przecież mogła być śmierć. Uniósł się powoli, z wysiłkiem. Tuż obok ktoś siedział nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami. Na pierwszy rzut oka miał postać podobną do steranego i wiekowego człowieka, wyrzeźbionego z kamienia tak dawno temu, że przez stulecia piasek pędzony wiatrem wygładził jego rysy, ale też pogłębił szczeliny, aż z biegiem czasu zaczęły od niego odpadać kawałki. Oczy miał gładkie i leciutko zabarwione, jakby były niegdyś pomalowane jaskrawą farbą, a teraz pozostał na nich tylko cień dawnego blasku. Posąg znajdował się tak blisko, że palce Alivera drgały z chęci dotknięcia figury.

Posąg zamrugał. Zacisnął wargi, niczym karp zasysający wodę, i na powrót znieruchomiał. Aliver poczuł, jak do umysłu wślizguje mu się myśl, ale dopiero po chwili ułożył ją w słowa, a jeszcze dłużej trwało zanim ją zrozumiał. Wiedział – nie pojmując, skąd – że przesłanie pochodzi od tkwiącego tuż obok żywego kamienia. Powiedział on, że cieszy się z przebudzenia Alivera, i że przybędą inni, bo wszyscy chcą wiedzieć.

Aliver otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz postać szybkim gestem wyrzuciła rękę w powietrze, zatrzymując dłoń przed młodzieńcem i w ten sposób go uciszając. *Zaczekaj.* W jego umyśle uformowało się znaczenie, a potem samo słowo. *Niech przyjdą inni.*

Alivera ogarnął chłód. Obserwował scenę jak z innego świata i po prostu nie wierzył własnym oczom. Osłonięta skalna sala, w której siedział, wypełniała się powoli postaciami jak ta obok niego i jak te, które go tu przyniosły. Choć mimo wszystko jednocześnie się od nich różniły.

Trudno było zauważyć ich ruchy. Wydawało się, że w ogóle się nie poruszają, a jednak powietrze drgało, jakby po świecie krążyły niematerialne ciała duchów widoczne dopiero wtedy, gdy przestawały się poruszać. Nawet kiedy istoty te siedziały nieruchomo wokół niego, Aliver widział ich postacie czy twarze, tylko patrząc bezpośrednio na którąś z nich. Kiedy natomiast zaczynał błędzić wzrokiem, wyglądały jak zerodowane kamienie, za jakie je początkowo uznał, mające kształt jaj i bardzo stare. Tak więc siedział w otoczeniu poruszających się, podobnych duchom kamiennych istot, które miały twarze, tylko jeśli wpatrywał się w nie dostatecznie uważnie, rzadko zdradzające oznaki życia maski.

Wybacz nam, ale musimy wiedzieć... Masz księgę o języku Dawcy?

I znów powstało to najpierw jako znaczenie, które musiał uporządkować, by je

zrozumieć. Pochodziło od wielu głosów, lecz Aliver powoli uczył się je rozumieć.

– Księgę o... – zaczął odpowiadać, lecz słowa wydawały się niestosowne, jak zgrzytanie gładów, jakby je wykrzyczał na całe gardło.

Widział, że otaczające go postacie też tak sądzą. Cofnęły się, jak podwodne rośliny poddające się ruchowi fali.

Istota, która siedziała przy nim od początku, położyła mu nagle dłoń na ramieniu.

Królu nasz, proszę, nie mów w ten sposób. Mów umysłem. Pomyśl, co chcesz, abyśmy wiedzieli, a potem wyślij tę myśl do nas.

Część umysłu Alivera uznała to za dziwną prośbę, lecz zrozumiał już, że słyszy ich myśli. Dlatego panowała taka cisza. Dlatego miał wrażenie, że ich słowa powstają w jego własnej głowie. Spróbował sformułować odpowiedź, bojąc się, że do jego wybawicieli przepłynie każda myśl, każda nieudana próba i poczucie zagubienia. Jaki się okaże niezorganizowany! Lecz istoty czekały, spokojne, o nieruchomych twarzach, głodne informacji. Wyraźnie było widać, że nie mają dostępu do jego myśli, chyba że on sam im na to pozwoli.

W końcu uformował w głowie zdanie, pomyślał je wyraźnie i wysłał na zewnątrz.

Co to za księga?

Otoczające go, wpatrzone w niego twarze znów zafalowały, lecz tym razem się przybliżyły. Otrzymał odpowiedź od kilku umysłów. Istoty przekazały, że ta księga to „Pieśń Eleneta”. Tekst napisany jego ręką, w którym zdefiniował wszystkie słowa języka Dawcy.

Prosimy, wyjaw nam to.

Aliver przez chwilę siedział w milczeniu. Co się tu dzieje? Jakaś część jego jestestwa chciała się bić po twarzy, aż się obudzi z tego snu. Inna się zastanawiała, czy te istoty to tchórzliwi mieszkańcy zaświatów, którzy tak przyjmują nowoprzybyłych. Zupełnie jakby prosiły go o wyjawienie tajemnicy odzyskania życia, wiedzę, której nie miał. Lecz pod tym wszystkim kryła się inna myśl. Aliver zignorował wszystkie pozostałe i nadał jej kształt.

Jesteście Santoth?

Wszystkie otaczające go głowy – może było ich sto, a może dwa razy więcej – ich liczba rosła z każdą chwilą – pochyliły się jednym ruchem. Na kamiennych twarzach zarysowały się uśmiechy.

To słowo oznacza nas, istoty odparły chórem.

Dobrze, pomyślał Aliver, to słowo was oznacza, ale, na Dawcę, co się z wami stało? Nie dopuścił, by te myśli mu się wymknęły, a na zastygłych w uśmiechu, obserwujących go twarzach nie pojawił się ani cień zrozumienia. Istoty czekały na rozwój wypadków. Aliver

zadał sobie pytanie, czy ma na to dość energii. Czy nie powinien czegoś zjeść? Napić się? Lecz ciało nie sprawiało mu kłopotów. Nie był już głodny ani odwodniony, chociaż nie pamiętał, kiedy ostatnio coś jadł. Rozejrzał się i zrobił to, co wydawało mu się najlepsze. Nic nie rozumiał, ale musiał od czegoś zacząć.

„Pieśń Eleneta”. Powiedzcie mi o niej więcej.

Uczynili to z wielką ochotą. Aliver nie umiał później określić, jak długo trwała rozmowa z Santoth. Była to nie tylko wymiana informacji, ale też narastające spiralnie obcowanie. Nie dowiadywał się niczego w zorganizowany sposób. Kiedy jednak wszystko zebrał razem, otrzymał opowieść jak z legendy. Kiedyś by uznał, że została wysnuta z fantazji beczynnych umysłów, by je czymś zająć i wyjaśnić zło świata. Tak by powiedział w młodości. Lecz w chwili, kiedy ujrzał chodzące kamienie, jego młodość nieodwołalnie się skończyła. A oto, czego się dowiedział od Santoth.

„Pieśń Eleneta” była encyklopedią języka Dawcy. Została w niej zapisana prawda o całym świecie. Mimo wielu wad i wielkich błędów, jakie popełnił w roli adepta czarnoksięstwa – było to słowo w najlepszy sposób opisujące przywłaszczenie przez człowieka boskiego języka – Elenet przejawiał niepohamowaną żądzę władzy i prowadził drobiazgowo zapiski o tym, czego się dowiedział. Według legend rzeczywiście żył w czasach, kiedy po ziemi chodził Dawca, i podążał za tą boską osobą. Naprawdę słuchał pieśni w języku stworzenia i się ich uczył. Każde słowo, które kradł z ust Dawcy, zapisywał wymyślonym przez siebie pismem. Nielicznym, którzy umieli przeczytać ten tekst, dawało to dokładne wskazówki co do posługiwania się magią. Był to podręcznik tworzenia, dlatego ani przedtem, ani potem nie istniał bardziej niebezpieczny dokument utrwalony na papierze.

Kiedy Elenet opuścił ten świat, by badać inne, pozostawił księgę pod opieką swoich uczniów, Santoth. Nie mówił, dokąd się udaje ani dlaczego to robi, lecz zniknął ze świata, jak uczynił to przed nim Dawca. Mówcy Bogów przekazywali sobie księgę z pokolenia na pokolenie. W owych pradawnych czasach byli opiekunami wiedzy. Światem rządili królowie i książęta, a Santoth tworzyli zaklęcia, by zachować jego tkanę i złagodzić chaos, za którym ludzie najwyraźniej tęsknili. To była święta odpowiedzialność i przez całe wieki Santoth praktykowali boską mowę jedynie dla dobra Znanego Świata. Zmieniło się to, gdy opiekunem księgi został młody Santoth imieniem Tinhadin.

Trzymał ją przy piersi, powiedzieli Aliverowi Santoth, i nie dzielił się nią z nami.

Tinhadin uwielbiał moc, jaką dawała księga. Studiował ją dogłębnie, utrudniając dostęp do niej innym. Stał się najważniejszym i najsilniejszym spośród Santoth i w końcu dysponował potęgą większą niż oni wszyscy razem wzięci. Zagarnąwszy księgę, tylko

Tinhadin miał dostęp do wiernych tłumaczeń, do dokładnej wymowy i znaczenia wszystkich słów w języku Dawcy. Jakiegokolwiek drobne odstępstwo w tych sprawach wypaczało magię i osłabiało ją, a zdarzało się też, że zmieniało ją w sposób niezamierzony przez wypowiadającego formuły.

Mimo to pozostali Santoth kochali Tinhadina jako jednego z nich. Nadal dzielił się z nimi wiedzą, lecz słowa Dawcy otrzymywali tylko za jego pośrednictwem. Kiedy zaczął zmieniać kształt świata, pracowali razem z nim. Mówił, że chce zapewnić światu pokój. Istniał zbyt wielki chaos, było zbyt wiele cierpienia, zbyt wiele możliwości na to, by ludzkość zniszczyła samą siebie i wróciła do stanu właściwego zwierzętom. Santoth pomogli Tinhadinowi w walce o panowanie nad światem, lecz zanim dostrzegli, co się dzieje, Tinhadin włożył sobie na głowę koronę i wywyższył się nad towarzyszy.

Lecz nie stanowiło to źródła radości, powiedzieli Santoth. Stało się ogromnym ciężarem.

Podobnie jak zwykli ludzie przed nim, Tinhadin bał się stracić zdobytą władzę. Co więcej, znużył się wielką mocą języka tworzenia. Był czarnoksiężnikiem zdolnym kształtować świat przez samo otwarcie ust, lecz, jak wyjaśnili Aliverowi Santoth, okazało się, że ta moc jest zbyt trudna do okiełznania, zbyt kapryśna. *Wyobraź sobie życie, w którym słowa wychodzące z twoich ust zmieniają samą tkankę otaczającego cię świata.*

Tinhadin stał się zbyt silny, jego umysł w zbyt dużym stopniu funkcjonował w oparciu o magię. Czasami zmieniał świat, jedynie myśląc w języku Dawcy. Niekiedy mówił tym językiem przez sen i po przebudzeniu znajdował wokół siebie żywe dowody działania magii. Dlatego zwrócił się przeciwko pozostałym Santoth. Zaczął nienawidzić magii. Chciał żyć bez niej, lecz nie mogło mu się to udać, gdy inni czarnoksiężnicy wciąż rzucali zaklęcia. Wygnał Santoth z imperium. Nie wszyscy się z tym pogodzili, więc Tinhadin stoczył z wieloma z nich walkę na śmierć i życie. Resztę skazał na wygnanie. A potem po raz ostatni użył magii, rzucając na nich zaklęcie, które utrzymywało ich wiecznie przy życiu, uwięzionych w tej południowej krainie do czasu, gdy on sam lub jego potomek postanowi zaprosić ich z powrotem. Tak się oczywiście nigdy dotąd nie stało i Santoth przekształcili się w istoty, z którymi teraz porozumiewał się Aliver. To byli ci sami czarnoksiężnicy, których wygnał Tinhadin; żyli – jeśli można tak powiedzieć – i czekali.

Kiedy królewicz zapytał, czy nadal znają magię, odpowiedzieli, że tak, lecz że w ciągu tych wszystkich lat ich wiedza tak się wypaczyła, iż nie mają pojęcia, co się stanie, gdy wypowiedzą jakieś słowa Dawcy. Ich wiedza stała się przekleństwem, na ukrywaniu się przed którym polega ich wieczne życie. Nie dysponując prawdziwą wiedzą, zawartą jedynie w

księdze Eleneta, ryzykowali stworzenie rozdarcia w świecie, którego być może nie udałoby się już nigdy naprawić. Nauczyli się mówić jak bogowie, lecz teraz bali się, że są diabłami.

Skoro już usłyszałeś to od nas, zabrzmiał zbiorowy głos Santoth, powiedz nam, gdzie jest księga. Cierpimy bez świętego słowa. Potrzebujemy słów Dawcy a kiedy je otrzymamy, znów będziemy mogli stać się pełni i dobrzy

Aliver pokręcił głową. Nie chciał tego powiedzieć, ale musiał. Wyczuwał wśród czarnoksiężników pewien spokój. Przedtem czuł ich cierpienie, nawet zanim jeszcze o nim wspomnieli. Rozumiał, że ich wygnanie jest straszliwie wydłużoną w czasie klątwą i nie wątpił choćby w część tego, co mu przekazali. Lecz prawda była prosta.

Przykro mi, rzekł Aliver. Nie mam tej księgi.

Santoth nie odpowiedzieli od razu.

Twój ojciec... nie powiedział ci o niej?

Nie, nie powiedział.

ROZDZIAŁ 40

Corinn starała się okazywać nienawiść do Hanisha tak demonstracyjnie, by widział ją cały świat. Był największym wrogiem jej rodziny. Nigdy mu tego nie zapomni, nigdy nie wybaczy. Nie cierpiała go. Nie może tego zmienić żaden jego czyn. Był potwornym łajdakiem, mordercą, o którym ludzie napiszą w przyszłości całe kroniki hańby.

Musiała się jednak pilnować, by o tym pamiętać, ponieważ w spokojnej atmosferze Calfa Ven najbardziej dotykały ją obelgi osobistej natury. Mówiąc wprost, Hanish się nią bawił, tak jak pierwszego wieczoru. Czasami wydawało się, że robi wszystko, by sprawić jej przyjemność – a także dać jej to do zrozumienia; kiedy indziej traktował ją ze skandaliczną obojętnością.

Po kilku dniach pobytu w górach uroczyście zaprosił ją na przejażdżkę. Zaproszenie to przekazał Corinn w obecności tłumu gapiów. Następnego dnia o wyznaczonej porze stała wystrojona w kremowy strój do konnej jazdy i tkwiący wysoko na głowie jedwabny kapelusik, lekko marznąc w wiosennym powietrzu, przekonana, że rumieńce na jej policzkach są tego warte – tylko po to, by się przekonać, że Hanish zupełnie o niej zapomniał. Wcześniej rano pojechał na polowanie, najwyraźniej w ogóle o niej nie myśląc. Nawet Rhrenna, podobno jej przyjaciółka, nie mogła pohamować rozbawienia tym, jak Hanish lekceważy Corinn.

Jakież to jednak miało znaczenie? Meinowie są pomniejszym ludem, znajdującym przyjemność w poniżaniu rasy, która, co wykazało wiele pokoleń, jest od niego lepsza. Niech Hanish się bawi jej kosztem, ona będzie pielęgnować swą nienawiść. Nie czuła wobec niego nic więcej. Na szczęście ich pobyt w górach dobiegał końca. Corinn liczyła dni, chcąc wrócić do Akacji, gdzie mogła trzymać się na dystans od tego barbarzyńcy, nazywającego siebie władcą Znanego Świata.

To jednak dziwne, że kiedy służący przyniósł jej wiadomość od Hanisha, poczuła mrowienie w piersi i przyśpieszenie pulsu, które – w innej sytuacji – uznałaby za oznaki radosnego podniecenia. Posłaniec powiedział, że Hanish życzy sobie tego popołudnia towarzystwa Corinn podczas strzelania z łuku. Prosił, by nie zostawiała go samego. Pomyślała, że to niezły pomysł: zostawić go stojącego samotnie, przygnębionego, wzgardzonego. Wiedziała jednak, że to się nie uda, niełatwo było urazić Hanisha. Znalazłby

sposób, by ją za to żartobliwie ukarać przy kolacji. Uznała, że łatwiej będzie mu ją wyśmiać za to, że nie poszła, niż za przyjęcie zaproszenia.

Znalazła Hanisha na polu łuczniczym. Choć raz nie miał ze sobą świty; towarzyszył mu tylko giermek, który zajął się wyborem łuków, oraz chłopiec stojący w pewnej odległości od celów, by przynosić strzały.

– Ach, królowna! – zawołał na jej widok Hanish cały w uśmiechach. – Zaczynałem się zastanawiać... Naucz mnie tego, co potrafisz. To łagodny sport, tak? Tutejsza służba mówi, że jako dziewczynka byłaś doskonałą łuczniczką.

– Być może kiedyś, lecz teraz nie jestem już ani łuczniczką, ani dziewczynką.

Wyciągnął w jej stronę łuk podany mu przez giermka.

– Cóż, masz rację przynajmniej w połowie. Ja wydam osąd co do reszty.

Corinn ujęła łuk. Wypolerowane jesionowe drewno, z którego został sporządzony, dobrze leżało w jej ręku; krzywizna broni była znajoma, a jej ciężar niewielki, jakby ją zrobiono z ptasiej kości. Corinn powiodła palcem po napiętej cięciwie. Przyglądała się jej i dopiero po dłuższej chwili wyciągnęła rękę po strzałę.

Wyjęła ją z dłoni giermka, nałożyła na cięciwę i uniosła łuk, by wybrać cel. Łuk trzymała swobodnie, kolejno zacisnąwszy palce; stała wyprostowana, lecz rozluźniona, tak, jak ją tego uczono przed wielu laty. Wiedziała, że Hanish się jej przygląda. Nie dbała o to. Wybrała trójkątny cel niedaleko chłopca. Przyciągnęła cięciwę do policzka, przytrzymując strzałę palcami; jej drzewce wytyczało prostą ścieżkę w świat. Rozluźniła palce i strzała pofrunęła. Wydawało się, że zniknęła. Odnalazła się jednak chwilę później, stercząc niemal ze środka celu wybranego przez Corinn.

Hanish wykrzyknął. Dotknął jej ramienia i powiedział coś pochlebnego dla Corinn do giermka, który mu przytaknął. Od dawna nie czuła tak wielkiej przyjemności. Zabójcza dokładność, siła wycelowana w świat, przenikliwy świst, a potem bezruch, widoczny dowód jej umiejętności wbity w cel. Jej palce same się uniosły i pstryknęły, by podano jej następną strzałę.

Popołudnie mijało szybko. Hanishowi mogło się wydawać, że swoimi słowami i gestami, pytaniami i komplementami wywiera na nią wpływ, lecz Corinn doznawała przyjemności lub rozczarowania zależnie od lotu każdej strzały. Przynoszący je chłopiec biegał tam i z powrotem. Miał krzywy uśmiech, a każde z jego oczu patrzyło w innym kierunku. Mimo to był przystojny i chyba dobrze się bawił. Corinn postanowiła, że przed rozstaniem zapyta go, jak się nazywa.

– Jest taka candoviańska opowieść o łuczniku – powiedział Hanish. Zrobili przerwę w

strzelaniu, by poprawiono cele. – Zapomniałem, jak miał na imię. Cieszył się sławą najlepszego łucznika w kraju, zabójczo skutecznego w każdych warunkach. W owych czasach Candovianie i Senivalowie spierali się o granicę swoich terytoriów. Na spotkaniu plemion, podczas którego chciano rozwiązać tę sprawę, jeden z Senivalów wezwał łucznika, by pokazał swoje umiejętności. Zapytał szyderczo, czy to prawda, że z odległości pięćdziesięciu kroków potrafi strzałą usunąć pestkę z oliwki? Oczywiście, odparł Candovianin. Senival zażądał, by to udowodnił, lecz łucznik odmówił. Powiedział, że żadna oliwka nie zrobiła mu nigdy nic złego, ale że z przyjemnością przestrzelił jakiemuś Senivalowi oko z odległości stu kroków. Zadeklarował, że pozbawi go jedynie tego jednego oka. Gdyby choćby o włos chybił wyznaczonego celu, łaskawie zrzecze się wszelkich pretensji do łuczniczej doskonałości. Nikt nie chciał sprawdzić jego słów.

Nad drzewa wzleciała para grzebieniastych ptaków i pomknęła wzdłuż skrajy pola, nie zwracając uwagi na otoczenie. Corinn wyobraziła sobie jednego z nich w białego strzałę w miękkie niebo, podczas gdy drugi kontynuowałby taniec.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała.

– Nie każda opowieść musi mieć jakiś morał. Czasami ma tylko bawić. Czy wiesz, Corinn, że dałbym sobie odciąć palec prawej dłoni, żeby ujrzeć cię zadowoloną?

– Nie sprzedawałbym swej radości tak tanio.

Hanish błysnął zębami w krzywym uśmiechu, okazując tym szacunek dla jej stałości. Po chwili przybrał swą zwykłą minę i nałożył na cięciwę kolejną strzałę.

– Maeander potrafiłby pozbawić oliwkę pestki z każdej z tych odległości. Jest mistrzem we wszystkich sztukach wojennych. Podziwiam go i nie waham się o tym mówić.

Corinn wątpiła, by Hanish podziwiał kogokolwiek prócz siebie samego, lecz zastanawiała się nad nieobecnością Maeandera w domku myśliwskim.

– Gdzie jest twój brat? Dokonuje gdzieś rzezi?

– Zabawne, że pytasz, bo jego misja wiąże się z tobą. Poszukuje twego rodzeństwa. Wiem, wiem. Nawet nie przyznajesz, że oni wciąż żyją. Lecz jeśli ich znajdziesz, przywiezie ich do ciebie. Jestem pewien, że spotka się to z odrobiną wdzięczności z twojej strony.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Przywiezie ich nadzianych na włócznie? Skutych łańcuchami i związanych? Czy może rzeczywiście mogłaby z nimi porozmawiać i znów być z nimi? Mieliby dzielić tę dziwną niewolę, co według Hanisha zawsze było jego jedynym zamiarem? Jeśli tak, niewola byłaby o wiele lżejsza. Corinn skarciła samą siebie, że nawet nie powinna sobie tego wyobrażać. Tak naprawdę w to nie wierzyła. Hanish z niej drwił, a gdyby uwierzyła, jedynie pomogłaby mu zrealizować kolejny okrutny żart. Od czasu

choroby i śmierci matki wiedziała, że nie wolno ufać światu. Ukochane osoby zawsze zabierano, marzenia zawsze niweczono. Tak wyglądało życie, które znała.

Chłopiec wciąż stał na polu, lecz giermek już wrócił do nich z kołczanem odzyskanych strzał. Corinn zmieniła temat na pozornie przypadkowy, chociaż związany z pobytem w Calfa Ven.

– Widziałam w pałacu człowieka z ligi – powiedziała. – Tego z broszą z turkusową rybą.

Hanish strzelił niezbyt celnie. Opuścił łuk i zmarszczył brwi.

– To morświn. Podobno nie jest rybą. Tak czy owak, to symbol ligi. Ten człowiek to Sire Dagon, ważny członek jej kierownictwa. Jest odpowiedzialny jedynie przed Sirem Revekiem, przewodniczącym.

Sire Dagon. Tak, tak się nazywa. Corinn przypomniała sobie, że znała go jako dziewczynka. Zawsze nim gardziła – jego wyglądem, kokietyjnym głosem, arogancją. Kiedyś był w domku myśliwskim podczas jej wizyty. To pewnie dlatego wciąż o nim myśli.

– O czym z nim rozmawiałaś?

– Mówiliśmy o handlu i wymianie. Liga nie zajmuje się niczym innym.

– Czy zdradziła mego ojca? Zachęcała was do ataku na nas? Powiedz mi, bym wiedziała, czy następnym razem mam splunąć na jego widok.

Hanish wziął strzałę, wycelował ją i wypuścił. Tym razem trafił lepiej, blisko środka jednego z dalszych celów. Chłopiec zawołał radośnie i unióśł pięść, jakby to był jego sukces. Hanish nie zwrócił na to uwagi. Odpowiedział Corinn wyjątkowo oficjalnym tonem, bez cienia żartobliwości.

– Liga nie jest winna posłuszeństwa nikomu i niczemu, Corinn – stwierdził. – Ich jedyną filozofią jest zdobywanie bogactw. Ale skoro pytasz... Liga miała pretensje do twego ojca przez większość jego panowania. Przed kilkunastoma laty skontaktowała się z moim ojcem. Zawarła z nami pakt, który głosił, że jeśli my, Meinowie, zorganizujemy wojnę lądową z Akacją, mającą szanse powodzenia, liga wycofa swoje statki i nie da twemu ojcu wsparcia na morzu. My bylibyśmy na to przygotowani, a Akacja nie. Ponieważ twój naród żyje na wyspie, była to ważna obietnica. Widzisz, poleganie na waszej flocie handlowej było błędem. Oczywiście w tej chwili ja sam nie jestem w lepszej sytuacji, lecz wkrótce temu zaradzę.

Corinn strzeliła. Trafiła w cel tuż obok ostatniej strzały Hanisha, odłupując z niej kawałek drewna i przekrzywiając pióro. Specjalnie nie odwracała się do Hanisha.

– A co takiego im obiecałeś?

– Zgodziłem się podwoić Kontyngent, tym samym podwajając ich zyski. Ostatnio obiecałem, że jeśli uda im się pozbyć piratów z Wysp Zewnętrznych, mogą tam założyć swoje bazy. O tym rozmawiałem z Sire'em Dagonem.

– Hmm – mruknęła Corinn lekko sarkastycznie. – Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. Że mógłbyś usiąść z kimś takim, jak Dagon i od niechcienia zastanawiać się nad losem tysięcy ludzi. Czy podnieca cię układanie takich planów?

Hanish pochylił się lekko do przodu i chociaż właściwie się do niej nie zbliżył, wyraźnie dał o zrozumienia, że jego odpowiedź jest przeznaczona wyłącznie dla niej.

– Bardzo – rzekł. – Co jeszcze chcesz wiedzieć? Chcesz usłyszeć o niewolnikach, których sprzedajemy za ocean? O tym, jak rozprowadzamy otrzymywaną w zamian mgłę? Jak otumaniamy masy, by ciężko dla nas pracowały bez słowa skargi? Powiem ci wszystko, królowno, jeśli zechcesz posłuchać. Udam nawet, że to wszystko to moje dzieło i że jeszcze przed moim narodzeniem twój ojciec, drogi Leodan, nie był największym handlarzem niewolników na świecie.

W jego głosie, dotąd leniwie kokieteryjnym, zabrzmiały chłodne nuty. Corinn odpowiedziała podobnie.

– Już mnie to nie interesuje. Może pójdziesz coś zabić?

Podąła łuk giermkowi i zaczęła się odwracać.

– Chcesz polowania? – zapytał Hanish, chwytając ją za łokieć. – Możemy urządzić je tutaj.

Założył strzałę na cięciwę, napiął ją i uniósł łuk. Nie wycelował jednak w żaden z celów. Zauważywszy, że strzała jest skierowana na niego, chłopiec poruszył się nerwowo. Rozejrzał się na boki, jakby w pobliżu znajdował się inny cel, coś, czego nie zauważył.

– Zawołasz, żeby zaczął biec, czy ja mam to zrobić?

– Nie odważysz się – rzekła Corinn.

– Dlaczego? To tylko mój niewolnik. Jeśli zginie, ja poniosę stratę.

Mięśnie przedramienia Hanisha napięły się, drżąc z wysiłku, a kostki palców mocno zaciśniętych na łuku pobielały. Jakaż to okrutna ręka, okrutna po same ścięgna i tkanki.

– Nie rób tego, Hanishu – powiedziała Corinn, wiedząc, że on to jednak zrobi.

Zaraz to zrobi. Był to żart, a zarazem nie żart.

– Tak mówisz, ale w rzeczywistości chcesz, żebym to uczynił. Chcesz ujrzeć go przebitego strzałą i usłyszeć jego krzyk. Prawda?

Odpowiedziała dopiero po chwili. Nie wiedziała, czemu się zawahała. Nie zastanawiała się przecież nad odpowiedzią. Była tylko jedna. Lecz trudno ją było

wyartykułować.

– Nie – rzekła w końcu. – Nie chcę.

– Chłopcze! – zawołał Hanish. – Podnieś rękę!

Chłopiec nie zrozumiał go. Hanish opuścił łuk i ruchem ręki pokazał, o co mu chodzi.

Chłopiec przyjął jego postawę. Hanish kazał mu rozcapierzyć palce.

– Dobrze, a teraz się nie ruszaj.

Uniósł łuk, by ponownie wycelować.

– Przestań! – powiedziała Corinn szeptem, chociaż chciała to wykrzyknąć.

Strzelił. Chłopiec na szczęście się nie wzdrygnął; i dobrze, bo strzała przeleciała między jego środkowym i wskazującym palcem i skryła się gdzieś w trawie. Było po wszystkim.

– Czy tkwi w tym jakiś morał? – zapytał Hanish, opuszczając łuk. – Ty zdecyduj.

Odwrócił się i odszedł, po kilku krokach upuszczając broń na ziemię.

Corinn patrzyła za nim. Patrzyła, jak wchodzi między drzewa o jasnej korze, a ich liście oklaskują go z migotliwym entuzjazmem. Pomyślała, że miał co do niej rację. Poczula, jak prawda przebija się do jej świadomości i patrzy jej w twarz. Rzeczywiście, jakąś częścią siebie pragnęła, by zastrzelił chłopca. Nie umiała powiedzieć, dlaczego. Żeby udowodnić, że można coś takiego zrobić? Udowodnić, że dobroć chłopca przed niczym go nie chroni? A może po prostu patrzeć, jak powód przyszłego cierpienia pędzi w powietrzu, wypuszczony przez jedną osobę w stronę drugiej przez zwykłe rozluźnienie palców? Czy by ujrzeć dowód okrucieństwa Hanisha? Może o to jej chodziło. O ujrzanie dowodu na własne oczy. Na tę myśl, na to uczucie niechęci splecione z pożądaniem skurczył jej się żołądek. Co Hanish z nią robi?

Z wysiłkiem oderwała wzrok od lasu i spojrzała na chłopca, nadal stojącego w tym samym miejscu. Opuścił rękę, lecz stał jakby niepewny, czy będzie jeszcze potrzebny. Dobrze, że nie zapytała go o imię.

Wróciła do domku pogrążona w myślach, więc wzdrygnęła się z zaskoczenia, kiedy na jednej z klatek schodowych pojawił się obok niej Peter, przełożony służby. Zbliżył się do niej gwałtownie, wyskakując z ukrycia, w którym zapewne na nią czekał.

– Królewno – zaczął – nie jesteś dziewczynką, jaką zapamiętałem.

Zatrzymał się w odległości zaledwie kilku centymetrów. Podczas tej wizyty nigdy nie podchodził tak blisko i nigdy nie była z nim sam na sam. Brwi drgały mu z emocji, których nie umiała nazwać. Ledwie udało jej się stłumić okrzyk.

– Twój ojciec byłby dumny z tego, jak wysokonosisz głowę – powiedział Peter. –

Słyszałem o twoim losie, lecz nie wierzyłem w plotki, dopóki cię tu nie ujrzałem. – Przez chwilę wyglądał na przygniecionego nieszczęściem. – Kiedy on przybędzie, królewno? Podziel się ze mną tą wiadomością, a będziemy gotowi przyłączyć się do niego. Wszyscy tu są wciąż lojalni.

– Kto kiedy przybędzie? – warknęła Corinn.

– Jak to, twój brat! Wszyscy się modlimy do Dawcy, by Aliver szybko wrócił i by jego zemsta starła Hanisha Meina z powierzchni ziemi.

ROZDZIAŁ 41

Kiedy jego koń pokonał skokiem ostatni metr zbrocza prowadzącego na grań Methaliańskiej Krawędzi, Heleeven Mein poczuł bliskość domu. Owionął go rześki wiatr, jakby pieszcząc jego dziobatą twarz, szukając w niej czegoś znajomego. Powietrze tej krainy było wilgotne i cuchnęło bagienną zgnilizną meinińskiego lata. Haleeven zsiadł z konia i pochylił się ku ziemi. Chwycił garść trawy i wyszeptał modlitwę dziękczynną pod adresem bratanka. Hanish hojnie go obdarował, pozwalając mu po tak wielu latach ponownie ujrzeć dom. Co więcej, wrócił tu, by rozpocząć działania, które w końcu doprowadzą do zasłużonego uwolnienia przodków. Miał obawy co do niektórych aspektów swojej misji, lecz starał się o tym nie myśleć. Zaprzysiął, że spełni pragnienia przodków.

Świat rozciągający się przed nim był wiosennie wilgotny. Pokłady śniegu jeszcze nie stopniały pod nieśmiałym ciepłem ukośnych promieni słońca. Na tym fragmencie płaskowyżu ziemia była grubą, gąbczastą, rozmoczoną warstwą żywego torfu, chlupoczącą pod stopami. Haleeven wraz z oddziałem konnych żołnierzy i wlokącą się za nimi długą kolumną zwerbowanych robotników musiał się trzymać mocno utwardzonych ścieżek. Powietrze rozbrzmiewało świeżo obudzonym owadziim życiem; maleńkie meszki najbardziej lubiły przyklejać się do ludzkich oczu. Wlatywały prosto do ust i nozdrzy. A także gryzły.

Haleeven rozejrzał się po twarzach pokrytych kropelkami krwi. Kilku ludzi zakrywało usta kawałkami materiału. Inni uderzali się po ciele, rozmazując własną krew z rozgniecionych owadów. Haleeven usiłował zachować obojętność na tę plagę. Nawet nie dotykał śladów po ukąszeniach i z pogardą patrzył na mniej odpornych żołnierzy. Nie zawracał sobie głowy oglądaniem się na obcych, żałosnych robotników. Wiedział, że po drodze padną ofiarą gorączki roznoszonej przez owady i ich liczba zapewne się zmniejszy.

Po kilku dniach podróży na północ dostrzegł, jak zza horyzontu wyłaniają się ostre grzbiety Gór Czarnych. Spływały z nich porywiste wiatry, szarpiąc ludźmi i końmi i zdmuchując owadzie hordy. Po pewnym czasie wjechali na twardsze równiny środkowego płaskowyżu, podobne do tundry trawiaste obszary, ojczyznę reniferów, wilków, lisów i białych niedźwiedzi oraz arktycznych wołów, które Meinowie udomowili dawno temu. W tej chwili nie było widać żadnego z tych stworzeń, lecz Haleeven wiedział, że gdzieś tu są, niewidoczne, ukryte tuż za horyzontem. Gdyby miał czas albo gdyby odpoczynek nie

przeszkodził mu w obowiązkach, poderwałby wierzchowca do biegu i zatracił się w dziczy, która ukształtowała jego rasę.

Tahalian. Haleeven z zaskoczeniem stwierdził, że po części patrzy na swoją rodzimą fortecę oczyma cudzoziemca. Wyglądała jak od dawna martwe stworzenie, jak trup zamęczonego zwierzęcia, uwięzionego przed laty w klatce z potężnych jodeł, rozdartych, pozbawionych kory i poplamionych. Do połowy okryta śniegiem, całkowicie pozbawiona zieleni, szarobura rudera rzucająca wyzwanie ziemi, która nigdy się do niej nie uśmiechnęła: oto Tahalian.

Haleeven przejechał przez bramę witany bez wylewności, lecz z wyraźną ulgą. Daleki kuzyn Hanisha, młodzieniec imieniem Hayvar, służył w fortecy jako zarządca. Był przystojnym, choć szczupłym młodzieńcem o rozbieganych oczach niespotykanych u rasy ceniącej zachowanie w każdych okolicznościach wyglądu świadczącego o spokoju. Ledwie rozluźnił powitalny uścisk, a już zasypał Haleevena pytaniami. Jak się ma Hanish? Czy rzeczywiście przygotował na Akacji salę dla przodków? Jaka naprawdę jest ta wyspa? Czy istotnie to taka wspaniała zdobycz, jak zawsze twierdzili powracający żołnierze? Czy wszystkie kobiety mają oliwkową cerę, owalne twarze i duże oczy?

– Cieszę się – powiedział – że w końcu sam to zobaczę. Jadę z tobą. Hanish się na to zgodził. Dostałem od niego list. Chce, żebyśmy wszyscy mogli oglądać zniesienie klątwy.

Haleeven pomyślał, że młodzieńcowi nazbyt zależy na opuszczeniu ojczyzny, nawet jeśli ma szlachetny powód. Lecz chłopak jest młody. Czuje się pozbawiony swego miejsca w dramacie świata. Czy żołnierze, którzy odpłynęli z Hanishem lub pomaszerowali z Maeanderem, nie wyruszyli głodni widoku krain leżących poniżej płaskowyżu? Hayvar się od nich nie różnił. Gdyby na początku wojny nie był zbyt młody, opuściłby Tahalian już dawno temu.

Haleeven odpowiedział na jego pytania, chociaż postarał się nadać swemu głosowi ton dezaprobaty, a zmuszony do opisu wspaniałości widzianych w szerokim świecie, wpatrywał się w ziemię. Bał się, że jeśli w takich chwilach będzie patrzył młodzieńcowi w oczy, to może coś zdradzić, choć nie był pewien, co takiego.

Poszedł za Hayvarem na obwałowania fortecy. Patrzyli na mozolnie zbliżającą się kolumnę robotników. Szorstka powierzchnia jodłowych bali pod dłońmi, żywiczny zapach naznaczony zgnilizną, poszatkowany krajobraz, miedziane trawy wyłaniające się spod starego śniegu, zwieszające się nad tym wszystkim plamiste niebo – oto dom!

Na kilka chwil Haleeven pograżył się w nostalgii. Jak wyjaśnić, dlaczego temu widokowi nic nie brakuje, nawet w porównaniu z lśniącymi błękitnymi wodami otaczającymi

Akację? Nie kochał miejsca dla jego zalet i piękna. Nie uważał już też swego narodu za najlepszy na świecie. Widział zbyt wiele odwagi u innych oraz piękna w obcych przedmiotach, by trwać w takich przekonaniach. Kochał Mein po prostu dlatego... cóż, że trzeba było go kochać. Może to niemądre, ale lepsze wyjaśnienie nie przychodziło mu do głowy. Nawet gdyby znalazł słowa na wyrażenie swoich uczuć, wątpił, czy stojący obok niego młodzieniec wzięłyby je sobie do serca. Nawet ich przodkowie postawili sobie za cel coś innego...

– Bracie Heberena – przemówił jakiś głos – przodkowie przepowiedzieli twoje przybycie.

Nawet nie patrząc, Haleeven wiedział, kto to powiedział. Zapewne podszedł w tych swoich podbitych futrem pantoflach. Tylko kapłan Tunishnevre mógł go obrazić, nie posługując się jego imieniem, i tylko ktoś taki mógł twierdzić, że otrzymał wiadomość o jego przybyciu za pośrednictwem Tunishnevre, podczas gdy wszyscy inni czerpali wieści z przesyłek i od posłańców. Przyjemne myśli Haleevena się rozwiały.

– Pierwszy kapłanie – powiedział, uśmiechając się z przymusem – przodkowie nie tylko przepowiedzieli moje przybycie, oni je spowodowali swym rozkazem.

Usta kapłana, dwie cienkie linie spierzchniętej, obłazącej skóry, ściągnęły się. Miał kredowobiałą cerę, cenioną przez mężczyzn jego zakonu. Słomianożółte włosy celowo przerzedził, by przezierała spod nich skóra czaszki. Jeśli dodać do tego zapadnięte policzki, bardzo przypominał zachowane szczątki przodków, którym służył.

– Owszem, lecz Hanish nie śpieszył się z przysłaniem ciebie – rzekł kapłan. – Dziewięć lat. Nedorzeczna zwłoka...

– Było tyle spraw do załatwienia.

– Nedorzeczna zwłoka – kapłan powtórzył ostatnie słowa, jakby Haleeven go nie zrozumiał. – Nie ma na to usprawiedliwienia. Hanish dowie się o moim niezadowoleniu. – Odwrócił się i spojrzał zimnym wzrokiem na znikającą kolumnę. – To są nasi robotnicy?

– Pięćdziesiąt tysięcy – odparł Haleeven – plus minus kilkaset osób.

– Przyprowadziłeś obcych z południa? – zapytał kapłan, mrużąc oczy.

Haleeven spodziewał się tego pytania.

– Tak, ale tylko do niesienia bagaży i zapasów. Do utrzymania drogi i wykonywania tysięcy czekających nas zadań. Nie będą dotykać przodków ani żadnych świętych przedmiotów. – Pierwszy kapłan wbił w niego wzrok, nieprzekonany. – Mam nadzieję – dodał Haleeven – że osobiście będziesz kierował wszelkimi przygotowaniami, by obcy niczego nie sprofanowali ani nie urazili przodków. Nie sądzisz jednak, że stosowne jest, by

Akacjanie łamali sobie kręgosłupy dla dobra Tunishnevre?

Kapłan nie powiedział, co o tym sądzi, lecz nie wysuwał już dalszych zastrzeżeń.

Późnym wieczorem Haleeven szedł samotnie oświetlonym blaskiem pochodni korytarzem, prowadzącym do podziemnej komory jego przodków. Już się spotkał z pozostałymi kapłanami. Przekazał podarunki dla nielicznych szlachetnie urodzonych, którzy jeszcze przebywali w Tahalian, i zajrzał do Calathrock. Obejrzał tam niemrawy pokaz oddziału młodych żołnierzy. Olbrzymia sala – cud drewnianego budownictwa – była przeznaczona dla o wiele większej liczby ludzi, dla uzbrojonych po zęby, długowłosych mężczyzn – a nie dzieci o wąskich ramionach, którym bitwy tylko się śniły. Haleeven widział, że ludzie wylewnie go witają i pragną przekonać o swojej niezłomności i wierze w dawne obyczaje. Coś w ich żarliwości smuciło go, podobnie jak chodzenie niemal pustymi korytarzami i raz po raz nawiedzające go wspomnienia o ludziach albo zmarłych, albo przebywających z dala od Tahalian. Nieczęsto myślał z dezaprobatą o Hanishu, lecz jeśli chodzi o utrzymanie rodowej fortecy, młody wódz stał się niedbały.

Haleeven dotarł do drzwi komory i przystanął, by się uspokoić. Serce biło mu nierówno. Nogi miał sztywne i obolałe, co zauważył dopiero teraz. Starzał się i był zmęczony. Jednocześnie był pełen nerwowej energii. Przejechał setki kilometrów, by dotrzeć w to miejsce. Wyobrażał sobie tę chwilę nieskończoną liczbę razy. Oparł się o drzwi i poczuł, że się przesuwają. Wszedł do środka, ukląkł tuż za progiem i przycisnął czoło do chłodnych kamieni posadzki. Trwał tak, aż zimno zaczęło sprawiać wrażenie gorąca. Dopiero wtedy się wyprostował i podniósł wzrok.

Na widok komory oświetlonej nikłym, pochodzącym z niewidocznego źródła niebieskim światłem, przebiegły mu po plecach ciarki. Nad nim rozciągały się ściany usiane regularnie rozłożonymi wypukłościami, tworzącymi rzędy i warstwy; każda z nich nieco wystawała i komnata wyglądała jak olbrzymi ul. Ściana tuż nad nim, utworzona może ze stu warstw, wznosiła się tak wysoko, że ginęła w mroku. A to była tylko jedna nisza. Przed nią otwierała się następna, a za nią kolejne. Każdy z tych niewyraźnych kształtów był zachowanym ciałem, wysuszoną skorupą, która niegdyś była Meinem, owiniętą w muślin i zachowaną dzięki wysiłkom kapłanów oraz potędze klątwy, wiążącej dusze zmarłych w śmierci bez wyzwolenia, utrzymującej je na płaszczyźnie fizycznej bez pulsu i ciepła życia. Poza tym niczym się nie różniły od samego Haleevena. To byli ludzie tacy jak on. Bez względu na to, czy żyli przed pięćdziesięciu, czy przed pięciuset laty, mówili jego językiem i wędrowali po tym samym płaskowyzu. I żyli krótko w cieniu wiecznej kary. Podobnie jak on.

Haleeven ruszył do przodu i zaczął wypowiadać słowa, z którymi wysłał go tu Hanish.

Oni już na pewno wiedzieli, po co przybył, lecz dokonał formalności. Przedstawił się i poprosił o wybaczenie za zakłócanie spokoju oraz ponowił przysięgę służenia przodkom. Obiecał, że nazajutrz spotka się z inżynierami, architektami, woźnicami. Czeka ich monumentalne przedsięwzięcie, więc nie będzie tracił ani chwili. Już niedługo przodkowie zostaną uwolnieni i pomszczeni.

Tunishnevre nie powitali go otwarcie, lecz w powietrzu zaszła zmiana, której w stanie podwyższonej świadomości Haleeven nie mógł nie zauważyć. Wydawało się, że przodkowie szepczą, wydają dźwięki podobne jękom wydobywającym się z głębi ziemi. Wyczuwał je, lecz nie mógłby powiedzieć, że je słyszy. Za każdym razem, kiedy wyteżał słuch, otaczała go martwa cisza. Dopiero kiedy tworzył słowa wypełniające mu głowę, komnata jakby rozbrzmiewała kierowanymi doń, nieczytelnymi, lecz zaprawionymi złością uwagami. Czuł, że grozi mu całkowite unicestwienie, lecz nie umiał zlokalizować choćby jednego prawdziwego dźwięku, jednego ruchu, choćby tak delikatnego jak oddech.

Jakże dziwną mają moc. Haleeven nie mógł powiedzieć, że ją rozumie. Nigdy nie posiadał takiej wiedzy. Przodkowie nie żyli, a on znajdował się w potężnym grobowcu z ułożonymi w rzędy ciałami tak zimnymi i pozbawionymi życia, jak otaczająca je ziemia, niezdolnymi do dokonania jakichkolwiek zmian w świecie. Stanowili dla niego zagadkę. W innych okolicznościach być może mógłby się kontaktować z Tunishnevre. W młodości był tylko o krok, o jeden taniec od przywództwa. Lecz był to krok, którego nie mógł wykonać. Nikt nie mógł powiedzieć, że Haleeven jest tchórzem; ale nie umiał odebrać życia komuś, kogo kochał. Z tego powodu nigdy nie sięgnął po tron swego twardego ludu.

Patrząc na wiszące nad nim cienie, wiedział, że zakręty jego drogi życiowej nie mają znaczenia. Z dumą służył niegdyś bratu, a teraz z dumą oddał się pod rozkazy bratanka. Uważał się za głównego powiernika młodego wodza. Oficjalnie stanowisko to zajmował Maeander, lecz Haleeven wyczuwał między nimi ukryte tarcia. Może Hanish nawet ich nie zauważał. To mało prawdopodobne, jako że był bardzo bystry, lecz często jesteśmy ślepi na niechęć najbliższych osób. Haleevena gnębiło, że nie poruszył tych spraw z Hanishem przed wyruszeniem na północ, ale będzie na to czas po powrocie. Maeander nie skrzywdzi brata, zanim nie zostaną zaspokojone potrzeby Tunishnevre. A ta akarańska królowna... Cóż, bez względu na to, co czuje do niej Hanish, nic nie powstrzyma go przed podejrzeniem jej gardła. Całe życie starał się zadowolić przodków. Haleeven był pewien, że Hanish nie zawiedzie teraz ich oczekiwania.

Lecz nie powinien się nad tym zastanawiać, nie w tej komorze. Wyszeptał słowa pożegnania. Wstał, obrócił się powoli i ruszył w stronę drzwi. Nic go nie zatrzymało.

Oczywiście. Choć potężni, byli bez niego bezradni.

ROZDZIAŁ 42

Rozebrali się do naga. Utrzymywanie równowagi na jednej nodze było trudnym zadaniem, gdy łódka podskakiwała na falach. Przez chwilę stali w blasku gwiazd, zerkając na siebie i przyzwyczajając się do nagości. W ten sposób łatwiej będzie im płynąć. Wilgoć szybciej można usunąć z ciała niż wyjąć z ubrania, a po dotarciu do celu będzie to miało znaczenie. Potem zaczęli przymocowywać do nagich torsów broń, butelki z wodą, wodoodporne paczki i trochę zapasów. Nieco czasu poświęcili na umocowanie wokół nadgarstków i kostek u nóg rzemieni z metalowymi haczykami na ryby; zostały one tak przyszyte, że sterczały na zewnątrz, tworząc trzycentymetrowe ostre zęby.

– Dobra – rzekł Szprotek; przez ramię miał ukośnie przewieszony łuk, u biodra krótką szablę, a do podudzia przywiązany sztylet. – Rozpocznijmy świętowanie. Uważajcie, żeby się nie zaplątać. I uważaj z tą pigułką, Sikorko. Będzie nam potrzebna dla tego olbrzyma.

Chwilę później zanurkował do ciepłego, rozfalowanego morza. W jego ślady poszło dziesięć osób; wszyscy – ośmiu mężczyzn i dwie kobiety – byli doświadczonymi piratami i doskonale umieli zadawać śmierć. Jedna z kobiet – Sikorka, która miała przymocowaną do pleców „pigułkę”, okrągły przedmiot wielkości mniej więcej strusiego jaja – od zimy dzieliła ze Szprotkiem łożo. Nie chciał jednak o tym myśleć podczas misji. Gdyby któreś z nich w niej zginęło, żałobie oddadzą się później. W tej chwili liczyła się tylko misja. Cieszył się z niebezpieczeństwa, bo skupienie, jakiego wymagało jego uniknięcie, zmusi ich do myślenia wyłącznie o terażniejszości. Szprotek niemal zapragnął zamętu. W chwilach spokoju zastanawiał się nad słowami Leeki Alaina. Jego rodzina... ta cała odpowiedzialność... wzywająca go przyszłość, wcale nie przypominająca życia, jakie dotąd prowadził... Narastało w nim przekonanie, że nie uda mu się tego wszystkiego uniknąć, lecz nie był jeszcze gotów.

O tej porze roku prąd nadal płynął z południa, lecz wczesnowiosenne powietrze było chłodne. Odpłynęli od słupa, którym tu dotarli. W ciągu kilku chwil stał się oddalonym cieniem, plamą w ciemności, a wkrótce zupełnie zniknął im z pola widzenia. Nie był oświetlony. Dopiero kiedy będą wracać, nieliczna pozostawiona na nim załoga zapali latarnię, by mogli się na nią kierować. Natomiast cel pływaków był doskonale widoczny, z rzędami lśniących lamp.

Czy to nocą, czy za dnia, okręt wojenny ligi robił wrażenie. Zakotwiczony na

głębokiej wodzie, majaczył w oddali, nieruchomy niczym stały ląd. Było to monstrum dwukrotnie dłuższe od barki handlowej, wysokością przypominające wielopoziomowe budynki mieszkalne Bocoum. Wzdłuż każdego poziomu ciągnęły się setki koszy dla kuszników i szczeliny dla łuczników. Ogrom okrętu miał oszalać swoją skalą. Bez wątplenia osiągnięto ten cel.

Cztery takie okręty, którym jak dotąd piraci stawili czoło, rozbiły ich na kawałki. Dzioby miały wzmocnione potężnymi belkami odlanymi w metalu, na tyle dużymi i mocnymi, że miażdżyły zwykłe statki. Pokłady były umieszczone tak wysoko, że abordaż okazał się niemożliwy. Szpon Szprotka okazał się nieskuteczny; jakby szpilką usiłował przebić skórę wieloryba. Tych okrętów nie można było staranować ani pośpiesznie zaatakować, co dotąd było ulubioną techniką Szprotka. Pływające fortece, siejące śmierć zza niezdobytego bastionu, były o wiele większe od wilczych statków piratów i świadczyły o agresywnych zamiarach, których liga wcześniej nie przejawiała. Bez najmniejszego ostrzeżenia jeden z nich wpłynął na płyciznę u brzegów Palishdocku i wypłuł z siebie całą armię. Żołnierze zalali miasteczko, całkowicie zaskakując zbójców.

Piraci uciekli z Palishdocku z niewieloma rzeczami, które udało im się w pośpiechu zabrać. Od tego czasu ciągle się ukrywali. Na szczęście nigdy nie trzymali wszystkich bogactw w jednym miejscu i nie mieli ich wiele w głównej siedzibie. Dovian nauczył tego Szprotka jeszcze w dzieciństwie. Po kolei, wyspa po wyspie, Szprotek wydobył monety i kosztowności z ziemi. Opłacał nimi przedsięwzięcia podobne do obecnego. Wojna między piratami i ligą zaczęła się na dobre. Szprotek uważał ją za osobistą wendetę, szczególnie po wycofaniu się z roli przywódcy Doviana, który większość czasu spędzał teraz na szeptach ze starym akacjańskim żołnierzem. Obaj przybierali poważne miny, na które Szprotek starał się nie zwracać uwagi.

Płynąc w stronę jednego z tych okrętów, musiał raz po raz sobie przypominać, że w jego ataku kryje się zabójcza logika. Nie są tu, by zniszczyć górę wznoszącą się przed nim z wody. Ale cios można zadać na wiele sposobów. Wydawało się oczywiste – tak naprawdę było to jedyne wyjście – że tak przeważające siły należy atakować z zaskoczenia.

Okręt kotwiczył w czterech punktach; w głębię oceanu zanurzały się cztery liny grubości starych sosen. Piraci zgromadzili się przy jednej z nich, w pobliżu rufy. Pływali w miejscu, chwytając powietrze, unosząc się na falach, wypluwając wodę między oddechami. Chociaż Szprotek chciał jak najprędzej chwycić się liny, wiedział, że musi to być dobrze zgrane w czasie. Każda fala unosiła ich w górę i w dół, przenosiła z miejsca na miejsce. Znalezienie odpowiedniej pozycji zajęło mu trochę czasu. Przycisnął brzuch do szorstkich

włókien jako trzeci. Objął ręką sploty liny, wbił w nią stopy i poczuł, jak haczyki wbijają się we włókna. Wyciągnął je z pewnym wysiłkiem, lecz, sięgając wyżej każdą nogą i ręką po kolei, wspinał się, powoli oddalając się od fal. Wkrótce odnalazł rytm i swobodę ruchów, lecz i jemu, i pozostałym szło to powoli. Przypominali mrówki pełznące w stronę uczty na wysokim stole.

Godzinę później Szprotek stał na pokładzie, zdyszany i zmęczony, z rękoma i nogami jak z waty i otartymi do czerwoności. Zaraz się jednak odwrócił i pomógł pozostałym przejść przez reling. Szeptem przypominał im o konieczności zachowania ciszy i ostrożności. Kiedy już wszyscy znaleźli się na pokładzie, zdjęli opaski z haczykami i wrzucili je do morza, a następnie starli dłońmi wilgoć z ciał. Ciepły wiatr owiewał okręt od dziobu do rufy i pomógł im się wysuszyć. Łucznicy założyli na łuki suche cięciwy, które mieli w wodoodpornych opakowaniach. Zajął to kilka minut, lecz Szprotek pokazał im gestami, że mają się nie śpieszyć. Wszystko w swoim czasie, każdy krok w odpowiednim tempie.

Nie pokazał im, że czas ruszać, po prostu postąpił do przodu, ostrożnie stawiając stopy na śliskim pokładzie. Pozostali poszli w jego ślady. Wkrótce znów musieli się zatrzymać, ciasno zbici w cieniu rzucanym przez jakąś nadbudówkę. W trzech koszach na masztach siedzieli strażnicy, po dwóch w każdym. Nie dało się podejść bliżej. Szprotek odwrócił się do swoich ludzi. Z poważnymi minami wpatrywali się w niego, czekając na wskazówki. Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i pokazał oczyma, że samo dotarcie tak daleko jest sporym osiągnięciem. Dostali się niepostrzeżenie na okręt wojenny ligi, nadzy i wolni w nocnym powietrzu. To, że umiał to przekazać bez słów, zawdzięczał jednemu ze swoich darów. Jego towarzysze jeden po drugim błyskali w uśmiechu zębami. Po tym Szprotek poznał, że są gotowi.

Ruszyli przed siebie z naciągniętymi łukami. Jeden ze strażników od razu ich spostrzegł, lecz zanim zdołał krzyknąć, trójkątny grot wieńczący drzewce strzały wbił się mu do czaszki przez oczodół. Szprotek będzie później pamiętał, że głowa strażnika aż odskoczyła od siły uderzenia. Był pierwszą ofiarą. W ciągu kilku sekund w stronę przeciwników posypał się grad strzał. Prawie wszystkie trafiły w czyjaś pierś albo głowę, jedna wpadła w usta krzyczącego. Jedyne niecelny pocisk pofrunął w noc; nie było słychać ani widać, gdzie wylądował.

Grupa się podzieliła. Kilka osób popędziło naprzód, by pozbyć się strażników na dziobie i wszystkich innych przebywających na pokładzie. Szprotek i pozostali otoczyli główne nadbudówki i przedarli się do pomieszczenia pilota. Ten wraz ze swoją ekipą akurat pochylał się nad mapą. Najpierw wszyscy spokojnie podnieśli głowy, jakby nie zaskoczył ich

widok nagich napastników ze sztyletami w rękach. Ich nastrój szybko się jednak zmienił. Piraci dokonali rzezi szybko i sprawnie; w końcu mieli pod tym względem doświadczenie. Mężczyzna imieniem Clytus chwycił pilota i rzucił go twarzą na pokład z siłą, od której wypadły mu dwa zęby i potoczyły się po gładkich deskach.

W ciągu kilku chwil cała załoga była martwa albo wydawała ostatnie tchnienie. Szprotek jeszcze nie zakrwawił swego sztyletu, lecz jego celu nie było w tym pomieszczeniu. W jego tylnej części znajdowały się zamknięte drzwi; ich framugę zdobił złoty wzór z delfinów – jednego z emblematów ligi. Młodzieniec wybił kopniakiem zamek. Wewnątrz znalazł człowieka, którego szukał.

Przedstawiciel ligi był wysoki i patykowaty, a ręce miał chude jakby umierał z głodu. Właśnie wstał z niskiej koi i usiłował się zorientować w sytuacji. Zanim zdążył zakryć się połami szlafroka, przez chwilę było widać jego żebra, wyraźnie zaznaczone pod cienką błoną ciała. Szprotek go nie zaatakował – uczynili to mężczyzna i kobieta, którzy przemknęli obok niego.

Kiedy pojmany znalazł się w głównej kajucie, unieruchomiono mu ręce, a do głowy z obu stron przytknięto mu dwa sztylety. Wydłużony stożek jego czaszki, pokryty rzadkimi włosami, sprawiał, że wydawał się bardziej nagi niż otaczający go piraci. Mimo to okazywał im pogardę.

W jego wyniosłych rysach nie było cienia strachu. Właściwie wydawało się, że rozgrywające się wokół wydarzenia jedynie go irytują.

Szprotek stanął przed arogancko patrzącym przedstawicielem ligi. Musiał działać szybko, ale nie okazać, że się śpieszy.

– Jak się nazywasz?

– Nie wiesz? – zapytał mężczyzna. – Ja znam twoje imię. Jeśli się nie mylę, to ciebie nazywają Szprotkiem. Nigdy nie sądziłem, że twoje imię jest tak odpowiednie. Jesteś tylko małą rybką. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś zakrył swego robaczka. Wiesz o tym, prawda?

– Jak się nazywasz? – powtórzył Szprotek.

Przedstawiciel ligi zacisnął usta, jakby zastanawiał się nad istotą tego pytania.

– Jestem Sire Fen, wiceadmirał operacji morskich Ishtat – rzekł w końcu i się uśmiechnął. – Kogoś takiego nazywacie grubą rybą.

Przez cały czas Szprotek obserwował kątem oka Clytusa i Sikorkę. Kiedy rozmawiał z więźniem, oni przepytывali związanego pilota, którego zachowano przy życiu. Clytus kilka razy uderzył go grzbietem dłoni i groził szeptem, tak by nie przeszkadzać przywódcy. Szprotek nie wiedział, czy coś osiągnęli.

Jeden z piratów zajrzał do środka i dał znak, że są wszyscy, ale że kończy im się czas.

– Nie spodziewasz się chyba, że zajmiecie ten okręt – rzekł Sire Fen. – Właściwie masz przed sobą jeszcze tylko kilka minut życia, młody zbójco. To jest problem z podobnymi tobie. Działacie bez zastanowienia. – Przerwał na chwilę, przechylił głowę na bok i zapytał z prawdziwą ciekawością: – Co mieliście nadzieję tutaj osiągnąć? Przyprowadziłeś ze sobą dziesięciu złodziei, żeby zająć okręt wojenny?

– Nie usiłujemy zająć tego statku – odparł Szprotek, poświęcając przedstawicielowi ligi tylko część uwagi.

Wskazał podbródkiem na drzwi, co wystarczyło, by zbliżyło się do nich dwóch ludzi z naciągniętymi łukami. Obaj wypuścili strzały, które ze świstem wypadły na zewnątrz.

– Nie? – zapytał Sire Fen. – Jaki zatem mieliście zamiar?

Szprotek zerknął na Clytusa, który próbował przyciągnąć jego uwagę. Stał nad czymś, co wyglądało jak otwarta skrzynka, a po jego spojrzeniu i kiwnięciu głową Szprotek poznał, że pirat znalazł to, czego się spodziewali. Sikorka szarpnęła za sznurek przepasujący jej piersi. Jedną ręką chwyciła pigułkę spadającą jej z pleców, a drugą zdjęła szklaną osłonę lampy oliwnej.

– Jest o wiele więcej sposobów uderzenia na wroga niż te najbardziej oczywiste – rzekł Szprotek.

– Och, chcecie mieć więźnia – odpowiedział przedstawiciel ligi, kiwając głową ze zrozumieniem. – Zakładnika? Poprosicie o okup za mnie, tak? Zuchwały pomysł, przyznaję, ale...

Szprotek spojrział na niego i mu przerwał.

– Chcecie nas zniszczyć, prawda?

Sire Fen zmarszczył nos, jakby poczuł smród.

– Wszystkich co do jednego.

– Dlaczego? Stanowimy dla was tak wielkie zagrożenie?

– Nie stanowicie żadnego zagrożenia. Jesteście jak szczury w mieście. Wszędzie zostawiacie odchody. Kradniecie. Roznosicie choroby. Tak, liga zamierza wyeliminować was co do jednego.

Szprotek pokręcił głową z wyrazem wielkiego rozczarowania na twarzy.

– Dlatego nie zrozumiesz mojego dzisiejszego zadania. Wy chcecie zabić wielu. Mnie tej nocy zależy na zabiciu tylko jednej osoby.

Na twarzy przedstawiciela ligi pojawiło się kolejno kilka uczuć, najpierw zdumienie, a potem spojrział w dół i jakby zarumienił się ze wstydu. Szprotek zagłębił nóż w jego piersi aż

po rękojeść. Wyciągnął go, zmienił chwyt i ciął szyję Fena tak głęboko, że z rany zaczęła się wydobywać krew zmieszana z powietrzem. Dwaj przytrzymujący go piraci cofnęli się i przedstawiciel ligi runął na podłogę.

– Zabijcie pilota – rozkazał Szprotek – i wynosimy się stąd.

– Nie! Nie! Nie! Nie zabijajcie mnie – wrzasnął pilot i pokazał zakrzywionym palcem na Szprotka. – Mogę powiedzieć, co nosisz na szyi! Proszę, panie, mogę ci powiedzieć, co to takiego!

Pirat powstrzymał swoich ludzi ruchem ręki.

– Co to?

Pilot przez chwilę odyskiwał oddech. Wskazał na rzemień na szyi Szprotka, na złoty przedmiot, który ten zabrał z brygu ligi przed wieloma miesiącami.

– Na twojej szyi. Ten wisiołek. Wiesz, co to jest?

Szprotek nie spojrział na ozdobę, na co zapewne liczył pilot.

– Mów szybko.

– Oszczędzisz mnie?

– Nie, jeśli nie powiesz tego szybko.

Trzeba przyznać, że pilot miał zręczny język. To, co powiedział, okazało się na tyle interesujące, że Szprotek, zaskakując nawet samego siebie, rozkazał wziąć go jako jeńca.

– Będziemy musieli porozmawiać w bardziej sprzyjających warunkach – powiedział, a kiedy pilot zaczął głośno protestować, dodał: – Sikorko, zapal i rzuć.

Wydawszy rozkaz, podszedł do drzwi. Chwilę później pigułka z iskrzącym lontem zaczęła spadać siecią rur, których używał pilot do wysyłania wiadomości w głąb okrętu.

Pokład ożył. Z rozmaitych luków wyłaniali się pośpiesznie żołnierze w hełmach i zbrojach, osłaniając się tarczami. Łucznicy wypuścili w ich kierunku ostatnie strzały, a potem wszyscy rzucili się w stronę rufy.

– Pamiętajcie, by zacisnąć pośladki, chyba że chcecie, żeby woda wypłukała wam wnętrzności od dołu – powiedział swobodnym tonem Szprotek, stojąc przy relingu. – Jesteś pewna, że dasz radę? – zwrócił się do Sikorki.

Przepchnęła się obok niego i usiadła okrakiem na relingu.

– Martw się o siebie – odrzekła i skoczyła.

Jej długie włosy uniosły się za nią, sięgając kosmykami do nieba. Szprotek miał wielką nadzieję, że dziewczyna przeżyje, bo coś w tym widoku zbudziło w nim cielesne pożądanie.

Dopilnował wypchnięcia pilota za burtę, a potem sam przerzucił nogę przez reling.

Spadając, wyczuł wstrząsy wewnątrz okrętu i zrozumiał, że pigułka wybuchła w jego trzewiach. Zawierała płynny materiał wybuchowy, mieszanekę, za którą dużo zapłacili. Wybuch we wnętrzu okrętu wojennego nie zniszczy go, Szprotek o tym wiedział. Nawet gdyby zapaliła się od niego smoła, której tak rozrzutnie używali, nie było nadziei na zatopienie okrętu. Lecz rozboleł ich od tego brzuchy. Na tę myśl Szprotek się uśmiechnął. A potem przygotował na uderzenie w wodę.

ROZDZIAŁ 43

Pierwszej nocy Mena tylko słuchała. Wpuściła mężczyznę nazywającego siebie Meliem i twierdzącego, że zna ją oraz jej rodzinę, na wewnętrzny dziedziniec kompleksu mieszkalnego. Nigdy przedtem nie zrobiła czegoś takiego. To było zakazane kapłance Maeben i jeszcze dzień wcześniej wydawałoby się niemożliwe. Lecz w towarzystwie tego mężczyzny zdarzały się niesłychane rzeczy. Siedzieli razem na mocno ubitej ziemnej podłodze. Wytrącone z równowagi obecnością mężczyzny, jej służące kryły się w cieniu, gotowe w każdej chwili zaatakować. Mena tylko patrzyła na młodzieńca, który, najwyraźniej zachęcony jej milczeniem, wygłaszał rozwlekły monolog.

Mówił po akacjańsku, więc Mena była pewna, że jej służba nie zrozumie ani słowa. Zdumiewało ją, że ona sama wszystko rozumie. Siedziała, na nowo odkrywając pełnię swego pierwszego języka. Raz po raz zastanawiała się nad jakimś słowem wypowiedzianym przez Melia. Obracała je w myślach, badając jego kształt. Czasami otwierała usta i poruszała wargami, jakby, zamiast oddychania, spijała słowa młodzieńca.

Był akacjańskim żołnierzem, młodym Marahem, który stanął w obliczu pierwszego od wielu, wielu pokoleń masowego ataku na imperium. To, czego był świadkiem podczas wojny, było zbyt straszne, by wspominać o tym inaczej jak ogólnikowo. Stracił wszystko, co może stracić człowiek prócz życia. Widział, jak giną lub są brane do niewoli osoby, na których mu zależało, lub jak zdradzają one swój naród dla nowego pana. Uważał wyższość Akacji za oczywistą i wciąż go zdumiewało, że Hanish Mein tak całkowicie unicestwił wojskową potęgę jego narodu.

Po bitwie na Polach Alesji został ranny w jednej z drobnych potyczek. Podczas żałosnego odwrotu zapadł na gorączkę. Kiedy się z niej obudził, otaczający go świat był całkowicie odmieniony. Melio powiedział, że był tak załamany, że gdyby wola śmierci wystarczyła, by odejść z tego świata, nie siedziałyby teraz przed Meną. Chciał nawet odebrać sobie życie, tylko że było to niemal niemożliwe dla tak wyszkolonego żołnierza. Przez jakiś czas działał w ruchu oporu w Aushenii, licząc, że w ten sposób poniesie honorową śmierć. To też mu się nie udało.

W zaplanowaniu własnej śmierci przeszkodziła mu w końcu plotka. Pewnej pijackiej nocy najemnik z Teh powiedział mu, że akarańskie dzieci zostały przewiezione w bezpieczne

miejsce. Nie umiał wskazać żadnego wiarygodnego źródła na poparcie swego twierdzenia, kierował się prostą logiką. Tylko Corinn została schwytana, tak? Fakt, że Hanish ją wystawiał na widok publiczny, tylko podkreślał nieobecność pozostałych. Zrobiłby z nimi to samo, gdyby ich schwytał, prawda? Z drugiej strony, czy ktoś potrafi udowodnić, że zostali zabici? Czy pokazano ich ciała albo głowy? Czy pokazano cokolwiek, co potwierdziłoby taki czy inny los Akaranów? Odpowiedzi były oczywiste, a wraz z nimi otwierały się nowe możliwości. Najprostszą z nich – i jej chwycił się Melio – była ta, że jeśli ród Akaranów nie wygasł, to znów może powrócić do władzy.

Postanowił ze wszystkich sił utrzymać się przy życiu i przeczekać w nadziei, że w tych opowieściach tkwi ziarno prawdy. Przez ostatnie trzy lata pracował dla morskich kupców, których trasa pokrywała się z sezonowymi prądami Morza Wewnętrznego. Trzy razy zapuszczał się aż na Archipelag Vumu, z którym handlowali kupcy. Nigdy nie zatrzymywał się tu długo i nigdy przedtem nie widział kapłanki Maeben. Jakie to szczęście, że ją odnalazł. Ona żyje! Istnieje zatem powód przypuszczać, że Dariel też żyje. A z pewnością żyje Aliver i w tej chwili planuje odzyskanie tronu. Plotki były prawdziwe i Melio dziękuje Dawcy, że nie umarł, zanim się o tym nie przekonał.

Kiedy zaczęło świtać, odesłała go, niczego nie obiecując ani niczego nie przyznając, niczym nie zdradzając, jakie wrażenie na niej wywarł. Leżała na wąskim łóżku, a dzień robił się coraz jaśniejszy, gorący jak zwykle. Miała zdumiewająco pustą głowę. Wiedziała, że powinny się w niej kłębić obawy i wątpliwości, poruszone wspomnienia, postawione pytania. Nie umiała jednak uchwycić ani jednej myśli na tyle długo, by odkryć jej wagę, aż w końcu zasnęła. Obudziła się, kiedy służąca powiedziała, że jest późne popołudnie, wtedy wstała i podjęła obowiązki kapłanki.

Wróciła wczesnym wieczorem i znów Akacjanin czekał na nią na ścieżce. Ponownie wpuściła go do swej siedziby i usiadła, by go wysłuchać. Odesłała go po kilku godzinach, nadal nic mu nie obiecując. Nie zdradziła się z niczym, co mogłoby świadczyć, że myśli o jego opowieściach. Mocno przespała cały ranek, obudziła się w upale południa i wpatrywała w sufit, nasłuchując szelestu powodowanego przez jaszczurki polujące na owady w strzesze. Uznała, że Melio ma nijaką twarz, ale z jakiegoś powodu bardzo chciała znów ją ujrzeć.

Następnego wieczoru czekał na nią przy bramie kompleksu. Na jej widok wstał z kucek, nazwał ją „królowną” i wszedł do środka, kiedy pozwoliła mu na to ruchem głowy. Gdy już siedzieli naprzeciwko siebie, tak jak w poprzednie wieczory, młodzieniec podjął wywód. To naprawdę zdumiewające, że po dwóch nocach nadal miał coś do powiedzenia. Słyszał, że po kraju krążą agenci królewicza, pracujący w ukryciu na rzecz połączenia

różnych oddziałów ruchu oporu. Był nawet bunt w kopalniach Kidnabanu, wywołany przez proroka, który przysięgał, że śnił mu się powrót Alivera. Mówił, że Aliver wkrótce wezwie swoje rodzeństwo do zjednoczenia poszczególnych armii. Wiele osób bardzo chciało mu wierzyć.

Mena słuchała i zapamiętywała wszystko, co mówił. Poświęciła także nieco czasu na utwierdzeniu się w przekonaniu, że jego twarz rzeczywiście jest przeciętna, pilnie przyglądając się jej rysom. Włosy długie i rozczochrane, często spadające mu na zwykłe piwne oczy, zęby zbyt wystające, kiedy się uśmiechał, policzki sprawiające wrażenie cherubinkowych, lecz tylko oglądane pod pewnymi kątami; przeciętny pod każdym względem. Twarz niepozbawiona atrakcyjności, lecz niezbyt szlachetna czy silna lub świadcząca o wielkiej mądrości. A zatem potwierdzone. Wydawało się dziwne, że w ogóle zastanawia się nad jego wyglądem.

Mając już tę kwestię rozwiązaną, Mena mu przerwała.

– Mówisz, że jakiemuś prorokowi z kopalni śnił się Aliver? Powiedz mi, czy ten prorok opisał jego rysy? Czy wiedział, jak wygląda mój brat, jak mówi? Znał jego charakter? Mój brat nigdy nie widział kopalni z bliska; skąd ktoś z kopalni mógłby tak wiele o nim wiedzieć?

Nie wiedziała, czy oszołomiona mina Melia była reakcją na jej słowa, czy tylko na fakt, że wypowiedziała naraz tak dużo słów. Patrzył na nią uważniej niż wcześniej. Kiedy mówił, przeskakiwał wzrokiem z przedmiotu na przedmiot.

– Nie wiem, skąd pochodził dar tego proroka – rzekł – ale wierzę, że coś w tym jest. I wierzę, że twój brat ma mocne strony, których jeszcze nie odkrył. Zawsze tak uważałem, nawet kiedy byliśmy chłopcami. Dla większości ludzi jest symbolem. Niewiele osób w Znanym Świecie widziało twego brata, lecz wszyscy znają jego imię. Wszyscy wyobrażają go sobie takim, jakim chcieliby, żeby był. Jest nadzieją w czasach, kiedy ludzie rozpaczliwie jej potrzebują. Może właśnie o to chodzi w ruchu oporu. Spotykamy się potajemnie, rozsiewamy wiadomości, odszukujemy się ostrożnie przez osobiste znajomości. Kiedyś spotkałem się z pewną grupą w gospodarstwie w pobliżu Aos. Było nas może piętnaścioro, lecz kiedy tylko zamknęły się drzwi i poczuliśmy się w swoim towarzystwie bezpiecznie, otworzyliśmy się i rozmawialiśmy jak starzy znajomi. Mówiliśmy o trudnościach, o drogich nam osobach, które straciliśmy, i o marzeniach na przyszłość. To był cudowny wieczór, a wszystko kręciło się wokół nadziei uosabianej przez młodych Akaranów. Nie dziwi mnie, że nic o tym nie wiesz. Niewiele osób z ruchu oporu mieszka na Vumu. Na szczęście teraz jestem tu ja – i ty.

Nie uświadamiając sobie, co robi, Mena rozdzieliła palcami włosy na karku i

przerzuciła ich kosmyki na ramiona, ukrywając w ten sposób piersi. Nigdy przedtem nie czuła się skrępowana swą niemal całkowitą nagością. Jednakże przy Meliu miała coraz większą świadomość swego ciała.

– Powiadasz, że my, akarańskie dzieci, jesteśmy gotowe do pojawienia się na czele armii, która obali imperium Hanisha Meina. O czym ty mówisz? Spójrz na mnie. Jestem Akaranką. Oboje to wiemy. Gdzie zatem jest moja armia? Rozejrzyj się. Czy wyglądam, jakbym zamierzała przystąpić do wojny?

– Zastanawiałem się nad tym – odparł Melio, wpatrując się w jej oczy. – Nie umiem tego wyjaśnić. Może w twoim wypadku coś poszło nie tak.

Jej martwy opiekun z pewnością zaliczał się do spraw, które poszły nie tak. Lecz Mena do niczego się nie przyznała. Za to powiedziała Meliowi, że musi iść. Może jednak wrócić rano. Równie dobrze raz mogą porozmawiać w świetle dnia. Nie zamierzała tego mówić, słowa wypłynęły z niej same. Potem zastanawiała się, dlaczego. A kiedy już to sobie uświadomiła, wydało jej się dziwne, że może coś zrobić i dopiero potem zrozumieć, co było impulsem do działania.

Następnego ranka Melio stał pod jej bramą. Gestem nakazała go wpuścić. Kiedy szedł w jej stronę, mrużąc oczy w słońcu, dopóki nie wszedł w cień, powiedziała:

– Mnie ta gorączka nie dopadła.

– Dopadła wszystkich – rzekł Melio. – Przetoczyła się przez cały świat.

– Owszem, przeszła przez archipelag, ale mnie ominęła. – Powiedziała to rzeczowo, tonem ucinającym wszelki sprzeciw, i zaraz zmieniła temat. – W vumuańskiej kulturze kobietom nie wolno posługiwać się bronią. W Akacji tak nie było, prawda?

Melio odpowiedział dopiero po chwili, niechętnie porzucając poprzednią kwestię.

– W naszym kraju każda dziewczynka, która miała na to ochotę, mogła się szkolić. Jeśli tylko kobiety spełniały stawiane wymagania, nie zabraniano im służyć.

– Czy dużo z nich je spełniało?

– Chyba większość z tych, które próbowały. Siódma forma to forma Gerty, która walczyła z bliźniętami Talackiem i Tullusem oraz ich trzema wilczarzami. Do ich pokonania potrzebowała dwustu szesnastu ruchów, lecz dopięła swego. Obaj bracia stracili głowy, a każdy z psów jedną lub więcej łap. Czasami kobiety nie tylko spełniały wymagania, lecz je nawet ustalały.

Mena zapatrzyła się w przestrzeń, na chwilę pogrążając w myślach. Wiedziała, dlaczego zaprosiła tu Melia i o co zamierza go poprosić; jej własne pragnienia zaskakiwały ją i wprawiały w pomieszenie. Nie miały nic wspólnego z rolą, do której się tak przyzwyczała.

Była kapłanką Maeben od wielu lat i było jej z tym dobrze. Mimo to otworzyła usta i zadała pytanie:

– A ty znasz wszystkie formy?

– Tylko pierwszych pięciu nauczyłem się porządnie.

– A reszta?

– Znam je – odparł Melio. – Ostatnich form uczyłem się w pośpiechu, bardziej z tekstów niż w trakcie ćwiczeń. Wtedy świat już się rozpadał...

– Melio, chcę, żebyś nauczył mnie posługiwać się szablą.

Wreszcie to powiedziała. Wiedziała, że jest to zdrada wszystkiego, czym się stała, lecz musiała przyznać, że w głębi ducha była spokojniejsza, niż mogłaby się spodziewać. Naprawdę chciała się tego nauczyć. Pragnęła tego od dawna. Kiedy Vaminee prawił jej kazania, często myślała o przemocy; czasami śniło jej się, że tańczy z szablą Marahów, a kiedy się budziła, zastanawiała się, czy coś jest z nią nie w porządku.

– Mówisz poważnie?

Pytanie tylko zwiększyło jej pewność.

– Oczywiście.

– Nic jestem instruktorem, królewno. I nie mam broni. Nie mogę uczyć bez...

Mena przerwała mu, zrywając się na nogi.

– To, czego ci brak, da ci bogini. Chodź.

Niedługo potem Mena stała w składziku na tyłach swojej siedziby z rękoma wyciągniętymi przed siebie. Światło przenikało do środka przez słomiane ściany i dach, w powietrzu tańczyły drobinki kurzu. W dłoniach trzymała pochwę z szablą, z którą przed dziewięć laty przyплыnęła do brzegów Vumu. W niektórych miejscach grawerunek pokryła rdza. Szabla nie lśniła tak jak powinna, lecz nadal kryło się w niej piękno.

– To jedyna rzecz, jaką ocalałam z Akacji – rzekła Mena. – Nie chciała mnie opuścić. Kapłani nie ośmielili się mi jej odebrać. Pewnie wydawała się im czymś w rodzaju amuletu. Zgodziłam się ją ukryć, a oni mi ją zostawili i od tego czasu o niej nie wspominali. Znasz tę broń? To znaczy ten rodzaj broni.

Melio potwierdził wzrokiem, zanim jeszcze skinął głową.

– To szabla Marahów. Jest bardzo podobna do tej, którą sam kiedyś miałem.

Mena ujęła rękojeść i wyciągnęła klingę z pochwy. Dźwięk, jaki temu towarzyszył, głośno rozbrzmiał w cichym składziku; kiedy naga klinga rozcięła powietrze, zgrzyt przeszedł w melodyjny świst.

Melio się cofnął.

- Sądziłem, że twoim przeznaczeniem jest bycie Maeben – powiedział.
- Dlaczego się przede mną cofasz? Przybyłeś tu i mnie odnalazłeś, nie pamiętasz?
- Oczywiście, ale...
- Być może nie jestem taka, jak się spodziewałeś, a teraz zaskoczyła cię moja prośba.

Lecz co z tego? Życie już nieraz cię zaskakiwało.

Na to nie miał gotowej odpowiedzi.

- Kapłani...
- Oni nie mają z tym nic wspólnego.

Zmarszczone brwi Melia świadczyły o oczywistym braku logiki w tym stwierdzeniu. Zanim zdołał to ubrać w słowa, Mena podjęła temat:

– O kapłanów ja będę się martwić. Oni cię nic nie obchodzą. Masz jeszcze jakieś wymówki?

Melio sprawiał wrażenie zbitego z pantofelki; nie potrafił się wycofać, ale i nie wiedział, co robić dalej. Obejrzał się na drzwi, przez które weszli do składziku, jakby mógł wrócić po własnych śladach na pewniejszy grunt, na którym jeszcze tak niedawno stał. Mena, już zniecierpliwiona, zapytała go, jaka jest pierwsza forma. Odparł, że Edifus pod Carni. Czy to forma szabli? Tak, oczywiście. Większość form to formy szabli.

- Pokaż mi – powiedziała Mena, bez ostrzeżenia rzucając mu pochwę.

Chwycił ją dość zręcznie. Chwilę później wyszła na środek pomieszczenia z szablą w dłoni. Kopnęła kilka skrzynek, robiąc miejsce. Przychodziła tu czasami, wyjmowała szablę i machała nią w powietrzu. W ciągu tych wszystkich lat robiła to wiele razy. Było to coś więcej niż próba jej rosnącej siły, a przynajmniej tak sądziła. Wydawało się, że jakaś część jej jestestwa czuje potrzebę dotknięcia tej broni, przypomnienia sobie, że nie zapomniała jej całkowicie. Ponieważ często trzymała szablę, dobrze wiedziała, jak najlepiej ułożyć ją w dłoni. Postanowiła jednak trzymać ją niezdarnie, z palcem zakrzywionym nad jelicem i przechylonym nadgarstkiem, jakby klinga była dla niej za ciężka. Jej czubek nakreślił krótką, poszarpaną linię na twardym klepisku.

Nie był to przyjemny widok dla szermierza. Melio nie mógł się powstrzymać, by, zgodnie z jej przewidywaniami, nie poprawić jej chwytu. To oczywiście był tylko początek. Nauczył ją, jak ustawić stopy, zademonstrował prawidłową postawę. Nazwał poszczególne części szabli i wyjaśnił ich funkcje. W ciągu zaledwie kilku minut pozbył się sporej części rezerwy.

Wyjaśnił Menie, że Edifus osobiście walczył z mistrzem Gaqua, plemienia kontrolującego Prześwit Gradthicki, czyli drogę prowadzącą przez góry między Aushenią i

Płaskowyżem Mein. To, jak doszło do pojedynku, ginęło w mroku historii, lecz sama walka została opisana w najdrobniejszych szczegółach. Melio nigdy nie uczył tych ruchów kogoś, kto nie znał nawet podstaw, lecz po kilku próbach udało mu się wejść w rolę Gaquanina. Chwytał pochwę, tak jakby to była szabla, i wykonał serię cięć i zasłon z czterokrotnie mniejszą szybkością. Mena szybko nauczyła się przewidywać jego ruchy i mu to pokazała.

Wbrew samemu sobie Melio przekonał się do podjętego zadania. Najwyraźniej zapomniał o wcześniejszej niechęci, drobnej postaci uczennicy i dziwnym, mrocznym pomieszczeniu. Jego usta formowały słowa, które umysł przyjmował z ochotą; wibrował w rytm powracających, długo zaniedbywanych umiejętności. Ilekroć zatrzymywał się lub wahał, Mena dopóty świdrowała go wzrokiem, dopóki nie wrócił do ćwiczenia. Jeśli krępował go widok jej nagich piersi, doskonale to ukrywał. Nim minął ranek, Mena przećwiczyła całą sekwencję i znała jej początkowe części na pamięć.

W końcu znieruchomieli za obopólną, milczącą zgodą, błyszczący od potu. Przez chwilę stali, chwytając oddech. Melio otarł dłonią czoło, lecz kropelki wilgoci natychmiast pojawiły się na nowo. Gdy przerwali trening, na jego twarzy rozlał się wyraz zmieszania. Zerknął na pochwę ścisną w dłoni i machnął nią na boki, jakby nie bardzo wiedział, skąd się tam wzięła.

– Ile czasu upłynie, zanim wezwie nas mój brat? – zapytała Mena.

– Myślałem, że nie wierzysz, że kiedykolwiek do tego dojdzie.

– Nie wierzę, ale ile czasu upłynie do wezwania, w które ty wierzysz?

– Jeśli nastąpi, jak mi mówiono, to zaczniesz cię szukać jeszcze tej wiosny, a w lecie zwoła armie. Mówi o tym wielu z nas. Kiedy roześle wieści, usłyszę o nich poprzez znajomych wśród wędrownych kupców.

– A zatem kilka miesięcy. Mało czasu. Jak sądzisz, jak dobrym szermierzem mogę zostać w ciągu kilku miesięcy?

Melio nie mógł ukryć skonsternowanej miny. Nawet nie usiłował tego robić, nie odpowiedział też na pytanie. Powiedział za to:

– Powinniśmy natrzeć klingę oliwą. Rdza to zbrodnia. Powinniśmy także zrobić sobie szable ćwiczebne. Zapewne na wzgórzach jest dobre drewno...

ROZDZIAŁ 44

Maeander od dzieciństwa wiedział, że jego talenty różnią się od tych, które otrzymał jego brat. Hanish miał bystry umysł, encyklopedyczną pamięć, zdolność jednoczesnego zajmowania się wielkimi planami i drobnymi szczegółami, umiejętność wzbudzania masowego uwielbienia oraz doskonale zrozumienie tego, jak manipulować mitami na swoją korzyść; wszystko to było użyteczne, lecz to Maeander nosił w sobie namacalny, pulsujący gniew ich ludu. Jego chłodne zachowanie, uśmiech i leniwe spojrzenie skrywały stale kipiącą w nim agresję.

Kiedy stał przed jakimś człowiekiem, zawsze zastanawiał się, jak mógłby go zabić w kilka sekund za pomocą broni czy też bez niej. Kiedy inni uśmiechali się, paplali i wypowiadali uwagi na temat jego wyglądu albo pogody, Maeander wyobrażał sobie, z jaką siłą musiałyby wbić klin sztywnych palców w szyję danego człowieka, by chwycić i wydrzeć tętnicę dostarczającą krew do jego głowy. Ciągłe wyobrażał sobie takie rzeczy, a niepokój, jakim jego spojrzenie napełniało innych, wręcz go bawił.

Maeander wiedział, że to on, a nie jego brat najpełniej ucieleśnia gniew Tunishnevre. Powiedzieli mu to sami przodkowie. I dali mu do zrozumienia, że zaczyna zyskiwać ich przychylność; wystarczy, by na nią zaczekał, trwał w wierności i był gotów. Dlatego przez te wszystkie lata przygotowywał Larkena. Akacjanin był lepszym zabójcą od niejednego Meina i kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będzie idealnym sojusznikiem.

Wysyłając Maeandera na poszukiwanie Akaranów, Hanish wyznaczył mu zadanie drugorzędne w stosunku do powierzonego Haleevenowi. Jednak Maeander był przekonany, że w ostatecznym rozrachunku to ono okaże się najważniejsze. Tunishnevre potrzebowali akarańskiej krwi. Nic nie zaspokoiłoby ich potrzeb lepiej niż życiodajny płyn wyciekający z żył dzieci Leodana Akarana, bezpośrednich potomków samego Tinhadina. Corinn mogła wystarczyć jako ostatnia deska ratunku; lecz jeśli pozostali żyją, to Tunishnevre będą pragnęli i potrzebowali także ich krwi. Pomyśleć, jak zostanie wynagrodzona ręka, która dostarczy tę ambrozię! Po uwolnieniu od klątwy przodkowie obsypią łaskami tych, którzy do tego doprowadzili. Dlaczego nie miałyby być najważniejszą spośród tych osób? Dlaczego gniew przodków nie miałyby żyć w nim jako namacalna, fizyczna obecność, która potrafi zmienić świat o wiele bardziej, niż śniło się to Hanishowi?

Maeander wyruszył na swoje polowanie z takim samym zapalem, jaki okazywał w walce. Zebrał wokół siebie watahę najbardziej zaufanych starych i młodych zabójców, ludzi odpornych na własne zmęczenie i cudze cierpienie. Poprowadził ich, niecierpliwych i wściekłych, tropem mającym dziewięć lat. Popłynął w górę rzeki Ask; zszedł na brzeg poniżej Topieli i ruszył na wschód przez szerokolistny las graniczący z Methaliańską Krawędzią. Nie przywiodły go tam żadne szczególne wskazówki, lecz duża część tutejszej ludności pozostała lojalna wobec nieżyjącego akarańskiego króla. Maeander szukał pośród tych ludzi, rozpytując, karząc ich, paląc wioski, a rozzłoszczony arogancją młodych mężczyzn, przybijał ich do drzew za dłonie i stopy i szpikował strzałami. Kilka osób z językami rozwiązanymi strachem bełkotało jakieś głupstwa, lecz Maeander się na tym znał i wziął zapłatę za stracony czas w sposób, którego nikt w lesie szybko nie zapomniał.

Kiedy objeżdżał góry oddzielające Aushenię od Płaskowyżu Mein, mimo wszystkich wysiłków nie wiedział ani trochę więcej. Polubił jednak to zajęcie. Od dawna wyznawał pogląd, że przerażenie i ból ofiary są wprost proporcjonalne do przyjemności, jaką czuł jako dręczyciel, więc nie próbował się powstrzymywać. Wiedział, że nie o to prosił go Hanish, lecz swoją misję mógł wykonywać tak, jak uważał za stosowne.

W Ausheni, pośród falujących przestrzeni pól i lasów, miast i miasteczek, dalej szukał na oślep. Oficjalnie prowincja pozostawała w rękach Numreków, lecz opuściło ją tyłu z nich, przenosząc się na talayskie wybrzeże, że powróciła do stanu półautonomii. Maeander uważał, że Numrekowie sprawiają więcej kłopotów, niż kiedykolwiek byli tego warci. Trudno było ciągle usprawiedliwiać charakter swoich „przyjaciół”. Dziwiło go też, że ziemie podbite ledwie przed paru laty nie chciały się pogodzić z nowym porządkiem świata. Aushenijska hardość pieniała się we wszystkich zakątkach kraju. I, co więcej, krążyły pogłoski, że w północnych lasach ukrywają się grupki akacjańskich wygnańców, ludzi prowadzących wędrowny tryb życia i nie chcących przyjąć do wiadomości nowego porządku. Ludzie Maeandera wkroczyli do Aushenii jak wilki między nieprzeliczone stada owiec, szukając wśród tego całego runa śladów akacjańskiego złota.

Jednak jego strategia nie ograniczała się do zastraszania. Maeander kusił ludzi także nagrodami za właściwe zachowanie, aby ich utemperować, rozluźnić więzy lojalności oraz udowodnić, że wszystko ma swoją cenę. Niczego nie da się kupić taniej niż honoru. Krótko mówiąc, rozpuścił wiadomość, że dobrze zapłaci za użyteczne informacje. Powiedział: „Ten, kto da mi któregoś z Akaranów, zdobędzie bogactwo, jakiego sobie nie wyobraża, a także wieczną lojalność Meinów. Otrzyma tysiąc złotych monet, wyspę, miasto lub pałac oraz sto kurtyzan wybranej narodowości. Zastanówcie się nad tym. Rozważcie to i mądrze działajcie”.

Wiadomość ta rozeszła się zgodnie z przewidywaniem i przez dwa tygodnie Maeander podążał najbardziej wiarygodnymi tropami. Jego ludzie rozlali się po kraju we wszystkich kierunkach niczym rtęć, chwytając przywódców podejrzanych miasteczek, przesłuchując, grożąc, przypochlebiając się. On sam urządził zasadzkę przy głównej drodze biegnącej od Wzgórza Aushenguk na północ, ponieważ – jak mu powiedziano – miała nią uciekać grupa akacjańskich rebeliantów z zapasami broni i pieniędzy dla planowanego powstania. Nie znaleziono żadnych podejrzanych przedmiotów ani osób. Maeander zaatakował z zaskoczenia pewną wioskę i spalił po kolei wszystkie chaty, ponieważ przysięgano mu, że przebywa tam jakiś Akacjanin królewskiej krwi. Ponownie nie znaleziono nikogo takiego. A któregoś wieczoru rozkazał swoim ludziom wdrzeć się do podziemnego domostwa, gdzie podobno mieszkał sam Aliver Akaran. W środku odkryli tak plugawą jaskinię numreckiej rozpusty, że nawet Maeanderowi śniła się ona potem po nocach.

Pod koniec miesiąca spędzonego w Aushenii zbrzydła mu w końcu własna strategia. Pomysł na wydobycie informacji z miejscowej ludności okazał się chybiony. Niektórzy ze zgłaszających się mieli błędne informacje; inni, powodowani chciwością, wymyślali historie niepoparte żadnymi dowodami. Wielu opierało swe twierdzenia na niesprawdzonych plotkach, a niektórzy byli beczelnymi kłamcami. W oczach paru, jak się Maeanderowi zdawało, dojrzał skrywaną wesołość. To złościło go najbardziej. Ci mieszkańcy bagien sądzili, że mogą zrobić z niego durnia!

Kiedy w końcu do Maeandera dotarła prawdziwa informacja, nie był to trop, jakiego by się spodziewał. Zgłosiła się służąca byłego strażnika Marahów, która przysięgała, że jej pan coś wie o zaginionej córce Akarana, Menie. Maeander zagroził, że jeśli kłamie, to przepchnie jej przez pępek włócznię z grotem rozżarzoną do czerwoności, tak że upiecze się od środka. Dziewczyna pobladła i zadrzała, lecz trzymała się swojej historii.

Marah, u którego służyła, dawno już nie był żołnierzem. Z jakiegoś powodu postanowił osiąść w niewielkim gospodarstwie wciśniętym między dwa skalne grzbiety. Maeander pojawił się tam z całym oddziałem, z tętentem końskich kopyt i podzwanianiem broni. Mężczyznę znaleźli na polu, stojącego obok samotnego konia; patrzył na nich tak, jak stary człowiek na wysłanników śmierci. W milczeniu wysłuchał wyjaśnień, dlaczego do niego przyjechali; nie spojrzął na dziewczynę ani nie okazał żadnych uczuć. Pokazał tylko ręką na swoją chatę.

W ciasnym, wilgotnym wnętrzu mężczyzna usiadł, ale Maeander wolał chodzić tam i z powrotem. Owszem, miał ciało wojownika, chociaż zniszczone pracą na roli. Dłonie o cienkich palcach położył na kolanach i, patrząc na Maeandera wylupiastymi,

zaczerwienionymi oczyma palacza mgły, zapytał, czy może zapalić fajkę. Maeander skinął głową.

Mężczyzna ani nie rwał się do rozmowy, ani nie okazywał nieufności. Sprawiał wrażenie, że trzymał informację w tajemnicy tak długo, że zaczęła stanowić jego część, a zarazem chętnie by się jej pozbył. Powoli, lecz zwięźle i szczerze odpowiadał na kolejne pytania. Był jednym ze strażników, którzy po zamachu na króla przewieźli Akaranów na Kidnaban. Nie był zbyt blisko królewskiej rodziny. Obserwował wszystko z odległości. Interesował się głównie jednym z Marahów, oficerem, którego od dawna nienawidził i na którym chciał się zemścić. Śledząc go, odkrył, że dzieci są wysyłane do kryjówek. Ten człowiek, jego wróg, został opiekunem Meny Akaran. Podążył za nim, opuszczając posterunek. Zobaczył, jak odpływa z wyspy na pokładzie słupa i ścigał go do pewnego portowego miasta na talayskim wybrzeżu. Widział, jak żołnierz i jego podopieczna wsiadają na inny statek, załadowany zapasami, i odpływają. Popłynął za nimi dalej. Dogonił ich dopiero na otwartym oceanie daleko za Morzem Wewnętrznym. Tam zabił swego wroga.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Mężczyzna wydmuchnął kątem ust chmurę mgły.

– Wyśmiewał się z mego ojca, panie.

– Wyśmiewał się z twego ojca?

Mężczyzna skinął głową.

– A więc wyśmiewał się z twego ojca. W jaki sposób? – zapytał Maeander.

– Ojciec pochodził z wioski leżącej u podnóża gór w północnym Senivalu. Mówił z akcentem, który ten Marah, urodzony w Talay, uważał za śmieszny. Tak powiedział.

Maeander uniósł brwi i wydał zabawnie usta.

– To wszystko? Drwił z twojego ojca, że twardo wymawia „g”? Za to go zabiłeś?

– Zrobił też coś jeszcze. Miałem siostrę...

– A! Siostra – docieramy do sedna.

Żołnierz spojrzał z ukosa na Maeandera.

– To nie tak jak myślisz, panie. Ona była małą dziewczynką. Grubą dziewczynką. Zawsze była za gruba, nawet jako niemowlę. Pewnego dnia, kiedy sam byłem jeszcze chłopcem, szliśmy ulicą i ten Marah coś do niej zawołał. Chrząkał jak świnia i robił sprośne gesty. Nie powinna tego słyszeć ani widzieć. Nie mogłem zapomnieć czegoś takiego. Całymi latami z tym żyłem, nie tykając go. Uważałem, że jest poza moim zasięgiem, lecz powoli nabrałem odwagi. Nienawiść do niego uczyniła ze mnie wojownika. A potem wojna, którą na nas sprowadziliście, wszystko zmieniła, otworzyła nowe możliwości. Chciałem, żeby umarł, i

doprowadziłem do tego.

Maeander napotkał wzrok kilku ze swoich ludzi; widział, że ledwie panują nad wesołością i że jeśli tylko na to pozwoli, wybuchną śmiechem. Postanowił nie pozwolić. Próbował wyobrazić sobie tego spracowanego mężczyznę jako wątlęgo chłopca, trzęsącego się z gniewu, którego nie miał odwagi uwolnić. Nie bardzo mu to wychodziło, lecz przekonał się już, że ludzie rzadko zachowują się w zrozumiały dla niego sposób. To pewne, że wojny wybuchały czasem z błaższych powodów...

– A zatem miałeś powód, by zabić tego człowieka. A co z królowną?

– Nie skrzywdziłem jej ani nie pomogłem.

– Zostawiłeś ją żywą?

Mężczyzna skinął głową, lecz ruch ten spowolniła mgła.

Maeander gestem nakazał jednemu ze swoich ludzi odebrać mu fajkę.

– Mam uwierzyć, że o losie królowny Meny Akaran zadecydowała obelga rzucona pod adresem grubej dziewczynki przez pewnego młodzieńca, obelga, którą pamiętasz tylko ty?

– Możesz wierzyć, w co chcesz, panie. Prawda pozostanie prawdą.

Maeander przysunął do starego Maraha stółek i uśmiechnął się, jak przyjaciel, który przyszedł na piwo.

– A więc powiedz mi o tym coś więcej – powiedział. – Kiedy ostatni raz widziałeś królownę?

ROZDZIAŁ 45

Im dłużej Aliver przebywał wśród Santoth, tym lepiej się wśród nich czuł. Mieli swoje niezwykle dziwactwa, przesuwali się jak widma, zostawiając za sobą ślad i zawsze go zaskakiwali. Poruszali się z taką prędkością, że nie umiał powiedzieć, w jaki sposób przemieszczali się z miejsca na miejsce. Nie mógł się też przyzwyczaić do nagłych zmian wyrazu ich twarzy. Lecz musiał przyznać, że czarnoksiężnicy otoczyli go serdecznością. Byli niczym nowo poznani krewni, o wiele ważniejsi, niż mógł to sobie uzmysłwić.

Ich zatarte rysy stały mu się znajome. Czasami, patrząc na któregoś z nich, zatapiał się w kontemplacji wizerunku bardzo go przypominającego, jakby istota znajdująca się przed nim była żywym lustrem, jego namacalnym i jednocześnie niematerialnym odbiciem, wiernym, a zarazem odmiennym na wiele sposobów, które należało zbadać. Od czasu, kiedy podczas pierwszego spotkania usłyszał swój potworny głos, nie wypowiedział ani jednego słowa ani nie posługiwał się słuchem. Ich głosy były pozbawione fizycznego wymiaru, lecz przez to stawały się bardzo intymne. Docierały do niego swobodnie i Aliver nabrał wprawy w tym sposobie komunikowania się. Było to łatwiejsze niż zwykła rozmowa.

Wyczuł, że w wirze rozmowy Santoth odkrywają fragmenty jego świadomości. Wybierali elementy wspomnień oraz informacji, zmagazynowane w zakamarkach jego umysłu i od dawna zapomniane. Uwalniając je, do pewnego stopnia znów je przeżywał. Znów uczestniczył w wydarzeniach z dzieciństwa. Widział obrazy, o których nie śnił od lat, słyszał opowieści snute głosem ojca i matczyne kołysanki. Znów odczuwał całkowity spokój znajdujący w jej ramionach, kiedy twarz miękko pieścił mu jej oddech. Pamiętał też rzeczy mniej przyjemne.

Santoth przejawiali nienasyconą ciekawość wszystkiego co widział i czego doświadczył, jego rozumienia historii oraz wydarzeń z najbliższej – dla nich – przeszłości. Czuł, jak oszołomiła ich wiadomość, że Tinhadin pozwolił sobie na śmierć po przeżyciu tylu lat, co zwykły człowiek. To nie był czarnoksiężnik, którego znali, ambitny mężczyzna, który rozpościerał ramiona w nadziei objęcia nimi całego świata. Trudno im także było przyjąć fakt, że jego potomkowie nic nie wiedzą o języku Dawcy. Jak mogli nic nie wiedzieć o „Pieśni Eleneta”? Jak taka wiedza mogła zaginać? Aliver wyczuł przerażenie pulsujące pod tymi wszystkimi pytaniami i że Santoth nie całkiem w to wierzą. Mimo że wiekowi i mądrzy, jak

wszystkie istoty byli przywiązani do życia. Nie wiedzieli, co przyszłość ma dla nich w zanadru, i bali się, jak każdy człowiek niepewny swego losu.

Jednakże dawali Aliverowi więcej, niż od niego brali. Może i nic nie wiedzieli na temat wydarzeń rozgrywających się na świecie przez ostatnie kilkaset lat, lecz dysponowali encyklopedyczną wiedzą o odległych czasach, które ich ukształtowały, oraz o wszystkim, co było wcześniej. Karmili Alivera historią i legendami. Opisali Karę w sposób, który całkowicie zmienił jego rozumienie początków własnej dynastii. Mówili o Edifusie, Tinhadinie i Hauchmeinishu, jakby się z nimi rozstali zaledwie poprzedniego dnia. Mówili o bitwach i pojedynkach niezachowanych w formach. Karmili go wiedzą.

Niewiele z tego, czego się dowiedział o poczynaniach ludzi, zaczynało się albo kończyło szlachetnymi ideałami czy szatańską niegodziwością, kryjącymi się, jak go uczono, za wszystkimi wielkimi wydarzeniami. Było w tym coś pocieszającego. Chociaż raz natura świata i zbrodnie popełnione przez ludzi podczas jego kształtowania były dla Alivera całkowicie zrozumiałe. Uświadomił sobie, że wydarzenia można zrozumieć tylko bez ich oceniania i bez chęci kształtowania ich tak, by tworzyły pewne znaczenia. Santoth po prostu go informowali i najwyraźniej nie mieli własnego zdania na temat zbrodni i cierpień, jakie opisywali.

Najczęściej komunikował się ze zbiorową świadomością, do której swobodnie wpływały i z której wypływały pojedyncze głosy. Czasami okazywało się, że obok siedzi Santoth, który przemówił do niego jako pierwszy. Miał na imię Nualo, chociaż w jego obecnej egzystencji nie istniała potrzeba wyróżniania go imieniem. Jeśli jakaś myśl była przeznaczona dla niego, po prostu o tym wiedział; podobnie jeżeli jakaś myśl pochodziła od Nualo, Aliver poznawał to po jej rytmie, kształcie i nastroju.

W pewnym momencie – Aliver nie umiałby określić, czy była wtedy noc, czy dzień, czy od jego przybycia na dalekie południe minął tydzień czy rok – Nualo powiedział, że właśnie odkrył skazę w jego koncepcji świata. Dotyczyła ona opowieści o Basharze i Cashenie.

Znało ją każde akacjańskie dziecko, opowiadała o dwóch królewskich braciach, którzy nie podzielili się równo władzą i zostali wielkimi wrogami. Walczyli ze sobą w górach; czasami, podczas gwałtownych burz, ich gniew rozpalał się na nowo i dawało się słyszeć dudnienie toczącej się walki. Nualo powiedział, że opowieść ta skrywa prawdę, którą Aliver powinien poznać.

Nie było żadnego Bashara, powiedział. Ani Cashena.

Były za to dwa ludy: jeden nazywał się Basharu, a drugi Cularashen. W odległej

przeszłości stanowiły dwa odłamy Talayan. Żyły tak dawno temu, że nie można policzyć lat, które upłynęły. Wywodziły się od wspólnych przodków, lecz rozwijały osobno i ich przedstawiciele uważali się za całkowicie odmienne istoty. Jako że oba narody żyły w coraz większym dobrobycie i stawały się coraz liczniejsze, nauczyły się, co to duma. Basharu uważali się za ukochane dzieci Dawcy. Cularashenowie nazywali to herezją; to oni byli jego ukochanymi dziećmi. Oba narody znajdowały rozmaite dowody na prawdziwość swych słów: w błogosławieństwach, jakimi obsypywał je Dawca, w obfitości plonów w danym roku, w chorobie nękającej rywali, w słońcu ogrzewającym pola, w powodziach niszczących uprawy tych drugich. Każdy rok – a właściwie każdy miesiąc, dzień i godzina – potwierdzał i podważał ich przekonania.

W końcu oba narody uzgodniły, że wystąpią do Dawcy z prośbą. Poprzez modlitwy, ofiary i uroczystości poprosiły go o wyjawienie, kogo woli. Chciały, by wybrał jeden naród, by wszyscy ujrzeni i zrozumieni, kogo darzy większą przychylnością. Dawca im jednak nie odpowiedział. A w każdym razie nie za pomocą znaku, który mogłyby zaakceptować obie strony. Tak więc wszczęły walkę, by ostatecznie rozsądzić sprawę.

Była to pierwsza wojna między ludzkimi narodami, i to podczas niej ludzie nauczyli się wszystkich podłości, jakich mieli kiedykolwiek potrzebować do walki. W końcu przewagę zyskali Basharu. Cularashenowie uciekli z Talay. Popłynęli na wyspę leżącą pośrodku tego, co dla nich było rozległym morzem. Zabrali ze sobą wiele rzeczy, a wśród nich nasiona akacji. Rozsiali je po całej wyspie, by mogli się na niej czuć jak u siebie w domu. Odtąd już zawsze tam mieszkali.

Ta nazwa, Cularashen, powiedział Nualo, została zapomniana. Podobnie jak Basharu. Lecz ten lud – pokonani Cularashenowie – to lud, który ty nazywasz Akacjanami. Jesteś, królewiczu, jednym z nich.

Jak to możliwe?, zapytał Aliver. Tak bardzo się różnimy od mieszkańców Talay. Pod tyloma względami...

Miał na myśli cechy fizyczne – kolor skóry, rysy twarzy, budowę ciała. Lecz nie wysłał tej myśli. Coś sprawiło, że utknęła w miejscu, jak najeżona haczykami.

Nualo zrozumiał go jednak. Powiedział, że Dawca rozgniewał się na głupotę ludu. Nienawidził wojny i nikczemności, która skaziła jego ukochane dzieło. Skoro ludzie uważają, że tak się od siebie różnią, uczynił te różnice jeszcze większymi. Kazał ludziom mówić różnymi językami, żeby słowa jednego narodu stanowiły w uszach innego niezrozumiały bełkot. Jednych usmażył w słońcu, a innym pozwolił się skurczyć i zblednąć na zimnie. Nosy rozciągał albo spłaszczał, jednych czynił wysokimi, a innych niskimi, oczy osadzał głęboko

albo podnosił ich kąciki, włosy skręcał w kędziory albo pozwalał im luźno zwisać. Dawca wystawił ludzi na próbę, dzięki której mieli przejrzeć na oczy. Lecz zawiódł się. W niedługim czasie ludzie zaczęli akceptować to, że są różni, a potem niezgoda między nimi stała się normą. To, wraz ze zdradą Eleneta, sprawiło, że Dawca z niesmakiem odwrócił się od świata. Od tej pory nie miał z nim nic wspólnego.

Wszystkie rasy są jednością?, zapytał Aliver.

Wszystkie rasy Znanego Świata są jednością, odparł Nualo. *Zapomnienie o tym było drugą zbrodnią popełnioną przez ludzi. Wciąż za to cierpimy.*

Zanim ta nowa wersja świata stała się dla niego rzeczywista, Aliver przez jakiś czas oswajał się z nią. Duma nie pozwalała mu przyznać, że Akacjanie mogą być pokonanym, wypartym plemieniem z Talay. Całe życie spędził, przyjmując wyższość Akacji za pewnik. Owszem, w ciągu ostatnich dziewięciu lat z trudem pokonywał swoich talayskich rówieśników w rozmaitych zawodach, lecz uznał, że wina leży po jego stronie. To on nie spełniał wymagań. Zmuszał się do cięższej pracy, nabierał kondycji, walczył jak wojownik i zabił laryksa, by udowodnić swą wartość.

Był tak przekonany o własnych brakach, że przez całe życie starał się je ukrywać. Nic nie zachwiało jego pewności, że zewnętrzne różnice między ludźmi odzwierciedlają różnice wewnętrzne. Nualo i pozostali Santoth usunęli mu spod nóg ten pewnik i zostawili go dryfującego po morzu całkowicie niewyobrażalnych możliwości. Z powodów, z których nie w pełni zdawał sobie sprawę, trapiło go to bardziej niż pozostałe rewelacje Santoth.

Wydawało mu się, że przeżył z nimi wieczność, zanim sprowokowali rozmowę o jego misji. Zebrali się wokół niego wieloma kręgami kamiennych twarzy, co bardzo przypominało jego pierwszą audiencję. Aliver w końcu zrozumiał, że mają w tym jakiś cel. Przyjęli go. Czekali. Uczyli się od niego i dzielili się z nim swoją wiedzą. Teraz czegoś chcieli.

Srowadź nas z powrotem na świat, powiedzieli tym szczególnym zbiorowym głosem. *Uwolnij nas.*

Zapewnili go, że tylko on może to uczynić. Tylko on z tego pokolenia – to znaczy pierworodny syn z męskiej linii Tinhadina – może zdjąć klątwę utrzymującą ich z dala od świata. Tak zdecydował Tinhadin. Była to silna magia, lecz sam Elenet ustanowił zasadę, że musi być wyjście z każdego zaklęcia. Wiedział, że, mówiąc w języku Dawcy, ludzie zawsze popełniają błędy. Skaza mogła nie ujawnić się od razu, konsekwencje mogły narastać przez setki lat, lecz niedociągnięcia w końcu wychodziły na jaw. Tinhadin nie miał wyboru i musiał przestrzegać zasad, nawet wyrzucając innych czarnoksiężników z bractwa.

Nie ma takiego zaklęcia, powiedzieli Santoth, *którego nie dałoby się cofnąć. Zawsze*

istnieją tylne drzwi, które nigdy nie są zamknięte. Ty jesteś tymi drzwiami i wystarczy że wypowiesz odpowiednie słowa.

Jakie słowa?, zapytał Aliver.

Lecz Santoth nie umieli na to odpowiedzieć. Tylko on mógł się ich domyślić. Nie mogli go nauczyć, ponieważ ich boska mowa była tak zniekształcona przez czas, że to, co wypowiadali, nie brzmiało tak, jak powinno.

Nie znam języka Dawcy, rzekł Aliver nie po raz pierwszy. *Nigdy nie słyszałem o księdze Eleneta, zanim mi o niej nie powiedzieliście. Nikt mnie nie nauczył ani jednego słowa w języku tworzenia. Przykro mi, ale nie potrafię wam pomóc.*

Nie ukrywali rozczarowania.

Dlaczego zatem nas odszukałeś? Dlaczego zbudziłeś nas z drzemki?

Właśnie, dlaczego? Niemal zapomniał, jakie wydarzenia go tu sprowadziły. Z pewnym wysiłkiem wrócił myślami do celu swej misji. Kiedy jednak tylko spróbował, wszystko sobie przypomniał. Przybył w poszukiwaniu czarnoksiężników, przejęty znaczeniem misji, która ciążyła mu niczym kara. Świat ludzi – z których wielu kochał – jest uwikłany w tytaniczne zmagania. Przybył w poszukiwaniu pomocy, a nie schronienia, nie domu wśród wygnanych, nie po to, by zapomnieć o świecie. Przybył zapytać Santoth, co mogą uczynić dla uratowania jego rodziny oraz świata, z którego ich wygnano.

Przekazał to wszystko czarnoksiężnikom. Jego myśli rozwijały się w powietrzu, krążyły i owijały się wokół nich w milczącej, płynnej rozmowie, która teraz wydawała się tak naturalna.

Prosisz nas o coś, czego nie możemy uczynić, powiedzieli. *Moglibyśmy pomóc ci stąd, lecz istnieją pewne ograniczenia.*

Z waszymi mocami moglibyście wiele zdziałać. Jestem tego pewien. Daję wam pozwolenie na opuszczenie tego miejsca i powrót do świata.

Zastanawiali się nad tym przez jakiś czas. Przyznali, że dobrze byłoby się wypuścić na północ. Lecz bez uwolnienia od klątwy Tinhadina nigdy nie będą funkcjonowali jak normalni ludzie. Byliby tylko duchami nawiedzającymi świat, a nie jego częścią. Co więcej, nie mogliby mu pomóc tak, jak na to liczy.

Ty pragniesz rozpętać wojnę.

Teraz to Aliver się zawahał. Wyrazili to tak prosto. Lecz była to prawda – a przynajmniej po części. Teraz, skoro wszystko sobie przypomniał, stało się jasne, że całe jego życie prowadziło do wojny. Straszliwej wojny. Pożogi, która go wyzwoli lub zniszczy. Nie miał wyboru – musiał odegrać w niej swoją rolę. Wkrótce będzie musiał powrócić do świata

i...

Tak, chcę wypowiedzieć wojnę moim wrogom.

Niemal dodał „szlachetną”, „sprawiedliwą” albo „słuszną”, bo przecież taką wojnę pragnął prowadzić. Obracał te słowa w myślach, lecz ich nie wysłał. Wiedział, co Santoth pomyślał o takich pojęciach.

Możesz nas zaprosić z powrotem do świata, odpowiedzieli, lecz będziemy niematerialni.

A jeśli zostaniecie uwolnieni?, zapytał Aliver. Gdybym odnalazł księgę Eleneta... Gdybym się dowiedział, jak was uwolnić... Czy wtedy moglibyście walczyć dla mnie?

Zadał te pytania i siedział z bijącym sercem, obserwując niewyraźne twarze wokół siebie, czując powagę, z jaką czarnoksiężnicy zastanawiają się nad odpowiedzią. Po raz pierwszy od przybycia do tego miejsca czuł upływ czasu. Coś się zmieniło. Świat zaczął się o niego upominać i uzyskanie odpowiedzi na zadane pytania wydało mu się bardzo pilne.

Chcielibyście dla mnie walczyć?

Jeśli nas uwolnisz, będziemy dla ciebie walczyć, odpowiedzieli w końcu Santoth z szybkością zdradzającą emocje, nad którymi dotąd panowali. Uczyni z nas na powrót prawdziwych czarnoksiężników, królewiczu, a my oczyścimy dla ciebie świat, byś mógł go urządzić na nowo wedle swej woli.

ROZDZIAŁ 46

Szprotek się obudził. Miał otwarte oczy. Sen już go nie męczył. Nie był prawdziwy. Usiłował zdusić strach, który z taką siłą wyrwał go z drzemki, lecz nie było to łatwe. Światło lampy wiszącej u rozklekotanych drzwi do jego chaty wcale nie rozpraszało zagrożenia płynącego ze ścian. W trójnogim stołku, na który rzucił kamizelkę, czaiło się niebezpieczeństwo, a na wpuł pusta butelka wina stojąca na ściennej półeczce kryła w sobie groźbę. Z zewnątrz dochodził chrapliwy oddech oceanu. Szprotek wiedział, że w tych przedmiotach czy dźwiękach nie ma niczego strasznego. W pewnym sensie nie było niczego strasznego nawet w jego śnie; niczego, co by dorównywało niebezpieczeństwom, jakim z własnej woli stawiał czoło w codziennym życiu. Wiedza ta jednak nie pomogła mu w przetrwaniu chwil między snem a świadomością.

Koszmar, przed którym uciekł, stanowił kolejną wariację na temat wizji, które nękały go od czasu, kiedy na Wyspy Zewnętrzne przybył Leeka Alain, upierając się przy jego na wpuł zapomnianym imieniu. Każdy sen zaczynał się od uświadomienia sobie własnej małości. Był drobnutkim dzieckiem o patykowatych nogach i chudych rękach. Świat oglądał z połowy swojej obecnej wysokości. Wiedział, że jest celem, na który poluje bezimienna, bezkształtna istota. Jeśli go znajdzie, stanie się coś strasznego. Nie wiedział, co, lecz nie mógł na to czekać beczynnie. Krążył podziemnymi korytarzami ciemnego i absurdalnie skomplikowanego labiryntu. Świat istniał tylko przed nim, a on istniał tylko dzięki poruszaniu się do przodu. Za nim wszystko znikало. Przebiegał przez skrzyżowania, bojąc się tego, co dalej znajdzie. Z kamiennych ścian wyciągały ku niemu szpony, dzioby i rogate głowy dziwne stworzenia, uchwycone w konwulsjach wściekłości. Z jaką łatwością każde z nich rozszarpałoby go na kawałki; jakie to przerażające, że wszystkie tak uparcie udawały, że są tylko skałą. Jeśli słuchał wystarczająco uważnie, słyszał ich stłumione oddechy.

Mimo że korytarze różniły się między sobą i nigdy dwa razy nie szedł tą samą trasą, zawsze docierał w to samo miejsce. Wchodził do jasno oświetlonego pomieszczenia. Było pełne ludzi, śmiechu i muzyki; podzwanianie szkła brzmiało niemal jak spadające kropelki wody. W jego stronę zwracało się sto uśmiechniętych twarzy. Ludzie ci zebrali się dla niego. To były jego urodziny. To tego cały czas szukał! Obchodów swoich dziesiątych urodzin. Wszyscy tłoczyli się blisko niego, nazywając tym samym imieniem, co Leeka. Właściwie to

imię było jedynym wymawianym przez nich słowem. Wymawiali je z niezliczonymi rodzajami intonacji, powiązane w zdania, wznoszące się jak pytania, energiczne jak oskarżenia. Ich język składał się wyłącznie z jednego słowa: jego imienia.

Jedna z obecnych, najmłodsza dziewczyna, wyciągnęła ku niemu białą rękę dłonią do góry i zagięła palce w geście wezwania. Na ten widok ogarnęło go przerażenie. Dziewczyna przybliżyła się, szeptem i ruchem ręki dając mu do zrozumienia, że nie musi się bać. Z im większym przekonaniem to robiła, tym bardziej był pewien, że to kłamstwo. Miała ogromne piwne oczy. Były za duże do jej twarzy. W jednej chwili uświadomił sobie, że nie jest tym, za kogo ją uważał, choć wiedział jednocześnie, że nawet nie domyślił się jej tożsamości. Ten paradoks pchnął go ku świadomości.

Jak zwykle sen nim wstrząsnął. Kim była ta dziewczyna? Kogo w niej naprawdę ujrzał? Czasami jej obraz, jej oczy nękały go przez większość dnia. Wiedział, że zna jej tożsamość. Zupełnie jakby miał kostkę o stu ściankach z prawdą wypisaną na jednej z nich. Bez względu na to, jak długo rzucał kostką, nigdy nie znajdował odpowiedzi.

Na posłaniu obok poruszyła się Sikorka. Przetoczyła się z pleców na bok, odwracając się od niego. Wydawało mu się, że słyszy, jak otwiera oczy. Zupełnie nie przypominały oczu tej dziewczyny ze snów. Sikorka pochodziła z ludu zamieszkującego wybrzeże na północ od Candovii. Włosy miała kruche, koloru posrebrzonej słomy, jak kobiety Meinów, ale jej oczy były wąskie i płytko osadzone, a nie zapadnięte. Miały senny wyraz, co kłóciło się z drapieżną bystrością jej umysłu. „Sny nie mają władzy poza swoim królestwem”, powiedziała mu kiedyś. „Taką władzę mają tylko działania”. Szprotek był pewien, że Sikorka ma rację, tylko nie wiedział, czy ma to stwierdzenie rozumieć jako pociechę, czy wyzwanie.

Później, kiedy dołączył do piratów jedzących poranny posiłek, chodził pośród nich, uśmiechał się i żartował swobodnie jak zwykle. Siedzieli na ławkach ustawionych wokół masywnej żeliwnej kuchenki, która pochodziła z mesy w Palishdocku. Szprotek osobiście poprowadził niewielką grupkę z powrotem do osady, by odzyskać kuchenkę z popiołów i zniszczeń, jakie poczynił tam okręt wojenny ligi. Pojawienie się jej tutaj – na południowej wyspie, która stała się ich trzecią kryjówką w ciągu trzech miesięcy – podniosło morale zbójców.

Stojąc na piasku przed kuchenką, wdychając zapach smażącego się na niej bekonu i szykując się do chwycenia palcami jego paska, zauważył przybycie generała, dopiero gdy ten się odezwał. Leeka stał w pewnej odległości, po drugiej stronie kuchenki. Mówił głośno, by wszyscy go usłyszeli.

– Dlaczego nie powiedziałaś wszystkim o kluczu? – zapytał ostro. – Dlaczego nie

przekazałeś im tego, co powiedział więzień?

Apetyt Szprotki, jego przyjemny nastrój i odzyskane poczucie równowagi zniknęły w jednej chwili. Oczywiście wiedział, że ta chwila nadejdzie. Od ataku na okręt wojenny minęło osiem dni. Tym nielicznym, którzy usłyszeli, do czego służy klucz, kazał przysiąc, że będą milczeć, lecz tajemnice wśród piratów nie utrzymują się długo, zwłaszcza kiedy ci więżą u siebie pilota ligi. Szprotek przeklął się za zabranie więźnia ze sobą. Powinien go zabić tamtej nocy, lecz nie mógł się oprzeć chęci wzięcia tak cennego jeńca i dowiedzenia się, co jeszcze może im powiedzieć. Zadbał o to, by pożywienie i wodę zanosili mu tylko ci, którzy wtedy byli wraz z nim w kajucie pilota, a przesłuchiwali go tylko Szprotek i Dorian. Lecz od powrotu grupy uderzeniowej myśleli o nim wszyscy.

– Ja tu podejmuję decyzje, nie ty. Jeśli coś robię, to mam po temu powód.

– Myślałem, że tej grupie przewodzi Dorian – rzekł Leeka. – Ty jesteś tylko jednym z jego ludzi, prawda? Sam tak powiedziałeś. Zbójca Szprotek. Po prostu jeden z wielu...

– Tak czy owak, to nie ty podejmujesz tu decyzje – stwierdził Szprotek, odwracając się, by spojrzeć na niego przez gorące, rozfalowane powietrze, unoszące się nad kuchenką.

Mówił to ściśniętym, groźnym głosem. Nie zamierzał odpowiedzieć z tak wyraźnym gniewem, lecz jakoś nie umiał utrzymać emocji na wodzy, kiedy Leeka tak go drażnił. Przecież nie trzymał tego klucza w tajemnicy ze strachu, do diabła! Po prostu musiał przemyśleć jego znaczenie, dowiedzieć się, co może z nim zrobić. Leeka nie powinien go poganiać.

– Dorian się ze mną zgadza – powiedział żołnierz.

Jakby na dany znak stary pirat podniósł się ze swego miejsca na brzegu ławki. Pokuśtykał do przodu, przypominając rannego niedźwiedzia. Jeśli sprawiało mu to ból, to zagryzał zęby i nie dawał go po sobie poznać. Być może przez ostatnie kilka tygodni zaczął czuć się lepiej. W każdym razie częściej wstawał, lecz Szprotek nie wiedział, ile ukrywa ze swojej choroby.

– Masz broń, która mogłaby sparaliżować ligę – ciągnął Leeka. – Powinieneś to rozgłosić i razem powinniśmy ułożyć plan jej użycia.

Szprotek przeniósł wzrok z Akacjanina na Candovianina, wyrażając oczyma niezadowolenie. Dorian patrzył na niego ze smutną, skruszoną, rozczarowaną miną.

– Porozmawiamy o tym później...

– Nie – rzekł Leeka – porozmawiamy o tym teraz. Czy wszyscy nie chcecie teraz o tym porozmawiać? Wasz młody dowódca nosi na szyi klucz, o którym powinniście się dowiedzieć. Chcecie o nim usłyszeć, prawda?

Nikt mu nie odpowiedział. Nie musieli. Ich milczenie było jasne. Oczywiście, że chcieli wiedzieć. I, jak musiał przyznać Szprotek, zasługiwali na to. Upuścił bekon, straciwszy apetyt.

Tego popołudnia odbyli otwarte spotkanie, którego domagał się Leeka. Siedzieli na piasku blisko oceanu, w postrzępionym cieniu palm kokosowych; nad sobą mieli bezchmurne niebo – jasnobłękitną kopułę, której czystość zakłócał jedynie ruch rozpalonego do białości słońca. Szprotek nie usiłował przewodzić temu spotkaniu. Sikorka, Clytus, Geena i wszyscy inni, którzy brali udział w ataku na okręt wojenny ligi, z radością przełamali wymuszone milczenie i opowiadali chórem.

– Cofnijcie się myślą o kilka miesięcy – zaczęła Geena – kiedy dzięki gwoździowi Szprotka zajęliśmy bryg. Zdobyliśmy spore skarby, nie? Lecz było wśród nich coś cenniejszego od złota.

– Widzicie ten wisiołek na szyi Szprotka? – zapytała Sikorka. – O tym mówimy. Wszyscy go widzieliście, ale nie znaleźliśmy jego wartości, dopóki nie wyjawiał nam jej pilot tego okrętu wojennego. To jeden z niewielu kluczy do pomostów zewnętrznego kręgu.

– Jest ich tylko dwadzieścia – wtrącił Nineas. – Tylko dwadzieścia. A my mamy jeden z nich.

– I zabraliśmy pilota ze sobą – dodał Clytus. – Mogę się założyć, że Szprotek wiele się od niego dowiedział. Musicie więc sobie zadać pytanie, czy możemy do czegoś wykorzystać ten klucz i nasze nowe źródło informacji.

Piraci entuzjastycznie rozważali tę kwestię przez następne kilka godzin. Przerzucali się planami i pomysłami, pełni chęci zemsty i zdobycia niesłychanych bogactw. Przedstawiciele ligi byli niesamowicie bogaci i rozrzutni. Co może się znajdować na tych pomostach? Tysiące niewolników? Magazyny wypełnione po dachy mgłą? Mogliby znaleźć konkubiny o oszałamiającej urodzie. Sztaby złota i srebra. Unoszące się na wodzie platformy wyłożone marmurem i obwieszane pnąciami i kwiatami. Mogliby się wystroić w jedwabne szaty, pić wino z kielichów rzeźbionych w turkusie i jeść jak nigdy dotąd. Resztę życia mogliby spędzić na przyjemnościach. Mogliby się tarzać 'w bogactwach, o czym marzą wszyscy zbójcy. Mogliby nawet przejąć handel mgłą! Chwyciliby wtedy Hanisha Meina za jaja, a ich szczęście nie miałyby granic.

Za zgodą Doviana przyprowadzili więźnia. Stał w centrum tego zamieszania ze związanymi rękami i poszarpanym ubraniem, onieśmielony i brudny, ze smużką zaschniętej krwi na górnej wardze. Czasami trzeba było go szturchnąć, kopnąć albo inaczej zagrozić, lecz odpowiadał na stawiane mu pytania. To, co mówił, tylko zwiększało entuzjazm

zgrupowanych.

Szprottek pozwolił im mówić, zdumiony, z jaką łatwością stracili poczucie rzeczywistości. Mieli przed sobą potężne przeszkody, lecz w zapale nikt o nich nie pamiętał. Leeka nie mówił wiele. Wydawało się, że nawet Dovian uważa, że ich plany są realne. Dopiero kiedy gwar nieco ucichł, przywódca odchrząknął i przemówił.

– Miło sobie pomarzyć, co? – Wyprostował się i powoli zatoczył krąg przed zgromadzonymi. Mimo swego wieku i choroby nadal umiał skupić na sobie uwagę innych, nawet jeśli tylko zostawiał na piasku ślady swoich potężnych stóp. – Wiem, że miło sobie pomarzyć. Wszyscy wiecie, że miałem już do czynienia z tymi pomostami. Widziałem je raz w młodości. Tylko obok nich przepłynęliśmy, jakby z nich szydząc. Przegoniła nas stamtąd cała flota i ściagała tak daleko na północ, że widzieliśmy kawałki lodu pływające w morzu. Ten wyczyn niemal nas zabił. Ale je widziałem. Są takie, jak sobie wyobrażacie, a nawet jeszcze bardziej niewiarygodne.

Zatrzymał się. Przez chwilę się rozglądał, szukając z roztargnieniem laski, którą niedawno odrzucił. Szybko się zreflektował, wyprostował i spojrzał na twarze zbójców.

– Nie możemy jednak zdobyć ich skarbów. Nie po to tu jesteśmy. Tego miejsca nie mogłaby zdobyć nawet cała armia, którą my przecież nie dysponujemy. A te bogactwa... Szczerze mówiąc, ja ich nie chcę. Mówicie o niewolnikach? Konkubinach? Dajcie spokój. Nigdy nie miałem nic przeciwko drobnemu rabunkowi. Brałem, co chciałem. Rabowanie to uczciwa praca, nie? Wykonujemy ją własnymi rękami. To, czym handluje liga, to zupełnie inny poziom niegodziwości. Lepiej, żebyście się tym nie zajmowali, przyjaciele. Moglibyście natomiast zaprzagnąć zetrzeć ligę z powierzchni świata. Chcecie profitów? Co powiecie na miłość tych wszystkich dzieci, które nie zostaną sprzedane za ocean? Co powiecie na podziękowania, którymi obsypaliby was ich rodzice? Co powiecie na świadomość, że zmieniliście świat na lepsze?

Dovian przerwał na chwilę, szukając odpowiedzi w twarzach słuchaczy. Przesunął wzrokiem po Szprotku, lecz nie patrzył na niego inaczej niż na pozostałych.

– Chcę powiedzieć, że możemy i powinniśmy z tym kluczem zrobić tylko jedno.

Żaden z piratów, którzy jeszcze przed chwilą palili się do rabowania, nie zaproponował. Taki wpływ miał na nich Dovian. Planowanie właściwie nie trwało długo, jako że przedsięwzięcie to wymagało tylko czystej, zimnej odwagi, nic ponadto. Misja, jak wyjaśnił Dovian, była zasadniczo prosta. Mieli do wykonania tylko trzy Zadania: niepostrzeżenie dotrzeć do pomostów i wykorzystać wiedzę pilota w celu znalezienia właściwej bramy, użyć klucza, z nadzieją, że zamki nie zostały zmienione, oraz odnaleźć pewien magazyn. Uważał,

że każde z tych zadań jest wykonalne.

Podczas zbliżania się do pomostów muszą unikać zwracania na siebie uwagi. Ponieważ są stabilne i solidne, liga raczej nie spodziewa się żadnego ataku na nie. Nikt nie rzucił jej wyzwania przez kilkaset lat i na pewno nie będzie się bała pojedynczego małego statku.

– To prawda, mogą zauważyć statek. Ale równie dobrze mogą go przeoczyć. W każdym razie na pewno nie będą się go spodziewać. Na całym świecie nie ma takiej floty, która mogłaby im zagrozić, a im nawet nie postanie w głowie, że można spróbować tego, co zamierzamy. Oczywiście, muszą być ostrożni. O niecały dzień żeglugi od pomostów jest atol. Gdyby wyruszyli stamtąd o odpowiedniej porze i w odpowiednich warunkach, mogliby dotrzeć do celu pod osłoną nocy.

Inną kwestią było to, czy klucz będzie użyteczny.

– A jeśli zmienili zamki? – zapytało szybko kilka osób. – Albo umieścili strażników przy wejściach?

Dovian nie sądził, by na wymianę zamków wystarczyło kilka miesięcy, nawet gdyby chcieli to zrobić. Klucz był wykonany w taki sposób, że niełatwo go zastąpić albo zmienić. Co więcej, takie klucze miała tylko garstka przedstawicieli ligi. Przysięgli strzec ich nawet za cenę życia.

– Ktokolwiek miał chronić ten egzemplarz, zawiódł – odezwał się Leeka. – Nie upilnował go. Był na tyle głupi, by wysłać klucz niechronionym statkiem, i mogę się założyć, że nie zameldował o jego utracie. Coś takiego oznaczałoby śmierć. Nawet ci z ligi cenią życie, prawda? – zapytał więźnia generała.

– Powiedziałbym, że bardziej od wszystkich prócz mnie – odparł z przygnębieniem pilot.

– Ma nadzieję, że nie wiemy, co to jest – rzekł Dovian. – Dotąd nie wiedzieliśmy, prawda? Szprotek nosił go na szyi jako pamiątkę. Równie dobrze mógł go przetopić albo wyrzucić bez chwili zastanowienia. Czy gdybyś był przedstawicielem ligi, oddałbyś życie za mało prawdopodobną możliwość, że ktoś rozpozna, co to jest i wymyśli sposób, jak go użyć?

W końcu została kwestia tego, co zrobić po dotarciu do pomostów. Wydawało się jednak, że w tej sprawie Dovian ma najmniej wątpliwości. Wśród wielu kwadrantów pływających pomostów jeden znajdował się z dala od innych, oddzielony długim mostem pontonowym.

– To magazyny smoły. Miejsce, gdzie ją wyrabiają i przechowują. Nie ma na ziemi bardziej łatwopalnej substancji. Wszyscy widzieliśmy jej działanie. Wybucho od jednej iskry i

pali się jak diabli, nawet pod wodą. Wystarczy, że dotrzemy w jej pobliże i skrzeszemy iskrę. Wybuch rozwali wszystko w drobny mak. Wyrzuci wielkie bryły smoły na tyle wysoko, że spadną na inne pomosty. Powstanie straszliwy bałagan, wierzcie mi.

Szprotek, mimo że czuł się wyłączony z całej tej dyskusji, aż dygotał z podniecenia. To był niewiarygodny pomysł, plan tak zuchwały i słuszny, że musieli spróbować wprowadzić go w życie. Miał jednak pewną wadę.

– Ktoś musi skrzesać tę iskrę – powiedział. – I ten ktoś nie opuści pomostu żywy.

Dovian sprawiał wrażenie zirytowanego tą uwagą, lecz inni zaczęli się nad nią zastanawiać. Geena zaproponowała lont, który opóźniłby wybuch. Jakiś młody pirat podsunął pomysł z wystrzeleniem płonącej strzały. Ktoś inny wymyślił przerzucenie nad ścianami „pigułki”. Lecz wszystkie te pomysły miały zbyt wiele wad, by je zastosować. Długie lonty są zawodne. Mogą zgasnąć albo zostać odkryte z powodu trzaskania ognia. Gdyby jakiś strażnik zauważył taki lont, mógłby zgnieść ich plany czubkiem buta, ot, tak. Strzała lub przerzucona pigułka – nawet gdyby się okazało, że układ pomostu umożliwia taki atak – oznaczałaby natychmiastowy wybuch, który mógłby zabić całą załogę. Nie, aby przeżyć, muszą się znajdować daleko. Ktoś z nich musi podpalić smołę z bliska i dopilnować, by wybuchła. Inaczej plan był zbyt zawodny.

– A co powiecie na to – rzekł Dovian. – Kiedy dotrzemy do pomostu, pociągniemy losy. Wezmą w tym udział wszyscy członkowie załogi „Ballana”. Jeśli ktoś nie chce zostać wylosowany, niech nie płynie. Wystąpcie od razu. Każdy, kto popłynie, pociągnie los, a ten z naznaczonym pójdzie. Zdawanie się na przypadek może się wydawać dziwne, ale stracimy tylko jedną osobę. Zabierze ze sobą wielu przedstawicieli ligi.

Tydzień później „Ballan” żeglował na północ z okrojona załogą. Okrążył wielką wyspę Thrain i przecisnął się między wulkanicznymi wysepkami znanymi jako Tysiące. Dwa dni przeczekali w ukrytej zatoczce u zachodniego krańca wysepek. Trzeciego dnia rankiem wypłynęli na otwarty ocean. Wiatry nie były dla nich idealne, lecz prądy im sprzyjały. Pomknęli na północ i zboczyli na zachód. Przez większą część któregoś poranka towarzyszyło im wielkie stado delfinów, płynące po obu stronach statku jak okiem sięgnąć; raz po raz z wody wyskakiwały setki ciał, w górę i w dół, w górę i w dół. Nineas powiedział, że to dobry znak, bo delfiny to szelmy i gałgany i potrafią poznać, że piraci planują jakąś większą awanturę.

Znalezienie atolu, który zapamiętał Dovian, okazało się trudne. Szukali go bez

powodzenia dwa dni i niemal zdecydowali się zmienić plan. Jednak świt następnego dnia ukazał im kępę palm na horyzoncie. Spędzili tam popołudnie, dokonując ostatnich ustaleń, odpoczywając w plamach cienia na plaży oraz pijąc mleczko kokosowe hojnie zmieszane z cukrem, odrobiną wody i alkoholu. Ale niedużo, tylko tyle, by podtrzymać się na duchu. Skutki napoju zniknęły późnym popołudniem, kiedy wrócili do pracy fizycznej.

Opuścili zwykle używane żagle i zastąpili je niebiesko-czarnymi. Pomalowali burty „Ballana” na bury kolor, zmatowali wszystkie błyszczące elementy, powiesili kawałki materiału na nielicznych szklanych bulajach. Rzuciwszy cumy, ruszyli za słońcem zapadającym w morze, a potem wpłynęli w czarną noc. W ciszy wznosił się głos Doviana, dodającego im otuchy. Nie używał wielkich słów ani nie wydawał skomplikowanych poleceń. Po prostu mówił o przyziemnych sprawach, wspominał minione przygody, dzielił się z członkami załogi uwagami na ich temat. Tak mijały godziny.

– Światła na kursie! – zawołał w końcu marynarz w bocianim gnieździe.

Chwilę później Szprotek przywarł do krawędzi niewielkiej platformy, wspiąwszy się błyskawicznie po maszcie. Z braku miejsca mocno przywarł do młodego marynarza.

– Gdybym nie znał prawdy, powiedziałbym, że to miasto – rzekł chłopak. – Duże miasto, jak Bocoum. – Po chwili dodał: – Nie, większe. Jak Alesja.

Nawet to było niedopowiedzeniem. Szprotek pomyślał, że nie chodzi o samą liczbę świateł. Chodziło o sposób, w jaki całymi kilometrami jaśniały na ciemnym horyzoncie. Trudno było ocenić skalę, lecz Szprotek nie mógł się pozbyć wrażenia, że patrzy na linię brzegową ogromnego lądu. Pozostał na górze, a Dovian rozkazał zwinąć najpierw jeden, a potem drugi żagiel. Kiedy jednak przyszło im użyć wiosła, Szprotek zszedł na dół. Pomógł załodze wyjąć cicho wiosła i umieścić je w wyścielonych dulkach. Przez jakiś czas sam wiosłował, dopasowując się do powolnego rytmu podawanego przez Nineasa; marynarz robił to cicho i miarowo, co przypominało bicie serca statku i miało być bardziej wyczuwane niż słyszane.

Później Szprotek stanął przy Dovianie i patrzył, jak ta potworność przesuwana się obok nich; usiłował pojąć jej ogrom, określić rozmiary w skończonych kategoriach. Nie było żadnych widocznych dowodów, że budowla unosi się na falach. Wyglądała tak masywnie, jakby została wykuta w kamieniu, jakby jej fundamenty wyrastały z samego dna oceanu. Jej płaskie, pozbawione ozdób mury wznosiły się na trzydzieści metrów nad falami. Dopiero tam ich płaszczyzna załamywała się w balkony i tarasy, wieże i jarzące się okna. Mogła pomieścić... ile? Pół miliona dusz? Milion? Więcej? Szprotek miał wrażenie, że patrzą na nich z góry tysiące par oczu. Wiosłowali, oniemiała i z konieczności zachowania ostrożności, i z

pełnego grozy podziwu.

Okrążywszy południowy skraj pomostów, wyteżyli wzrok i dojrzeli w oddali duży, prostokątny kompleks. Stanowił ciemny kształt na tle nocy, jakby bryłę z czarnego obsydianu, oświetloną jedynie nikłym blaskiem latarni na rogach. Z główną konstrukcją budowlę łączył czterystumetrowy pływający most. Był tak szeroki i równy jak najlepsze drogi w królestwie; falował lekko, przypominając tym oceaniczne lewiatany.

– Powiedz załodze, żeby przygotowała łódkę – odezwał się Dovian. – Kiedy zbliżymy się wystarczająco, spuście ją na wodę. Daj klucz Clytusowi i Sikorce. Niech sprawdzą zamek.

– Clytusowi i Sikorce?

– Oraz sześciu innym, którzy będą wioślarzami – dobrze uzbrojonymi wioślarzami. Poradzą sobie. Wiesz o tym. Kiedy ich wyślesz, wróc do mnie. Chcę cię mieć przy sobie, mam ci coś jeszcze do powiedzenia.

– Będziemy musieli pociągnąć losy – powiedział Szprotek.

– Rób, jak ci mówię. A potem wróc tu do mnie.

Szprotek posłuchał. Wrócił po kilku chwilach, ściskając w dłoni woreczek z losami zrobionymi z drewna. Spojrzał w stronę magazynu w porę, by zobaczyć, jak niewielka łódka dociera do mostu i znika w cieniu. Wkrótce wydało mu się, że widzi tam jakieś poruszające się postacie, lecz natychmiast zniknęły. Od tego momentu czas dłużył się denerwująco, pełen napięcia.

Na „Ballanie” mogli jedynie na podstawie słów pilota domyślać się, co robią Clytus i Sikorka.

– Przy bramie będzie kilku strażników – twierdził – ale jeśli będziecie ostrożni, zaskoczycie ich.

Wyjaśnił, że przez wszystkie lata swego istnienia pomosty nigdy nie zostały zaatakowane na poważnie. Liga uważała, że ich oddalenie od lądu stanowi wystarczającą ochronę. Do tej naturalnej granicy należało dodać jeszcze ogrom ich murów i mściwość przypisywaną Inspektoratowi Ishtat. Poza tym wyjątkowość kluczy oraz fakt, że otrzymywali je tylko najbardziej zaufani i lojalni spośród sire’ów sprawiały, iż przedstawiciele ligi byli pewni ich bezpieczeństwa. Strażnicy stanowili tylko dodatkowe zabezpieczenie, o czym wiedzieli.

– Jeśli będziecie mieli szczęście, przyłapiecie ich na drzemce.

Szprotek nie był pewien, czy może zaufać temu człowiekowi. Mógł ich prowadzić w pułapkę. Lecz kiedy pilot przyzwyczył się już do swej roli informatora, stał się

niewiarygodnie rozmowny. Współpracował tak chętnie, że Nineas mruknął:

– Chyba uważa się teraz za pirata.

Rzeczywiście, jakby przewidywał wszystkie ich pytania i starał się na nie odpowiedzieć, jeszcze zanim je zadali.

Powiedział, że powinni unikać głównego wejścia, które znajdowało się w miejscu połączenia mostu z magazynem smoły. Potem posuwać się wzdłuż ściany ku południowi, aż znajdą boczne wejście używane przez sire'ów, kiedy wchodzili do magazynu od strony oceanu. Były to wysokie, wąskie drzwi z dziurką od klucza pośrodku. Powinni włożyć klucz do końca, jakby to był dziecinny klocek, który trzeba wsunąć do odpowiedniej przegródki. I to wszystko. Żadnego przekręcania. Dlatego klucz ten nie przypominał innych. Kiedy znajdzie się na właściwym miejscu, drzwi otworzą się pod najlżejszym naciskiem. Wewnątrz mogą znaleźć poustawiane w nieładzie rozmaite towary i maszyny, których pilot nie umiał opisać. Nie musiał jednak tego robić. Liczyło się tylko to, że w środku znajdą największy zapas materiału wybuchowego w Znanym Świecie. Co z tym zrobią, zdecydują sami.

Odliczając niekończące się, wlokące żółtym tempem minuty, Szprotek żałował, że nie jest ze swoimi ludźmi. To on powinien ryzykować. On ich tu przyprowadził, czy chciał się do tego przyznać, czy nie. Dlaczego nie poszedł z nimi? Dovian wydał rozkazy, on ich posłuchał. Dlaczego nie zakwestionował...

Zanim Szprotek się zorientował, Dovian wyciągnął rękę, wyjął mu woreczek z losami z dłoni i wyrzucił do oceanu.

– To ja pójdę – rzekł. – Nie sprzeczasz się o to ze mną. Dopóki nie odejdę, ja tu rządę. Takie są moje rozkazy. Po prostu chciałem, żebyś dowiedział się pierwszy. Pozostałym powiemy razem. Chodź.

– Nie! – Szprotek uderzył Doviana dłonią w pierś, zatrzymując go. – Nie, mieliśmy ciągnąć losy. Wszyscy się zgodziliśmy! Nie możesz...

Doviana zakrył rękę młodzieńca, gorącą, szorstką, spoconą dłonią.

– Nie utrudniaj mi tego. Jestem chory. Nie poprawia mi się. Prawda jest taka, że umieram. Umieram już od dłuższego czasu. Czekałem na okazję, by jak najlepiej pożegnać się ze światem. Teraz ją dostałem.

– Nie możesz umrzeć. – Szprotek wiedział, że brzmi to dziecinnie, ale nie mógł się powstrzymać. – Nie możesz mnie zostawić...

– Mylisz się. Dałem ci wszystko, co mogłem. Najlepsze lata mego życia przeżyłem z tobą, chłopcze. Dałem ci całą moją mądrość. Wiem, że to niewiele, ale nauczyłem cię wszystkiego, czego ojciec powinien nauczyć syna, prawda? W sprawiedliwym świecie

ojcowie dożywaliby czasu, kiedy ich synowie stają się mężczyznami. Dopiero wtedy by ich opuszczali. Tak się dzieje teraz.

Szprotek znów dostrzegł ruch na pomoście. Patrzył, wstrzymując oddech, aż z cieni wyłonił się łódka i, napędzana wiosłami, zaczęła zmierzać w stronę „Ballana”. Chciał powstrzymać wioślarzy. Potrzebował więcej czasu.

– Mieliśmy umowę. Nie do ciebie należy... – zaczął mówić.

Starszy mężczyzna westchnął.

– Pewnego dnia zasiądziesz na tronie Akacji. Tak będzie, nawet jeśli jeszcze w to nie wierzysz. Gdybym tylko mógł, stałbym wtedy przy tobie, dumny jak paw. Ale nie mogę ci przy tym pomóc tak, jak bym chciał. Mogę jednak zrobić coś innego. – Położył młodzieńcowi dłoń na ramieniu. – Pokażę ci ostatnią rzecz: jak zginać w chwale.

Nie słyszeli relacji powracającej grupy, lecz wiadomość przekazana szeptem zelektryzowała wszystkich: klucz pasował! Magazyn został otwarty. Zabili dwóch strażników przy bramie frontowej i nie widzieli żadnych innych.

– Rozpętam piekło, obiecuję ci. Ach, Darielu, chodź już. Proszę cię tylko o jedno... Nie, nie o jedno. Mam też drugą prośbę. Nie odmówisz mi. Wiem, że nie odmówisz, bo tak cię wychowałem.

Niecałą godzinę później Szprotek rozwinął czarny żagiel, reszta załogi dalej wiosłowała. Wiatr się zmienił. Statek rozcinał wodę, rozwijając przyzwoitą prędkość. Na wschodzie horyzont rozświetliła pomarańczowa plama, oznajmiająca nadejście świtu. Za nimi była czerń, milczenie. Jak w tym śnie, pomyślał. Nicość za plecami. Bezimienne przerażenie, przed którym zawsze uciekał.

Płynęli już drugą godzinę. Kilka osób szeptało ze strachem, że Dovian został schwytany. Nikt nie wiedział, co go może spotkać po przekroczeniu tamtego progu. Może misja się nie powiodła. Szprotek oddalił się od pozostałych i stanął na dziobie. Tak czy owak, Dovian odszedł. Nie wydawało się to prawdziwe. Nie wydawało się możliwe. Szprotek chciał zatrzymać statek i upływ czasu i po prostu...

Jego rozmyślenia zostały nagle przerwane. Szprotek wiedział, w którym dokładnie momencie Dovian posłał swą duszę na poszukiwanie Dawcy. Oznajmiający to wybuch zmienił noc w dzień, a morze w czarne lustro, na którym zatańczyły zarysy przystani. Nie oglądał się. Bał się. W tej chwili był pewien, że szalejąca za nim pożoga sięga nieba, a na jej czubku dusza Doviana z rykiem zdąża ku górze. Był przekonany, że jeśli się odwróci, piekło rozleje się na świat i go pochłonie. Myśli te były tak samo nedorzeczne jak logika snu, która nie jest żadną logiką. Wiedział o tym, lecz nadal wbijał wzrok we wschodni horyzont i tylko

tam widział płonący ogień, uciekając z całych sił przed ogniem płonącym za nim w nadchodzący dzień.

ROZDZIAŁ 47

Chociaż Mena uważała, by ani razu nie zaniedbać swoich kapłańskich obowiązków, większość czasu poświęcała teraz lekcjom z Meliem. Spotykał się z nią codziennie w kompleksie, kiedy kończyła obowiązki wobec bogini. Zamiast prowadzić rozmowy, jak podczas pierwszych kilku spotkań, uczył ją fechtunku. Twierdził, że wyszedł z wprawy i że nigdy nie był nauczycielem, lecz gładko wszedł w tę rolę, jakby się do niej urodził.

Po kilku dniach od wyrażenia przez Menę zainteresowania nauką, Melio wyprawił się do górzystego wnętrza wyspy w poszukiwaniu drewna odpowiedniego do sporządzenia szabli ćwiczebnych. Chociaż różniło się od jesionu używanego na Akacji, w końcu znalazł nadające się czerwone drewno o wyraźnych słojach. Pod koniec pierwszego tygodnia oboje tańczyli już wokół siebie z szablami ćwiczebnymi. Okazały się lżejsze, niż chciał Melio, lecz i tak był zadowolony. Jego palce pieściły łagodne krzywizny kling, jakby chciał zapamiętać każdy ich centymetr. Każdego dnia wracał z poprawionymi szablami – wyrzeźbionymi, oszlifowanymi, natartymi oliwą i naostrzonymi tak, by były funkcjonalne i piękne.

Mena z łatwością nauczyła się rozmaitych postaw, właściwego chwytu i ustawiania stóp. Każdy błąd poprawiony przez Melia znikał na zawsze. Nigdy nie trzeba było jej czegoś mówić dwa razy. Początkowo zaskakiwało to nauczyciela, lecz wraz z upływem dni zaczął traktować jej zdolności jako coś oczywistego. Szybko opanowywała kolejne lekcje. Pracowali nad różnymi cięciami, nad tym, jak najlepiej przenieść siłę od nóg w górę poprzez napięcie tułowia aż do klingi. Pływanie w zatoce i nurkowanie wśród ostróg zapewniło Menie dobrą kondycję, lecz Melio zmuszał ją do posługiwania się nieużywanymi wcześniej mięśniami.

Pierwszej formy, Edifusa pod Carni, Mena nauczyła się w trzy dni. Walka między Aliss i Szaleńcem z Careven zajęła jej całe dwa dni. Melio zaproponował, żeby pominęli trzecią formę, w której rycerz Bethenri poszedł do bitwy z widłami diabła, lecz Mena nie chciała o tym słyszeć. Pomogła mu sporządzić repliki tej krótkiej, podobnej do sztyletu broni. Siekli i cięli, schylali się i wirowali, zadawali pchnięcia i cofali się przez jedno długie popołudnie. Wzbijali tumany pyłu i przyciągali spojrzenia służących, które stały w pełnej szacunku odległości, całkowicie porażone widokiem ich pani wirującej w zabójczych piruetach. Starła się ćwiczyć ze spokojną twarzą bogini. Nie skarżyła się na zmęczenie. Nigdy nie protestowała przeciwko wyzwaniom. Wycierała twarz z potu i stawała

wyprostowana, nawet jeśli jej klatka piersiowa ciężko się wznosiła i opadała.

Nocą w samotności swoich komnat zwiјаła się na boku, przyciskała nogi do piersi i płakała z bólu. Nie poznawała własnych ramion. Miejscami zrobiły się cieńsze, na innych odcinkach grubsze, bardziej kanciaste, nabrały nowego kształtu. Na szczęście dalej rozpoznawała samą siebie. Mimo zmienionych zarysów przedramion, linii żył na grzbiecie dłoni, wyraźnych ścięgien u podstawy szyi, zawsze była sobą, Meną. Nie tyle zmieniała się w kogoś innego, ile wyłaniała spod długo noszonego przebrania. W prywatności swoich wewnętrznych komnat stawała bez ubrania, podziwiając te zmiany. W miejscach publicznych oczywiście robiła wszystko, by je ukryć.

Jeśli kapłani wiedzieli cokolwiek o jej nowych zajęciach – a na pewno tak było – to o nich nie mówili. Mena nie dawała im żadnego pretekstu, by mogli ją za coś zganić. Swe obowiązki wypełniała dokładniej niż poprzednio. Zawsze przychodziła punktualnie na wieczorne uroczystości oraz na specjalne pokazy dla przyjezdnych dygnitarzy i łatwiej ją było znaleźć w jej kompleksie niż przedtem, kiedy wolne chwile spędzała na samotnym badaniu dna zatoki. Na spotkaniach siedziała w szatach Maeben z żelazną dyscypliną. W ciągu dwóch tygodni dwa razy musiała się spotkać ze zrozpaczonymi rodzicami, których dzieci zabrała bogini. Mówiła jak bogini, chcąc zadowolić kapłanów. Właściwie nigdy przedtem tego nie robiła i nie lubiła wracać do słów, które uroczyście wygłaszała przed zapłakanymi, załamanymi rodzicami.

– Jeśli chcecie, by Maeben dostrzegła wasz szacunek – powiedziała raz – nie patrzcie na niebo.

Jakie to nieuczciwe, pomyślała, mówić ludziom, by bali się czegoś tak wszechobecnego jak niebo nad nimi. Ona sama często wypatrywała drapieżnego kształtu nad górami. Dlaczego zakazywała ludziom robić tak samo? Uświadomiła sobie, że jej słowa będą przekazywane z ust do ust. Wkrótce cała wioska, a w końcu cały archipelag pozna nowe życzenie Maeben na ziemi. Będą wykonywać codzienne obowiązki z pochylonymi głowami. Vaminee, pierwszy kapłan, zapewne był z niej zadowolony, ale jeśli nawet, to nie raczył tego okazać.

Melio jednak nie hamował się, krytykując jej służbę dla bogini. Nadal spotykali się nocą, by omówić to, co przeciwiczyli za dnia, i układać plany na przyszłość. Przypominał jej, że oboje są Akacjanami. Te wyspiarskie bóstwa nic dla nich nie znaczą. To pomniejsze potęgi – jeśli w ogóle są potęgami. Oddawanie im czci nie przyczynia się do uzdrowienia rozdarcia między ludzkością a Dawcą. A tylko to jest ważne, bo mogłoby pomóc w przywróceniu prawowitego porządku świata. Jeśli Mena pragnie się modlić, powinna to robić po akacjańsku

i zwracać się do Dawcy. Aliver może ją wezwać w każdej chwili; musi być gotowa pod każdym względem.

– A zamiast tego oddajesz cześć morskemu orłowi?

Mena siedziała naprzeciwko niego w nikłym blasku świec; noc była bezwietrzna, więc ich płomienie się nie chwiały.

– A co z dziećmi? Twoja Maeben porywa dzieci i zanosi je do...

– Przestań! – warknęła Mena. Słowo to wyrwało jej się z siłą pchnięcia szablą. Nie mogła słuchać, jak Melio mówi o zabranych dzieciach. – Nie mam wyboru. Jestem Maeben. Ona mi się przytrafiła. Weszła we mnie, a ja stałam się nią. Byłam nikim, kiedy...

– Byłaś królową Akacji.

– ...tu przybyłam. Nic nie wiedziałam, nic nie miałam, byłam tylko osieroconym dzieckiem! Nie znałam tego języka. Nie znałam nikogo. Byłam sama! Potrafisz zrozumieć, co czułam?

– A więc bogini porwała i ciebie. I jesteś jej za to wdzięczna? – Kiedy Mena nie odpowiedziała, Melio pokręcił głową, odwrócił się i spojrzał na nocne niebo. – Nie, nic z tego nie rozumiem. Jesteś młodą kobietą, Meno. Dziecko, o którym mówisz, już nie istnieje. Nie jesteś żadną boginią i dobrze o tym wiesz. Kapłani też o tym wiedzą. Wiedzą o tym ci biedni głupcy, którzy cię czczą. Wszyscy macie urojenia. Maeben porywa dzieci, żeby jej gdzieś służyły? To absurd. Twoja bogini jest tylko żarłocznym ptakiem. Mieszka na wyspie na północ stąd i to wcale nie w pałacu. Zamiast oddawać jej cześć, ktoś powinien zestrzelić ją z nieba. Sam ją widziałem. Gdybym miał łuk, nie zawahałbym się go użyć.

Mena milczała jakiś czas, a potem rzekła:

– Masz rację. Nie rozumiesz.

Zapomnieli o tym nieporozumieniu podczas następnej sesji walki za dnia. Mena nauczyła się czwartej formy – Gethacka Nienawistnego – z łatwością. Przy piątej jednak szło jej trudniej. Nie chodziło o to, że brakowało jej umiejętności – wręcz przeciwnie. Czuła, że forma coraz bardziej ją ogranicza. Jakie miało znaczenie, w jaki sposób Kapłan Adawała pokonał dwudziestu wilczogłowych strażników buntowniczego kultu Andara? Nauczenie się szóstej formy spotęgowało jej wątpliwości. Zaczęła mieć wrażenie, że istnieje różnica między ciosami zadawanymi podczas ćwiczeń, a tym, jak by atakowała, gdyby jej celem było zabicie przeciwnika. Określiwszy tę różnicę, zadała sobie pytanie, po co marnować czas na atak, którego przeciwnik się spodziewa. Owszem, pojedynkowanie się według ustalonych ruchów danej formy wzmacnia ciało i wyostrza refleks, lecz takie ćwiczenia sprawiają wrażenie bezsensownych.

Pewnego popołudnia z rozdrażnieniem przerwała wykonywanie szóstej formy.

– Za wiele tu tańca. Nic dziwnego, że nasza armia została pokonana tak łatwo.

Melio zaczął protestować, lecz Mena pokazała gestem, że nie chciała go urazić. Wytarła pot z czoła i przez chwilę się zastanawiała, jak wyrazić swoje myśli.

– Po co mamy się uczyć kroków z mitów? Tego, jak Starożytny odepchnął bogów Ithem? Co to ma z nami wspólnego? My nie będziemy walczyć z bogami Ithem. Po co udawać?

Melio miał na to odpowiedź, lecz Mena nie dała mu okazji, by jej udzielił.

– Wszystko to, czego mnie uczysz, jest bardzo ważne – ciągnęła – ale mam wrażenie, że krępuje szablę, zamiast ją uwolnić. Uczyłeś mnie, że formy stanowią podstawę naszego systemu wojskowego?

Melio skinął głową.

– A zatem dostrzegasz problem.

Melio nie był o tym przekonany.

– Wiem, że trzymam w dłoni drewnianą szablę. Lecz mam myśleć, że to prawdziwa klinga, która została wymyślona, rozgrzana, wykuta i naostrzona z jednego powodu, tak? Co to za powód?

W odpowiedzi nauczyciel przytoczył wyuczone na pamięć maksymy.

– To łącznik między szermierzem i jego przeciwnikiem – odparł. – Prawdłowo używana klinga stanowi przedłużenie ciała i umysłu. Ostra klinga to narzędzie bystrego umysłu...

– Nie. – Mena niecierpliwie pokręciła głową. – Cięcie! Oto ten powód. Nie mam pojęcia o „przedłużeniu umysłu”. Ilekroć klinga wysuwa się z pochwy, to powodem powinno być zadanie cięcia. Nie parowanie, nie tańczenie, nie wymierzenie ciosu, który przeciwnik może przewidzieć. Szabla to broń. Chcę się nauczyć posługiwania bronią.

– Prawdziwa szermierka nie jest podobna do fechtunku, jaki tu ćwiczymy – odparł Melio – szczególnie kiedy przeciwnik nie zna form. Lecz ich znajomość daje człowiekowi w razie konieczności szybkość.

Mena miała dotąd pochyloną głowę, lecz teraz podniosła wzrok, by przyjrzeć się mówiącemu z powagą Meliowi. Po chwili znów wbiła spojrzenie w ziemię i zacisnęła wargi, jakby w ten sposób chciała powstrzymać cisnące się jej na usta słowa.

W końcu nie wytrzymała.

– Unieś szablę. Spróbuj mnie ciąć – jeśli zdołasz, zanim ja tnę ciebie.

– A więc to wyścig do pierwszego cięcia?

– Tak, można tak powiedzieć – odparła Mena.

Stanęli w gotowości. Mena skinęła głową; Melio odpowiedział jej tym samym. Pojedynek się zaczął. Tylko jedno z nich było do niego przygotowane. Atak Meny był prosty, bezpośredni i przypuszczony bez wahania. Pochyliła się nisko i mocno uderzyła Melia w lewą nogę tuż pod kolanem. Nie miał szans na sparowanie tego ciosu i kiedy noga wysliznęła się spod niego, skulił się z bólu i padł na twardo ubitą ziemię. Mena stanęła nad nim, szturchając go w brzuch czubkiem szabli.

– Przepraszam, ale o to mi chodziło: po co wykonywać pięćdziesiąt ruchów, skoro wystarczy jeden?

Melio patrzył na nią z niepokojem. Wyciągnęła rękę i pomogła mu wstać; uśmiechała się, jakby wszystko, co właśnie powiedziała, było tylko żartem.

Od tej pory fechtowali się inaczej. Mena nauczyła się pozostałych form, szybko zapamiętując i opanowując ruchy. Robiła to bez zaangażowania, jakby tylko chciała ułagodzić Melia. Całą uwagę skupiała na szermierce, wciąż go namawiając, by walczył „do pierwszego cięcia”. Początkowo to ona zadawała więcej uderzeń. Melio niechętnie przystał na ustalenie zasady, że od rozpoczęcia pojedynku każde z nich ma starać się jak najszybciej trafić przeciwnika. Obolały po kolejnych ciosach, starał się dorównać Menie. Wkrótce ich szybkie serie trzech czy czterech ruchów rozciągnęły się do siedmiu czy ośmiu, potem zaczęły przekraczać dziesięć.

Mena wiała się nocami, nie śpiąc; jej ciało skręcało się jak gwałtownie rosnąca roślina. Była posiniaczona i podrapana, a kości i mięśnie codziennie regenerowały się po nowych kontuzjach. Wiedziała jednak, że robi postępy. Zaczęła myśleć o technikach, jakich Melio jej nie uczył; kiedyś przywarła do niego niczym klej, tak że przez jakiś czas żadne z nich nie mogło zadać drugiemu decydującego ciosu. Kiedy indziej uderzyła go gwałtownie ramieniem, jakby to też była broń, i odskoczyła dzięki sile zderzenia z energią, która całkowicie zaskoczyła Melia. Nauczyła się tak uderzać w jego klingę, by wytrącić mu ją z ręki, oraz tak stykać ze sobą szable, że przywierały do siebie zamiast odskakiwać. Czasami nieoczekiwanie zwalniała tempo, zgodnie z wewnętrznym wyczuciem rytmu. Zmieniała swoje ruchy tak całkowicie, że Melio się potykał.

Mena nie wiedziała, jakie umiejętności naprawdę posiada jej nauczyciel, lecz rankiem pod koniec ostatniego miesiąca wiosny utknęli w martwym punkcie. Zaskoczyła Melia, jednym uderzeniem trafiając w kilka punktów na jego ciele, chociaż wykonał zasłonę. Miał wtedy wstrząśniętą minę. Równie dobrze jak ona zdał sobie sprawę, że jednym, skierowanym w dół ciosem niemal zraniła go w szyję, bok i pod kolanem i nawet nie straciła siły zamachu.

Melio stał potem przez jakiś czas, dysząc i patrząc na nią zza ciemnych loków, które przywarły mu do spoconego czoła.

– Kto by pomyślał, że królewna Mena Akaran jako pierwsza wystawi na próbę moje umiejętności w walce na szable?

– Nie rób takiej zaskoczonej miny. Udowodniłam tylko, że jesteśmy sobie równi.

– Łatwo powiedzieć, ale chyba nie wiesz, co to znaczy.

– Oczywiście, że wiem. Muszę znaleźć innego partnera do walki. Słyszałeś o walkach na kije?

Melio wielokrotnie wyrażał swój sprzeciw wobec jej pomysłu. Wyjaśnił kwestie, o których już wiedziała, lecz musiał je powtórzyć jeszcze raz, ponieważ wydawały mu się zbyt ważne, by Mena mogła je zignorować. Nie była szkolona do walki na kije. Technika tej walki ogromnie się różni od uprawianej przez nich szermierki. Kije nie tną, lecz nie znaczy to, że nie są niebezpieczne, a nawet zabójcze. Walczący na kije pochodzą z górskich wiosek na wyspach. To najbiedniejsi ludzie. Twierdzą, że w ich żyłach płynie krew wojowników, lecz mogą to wykorzystać jedynie w pokazowych walkach między sobą, starając się wygrać pieniądze w zakładach. Tańczą, jakby byli kuglarzami, kroczą dumnie przed rozentuzjasmowanym tłumem, lecz kiedy atakują, robią to z całej siły. Wybijają barki uderzeniami z góry, łamią przedramiona obrotowym ruchem kija, uderzają w brzuchy tak mocno, że ciała krwawią do wewnątrz. Melio widział roztrzaskaną czaszkę, patrzył, jak inny walczący stracił oko, a jeszcze innemu tak połamano obojczyk, że nigdy się dobrze nie zrosł. Mistrzowi tej sztuki udało się zawrzeć w wirującym ciosie taką siłę, że uderzony w plecy przeciwnik nie mógł potem chodzić. Zwalił się na ziemię, zdruzgotany, i nigdy już nie stanął na nogach.

– I z tymi ludźmi chcesz się zmierzyć?

Jeśli wstąpi do kręgu walki z jednym z nich, narazi się na liczne obrażenia i nic przez to nie zyska. Po co miałyby to robić? To po prostu nie ma sensu. Jeśli wierzy, że miesiąc nauki szermierki przygotował ją do takiej próby, to jest nad wyraz próżna. A jeśli się o tym dowiedzą kapłani, to spadnie na nią ich gniew, który wszystko może zaprzepaścić.

Takie argumenty przytaczał Melio. Na nic się to nie zdało. Mena wybrała dzień, w którym chciała się pojawić w kręgu walczących na kije. Ufarbowała skórę sokiem z jeżyn na dziwny, lecz dość naturalny kolor. Owinęła klatkę piersiową, jeszcze spłaszczając swoje drobne piersi, ubrała się jak robotnik i związała włosy jak Vumuanie. Siedziała z otwartymi oczyma nad dymiącym ogniskiem tak długo, aż jej poczerwieniały jak u palacza mgły. Bez wątplenia wyglądała dziwnie, lecz nikt, kto ją zobaczył, nie odgadłby, że jest kapłanką

Maeben.

Mając Melia za przewodnika, znalazła zgromadzonych do walki na kije po drugiej stronie Ruinat. To była ta łatwiejsza część zadania. Sądziła, że dostanie się do kręgu może być trudniejsze. Przepchnęła się przez tłum mężczyzn. Byli wśród nich starzy i młodzi, robotnicy i rolnicy, robotnicy portowi i urwisy z miasteczka; unosił się nad nimi silny smród, a powietrze było aż gęste od potu i mgielnego dymu. Znała tych ludzi. Rozpoznawała ich twarze z uroczystości. Lecz teraz nie była Maeben, nie dzielił ich żaden dystans. Nie miała na sobie przebrania bogini.

Zbliżył się do niej zarządca kręgu, z uśmiechem lustrując ją od stóp do głów. Pomyślała, że może jej kazać wyjaśnić swoją obecność, lecz jego nie interesowały jej kwalifikacje. Był bardzo rzeczowy. Poinformował ją, że wszyscy nowi walczący muszą zasłużyć na prawo stawania w zawodach. Pierwszą walkę rozgrywają zawsze z mistrzem kręgu. Nowy walczący musi też opłacić wstęp. Ta suma oczywiście zwykle przepadała, bo nowy walczący przegrywał, lecz potem mógł już współzawodniczyć ze słabszymi zawodnikami.

– A jeśli wygram – zapytała cicho Mena – to ja otrzymam tytuł mistrza?

Mężczyzna się roześmiał.

– Jeśli wygrasz, zdobędziesz miejsce na samym dole, i tyle. Nadal chcesz walczyć?

– Oczywiście.

– A więc będziesz walczyć z Teto – oznajmił zarządca.

Teto, wspomniany mistrz kręgu, z radością przystał na walkę. Przepchnął się przez spocone ciała i wszedł do wysypanego piaskiem kręgu, gdzie czekała na niego Mena. Kij, który trzymał przy czubku i niósł na ramieniu, obsunął się przez jego rozluźnione palce, aż Teto zacisnął je na uchwycie owiniętym skórą. Poruszał się zupełnie inaczej niż Melio. Stawiał stopy ostrożnie, lecz sprężysto. Kroczył lekko; nogi miał mocno umięśnione, żyłaste. Wydawało się, że najcięższą częścią jego ciała jest głowa; oczy miał głęboko osadzone i uporczywie wpatrywał się w Menę.

Nie miała dużo czasu na myślenie. Teto rozpoczął pojedynek, a ona zareagowała, w ciągu kilku sekund zdecydowała się zastosować otepiającą taktykę obronną. Nie ćwiczyła tego przedtem ani nie nazwała. Lecz od pierwszych ruchów wiedziała, że jego największym atutem jest siła, a największą wadą duma z niej. Zamiast marnować energię, osłabiała siłę swoich zasłon. Zatrzymywała jego ciosy, lecz bez swojej pełnej siły. Teto uderzał coraz mocniej, dając upust gniewowi coraz szybszym tempem. Lecz za każdym razem, kiedy atakował, ona ustępowała z bezwładem, który mężczyznę wyraźnie niepokoił, jakby uderzał

grubą linę, która rozpraszała jego siłę.

Koniec starcia nastąpił tak szybko, że widzowie byli oszołomieni. Teto zaatakował Menę wyciągniętym kijem, chcąc ją albo nadziać, albo przygnieść rozpedzonym ciałem. Mena potrąciła jego kij swoim i odstąpiła w bok, nie pozwalając mu zmienić kierunku ataku przez nacisk swego kija. Następnie uniosła kij, by ominąć zasłonę, i trzasnęła przeciwnika w podstawę odsłoniętej szyi z całą siłą, na jaką było ją stać. I to wszystko.

Teto padł na piasek z rękoma przyciśniętymi do gardła, wijąc się z bólu. Jego gniewne wrzaski były jedynym dźwiękiem w zapadłej nagle ciszy. Przez kilka chwil widzowie rozglądali się niepewnie, przenosząc wzrok z siebie na walczących i z powrotem, usiłując coś zrozumieć z rozgrywającej się przed nimi sceny. Mrugali, jakby dzięki temu mogli wrócić do zwykłego porządku świata i zmienić wynik zawodów. Mena pozwoliła, by przyglądali się jej przez kilka chwil, a potem obróciła się na pięcie i przepchnęła przez tłum.

– Gdzie się podział twój strach? – zapytał Melio, biegnąc obok niej, by dotrzymać jej kroku.

Wracali bocznymi, krętymi zaułkami do kompleksu świątynnego.

– Nie wiem – odparła Mena. I była to prawda. Zapomniała, że w ogóle jest coś takiego jak strach. Stojąc naprzeciwko Teto, czuła jedynie radosne podniecenie i determinację. Teraz biegła, pijana od przyływu energii. – Po prostu wiedziałam, że mogę go pokonać. Owszem, musiałam uważać. Ale się nie bałam.

– Chciał cię skrzywdzić.

– Tak, na pewno.

Przez jakiś czas biegli w milczeniu. Kiedy wyłonili się z krzaków w pobliżu muru kompleksu, Melio zapytał:

– Jak mogę cię przekonać, byś już więcej tego nie robiła?

Mena zatrzymała się i odwróciła. Patrząc na jego piwne oczy, nierówne usta i rozczochrane włosy, uświadomiła sobie, że czuje się w jego obecności zupełnie inaczej, niż kiedy się tu pojawił. Była pewniejsza siebie, spokojniejsza, a zwłaszcza w jego towarzystwie. To dziwne, że wszystkie te godziny spędzone na walkach, czas spędzony z ciałami zwartymi w fizycznych zmaganiach, wilgotnymi od potu, kiedy każde z nich starało się pokonać drugie, a ból i upokorzenie znajdowały się o krok, zbliżyły ich do siebie. Jakaś jej część chciała przyznać, że stali się dla siebie kimś szczególnym. Nie wiedziała jednak, co powiedzieć ani jak to wyrazić.

– Dziękuję za to, czego mnie nauczyłeś – rzekła po prostu.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy czegokolwiek cię nauczyłem, Meno. Mam wrażenie, że raczej przypominałem ci o czymś, co już wiedziałaś. Może urodziłaś się do walki. Nie śmiej się. Ja nie żartuję...

Zawahał się. Poglębijące się bruzdy na jego czole świadczyły, że ma do powiedzenia coś jeszcze. Rzeczywiście miał. To były te same myśli, które przysły jej do głowy. W jednej chwili wyczytała to wszystko w jego twarzy. Chociaż poczuła ciarki na całym ciele, poruszyła się, zanim Melio zdołał się odezwać. Poklepała go po ręce, odwróciła się i przebiegła ostatni odcinek dzielący ich od kompleksu.

Przy bramie czekał na nią Vandi. Miał dla niej wezwanie, jakiego bała się najbardziej. Za niecałe dwie godziny była potrzebna w przedsionku świątyni. Mogło to oznaczać tylko jedno – że Maeben porwała kolejne dziecko. Czwarte w ciągu niecałych dwóch miesięcy.

Rozstała się z Meliem bez słowa, zostawiając go na zewnątrz kompleksu. W środku Vandi stanął z boku, a ona rozebrała się do naga i weszła do kąpieli, wściekle trąc skórę, by pozbyć się jeżynowego barwnika. Vandi patrzył swymi zielonkawymi oczyma, mocno zacisnąwszy usta. Nie komentował ani nie pytał, chociaż musiał zauważyć wszystkie szczegóły jej przebrania. Widział nawet, jak podała Meliowi swój kij.

Mena prawie obtarła sobie twarz, ale nie zdołała całkowicie pozbyć się barwnika. Kiedy jednak nie mogła już wytrzymać bólu, poddała się. Razem z Vandim poszli szybkim krokiem do świątyni, gdzie ubrał ją w strój bogini. Makijażystki nałożyły na jej twarz grubą warstwę maści. Kiedy umocowywały przybranie głowy, Mena sprawiała wrażenie, że czuje się pewnie w swojej roli. Dopiero wtedy przypomniała sobie, by spowolnić oddech, ochłodzić ciało i siłą woli pozbyć się kropelek potu, które groziły rozmazaniem makijażu. Wróciła myślą do stwierdzenia, że nie bała się walki z Teto. Była pewna, że wtedy była to prawda, więc znów spróbowała przywołać taką odwagę. Jednak nigdy nie będzie się czuła swobodnie, patrząc w twarze rozpaczających rodziców.

Usiadła na dużym fotelu w przedsionku świątyni. Vaminee stał przy niej na swoim zwykłym miejscu. Obciągnął porządnie szatę i pokazał Menie twarz z profilu, w czym nie było nic niezwykłego. Tanin, drugi kapłan, zajął miejsce po jej lewej stronie. Zwykle nie brał udziału w tych rozmowach. Patrzył na nią z wielką troską, od której Menę przeszły ciarki.

– Może cię zainteresuje wiadomość, kapłanko – rzekł Tanin – że wczoraj przybyła do Galat delegacja obcych wojowników.

Mena poczuła potrzebę wyciągnięcia ręki i wsparcia się, pomimo że już siedziała. Usiłując mówić obojętnym tonem, bez cienia zainteresowania zapytała:

– Czego chcą?

– Sądziłem, że możesz coś wiedzieć na ich temat – wtrącił się Vaminee.

– Skąd mogłabym cokolwiek o nich wiedzieć?

Żaden z kapłanów nie odpowiedział.

– Słyszałam pogłoski, że do obcych krain może zawitać wojna. Jeśli to prawda, to może ci żołnierze szukają u nas pomocy.

– Może tak – rzekł Vaminee – a może nie. Twierdzą, że szukają zaginionej dziewczynki; uważają, że może ona mieszkać na Vumu. Tak czy owak, to nie nasza sprawa. Na razie nic obcym nie odpowiedziałem. Bogini jest z nas niezadowolona. Tylko tym powinniśmy się zajmować. Najpierw musimy ugłaskać Maeben. Potem zdecydujemy, jak postąpimy z tą delegacją.

To miało zakończyć temat, lecz Mena musiała się dowiedzieć choć trochę więcej.

– Ci obcy... z jakiego pochodzą narodu?

– Skąd mam wiedzieć? – zapytał Vaminee.

– Są bladzi – rzekł Tanin. – Mają skórę jak świnie.

Niepochebny opis, ale Tanin słyszał z dosadnych wypowiedzi.

– Powinam się z nimi spotkać – powiedziała Mena. – To znaczy jako Maeben... Może jej życzeniem jest, by Vumu odegrało jakąś rolę w świecie. Gdybym zobaczyła się z nimi w stroju bogini, mogłabym zrozumieć jej pragnienia.

– Ostatnio nie bardzo ci się to udawało. Czwarte dziecko porwane od czasu...

– To nie moja wina! Nie podoba mi się, że bogini zabiera dzieci. Zrobiłabym wszystko, by ją powstrzymać.

Vaminee zamknął oczy; przechylił lekko głowę i zacisnął gniewnie szczęki.

– Całkowicie się zapominasz, dziewczyno. Nie chciałem w to wierzyć, ale chodzą słuchy, że bawisz się drewnianymi szablami. Czy to prawda?

– W murach mojego kompleksu wolno mi...

– A więc to prawda. – Vaminee wymienił spojrzenia z drugim kapłanem. – Natychmiast musisz to przerwać. Ludzie gadają, kapłanko. Możesz w swoim kompleksie robić co chcesz, do pewnej granicy. Nie możesz okrywać hańbą Maeben.

Zasłona na drugim końcu pomieszczenia rozsunała się, co oznaczało, że zaraz wejdą zrozpaczeni rodzice.

Vaminee zauważył to, lecz mówił dalej.

– Przerwiesz to natychmiast. A twój przyjaciel – tak, wiem o nim – opuści wyspę w następnym tygodniu wraz z wędrownymi kupcami. Jeśli tu zostanie, pożałuje. I ty także.

Do środka weszła niewielka procesja. Oboje rodzice w otoczeniu niższych rangą

kapłanów, którzy poruszali się powoli, z szacunkiem dla żałoby. Mena poczuła, że kiedy ich zauważyła, jej serce zaczęło szybciej bić. Dopiero po chwili zrozumiała dlaczego. Kroczyli wolno, z pochylonymi twarzami i błagalnie wyciągniętymi rękami. Wydawali się tacy znajomi... Ich postacie i ruchy... już ich kiedyś widziała! To ta sama para, którą widziała przed kilkoma tygodniami, kiedy stracili małą córeczkę. Jeśli jej wzrok nie kłamie... jeśli to rzeczywiście oni...

– Nie – powiedziała Mena. – Nie oni... Obiecałam im, że bogini nie odbierze im drugiego dziecka.

Vaminee obrócił do niej głowę.

– Niemądra dziewczyno! Złożenie takiej obietnicy nie leżało w twojej mocy! Spójrz im w twarz i zobacz skutki swojej pychy.

ROZDZIAŁ 48

Kurorty na urwiskach Manil przedstawiały sobą zdumiewający widok. Czarne jak nocne niebo, bazaltowe ściany wznosiły się pionowo z morskich fal na wysokość ponad siedmiuset metrów. Wzdłuż całej ich powierzchni w rozpadlinach zbudowano liczne rezydencje. Niektóre po prostu zwisały ze skalnych występów, jakby do nich przyklepione. Corinn mogła się nimi tylko zachwycić. Były pomalowane na jasnoniebiesko i fioletowo i obwieszane chorągwiemi tańczącymi w burzliwych prądach powietrza.

Ponieważ domy te stanowiły miejsca spotkań bogatych kupców ze szlachtą, Akaranie nigdy nie zniżyli się do kupienia tu posiadłości, lecz robili to dalsi członkowie licznej królewskiej rodziny. Koleżanka z dzieciństwa, której rodzina miała letni dom w Manil, przechwalała się, że podłogi na niższych piętrach zrobiono z grubych tafli szkła, przez które widać fale znajdujące się setki metrów niżej. Twierdziła, że może wstać z łóżka i przejść przez pokój, cały czas patrząc na mewy krążące pod jej stopami. Corinn nigdy nie odwiedziła tej szczególnej willi. Nie bardzo wierzyła dziewczynce, lecz wspomnienie pozostało na tyle silne, że wróciło, kiedy tylko ujrzała Manil.

Aby dotrzeć do tych posiadłości od strony morza, trzeba było przybić do portu chronionego bramą i wielkimi głazami, które opuszczono tu z urwiska, by służyły za falochrony. Pewnego poranka w środku akacjańskiej wiosny Corinn wyszła z jachtu na taki kamienny pomost, mając u boku Hanisha Meina. Wsiedli to otwartego powozu i ruszyli pod górę drogą wijącą się zakosami po łańcuchu pochylni. Mimo że bardzo się starała, coraz trudniej było jej zachować wyniosłość. Hanish nie ustawał w okazywaniu jej względów, szczególnie ostatnio. Podczas tygodni, które upłynęły od pobytu w Calfa Ven, prosił, by towarzyszyła mu we wszystkich podróżach. A było ich kilka. Jakoś udało mu się ją namówić, by wprowadziła go w wyższe sfery Bocoum. Starannie dobranymi pytaniami – podczas najwyraźniej zaaranżowanych chwil samotności – Hanish raz po raz wydobywał z Corinn uprzejme odpowiedzi. Nadal wbijała mu szpile, ilekroć tylko mogła, lecz okazał się bardziej stały w swej uprzejmości niż ona w odrzucaniu go.

Willi, w której mieli się zatrzymać, była urządzona tak bogato, jak tylko mogą być urządzone letnie domy; miała świadczyć o zamożności właściciela i na krótko zapewniać wszelkie wygody gościom. Na pewno należała do jakiejś akacjańskiej rodziny, może nawet

znanej Corinn. Nie pytała. Takie sprawy już jej nie zajmowały tak jak dawniej. Wydawało się, że wszystko, co kiedyś należało do Akacjan, teraz należało do Meinów. Wiedziała, że powinna to uznać za osobistą zniewagę, lecz trudno było pielęgnować oburzenie rok za rokiem. Od pewnego czasu płynnie się posługiwała językiem meinińskim. Różne elementy kultury najeźdźców, które niegdyś wydawały jej się obce, teraz tak misternie się mieszały – przynajmniej w kręgach dworskich – z akacjańskim stylem życia, że trudno było odróżnić, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie.

Willa była przymocowana linami do równiny powyżej urwiska. Zwieszała się nad jego górną krawędzią i rozciągała kilka pięter w dół. Jedno pomieszczenie jakby wślizgiwało się w drugie, jakby pokoje się przemieszczały, dostosowując do ruchów ludzi. Corinn trochę to niepokoiło, lecz był to przyjemny niepokój. We wszystkich pomieszczeniach od strony morza w pełni wykorzystano ich walory widokowe; patia ciągnęły się przez całą szerokość budynku, a wysokie okna osadzono bardzo nisko, by dawały widok na wzburzone morze. Mozaiki na podłogach przedstawiały spienione morskie fale, z których wyskakiwały morświny. Rybacy przywierali do małych łódek przechylonych pod takim kątem, że w rzeczywistości na pewno by się przewróciły. Pozostawiona sama w swoim pokoju, Corinn spędziła część popołudnia na kolanach, przyglądając się szczegółom i wodząc palcami po znieruchomiałych rozszalałych falach. Mozaika była doskonale wykonana. Podobało jej się, że rybacy sprawiali wrażenie znajdujących się na krawędzi katastrofy, ich uśmiechnięte twarze sugerujące, że uważają to wszystko za świetną zabawę.

Pierwszego wieczoru wzięła z Hanishem udział w uczcie wydanej przez nowobogacką meinińską rodzinę. Dawniej Hanish bawiłby biesiadników kosztem Corinn, znajdując pretekst, by jej dokuczyć. Lecz w tej podróży nie towarzyszyła mu jego zwykła świta. Hanish traktował gospodarzy dość serdecznie, lecz nie nawiązywał z nimi bliższych stosunków, mimo że raz po raz starali się wciągnąć go do zabawy. Nie sprawiał wrażenia zainteresowanego ani nimi, ani muzyką, obfitym jedzeniem i napojami czy nawet przyjaznymi gestami mężczyzn i kobiet, aż palących się do wychwalania Hanisha Meina, ich bohatera, jedynego Meina, który wstąpił na tron imperium i może znieść dawną klątwę. Był największym wodzem w historii ich narodu i ludzie bezustannie go za to wychwalali.

Nie zwracał na nich uwagi, lecz wydzielił dla siebie i dla Corinn prywatną przestrzeń. Nie mogła już zaprzeczać – a przynajmniej nie mogła tego robić wobec samej siebie – że lubi mówić, kiedy on jej słucha. Lubiła odpowiadać na pytania, czuć na sobie spojrzenie jego szarych oczu, świadomość, że reszta gości patrzy na nich z zazdrością. Pewność siebie, którą niegdyś uważała tylko za arogancję, miała jednak swój urok.

A Hanish odprężał się w jej obecności, nawet jeśli umysł miał zaprzątnięty trudnymi sprawami państwowymi. Opowiedział jej o trwającej kampanii ligi przeciwko piratom z Wysp Zewnętrznych. Nie toczyła się tak, jak przewidywała liga. Bynajmniej. Jeden z przywódców piratów nazywał się „Szprotek”, co niewątpliwie było ironiczną grą słów, jako że istniała też mała rybka o podobnej nazwie. Szprotek wcale nie był małą rybką. Oprócz uszkodzenia okrętu wojennego i zabicia przedstawiciela ligi, wysadził w powietrze część pomostów ligi. Wybuch rozerwał magazyny na kawałki i wyrzucił w górę fontannę płonącej smoły, która podpaliła całą konstrukcję. Paliła się nawet ta smoła, która wpadła do morza. Unosiła się na powierzchni, a fale rozniosły ją do innych pomostów. Informatorzy Hanisha donosili, że pożary trwały jeszcze tydzień. Zbójcy wyrządzili tyle szkód, że liga opóźniła wiosenną wysyłkę mgły. Straty będzie odrabiać całymi miesiącami, opóźnienia powstaną we wszystkich prowincjach.

– Wszystko z powodu jednej małej szprotki. – Hanish skwitował to wszystko lekceważącym ruchem dłoni. – W każdym razie to tylko przejściowa komplikacja. Liga ma tysiące sposobów wywierania presji. Tak mówi jej przedstawiciel i chciałbym mu wierzyć. Kiedy ona jest okaleczona, to my też.

– Zastanawiałeś się nad pozbyciem się jej?

– Ligi? – zapytał Hanish.

Corinn się zawahała.

– Wiem, że liga istnieje od wieków, ale jeśli nie potrafi się obronić przed bandą zbójców... może lepiej przejść ten handel?

– Nie ma na to szans. Nie wyobrażasz sobie, jak mocną pozycję ma liga. Kontroluje wszystkie aspekty światowego handlu. Zwykle jest skuteczna w swoich poczynaniach. Może najważniejsze jest to, że wiele osób uczyniła bogatymi nad wszelkie wyobrażenie. Tak było w czasach twego ojca, tak jest i w naszych.

– Nigdy nie pomijasz okazji do wytknięcia, że to mój naród zapoczątkował niesprawiedliwość na świecie – rzekła Corinn, czując przyływ dawnego gniewu. – To my byliśmy złoczyńcami, którzy stworzyli Kontyngent, sprowadzili mgłę do Znanego Świata i oparli działanie kopalń na pracy niewolniczej. Chcesz mi udowodnić, że cały czas było we mnie zło? Zachowujesz się, jakbyś był upoważniony do naprawienia tego zła, ale czy uczyniłeś świat lepszym? Zabiłeś handlarza niewolników, lecz zamiast ich uwolnić, zająłeś jego miejsce...

Hanish przerwał jej nonszalanckim tonem, całkowicie ignorując jej zarzuty:

– Zatańczysz ze mną?

Corinn okazała niezadowolenie lodowatym spojrzeniem.

– Meinińska muzyka nie nadaje się do tańca.

To nie była pusta obelga. Te melodie nadal brzmiały obco dla jej uszu. W porównaniu z bogatą, wszechogarniającą pełnią akacjańskiej muzyki orkiestrowej szarpane dźwięki meinińskich instrumentów były fałszywe, a melodie ubogie i nieprzewidywalne. Nie wyobrażała sobie, jak można tańczyć do takiej muzyki. Nikt sobie tego nie wyobrażał.

– A zatem zechciałabyś zatańczyć przy odpowiedniej muzyce?

Kiedy nie odpowiedziała od razu, Hanish ujął ją za nadgarstek. Ścisnął jej delikatne kości między kciukiem i palcem wskazującym i pociągnął ją na środek sali.

– Jestem pewien, że przez wieki wykonywania przez meinińskich muzyków tej melodii ktoś do niej tańczył. Ktoś wyczuł w tych dźwiękach rytm odpowiedni do ruchu dwóch ciał. Lubię o tym tak myśleć. Trzeba znajdować rytmy, których nie słyszą uszy innych ludzi.

Dłoń z nadgarstka wsunęła się jakoś do jej dłoni. Druga znalazła się na plecach Corinn. Przyciągnął dziewczynę do siebie. Szarpnęła ręką, by ją wyrwać z uścisku i cofnęła się o krok, lecz zamiast się oswobodzić, pociągnęła Hanisha za sobą, a ruch jej ręki okazał się nagle elementem choreografii. Jej krok do tyłu tak doskonale zgrał się z jego ruchem w przód, że niemal uwierzyła, że to ona zapoczątkowała to zbliżenie. Chociaż bardzo się starała, nie udało jej się przerwać sekwencji ich wspólnych ruchów. Wkrótce zaprzestała tych prób. To było właściwie zdumiewające, jak dobrze się poruszał i jak bardzo jej ciału podobał się wirujący wzór, jaki kreślili na podłodze.

– Corinn – odezwał się Hanish – nie mogę udawać, że mam prostą odpowiedź na twoje pytanie. Nie uczyniłem świata lepszym. Wiem o tym. Ale uczyniłem go lepszym dla mojego narodu. Uwierz mi, zasługujemy na to. Żaden inny naród nie cierpiał tak jak mój.

– To zapewne też jest moja wina.

Hanish odczekał kilka chwil, nie przerywając tańca, jak nigdy uciekając przed jej wzrokiem.

– Nie twoja, lecz, owszem, twojego narodu. Twój naród sprawił, że powstali Tunishnevre. On ich stworzył. Zdobywszy tron oszustwami – a jeśli uważasz mnie za podstępnego, to powinnaś poznać własną krew, Corinn – Tinhadin zwrócił się przeciwko moim przodkom i ich przeklął. Był czarnoksiężnikiem. Wystarczyło, że wypowiedział słowo, a stawało się ono rzeczywistością.

– Santoth – rzekła Corinn. – Mówisz o Santoth.

Hanish skinął głową.

– Tinhadin miał dar, który ty też może posiadasz, tylko nie wiesz, jak się nim posługiwać. Nałożył na ród Meinów klątwę wiecznego czyścica. Od tego czasu – od ponad dwudziestu pokoleń – żaden mężczyzna z mego rodu nie znalazł ukojenia w śmierci. Nasze ciała nie gniją, a martwe członki się nie palą. Nasze dusze pozostają uwięzione w środku ciała. Nie jesteśmy żywi, lecz nie odchodzimy. Po prostu nie odchodzimy.

Dołączyło do nich kilka innych par. Wirowały, naśladowując taniec Hanisha, nadaremnie usiłując złowić jego wzrok. Corinn pomyślała, że może zmieni temat, by nie zostać podsłuchanym, lecz on mówił dalej, nawet nie ścisząc głosu.

– Nie ma większego przekleństwa niż wieczne uwięzienie między życiem i śmiercią, pozbawienie i jednego, i drugiego. Możesz sobie wyobrazić, co to znaczy być duchem, całymi latami tkwiącym w truchle bez żadnych widoków na zmianę sytuacji? Wszystko umiera. Wszystko – ludzie i zwierzęta, drzewa i ryby – wszystko prócz moich przodków i mnie otrzymało obietnicę uwolnienia. Tym właśnie jest Tunishnevre. Dlatego powiększa się z każdym rokiem. Dlatego twój naród pilnuje, by własne truchła zmieniać w pył i rozrzucać go na wietrze. Wasze obyczaje przechowują pamięć o klątwie i strach przed nią, nawet jeśli ty o niej nie wiesz. Przekonałem się, że często tak bywa. Zbiorowa pamięć dysponuje mądrością, której pojedyncze osoby nie potrafią dorównać. Chciałbym znaleźć sposób na uwolnienie moich przodków, by naprawdę mogli odnaleźć spokój i odpoczynek śmierci. Może – jeśli tak podpowie ci serce – mogłabyś mi w tym pomóc. – Ja?

Hanish skinął głową.

– Być może masz większe znaczenie, niż to sobie wyobrażałaś.

– Czy to prawda, że rozmawiasz z nimi?

– W pewien sposób, owszem.

– Co ci mówią?

Zderzyli się z parą, która zanadto się zbliżyła. Hanish przystanął, opuścił ręce i powiedział stłumionym głosem:

– Mówią mi bardzo wiele rzeczy, Corinn. W tej chwili mówią, że robi się tu zbyt tłoczno, królewno. Proponują, żebyśmy odpoczęli.

Cały następny dzień spędzili razem. Wydawało się, że Hanish nie ma nic do roboty oprócz zapewniania jej rozrywek. Pojechali konno przybrzeżną drogą na północ, wzdłuż falujących krawędzi płaskowyżu; z jednej strony mieli morze, a z drugiej ciągnęły się ku zachodowi uprawne pola. Eskorta złożona ze strażników Punisari trzymała się w sporej odległości za Hanishem i Corinn, poza zasięgiem słuchu. Tak naprawdę po raz pierwszy rozmawiali bez obawy, że ktoś ich podsłucha. Nie wykorzystali jednak tej samotności do

poruszenia jakiegoś ważnego tematu.

Dotarli do słynnej szczeliny w skale, która zamieniała potęgę fal w wybuch spienionej wody. Pojawiał się cyklicznie, jakby napędzany jakimś podwodnym miechem. A po wczesnym obiedzie strzelali do przepiórek, wypuszczanych pojedynczo dla ich uciechy. Ptaki gorączkowo zrywały się do lotu i trzepot ich skrzydeł był słyszalny z daleka. Wcale nie stanowiły łatwego celu dla łucznika. Hanish tylko musnął strzałą jednego ptaka; Corinn zestrzeliła ich pięć. W trafianiu było coś, co sprawiało jej satysfakcję: to, jak ptak natychmiast przestawał machać skrzydłami i zmieniał kierunek lotu; spadał z nieba jak kamień, wirując z dziwnym wyrostkiem strzały. Raz strzała Corinn przeszła ptaka na wylot i poszybowała w dal, wbijając się w grunt długo po tym, jak przepiórka głucho uderzyła w ziemię. Hanish zaklaskał, a Corinn się z nim droczyła, co wyraźnie sprawiało mu przyjemność.

Kiedy zaproponował odrzucenie wieczornego zaproszenia na kolację, nie oponowała. Zjedli razem, siedząc na przeciwległych końcach zbyt długiego stołu. Danie główne stanowiły przegrzebki duszone w sosie chili i posypane wonnymi ziołami. Cudownie smakowały, gra słodczy i ostrości sprawiła, że Corinn zrobiło się gorąco. Pili wytrawne białe wino, od którego zakręciło się jej w głowie. Hanish z niej pokpiwał, a Corinn oskarżyła go, że wybrał taką potrawę specjalnie. Nie zaprzeczył.

Później pili likier na głównym balkonie willi. Słońce zaszło i morze pod nimi pociemniało. Wkrótce pojawił się księżyc, świecący zza koronkowej zasłony chmur. Wiatr był chłodny, lecz przyjemny, choć powodował gęsią skórę. Corinn stała na tyle blisko Hanisha, że czuła zapach wonnych olejków, którymi była natarta jego skóra. Z roztargnieniem otarła się o niego ramieniem i poczuła elektryzujący wstrząs, gdy jej pierś musnęła jego rękę. Czy to zaplanowała? Doprowadziła do tego ona sama, czy wino i likier – które przyjemnie rozmyły kontury świata – uczyniły ją aż tak niezręczną? Nie wiedziała.

– Co dalej? – zapytała, wyciągając kieliszek, by Hanish go nappełnił. – Zaproponujesz mi zaciągnięcie się mgłą?

Pytanie było żartobliwe, lecz on nerwowo potarł barierkę balkonu, przez chwilę wyglądając jak dziecko, które próbuje zostawić na niej odciski palców.

– Nigdy.

– Sprowadziłeś mnie tu, by mnie uwieść? Czy o to w tym wszystkim chodzi?

Do twarzy Hanisha napłynęła krew, poczerwieniało mu nawet czoło. Nigdy wcześniej nie widziała u niego takiej reakcji.

– Sprowadziłem cię tu, by dać ci prezent. Boję się, że go odrzucisz.

– A więc budzę w tobie strach?

– Budzisz we mnie niepokój, Corinn, jak nikt przedtem.

Spojrzała na niego, zachowując obojętny wyraz twarzy. Hanish zaprosił ją gestem, by usiadła obok niego na ławeczce, z której mieli widok na morze. Siedzieli obok siebie, na tyle blisko, że stykali się kolanami.

– A gdybym powiedział, że to wszystko jest twoje? – zapytał. – To znaczy ta willa. Nie ma powodu, dla którego nie miałabyś mieć wszystkiego, co najlepsze. Byłaś królowną; nadal nią jesteś. Peszy mnie, że nie chcesz mi uwierzyć na słowo. Wyobrażam sobie dzień, kiedy zbierzesz się tu wraz z rodzeństwem, by cieszyć się...

– Nie musisz mnie kupować, panie. I tak już jestem twoją niewolnicą.

– Proszę cię, Corinn – rzekł. – Ten dom należał do rodziny nazwiskiem Anthalar. Znałaś ją, tak?

Skinęła głową.

Hanish przyznał, że poznał jednego z członków tej rodziny. Było to podczas wojny, przed bitwą. Powiedział, że zadał temu młodzieńcowi śmierć. Zawsze tego żałował. Widział w nim siłę, dumę. Przypominał mu jego brata Thasrena. Był taki gniewny, pełen chęci służenia swemu narodowi. Ale nie mogło być inaczej. Znalazłszy się tam owego dnia, młodzieniec po prostu musiał zginąć. Właściwie przeżyte życie wywołuje właśnie taki żal. Hanish żałował także przykrości, które spotkały Corinn.

– Wiem, że nie można cię kupić – rzekł – lecz jeśli masz w sobie choć trochę życzliwości dla mnie, zrozumiesz, że muszę spróbować dać ci ten prezent. Przepraszam, jeśli trzymałem cię zbyt długo zamkniętą w pałacu. Bałem się spuścić cię z oczu.

– Dlaczego?

Pokręcił lekko głową, dając tym do zrozumienia, że w tej chwili nie odpowie na to pytanie.

– Ale nie jesteś niewolnicą. Wiesz o tym, prawda?

– Tak, wiem o tym. – Corinn przyciągnęła kolana do siebie, przerywając kontakt z Hanishem. Nie czuła się już oszołomiona alkoholem ani odprężona. – Raz widziałam prawdziwych niewolników. Mieszkałam u rodziny pewnego szlachcica w wiosce niedaleko Bocoum. Wiedziałam, że źle robię, ale razem z przyjaciółką wymknęłyśmy się późno w nocy i wspięłyśmy na dach. Robiliśmy to czasami, żeby patrzeć na gwiazdy i opowiadać sobie rozmaite historie. Lecz tamtej nocy znalazłyśmy miejsce, z którego było widać ulicę na dole i zobaczyłyśmy tam dziwną... Cóż, najpierw myślałam, że to jakaś parada. Ale kto urządza paradę w środku nocy? W całkowitej ciszy? I w jakiej paradzie wszyscy uczestnicy są połączeni łańcuchami? Byli w tym samym wieku, co ja wtedy. Mieli po dziesięć, jedenaście

lat. Byli przykuci do siebie za szyje, setki dzieci. Poganiali je mężczyźni z dobytymi szablami. Poza szuraniem nóg i podzwanianiem łańcuchów nie było nic słyhać... Nigdy nie zapomniałam tej ciszy. Była przejmująca.

– To brzmi jak opis snu – odezwał się Hanish.

Corinn pokręciła głową.

– Nawet tak nie myśl. To nie był sen. Wiedziałaś o tym, nawet wtedy. Nie znałam szczegółów, ale wiedziałam, że nie należy pytać żadnego dorosłego, co to była za procesja. To był oczywiście Kontyngent. Kontyngent, od którego zależy wszystko. – Długą chwilę patrzyła na Hanisha. Niewielka blizna na jego nozdrzu była wyraźniejsza niż zwykle; może dlatego, że nos miał zaczerwieniony od likieru. – Dlaczego ci obcokrajowcy tak bardzo potrzebują naszych dzieci? Co z nimi robią?

– Niektóre pytania lepiej zostawiać bez odpowiedzi. Ale posłuchaj, coś mi wyznałaś. Ja zrobię to samo. Chcę, żebyś zrozumiała mnie i mój naród. Podczas Kary ucierpieliśmy tak straszliwie. Czy ty rozumiesz ten ogrom cierpienia? Dwadzieścia dwa pokolenia – tyle samo w moim rodzie, co w twoim. Lecz twój ród miał najwyższą władzę; mój z trudem przeżył. I w końcu zaczęliśmy marzyć o naprawieniu dawnych krzywd. Cały ten zamęt, który wywoływaliśmy w ciągu wielu lat – drobne potyczki i porwania, ataki na Aushenię – nie leżał w naszym charakterze. To był tylko hałas bębnów i rogów, pod którym ukrywaliśmy nasze prawdziwe cele. Chcieliśmy, by Akacjanie uwierzyli, że nas znają. Wiem, że nasz sukces cię nie cieszy. Ja tylko usiłuję ci to wytłumaczyć. Masz prawo nas osądzać, ale ja mam prawo żądać, byś osądzała nas sprawiedliwie.

– A więc zabiłeś mego ojca – rzekła Corinn.

Chciała, by jej głos brzmiał zimno, gniewnie, lecz usłyszała w nim coś żalnego, pragnienie pociechy.

– Codziennie żałuję, że nie było innego wyjścia. Nie wiesz, jak bardzo żałuję, że nie poznałem cię w jakiś inny sposób. Lecz tego, co uczyniłem przeciwko bestii, jaką było Imperium Akacjańskie, nie uczyniłem przeciwko tobie. Nie jestem potworem. Czasami pragnę, by świat mnie za takiego uważał, ale w rzeczywistości moją jedyną skazą jest to, że czuję smutek całego narodu. Muszę myśleć najpierw o nim, rozumiesz? Nie podoba mi się, że wysyłam teraz do niewoli tysiące dzieci. Nie znoszę tego. Lecz pierwszeństwo ma mój własny lud. Zrozum to, a zrozumiesz mnie.

Corinn nie była obojętna na jego słowa. Wierzyła mu, a myśl o miękkości jego serca napelniała ją ciepłem. Jednak nawyk tak wyostrzył jej język, że powiedziała coś paskudnego, coś, co miało jak zwykle służyć jej za obronę.

– Dziwny sposób uwodzenia – rzekła.

Hanish uniósł twarz i spojrział na dziewczynę; w oczach miał łzy. Kiedy się poruszył, potoczyły mu się po policzkach. Było to tak żalosne, że Corinn wyciągnęła do niego rękę. Dotknęła jego łopatki i przesunęła palcami wzdłuż jej krawędzi, po materiale koszuli, nagięj skórze szyi. Od tak dawna chciała go tam dotknąć. Była ciepła, miękka; wyobrażała sobie, że mało jest takich miejsc na jego ciele. Wydawało jej się, że czuje przez skórę jego puls, ale to mógł być jej własny puls, odzywający się w czubkach palców.

Pomyślała, że zmęczyło ją bycie wierną ojcu, wyczerpało żywienie nadziei, że jej rodzeństwo się pojawi i odmieni jej życie. Od codziennych utarczek aż bolał ją żołądek. A może po prostu oddać się Hanishowi? Komu jeśli nie jemu? Chciałaby, żeby miał władzę uczynić z nią, co chce. Chciałaby mieć dość charakteru, by przyjąć każdą rolę, jaką dla niej przeznaczy. Owszem, był zdolny do okrucieństwa. To się nie zmieni i ta chwila intymnej wrażliwości nie będzie miała na to wpływu. Rano znów będzie Hanishem Meinem, a świat nigdy się nie dowie o pęknięciach pod fasadą całkowitego opanowania. Lecz z jakiegoś powodu – i wbrew wszystkiemu, co uznawała za słuszne i prawdziwe – chciała się od niego nauczyć tej właśnie umiejętności. Chciała ją przejąć kawałek po kawałku z jego ust, wchłonąć ją i z nim dzielić.

Kiedy zajrzał jej w twarz, nie cofnęła się. Właściwie miała wyzywającą minę.

– Skąd wiedziałeś, że powinieneś mnie sprowadzić właśnie do tej willi?

– Nauczyłem się szukać informacji. Powiedz mi, że ci się podoba, a będę szczęśliwy.

– Są tu pokoje ze szklaną podłogą? – zapytała, znając odpowiedź.

Hanish skinął głową.

– W sypialniach dzieci. Są pod nami.

– Pokaż mi je – poprosiła Corinn ledwie słyszalnym szeptem.

ROZDZIAŁ 49

Aliver powrócił do świata żywych. Rozstał się z Santoth, przy czym obie strony złożyły rozmaite obietnice, i dzięki poruszaniu się stopniowo wrócił do swego materialnego ciała. Początkowo wymachiwał niezdarnie kończynami, które wydawały mu się tak ciężkie, jakby przelewał się w nich roztopiony metal. Unoszenie nóg było mozolną pracą. Ilekroć stawiał stopę, czuł się winny umieszczenia swego ciężaru na ziemi. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Upływ czasu, ruch słońca, okrutne gorąco dnia i przejmujące zimno nocy: tyle rzeczy do zapamiętania. Wydawało mu się, że świat wymknął się spod wszelkiej kontroli. To, co powinno być najcichszym z dźwięków – wiatr poruszający ziarenkami piasku, daleki pomruk grzmotu, kaszlnięcie – wstrząsało nim do głębi. Raz po raz musiał się zatrzymywać, chwycił się za głowę, oddychał powoli i płytko. Z każdym krokiem myślał o zawróceniu, lecz tak naprawdę nigdy nie wchodziło to w rachubę. Przypominało to tęsknotę palacza mgły do zielonej chmury. Nie miał zamiaru się jej poddać. W gruncie rzeczy nigdy nie czuł większej determinacji, by stawić czoło swemu losowi w Znanym Świecie.

Kelisa spotkał dokładnie tam, gdzie mężczyzna obiecał czekać. Przebywanie z inną osobą przełamało ostatnie bariery dzielące Alivera od świata. Usłyszał głos innego człowieka po raz pierwszy od czasu, który wydawał mu się wiekiem. Otworzył usta w odpowiedzi i z ulgą przekonał się, że jego mowa nie jest już kakofonią dźwięków. Zanim dotarli do Umae, znów biegli razem i wyglądali prawie tak samo, jak przed kilkoma tygodniami, kiedy wyruszyli.

Jednakże Umae nie wyglądało tak samo. Powiększyło się dwukrotnie, wylewając z łagodnej misy, w której się mieściło, i rozprzestrzeniając we wszystkie strony. Wokół głównej wioski skupiły się prowizoryczne namioty, tworząc osiedla o wszelkich znamionach trwałości. Kiedy Aliver i Kelis zbliżyli się do nich, rozległy się okrzyki, oznajmujące ich przybycie. Ludzie tłoczyli się na ścieżkach między polami, wspinali się na akacje, kucali na każdym wolnym skrawku ziemi. Idąc między nimi, Aliver słyszał dialekty charakterystyczne dla sąsiednich plemion. Widział balbarskie ozdoby głowy ze strusich piór, naszyjniki z muszli ze wschodniego wybrzeża i obcisłe skórzane spodnie noszone przez mieszkańców Wzgórz Teheńskich. Grupa wojowników o wysokich kościach policzkowych powitała go zgranym okrzykiem. Nie miał pojęcia, co to za ludzie. Odpowiedział im nerwowym skinieniem głowy,

które – sądząc po ich szerokich uśmiechach – było bardzo na miejscu.

Thaddeus i Sangae czekali na nich pośrodku wioski. Mieli podobne miny, wyrażające ojcowską ulgę, dumę, podziw. Znalazłszy się w bezpiecznej zagrodzie wodza, Aliver starał się jak najpełniej odpowiedzieć na grad pytań. Zapewne ich nie zadowolił. Wiedział o tym. Niczego nie opisał szczegółowo. Nie kończył zdań. Często milkł, nie mając pojęcia, jak ma wyjaśnić swoje doświadczenia z pobytu wśród Santoth. Właściwie było to niemożliwe. Większość tych doświadczeń spotkała go w miejscu pozbawionym słów; niektóre z nich – skoro wrócił do rozgadanej ludzkości – wydawały się tak rozmyte jak świat snów.

Obaj starsi mężczyźni najwyraźniej to rozumieli. Byli podekscytowani tym, że Aliver skontaktował się z Santoth, zachwyceni, że czarnoksiężnicy go rozpoznali i niezmiernie uradowani, że młodzieniec wrócił cały i zdrowy. Wyjaśnili mu, że od dnia, kiedy wyruszył ze swoją misją, pogłoska o niej pomknęła po równinach. Jest wśród nich Aliver Akaran! To on zabił laryksa! Królewicz udał się na poszukiwanie wygnanych czarnoksiężników! Ani Thaddeus, ani Sangae nie zamierzali rozpowszechniać tej wiadomości. Doszło do tego spontanicznie. Ludzie, którzy od dziewięciu lat trzymali tożsamość Alivera w tajemnicy, już jej nie mogli zatrzymać dla siebie. Wyglądało na to, że świat jest spragniony wieści o nim. Natychmiast zaczęli przybywać pielgrzymi.

– Ci, którzy się tu zgromadzili, po prostu przyłączają się do ciebie jako pierwsi – rzekł Thaddeus. – W każdej chwili możemy ruszyć na północ, zbierając kolejnych po drodze. Zbierzemy hufiec, jakiego świat nie widział, wielką armię składającą się z tak wielu narodów, że Hanish Mein będzie musiał stawić nam czoło. – Były kanclerz przerwał, chyba uświadamiając sobie, że się zagalopował. – Czy ten plan ci odpowiada, królewiczu?

– Nie możemy po prostu zbierać ludzi – usłyszał Aliver swoje słowa. – Musimy ich także szkolić. Bez dyscypliny i koordynacji nasz hufiec będzie tylko rzeźnym bydłem dla Meinów i Numreków.

Thaddeus zerknął na Sangae i lekkim ruchem brwi coś mu przekazał, jakby kwitował zdobycie punktu, a potem wrócił wzrokiem do Alivera. Był zadowolony, że królewicz myśli w takiej skali i dostrzega szczegóły. Wyjaśnił, że działa już od pewnego czasu. W ciągu tych wszystkich lat utrzymywał kontakty z kilkoma byłymi akacjańskimi generałami. Budowali oni wsparcie wśród niewielkich grup, przysięgli zachować tajemnicę i czekają na wezwanie do broni. Jeden z nich, Leeka Alain, niegdyś z Północnej Straży, odnalazł młodszego brata Alivera.

– Odnalazł Dariela? – przerwał mu królewicz.

Thaddeus skinął głową.

– Podczas twojej nieobecności otrzymałem korespondencję w tej sprawie. Wkrótce powinni do nas wyruszyć. I nie tylko oni. We wszystkich zakątkach imperium są ludzie, którzy pozostali lojalni wobec Akaranów.

Jego brat żyje! Wiadomość o odnalezieniu kogoś z rodzeństwa i przekonaniu go do jego sprawy napełniła Alivera nadzieją, a zaraz potem niepokojem. Mały Dariel! Jak on przeżyje wśród zbliżającego się zamętu? Niemal powiedział, że Dariel powinien pozostać w ukryciu, lecz się powstrzymał. Wyobraził sobie małego chłopca, jakim niegdyś był Dariel, lecz to dziecko już nie istniało. Minione lata na pewno zmieniły go w takim samym stopniu, w jakim zmieniły jego samego. A nawet w większym, ponieważ gdy rozpoczęło się ich wygnanie, Dariel był taki mały. Chciał chwycić starego kanclerza i zasypać go pytaniami. Gdzie jest jego brat? Jakie prowadził życie? Kim się stał?

Postanowił zadać te wszystkie pytania później. Najpierw musiał zapytać o coś innego.

– Mówisz, że ludzie we wszystkich zakątkach imperium pozostają lojalni wobec mojej rodziny. Jesteś tego pewien? Robiliśmy dla nich tak mało.

– Pamiętają szlachetność twojej rodziny – odparł Sangae.

Powiedział to uroczyście, wysuwając do przodu pomarszczony podbródek. Bez wątplenia wierzył w to bez zastrzeżeń, czując do pewnego stopnia, że sam ma w tej szlachetności udział.

– Wierzą w ciebie, Aliverze – dodał Thaddeus – tak jak kochali twego ojca. Prawdopodobnie teraz kochają twego zmarłego ojca bardziej niż za jego życia.

Żadna z tych odpowiedzi nie zaskoczyła Alivera, lecz żadna z nich nie wydawała mu się też zadowolająca. Zwrócił się do Kelisa.

– Jak ty to widzisz?

Talayanin odchrząknął i odpowiedział z całkowitą szczerością, czego zresztą Aliver się spodziewał.

– Ponieważ cały świat ucierpiał od wojny, pod tyranią Meina życie jest gorsze. A ty... ty jesteś symbolem mniejszego zła. To mniej więcej wszystko, w co ludzie mogą wierzyć i na co mogą mieć nadzieję. Więc wydaje im się to lepsze.

– To nie wystarczy – stwierdził rzeczowo Aliver. Słyszając własne słowa, poczuł wiarę, która go zaskoczyła. Być mniejszym złem nie wystarczy. Jeśli w ogóle ma to zrobić, musi mierzyć wyżej. – Nie chcę, żeby walczyli tylko o powrót do dawnej niedoli. Jeśli wygram tę wojnę, Thaddeusie, to dzięki obietnicy zmiany wszystkiego na lepsze. Powiedz ludziom, że jeśli będą walczyć razem ze mną, to będą walczyć dla siebie, by oni oraz ich dzieci zawsze byli wolni. Taką składam im obietnicę.

Thaddeus patrzył na niego przez długą chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Tak nieodgadnionym, że zapewne musiał bardzo ciężko nad tym pracować.

– Jesteś pewien? – zapytał w końcu.

– Tak – odparł Aliver.

– Mówisz o ideale, który trudno będzie zrealizować w praktyce. Świat jest skażony wzdłuż i wszerz. Może bardziej, niż zdajesz sobie z tego sprawę.

Królewicz ostro spojrzał na Thaddeusa.

– Jestem tego pewien bardziej niż czegokolwiek innego. Ta wojna musi być walką o lepszy świat. Mniejszy cel oznacza porażkę.

– Rozumiem – rzekł Thaddeus. – Dopilnuję, by ta wiadomość się rozeszła. Ojciec byłby dumny z twoich słów.

Aliver wstał i podszedł do jednego z okien. Uniósł deszczułkę żaluzji i, mrużąc oczy ugodzone strzałą jaskrawego światła, przyjrzał się widokowi na zewnątrz.

– Wszyscy ci ludzie przybyli z własnej woli? – zapytał. – Powiedziano im prawdę. Nic więcej?

– Tak – odparł Sangae. – Mieliliśmy wieści od wszystkich południowych plemion, królewiczu. Wiedzą o misji, w której wyruszyłeś. Większość chce ci pomóc. Dlatego przysłali tu emisariuszy, by zaświadczyli o ich wierze w ciebie. Być może snują własne opowieści o twojej wielkości, o tym, jak odnalazłeś Santoth. Być może opowiadają o twoich wyczynach z dzieciństwa. O wspaniałych wyczynach, Aliverze, które mogą cię zaskoczyć. Lecz Thaddeus i ja przyznaliśmy tylko, że żyjesz i że jesteś gotów odzyskać tron Akacji. To im wystarczyło, by tłumnie przybyć do ciebie.

– Mówisz, że większość chce mi pomóc. Nie wszyscy?

Sangae z zalem pokręcił głową. Wyjaśnił, że jedynym potężnym plemieniem, które nie zareagowało entuzjastycznie, są Halalyowie. Nie przysłali ani jednego żołnierza, pielgrzyma czy przedstawiciela z darami i pochwałami. Przybył jedynie posłaniec z wiadomością, że są świadomi roszczeń czynionych w imię Akaranów i że się nad nimi naradzają. Biorąc pod uwagę wyniosłość Halalyów, wydaje się mało prawdopodobne, by ruszyli się bez jakiejś zachęty. To tylko jedno plemię z wielu, lecz byli najliczniejsi po Talayanach.

– Dobrze by było przeciągnąć ich na naszą stronę – powiedział Kelis. – To dobrzy wojownicy. Nie tak znakomici, jak sami uważają, ale mimo wszystko...

– Dobrze więc – przerwał mu Aliver, zdumiony tym, jak szybko podjął decyzję. – Odwiedzę ich.

Królestwo Halaly z trzech stron otaczały wzgórza. Rozłożyło się ono wokół wielkiego zbiornika wodnego, z którego wypływała rzeka. To płytkie jezioro tak obfitowało w ryby i ptactwo wodne, że plemię nigdy nie głodowało, nawet podczas najgorszej suszy. To dzięki temu bogactwu stało się tak potężne. Jego dobrobyt zależał od maleńkich srebrzystych rybek, od których roiło się w jeziorze. Były one źródłem białka; smażono je, dodawano do zup, suszono, marynowano albo rozgniatano na miazgę i poddawano fermentacji w glinianych dzbanach zakopywanych w ziemi. Jako totem ludzie ci wybrali jednak zwierzę bardziej pasujące do ich wyobrażeń o sobie. Nie był to szczególnie oryginalny wybór.

– Czy wszyscy ludzie w tej krainie wierzą, że spłodził ich lew? – zapytał Aliver, zbliżając się z Kelisem do murów z wysuszonego błota.

Mur miał wysokość trzech ludzi, a jego szczytu broniły poskręcane, ostre haki z żelaza. Wyglądał groźnie, lecz chodziło głównie o zaimponowanie odwiedzającym, odgrodenie mieszkańców od stworzeń polujących nocą i jako tło dla skór upolowanych lwów.

– Nie wszyscy – odparł Kelis, przyglądając się skórcom. – Czasami robi to lampart.

Opuścili Umae w tajemnicy, tylko we dwóch. Aliver chciał zaskoczyć Oubadala, złożyć mu wizytę i usłyszeć, co ma prywatnie do powiedzenia. Ostrzeżono go, że wódz Halalyów będzie się spodziewał jakiejś nagrody za udzielenie wsparcia. Aliver nie bardzo wiedział, czego mógłby chcieć.

Ponieważ wodza Halalyów zaskakiwało niewiele, czekał już na Alivera pod obszerną konstrukcją w kształcie stożka, wspartą na splecionych sękatych gałęziach drzew i krzewów, otwartą ze wszystkich stron i pokrytą strzechą. Oubadal siedział pośrodku w otoczeniu kilku pomocników. Z boku, tuż przed granicą cienia, rozłożyła się grupa wiekowych mężczyzn. Śledzili Alivera pożółkłymi oczyma, z wojowniczymi minami, jakby każdy z nich był zdolny zerwać się na nogi i udusić przybyszy, gdyby stworzyli zagrożenie albo obrazili wodza. Te miny nie pasowały do ich poskręcanych, starczych ciał.

Oubadal obnosił się ze swoją królewską pozycją ze spokojem podpatrzonym u plemiennego totemu. Miał szeroki, wypukły nagi tors, grubą szyję, ciężkie powieki, zaokrąglone i wystające kości policzkowe. Jedno z nozdrzy ozdobił sobie złotym kółkiem, jaskrawo odcinającym się od matowej czerni jego skóry. Przyglądał się Aliverowi z nieskrywanym zainteresowaniem, zaintrygowany wąskim akacjańskim nosem, drobnymi ustami i jasną karnacją.

– Zastanawiałem się, kiedy do mnie przybędziesz – odezwał się wódz. – Słyszałem o twoim zwycięstwie nad laryksem. Gratulacje. Powinieneś być dumny; ja w swoim czasie byłem. Jestem teraz zbyt bogaty, by się uganiać za zwierzętami. Robią to za mnie inni. Nigdy też nie rozmawiałem z legendarnymi Santoth. Jesteś wyjątkowy, królewiczu Aliverze.

Obnażył imponujący zestaw zębów; nie był to uśmiech, chociaż można się było dopatrzeć w tej minie nieco wesołości.

– Widzę, że niewiele jest rzeczy, o których Oubadal nie wie – rzekł Aliver. – A zatem na pewno wiesz, dlaczego przybyłem naradzić się także z tobą?

Wódz zabębnił kilka razy grubymi palcami po udach, co oznaczało, że Aliver zbyt szybko się śpieszy. Wrócił do wymiany uprzejmości, pytając o zdrowie Talayan i sprawdzając wiedzę Alivera na temat arystokracji tego ludu. Aliver odpowiadał najlepiej, jak umiał, ganiąc się w duchu za zbyt szybkie wyjawienie celu wizyty. Chociaż czuł się w tym kraju swobodnie, zbyt często zapominał o tradycyjnych formalnościach.

Kiedy po pół godzinie Oubadal zamilkł, obaj przez kilka chwil słuchali dochodzącego z zewnątrz brzęczenia owadów i nawoływań dzieci w oddali. W rozleniwiającym upale sączyli chłodny, orzeźwiający napój palmowy. Aliver zerknął na Kelisa, który potwierdził, że nadszedł już odpowiedni moment.

– Szlachetny Oubadalu – zaczął Aliver – być może już wiesz, o czym pragnę z tobą porozmawiać. Wkrótce świat pograży się w kolejnej wielkiej wojnie, w zmaganiach, które naprawią zło wyrządzone wtedy, gdy Hanish Mein poprowadził swój lud oraz obcą armię przeciwko Akacji. Może się wydawać, że Meinowie zwyciężyli, lecz mój naród został zaskoczony i pokonany tylko chwilowo. Mój ojciec już wcześniej rozpoczął realizację planu mającego na celu zjednoczenie wielkich światowych potęg przeciwko Meinom. Stoję przed tobą z prośbą o wsparcie w tej walce. W zamian za twoją mądrość i silne ramiona twoich wojowników Akacja wspaniale cię wynagrodzi.

Oubadal trzymał w lewej ręce amulet; był to krzyż z połączonych patyków, owiniętych skórzanymi paskami i ozdobionych ptasimi piórami. Zanim odpowiedział, poskrobał się jego końcem w szyję.

– Dlaczego mój lud miałby przelewać dla ciebie krew? Ty jesteś królewiczem bez narodu, podczas gdy Hanish Mein w każdej ręce dzierży szablę i każdą z nich może dokonać rzezi.

– Nie jestem pozbawiony armii – rzekł Aliver. – Nie słyszałeś o tym, jak tłumnie przybywają do mnie żołnierze? A w tej walce nie chodzi tylko o moje dobro. Czyż Hanish Mein nie wyciąga ręki aż tutaj i nie sięga po twoje bogactwo, biorąc sobie co zechce? Kradnie

dzieci twojej ziemi i sprzedaje je jakiemuś nieznanemu panu po drugiej stronie świata. To wygląda na dzieło wroga. Nie nazywasz go przyjacielem, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. – Wódz się rozejrzał, jakby chciał splunąć na samą myśl o tym. – Ale dlaczego miałyby mnie obchodzić, która rasa białych ludzi nas rabuje? Meinowie nie różnią się od Akacjan, którzy byli tu przed nimi. Nie rób obrażonej miny, królewiczu! Nie można się obrażać za prawdę. Owszem, Meinowie podwoili Kontyngent niewolników, ale nie pytają, skąd ich bierzemy, rozumiesz? To jest różnica, dzięki której nasi wrogowie są rabowani bardziej od nas. Rozumiesz mnie?

Alivera mocno zakłula obelga, jaką było nazwanie go białym, lecz pominął ją bez komentarza.

– Mój ojciec nie pragnął nikogo grabić; ja też tego nie chcę.

– Wielu ludzi zakradało się w jego imieniu na nasze ziemie i nas okradało. Jesteś albo sprytnym oszustem, albo nie orientujesz się w świecie. Mieszkałeś w pięknym pałacu, nieprawdaż? Cała wyspa należała do ciebie. Konie, klejnoty, wytworne jedzenie, służba. Jak myślisz, w jaki sposób to wszystko było opłacane? Coś ci powiem. Zbliź się.

Oubadał skinął łaską. Aliver pochylił się do przodu i wsparł się, trochę niezdarnie, na dłoniach i kolanach. Wódz nachylił się ku niemu, roztaczając zapach drewna sandałowego i potu.

– Osoby takie jak ty i ja nie mają błogosławieństwa Dawcy. To jest kłamstwo, w które wierzą zwykli ludzie. Rządzimy, ponieważ lepiej od naszych poddanych wiemy, że Dawca nas opuścił. Istnieje tylko ten świat, który my sami tworzymy, a świat, którym rządził twój ojciec, nielicznych czynił bogatymi, a wielu skazywał na biedę.

Kilku starców siedzących na skraju cienia pomrukami wyraziło swoją aprobatę. Jeden z nich mlasnął językiem.

Wódz mówił dalej.

– Twój naród nie zabierał nam tylko złota czy niewolników. Schwytaliście mojego młodszego brata, moją siostrę i drugą żonę mojego ojca. Moją rodzinę, rozumiesz? Moją własną krew. Leodan zamknął ich w jednej ręce, a drugą ścisnął serce mojego ojca i dał mu do zrozumienia, że jeśli Halalyowie kiedykolwiek go zdradzą, to jego dzieci tego pożałują. Odtąd ich nie widziałem. Nawet teraz nie wiem, czy jeszcze żyją. Możesz mi zwrócić moje rodzeństwo? Możesz mi to obiecać?

Aliver zamknął na długą chwilę oczy, a potem powoli je otworzył.

– Nie wiem. Coś takiego mogło zostać zorganizowane z Alesji. Mój ojciec mógł nie wiedzieć...

– Jaki król może się tłumaczyć niewiedzą?

– Mądrzejszy od tego, który twierdzi, że wszystko wie – odciął się Aliver. – Akacja była olbrzymim państwem. Zarządzanie nim w dużej mierze leżało w rękach gubernatorów. Gdybyś znał mego ojca, wiedziałbyś, że rodzinę cenił nade wszystko. Nie pozwoliłby skrzywdzić twojej w taki sposób, gdyby o tym wiedział.

Oubadal pokręcił głową.

– Z całkowitą władzą idzie w parze całkowita odpowiedzialność. Uznając nas, nasze ludy dają nam pewien dar; ceną, jaką za to płacimy, jest to, że nasze dusze przyjmują ich grzechy. Jeśli nie umiesz tego zaakceptować, to nie zasługujesz na koronę, której pożądasz. Odpełnij stąd jak dziecko; wracaj do matczynej piersi.

Pod dach wpadł wróbel i zaczął latać dookoła, przysiadając na belkach. Aliver go obserwował. Spotkanie nie przebiegało tak, jak planował. Czuł się jak głupiec, jak dziecko wspomniane przez wodza.

– Nie, dość tego – rzekł w końcu Oubadal. Zmienił ton i porzucił oficjalny styl. – Nikt nie może wrócić do matczynej piersi; idźmy do przodu. Jest sposób, byś uzyskał to, co chcesz. Znasz moich wrogów, Balbarów? Nękają mój lud od początku świata. Od pewnego czasu Halalyowie są ich panami, lecz w ostatnich latach Balbarowie stali się zuchwali. Grają nam na nosie, wkraczając na nasze ziemie i napadając na wysunięte wioski. Mam tego dość. Chcę ich zniszczyć.

– Zniszczyć ich?

– Tak. Zabiję wszystkich wojowników, wykastruję chłopców i sprzedam ich kobiety jako konkubiny, by rodziły halalyańskie dzieci. Jeśli pomożesz nam zetrzeć ich z powierzchni ziemi, uznasz mój lud za równy Talayanom i obiecasz nam prawo zbierania daniny w twoim imieniu...

– Nie chcę żadnej daniny.

– Ha! Kiedy twoja rodzina była u władzy, Akacja pochłaniała daninę jak spragnione wino. Jestem pewien, że znów będzie tak samo. Kiedy zostaniemy zrównani z Talayanami, zgodzisz się, by nasze ziemie zostały przemianowane na Halaly, i to nie tylko na naszych mapach, ale i na waszych. Dlaczego ziemia od horyzontu po horyzont miałaby się nazywać Talay? I jeśli moja rodzina jeszcze żyje, uwolnisz ją i nie będziesz już brał jeńców z mojego ludu. Spełnij moją prośbę, a Halalyowie pomogą ci w wojnie. Nie znajdziesz silniejszych wojowników od moich. W ciągu tygodnia mogę ci przyprowadzić dziesięć tysięcy żołnierzy. Nigdy nie widziałeś takich wojowników, królewiczu. Niewiele wiem o tych ludziach, którzy walczą dla Meinów – o Nomerikach – ale popędzimy ich przed sobą jak hieny z podkulonymi

ogonami. – Błysnął uśmiechem. – Mogę zagwarantować, że Bethuni też będą ci lojalni. Jeśli chcesz, możemy się związać napojem krwi, żeby nie można było złamać tej umowy, nawet gdyby któryś z nas zginął.

Aliver dłuższą chwilę wpatrywał się w Oubadala. Już nie bał się jego ciężkich powiek i spokojnej wyższości ani nie czuł się upokorzony własną niewiedzą, skoro wizja przywództwa roztaczana przez tego człowieka była tak plugawa. Będzie musiał znaleźć jakiś inny sposób.

– Nie pomogę ci zniszczyć całego narodu. Jeśli jesteś tak potężny, zrób to sam. Poproś Bethunich, skoro ich też kontrolujesz.

– Bethuni są związani innymi więzami lojalności – rzekł Oubadal. – Mają więzy krwi z Balbarami. Nie mogą z nimi walczyć, ale ich nie kochają. Będę do ciebie mówił wprost, królewiczu. Bez twojej pomocy losy wojny między nami i Balbarami byłyby niepewne. Nie są oni pozbawieni odwagi.

– Może powinienem rozmawiać z nimi – powiedział Aliver. – Przybyłem na rozmowę z niewłaściwym narodem.

Oubadal sprawiał wrażenie rozbawionego tą uwagą.

– Gdybyś, królewiczu, zaprzyjaźnił się z naszym wrogiem i nas zaatakował, byłbyś po wielekroć przeklęty. Kto stanowiłby twoją armię? Balbarowie i Talayanie? Walczylibyśmy przeciwko nim. A wtedy Bethuni zaatakowałyby Talay. Przybrzeżne plemiona nie walczyłyby przeciwko nam, ponieważ są z nami związane przez krew. Gdyby Balbarowie nie zaatakowali nas, lecz odeszli z tobą, rzucilibyśmy się na ich kobiety, dzieci i starców. A ponieważ oni o tym wiedzą, nigdy do ciebie nie przystaną. Zatem nic byś nie zyskał prócz porażki, zanim jeszcze cokolwiek zacząłeś.

– Kiedy zostanę królem Akacji, nie będziesz już tak do mnie mówił – rzekł Aliver. – Przypomnisz sobie o szacunku.

– Gdybyś był królem Akacji, królewiczu, ukłoniłbym ci się i ssał wielki palec u twojej nogi. – Oubadal rozejrzał się po swoich towarzyszach, którzy wybuchnęli śmiechem. – Lecz w tej chwili jesteś królem niczego. Czy tak?

Aliver tak bardzo chciał wybiec na otwartą przestrzeń i znaleźć się z dala od zapachu drewna sandałowego i parzącej intensywności spojrzenia Oubadala, że ledwie udało mu się przebrnąć przez pożegnalne uprzejmości.

Tuż za bramą wioski Kelis chwycił go za łokieć i zatrzymał.

– Oubadal może nam przyprowadzić dziesięć tysięcy wojowników. Nie możesz odejść.

– Nie urządzę rzezi niewinnego ludu – oznajmił Aliver. – Nie to planował mój ojciec.

– Tak od początku świata postępują wszystkie rasy ludzi – rzekł Kelis. – Chcesz osiągnąć swój cel czy nie? Znam twoje przekonania. Masz szlachetne intencje, lecz szlachetni ludzie bardzo rzadko kształtują świat. Oni o tym mówią, a ludzie pokroju Oubadala działają. Nie odchodź stąd, nie czyniąc tej chwili swoją. Jeszcze nie jest twoja, Aliverze. Więc nie odchodź.

Aliver usiadł na wyschniętej szarej ziemi i ukrył głowę w dłoniach. Thaddeus powiedział, że świat jest skażony wzdłuż i wszerz. Oto ma pierwszy dowód. Usiłował uspokoić umysł i dostrzec gdzieś w tym dobro, lecz nigdzie go nie było. Jeśli ma zachować człowieczeństwo, to nie może zacząć wojny w tak plugawy sposób. Spróbował wymyślić jakieś inne warunki, które mógłby przyjąć wódz, lecz zawilości plemiennych sojuszy były tak irytujące, że kopnął ziemię. To głupie! Małostkowe! Ordynarne i zbyt prostackie. To drobny przykład wszystkich praktyk, z jakich chciał oczyścić świat. Kiedy o tym myślał, wpadł na pewien pomysł.

– A gdybym powiedział Oubadalowi, że żądam pomocy, a nie o nią proszę? – zapytał.

– Gdybym powiedział, że teraz jestem królewiczem Aliverem Akaranem, lecz jesienią będę królem Aliverem Akaranem? Gdybym mu przypomniał, że jestem lwem i nie będę się zajmował sprzeczkami młodych u moich nóg? A jeśli mu powiem, że czarnoksiężnicy Santoth podlegają teraz mnie i że wraz z nimi zetrę moich wrogów z powierzchni ziemi? Może do mnie dołączyć i służyć mi pomocą – na moich warunkach – albo ściągnąć na siebie gniew potęg przekraczających jego wyobraźnię.

– Chyba mógłbyś tego spróbować – rzekł Kelis. – Jednak mówiąc to, będziesz musiał patrzeć mu w oczy, żeby cię nie zaatakował. Jeśli nazwiesz go młodym, obrazisz go... chyba że jesteś lwem. Prawda nie jest obelżywa.

Aliver wstał i spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Wciąż się waham, prawda? Uważasz, że nie powinienem.

– Sądzę, że jeśli za każdym razem, kiedy otworzysz usta, będziesz mówił z głębi serca, to nie zbłądzisz.

Aliver odwrócił się i spojrzał na mury twierdzy. Z tej odległości przybite do nich skóry wyglądały jak coś bardzo małego. Jak skóry kotów dachowców. Ruszył w stronę wioski. Kiedy usłyszał obok siebie kroki przyjaciela, powiedział:

– Powiedz mi coś, Kelisie. Ci wszyscy ludzie, którzy twierdzą, że pochodzą od lwów, jaki przedstawiają na to dowód?

Kelis się uśmiechnął.

– Nie mają dowodu. Po prostu tak twierdzą i usiłują brzmieć przekonująco.

ROZDZIAŁ 50

Mena nikomu nie powiedziała o swoich zamiarach, nawet Meliowi, który nieświadomie pomógł jej ułożyć plan działania. Wzięła ze sobą tylko szablę Marahów i kilka rzeczy, które zmieściły się w worku na ramię. Wymknęła się z kompleksu i przemknęła przez ciche ulice, poszarzałe od wstającego dnia. Jakaś jej część bała się wykrycia, lecz poruszała się pewnym krokiem. Kiedy chciała, potrafiła chodzić cicho. Przed laty, jako dziewczynka, przekradła się obok strażników Marahów, by odkryć potworności kopalń Kidnabanu. Jeśli tego dokonała, teraz nie obudzi żadnego wieśniaka z Ruinat czy drzemiącego kapłana. Oczywiście skłonili ją do tego ci obcokrajowcy. Melio powiedział z rozczarowaniem w głosie, że to są Meinowie. W ciągu kilku dni opuszczą Galat i przyjdą po nią. Powiedział, że muszą coś zrobić. A więc coś robiła. Raczej nie to, co zaproponowałby Melio, ale zawsze coś.

Wybrała jedną z łódek wyciągniętych na plażę, wrzuciła do środka worek i zepchnęła ją na wodę. Po godzinie opłynęła jeden z przylądków Vumair i ujrzała Uvumal. Wyspa wyłaniała się z morza poszarpaną zieloną sylwetką, ukryta pod płaszczem roślinności. Mena nigdy wcześniej tam nie była. Nikt tam nie bywał. Wyspę uważano za poświęconą bogini, to był jej dom i sanktuarium. Od czasu pojawienia się kultu Maeben pozostawiono ją w dzikim stanie. Nie ścinano drzew ani nie polowano, nie karczowano pod uprawę działek na stokach wzgórz. Kłębiło się na niej zdziczałe życie roślinne. Z jednolitego płaszcza zieleni tu i ówdzie wystrzelały potężne drzewa, pokrzywione olbrzymi o długich pniach, poskręcane wiekiem i atakowane przez pogodę. Każde stanowiło symbol dzikości wyspy. To był cel wyprawy Meny.

Plaża, na którą wyciągnęła łódkę, była cudownym pasem białego piasku, nietkniętego ludzką stopą. W stronę wody pochylały się palmy uczone wyższej krawędzi plaży. Zaśmiewały ją naturalne szczątki – drewno wyrzucone na brzeg, kokosy i ich skorupy. Przez opadłe liście palm pomykały ukosem kraby i... Coś przyciągnęło wzrok Meny, przedmiot tak niepasujący do otoczenia, że zwrócił na siebie jej uwagę. Dopiero po chwili uwierzyła własnym oczom. Z piasku sterczała zniszczona, pozbawiona oczu głowa, uniesiona ręka i górna część korpusu dziecięcej lalki. Widok przyprawiał o gęsią skórę. Ręka lalki jakby zastygła w gorączkowym geście powitania.

Nie był to jedyny przedmiot zrobiony przez człowieka. Nieopodal leżał kawałek liny i

rybacki pływak, a dalej na kamieniu kawałek materiału, jak pranie rozłożone do wyschnięcia. Przez kilka sekund Mena rozglądała się gorączkowo, upewniając się, że jest sama. Jakie to dziwne. Być może ludzie tu nie przyplływają, ale ich śmiecie jak najbardziej. Przeszła kilka kroków w ich stronę, zdenerwowana, że bogini spostrzeże te dowody obelg, zanim zdoła je ukryć. Gdyby kapłani o tym wiedzieli, zakazaliby zwyczajowego wyrzucania śmieci do wód niesionych morskim prądem, przepływającym obok południowego krańca zatoki. Zaczęła układać słowa, którymi mogłaby poruszyć ten temat z Vaminee. Zaczęłaby od tego, że jest tysiąc sposobów zhańbienia bogini. Trzeba pamiętać, że przedmiot upuszczony w jednym miejscu nie znika tak po prostu...

Zreflektowała się, wyprostowała i zakłęła pod nosem. Tak łatwo z powrotem wejść w przypisaną sobie rolę. Nie znalazła się tu jako domowa służąca bogini! Ani jako jej oczy i usta. Nie zamierza przekazać kapłanom żadnej wiadomości.

Resztę poranka spędziła na przedzieraniu się przez las. Wyobrażała sobie, że wnętrze wyspy będzie milczące i ponure, że będzie musiała się skradać, bojąc się trzasku każdej gałązki pod stopą. Zamiast tego powietrze rozbrzmiewało kakofonią ptasich głosów. Między drzewami przebiegały falami okrzyki małp. Owady zapamiętały cykały i brzęczały. Mena szła po materacu splecionym z korzeni mangrowców, brnęła z chlupotem przez gęste błoto śmierdzące zepsutymi jajami. Szabla przerzucona przez plecy raz po raz o coś zaczepiała. Dziewczyna czasami tak się zaplątywała w poszycie, że zatrzymywała się na chwilę, odpoczywając. A potem szła dalej.

Zjadła późne śniadanie, siedząc na kamykach przy wąskim strumieniu. Pomyślała o tej lalce na plaży. Do kogo należała? Istniały tysiące wyjaśnień, w jaki sposób mogła się zgubić. Może była stara. Może wyrzuciło ją dziecko, które już się nią znudziło, a może dostał ją do zabawy pies, który ją zniszczył. Czy to utracony skarb zabrany przez przyplływ, oplakiwany drobnymi łzami? A może została wrzucona do morza przez zrozpaczonych rodziców? Czy spadła z nieba? Mena żałowała, że ją zostawiła. Powinna była przynajmniej wykopać ją z piasku, posadzić w łódce i obiecać, że wróci i ją stąd zabierze.

W południe wspinała się, często na czworakach, na wzgórze wewnątrz wyspy. Mimo wszystkich przeszkód, szybko znalazła to, czego szukała. Stojąc na pniu zwalonego drzewa i patrząc przez szczelinę, która została po nim w baldachimie liści, Mena dostrzegła orle gniazdo. Znajdowało się pod szczytem wzgórza o trzy wzniesienia od niej. Drzewo, które je dźwigało, przebijało płaszcz listowia i wznosiło się na wyjątkową wysokość. Był to sterany wiekiem olbrzym, częściowo obumarły. Tam, gdzie oblażyły długie pasma kory, był biały jak kreda. Wiele jego gałęzi było złamanych w połowie albo tuż przy pniu. Gniazdo znajdowało

się blisko wierzchołka i z daleka wyglądało jak płatanina śmieci, jak rupiecie osadzone w tym miejscu niezrozumiałym aktem przyrody. Mena nie widziała w środku żadnego ruchu.

Las był tak gęsty, że w chwili, kiedy ruszyła w stronę gniazda, straciła je z oczu. Zeszła ze wzgórza i weszła na następne, znów zeszła w dół i wspięła się pod górę, w dół i w górę. Pokonując każdy kolejny grzbiet, celowo skręcała na prawo. Znalazłszy się na trzecim, skręciła w lewo i ruszyła wzdłuż niego, mając nadzieję, że w ten sposób dotrze do celu. Zajął jej to dwie godziny, podczas których nie widziała dalej niż na trzydzieści metrów. Bała się, że może minąć gniazdo w odległości rzutu kamieniem i nawet go nie zauważyć.

W końcu odnalazła je dzięki temu, że poczuła smród. Odór rozkładu, zgnilizny. Bardzo chciała go ominąć. Odpychał ją, lecz ruszyła w jego stronę. Po kilku minutach dotarła do podstawy olbrzymiego pnia. Był grubszy niż sąsiednie, jego obwód cztery czy pięć razy przekraczał rozpiętość jej ramion. Smród unosił się z rozkładającej się mieszaniny ptasich odchodów oraz mięsa i kości zaśmiecających ziemię: klatek piersiowych, potrzaskanych kości udowych, kawałków wyschniętych wnętrzności, czaszki jakiegoś gryzonia, skórzanego sandała, uschniętego chudego przedramienia... dziecięcego przedramienia i dłoni.

Mena zwymiotowała. Poczuła natychmiastową ulgę. Wytarła usta i zapatrzyła się w tę dłoń, sparaliżowana, oszołomiona, niezdolna myśleć.

Dlatego tu przyszła. W głębi serca wiedziała o tym cały czas. Przewiesiła szablę przez plecy z konkretnego powodu, lecz zmierzała do tego miejsca z ukrytą iskierką nadziei. Może, jak pragnęła tego jej część, przekona się, że Maeben naprawdę mieszka w pałacu położonym wysoko wśród drzew. Może naprawdę porywa dzieci, by jej służyły. Może znajdzie dowody na wszystko, w co kazano jej wierzyć, co przez lata reprezentowała wobec mieszkańców Vumu.

Ta dłoń zniweczyła jej nadzieję. Mena poświęciła życie kłamstwu. Osądzała niewinnych ludzi. Ganiła ich ostro za... za co? Za to, że całym sercem kochali swoje dzieci? Że pragnęli życia bez ukrywania radości? A tymczasem ta jej bogini była zwierzęciem żywiącym się ludzkim mięsem.

Podeszła bliżej do kończyny. Zaciśnięte palce – wyschnięte i skórzaste – były dziwne. Przykucnęła i dostrzegła błysk metalu. Sięgnęła ręką, ujęła przedmiot czubkami palców i go wyciągnęła.

Był to srebrny wisiołek przedstawiający węgorza. Widziała już taki kształt... przed wieloma miesiącami w wodzie obok pomostu. Podobał jej się w falującym czystym morzu; ten był równie piękny. W wypukłej główce przewiercono dziurkę. Wypadły z niej resztki sznurka, na którym niegdyś wisiał węgorz. Mena wyobraziła sobie właścicielkę z wisiorkiem

na szyi. Może to była pierwsza rzecz, do której sięgnęła, kiedy z góry runęła śmierć i zatopiła szpony w jej ciele. Znowu poczuła mdłości, tym razem spowodowane wspomnieniem ostrzeżenia dla wieśniaków, by nie patrzyli w niebo.

Wstała, przymocowała wisiołek do własnego naszyjnika i spojrzała na drzewo. Wspinaczka nie będzie łatwa. Kora była na tyle szorstka i popękana, by dawać oparcie dłoniom i stopom, jednak miejscami kruszyła się, była zgniła i podziurawiona przez termity. Mena oddarła kilka kawałków samymi rękami. Właściwie dziwiła się, że drzewo wciąż stoi. Znalazła uchwyt dla dłoni i występ dla stopy, podciągnęła się i zaczęła powolną wspinaczkę.

Po godzinie przebiła się przez listowie, przemierzywszy rejony zwierzęcego i owadziego życia, o jakim nie miała pojęcia. Zamrugła w jaskrawym blasku słońca, poczuła dotyk powietrza na spotniałej skórze i kołysanie drzewa. Mimo coraz silniejszego wiatru smród stawał się silniejszy. Gałęzie były oblepione odchodami. Brudziły Menie dłonie i sprawiały, że robiły się one śliskie. Musiała wbijać w to palce. Kiedy dotarła do odartego z kory odcinka tuż pod gniazdem, usiadła okrakiem na gałęzi, oparła się o pień i złapała oddech.

Nad wierzchołkami drzew na północy przeleciało stado żółtych papug – najpierw szybko machały skrzydłami, a potem długo szybowały. Poniżej Meny polatywały drobne papużki, to pojawiając się w polu jej widzenia, to znikając, lecz nie oddalając się zbyt od schronienia. W powietrzu nie unosiło się nic większego, żaden wielki drapieжник, nic boskiego pochodzenia. Mena zauważyła na wschodzie gęstniejące chmury, nadciągający sztorm, może pierwszą letnią ulewę.

Gniazdo ponad nią wydawało się puste. Panowała w nim cisza, tylko od czasu do czasu coś zaszeleściło czy trzasnęło w jego konstrukcji. Mogła się do niego dostać, rozejrzeć się i zdecydować, co zrobić dalej. Miała nadzieję, że ta wiedza sama do niej przyjdzie, bo na razie nie miała żadnych pomysłów.

Otworzyła worek i wyjęła zwój cienkiej liny. Była upleciona z włókien roślinnych i oleista w dotyku. Potrząsnęła nią i jeden koniec spuściła wzdłuż pnia. Usiłowała nie zwracać uwagi na zapierającą dech w piersiach wysokość wyznaczaną przez zwisającą linę. Do drugiego jej końca był przymocowany trójzębny hak zrobiony z dalekomorskiej przynęty. Zrzuciła hak nad gniazdo. Uwiązł przy pierwszej próbie. Po kilku pociągnięciach nieco się obluzował. Zanim wbił się na dobre, złamało się kilka gałązek.

Kiedy chwyciła linę i zsunęła się z gałęzi, srebrny węgorzyk oderwał się od jej piersi, a potem w nią uderzył. Przez chwilę całym ciężarem wisiała na linie. Przyłapała się na modlitwie do Maeben. Przerwała ją i przełknęła niewypowiedziane jeszcze słowa. Kiedy

przestała się kołysać, podciągnęła się na rękach. Z jakiegoś powodu pomyślała o Meliu, może dlatego, że swoją gibkość zawdzięczała jego szkoleniu. Gdy dotarła do płataniny kruchych gałęzi, stanowiącej gniazdo, mogła myśleć już tylko o tym, jak się do niego wdrapać.

Przywarła do gniazda, dysząc i usiłując znaleźć porządny uchwyt dla rąk. Wtem zza jego krawędzi uniosła się ptasia głowa. Znajdowała się w odległości ręki, groteskowa, z zakrzywionym dziobem. Ptak otworzył go i zaskrzeczał. Mena widziała, że coś z tą głową jest nie tak, lecz nie miała czasu pomyśleć, co. Spodziewała się, że ptak odleci i w pośpiechu poruszała się mniej płynnie. Cofnęła się jak najdalej mogła. Gniazdo zakołysało się pod jej ciężarem, trzasnęły mniejsze i większe gałęzie. Znalezienie dobrej pozycji, by mogła uwolnić prawą rękę i dobyć szabli, trwało absurdalnie długo. Kiedy jednak Mena poczuła w dłoni broń, wiedziała, co ma robić. Zamachnęła się z całej siły; szabla ugodziła ptaka w szyję, lecz pod takim kątem, że klinga nie wbiła się głęboko. Wyszarpnęła ją – wciąż zaskoczona, że ma na to czas – i cięła powtórnie. Tym razem kąt i siła były odpowiednie. Głowa ptaka upadła obok jego ciała.

Po kilku chwilach Mena znalazła się w gnieździe i patrzyła na drgające ciało stworzenia. Uświadomiła sobie, co się w nim wydawało dziwne. Ptak był ledwie opierzony, źle uformowany i żaloszny, nie większy od sępa. Dorosłe orły morskie były dwa albo trzy razy większe. To wcale nie była Maeben, tylko jej pisklą. Mena pomyślała o żartobliwej uwadze o tym, co zdolna jest kochać tylko matka, lecz nie wypowiedziała jej na głos.

Usiadła naprzeciwko martwego pisklęcia, myśląc, jakie to wszystko dziwne, zdumiona, że naprawdę się tu znajduje, w gnieździe orła morskiego wysoko nad lasami Uvumalu, z obnażoną szablą w dłoni, kołysząc się na szczycie skrzypiącego, wiekowego drzewa, szarpanego podmuchami wiatru. Kim jest? Kiedy się stała tą osobą? Pomyślała, że może to wszystko jest szaleństwem. Sama stworzyła tę skomplikowaną sytuację. Widziała dwie ścieżki prowadzące w przyszłość: jedna kończyła się w tym gnieździe, a druga wiodła w nieznaną. Każda z tych dróg wydawała się jej nie do przyjęcia.

Uświadomiła sobie, że może po prostu zejść na dół. Odebrała bogini jej dziecko. Niech się przekona, jakie to uczucie. Mena może chwycić linę i znaleźć się pod drzewem, zanim jeszcze na las spadnie ulewa, która była coraz bardziej wyczuwalna. Może wrócić do domu z poczuciem, że czegoś dokonała, że wymierzyła karę i przypieczętowała ją krwią.

Może, ale tego nie zrobi. Jeszcze nie skończyła.

Zanim dosłyszała bicie skrzydeł wśród świstu wzmagającego się wiatru, zmieniła pozycję. Teraz pólśiedziała, wsparta o krawędź gniazda, z martwym pisklęciem na kolanach, opartym na piersi. Było oczywiście bezgłowe, ale Mena jedną ręką przytrzymywała odciętą

część na właściwym miejscu. Tak przygotowana, patrzyła na powracającą matkę z nadzieją, że dzięki oszustwu zbliży się na tyle, by mogła zadać cios.

Drapieżnik pojawił się na tle chmur. Tuż przed wylądowaniem ptak rozpostarł skrzydła, jakby chciał przesłonić całe niebo. Gniazdo zachwiało się pod jego ciężarem, a kruche gałązki pękały w uścisku szponów. Orlica była ogromna. Chyba dorównywała wzrostem Menie. Maeben. Nie było wątpliwości, że to Maeben. Dziobem mogła zmiażdżyć twarz Meny, a jej szpony były ostrymi sztyletami, których jednym pociągnięciem mogła ją wypatroszyć. Mena to wiedziała, a jednak cieszyła się, że w końcu staje z nią twarzą w twarz. Przepęniały ją emocje, lecz nie był to strach. Nigdy nie czuła większej nienawiści, niż w tym momencie. Być dzieckiem porwanym przez tego potwora... tylko dzieckiem...

Zaczekaj, pomyślała. Zaczekaj, aż się zbliży.

Przez chwilę panowała cisza, a potem orlica wrzasnęła. Krzyk był ostry i przenikliwy, nie taki jak wołanie pisklęcia. Maeben trąciła je, cofnęła się i znów przybliżyła, wiedząc już, że coś jest nie tak.

Mena odepchnęła martwe pisklę i zamachnęła się, celując w głowę ptaka. Mogła wtedy zakończyć całą sprawę, ale szabla zahaczyła o gałąź i tylko musnęła dziób.

Maeben wzniosła się z wrzaskiem w powietrze, dając upust swemu oburzeniu. Wrzasnęła jeszcze raz i to tak wściekle, że Mena zamknęła oczy. Miała wrażenie, że dźwięk ten rozorał jej twarz tak, jak mogły to zrobić szpony. Otworzyła z powrotem oczy.

Orlica całą swą siłą i ciężarem runęła na nią, szponami do przodu. Mena cofnęła się chwiejnie, zawadziła o coś piętą i wypadła z gniazda. Usiłując się czegoś chwycić, puściła szablę, kiedy spadała, palcami lewej ręki natrafiła na linę. Włókna rozdarły jej dłoń, śliskie i jednocześnie szorstkie. Chwyciła linę drugą ręką. Szarpnęło nią i zatrzymała się. Wtedy pękło to, co trzymało hak. Mena spadała przez kilka gorączkowych sekund, aż uderzyła w gałąź. Ta złamała się niemal natychmiast, lecz na tyle spowolniła upadek, że dziewczyna zdążyła zerknąć w dół i chwycić się gałęzi pod nią. Uderzyła w nią piersią, zakręciła się wokół niej i spadła na splecione gałęzie poniżej. To ją zatrzymało. Lina opadła tuż obok i jeden z haków wbił się jej w nogę.

Chciała krzyknąć, lecz wydarzenia następowały tak szybko po sobie, że nie mogła na to tracić czasu. Uderzone wściekłym podmuchem wiatru i kroplami deszczu niczym lodowatymi kamykami, drzewo wychyliło się bardziej niż dotąd. Wzdłuż przegniłego pnia rozeszły się drgania. Mena poczuła, że pękł gdzieś poniżej i za chwilę drzewo się przewróci.

Maeben znów uniosła się w powietrze i, bijąc skrzydłami, usiłowała zaatakować Menę dziobem i szponami. Dziewczyna wyszarpnęła hak z nogi i cisnęła nim w głowę ptaka. Nie

trafiła, ale hak wraz z liną poszybował za drapieżnika, nad jego skrzydłem. Lina na moment zawisała w powietrzu. Wielki ptak trzepotał skrzydłami; skupiony na swej ofierze, szukał dogodnej chwili do ataku, nie zważając na powolny ruch drzewa. Wydawało się, że chwila ta będzie trwać wiecznie.

Wtedy drzewo nagle runęło. Mena poczuła, że oddała się od orlicy. Spadała wraz z pniem, lecz nie spuszczała z niej wzroku. Zobaczyła, jak lina się napina, a jej koniec, który zaczął opadać za ptakiem, przyspiesza, ciągnięty przez drzewo. Lina się naprężyła. Wcięła się w skrzydło, przeorała pióra i kość, a hak wbił się w ciało orlicy przy stawie barkowym. Lina – której drugi koniec zaplątał się w gałęzie walącego się olbrzyma – szarpnęła Maeben w dół z ogromną siłą. Orlica otworzyła z niedowierzaniem dziób; skrzydła złożyła blisko ciała, a w jej oczach po raz pierwszy pojawiło się przerażenie.

Mena widziała dosyć. Odepchnęła się od padającego drzewa, obróciła w powietrzu z rozłożonymi rękami, jakby też umiała latać, i spojrzała na pędzący ku niej baldachim liści.

KONIEC KSIĘGI II

KSIĘGA III

ŻYJĄCY MIT

ROZDZIAŁ 51

Hanish długą chwilę leżał bez ruchu, świadom przytulonego do niego ciała. Nie chciał jej budzić, rozmawiać, uśmiechać się i zaczynać dnia frazesami kochanka. W każdym razie tak to sobie tłumaczył. Lepiej tłumić uczucie, jak dobrze jest dotykać jej nagiego ciała. Lepiej nie przyznawać w pełni, jak to wspaniale mieć palce oplątane jej lokami. Wiedział, że jej ślady pozostaną na nim na wiele sposobów. Sprawiało mu to przyjemność, lecz lepiej było nie przyznawać, że trwa w bezruchu, żeby wchłonąć jej w siebie jak najwięcej. Cały dzień będzie miał jej smak na języku, w kącikach ust, będzie czuł jej zapach unoszący się z jego ciała. Wolałby nie myśleć o tym wszystkim, lecz nie mógł myśleć o niczym innym.

Żadna kobieta przed Corinn Akaran nie była tak głęboko obecna w każdej świadomej chwili jego istnienia. Od tamtej nocy w Calfa Ven nie przestawał o niej myśleć. Nie chciał nazwać uczucia, jakie w nim budziła, lecz nie znaczyło to, że nie wyczuwa tego słowa – niejasnego i sentymentalnego – wiszącego w powietrzu między nimi. Tamtej pierwszej nocy była nieśmiała, niepewna siebie, wstydliva i przez to tym bardziej atrakcyjna. Jednak jej powściągliwość trwała krótko. Wydawało się, że skoro już mu się oddała, to chce to zrobić całkowicie, bez reszty. Jej usta były tak głodne pocałunków, że go to oszołamiało; wargi, język i zęby pożerały go jednocześnie. Wydawało się niemal, że to ona go pokonała, a nie on ją. Niepokojąca myśl.

To niezwykle, jak bardzo był szczęśliwy, mając ją blisko przy sobie. Kiedy nie było jej w pobliżu, albo intensywnie o niej myślał, albo odczuwał niepokój. Zanieczyliwał swoich towarzyszy. Wiedział, że czują się urażeni. Zważywszy na ich próżność, nie powinien na długo pozbawiać ich pochwał, lecz już sama myśl o tym wydawała mu się męcząca. Nikt inny nie wydawał mu się tak interesujący jak Corinn. Patrzenie na żadną inną twarz nie wprawiało go w tak dobre samopoczucie. Nikt go nie słuchał tak jak ona. Z nikim innym takie przyjemne rozrywki, jak strzelanie z łuku, na którym spędzali całe godziny, nie stawały się taką przyjemnością. Była o wiele lepszą łuczniczką od niego. Z jakiegoś powodu fakt ten cieszył go jak samodzielnie wymyślony żart.

Co sobie myślał, kiedy to zaczynał? Tak zapytany odpowiedziałby, że chciał trzymać królową przy sobie, by jej pilnować i mieć pewność, że będzie pod ręką, kiedy stanie się potrzebna Tunishnevre. Kiedy więc obowiązek zmienił się w ten wir uczuć? Wiedział, że to

niebezpieczne. Jego myśli nie były już tak skupione i jasne jak przedtem. Choćby poprzedniego dnia, gdy z zaskoczeniem uświadomił sobie, że zadano mu pytanie, którego wcale nie usłyszał. Wpatrywał się w niego krąg zatroskanych i zaskoczonych twarzy. Nie był w pełni sobą, do tego stopnia, że nie chciał i nie potrafił pozbyć się tego, co go osłabiało. Powinien pokazać Corinn, gdzie jest jej miejsce. Powinien publicznie przeciąć nić łączącego ich uczucia ostrzem dowcipu. Przecież tak łatwo było ją obrazić. Łatwo się unosiła. Kilka drwiących uwag pod jej adresem rozpałoby w niej gniew, co byłoby lepsze od sytuacji, w jakiej się teraz znajdował Hanish.

Lecz po prostu nie mógł tak postąpić. Dlaczego miałyby to zrobić? Trzeba wziąć pod uwagę wszystko, czego dokonał w życiu. Wszystko, co zdobył dla swego ludu. Pokonał Znany Świat! W tej chwili Tunishnevre zjeżdżają z Methaliańskiej Krawędzi i tylko tygodnie dzielą przodków od wyzwolenia. To sukces Hanisha umożliwił Maeanderowi przeniesienie poszukiwań drugiej Akaranki aż na Vumu. Jeśli ją znajdzie, będą mieli potrzebną im krew z drugiego źródła. Corinn nie musi oddawać swojej, nie musi umrzeć. Zważywszy na to wszystko, dlaczego miałyby odmawiać sobie miłości?

Och, to słowo! Sam fakt, że sformułował w myślach takie zdanie, zmusił go do wstania. Odsunął się delikatnie od królowej, naprawdę nie chcąc jej teraz obudzić, nie chcąc nic mówić. Wyciągnięcie ręki spod jej szyi, lepkiej od ich zmieszanego potu, trwało wieki.

Nieco później, ubrany w thalbę, sprawiając wrażenie całkowicie swobodnego i lodowato spokojnego, Hanish czytał w swoim gabinecie listy przyniesione mu przez sekretarzy. Pierwszy był fragmentem dziennika prowadzonego przez Haleevena. Jego wpisy były szczegółowe, skrupulatne i szczere. Ponieważ otrzymywał taką korespondencję przynajmniej dwa razy w tygodniu, śledził każdy krok podróży Tunishnevre. Żaden z jej etapów nie był łatwy. Już samo wydobycie przodków z ich komór grzebalnych stanowiło ciężką próbę. Całe pomieszczenie zostało wybudowane tak, by stanowiło ich dom w nieskończoność. Pierwsi architekci nie brali pod uwagę możliwości, że pewnego dnia przodkowie mogliby zostać stamtąd zabrani. Ciała były stłoczone w wysoko spiętrzonych niszach.

Haleeven kazał zbudować rozmaite pochylnie i bloczki. W tej ciasnej przestrzeni było to skomplikowane zadanie. Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach trudno byłoby wymóc na robotnikach konieczną uwagę i precyzję, a szczególnie trudne było to w sytuacji, kiedy wszyscy się denerwowali kipiącą wokół niematerialną obecnością. Pewnej nocy niemal pięćdziesięciu robotników uciekło z prowizorycznego obozu przed bramami Tahalian. Trzeba było dogonić i schwytać każdego z nich. Zostali potem ukarani w sposób, który skutecznie

powstrzymał innych mających podobne pomysły.

Trzymanie robotników w ryzach; ochrona, zapewnienie pomieszczenia i transport przodków; przypochlebianie się kapłanom; utrzymywanie dróg rozmiękczonych przez wiosenną odwilż; przedzieranie się przez chmury żarłocznych owadów; pokonanie stromego zjazdu z Krawędzi do Lasów Eilawańskich – każde z tych zadań stawiało przed Haleevenem niezliczone wyzwania. Teraz wreszcie jechali przez lasy, zdążając ku terenom rolniczym, ciągnącym się aż do wybrzeża. Najtrudniejszą część mieli już za sobą, chociaż w swych raportach Haleeven uprzedzał, że będą jechać powoli. Znajdowali się już na utwardzonych drogach, lecz nie mogli poruszać się szybciej z obawy przed wstrząsami, które mogłyby mieć na przodków niekorzystny wpływ. Teraz ich stan wymagał delikatniejszego obchodzenia się niż kiedyś.

Była też inna korespondencja. Jeden z listów przysłał zarządca opiekujący się wyspą za murami pałacu i dolnym miastem. Twierdził, że akacje, które sumiennie wyrąbał, a pniaki spiłował do korzeni, puszczają nowe pędy. Drzewa były wytrzymalsze, niż sądzili. Najwyraźniej wcale nie obumarły i, jeśli ma je powstrzymać przed powrotem na wyspę, będzie to wymagało od niego nieustannego wysiłku.

Inna przesyłka nosiła pieczęć Sire'a Dagona. Prosił o audiencję. Użył słowa „prośba”, lecz przedstawiciel ligi określił termin spotkania z taką stanowczością, że było to bardziej żądanie. Świetnie, pomyślał Hanish. Najwyższy czas, by Liga Statków się do niego zgłosiła. Bez względu na to, czy taki był cel Sire'a Dagona, Hanish postanowił, że spotkanie będzie dotyczyło głównie tej kwestii.

Zawsze go zaskakiwał wygląd przedstawicieli ligi. Byli tak chudzi i wąтли, kłóciło się to z ich zachowaniem świadczącym o całkowitym spokoju i niewzruszonym opanowaniu. Sire Dagon miał na sobie czapczkę oblamowaną paskami złota. Jego wychudła twarz była bledsza niż zazwyczaj, a szyja wydawała się dłuższa niż ostatnim razem, kiedy się widzieli, lecz Hanish uznał, że oczy płatają mu figla.

Uklonili się sobie i Sire Dagon usiadł, a raczej zapadł się w fotel i westchnął ze zmęczenia. Wsunął rękę za pazuchę i wyjął krótką fajkę do palenia mgły. Wyglądała na zrobioną z błękitnego szkła; miała małą główkę i cieniusieńki ustnik. Podniósł wieczko główki długim paznokciem i sprawdził ubitą substancję. Natychmiast zaczęła się tlić, jakby została zapalona wcześniej albo sprawiło to otwarcie wieczka.

– Zaproponowałbym ci fajkę, lecz wątpię, byś poradził sobie z mgłą o takim stopniu czystości – powiedział.

Hanish przekrzywił głowę i zaraz ją wyprostował, a usta lekko ściągnął, tylko tyle, by

wyrazić pogardę dla narkotyku.

– Zbyt mało wiem o tym, w jaki sposób liga reaguje na atak na pomosty. Musisz poszerzyć moją wiedzę.

Przedstawiciel ligi dość długo milczał, zanim ponownie się odezwał, chcąc okazać, że robi to z własnej woli, a nie na rozkaz Hanisha. Rozpoczął od niejasnych stwierdzeń, że straty na pomostach są różnorodne i stwarzają problemy obecnie oraz będą stwarzać w dalszej przyszłości. Tymi ostatnimi liga zajmie się w odpowiednim czasie. Na razie istnieje paląca kwestia opóźnienia dostawy Kontyngentu dla Lothan Aklun. Nie chodzi jednak tylko o czas. Wybuchy i następujące po nich pożary na pomostach strawiły magazyny, w których przechowywano Kontyngent przed transportem. Był to dość rozległy kompleks budynków, właściwie miniaturowe miasto. W powstałym chaosie produkt – jak Sire Dagon określił małych niewolników – zbuntował się. Dzieci uciekły na inne pomosty. Zaczęły roznosić ogień, biegnąc zaułkami z pochodniami wysmarowanymi smołą. Inspektorat Ishtat zgniótł bunt, lecz wszystkie pomosty uległy poważnym zniszczeniom. W końcu trzeba było odciąć sektor z magazynami i odciągnąć go dalej, by się wypalił. Cały produkt został zniszczony. Cała dostawa.

– Powinieneś być powiedzieć mi o tym wcześniej – rzekł Hanish.

Sire Dagon pociągnął z fajeczki. Wydmuchnął kłęb błękitnego dymu i powiedział obojętnym tonem:

– Nie uważamy spraw ligi za twój interes.

– To jest mój interes. Od kiedy nie mamy wspólnych interesów?

Przedstawiciel ligi wbił w Hanisha wzrok, który być może miał być gniewny, lecz z wyniszczonych rysów Sire'a Dagona trudno było odczytać jakiegokolwiek emocje.

– Liga to przedsięwzięcie handlowe. Dla nas wszyscy są przeciwnikami, a najwięksi z nich to nasi zamożni klienci. Jestem zdumiony, że jeszcze sobie tego nie uświadomiłeś.

Hanish uświadomił to sobie dawno temu. Liga przetrwała wojnę na spokojnych wodach i wyszła z niej w o wiele lepszej kondycji, najwyraźniej niewiele dbając o los Akaranów, z którymi handlowała od dwudziestu dwóch pokoleń. Kiedyś wydawało mu się to korzystne dla jego interesów. Teraz brak lojalności ligi go niepokoił. Lepiej jednak tego nie okazywać. Zaczął się zastanawiać na głos:

– Zbójcy chyba nie zamierzali osiągnąć takiego efektu. Według powszechnego przekonania walczą ze zorganizowaną tyranią. Chcą uwalniać niewolników, a nie ich palić.

– Takie są nieprzemyślane skutki używania przemocy pod przykrywką ideologii. Najbardziej odczuwają je niewinni. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. – Zmarszczył z

irytacją brwi. – Ze zbójcami rozprawimy się niebawem. Żadne siły nie są do tego przystosowane lepiej niż Inspektorat Ishtat. Kiedy ich znajdziemy, zgnieciemy ich raz na zawsze.

Hanish ruchem palca dał znać, że chce zadać pytanie.

– Kiedy ich znajdziecie? Sądziłem, że macie szpiegów na każdej skale wznoszącej się z Szarych Zboczy.

– Owszem, ale od czasu ataku na pomosty grupa dowodzona przez Szprotka zniknęła.

– Doprawdy?

Sire Dagon zerknął na Hanisha, sprawdzając, czy ton pytania odpowiada wyrazowi jego twarzy. Zaciśnął wąskie wargi na ustniku, wciągnął dym i przez chwilę trzymał go w płucach.

– W tej chwili liga natychmiast musi uzupełnić straty. W tym celu ułożyliśmy plan zabrania jednostek z przybrzeżnego miasta Luana, na północ od Candovii. Powetujemy sobie straty jedną akcją.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że zabierzemy jednostki z Luany. Przybędziemy pod osłoną nocy, opanujemy miasto i odpłyniemy z potrzebnym nam produktem.

– Z niezbędnymi wam dziećmi – uściślił Hanish. – To znaczy z iloma?

– Z dwoma tysiącami – odparł beznamiętnym tonem Sire Dagon.

Zanim Hanish zdołał zareagować, wyjaśnił, że obecnie w tym rejonie jest obchodzone święto, które gromadzi jego mieszkańców. W mieście zbierają się przede wszystkim dzieci, by uczcić powrót wiosny, święto przyciąga je z okolicznych wiosek i miasteczek. To będzie przedsięwzięcie doskonałe. Trudno będzie znaleźć dzieci spełniające zwykłe wymogi, więc być może będą musieli wziąć pewną ich liczbę spoza najlepszego przedziału wiekowego. Uważają jednak, że to najlepszy sposób rozwiązania problemu.

Kiedy skończył, Hanish wbił w niego wzrok. Dwa tysiące? Taka liczba będzie oznaczać niemal wszystkie dzieci w regionie. Miał ochotę uderzyć Dagona w kościstą twarz za te słowa. Dwa tysiące? Było to sprzeczne ze wszystkimi gwarancjami i przyjętymi zasadami Kontyngentu. Obnażało barbarzyństwo systemu w sposób mogący ich całkowicie pogrążyć.

Przez jakiś czas masował sobie skronie. Pomyślał o Corinn. Powie jej o tym wszystkim później. Chciał spojrzeć jej w twarz i posłuchać jej odpowiedzi, by zyskać jakiś punkt odniesienia wobec własnych uczuć. To mogłoby pomóc. Coraz trudniej było mu ocenić wpływ własnych decyzji na świat. Ona mu pomoże.

– Wiesz co – powiedział – niektórzy twierdzą, że liga przestała być użyteczna. Mówią, że bierzecie za dużo, a dajecie za mało.

Sire Dagon prychnął.

– Jakiż to uczony doradca wyszeptał ci to do ucha?

Hanish zignorował pytanie.

– Spodziewasz się, że pozwolę wam zabrać całe pokolenie? Nie mogę tego zrobić. I nie zrobię. W prowincjach i tak już panuje znaczne napięcie. Jaki naród w Znanym Świecie nie uzna takiego działania za zagrożenie dla siebie? Ci ludzie będą wściekli. To może się okazać iskrą, która zapoczątkuje rozmaite niepokoje. Nie, musicie znaleźć jakiś inny sposób. Świat trzeba nadal na nowo zaludniać, a nie pustoszyć.

Sire Dagon zamknął wieczko fajki pstryknięciem palca i schował ją. Przyglądał się wodzowi przez chwilę, a potem powiedział:

– Nie wyraziłem się jasno, Hanishu. Rozkazy już zostały wydane. Akcja najprawdopodobniej odbyła się wczoraj. Moja wizyta to uprzejmy gest, żebyś nie był zaskoczony, kiedy dotrze do ciebie wiadomość. Marszcz brwi, ile chcesz, Hanishu. Groź mi. Wściekaj się. Uduś mnie, jeśli chcesz, lub przebij sztyletem, który nosisz u pasa. Jestem całkowicie na twojej łasce. Wiesz, że jeśli to zrobisz, będziesz jak mrówka gryząca człowieka w mały palec u nogi. W jednej chwili gryziesz, w następnej zostajesz zgnieciony. Rządzisz Znanym Światem, bo tak się podoba Lidze Statków. Jeszcze tego nie zrozumiałeś? A bunt, którego się obawiasz, już się zaczął. Do wywołania go nie trzeba było naszych działań. Spójrz na prowincje, Hanishu. Spójrz na Talay, przyłóż ucho do ziemi, a usłyszysz imię, które ci ludzie wypowiadają z coraz większą natarczywością. Zobaczysz, że masz dość kłopotów. Nasze sprawy zostaw nam. I wiedz, że ten bunt jest niczym w porównaniu z ryzykiem rozgniewania Innych Krain.

– A więc jednak kogoś się boicie – rzekł Hanish. – Obrażasz mnie, pokazujesz miejsce, które twoim zdaniem powinienem zajmować, ale Lothan Aklun się boisz.

Sire Dagon wstał, gotów do odejścia, lecz coś w słowach Hanisha go poruszyło. Spojrzał na wodza niemal łagodnym wzrokiem.

– Tak mało rozumiesz z funkcjonowania świata. My się nie boimy Lothan Aklun. Oni nie różnią się tak bardzo od nas, przedstawiciele ligi, poza tym, że ich bogactwo przewyższa nasze. Ci, których mamy powody się obawiać, mieszkają tuż za Lothan Aklun. To z nimi handlują Lothan, tak jak wy handlujecie z nami.

W ciągu ostatnich kilku chwil Hanish poznał zbyt wiele nowych informacji, by je wszystkie zrozumieć. Nie wiedział, o co zapytać najpierw, i poczuł niemal młodzieńczą

potrzebę nieokazywania zaskoczenia.

– A jak się nazywa ten lud? – zapytał obojętnym tonem, jakby odpowiedź nie była dla niego szczególnie ważna.

– Auldekowie – odparł Sire Dagon po chwili zastanowienia, czy powinien w ogóle odpowiadać. – Nigdy nie widziałeś żadnego z nich i raczej nie zobaczysz. Gdybyś zbyt wiele o nich wiedział, nie mógłbyś spać w nocy. Tak, nawet ty, wodzu. Lecz wierz mi, Hanishu, w dniu, w którym uznają, że warto się nam przyjrzeć – aby nas ukarać, samemu zagarnąć produkt czy choćby z czystej ciekawości – świat, który kochasz, skończy się na zawsze. Jedynie Liga Statków zapewnia mu równowagę.

Przedstawiciel ligi wstał, szykując się do odejścia.

– Nie idź – poprosił Hanish. Przełknął dumę. – Dziękuję... dziękuję, że powiedziałeś mi o Luanie. Rozumiem, że w tych burzliwych czasach liga musi działać zdecydowanie. Nie będę was za to winił. Jednak byłoby mi łatwiej, gdybyś posiedział jeszcze chwilę ze mną i powiedział o innych sprawach, o których nie wiem. Lepiej, żebyś się podzielił ze mną wiedzą, niż żebym ja działał przeciwko tobie. Chyba się z tym zgodzisz?

Sire Dagon zastanowił się. Nic nie powiedział, lecz z powrotem osunął się na fotel i poklepał po kieszeni w poszukiwaniu fajeczki.

ROZDZIAŁ 52

Tak czarnych i wzburzonych mórz, jak te na południe od wybrzeży Talay, zbójcy z Wysp Zewnętrznych jeszcze nie widzieli. Zbiegały się tu prądy z obu stron kontynentu, mieszając swe wody. Od pięciu dni „Ballanem” miały w górę i w dół fale wielkości gór. Statek przechylał się na szczycie każdej z nich jak ptak zrywający się do lotu, a potem spadał po drugiej stronie, przez chwilę pędząc ku głębinom. Marynarze, którzy nigdy w życiu nie mieli choroby morskiej, chodzili na miękkich nogach, żółci na twarzach, porzucali wszelkie udawanie i butę. Zwracali wszystko, co zjedli, a jeszcze później usiłowali oddać morzu nawet swoje wnętrzności.

Ku północy linia brzegowa Talay ciągnęła się monotonnym pustkowiem; stanowiła odległą, rozmazaną linię wydm pozbawionych wszelkich drzew, gór czy ludzkich osiedli. Chociaż była tak niegościnna, Szprotek marzył o wyczołganiu się na brzeg, gdzie, przemoczony i zasmarkany, usiadłby na piasku i pomachał znikającemu w oddali „Ballanowi”. Takie nieprawdopodobne fantazje pomagały jakoś przetrzymać to wszystko.

Widzieli rzeczy, o których dotąd tylko słyszeli opowieści. Nocą na niebie falowały światła, jak wielobarwne roztrzepotane wstążki. Szprotek usiłował usłyszeć wydawane przez nie dźwięki, pewien, że tak potężne eksplozje koloru muszą rozdzierać powietrze jak grzmot. Towarzysząca im cisza nie wydawała się normalna. Raz rodzina wielorybów wykonała powietrzny balet z prawej burty: wyskakiwały po kolei w powietrze, przechylały się na jedną stronę i waliły w dół, wzbijając fontanny spienionej wody. Kiedy indziej minęli olbrzymią wyspę pływającego lodu. Na jej widok człowiek stojący na oku wrzasnął wysokim, przenikliwym głosem. Później przyznał, że bał się, że natknęli się na krainę duchów, coś, czego mieszkańcy Znanego Świata nie powinni oglądać, bo spotka ich za to kara. Szprotek zmierzwił wtedy chłopakowi włosy, lecz sam żywił podobne obawy. Ledwie mógł uwierzyć, że podjęli tę wyprawę, i wciąż ze zdumieniem wspominał, jak bardzo jego załoga ułatwiła mu to zadanie.

Stało się to zaledwie parę dni po ataku na pomosty. Kiedy o zachodzie słońca wszyscy zebrali się na pokładzie „Ballana”, Szprotek podniósł głowę znad herbaty i powiedział:

– Mam wam do powiedzenia kilka rzeczy. Możecie pomyśleć, że niektóre z nich są szalone, ale i tak je powiem.

Zaczął od wyznania, że kocha każdą minutę spędzoną wśród nich. Cudownie było przemieszczać się z miejsca na miejsce przez całe Wyspy Zewnętrzne, prowadząc życie niebezpieczne i swobodne, kierując się tylko tymi prawami, które wspólnie uznawali. Każdego z nich uważa za brata lub siostrę, ciotkę albo wuja. Wymieniał poszczególne osoby z imienia. Przywoływał wspólne chwile z przeszłości. Stanowili wspólnotę, prawda? Mieli prawdziwego wroga w Lidze Statków i stawiali mu czoło więcej razy, niż mogli na to liczyć. Był z tego dumny.

Kłopot w tym, powiedział, że nie może tak żyć bez końca. Przybył z Morza Wewnętrznego, z samego serca Znanego Świata. Uciekł przed wielką zawieruchą i usiłował o tym zapomnieć. Starał się zostawić przeszłość za sobą i udawać, że nie ma z nią nic wspólnego. Prawie mu się to udało. Lecz nie całkowicie. Tak naprawdę nigdy nie zapomniał. Nie mógł udawać, że nie jest odpowiedzialny przed rodzinnym krajem, swoją krwią i swoim przeznaczeniem. Nadszedł czas, by pogodzić się z losem, co od paru lat odwlekał. Oto, co zamierza zrobić.

Niemal przepaszającym tonem zauważył, że skoro Dovian odszedł, „Ballan” należy do niego. Nie będzie rozkazywać nikomu, kto nie chce się do niego przyłączyć, ale zamierza poprowadzić statek na południe wokół Talay, wrócić wzdłuż jego wschodniego wybrzeża i wpłynąć na Morze Wewnętrzne. Jeśli Leeka Alain ma rację, to szykuje się wojna. Ma powody nienawidzić Hanisha Meina i jeśli leży to w jego mocy, zamierza pomóc w zakończeniu jego rządów. Ma nadzieję, że przynajmniej parę osób spośród słuchających go zechce popłynąć wraz z nim. Lecz wszyscy muszą samodzielnie podjąć decyzję. Będzie niebezpiecznie, szanse na zwycięstwo są nikłe, a ostateczna nagroda niepewna, lecz...

– Cóż, to mniej więcej wszystko, co mogę o tym powiedzieć.

Przez chwilę siedział w milczeniu. Prawda była taka, że nie powiedział wszystkiego. Jedyna rzecz naprawdę trudna do wyjawienia wciąż nie została powiedziana. Dovian go do tego nakłaniał – właściwie kazał mu obiecać, że to zrobi – i Szprotek sam zaczął wierzyć, że musi to powiedzieć. Musi się przyznać do swojej tożsamości.

– Zanim się zdecydujecie, jest coś jeszcze...

Znów się zawahał. Mężczyzna nie może na powrót stać się chłopcem, a mimo to miał wrażenie, że wraca do pełnej przerażenia egzystencji dziecka, zawierając światu, który na tę wiarę nie zasłużył. Gdyby Szprotek powiedział to, co chciał, przyznałby, że jest drżącym, zapłakany, samotnym dzieckiem pozostawionym w zrujnowanej chacie w górach. Że jest bezsilny, porzucony i patrzy przez szpary na ogromny świat, którego w ogóle nie obchodzi. A kto go uratuje tym razem?

– Szprotku, my nie siedzimy w twojej głowie, chłopie – odezwał się jak zwykle zrzędlawie Nineas. – Cokolwiek to jest, wyrzuć to z siebie, żebyśmy wszyscy usłyszeli.

– Chcę was prosić, żebyście już nie nazywali mnie Szprotkiem. – No, wypowiedział pierwszą część. Nie było tak źle. Twarze obserwujących go ludzi nie wyrażały zaskoczenia, krytyki czy pogardy. Nie zauważył też wesołości. – To było imię dla ukrywającego się chłopca. Jestem za nie wdzięczny, ale już się nie ukrywam. Jeśli od tej pory chcecie mnie nazywać po imieniu, to nazywajcie mnie Darielem. Dariel Akaran. Oto, kim jestem.

Nie podobała mu się cisza, jaka zapadła po jego słowach. Gdzie się podziała jego pewność siebie? Pewność, którą czuł, dowodząc w bitwie? W prostej prośbie o nazywanie go jego prawdziwym imieniem było coś tak dogłębnie upokarzającego, że Dariel chciał się schować sam w sobie. Jednak nie żałował tego. Przewodzenie tym wojownikom i wojowniczkom nie będzie miało sensu, jeśli nie uznają jego tożsamości. Nie mogli prowadzić walki z Hanishem Meinem, jeśli tego nie chcieli, a jedyne, co Dariel mógł dla nich zrobić, to być wobec nich szczerym.

– Jeśli jesteś królewiczem, to my wszyscy jesteśmy członkami twego dworu – odezwał się jakiś głos. – Tak?

– Zawsze wiedziałam, że mam szlachectwo we krwi – zaszczębiotała Geena, mrużąc oczy, co było u niej oznaką wesołości.

Clytus wstał z uśmiechem i podszedł do Dariela.

– Nie rób takiej zaskoczony miny, królewiczu Darielu Akaranie. Nikt z nas ci się nie sprzeciwi. Większość z nas od dawna wiedziała, kim jesteś. Zadbał o to Dovian.

Wzmianka o Dovianie – o Valu, skoro on znów był Darielem – niemal doprowadziła go do łez. Ukrył to pod butnym zachowaniem. Zapytał, kto z nich ma jaja, by wydać Hanishowi Meinowi wojnę. Pierwsza odpowiedziała Sikorka, a za nią wielu innych.

Tak się zaczęła ta podróż, od entuzjazmu i poczucia koleżeństwa. Dariel wspominał to z radością. Ani przez moment nie traktował lojalności swojej załogi jako rzeczy oczywistej. Nie izolował się też od swoich ludzi, przecież był ich dowódcą. Kwestia „królewicza” nic między nimi nie zmieniła. On się nie wywyższał, a oni nie zaczęli traktować go z nowym szacunkiem. Sprawy ułożyły się dokładnie tak, jak tego pragnął.

Wyłaniając się zza krzywizny brzegów Talay i wreszcie na powrót zmierzając na północ, „Ballan” minął w bliskiej odległości statek handlowy ligi zmierzający na południe. Jego kapitan wystawił kuszników i wyraźnie dawał do zrozumienia, że z radością stoczy potyczkę. Lecz zbójcy mieli wiatr od rufy i przemknęli obok wroga, nie zwracając na niego uwagi. Dariel kazał podnieść banderę. Niech wiedzą, kim jesteśmy i niech się zastanawiają,

co knujemy, pomyślał.

Od tygodnia żeglowali na północ, tnąc dziobem coraz cieplejsze morza. Przez następne kilka dni płynęli ostrożnie i powoli wzdłuż wybrzeża na południe od Teh, dyskutując, gdzie przybić do lądu. Kierując się radą Leeki, Dariel nie opłynął przylądka. Samo Teh było zamieszkane przez hordy uwielbiających słońce Numreków. A dalej na Morzu Wewnętrznym kręciło się zbyt wiele statków. Ostatecznie „Ballan” zawinął do miasta handlowego Falik, balbarskiego portu stanowiącego bramę prowadzącą ze wschodniego Talay do wnętrza kontynentu.

Od momentu kiedy Dariel postawił stopę na pomoście i zaczął negocjować wysokość opłat portowych, nie miał wątpliwości, że znalazł się na skraju wspaniałej, ludnej i zupełnie odmiennej kultury. Wszędzie wokół siebie czuł niemal dotykającą obcość. Znał różne kultury, inne od akacjańskiej. Jego załoga stanowiła mieszaninę ras i jej członkowie z dumą trzymali się swego pochodzenia oraz obyczajów. Lecz Dariel zwykle doświadczał odmienności na niewielką skalę, wśród garstki ludzi związanych wspólnym celem. W Faliku, gdzie by nie spojrzeć, widział ścianę ciemnych twarzy. Nos atakowały zapachy nieznanego mu jedzenia, współzawodnicząc między sobą o jego uwagę, dezorientując go. Nie wiedział, czy dźwięki bombardujące jego uszy to jeden język, czy wiele pomieszanych języków. Tak czy owak, jeszcze nigdy nie słyszał tak niezrozumiałej mieszanki ludzkiej mowy.

Chociaż on wytrzeszczał oczy ze zdumienia, Balbarowie nie okazywali mu zbyt wielkiego zainteresowania. Zajmowali się swoimi sprawami, jakby był przezroczysty i nie zasługiwał na nic więcej niż krótka rozmowa. Czuł się smutno blady w porównaniu z nimi, jak szklanka słabej herbaty unosząca się w morzu czarnej kawy. Nie chodziło nawet o to, że byli tam wyłącznie Balbarowie albo Talayanie. Tłum tworzyło o wiele więcej ras. Może u czterech na dziesięć osób było widać ich obce pochodzenie. Lecz obecność Balbarów była tak przemożna – z ich kolorem skóry, grubymi rysami twarzy i muskularnymi ciałami – że zawsze wydawało się, że jest ich więcej niż w rzeczywistości.

Dariel zostawił większość załogi na „Ballanie”. Do wioski, którą podobno jego brat przez te wszystkie lata nazywał domem, wyruszył tylko z Leeką, Sikorką i Clytusem. Pierwszego dnia po przybyciu do Palishdocku Leeka powiedział, że Aliver ukrywa się w wiosce Umae. Stary żołnierz twierdził, że Thaddeus wiedział o tym cały czas i kazał Leece sprowadzić tam Dariela, kiedy chłopak będzie do tego gotowy. Teraz wydawało się, że Dariel jest gotowy, chociaż on sam nie był tego całkiem pewien.

Opuszczając Falik, zmieszali się z tłumem ludzi zmierzających w głąb lądu. Byli to zakurzeni podróżnicy, którzy podobnie jak oni przemierzali całe kilometry pieszko, chociaż

niektórzy z nich prowadzili wielbłądy, konie i muły obładowane wszelkimi towarami. Ze względu na potrzebę zachowania anonimowości dobrze było iść wśród innych ludzi, jako jedni z wielu podążających twardą drogą przez zrudziałą okolicę porośniętą krzakami i akacją. Dariel sądził, że po oddaleniu się od portu tłum się przerzedzi, a ludzie zaczną się rozchodzić do rozmaitych miejscowości, do których zmierzali. Po trzech, czterech dniach nie zapowiadało się na nic takiego. Dariel nie potrafił ocenić, jak w tym rejonie zwykle wygląda ruch pielgrzymów i kupców, lecz wkrótce zdał sobie sprawę, że unosząca go fala podróżnych nie jest normalna. Ciągłe ich przybywało. Po przebudzeniu każdego ranka widział, że podczas nocy wyrosło wokół niego więcej namiotów. Zaczął rozumieć, że ludzie mówią o buncie, o zmianie, o wojnie. Zmierzali w stronę tej samej pożogi co Dariel.

Leeka szedł obok niego z większą swobodą niż kiedykolwiek przedtem. Gdy rozpoczęli podróż, stary generał wyraźnie się odprężył. Miał już za sobą ciężką pracę przekonania Dariela, by stanął twarzą w twarz ze swoim losem. Teraz wydawało się, że są na jakiejś przyjemnej wycieczce. Surowe rysy twarzy Leeki złagodniały. Dariel po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy był on ojcem. Czy miał żonę? Teraz mógłby być dziadkiem, a sądząc po jego wyglądzie, całkiem sympatycznym.

– Sprawiasz wrażenie dość zadowolonego z siebie – zauważył raz Dariel.

– Jestem zadowolony ze świata – brzmiała odpowiedź Leeki.

Pod koniec piątego dnia Dariel zapytał go, czy zbliżają się do jakiegoś wielkiego miasta albo ośrodka handlu. Myślał, że po drodze do Umae, która była mała, będą mijać tylko inne małe miejscowości. Leeka odparł, że ta trasa łączy wioski i że na horyzoncie nie ma żadnego wielkiego miasta.

Dariel wpatrywał się w dal, jakby w to wątpił, jakby, wyteżając dostatecznie wzrok, mógł zobaczyć budynki wznoszące się spomiędzy koron rzadko rosnących akacji.

– Może powinniśmy zejść z głównego szlaku i podróżować samotnie – powiedział.

Nie wiedział, dlaczego przyszło mu to do głowy. Czuł się dość bezpiecznie. Tyle że przez całe swoje życie zbójcy Dariel przebywał wśród małych grup ludzi. Piraci byli rozrzućeni po całym archipelagu. Towarzystwo tak wielu ludzi zaczynało go denerwować, szczególnie, że mieli przemierzać pustkowiec talayskiego interioru.

– Nie możemy się od nich oddalić – rzekł Leeka z rozbawieniem w spojrzeniu. – A nawet gdybyśmy to zrobili, to inni poszliby za nami.

Tego wieczoru ich grupka rozpałała ognisko. Sikorka poszła kupić mięso i wróciła ze świętą kilku balbarskich młodzieńców. Wyraźnie byli nią zachwyceni i prześcigali się w propozycjach pomocy. Dariel ich nie powitał, ale oni i tak się przysiedli, a pozostali chętnie z

nimi żartowali. Chłopcy biegle mówili po akacjańsku, lecz co pewien czas wracali do własnego języka, po czym wybuchali śmiechem, żartując z obcokrajowców. Wkrótce przyłączył się do nich flecista, proponując muzykę w zamian za jedzenie. Zanim zapadł zmrok, byli gospodarzami wesołego zgromadzenia, którego uczestnicy przychodzili i odchodzili wedle upodobania.

Dariel siedział z boku i czuł się dziwnie przybity. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Wydawało się, że nikt inny nie podziela jego melancholii. Clytus – w tej chwili już lekko podchmielony – uczył chłopców sprośnej piosenki o starym rolniku, który w niewłaściwy sposób kochał jedną ze swoich kur i miał z tego powodu mnóstwo kłopotów. Leeka cicho rozmawiał z mężczyzną o miodowej karnacji, którego pochodzenia Dariel nie umiał określić. Nawet roześmiana Sikorka sprawiała wrażenie, że czuje się wśród tych ludzi swobodnie. Co pewien czas podnosiła wzrok i uśmiechała się do Dariela, lecz nie zauważała jego nastroju. I to było jednym z problemów. Nikt go nie zauważał. Nikt nie odczytywał tożsamości z jego twarzy. Do czasu odnalezienia brata pragnął pozostać anonimowy, lecz skoro było jasne, że nikt go nie rozpoznaje, zaczął wątpić w całe przedsięwzięcie. Jak może być postacią kluczową dla funkcjonowania świata, skoro nikt nie wie, kim jest?

Mimo swego nastroju, słuchając toczących się wokół rozmów, usłyszał kilka interesujących rzeczy. Kilka osób twierdziło, że niedawno przestało palić mgłę. Ludzie ci sami nie wiedzieli, jak to się stało. Nie planowali tego, a każdy z nich przyznawał, że poświęcił narkotykowi życie. Z chęcią po wieczność pracowaliby całymi dniami, gdyby dzięki temu mogli spędzać noce w snach sprowadzanych przez mgłę. Lecz coś się zmieniło. Ich opowieści się różniły, lecz wszystkie sprowadzały się do tego, że zamiast dawać im radość, mgła stała się koszmarem. Zamiast zatracać się w ulubionych fantazjach, wpadali w nader sugestywne wersje swych najgorszych lęków. To się zdarzało noc w noc i za każdym razem było coraz gorzej. Po tygodniu koszmary stały się tak straszne, że wszyscy przestali palić mgłę, woląc cierpieć z powodu głodu narkotycznego. Tej męki nigdy nie zapomną, lecz udało im się przeżyć. A teraz, trzeźwo myślący i wolni od głodu, znaleźli w życiu przyjemności, o których całkowicie zapomnieli. To było coś w rodzaju cudu i wydawało się, że rozprzestrzenia się on po świecie jak zaraza.

W pewnej chwili przyłączył się do nich jakiś Akacjanin. Zaproponował, że opowie o Śniegowym Królu w zamian za kilka pasków koziego mięsa. Mężczyzna opowiedział, jak to Śniegowy Król uznał, że tylko pradawni, wygnani magowie mogą przywrócić światu równowagę. Udał się na ich poszukiwanie, przemierzając cały Talay, walcząc ze stadami laryksów, całymi dniami obywając się bez wody czy jedzenia, chwiejnym krokiem wędrując

przez rejony, które zabiłyby większość ludzi. Akacjanin opowiedział, jak Śniegowy Król w końcu znalazł magów, podobnych skałom olbrzymów, i jak musiał się posłużyć sztuczkami i przebiegłością, by przekonać ich do przystąpienia do zbliżającej się wojny.

Dariel słuchał, zafascynowany tą najwyraźniej starą legendą. Lecz nie słyszał jej nigdy wcześniej i nie przypominał sobie żadnego Śniegowego Króla, co go dziwiło. Epickie opowieści, których nauczył się w dzieciństwie, pamiętał lepiej niż większość spraw z tamtych czasów. Poza tym tytuł nadany temu królowi przez opowiadacza nie miał żadnego sensu. W suchym, spalonym słońcem krajobrazie nie było nic, co miałoby coś wspólnego ze śniegiem. Dlaczego ta kraina miałaby zrodzić kogoś o takim imieniu?

W końcu w chwili przerwy zapytał:

– Śniegowy Król? Kto to jest?

Akacjanin spojrział na Dariela. Na jego twarzy odmalowała się pogarda, gdy zobaczył luźną koszulę morskiego zbrojcy rozpiętą do pępka i długie włosy zebrane w luźny kucyk. Jednak spożywał jedzenie tych ludzi i nie mógł ich obrażać.

Wyjaśnił, że Śniegowy Król to sam Aliver Akaran, dziedzic tronu Akacji. Przyjął to imię tej nocy, kiedy jego ojca ugodził sztylet zabójcy.

– Tego dnia w Akacji padał śnieg. Padał śnieg, rozumiesz? Z nieba spadają wtedy białe kulki lodu. Nie zdarzyło się to od stu lat, lecz królewskie dzieci były tak nieustraszone, że chciały się bawić na śniegu, rzucać nim w siebie nawzajem, tak? Więc Aliver – najstarszy – powiedział, że jeszcze tego samego wieczoru zostanie koronowany na Śniegowego Króla. To była przepowiednia, rozumiesz? Przepowiednia, bo właśnie tego wieczoru został zabity jego ojciec. Dlatego nazywamy go Śniegowym Królem. To imię, które sam przyjął. Dziwię się, że go nie słyszałeś. Większość z nas idzie, by się przyłączyć do Śniegowego Króla. Obiecuję, że jeśli będziemy dla niego walczyć, uczynimy świat sprawiedliwszym miejscem. Ja mu wierzę.

– Wszyscy mu wierzymy – odezwał się jeden z chłopców; zawtórowało mu kilka osób.

– Mówi, że nie ma znaczenia, że każdy z nas jest mały w porównaniu z potęgą Meinów. Przypomina nam o mrówkach żyjących w akacji. Robią otwory w kolcach, mieszkają w ich wnętrzu i bronią drzew przed każdym, kto chciałby je skrzywdzić. Dla nich drzewo to życie. To ich świat, całe życie spędzają wysoko wśród gałęzi. Śniegowy Król mówi, żebyśmy myśleli o tych mrówkach i o ich sile, kiedy wszystkie przypomną sobie o swoim zadaniu i odpowiedzą na wezwanie. To właśnie robimy. Dlatego tu jesteśmy – żeby bronić drzewa, które daje życie nam wszystkim.

Tego wieczoru Dariel nie zmrużył oka. Następnego dnia przetrwał, nie będąc pewnym rzeczywistości. Nie trapiły go żadne myśli ani wspomnienia, nie odczuwał radości ani przyjemnego dreszczyku oczekiwania. Po prostu czuł w środku pustkę. Uświadomił sobie, że ta pusta przestrzeń tkwi w nim od lat. Powstała, kiedy drżący leżał w tamtej górskiej chacie; od tamtej pory z nią żył. Wiedział, że zbliża się do miejsca i momentu, w którym ta pustka zostanie w taki czy inny sposób zapełniona. To napełniało go trwogą. Przyjmie wszystko, co nadejdzie. Może dlatego przestał sobie wyobrazać, wyczekiwać z nadzieją albo się bać tego, co miało nastąpić.

Leeka twierdził, że znajdują się blisko celu podróży, więc szli dalej w zmierzchu i jeszcze jakąś godzinę po zapadnięciu ciemności. Pofałdowana okolica nabrała sielankowego charakteru. Musieli dotrzeć na wyżej położone tereny, ponieważ wieczór był chłodny i przyjemnie wietrzny. Nadszedł wreszcie moment, kiedy u boku Leeki Dariel wszedł na niewielki pagórek i ujrzał Umae. Na widok, jaki się przed nim rozpostarł, stanął jak wryty. Na ziemi było tyle punkcików światła, ile na niebie, rozpościerały się jak okiem sięgnąć.

– Ty tylko ogniska, Darielu – rzekł Leeka. – Ogniska obozowe i lampy.

– Ale ich jest tak dużo! To wygląda jak miasto.

– Nie, to nie miasto. To tylko wioska, lecz wokół niej widzisz załóżek armii twojego brata. A także twojej.

Zeszli razem ku morzu świateł; podrygiwały z każdym ich krokiem. Wejście do obozu, a potem dalej do wioski zlało mu się potem w jeden mętny obraz. Wszystkim zajął się Leeka. Dariel nie umiałby powiedzieć, jak długo szli, lecz w pewnym momencie uświadomił sobie, że zbliża się do jakiejś zagrody. Leeka szepnął, że to jest miejsce, którego szukali.

W pewnej odległości od drzwi kuczał Talayanin. Nie poruszał się, lecz kiedy Dariel się zbliżał, uważnie śledził każdy jego krok. Wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się w żaden widoczny sposób, choć dojrzał zmianę w jego wzroku. Kiedy Dariel się przed nim zatrzymał, był pewien, że za powagą na jego przystojnej, ciemnej twarzy kryje się iskierka humoru. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Talayanin go uprzedził.

Powiedział coś w swoim rodzimym języku. Dariel zaczął mówić, że go nie rozumie, lecz mężczyzna się uśmiechnął i gestem zaprosił go do wejścia.

– Witaj, królewiczu. Do środka. Proszę, wejdź do środka – powiedział po akacjańsku z silnym akcentem.

Namiot był bardzo duży, wsparty tu i ówdzie na sękatych belkach. Oświetlony lampami oliwnymi, był zagracony stołkami i leżankami, stołami i mapami, które na wchodzącym sprawiały wrażenie labiryntu. Dariel zatrzymał się i rozejrzał.

Prawie w tej samej chwili, kiedy dostrzegł postać schyloną nad niewielkim biurkiem, mężczyzna uniósł głowę i zobaczył Dariela. Włosy miał obcięte krótko jak Talayanin, lecz jego skóra miała jaśniejszy odcień brązu, jakby była mocno opalona. Twarz miał inteligentną i przez moment Dariel sądził, że to jakiś doradca, może uczony o wiedzy przydatnej w planowaniu wojny.

A potem mężczyzna ruszył ku niemu. Ruchy miał płynne, świadczące o sile, jakby był talayskim biegaczem. A zatem to wojownik. Szabla, która wisiał mu u pasa, była delikatnie zakrzywiona; Dariel nie widział w Talay niczego podobnego. Lecz w ruchach mężczyzny nie było agresji. Szedł z odsłoniętą piersią i rozłożonymi ramionami. Dłonie miał puste, a nogami niedbale rozgarniał przeszkody stojące mu na drodze. Wydawało się, że śpieszno mu, by objąć Dariela. Było to dla niego tak nieprawdopodobne, że tylko patrzył na twarz zbliżającego się mężczyzny. Była uśmiechnięta i zarazem zboląa, i straszliwie, straszliwie znajoma.

I wtedy zrozumiał.

ROZDZIAŁ 53

Corinn zaczęła wierzyć, że może odzyskać radość życia. Nie było to łatwe. Zawsze będą wspomnienia przygniatające ją w chwilach spokoju. Widmo śmierci zawsze będzie się czaić w mrocznych zakamarkach jej myśli, ale ból straty rzeczywiście malał wraz z upływem lat. Stare smutki traciły intensywność, zwłaszcza w cieniu nowego uczucia, które było tak rozkoszne. Można cieszyć się odrobiną radości, na krótkie chwile zapomnieć o wszystkim. Ojciec zawsze chciał, żeby była szczęśliwa. Cieszyłby się z jej zadowolenia, nie zważając na to, co jest jej powodem.

Za rozbudzenie tych myśli odpowiadał oczywiście Hanish Mein. Oddanie się mu nie było dla niej wyłącznie kwestią seksu. Nie chodziło o uprawianie miłości tamtej nocy w Manil czy o fizyczną intymność, jaka odtąd stała się ich udziałem. To było coś bardziej przerażającego. To był akt pragnienia, by chciał ją widzieć, przyznania się mu, że chce, by ją poznał, by ją rozumiał, by mu na niej zależało. Tak długo broniła się przed światem, że opuszczenie barier ochronnych było największym aktem zaufania, na jaki zdobyła się od czasów dzieciństwa. Musiała przypominać sobie o licznych sekretach, jakie jej powierzył Hanish. Oboje dawali, oboje zaufali. Oboje byli zagrożeni. Nie zaniechałyby obrony samej siebie w żadnych innych okolicznościach.

Cieszyła się jednak, że tak się stało. Dziewięć lat po tragediach wojny znalazła porządek w życiu, swoje miejsce i partnera, z którym mogła je dzielić. Ich więź była nowa, a mimo to tak silnie w nią wrosła, że Corinn nie umiała sobie wyobrazić żadnego innego porządku istnienia. Przebywali ze sobą tak często, jak na to pozwalały obowiązki Hanisha. Co noc dzielili łożę. Tak bardzo go pragnęła, nienasyconie i żenująco.

Pewnego wieczoru kazała mu na siebie czekać w łóżku. Kiedy weszła do pokoju, miała na sobie tylko przezroczystą króciutką koszulkę. Idąc ku niemu, czując na sobie jego wzrok, wiedząc, że blask świec uwydatnia zarysy jej bioder, brzucha i biustu, dygotała z nerwowego podniecenia. Było to bardzo dziwne uczucie. Usta zwilżyła oliwą, a oczy pomalowała jak kurtyzana; miała wrażenie, że jest jarmarczna i wyuzdana. Zarazem emanowała z niej jednak niewinność, jakby znów była dzieckiem, dziewczynką idącą w blasku oceniającego, jakby ojcowskiego spojrzenia. To bardzo dziwne, pomyślała, ale i zdecydowanie przyjemne.

Nadal towarzyszyła Hanishowi w oficjalnych podróżach i w przeciągu zaledwie kilku tygodni stała się dla niego niezbędna w kwestiach towarzyskich. Stała u jego boku, kiedy na szczycie w pobliżu Elos Hanish spotkał się z candoviańskimi przywódcami plemiennymi. Pod Alyth uczyła strzelać z łuku małomównego przedstawiciela ligi, Sire'a Dagona. Pod koniec dnia obsypał ją komplementami za umiejętności łucznicze i czarujący charakter. Była gospodynią na barce wycieczkowej, która wypłynęła z Alesji, by po zatoczeniu dużego koła po kilku godzinach wrócić do portu. Wydawało się, że jest doskonałą pośredniczką między bogatymi kupcami – z których wielu było Akacjanami – i rządzącą meinińską arystokracją.

Wszystko to stanowiło źródło ogromnego rozczarowania dla ambitnych pieczeniaryz tworzących dwór wodza. Byli zadowoleni z obecności Corinn, kiedy stanowiła cel kąśliwych żartów Hanisha, lecz jej wysoka pozycja to było coś innego. Nigdy nie słyszała, by któryś z nich powiedział coś przeciwko niej, lecz świetnie potrafiła sobie wyobrazić ich myśli. Nienawidzili jej. Wiedziała o tym. Czula to. Czasami nawet wydawało się jej, że widzi fizyczne przejawy tej nienawiści. Była przecież tylko Akacjanką, przedstawicielką podbitej rasy. Jej uroda spełniała wymagające kanony akacjańskiego ideału i nie powinna podobać się Meinowi. W ich pojęciu nie powinna stać się czymś więcej niż przyjemną maskotką. Nawet Rhrenna, która niegdyś wydawała się najbliższą przyjaciółką, jaką mogła zdobyć w swojej sytuacji, rozmawiała z nią tylko z konieczności i bez szczególnej życzliwości.

W ich związku bywały też i bardziej ponure chwile, jak wtedy, gdy stała z Hanishem na podestach obserwacyjnych kopalni Kidnabanu. Patrzyli w dół krateru, którego wielkość przeczyła zdrowemu rozsądkowi. Hanish pokazał jej akarańskie flagi wciąż powiewające na podestach.

– Stworzyli to Akaranie – powiedział. – Jak twoja rodzina w ogóle wpadła na taki pomysł? Skąd brali tupet potrzebny do wiary w to, że mogą okiełznać pracę milionów ludzi?

Pytania te brzmiały wystarczająco obraźliwie, by udzielić sarkastycznej odpowiedzi, lecz milczała. Nie zabrzmiałaby w jej ustach szczerze. Hanish miał rację. Skala niesprawiedliwości była niewiarygodna. Być może on ją podtrzymywał, lecz nie on ją wymyślił. Corinn zastanawiała się, jak mogła tyle lat żyć w sercu imperium, nie wiedząc, czyjej pracy zawdzięcza swój dobrobyt.

W kopalniach postanowiła, że nigdy nie będzie już niedoinformowana. Była to prosta myśl, lecz coś zmieniła w Corinn. Od tamtego dnia lepiej zapamiętywała szczegóły. Wydawało się, że codziennie uczy się czegoś nowego, czegoś więcej na temat historii, tradycji i politycznych sporów, na temat sprawowania władzy oraz układów, dzięki którym funkcjonował świat. Czula też coraz większą zdolność wykorzystywania wiedzy

przechowywanej w odległych zakamarkach jej świadomości. Przypominała sobie rzeczy, których uczenia się nie pamiętała. Czuła, jak zazębiają się tryby jej pojmowania, a funkcjonowanie świata staje się zrozumiałe. To też podnosiło ją na duchu i przyczyniało się do poprawy jej samopoczucia.

Jakże więc jej się nie podobało, kiedy pojawiły się pierwsze zgrzyty. To był właściwie drobiazg bez znaczenia, lecz naprawdę się rozzłościła na wieść, że Hanish otrzymał poważną propozycję małżeństwa. Chodziło o jego kuzynkę w trzeciej linii z gałęzi rodu szczycającej się posiadaniem szczątków Hauchmeinisha. Czymkolwiek one są, pomyślała Corinn. Zapewne workiem kości i szmat. Lecz ta kobieta – a właściwie jeszcze dziewczyna miała pochodzenie cenione przez Meinów. Podobno była ideałem meinińskiej urody: blada, szczupła, o słomianych włosach i krystalicznie ostrych rysach. Nigdy nie opuszczała płaskowyzu, a zatem nie zaznała dotyku silnego słońca na skórze. Corinn widziała jej podobiznę tylko we własnej wyobraźni, gdzie dziewczyna żyła, oddychała i jej zagrażała.

Kiedy nadeszła pełnia lata, wyczuła skrywane napięcie rosnące w pałacu, coś, o czym mówiło się tuż poza zasięgiem jej słuchu. Usiłowała wmówić sobie, że to tylko podniecenie wywołane zbliżaniem się Tunishnevre, lecz mimowolnie się zastanawiała, czy obiektem tej gadaniny nie jest ona sama. A jeśli Hanish rzeczywiście ożeni się z kimś innym? A jeśli planuje to wszystko za jej plecami? A jeśli znów stanie się tylko maskotką? Na to miała nadzieję i o to się modliła cała meinińska arystokracja. Jedyną pociechę stanowił dla Corinn fakt, że o propozycji małżeństwa powiedział jej sam Hanish. Śmiał się z tego. Stwierdził, że nie pragnie małżeństwa, dopóki ma ją. Nie traktował takich propozycji – a ta bynajmniej nie była pierwsza – poważnie. Dlaczego więc ona miałaby traktować je serio? Jeśli zdawał sobie sprawę z obelgi ukrytej w tym oświadczeniu, nie zdradził się z tym. Corinn niemal zapytała, czy nie przyszło mu do głowy wziąć pod uwagę jej jako panny młodej. Nie zniósłaby jednak odpowiedzi.

Tego ranka wstała późno. Obudziła się po raz drugi tego dnia. Za pierwszym razem, o brzasku, zakradł się do niej Hanish, zaszeptał jej do ucha, zdmuchnął włosy z twarzy i skubnął ją zębami w policzek. Poczowała jego twarde ciało. Kochała je, było takie szczupłe i gładkie. Nie musiał się długo starać, by ją przekonać do miłosnych igraszek, mimo że miała obawy co do świeżości swego oddechu. Jeśli Hanish to zauważył, najwyraźniej nie miał zastrzeżeń.

Potem zasnęła w jego ramionach. Kiedy znów się obudziła, Hanisha nie było. Słońce rzucało przez okno złociste kwadraty światła. Nie lubiła późno wstawać, by służba nie uznała jej za leniucha. Z pokojówkami rozmawiała rzeczowo, jakby winiąc je za swoją opieszałość.

Nic nie umiała na to poradzić. Czuła się niespokojna, wytrącona z równowagi i było jej niedobrze tak jak wtedy, gdy znalazła się na morzu w małej łódce.

Wstała i się ubrała. Potem jednak nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Niczego nie zaplanowała. Wkrótce zaczęła się wałęsać po pałacu. Wszędzie panowała cisza, korytarze i dziedzińce świeciły pustką, drzwi do używanych pokoi były zamknięte, a te uchylone otwierały się na puste przestrzenie. Irytowało ją to, ponieważ taki spokój był niezwykły, poza tym miała pewność, że tuż poza zasięgiem jej wzroku trwa ożywiona krzątanina. Wydawało się, że coś się dzieje, lecz nigdy tam, gdzie przebywała Corinn.

Nie umiałaby powiedzieć, czy zamierzała pójść do sali narad Hanisha. W pewnej chwili po prostu się przed nią znalazła. Właśnie wszedł tam służący z tacą wody z sokiem z cytryny. Zostawił za sobą otwarte drzwi i obchodził stół, napełniając szklanice. Corinn zbliżała się powoli, patrząc, jak Hanish instruuje ludzi siedzących wokół masywnego stołu. Nie widziała jego końców ani wszystkich obecnych w pokoju, lecz po tyłach głów i profilach rozpoznała kilku wyższych generałów. Cokolwiek się działo, było to wyjątkowo liczne zebranie oficerów.

Przy drzwiach sali narad stał strażnik. Był to krzepki Mein owinięty pasami poplamionej skóry. Topór wojenny oparł o podłogę, a dłonie położył na jego zakrzywionych ostrzach. Wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą, ale pozwolił sobie popatrzeć na Corinn wystarczająco długo, by okazać jej swoją pogardę. Chociaż nie mógł tego powiedzieć na głos, dawał jej do zrozumienia, że nie powinno jej tu być. Zignorowała go.

Nie przeszła przez drzwi, lecz stanęła tak, by widzieć Hanisha. Nie wiedziała, czego chce, ale miała nadzieję, że gdyby złowiła jego wzrok, uśmiechnąłby się do niej, zarumienił albo odwrócił spojrzenie, by ukryć przed całą salą oficerów wspomnienie ich niedawnej namiętności. Patrząc na niego, zaczęła słuchać, co Hanish mówi.

– ...nie powinien dotrzeć dalej. Jeśli mamy mu stawić czoło, to daleko stąd. – Pochylił się nad mapą rozpostartą na stole i wskazał jakieś miejsce palcem. – Musimy to zatrzymać w Talay. Wasi generałowie mogą się zająć przemieszczeniem oddziałów, dopóki nie wróci Maeander. Potem... – przerwał na chwilę. Kiedy podniósł głowę, napotkał wzrok Corinn. Przez moment nad czymś się zastanawiał, a potem ruszył wokół stołu w stronę drzwi. Szedł powoli i mówił dalej: – Kiedy wróci Maeander, zajmie się całą operacją. Wy i wasi oficerowie będziecie składać meldunki bezpośrednio jemu.

– Czy później dołączysz do nas? – zapytał jeden z jego ludzi.

Hanish obszedł już stół i teraz oddalał się od niego. Kilku generałów odwróciło głowy w stronę swego wodza.

– Nie przewiduję tego. Może się tym zająć Maeander. Ja muszę umieścić Tunishnevre w nowym miejscu – powiedział.

Doszedł do drzwi. Kiedy położył palce na klamce, Corinn cofnęła się o krok. Uśmiechnęła się i przechyliła głowę w geście swawolnych przeprosin, że mu przeszkodziła. Spojrzał jej prosto w oczy i bez słowa zamknął drzwi przed nosem.

Stała, wstrząśnięta, słysząc dalej jego głos dobiegający z sali. Nie rozumiała już słów, lecz on ciągnął swój donośny wywód. Odwrócenie się pod spojrzeniem strażnika i odejście z godnością kosztowało ją wiele wysiłku.

Godzinę później, przechodząc przez jeden z górnych dziedzińców, natknęła się na Rhrennę. Kobieta szła prosto na Corinn, nie widząc jej spod szerokiego, zwisającego runda kapelusza chroniącego ją przed słońcem. Dokładała wszelkich starań, by zachować zimową błądź. Corinn nie uważała, by jej to szczególnie pasowało. Niedoskonałe rysy i jasne włosy dziewczyny byłyby atrakcyjniejsze, gdyby nabrała kolorów, lecz meiniński ideał był inny. Corinn zaczęła podejrzewać, że tylko nieliczni Meinowie szczerze przedkładają własny ideał kobiecej urody nad inne rasy, lecz nie odszukała Rhrenny, by rozmawiać akurat o tym.

Jej niegdysiejsza przyjaciółka nie chciała się zatrzymać na pogaduszki, lecz Corinn przekonała ją, by usiadła na pobliskiej ławce. Znajdowały się na otwartej przestrzeni i gdyby ktoś się nimi interesował, były doskonale widoczne, lecz zarazem nie można ich było podsłuchać. Ławka stała przy kamiennej balustradzie chroniącej przed trzydziestometrowym upadkiem na następny poziom tarasów. Rhrenna siedziała plecami do balustrady, woląc obserwować dziedziniec niż podziwiać widoki. Wyraźnie nie chciała być widziana z królowną.

Corinn od razu przystąpiła do rzeczy.

– Co się dzieje? – zapytała. – W powietrzu wisi coś dziwnego. Coś się dzieje. Wiesz, co to takiego?

Rhrenna patrzyła swymi niebieskimi oczyma wszędzie, tylko nie na Corinn.

– Nie wiesz?

– Nie, nie wiem.

– Hanish ci nie powiedział?

– Nie.

Rhrenna zastanawiała się nad tym chwilę.

– To dlaczego ja miałabym ci powiedzieć? – zapytała twardym tonem.

– Bo cię zapytałam. – Nie uzyskawszy odpowiedzi, Corinn dodała: – Hanish nie mówi mi wszystkiego. Ma przede mną mnóstwo tajemnic.

Nie podobało się jej, że musiała to powiedzieć. Nie wiedziała, czy to prawda, ale pomyślała, że takie wyznanie może zmiękczyć Rhrennę. Przecież wszyscy tego chcieli, prawda? Zapewnienia, że Corinn tak naprawdę nie zdobyła zaufania ich ukochanego wodza. Była dla niego jedynie zabawką, niczym więcej. Jakaś jej część w tej samej chwili chciała spoliczkować Rhrennę, splunąć na nią i wykrzyknąć na całe gardło, że Hanish kocha ją nade wszystko, bardziej niż kiedykolwiek kochał jakąś bladą meinińską dziewczynę o koziej twarzy. Lecz niczego by przez to nie zyskała.

– Wiem, co o mnie myśli dwór – powiedziała z wyraźną urazą w głosie. – Wiem, że wszyscy mnie nie znosicie, bo uważacie, że Hanish zbyt mnie faworyzuje. Ale tak naprawdę nie wiecie, jak jest między nami. Nie darzy mnie takim uczuciem, jak sądzą. Proszę cię, Rhrenno, powiedz mi, co wiesz. Kiedyś byłyśmy przyjaciółkami, prawda?

W Rhrennie coś pękło. Zmiana ujawniła się w jej rysach.

– Ale jeśli Hanish nie chce, żebyś wiedziała...

– Rhrenno, ty wiesz o czymś, o czym ja nie wiem. Może wszyscy o tym wiedzą. Mogłabym znaleźć odpowiedź na moje pytanie na tysiąc rozmaitych sposobów, ale pytam ciebie. Cokolwiek mi powiesz, nikt się nie dowie, że wiem to od ciebie. – Po chwili dodała: – Będę twoją dłużniczką.

Rhrenna wzniosła na moment swoje niebieskie oczy, kwestionując zdolność Corinn do spłacania jakichkolwiek długów.

– To nieprawda, że mogłabyś znaleźć odpowiedź na tysiąc rozmaitych sposobów. To, co się dzieje, nie jest jeszcze powszechnie znane. Wkrótce chyba będzie, ale ja wiem o tym tylko dlatego, że mój ojciec – który zasiada w radzie Hanisha – powiedział mojemu bratu. A on nie ma przede mną tajemnic. – Rozejrzała się. Na jej twarzy pojawiła się irytacja, chociaż nie było wiadomo, czy wywołała ją Corinn, czy ona sama. – Chodzi o twojego brata.

– Co?

– O twojego brata Alivera. Mówi się, że mieszka w Talay. Właśnie wyszedł z ukrycia i zbiera armię, by nas zaatakować. Nie ma szansy na wygraną, ale... – Rhrenna przerwała na chwilę, zaniepokojona wyrazem twarzy Corinn – zamierza rozpocząć wojnę.

Corinn, która podczas całej tej rozmowy stała, teraz usiadła. Dotknęła kolanem kolana Rhrenny i pozwoliła jej ująć się za rękę. Nigdy sobie nawet nie wyobrażała, że ta kobieta mogłaby przekazać jej wiadomość o bracie. Poczula się, jakby otrzymała cios w brzuch, lecz bolało ją serce; przez głowę przelatywały jej coraz to nowe myśli, ale wiedziała, że jeszcze nie jest gotowa stawić im czoła.

Przez godziny dzielące ją od wieczornego posiłku, podczas kolacji i aż do wczesnego

wieczora ciężar tej wiadomości wbijał jej się w głowę niby czubek odwróconej piramidy. Jej brat żyje! – rozbrzmiewało jej ciągle w uszach. Usiłuje wywołać jeszcze jedną wojnę. To też zostało wyraźnie powiedziane. Corinn nie zrobiła jednak następnego kroku i nie sformułowała swojej odpowiedzi na tę wieść. Przez cały wieczór poruszała się powoli i sztywno, jak ktoś, kto ma zajętą czymś głowę. Hanish zachowywał się normalnie, nie wspominał o wcześniejszym incydencie ani nawet o tym, że był na spotkaniu rady.

Później Corinn przygotowała się do spędzenia z nim wieczoru w prywatnej łaźni. Akacjanie nie mieli w zwyczaju korzystać z łaźni parowych, lecz Meinom udało się doprowadzić ciepło z podziemnych pieców. Corinn nie bardzo się podobało leżenie nago, pocenie się i dyszenie z gorąca, lecz nauczyła się to traktować jako część życia, czas spędzany z Hanishem w sposób niedostępny dla innych kobiet.

Kiedy znaleźli się sam na sam w jego sypialni, rozebrali się i włożyli płaszcze kąpielowe.

– Dlaczego potraktowałeś mnie tak niegrzecznie? – zapytała Corinn.

Nie zamierzała mu tego wytykać. Po prostu jej się wymknęło, może dlatego, że teraz miała do ukrycia przed nim całe mnóstwo innych spraw. W porównaniu z nimi ten incydent wydawał się drobnostką.

Hanish obrócił się do niej z niedowierzaniem na twarzy.

– Jak to? Kiedy byłem niegrzeczny?

– Dzisiaj, kiedy zatrasnąłeś mi drzwi przed nosem. Nie mów mi, że tego nie pamiętasz.

– Ach – powiedział wódz, kiwając głową na znak, że przypomina sobie ten incydent, ale że Corinn źle go zrozumiała. Podszedł do niej i ujął ją za rękę. – Nie chciałem cię urazić. Ani trochę. Musisz jednak zrozumieć, że to, o czym rozmawiam z moimi generałami, jest przeznaczone tylko dla naszych uszu. Mówię ci wszystko, ale to nie znaczy, że powinni tak robić też moi oficerowie. Muszą słuchać tego, co mówię, w spokoju, i mówić swobodnie. W twojej obecności byłoby to niemożliwe. Meinowie...

– Nawet mnie nie zauważyli.

– Kto wie, co widzą inni? Meinowie nie omawiają ważnych spraw w obecności kobiet. Taki jest mój lud. Istnieje też kwestia tego, kim jest ta szczególna kobieta. – Czeakał, aż Corinn się uśmiechnie. Na próżno. – Pomyśl o tym w ten sposób: oddałaś mi wielką przysługę. Jestem twoim dłużnikiem. Wiesz oczywiście, że wiele osób mówi, że jesteś mi zbyt bliska. Wiele osób wołałoby, żebyśmy się tak w sobie nie rozkochali. Tym drobnym pokazem, gdzie wyznaczam granicę, zapewniłem sobie zaufanie moich generałów. Z radością

rozpuszczają języki. Będą mówić: „To prawda, że Hanish ma bzika na punkcie królowny, ale umie jej pokazać, gdzie jej miejsce”. Niech sobie tak myślą, Corinn. Jeśli tak będzie, tym łatwiej będziemy się mogli cieszyć sobą nawzajem.

– A o czym w ogóle mówiliście? Coś o Maeanderze...

Hanish zlekceważył to ruchem dłoni.

– Nie martw się tym. Niepokoje w Talay. Ale to nic takiego. Plotki, pomruki. Wierz mi, Corinn, jeśli okaże się to ważne, wszystko ci opowiem. Ale na razie... – Podszedł bliżej, uwodzicielsko zmienił ton głosu, objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie. – Chodźmy do łaźni, dobrze? Namoczymy się, a potem położymy obok siebie i pozwolimy popracować masażystom z gorącym olejkiem. A kiedy już skończą... odeślemy ich i pomyślimy o innych zajęciach w parze.

Kiedy odszedł, Corinn odniosła nieprzyjemne wrażenie, że znów zamknął jej drzwi przed nosem. Hanish zatrzymał się w drugim końcu pokoju i zrzucił płaszcz kąpielowy na podłogę. Nagi, zanurzył dłonie w misie z wodą z olejkiem i pachnącymi ziołami i natarł nią ramiona oraz mięśnie karku. Stojąca obok lampa uwydatniała kontury jego ciała. Mięśnie na jego plecach przywoływały Corinn na myśl wąskie skrzydła, złożone i ukryte pod skórą. Obejrzał się na nią.

– Chodź – powiedział.

Wyszedł z pokoju. Corinn – skręcając się wewnątrz, lecz z obojętną miną – poszła za nim, rozluźniając węzeł paska.

Pomimo że kochanek nie powiedział jej prawdy, mogłaby sobie pozwolić na dalsze nieokreślenie swojej lojalności, opartej w tej chwili bardziej na pożądaniu niż na więzach krwi. Nie sformułowała tego jasno w myślach. Nie powiedziała: „Bez względu na przyszłość wybieram Hanisha. To jego kocham, potrzebuję, chcę najbardziej na świecie. To w niego wierzę, ponieważ jest teraz u mego boku. Pragnę go; on zaspokaja moje pragnienie. Nic innego nie jest rzeczywiste”. Lecz gdyby została zmuszona do wypowiedzenia tych słów, mogłaby to zrobić. A nawet gdyby nie została zmuszona, mogłaby żyć zgodnie z tym wyznaniem, nawet go nie wypowiedziawszy.

Mogłaby, ale tylko do tej nocy, kiedy obudziła się z pozbawionego marzeń snu. Czekwała w ciszy, pewna, że przed chwilą zostało wypowiedziane jej imię. Odwróciła głowę na tyle, by widzieć Hanisha. Leżał na plecach obok niej. Nie spał. Niemal uniosła głowę i zapytała, co go trapi. Oczy miał otwarte. Patrzył prosto w sufit, lecz twarz miał bez wyrazu, policzki wiotkie, a usta otwarte. Wydawałoby się, że śpi, gdyby co pewien czas nie mrugał szarymi oczyma. I wtedy usłyszała jego słowa: *Oczywiście, nie zapomniałem.*

Czyżby usłyszała, jak to mówi? Nie, nic nie usłyszała. Hanish nic nie powiedział. Nie poruszył ustami. W pokoju panowała martwa cisza, zakłócana jedynie ich oddechami. Jakoś jednak sformułował tę myśl i ją wysłał, a ona ją przechwyciła.

Niemal usiadła i się odezwała, lecz powstrzymało ją coś wypływającego z innego źródła. Była to siła, którą wyczuwała w powietrzu, którą umiejscowiła tuż przed łóżkiem. Nie była to pojedyncza osoba; był to chór splecionych ze sobą głosów. Właściwie ich nie słyszała. To było coś bardziej bezcielesnego. Wiedziała skądś, że nie ma ich nawet w pokoju. Po prostu rozumiała treść ich przesłania. Wiedziała, co mówią. Oskarżały Hanisha o słabość. Poddawały próbie jego oddanie, nękając go oskarżeniami o zdradę.

Przodkowie, jesteście dla mnie wszystkim, odparł.

Corinn leżała bez ruchu, wpatrzona w otwarte oczy Hanisha, słuchając, zmrożona do szpiku kości, oddychała powoli. Śledziła wymianę oskarżeń i zaprzeczeń. Początkowo wydawało jej się to tylko dziwaczną ciekawostką. Była tak zdumiona tym, co się dzieje, że dopiero po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że rozmówcy krążą wokół jednej szczególnej kwestii – wokół niej. Kiedy wspomnieli o niej bezpośrednio, ścisnęło jej się gardło. Zapytali Hanisha, czy ją zabije. Jeśli okaże się to konieczne, czy przeleje krew tej akarańskiej dziwki?

Hanish nie zwlekał z odpowiedzią.

Ona nic dla mnie nie znaczy. Trzymam ją blisko siebie tylko po to, by mogła wam służyć w każdej chwili.

Nie uwierzyli mu. Zapytali ponownie. Tym razem odpowiedział wprost, tak wyraźnie, że Corinn nie miała trudności ze zrozumieniem go. Na tyle wyraźnie, że już zawsze miała słyszeć te słowa w swojej głowie.

Zabiję ją bez wahania, przodkowie, w chwili, kiedy zapragniecie jej śmierci...

ROZDZIAŁ 54

Kartka leżała na posłaniu obok niego. Jej róg był ciepły od jego przedramienia, którym ją przycisnął. Melio nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek zdołał ją tam umieścić. Miał lekki sen; budził go nawet szmer cudzego oddechu. W trakcie odbywania szkolenia Marahów nauczył się być czujnym na świat nawet podczas snu. A jednak tę kartkę papieru mogła tam podrzucić tylko czyjaś ukradkowa dłoń. Chciał szybko przeczytać list, ale bał się, że jego tajemnicze pojawienie się jest zwiastunem wieści, którym nie zdoła stawić czoła. Kiedy zauważył szablę Meny opartą o ścianę, zmartwił się jeszcze bardziej.

Przez jakiś czas leżał podparty na łokciu, wpatrując się w list i w szablę Marahów, słuchając odgłosów budzącego się świata, dobiegających przez otwarte okna i zza cienkich ścian, kapania wody po nocnych ulewach. Od zniknięcia Meny przed tygodniem przebywał w kompleksie kapłanki. Służące, przestraszone i przesądne, pogodziły się z jego obecnością, a nawet czerpały z niej otuchę. Stały się zależne od niego bardziej niż ktokolwiek mógłby przewidzieć. Tak długo wypełniały rozkazy Meny, że nie umiały działać bez wskazówek. Potrzebowały celu, którego Melio im dostarczył, organizując poszukiwania. Nawet leżąc, wiedział, że służące są w zasięgu głosu. Niemal zawołał, żeby zapytać, skąd ten list wziął się obok niego i żeby mieć towarzystwo podczas jego czytania.

W końcu jednak rozłożył papier i przeczytał list w samotności. Kiedy tylko zrozumiał słowa, zerwał się z posłania. Ruszył biegiem od budynku do budynku, wołając Menę. Głos wahał mu się między donośnym a zduszonym, rozpaczliwym i kontrolowanym. Służące biegały za nim, przeszukując wszystkie zakamarki kompleksu.

W ciągu kilku minut okazało się, że Meny nie ma na jego terenie. Żadna ze służących jej nie widziała ani nic nie słyszała, a wszystkie były zdumione, że Melio ma fizyczny dowód na to, że pojawiła się wśród nich. Nie wyjawiał treści listu. Zmiał go w dłoni, usiadł na wilgotnej ziemi dziedzińca i ku przerażeniu służących się rozplakał. Wiedział, że błędnie zinterpretują jego emocje i się przestraszą, ale nie mógł się powstrzymać.

Jego załamanie trwało krótko, dopóki nie wrócił mężczyzna, który regularnie robił pierwszą poranną wyprawę na targowiska, wstrząśnięty czymś, co zobaczył przed świątynią. Ujrzawszy jego pobladłą, poszarzałą, zwykle czerwonawobrazową twarz, Melio odzyskał zdolność do działania.

Kiedy przybył wraz ze służącymi pod główne wejście do świątyni Maeben, zebrał się tam już tłum, który rósł z każdą chwilą. Brama była zamknięta, lecz ludzie nie chcieli wejść na święty teren. Wszyscy się wpatrywali – milczący i zgarbieni, niektórzy z dłońmi przy ustach, kilkoro na kolanach, jedna osoba z wyciągniętą ręką, jakby wątpiła, że inni mogą widzieć to samo, co ona – w ciało dużego orła morskiego.

Lina przywiązana do trupa została przerzucona przez jeden z posągów przedstawiających głowę Maeben. Martwy orzeł na wpół wisiał pod nim, oparty niezdarnie o drewniany słuę, z głową przekrzywioną pod dziwnym kątem. Był przemoczony po nocnych deszczach, zakrwawiony i ubłocony. Jego nieruchome, otwarte oczy zalepiał brud. Jako żywy drapieżnik był potężny, imponujący i przerażający, lecz Melio wiedział, że nie to wzbudza zdumienie tych ludzi.

– Spójrzcie na swoją boginię – szepnął.

Kobieta stojąca obok niego odwróciła się, usłyszawszy go. Jej zielonkawe oczy ze złocistymi plamkami niemal niktęły pod strzechą czarnych włosów, lecz patrzyły na niego uważnie, badawczo. Nie mógł im nie odpowiedzieć, czego dowiedział się z listu.

– Tego się boicie, prawda? Że tego ptaka nazywacie Maeben. To chyba ona. Macie rację. – Odwrócił się w stronę trupa, czując, jak tajemniczy list nabiera sensu. – Wasza Maeben nie żyje, a ja wiem, kto ją zabił.

Wieśniacy zaczęli się od niego odsuwać, jakby wśród nich nagle pojawiło się groźne zwierzę. Wodzili wzrokiem od niego do trupa, niepewni, co stanowi większe zagrożenie.

Melio starał się złagodzić brzmienie swego głosu. Chciał, by ludzie zrozumieli, a nie się bali. Potrzebował ich zaufania, chociaż jeszcze nie wiedział, dlaczego.

– Mena – kapłanka, którą nazywaliście Maeben na ziemi. Ona tego dokonała...

– Milczeć! – ryknął czyjś głos.

To przybył pierwszy kapłan, Vaminee, w ceremonialnym stroju. Wieśniacy rozstąpili się przed nim, kłaniając mu się z szacunkiem. Tuż za jego ramieniem stanął Tanin. Melio nigdy nie widział żadnego z nich, lecz rozpoznał ich bez dokonanej prezentacji. Mena dokładnie mu ich opisała. Otaczali ich strażnicy świątynni, z drewnianymi szablami w dłoniach. Melio wiedział, że doskonale fechtują we własnym stylu, przypominającym nieco walkę na kije.

– Ale to prawda – powiedział Melio, starając się mówić spokojnym głosem. – To jej dzieło. Oto list do...

– Nie jesteś prorokiem Maeben! – przerwał mu Tanin. – Nie masz prawa wypowiadać się w imieniu kapłanki. Ani bogini. Pierwszy kapłanie, oskarżam tego mężczyznę o kalanie

Maeben. On zabił... jednego z wojowników Maeben.

Wyraz twarzy Vamineego nie zmienił się, przywodził na myśl gniew uwięziony w kamieniu.

– Znajdźcie kapłankę – rozkazał. – Przyprawdźcie ją do mnie. Reszta z was ma odejść stąd na kolanach. Módlcie się o wybaczenie, że widzieliście tę potworność.

Wieśniacy zaczęli klękać w błocie. Vaminee się odwrócił i złowił spojrzenie jednego ze strażników.

Melio zrozumiał, co mu chciał przekazać. Za chwilę zostanie schwytany i związany, może pobity albo ceremonialnie pozbawiony życia. Wiedział, że otaczający go wieśniacy uznają to za świętokradztwo, ale nie mógł dać się złapać. Ci kapłani wszystko przekręcą. Nawet Mena nie umiałaby ich powstrzymać. Tuż obok niego po lewej stronie stał strażnik, młody mężczyzna, który na widok martwego drapieźnika zapomniał o powadze swego urzędu. Melio zwrócił się w jego stronę z uprzejmym wyrazem twarzy, jakby go chciał przeprosić albo mu coś wyjaśnić. Grzbietem lewej dłoni uderzył strażnika w nos z siłą zdolną go zmiażdżyć, a drugą ręką odnalazł rękojeść drewnianej szabli i wyrwał mu ją. Młodzieniec padł na ziemię, wyjąc i przyskając krwią.

– Zabić go! – rozkazał Tanin.

W jego słowach było tyle władzy, że strażnicy się zakotłowali. Dobyli broni i otoczyli Melia, zacieśniając krąg. Szable były przeznaczone do karania i wymuszania posłuszeństwa, lecz strażnicy umieli je także wykorzystywać do zabijania. Melio pozostawał w ciągłym ruchu, obracając się we wszystkie strony. Usiłował sobie przypomnieć lekcje walki z wieloma przeciwnikami naraz, ale nic w jego pamięci nie podpowiadało, jak wyrwać się z kręgu czternastu wrogów.

– Popelniacie błąd! – wrzasnął do strażników, ale chciał też, by go usłyszeli kapłani i tłum. – Jeśli mnie skrzywdzicie, wzbudzicie wściekłość kapłanki. Nie widzicie, co się tutaj stało?

Strażnicy zawahali się, zwolnili.

– Kazałem wam go zabić – krzyknął Tanin.

Melio oderwał jedną dłoń od rękojeści szabli i pokazał na trupa.

– Tej Maeben już nie ma. Ta Maeben nie będzie już porывała waszych dzieci. Zrobiła to dla was kapłanka.

– Zabić go w tej chwili!

Jeden ze strażników skoczył i zamachnął się szablą z góry. Melio obrócił się, by uniknąć ciosu. Mocno i szybko uderzył własną, trafiając jej płaską stroną mężczyznę w

policzek. Siła uderzenia wyrzuciła go w powietrze, po czym spadł bezwładnie na ziemię.

Pozostali się nie poruszyli.

– Nie chcę z wami walczyć – zwrócił się do nich Melio. – Nie chcę nawet walczyć z kapłanami. Jeśli Maeben była boginią, to kapłanka zabiła boginię. Taka jest prawda. Kapłanka sama wam to powie.

Tanin miał dosyć. Przepchnął się przez tłum na miejsce powalonego strażnika. Podniósł jego szablę, trzymając ją w sposób wskazujący, że umie się nią posługiwać. Mając taki przykład, strażnicy znów zaczęli zacieśniać krąg.

Skończyło się mówienie. Melio wybrał jakąś szablę i uderzył w nią tak mocno, że niemal wytrącił ją z trzymającej dłoni. Poczul atak zbliżający się z tyłu i błyskawicznie się odwrócił. Jednego strażnika wyeliminował ciosem w kolano, a innego uderzeniem z góry, którym złamał mu z traskiem obojczyk. Tanin raz po raz wrzeszczał, by zabić przybysza. Melio starał się odnaleźć go w kłębiącej się masie ciał i broni, lecz panowało zbyt wielkie zamieszanie. Przestał myśleć o kolejnych ruchach. Obracał się, skakał, robił uniki, ciął i uderzał. Te ruchy wywodziły się wprost z instynktu, szybsze od jego świadomości. Słyszał trzask drewna o drewno. Wiedział, że jego szabla często styka się z ciałem, łamie kości, lecz atakujący nie ustawiali i Melio nie widział końca walki.

Mogło to trwać wiele minut albo tylko parę sekund. Stracił poczucie czasu. Wreszcie grad ciosów zaczął zamierać, ale on dalej wirował, zadawał ciosy i je blokował.

Znieruchomiał. Stał zadyszany, zlany potem, z rozbieganym wzrokiem i bronią trzymaną w pogotowiu. Strażnicy się cofnęli. Większość z nich już nawet na niego nie patrzyła. Tylko Tanin wbijał w niego wzrok. Twarz miał wykrzywioną wściekłością i niedowierzaniem, ustami chwycił powietrze. Melio zrozumiał to spojrzenie. Nie tknęli go. Żaden z nich nie przedarł się przez jego obronę i nie dotknął go szablą. Zasał ziemię wokół siebie ludźmi, nie odnosząc ani jednej rany. To wyraźnie dziwiło Tanina. Lecz nie dlatego przerwali atak.

Przez tłum przedzierała się jakaś Vumuanka, poprzedzana falą zamieszania. Ludzie krzyczeli, chcieli ją złapać za rękę, zadawali pytania, a ona im wymyślała. Cokolwiek mówiła, wprowadzała ludzi w jeszcze większe rozgorączkowanie, lecz zatrzymała się dopiero przed Vamineem.

Uklękła przed kapłanem i zaczęła płomienną przemowę. Melio musiał się bardzo skupić, by ją zrozumieć. Za nią pojawili się inni, biegnąc z tego samego kierunku, zapewne niosąc te same wieści.

Kobieta powiedziała, że ledwie przed godziną do domu sędziego pokoju przybyła

Maeben na ziemi. Przeszła przez bramę w swoim pełnym stroju, minęła oszołomionych strażników i zażądała widzenia z obcokrajowcami, którzy się tam zatrzymali jako goście sędziego. Ci mówili coś do niej przez kilka minut w swoim dziwnym języku, a potem ją schwytali. Jeden z nich, taki wysoki z włosami jak złota nić, położył dłoń na jej boskiej osobie. Natychmiast udali się na swój statek i właśnie odbili z odpływem.

Melio zrozumiał to wszystko dopiero wtedy, gdy kobieta skończyła mówić. A potem sens tej przemowy uderzył go w pierś jako pierwszy cios, który go dosięgnął tego ranka.

– Mają kapłankę? – zapytał Tanin, nadal oddychając z trudem.

– Tak – potwierdził jakiś mężczyzna. – Próbowала przemówić. Słyszałem ją. Byłem bliżej niż ona. – Machnął lekceważąco w stronę kobiety, a potem opamiętał się i padł na kolana przed Vamineem. – Czcigodny kapłanie, zwróciła na mnie wzrok i powiedziała: „Ludu Vumu...”

Nie dokończył zdania.

– Ludu Vumu? – zapytał pierwszy kapłan. W końcu stracił swój groźny spokój. – Co jeszcze powiedziała?

– Nic. Odciągnęli ją. Nie pozwolili jej powiedzieć nic więcej.

Melio nieuważnie słuchał chaotycznej rozmowy, jaka się potem wywiązała, lecz wiedział, że wszyscy przerzucają się swoimi wersjami wydarzeń, rozwijając je z minuty na minutę. Obcy ją schwytali, porwali, powlekli do swego dziwnego kraju. Ktoś rozpoczął lament, który rozprzestrzenił się w tłumie. Ktoś inny krzyknął, że obcy zabili Maeben. Bogini jest dla nich martwa, a kapłanka jest więźniem złoczyńców.

Melio wyczuł rodzącą się szansę. Coś w tym było. Może wykorzystać te wydarzenia, może zrobić coś, co Mena wyobrażała sobie tylko w połowie, kiedy przystępowała do działania. Odciął się od smutku, który już go ogarniał. Może mu się poddać później. Lecz teraz – w tym miejscu – musi wykorzystać szansę, zanim zniknie na zawsze.

Przepchnął się między dwoma strażnikami, którzy niedawno chcieli go zabić, zbliżył się do ciała orła i wydarł z niego garść piór. Wyrzucił je w powietrze nad tłumem. Wszyscy spojrzeli na niego. Głosy zamilkły. Nawet obaj kapłani zwrócili się w jego stronę, czekając, co powie. Sam nie był tego pewien, dopóki nie otworzył ust.

– Bogini żyje w kobiecie imieniem Mena – oznajmił. – Słyszycie mnie? Bogini żyje w Menie! Poszła, by walczyć z obcokrajowcami i zmobilizować lud Vumu do przejścia próby. – Przerwał, dopiero teraz rozumiejąc, do czego prowadzi jego przemowa. – Ludu Vumu, kapłanka znajduje się w niebezpieczeństwie. Jest w rękach nieprzyjaciela. Ludu Vumu... co uczynicie, by ją uratować?

ROZDZIAŁ 55

Mena zawsze wiedziała, kiedy schodzą do niej. Słyszała uderzenia twardych podeszew ich butów na wąskich drewnianych schodach. Pierwszy zawsze wchodził Maeander, a za nim jego akacjański cień, zdrajca Larken. Zawsze stawali w drugim końcu pomieszczenia, kołysząc się wraz z łodzią, i patrzyli na nią ze zdumieniem. Nie mogli się nadziwić, w jaki sposób dostała się w ich ręce. Kilka razy pytali ją, dlaczego tamtego ranka przyszła do domu sędziego pokoju. Za każdym razem odpowiadała tak samo. Słyszała, że jej szukają. Słyszając to proste stwierdzenie, Maeander uśmiechał się szeroko i oglądał na przyjaciela.

Oczywiście wiązało się z tym znacznie więcej, lecz Mena nie odczuwała potrzeby, by im o tym mówić. Wieźli ją z powrotem w stronę centrum świata, w stronę Akacji. Tego chciała. Nie wiedząc o tym, wykonywali jej polecenia, a nie na odwrót. Lepiej jednak o tym nie wspominać. Nie powiedziała im nic o wydarzeniach bezpośrednio poprzedzających jej pojawienie się u sędziego pokoju. Gdyby nie wypłynęli tak szybko, mogliby się o niej dowiedzieć znacznie więcej, lecz jej to odpowiadało. Widzieli przed sobą drobną kobietkę. Siedziała skromnie wyprostowana, ubrana w pierzasty ptasi strój – była kapłanką, żyjącą w izolacji od świata. Na pewno wiedzieli, że jest dziewczicą i bawi ich roztrząsanie tej kwestii.

Nigdy nie byliby w stanie sobie wyobrazić, że wróciła z Uvumal w środku nocy. Wlokąc się noga za nogą, szła znad brzegu morza przez cienie kładące się na ścieżkę biegnącą wśród drzew. Utykała na prawą nogę, tak posiniaczoną, że całe udo mieniło się granatem, fioletem i czernią. Świszczący oddech zawdzięczała ranie klatki piersiowej. Mogła powstać podczas upadku przez gałęzie, kiedy się od nich odbijała i niemal na nie nadziewała; spadała jak szmaciana lalka, dopóki nie zatrzymała się w plątaniu gałązek. Płuca mogło też uszkodzić przeziębienie, którego się nabawiła, przedzierając się mozolnie przez las z ciągniętym za sobą ciężarem, a potem żeglując w deszczu do Vumair. Nigdy nie była tego pewna.

Ruinat było ciche i przemoczone, wciśnięte pod czarny koc chmurnej nocy. Woda zbierała się w koleinach, odciskach stóp i wszelkich zagłębieniach. Mena nie zważała na kałuże. Przecinała je, idąc po kostki w błocie. Szablę miała przytroczoną na plecach, a za sobą ciągnęła pokaźny ciężar. Linę owinęła sobie kilka razy wokół pasa, zrobiła węzeł i przerzuciła jej koniec przez ramię. Drugim końcem owiązała ptaka, przycisnąwszy mu skrzydła do ciała.

Sprowadziła go do domu jako ofiarę dla ludu Vumu, który sam będzie musiał zdecydować, co z nią zrobić.

Wejście na schody świątyni wymagało znacznego wysiłku. Trup zahaczał o każdy stopień i Mena musiała się mocno pochylić do przodu. Na szczycie schodów odwiązała linę, przerzuciła ją przez kamienną rzeźbę Maeben i pociągnęła z całej siły, co wystarczyło jedynie do posadzenia ptaka w na wpół wyprostowanej pozycji. Tam go zostawiła. Po prostu upuściła linę na ziemię i odwróciła się bez jednego spojrzenia.

Znalazszy się w swoim kompleksie, poruszała się z większą ostrożnością. Wiedziała, gdzie śpią służący; wiedziała też, że nie zmienią swych nawyków pod jej nieobecność. Dlatego od razu zauważyła dodatkową osobę, śpiącą w jednym z pokoi. Melio. Wystarczyło, że usłyszała jego oddech i poczuła jego zapach, by go poznać. Nie spodziewała się tego. Nie brała go pod uwagę, planując wydarzenia tego wieczoru. Wiedziała jednak, że musi się z nim jakoś skontaktować. Bez tego jej czynom czegoś by zabrakło. Doprowadzi go to do wściekłości, ale musiała mu coś dać za to wszystko, co dla niej zrobił.

Skreślenie kilku słów zajęło jej dłuższą chwilę. Wchodząc do pokoju, przytuliła papier do piersi. Oddychała płytko i poruszała się bezszelestnie, co zawsze jej się udawało w potrzebie. Oparła szablę o ścianę, gdzie Melio na pewno ją zauważy po obudzeniu, a potem podeszła do śpiącego. Wiedziała, że go nie obudzi, więc położyła złożony papier przy jego twarzy, w zagłębieniu nagiego ramienia. Zaryzykowała jeszcze kilka chwil, patrząc na niego. Przyglądała się jego spokojnej twarzy i po raz pierwszy nie dziwiła się, że jej oczy tak bardzo lubią ją oglądać. Była doskonale niedoskonała. Mena nigdy nie widziała twarzy, która tak by się jej podobała. A przynajmniej nie widziała takiej twarzy od czasu, kiedy ostatni raz podniosła wzrok na ojca opowiadającego mity z przeszłości.

Chociaż to, co czuła do Melia, różniło się od tego, co czuła do ojca, i tak wiedziała, że ludzie nazywają to uczucie miłością. Wiedziała, że to właśnie czuje, zanim jeszcze weszła do pokoju. Kochała go tak bardzo, że gdyby go obudziła, nie zrealizowałaby swego planu. Dlatego pozwoliła mu spać i napisała drobnymi, niezdarnymi akacjańskimi literami...

M,

Oczywiście we wszystkim miałeś rację.

Uczyłam się powoli, lecz teraz to wiem,

M.

Poniżej umieściła postscriptum, którego napisanie zajęło jej najwięcej czasu:

Kocham Cię.

Jeśli świat kiedykolwiek na to pozwoli, udowodnię ci to.

Realizacja jej planu wymagała kilku godzin ostrożnych przygotowań. Do otwarcia ścieżki prowadzącej ku jej przeznaczeniu było konieczne ostatnie oszustwo. Przekradła się do swojej garderoby, rozebrała do naga i umyła w misce z wodą pachnącą kwiatami. Ubrała się w szaty bogini w ciasnocie garderoby. Makijaż nałożyła po omacku. Kiedy uznała, że jej wygląd jest znośny i wyczuła, że zbliża się dzień, Mena wyszła z kompleksu świątynnego i poszła do domu sędziego pokoju, gdzie spali Meinowie.

Dalej wydarzenia potoczyły się szybko. Maeander ustalił jej tożsamość po zadaniu tylko paru pytań. W ciągu pół godziny znalazła się na ich statku, który został odcumowany i wyruszył w drogę ledwie kilka minut później. Wyczuła moment, kiedy opuścili płytkie wody zatoki i zaczęli wspinać się na potężne fale, które o tej porze roku przetaczały się z południa na północ.

Mimo że Mena nie mogła mu powiedzieć niczego, czego jeszcze nie wiedział, Maeander sprawiał wrażenie, że lubi ją przepytować. O swoich braciach i siostrze wiedziała tylko tyle, ile mógł jej o nich opowiedzieć Melio, a nic z tego nie było zbyt konkretne. Właściwie Maeander powiedział jej o wiele więcej niż ona jemu. Dowiedziała się od niego, że Aliver żyje i ma się dobrze w Talay. Gromadzi armię w centrum tego kraju, stopniowo przesuwając się ku północy, w miarę zbierania coraz większych sił.

– Podobno stał się niezłym mówcą – rzekł Maeander. – Dotknęła go ręka czarnoksiężnika i Aliver swoimi oracjami porusza teraz masy. Mówi o uwolnieniu Znanego Świata od ucisku, pracy przymusowej, bezlitosnych podatków, a nawet Kontyngentu. To dziwne, ale najwyraźniej zapomniał, kto stworzył taki porządek świata.

Krażyła pogłoska, jeszcze niepotwierdzona, lecz wiarygodna, że dołączył do niego Dariel. Do niedawna najmłodszy z Akaranów był zaledwie morskim złodziejem z Szarych Zboczy. A Corinn, jak mówił Maeander, została przeciągnięta na meinińską stronę dzięki rozkoszom łoża jego brata.

– Wiele osób nazywa ją dziwką wodza za jej plecami. Ja oczywiście nigdy bym tego nie zrobił.

– Nie – wtrącił Larken – gdybyś miał ją tak nazywać, powiedziałbyś to jej prosto w oczy.

Słuchając tego wszystkiego, Menie udawało się panować nad wzbierającymi w niej uczuciami. Na swój własny sposób uporała się już z przeszłością. Kiedy wlokła ciało Maeben

przez las, atakowały ją wspomnienia z dzieciństwa. Szarpały ją i nękały tak samo, jak gałęzie drzew, splątane korzenie i żądne krwi owady. Po drodze nawet przemawiała do rodzeństwa, usiłując wytłumaczyć się ze swego postępowania, pytając, kim się stali, próbując przewidzieć, czy mogliby się znów zjednoczyć i być takimi samymi ludźmi jak kiedyś. Oczywiście wiedziała, że to niemożliwe. Nic nie może być takie samo. Nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że ona stanie się tym, kim się stała, ani ona nie potrafiła sobie wyobrazić, kim oni są. Postanowiła jednak nie mieć żadnych wątpliwości – będzie kochać ich bez względu na okoliczności. Nic, co powiedział Maeander, nie może tego zmienić w najmniejszym stopniu.

Maeander zszedł na ląd w Aos. Musiał coś tam załatwić, lecz do Akacji miał dotrzeć mniej więcej w tym samym czasie co oni. Mena została pod opieką Larkena. Po wyjściu z cienia Maeandera, Akacjanin okazał się innym człowiekiem. Poruszał się z taką samą butą, uśmiechał z taką samą arogancją, traktował swoje ciało z niezmiennym samouwielbieniem. Lecz to było zgodne z jego charakterem. Różnica tkwiła w tym, że zachowywał się jak wolny człowiek, a nie pieczeniarsz. Mówił z nonszalancją sugerującą niemal pogardę dla władzy Maeandera; Mena nie wiedziała, dlaczego odnosi takie wrażenie. Nie chodziło o coś, co powiedział, tylko o subtelną zmianę nastawienia.

Wieczorem po wypłynięciu z Aos Larken zszedł na dół z kilkoma akacjańskimi służącymi. Mena zauważyła już wcześniej, że wszyscy służący są Akacjanami, a większość załogi to Talayanie. Jedynie kapitan, pierwszy oficer i strażnicy Punisari mieli meinińskie pochodzenie. Służący przynieśli tace z serami i oliwkami, małymi pieczonymi rybkami i karafkę wina cytrynowego. Larken powiedział, że chce ten ostatni posiłek zjeść z nią. Następnego dnia dopłyną do Akacji i Mena nie będzie już należała wyłącznie do niego.

Nie sprzeciwiała się. Nie chodziło o to, że lubiła Larkena albo że pragnęła jego towarzystwa. Mężczyzna czuł, że los Meny spoczywa teraz w jego rękach, a wkrótce przejdzie w ręce Hanisha. Sama Mena nie miała w tej sytuacji nic do powiedzenia. Lecz wychodząc z tego założenia, Larken był nieco nieostrożny w swoich wypowiedziach.

– To prawda? – zapytała Mena. – To znaczy to, co mówił o moim rodzeństwie.

– O, tak – odparł Larken, wodząc palcami od własnej kości policzkowej do podbródka, co często robił podczas rozmowy. Siedział na stołku tak blisko Meny, że gdyby się pochylił do przodu, mógłby ją dotknąć. – Maeander nigdy nie kłamie. Zawsze mówi prawdę. Dopiero kiedy milczy, należy się bać, że sprawy przybierają zły obrót.

Mena uniosła kieliszek z winem i powąchała. Zapach był znajomy, ale nie wiedziała dlaczego; nigdy nie piła wina.

– Bardzo chcę zobaczyć siostrę. Zobaczę ją, prawda? Hanish mi tego nie zabroni.

Larken zastanowił się; wydawało się, że waży nie tyle samą odpowiedź, ile to, co powinien w niej zawrzeć.

– Powiedzmy, że Hanish ma zadanie dla ciebie i zadanie dla Corinn. Są to jednak inne zadania, oddzielne losy.

Mena odstawiła kieliszek, nie próbując jego zawartości. Zrozumiała, dlaczego zapach wydał jej się znajomy. Często wyczuwała go w oddechu ojca wieczorem, kiedy opowiadał rozmaite historie jej i Darielowi. Zawsze miał pod ręką kieliszek wina. Sączył je i mówił, sączył i mówił, a kiedy całował ją na dobranoc, czuła ten zapach w ciepłym ojcowskim oddechu.

– Dlaczego uważasz, że mój brat nie zetrze Hanisha z powierzchni Znanego Świata, zanim zdąży zrealizować swoje plany względem nas?

– To nie potrwa tak długo. – Larken uśmiechnął się szeroko i spuścił wzrok, dając do zrozumienia, że pewnych rzeczy nie mówi. – A poza tym wystarczy logicznie pomyśleć. Przykro mi ci to mówić, Meno, lecz my jesteśmy gotowi na Alivera. Naprawdę tego pragniemy. Meinowie to wojownicy. Są niezadowoleni, jeśli pokój trwa zbyt długo. Nigdy nie przestają się szkolić, przygotowywać, wyczekiwać następnej bitwy. Chłopcy, którzy ostatnim razem byli za mali, by walczyć, teraz są młodymi mężczyznami. Jakże chcą się wykazać! Nadal mamy Numreków. Zdziwiłem się, jak służy im leniwe życie, lecz z radością znów wezmą do rąk swoje włócznie i topory. Mamy też inną broń. Nie taką, jaką Hanish zastosował za pierwszym razem. Coś takiego można zrobić tylko raz. Ale uwierz mi, mamy inną broń. Coś, od czego będziesz się budzić z krzykiem po nocach. Ale to nie żaden senny koszmar. Kiedy Hanish je wypuści, będą chodzić w pełnym blasku dnia. Uwierz mi, Hanish jest gotów stawić czoło Aliverowi Akaranowi i niewyszkolonej, wielojęzycznej hordzie, bez względu na jej wielkość i na to, jaki zapal jest zdolny wzbudzić w niej twój brat.

Mena patrzyła na niego przez długą chwilę, bawiąc się wisiorkiem w kształcie węgorka.

– Powiedz mi coś, Larkenie... Jesteś Akacjaninem. Zawsze nim będziesz. Nie chcesz zmyć plamy na swoim honorze? Nie tkwi gdzieś w tobie to pragnienie? Mógłbyś to zrobić choćby teraz. Mógłbyś się przyłączyć do mnie i do mojego brata i pomóc w odzyskaniu tego, co niegdyś zdradziłeś. Ze swoją wiedzą mógłbyś ogromnie pomóc mojemu bratu. Mógłbyś odkupić swoją zbrodnię.

– Bynajmniej. Słyszę jednak, co mówisz i nie byłbym pierwszym, który tak odmienił swoje postępowanie. Ale nie jest to... sposób na życie, który mi odpowiada. Związałem swój los z Meinami i jest mi z tym dobrze. Powinnaś zobaczyć moją willę w Manil. Mam

służących na wszystkie okazje, Meno. Na wszystkie, naprawdę. Prowadzę życie, o jakim nie mógłbym marzyć jako strażnik Marahów. Kiedy wzywa mnie Hanish albo Maeander, przybywam i służę, lecz przez większość czasu niczym się nie różnię od najbogatszych szlachciców.

– A zatem troszczysz się tylko o siebie?

– A o kogo innego miałbym się troszczyć? Jestem tylko sobą...

– No to zmień się w kogoś lepszego! Wystarczy, że to zrobisz. To jest coś, co sama odkryłam.

Zamiast odpowiedzieć jej wprost, Larken zapytał, czy słyszała kiedykolwiek meinińską legendę o niedźwiedziu Thallachu. Był on ogromnym północnym niedźwiedziem, z którym mierzyli się pierwsi Meinowie. Jeden po drugim wchodzili do jego jaskini i kolejno z nim walczyli. Ginęli, a Thallach miał stałe pożywienie, więc nawet nie musiał wychodzić na zewnątrz. Jedzenie samo przychodziło do niego. Trwało to wiele lat; zginęło wielu mężczyzn. Pewnego dnia święty mąż przekonał ludzi, by spróbowali czegoś innego. Po co mają raz po raz posyłać swoich najlepszych, najsilniejszych i najbardziej ukochanych ludzi na śmierć? Może lepiej zawrzeć z niedźwiedziem pokój? Ludzie, osłabieni i przestraszeni, uwierzyli, że jest w tym mądrość. Święty mąż udał się do Thallacha na czele delegacji z piórem pokoju i obietnicą, że odtąd będą go karmić, troszczyć się o niego i oddawać mu boską cześć.

– Wiesz, co im Thallach na to powiedział?

Larken przysunął swój stołek do ławki Meny. Przez chwilę nic nie mówił, choć po jego zadowolonej minie wyraźnie było widać, że nie oczekuje odpowiedzi.

– Thallach powiedział... – przy tych słowach pochylił się do przodu, wyszczerzył zęby i warknął głucho, a Mena poczuła w uchu vibracje gorącego oddechu Larkena. – A potem ich wszystkich pożarł, tak jak poprzednio. Właściwie czego innego można było się spodziewać po niedźwiedziu? Thallach nie mógł być inny, niż był. Ja też nie mogę. I nie chcę! Więc nie próbuj zrobić ze mnie kogoś, kim nie jestem. Powiem ci coś, czego o mnie nie wiesz. A potem zapytam, czy nadal uważasz, że mogę odkupić winy.

Wyjaśnił swoją rolę w przekazaniu Corinn Hanishowi. Chciał, by Mena zrozumiała, że nie zmienił po prostu strony jak inni pokonani żołnierze. Nie złożył tak po prostu przysięgi lojalności nowemu panu. Całe życie przygotowywał się do takiej zdrady. Zachowywał się tak, by zyskać najwyższy stopień wtajemniczenia w hierarchii Marahów. Był idealnym żołnierzem o nieskazitelnym przebiegu służby. Szlifował umiejętności szermiercze z zapalem, który zawsze budził pochlebne komentarze jego nauczycieli. Wytrzymywał wszelkie niewygody szkolenia bez słowa sprzeciwu i zawsze zgłaszał się na ochotnika do zadań

specjalnych. Lecz wszystko to robił po to, by chwycić szansę na coś wspanialszego, gdyby tylko się pojawiła.

Patrzył, jak Hanish Mein pustoszy świat i wiedział, że walka z nim to przegrana sprawa. Schwycił Corinn z radością w sercu. Tak łatwo było ją oszukać. Mówił jej tylko: „Możesz mi zaufać. Żyję tylko po to, by cię chronić”. Kiedy ją wydał, nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Zrobiłby to samo z każdym z nich, nawet z samą Meną, gdyby miała nieszczęście wpaść mu w ręce.

– Miałam to nieszczęście – rzekła Mena bez cienia wesołości.

Całą noc spędziła na rozważaniu pewnej myśli, która nigdy wcześniej nie przyszła jej do głowy. Co by było, gdyby dawno temu schwycił ją Larken? Gdyby dorosła w pałacu, tak jak Corinn? Czy byłaby tą samą osobą, którą jest teraz? Niemożliwe. Czy lepiej byłoby wyrosnąć na kogoś innego? Oczywiście, że nie. Nie umiała sobie wyobrazić, by to było lepsze. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że nie dorastałaby na Vumu w otoczeniu wieśniaków ani że nie zostałaby Maeben na ziemi. To stanowiło tak ważną jej część. Nawet mimo tego, że musiała zerwać z boginią, że zdemaskowała ją jako oszustwo i sprowadziła na nią śmierć, nadal nie chciałaby być nikim innym: Meną, która wyłoniła się z cienia Maeben.

Los, jaki ich ojciec zaplanował dla Corinn, został wypaczony jeszcze bardziej. Larken obrabował ją z trudnego zadania, jakim miało być dorastanie w świecie oddalonym od Akacji. To był dar, jaki otrzymały od ojca, lecz Mena dopiero teraz – sama dorosła i poznająca prawdę o tym, kim się stało jej rodzeństwo na wygnaniu – zaczynała rozumieć, czym jest ten dar. Przez Larkena Corinn go nie otrzymała. Mena, która w trakcie ich rozmów nie potrafiła określić swoich uczuć względem niego, teraz takie uczucie odnalazła. Nienawidziła go. Całą noc zastanawiała się, co ma z tym zrobić.

Następnego ranka przyszło po nią czterech Punisarich. Larken czekał na nią przy dziobie. Był w pełnym rynsztunku wojskowym: tors owinał thalbą, u pasa miał dwie szable różnej długości, a na płaskim brzuchu przymocowany poziomo niewielki sztylet w pochwie. Mena omiotła go spojrzeniem. Jeśli to zauważył, to tylko polechtało jego próżność.

– A więc miałaś noc na zastanowienie się – powiedział. – Czy nadal uważasz, że mogę odkupić swoje przewinienia?

– Tak – odparła Mena, idąc ku niemu – można to tak ująć.

– Czyli jak?

Szła równym krokiem, nieśpiesznie. Ze skupieniem patrzyła mu prosto w oczy w jasnym świetle poranka, nie zwracając uwagi na ruch statku pod żaglami i wydawane przez niego odgłosy.

– Nie miałyby sensu ci tego teraz wyjaśniać – rzekła. – Może zrozumiesz, kiedy to się stanie, a może nie. Tak naprawdę nie ma to znaczenia.

– Pogodziłaś się z losem. To niemal smutne, królewno. Niemal smutne...

Mena zatrzymała się tak blisko niego, że można by pomyśleć, że zamierza go pocałować. Zamiast tego chwyciła rękojeść jego długiej szabli. Palce prawej dłoni Larkena drgnęły, lecz nie spróbował odepchnąć jej ręki. Nawet to go bawiło.

– To intymny dotyk, Meno. Powinnaś uważać, za co łapiesz.

Klinga zaśpiewała, jednym gładkim ruchem wyciągnięta z pochwy.

Larken uniósł ręce w parodii przest్రachu.

– Imponujące, Meno. Wiesz, że dobyte cudzej szabli nie jest łatwe? To ruch, który łatwo zepsuć: zły kąt wyciągania, sam ruch pośpieszny albo urywany – wiesz, takie rzeczy...

Mena cofnęła się kilka kroków, waząc szablę w dłoni. Wiedziała, że za nią stoją strażnicy, lecz Larken powstrzymał ich ruchem dłoni. Na to liczyła. Czuła na sobie ich wzrok, lecz wiedziała, że obserwują ją również akacjańscy słuźący i talayska załoga.

– I co teraz? – zapytał Larken. – Co zamierzasz z tym zrobić?

– Zamierzam cię zabić.

– Jestem urażony, ale to bardzo nieprawdopodobne. Jesteś odważna, Meno. Nigdy nie sądziłem, że jest inaczej. Twój problem leży w tym, że właściwie nie ma lepszego szermierza ode mnie. Nie sądzę, by dziewczyna wychowana na vumuańską kapłankę miała duże szanse. Jestem z tobą po prostu szczerzy. Mógłbym cię powstrzymać, zanim jeszcze wyciągnęłaś szablę. Wiesz o tym, prawda? I, jak widzisz, jesteś otoczona przez moich strażników i całą załogę.

– Nimi zajmę się później – powiedziała.

Larken nie mógł powściągnąć uśmiechu.

– Ciekawe, czy twoi bracia są równie zuchwali. – Pokazał gestem na swoją drugą klingę, krótszą, lecz równie zabójczą, i dodał: – Mam też drugą szablę.

Mena ustawiła się tak, jakby chciała zacząć pierwszą formę.

– Dlatego wzięłam tylko jedną.

Larken dobył broń, kiedy Mena ruszyła w jego stronę. Trzymał ją luźno i zamachnął się od prawej do lewej, by powstrzymać wyjątkowo niski początkowy atak Edifusa. Był to ze strony Larkena pogardliwy gest, a zarazem ostatni ruch, który w pełni kontrolował.

Atak Meny w niczym nie przypominał pierwszej formy. Wyłamała się z niej już pierwszym, przypominającym smagnięcie ruchem szabli. Zatoczyła czubkiem szybkie kółko i Larken się zawahał. Cięła go pod kątem w nadgarstek. Ostra klinga prześliznęła się w górę

wzdłuż kości, odcinając spory kawałek ciała i mięśni, jakby to był miękki ser. Larken wypuścił szablę z bezużytecznej ręki.

Mimo szoku i bólu, szybko wyciągnął w stronę upadającej broni lewą rękę. I złapałby ją, gdyby Mena nie zatoczyła szablą kółka w przeciwną stronę i nie trafiła w sięgającą dłoń. W powietrzu zawirowały cztery palce, ciągnąc za sobą cienkie pasemka krwi. Mena nigdy nie zapomniała miny Larkena. W następnej chwili wycięła mu na brzuchu uśmiech.

Zanim padł na pokład, odcięła najbliższemu strażnikowi Punisari rękę wraz z szablą. Chwilę później wyeliminowała drugiego pchnięciem w szyję, przecinając mu tętnicę doprowadzającą krew do głowy. Wiedziała, że jest jeszcze dwóch do zabicia, lecz nigdy nie miała większego poczucia, że panuje nad własnym losem. Cofnęła się przed pozostałymi strażnikami, wskoczyła na reling, przebiegła po nim na palcach i zeskoczyła po drugiej stronie sterty skrzynek. Zyskała w ten sposób dość czasu, by powiedzieć kilka słów do marynarzy i służących, którzy obserwowali ją z pełnym grozy zdumieniem. Powiedziała, kim jest i zażądała – w imieniu ojca oraz sprawy jej brata, który zamierzał zostać królem – by się zbuntowali i razem z nią przejęli statek.

Kiedy mężczyzna z Teh o beżowej skórze wykrzyknął radośnie jej imię z bocianiego gniazda, z którego obserwował wydarzenia, Mena wiedziała, że statek należy do niej.

ROZDZIAŁ 56

Sekretarz Hanisha wrócił do biura wodza energicznym krokiem; do piersi przyciskał plik dokumentów, a spomiędzy palców lewej dłoni wystawała mu królewska pieczęć i pałeczki laku. Nawet nie zauważył człowieka czekającego na jego powrót, dopóki ten nie odchrząknął. Sekretarz zatrzymał się, położył papiery i westchnął, jakby Rialus Neptos wystawił jego cierpliwość na ciężką próbę samym tylko oznajmieniem swojej obecności.

– Nie może cię przyjąć – oznajmił sekretarz. – Przybyłeś o dzień za późno, Neptosie. Przekazał jednak wiadomość. Odpływa dzisiaj na Łąd w sprawach nie cierpiących zwłoki. Z przyjemnością spotka się z tobą albo z samym Calrachem po powrocie. Może za tydzień, może za dwa. Tymczasem liczy na wsparcie Numreków w zbliżającym się konflikcie. Stanowią oni jego silną prawą ręką, topór wojenny; kiedy Aliver zostanie pokonany, nie zapomni ich nagrodzić. Calrach powinien zgłosić się do Maeandera, jako że to on będzie dowodził wszystkimi meinińskimi siłami. Wszystkie inne szczegóły wódz określi we właściwym czasie. To jest ta wiadomość.

Ambasador wiedział, że pożałuje wszystkiego, co na to odpowie, lecz nie mógł się powstrzymać.

– Ale Calrach osobiście poprosił mnie o przedstawienie propozycji...

Młody Mein rozdzielił powietrze placami, jakby rozkładał wachlarz między sobą i ambasadorem.

– Przekazałem wszystko, o co prosił mnie Hanish. Możesz odejść.

Arogancki cymbał, pomyślał Rialus. Cymbał! Nie pokazuj mi drogi uniesioną ręką! Nie dotykaj mnie i nie waż się zamykać drzwi, kiedy jeszcze nie zgodziłem się wyjść! Oczywiście nie powiedział tego na głos, a sekretarz rzeczywiście wskazał mu drogę uniesioną ręką, dotknął jego łokcia i stanowczo zamknął za ambasadorem drzwi.

Chwilę później stał na korytarzu przed biurem w towarzystwie gburowatego strażnika, który patrzył na niego z góry spod krzaczastych złocistych brwi. Człowiek ten lekko go irytował, lecz Rialus nie odchodził. Oprócz strażnika nie było tu nikogo; stało tam tylko kilka posągów naturalnej wielkości, które jakimś sposobem sprawiały, że przestrzeń wydawała się jeszcze bardziej opustoszała. Nie wiedząc, co ma dalej robić, Rialus po prostu stał.

Cóż, to całkowita porażka, która na pewno sprowadzi na niego kłopoty. Calrach nie

przysłał go do Hanisha z jakimś prozaicznym zadaniem ani po to, by wyjaśnić, jak i gdzie będą walczyć Numrekowie. Poleciał ambasadorowi, by poruszył temat otrzymywania zapłaty przez Numreków w ramach Kontyngentu. Jeśli chodzi o Rialusa, to uważał on pomysł za absurdalny. Numrekowie żyli jak chcieli. Regularnie polowali na mieszkańców Gór Teheńskich. Schwytanych chłopów wykorzystywali do tych samych celów, do jakich służyliby niewolnicy z Kontyngentu. Po co więc żądać od Hanisha jeszcze więcej, skoro wódz był wobec nich dość hojny?

Lecz do Calracha nie przemawiały żadne argumenty. Uczepił się tego pomysłu i żadna z subtelnych prób Rialusa, by go od niego odwieść, nie odniosła rezultatu. Teraz jednak ulga, że nie musi o tym rozmawiać z Hanishem, zmieniła się w przerażenie. Będzie musiał wrócić do Calracha z pustymi rękami. Może powinien udawać, że Hanish go przyjął. Mógłby powiedzieć, że wódz się zastanawia, a odpowiedzi udzieli po powrocie, coś w tym stylu. Lecz było to niebezpieczne oszustwo. Hanish zapewne wezwałby w końcu Calracha osobiście, nie korzystając z pośrednictwa Rialusa. Już tak przedtem robił. Spotkają się i po kilku pierwszych sekundach numrecki wódz się dowie, że Rialus skłamał. A wtedy sam nie dałby wiele za swoją skórę. Dlaczego każda sytuacja w jego życiu wiąże się z takimi dylematami? Pomyślał, że zawsze tak było i może zawsze tak będzie.

Stał tak jeszcze parę minut – usiłując sobie przypomnieć, kiedy jego los był inny – aż uświadomił sobie, że ktoś go obserwuje. Jedna z postaci stojących dalej w korytarzu nie była naturalnej wielkości posągami, jak zakładał, lecz kobietą. Poznał ją, kiedy odsunęła się od ściany i na niego skinęła.

– Królowna Corinn? – zapytał, podchodząc do niej.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i poprowadziła go korytarzem, skręciła w inny i weszła przez małe drzwi. Wszystko rozegrało się szybko i Rialus dopiero po chwili rozpoznał dużą, zagraconą komnatę, do której weszli. Była to biblioteka, przesiąknięta zapachem książek i oświetlona oknami sięgającymi od podłogi do sufitu. Sądząc po ciszy i bezruchu powietrza, nikogo tu nie było.

Corinn poprowadziła go przez komnatę do jednego z wykuszy okiennych. Tam się do niego odwróciła.

– O tej porze dnia nikt tu nie przychodzi. Pozostałe drzwi są zamknięte, więc jesteśmy zupełnie bezpieczni. Jeśli ktokolwiek zechce tu wejść, usłyszymy go i będziemy się mogli wymknąć. – Powiedziała to wszystko z chłodną pewnością siebie, a kiedy zaczął formułować pytanie, zbliżyła się do niego. – Czy będziesz ze mną szczerzy, Rialusie? – zapytała.

Rialus poczuł cytrusowy zapach jej oddechu. Właściwie nie spotykał jej zbyt często.

Nie był nawet pewien, czy zna jego imię. To, że znała, oraz doskonałość jej rysów oszołomiły go. Wszystkie ich krzywizny, proporcje oraz gra światła i cienia były bez skazy, idealne. Wyjąkał, że oczywiście będzie szczerzy.

– A zatem powiedz mi, czy kiedykolwiek spoglądasz wstecz z tęsknotą? – zapytała Corinn.

– Z tęsknotą, królewno?

Przyjrzała mu się. Miał poczucie, że go ocenia, zastanawiając się, czy powinna powiedzieć to, co zamierzała. Wbrew logice miał nadzieję, że się jej spodoba.

– To znaczy, czy żałujesz, że Imperium Akacjańskie upadło? Zwróciłeś się przeciwko własnemu ludowi, Rialusie.

– Nie bez powodu – odparł zaczepnie. – Nie masz pojęcia, co...

Corinn uciszyła go muśnięciem palców na wargach.

– Nie bądź dla mnie surowy. Wiem, Rialusie, że czujesz się urażony. Wiem, że aspirowałeś do czegoś ważniejszego niż życie na tym meinińskim pustkowiu. Jestem jednak przekonana, że obwiniłeś mego ojca niesłusznie. Wiesz, że pamiętam, jak raz o tobie mówił? Zasmucił go jeden z twoich listów do niego. Powiedział, że oczywiście Rialus Neptos to dobry człowiek; do Cathgergen zesłała cię rada, a nie mój ojciec. Powiedział też, że będzie musiał stawić czoło radzie i przenieść cię na godniejszą cię posadę w Alesji. Zrobiłby to, ambasadorze, tyle że nie daliście mu dość czasu.

Rialusowi zabrakło słów, lecz udało mu się pokręcić głową. Nie rozumiał, co Corinn próbuje zrobić, lecz nie mogła – nie mogła – mówić prawdy.

– Nie wierzysz mi? – zapytała. – To skąd wiedziałabym o listach, które do niego pisałeś? Skąd bym wiedziała, że jesteś na północy nieszczęśliwy? Byłam blisko z moim ojcem, Rialusie. Bardzo go kochałam, a on kochał mnie. Często mówił mi o tym, co go trapi, a więc i o tobie. I zapewniam cię, że zapamiętałam twoje imię nie bez powodu. Stało się tak dlatego, że ledwie kilka tygodni później zostałeś potępiony jako zdrajca. Nie, to niemożliwe, pomyślałam. Nie Rialus, o którym ojciec wyrażał się z tak wielkim uznaniem. Lecz to była prawda. Zdradziłeś go i dlatego teraz tu stoisz. Chcę zrozumieć, czy czujesz, że dokonałeś właściwego wyboru. Czy twoje obecne życie jest takie, jak sobie wymarzyłeś?

Rialus nie wiedział, jak ma odpowiedzieć. Jej słowa były obraźliwe. Powinien przeciwko nim ostro zaprotestować. Miał wiele do powiedzenia o tym, jak został znieważony. Lecz w jej głosie, gestach czy wyrazie twarzy, na której gościła tylko otwartość i ciekawość, nie było potępienia. Niesłusznie spodziewał się z jej strony urazy. Czuł natomiast... cóż, czuł coś, co go nie spotkało od bardzo dawna. Nawet nie wiedział, czy pamięta odpowiednie

słowo. Przypomniała mu je Corinn.

– Nie pytam dlatego, że chcę cię osądzać. Szczerze mówiąc, czuję się tak samo. Wiem, co to jest empatia. Ja też zdradziłam tych, których kochałam. Rozumiem, jak to jest popełniać błędy, których się żałuje i które bardzo pragnie się naprawić. Pomyślałam sobie, że może jesteś taki sam jak ja, Rialusie.

Empatia. To jest to słowo. Ona przeżywa to samo. Trudno to było pojąć – i samo uczucie, i wiążące się z tym możliwości. W odruchu obronnym uciekł się do starej śpiewki.

– Nie jesteśmy tacy sami, królewno. Ja jestem ambasadorem. To ważne stanowisko wiążące się z władzą...

Corinn dała mu do zrozumienia, że usłyszała już dość.

– Świetnie. Twoje życie jest dokładnie takie, jakiego pragnąłeś. Oczywiście w to nie wierzę, lecz nie będę się z tobą sprzeczać. Powiedz mi zatem, co sądzisz o powrocie mojego brata?

Powiedzieć jej o Aliverze? Niemal zapytał, dlaczego chce to wiedzieć. Powody były oczywiste – a także sprzeczne. „Jest moim bratem i kocham go”, tak mogłaby powiedzieć. Lecz z rozmaitych przyczyn nie to chciałby usłyszeć. Mogłaby też powiedzieć, że stanowi zagrożenie dla Hanisha. Lecz tego też nie chciał usłyszeć, chociaż sugerowałoby to bezpieczeństwo jego obecnej pozycji. Usiłował więc odpowiedzieć neutralnie.

– On pozostaje tajemnicą, królewno. Nie mogę...

– Nie okłamuj mnie. Nie musisz tego robić, a ja nie okłamałabym ciebie. Prawda jest taka, Rialusie, że nie mam w tym pałacu ani jednego przyjaciela. Nikogo nie obchodzi, co się ze mną stanie. Hanish nie jest moim przyjacielem, rozumiesz? Nie może się dowiedzieć, że rozmawialiśmy, i nie może poznać nawet jednego słowa, które padło między nami. Przysięgnij, że to rozumiesz.

Skinął głową, chociaż zrobił to z wahaniem mającym pokazać, że niechętnie godzi się na oszustwo, jakie proponuje Corinn.

Jeśli zauważyła ten słaby sprzeciw, nie dała tego po sobie poznać.

– Bardzo potrzebuję przyjaciela, Rialusie, potężnego przyjaciela. Dlatego teraz rozmawiam z tobą. Czy ty też pragniesz mieć przyjaciela?

– Tak, bardzo – odpowiedział, zanim zdążył się powstrzymać.

– A zatem ja nim będę. Będziemy dawać sobie nawzajem różne rzeczy, jak to przyjaciele. Najpierw opowiedz mi o moim bracie. Hanish usiłuje trzymać mnie w niewiedzy, bo jest po prostu okrutny. Nic ci się nie stanie, jeśli powiesz mi o czymś, o czym wiedzą już wszyscy. Po prostu pomóż mi zrozumieć, co się dzieje na świecie.

Pomyślał, że to może zrobić. Ona go potrzebuje. Sama tak powiedziała. Co może się stać, jeśli powie jej to, o czym wszyscy i tak już wiedzą? Nie był gotów przyjąć przyjaźni, lecz to mógł zrobić.

Przez następne pół godziny dzielił się z nią wszystkim, co wiedział. Pomyślał, że całkiem zrecznie opisuje posunięcia Alivera, siłę i skład jego wojska. Powiedział jej o rozchodzących się mitach, o pogłoskach o czarnoksiężstwie i tak dalej, i że to wszystko nie robi na Hanishu wielkiego wrażenia. Wodza złościł czas powrotu Alivera. O wiele bardziej wolałby spokojnie dokończyć przeprowadzkę Tunishnevre. Hanish ściągnął z prowincji wszystkie oddziały, jakie mógł, i skoncentrował je wokół Bocoum. Numrekowie jeszcze do nich nie dołączyli, lecz są gotowi do wymarszu i planują wyruszyć, kiedy tylko Rialus wróci. Wojna, powiedział, rozpocznie się za kilka dni.

Był zaskoczony sposobem, w jaki Corinn go przepytuje. Raz po raz pytała o szczegóły, konkrety i wyjaśnienia. Robił, co mógł, by ją zadowolić. Kiedy zapytała, co stanowi największe zagrożenie dla armii Alivera, Rialus odparł:

– Oczywiście Numrekowie. Ci, przy których jestem ambasadorem.

– Tak, niepokonani Numrekowie... Czy rzeczywiście są tacy groźni?

Rialus przez kilka chwil wychwalał ich umiejętności wojskowe. Był świadom ironii swoich słów – zważywszy, jak bardzo ich nienawidził – lecz im więcej wymagała od niego Corinn, tym bardziej czuł się zobowiązany do dzielenia się z nią wszystkim, co wie.

– Gdyby się zwrócił przeciwko nim cały świat, oczywiście zostaliby pokonani – zakończył – lecz nie bez ogromnych strat. Jestem pewien, że Hanish Mein rozważał wystąpienie przeciwko nim. Lecz to było wcześniej, teraz z radością znów nazywa ich sprzymierzeńcami.

– A więc ich potrzebuje?

– Bardzo. Hanish może i ma w zanadrzu kilka nowych pomysłów, lecz zdecydowanie potrzebuje moich podopiecznych i na nich polega.

Na twarzy Corinn odmalował się niepokój, wahanie i niepewność. Wydawało się, że na chwilę zapomniała o Rialusie. Położyła dłoń na parapecie, gest ten uwydatnił krzywiznę jej piersi. Patrzyła przez okno w sposób sugerujący, że myśli tak intensywnie, że nic nie dostrzega. Przygryzła dolną wargę.

– Rialusie, czego pragniesz najbardziej na świecie? – Odwróciła się do niego. Stanowczość rysująca się na jej twarzy i brzmiąca w głosie świadczyła, że Corinn rozwiązała swój dylemat i jest gotowa do dalszych działań. – Chyba wiem. Chcesz być szanowany. Chcesz być nagradzany. Pragniesz, by Hanish przyznał, że pomogłeś jemu i Maeanderowi

pokonać mojego ojca. Pragniesz takich przywilejów, jakie otrzymali ludzie pokroju Larkena. Twoim marzeniem jest zawsze się budzić obok piękności, która będzie dokładnie wykonywać twoje polecenia. To tylko niektóre z twoich pragnień. Dlaczego nie miałbyś ich zrealizować? Dlaczego ambitny mężczyzna nie miałby pożądać takich rzeczy? Mam rację, prawda?

Rialus otworzył usta, lecz Corinn nie czekała na jego odpowiedź.

– Hanish nigdy ci tego nie da. On się z ciebie śmieje. Uważa cię za głupca, tchórza, idiotę. Kiedyś zażartował, że gdyby nie mianował cię ambasadorem przy Numrekach, co uważa za bardzo podłe zajęcie, to zrobiłby z ciebie dworskiego błazna. Powiedział, że nawet nie musiałbyś ćwiczyć. Wystarczyłoby, żebyś był sobą. Tak właśnie myśli o tobie.

– Ja...

– Wiesz, że mówię prawdę. Zawsze o tym wiedziałeś i nienawidzisz go za to, prawda?

– Nie... nie... nie użyłbym słowa „nienawiść” – rzekł Rialus. – Miałem wrażenie, królewno, że kochasz Hanisha. Że...

Corinn odrzuciła głowę i się roześmiała. Otworzyła usta tak szeroko, że Rialus dostrzegł tylną ścianę jej gardła. Było to dla niego dość krępujące.

– Zabawny jesteś – powiedziała, kiedy udało jej się opanować. – Ja nie kocham Hanisha. A ty?

Rialus był zadowolony, że nie zaczęła na jego odpowiedź.

– Oczywiście, że nie. Ja ci się podobam. – Wcisnęła sobie dłoń między piersi, co okazało się gestem raczej wojowniczym niż zmysłowym. – Ty i ja skończyliśmy z miłością. Już nigdy nie oddam serca żadnemu mężczyźnie. Nawet tobie, Rialusie, chociaż potrafisz czarować jak mało kto. Możesz sobie o mnie myśleć, co chcesz. Nie mogę ci tego zabronić i nie obchodzą mnie twoje fantazje. Nigdy jednak nie zdobędziesz mojej miłości; ale ty nie tego chcesz, prawda? Chciałbyś dostać moje ciało, lecz nie to, co ono kryje. Tak czy owak, będą dla ciebie inne, piękniejsze i bardziej bezmyślne ode mnie. Zrozumiałeś?

Skinął głową. Naprawdę zrozumiał. Nie była pustą pięknością, za jaką ją uważał. Za jej twarzą wiele się kryło. Uświadomił sobie, że Corinn jest niebezpieczna, o co nigdy by jej nie podejrzewał. Otóż to. Nie wiedział dokładnie, dlaczego nie umiał sobie wyobrazić, jaką dzierży władzę, ale teraz był przekonany, że jest kobietą, której nie należy się sprzeciwiać.

Jakby odpowiadając na jego myśli, Corinn powiedziała:

– Hanish zdradził mnie na wiele sposobów, czego mu nie wybaczę. I o czym nie zapomnę. Nie tym razem. Mam nadzieję, że będziesz wierniejszy od niego, Rialusie. Dam ci wiadomość dla Calracha, mam dla niego propozycję. Myślałam o opuszczeniu wyspy, lecz nie widzę na to żadnego sposobu. Jestem tu więźniem, Rialusie. Lecz z twoją pomocą... Jeśli

uda nam się dokonać tego, co mi zaprzęta myśli, będziesz bardzo szczęśliwym człowiekiem. Po wojnie zostaniesz nagrodzony wszystkim, co według ciebie ci się należy. Wraz z bratem dopilnujemy, byś to otrzymał.

ROZDZIAŁ 57

Thaddeus Clegg nie mógł być bardziej zadowolony z tego, kim się stał Aliver Akaran. Może tylko on dostrzegął, jak bardzo królewicz przypomina swego ojca rysami i brzmieniem głosu, przenikliwością i inteligencją piwnych oczu oraz wyprostowaną postawą. Był bardzo podobny do Leodana z czasów młodości, tyle że Aliver nie tylko przejął wszystkie jego cechy, ale jeszcze je wyostrzył. Leodan marzył o reformach i sprawiedliwości; zastanawiał się nad nimi, lecz nigdy nie podjął żadnych prawdziwych działań. Aliver teraz tym wszystkim żył i starał się odpowiednio ukształtować świat. Thaddeus kiedyś się martwił brakiem entuzjazmu Alivera dla przyjęcia pełnej odpowiedzialności, lecz teraz wydawało się to zamierzoną przeszłością. Od powrotu z poszukiwania Santoth królewicz się nie wahał. Kiedy poprosił, by znów mógł nosić Zaufanie Króla, Sangae natychmiast przyniósł mu szablę. Mając ją u boku, Aliver Akaran pod każdym względem wyglądał na przyszłego bohatera.

Pierwsze zadanie – przekonanie do swojej sprawy Halalyów – nie było łatwe. Odmówił przystąpienia do ich lokalnej wojny mającej na celu wybicie sąsiadów. Przekonał ich do porzucenia prowincjonalnych sprzeczek, mają przecież wspólnego wroga o wiele większego od każdego zagrożenia, jakie talayskie plemiona mogłyby stanowić wobec siebie nawzajem. Przekonywał, że pokonanie Hanisha Meina byłoby największym wyczynem, jakiego mogą dokonać dla zmiany swego losu. Obiecał, że kiedy zostanie królem, będzie pamiętał o wszystkich działaniach go popierających oraz o wszystkich przeciwko niemu. Odpłaci za nie na wiele sposobów. Powiedział, że Halalyowie mogą albo zostać przywódcami Talayan, albo jedynym ludem pozbawionym prawa głosu w nadchodzącym świecie.

Będą się z nich śmiać przyszłe pokolenia, drwiąc z ludu tak ślepego na zbliżające się zmiany, że został pozbawiony wszelkiego znaczenia. Spojrzenie Oubadalowi w twarz i powiedzenie takich rzeczy nie było łatwe, lecz Aliverowi się to udało.

Kanclerz usłyszał o tym wszystkim od innych. Kiedy królewicz wrócił od Halalyów i wyruszył na północ, osobiście doświadczył siły jego perswazji. Aliver przemawiał do coraz większych tłumów garnących się do niego. Ludzie zbierali się każdego popołudnia, kiedy wygłaszał on długie przemowy do każdego, kto chciał go słuchać. Mówił z zapałem proroka i codziennie roztaczał przed słuchaczami coraz wspanialsze wizje. Opisywał przekonania i zamiary, których Thaddeus się nie spodziewał, gdyż nie zasiał ich w Aliverze ani sam sobie

nie wyobrażał. A były to pomysły tak szlachetne, że w najmniejszym stopniu nie mógł młodzieńca za nie potępiać.

Kiedy Aliver powiedział, że nagrodzi tych, którzy mu pomogą, nie miał na myśli rozdzielania bogactw, dawania władzy temu plemieniu, a nie innemu, wynoszenia jednych ponad drugich. Chciał złamać kręgosłup starych praktyk, a jego resztki wyrzucić. Poprosił plemiona – czy to w Talay, czy Candovii, w Aushenii, Senivalu czy gdziekolwiek indziej – by myślały o sobie nawzajem jako o członkach dużych rodzin. Nie muszą się bezkrytycznie kochać, na wszystko zgadzać ani dawać bez oczekiwania rewanżu. Chciał jednak, by zasiadali razem na naradach i szukali takich rozwiązań, dzięki którym wszyscy by korzystali. Każde z plemion samo żyłoby w dobrobycie i uśmiechało się na myśl o bogactwie sąsiadów. Dlaczego miałyby być inaczej?

– Edifus się mylił – powiedział Aliver pewnego popołudnia; jego słowa później wciąż dźwięczały Thaddeusowi w głowie. – Tinhadin się mylił. Zbyt wiele następnych pokoleń godziło się z niesprawiedliwościami. Nawet mój ojciec, Leodan Akaran, nie widział sposobu wyrwania się spod tyranii jego własnej pozycji w świecie. Wiedział, że taka sytuacja jest zła. Ja też o tym wiedziałem, nie mając na ten temat wiedzy; starałem się tego nie dostrzegać, ponieważ nikt nie chciał, bym to zauważył. Wtedy pojawił się Hanish Mein. Pojawiło się większe zło, które przetoczyło się ogniem przez kraj, zwęgliło go i zniszczyło. Czuję odrazę do Hanisha Meina za cierpienie, które zadał światu. Nie podoba mi się, że w tej chwili muszę prosić, by tysiące ludzi oddało życie w walce z nim. Lecz za jedno mu dziękuję. Przerwijąc łańcuch akarańskich rządów, Hanish Mein przygotował grunt pod zmianę świata. Sam Hanish nie jest początkiem nowej ery. Jest tylko przerwą między dwoma zdaniem. Wcześniejsi Akarani wypowiedzieli pierwsze zdanie, które przyniosło rozczarowanie; ja oraz ci, którzy przyjdą po mnie, wypowiedzą drugie, i będzie to głos sprawiedliwości.

Hanish Mein jako przerwa między dwoma zdaniem... Thaddeus nigdy sobie nie wyobrażał tak zuchwałego nakreślenia sytuacji. A Aliver wcale na tym nie poprzestał. Obiecał skończyć z przymusową pracą w kopalniach. Chciał znieść Kontyngent i nigdy już nie kupować mgły. Przysiągł, że jego ostatecznym celem będzie rządzenie w sposób przynoszący korzyści jak największej liczbie ludzi. Nie wyznaje poglądu, że naturalnym porządkiem ludzkości jest ten, w którym niewielu korzysta z pracy i cierpienia całych narodów. Kocha swoich przodków – niech nikt nie waży się temu przeczyć. Niewłaściwie ukształtowali świat, lecz także umożliwili istnienie jemu, Aliverowi. Stworzy lepszą przyszłość w imieniu swoim oraz przodków.

Jeśli Aliver był niezdecydowany jako młodzieniec, teraz już się nie wahał. Wszelkie

niezdecydowanie zniknęło niczym dziecięcy tłuszcz z jego szczupłego ciała; za dnia poruszał się z niesłabnącą energią, lecz czasem, w nocy, w towarzystwie bliskich osób, okazywał znużenie, zatroskanie. Thaddeus uważał, że tego należało się spodziewać.

Kiedy dotarli do otwartych równin, ciągnących się na północ aż do samego Bocoum, Alivera nazywano już nie tylko Śniegowym Królem. Został ogłoszony prorokiem Dawcy. Ludzie mówili, że nikt nigdy jeszcze nie wlewał tak szlachetnych prawd w tak wiele uszu. Działa przez niego Dawca, a ta wojna to jego test na sprawiedliwość świata. Może kiedy odniosą zwycięstwo, Dawca wróci do świata i znów będzie chodził między ludźmi.

Aliver sam nigdy nic takiego nie mówił, lecz przekonania te rozprzestrzeniły się jak pożary na suchych talayskich sawannach. Przenosiły się z człowieka na człowieka, z wioski do wioski, niesione różnymi językami. Przeskoczyły górskie łańcuchy i przebyły morza. Ludzie byli spragnieni takich wiadomości. Wchłaniali je w siebie z jasnym wzrokiem, zwłaszcza że jeden po drugim otrząsali się z uzależnienia od mgły. Thaddeus czasem budził się w nocy ze strachu, że wydarzenia toczą się zbyt szybko, lecz teraz nie można już było zawrócić.

Stary kanclerz nadal doradzał przyszłemu królowi, lecz zamiast wydawać polecenia Aliverowi, coraz częściej sam wykonywał jego rozkazy. Thaddeus utrzymywał kontakty z szerszym światem za pośrednictwem wszystkich dostępnych mu sposobów. Powiadomił ukryty ruch oporu we wszystkich zakątkach Znanego Świata, że Aliver Akaran się ujawnił, i że ludzie już nie muszą się ukrywać. Wyobrażał sobie, co się działo, kiedy rozeszła się ta wiadomość. Szybkie uderzenia w meinińskie interesy. Ataki na konwoje handlowe. Palenie placówek. Bunt górników. Zabijanie pojedynczych żołnierzy. Aliver chciał utrudniać życie Meinom na wszelkie możliwe sposoby i we wszystkich możliwych miejscach. Poleciał jednak, by akty oporu miały niewielką skalę. Chciał siać niezgodę w każdym odległym zakątku, budując zarazem armię i stopniowo oddalając się od serca Talay. Chciał doprowadzić do tego, że jego siły stworzą tak potężną falę, że Hanish Mein po prostu będzie musiał stawić mu czoło w bitwie, która zapowiadała się na większą od tych toczonych w pierwszej wojnie.

Nowa armia Alivera posługiwała się różnymi językami, miała różne obyczaje, prowadziła wojnę na odmienne sposoby. Jego żołnierzami byli młodzieńcy i starcy, mężczyźni i kobiety, doświadczeni wojownicy i żółtodzioby. Byli wśród nich rybacy, robotnicy i górnicy, pasterze i rolnicy; reprezentowali wszelkie zawody. Zjednoczenie tak różniących się od siebie ludzi w siłę bojową przedstawiało niewiarygodnie złożoną operację. Hanish nie przeciwstawiał się ich marszowi na północ, lecz ściągał swoją straż z prowincji do jednego centralnie umieszczonego punktu. Przychodziły meldunki, że gromadzi oddziały

wzdłuż talayskiego wybrzeża. Moment starcia tych dwóch sił zbliżał się coraz bardziej.

Na szczęście Leeka Alain rwał się do ponownego objęcia dowództwa. Nie zapomniano legendarnego generała ujeżdżającego nosorożce. Przecież Leeka był pierwszym człowiekiem, który oddzielił numrecką głowę od podpierającej ją szyi. Przeżył całą armię, a w trakcie pierwszej wojny walczył w wielu bitwach. Mimo że teraz był o parę lat starszy, nadal był generałem, za którym żołnierze chcieli iść do boju. Ze wszystkich sił zaczął organizować i szkolić rosnącą armię Alivera.

Podzielił ją na jednostki mające wykorzystywać rozmaite sposoby walki. Rozkazał podlegającym mu oficerom twórczo myśleć o tym, jak można wykorzystać każdą osobę do wzmocnienia całości. Uprościł rozkazy wydawane podczas bitwy, wybierając najlepsze słowa z wielu języków, tak by komendy były krótkie i zrozumiałe i by każdy lud słyszał przynajmniej jedno znajome słowo wypowiedane przez oficerów. Organizował ćwiczenia, dzięki którym żołnierze przyzwyczajali się do funkcjonowania w oddziałach. Zarządzając ćwiczebne bitwy, w których świeże oddziały stawiały czoło atakowi weteranów, przyzwyczał ludzi do zgiełku zderzających się armii. Zmuszał ich do wysiłku, lecz zawsze zostawiał im dość energii, by mogli przebyć dzienny odcinek drogi na północ. Nowe oddziały były przyjmowane w chwili zgłoszenia i natychmiast wdrażane do ćwiczeń. Może nie mógł ich w pełni przygotować do stawienia czoła jednostkom Punisarich albo hordom Numreków – któż mógł być naprawdę gotów do czegoś takiego? – lecz mógł ich przygotować tak dobrze, jak leżało to w ludzkiej mocy, nawet jeśli musiał odrzucić sporą część akacjańskiej tradycji wojskowej i na nowo przemyśleć całe przedsięwzięcie.

Jednak najbardziej przysłużyło się Aliverowi przybycie Dariela. Podniosło go na duchu jak żadne inne wydarzenie. W tę pamiętną noc Thaddeus pośpieszył do namiotu rady i zastał obu braci w mocnym uścisku. Musieli w nim trwać od pewnego czasu. Siedzieli na stołkach, splątani rękami, i rozmawiali szeptem. Thaddeus podszedł do nich nieśmiało. Nie wiedział, co robić, dopóki nie spojrzał na niego Aliver. Królewicz wyciągnął rękę i pociągnął starego kanclerza ku sobie. Dariel – miał teraz twarz mężczyzny, chociaż w jego oczach wciąż kryło się dziecko – przywitał go smutnym uśmiechem. Thaddeusowi udało się szeptem powitać młodego królewicza, a potem wzruszenie ścisnęło go za gardło.

W następnych dniach bracia próbowali odnowić więź wśród natłoku codziennych wydarzeń. Za dnia często przebywali razem, siedząc ramię w ramię podczas narad, wspólnie podejmując decyzje, tkając ze spędzonych oddzielnie lat materię codziennego, pracowitego życia. Thaddeus zastanawiał się, czy powstaną między nimi jakieś tarcia. Czy będą dla siebie obcy? Czy będą współzawodniczyć ze sobą, mierzyć się nawzajem wzrokiem, zastanawiając

się, który z nich może wkrótce zostanie królem? Czy okaże się, że spędzone oddzielnie lata zniszczyły łączącą ich więź na tyle, że nie da się jej łatwo odbudować? Lecz Thaddeus niczego takiego nie zauważył. Owszem, musieli nadrobić wiele zaległości, lecz żaden z nich nie sprawiał wrażenia skrępowanego. Może to Leodan tak ich ukształtował w dzieciństwie, że byli lepszym rodzeństwem, niż się to zwykle zdarza.

Zatrzymawszy się pewnego wieczoru w wejściu do namiotu Alivera, Thaddeus nie mógł się powstrzymać, by nie podsłuchać tej dwójki. Nie zamierzał tego robić i nie miał złych intencji. Lecz kiedy usłyszał dobiegający zza klapy cichy głos Alivera, stanął jak wryty. To nie był ten sam głos, którym zwykle mówił królewicz. Brzmiała w nim otwartość, szczerłość. Był to głos mężczyzny mówiącego do brata, do jednego z nielicznych ludzi na świecie, przed którymi nie musi niczego ukrywać.

Aliver mówił o tym, jak trudne było dla niego nagłe zanurzenie się w talayskiej kulturze. Czuł się przytłoczony. Początkowo nie znosił swojej bladej skóry, prostych włosów i wąskich ust. Przez jakiś czas golił głowę, spędzał zbyt wiele godzin na słońcu, a nawet wydymał usta, żeby podczas rozmów z młodymi kobietami wydawały się pełniejsze. Na szczęście to było dawno temu. Od kilku lat czuł się w swojej skórze znacznie swobodniej. Teraz wiedział, kim jest, wiedział, co ma robić i, wreszcie, mógł patrzeć na Dariela i widzieć w nim obraz swojej rodziny. To był cudowny dar.

– Więc dziękuję ci, że tak długo żyjesz. Żyj dalej, proszę cię – powiedział ze śmiechem.

Dariel podzielił się z Aliverem podobnymi przeżyciami, opisując, jak samotny się czuł, dorastając wśród zbójców. Cały czas otaczali go ludzie, którzy pojawiali się i odchodzili w atmosferze przygody i koleżeństwa, a mimo to był samotny. Powiedział, że kochał ich wszystkich, a zwłaszcza Vala. Olbrzym starał się być mu jak najlepszym ojcem. Poświęcił Darielowi swoje życie. Za coś takiego nie można zapłacić, na takie dary nie można nawet zasłużyć.

– Nie mam pojęcia, co takiego zrobiłem, że mnie to spotkało.

– Val miał swoje życie, tak? – zapytał Aliver. – Może to, co robił, było jego sposobem na życie z honorem, na znalezienie jego znaczenia. Myślę, że ludzie, którzy najwięcej robią w życiu, to ci, którzy najbardziej się boją, że... nie są warci wiary tych, którzy ich kochają. Oczywiście to utrudnia nam życie – ty i ja musimy być lepsi, niż moglibyśmy być w innych okolicznościach. Jesteśmy ogniwami łańcucha, czyż nie?

Słyszając to, Thaddeus nabrał pewności, że królewicz mówi także o nim. Krępowało go to i, co więcej, wiedział, że bez względu na to, co dla nich zrobi, nigdy nie będzie tak bliski

tym akarańskim dzieciom, jak one są bliskie sobie. Kochał je nieprawdopodobnie, z siłą, która rosła wraz z upływem lat. Miał wrażenie, jakby przejął uczucia Leodana do jego dzieci, dodał je do swoich i zmieszał w wielkiej pustce pozostawionej przez śmierć żony i syna. Był ojcem i wujem, żałobnikiem i pokutnikiem pragnącym zmazać minione zbrodnie; ta mieszanka była niemal nie do zniesienia. Pomyślał, że to odpowiednia kara.

Jako że młodszego dziedzica Akaranów trzeba było we wszystko wprowadzić, by mógł uczestniczyć w bieżących działaniach, Thaddeus przejął obowiązki Leeki Alaina i kontynuował kształcenie młodzieńca. Pewnego wieczoru, w obozie rozbitym około stu pięćdziesięciu kilometrów od Bocoum i linii brzegowej Talay, były kanclerz dzielił namiot z Darielem, i Aliverem i Kelisem, który pod wieloma względami był jak trzeci brat. Dariel zapytał o Numreków, istoty, których jeszcze nie widział. Był ciekaw, czy opowieści o nich są prawdziwe.

– To zależy, które opowieści masz na myśli – odparł Thaddeus. – Niektóre są zdecydowanie prawdziwe, inne nie.

– Czy to prawda, że zostali wygnani ze swej ziemi? Słyszałem, że to dlatego przebyli Pola Lodowe i przyłączyli się do Hanisha.

Thaddeus skinął głową.

– Ci, których Akacjanie nigdy nie pokonali na polu bitwy, przybyli do tej krainy jako lud pokonany, uciekając przed siłami, których bali się tak bardzo, że udali się w nieznaną. – Zaczekał, aż znaczenie tych słów dotrze do słuchających. – Ten świat jest większy, niż nam się wydaje, i straszniejszy, niż sobie wyobrażaliśmy. Lecz nie pozwólcie, by zmaćło wam to myśli. Na razie naszym wrogiem jest Hanish Mein. Jeśli nie pokonamy jego, nigdy nie będziemy musieli się martwić tym, co może nadejść potem.

– Jeśli nigdy nie zostali pokonani podczas pierwszej wojny – powiedział Dariel – to jak zamierzamy teraz ich zwyciężyć?

Pytanie skierował do Thaddeusa, lecz odpowiedź na nie kanclerz zostawił Aliverowi. Królewicz siedział na trójnogim stołku; szeroko rozstawił nogi, pochylił się do przodu i masował sobie czoło palcami, oparłszy łokieć na kolanie. Zwinął dłoń w pięść i przycisnął kostki do głowy, sygnalizując, że usłyszał pytanie. Przyglądając się mu, Thaddeus uświadomił sobie, że coś gnębi go bardziej niż zwykle.

– Nie wiem – rzekł w końcu Aliver. – Nie podoba mi się ta odpowiedź, ale taka jest prawda. Chciałabym mieć wszystkie elementy układanki na swoich miejscach, zanim zacznę narażać ludzi na utratę życia...

– Ale nie możesz – odezwał się Kelis po akacjańsku, by wszyscy go rozumieli. – Jeśli

będziesz czekał, aż wszystko znajdzie się na swoim miejscu, to będziesz czekał w nieskończoność. O wielu sprawach nie wiemy wszystkiego. Niektórzy mówią o stworzeniach, które Meinowie otrzymali w prezencie od Lothan Aklun. Nazywają je antokami. Nikt jednak nie umie powiedzieć, co to za istoty. Nie wiemy tego, ale nie możemy czekać bez końca.

Aliver zastanawiał się chwilę, nie okazując ani poparcia dla takiego rozumowania, ani sprzeciwu wobec niego.

– Są Santoth. To przez nich nie próbuję spowolnić rozwoju sytuacji. Znam ich moc. Wierzę, że nam pomogą. Nie wiem dokładnie jak, lecz jeśli ktokolwiek może pokonać Numreków, to mogą to uczynić oni. Jeśli przyłączą się do nas na polu bitwy, znajdą jakiś sposób.

Dariel dalej miał wątpliwości.

– Powiedziałeś „jeśli” Santoth przyłączą się do nas na polu bitwy. Czy istnieje możliwość, że się nie przyłączą?

– Obiecali mi to, lecz pod pewnym warunkiem. Powiedziałem im, że dam im „Pieśń Eleneta”. Mówią, że potrzebują jej do oczyszczenia swej magii. Nie wyruszą z południa, dopóki im nie powiem, że mam tę księgę.

– Ale każdego dnia posuwamy się dalej na północ – zauważył Dariel.

– Odległość nie ma znaczenia. Cały czas jestem z nimi w kontakcie. Moja więź z nimi się rozciąga, ale nie została przerwana. Uwierz mi – oni słyszą moje myśli, kiedy je wysyłam, i mogę odbierać ich myśli, jeśli tego zechcą. Gdyby jutro ta księga spadła mi na kolana, mógłbym ich natychmiast wezwać. Problem w tym, że księga raczej nie spadnie mi sama na kolana. Nie mam pojęcia, gdzie jest, nikt nie podzielił się ze mną tą informacją. Zaniedbałem tę sprawę. Nie dałem wszystkim do zrozumienia, jak poważnie Santoth to traktują... Kiedyś myślałem, że po prostu ich wezwę, bez względu na to, czy znajdę księgę, czy nie. Kiedy już się do nas przyłączą, nie będą mieli wyboru i będą musieli nam pomóc. Potem – po zwycięstwie – znalazłbym „Księgę Eleneta” i dał ją im. Spełniłbym obietnicę, tylko zmieniłbym kolejność wydarzeń, by osiągnąć cel. Ale już nie jestem tego taki pewien.

– A co się zmieniło? – zapytał Thaddeus.

Czuł, że właśnie to może stanowić sedno trosk Alivera, i żałował, że sam się nad tym wszystkim więcej nie zastanawiał. Gdyby był młodszy i miał bystrzejszy umysł, zbadałby to wszystko. Czekał na odpowiedź królewicza, miał świadomość, że nie uczynił tego tak dogłębnie, jak powinien.

Aliver podniósł wzrok, wyprostował się i jakby na nowo dostrzegł otoczenie. Czubkami palców potarł skórę pod oczyma.

– To, że ludzie przestają palić mgłę... dzieje się tak dlatego, że pomagają im Santoth. Powiedziałem im, że nie mogę walczyć, mając armię, która co noc jest półprzytomna od narkotyku. W odpowiedzi wyszeptali zakłęcie. Słyszałem je w głowie i czułem, jak co noc przemyka się nad uspioną ziemią. Rozpełzało się niczym tysiąc węży.

– To niewiarygodne – mruknął Dariel. – Słyszałem, że ludzie wyzwalają się od mgły, ale...

– Tak, to niewiarygodne – zgodził się Aliver, a potem przez chwilę usiłował znaleźć sposób na wyrażenie tego, co miał jeszcze do powiedzenia. Podkreślał swoje słowa ruchami palców, lecz po chwili przestał i ułożył dłonie na kolanach. – Wyczuwałem skazę w tym zakłęciu, uprzedzali mnie o tym. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Nie rozumiałem przecież ich języka, to ledwie w ogóle przypomina język. To coś w rodzaju muzyki, jakby głosy tworzyły melodie z milionów rozmaitych nut. Nuty były jak słowa i zarazem nie jak słowa...

Rozejrzał się uważnie, przenosząc wzrok z twarzy na twarz, w nadziei, że słuchacze zrozumieli go lepiej, niż udało mu się to wyrazić. Sprawiał wrażenie rozczarowanego ich wyrażającymi niezrozumienie minami. Thaddeus poczuł, że powinien coś powiedzieć, bo już pojął, co Aliver chciał im przekazać. Zamiast zaprzeczyć słowom królewicza, siedział w milczeniu, czując wagę swych domysłów.

– Nie umiem tego wyjaśnić – ciągnął Aliver – lecz Santoth mieli rację. Zakłęcie było zniekształcone. Nie zamierzali zmienić snów wywoływanych przez mgłę w koszmary, ale tak się stało. Uczynili ze stanu odurzenia mgłą koszmara, nawiązujący do największych obaw i słabości danej osoby. Stało się to taką torturą, że palacze zaczęli się obawiać narkotyku bardziej niż udręki jego głodu, bardziej niż utracenia na zawsze snów, które sprowadzała mgła. Rozumiecie mnie? Osiągnęli cel, lecz nie była to pieśń, jaką chcieli zaśpiewać. Chcieli zniechęcić ludzi do narkotyku poprzez kochający nacisk. Zamiast tego, zanim zakłęcie nabrało mocy, wypaczyło się. Jeśli tak się dzieje, kiedy sięgają ku naszym sprzymierzeńcom, by pomóc, to co mogą sprowadzić na świat, kiedy uderzą, by zabić naszych wrogów, kiedy ich pieśń będzie głosić śmierć i zniszczenie?

Dobre pytanie, pomyślał Thaddeus. Sam sformułowałby je dokładnie tak samo. Nie umiał na nie odpowiedzieć, więc siedział w milczeniu, jak pozostali.

– Wiecie co – odezwał się w końcu Dariel z nutą wesołości w głosie – jeśli to wszystko skończy się dla nas dobrze, będziemy mieli do opowiedzenia zdumiewającą historię. Zdumiewającą. Taką, która znajdzie swoje miejsce na półce obok „Opowieści o Basharze i Cashenie”, jak zwykł mawiać ojciec. Pamiętacie? „Najbardziej zdumiewająca opowieść nie została jeszcze napisana. Ale ktoś ją napisze, a wtedy będzie ona zasługiwać na

miejsce obok Bashara i Cashena".

Aliver powiedział, że teraz rozumie tę opowieść inaczej. Zaczął wyjaśniać, czego nauczyli go Santoth, lecz Thaddeus nie mógł go spokojnie słuchać. Wiedział, że kiedy te słowa wyszły z ust Dariela, zostało powiedziane coś bardzo ważnego. Na myśl o tym przeszły go ciarki. Słyszał, jak Leodan wypowiadał te same słowa, lecz w innym kontekście.

Ktoś zbliżył się do klapy namiotu. Postawiony przy wejściu strażnik zapytał szorstko, czego ten ktoś chce. W odpowiedzi odezwał się cichy kobiecy głos. Thaddeus nie dosłyszał słów, lecz brzmiała w nich pewność siebie; założył, że wie o co chodzi. Królewicze byli przystojnymi młodzieńcami. Kobiety z pewnością rywalizują o ich względy. Dziwiło go, że żaden z braci nie zwraca zbytnej uwagi na...

Kobieta coś krzyknęła. Thaddeus tego nie zrozumiał, lecz Aliver i Dariel zerwali się na równe nogi i pobiegli do wyjścia. Znaleźli się na zewnątrz, zanim Thaddeus zdążył się zorientować. Pochylił się do przodu, słuchając pełnych podniecenia głosów, lecz wstał dopiero wtedy, gdy zawołał go Dariel. Wyszedł przez klapę w noc oświetloną blaskiem gwiazd i pochodni i zobaczył obu królewiczów obejmujących młodą kobietę. Była tak samo opalona jak oni, tak samo gibka i silna. U pasa miała dwie szable Punisarich. Fakt, że była tak uzbrojona, przyciągnął niemal całą uwagę Thaddeusa i dlatego nie uświadomił sobie czegoś o wiele ważniejszego.

– Thaddeusie – powiedział Aliver, kiedy go dostrzegł. – Spójrz, to jest Mena.

Na Dawcę – kiedy stał się taki tępy? Taki powolny? Kiedy jego oczy straciły umiejętność widzenia tego, co ważne? Mena. To Mena. Wyplątała się z uścisku braci i podeszła do niego. Szła tak zdecydowanym krokiem, a szable u jej boku tak rzucały się w oczy, że Thaddeus miał wrażenie, że królowna chce go ściąć. Mena, która zawsze była taka bystra. Zawsze rozumiała ludzi intuicyjnie, nawet jako dziecko. Mena, której utraty się obawiał, do której czasami przemawiał w snach, a ona w tych koszmarach po kolei wymieniała jego zbrodnie, wyliczając je na swoich paluszkach... Dla tej Meny postanowił stać spokojnie i przyjąć wszystko, co zamierza z nim zrobić.

Lecz jeśli ta młoda kobieta pamiętała wszystkie sposoby, na jakie Thaddeus ją zdradził, nie dała tego po sobie poznać. Zbliżała się z otwartymi ramionami. Wtuliła się w jego ramiona, objęła go i przycisnęła głowę do jego szyi. Thaddeusowi natychmiast zwilgotniały oczy. Z wielkim wysiłkiem trzymał głowę tak, by łzy nie rozlały mu się po policzkach. Mena mogłaby wycisnąć z niego powietrze, a on nie poruszyłby się, dopóki nie straciłby przytomności i nie padł na ziemię.

Cofnęła się nieco, przesunęła dłonie wyżej i objęła go za głowę. Zrobiła to

zaskakująco mocno. Przechyliła mu głowę do przodu, przez co łzy wypłynęły mu z oczu.

– Jesteś dokładnie taki sam – powiedziała. Miała delikatny obcy akcent, ślad zduszonej vumuańskiej wymowy, którą jakimś sposobem zmieniała w muzykę. – Nie masz na twarzy ani jednej nowej zmarszczki. Ani jednej plamki, której bym nie pamiętała.

Thaddeus przestał udawać, że panuje nad emocjami. Pozwolił uczuciom płynąć swobodnie, jeszcze swobodniej niż wtedy, gdy spotkał się z Aliverem albo gdy obejmował Dariela. Troje dzieci Leodana było teraz razem, a wszystkie – wszystkie! – żyły! To była po prostu zbyt wielka radość, zbyt wielka ulga, by je tłumić w sobie. Pozwolił im się uzewnętrznić.

To, co zrobił później, nie było tak nierozważnym posunięciem, jak mogłoby się wydawać. A przynajmniej tak sobie mówił. Wierzył, że zrobił wszystko, co mógł, by pomóc Aliverowi wejść na ścieżkę jego przeznaczenia. To zadanie zostało wykonane. Aliver poniesie porażkę albo odniesie sukces, lecz on nie odwróci się od rezultatów swych działań. Miał wszystko, czego potrzebował do wygrania tej wojny – prócz jednego. Potrzebował księgi, która pozwoliłaby czarnoksiężnikom wyśpiewać mu drogę do zwycięstwa. Chociaż parę osób zostało już poproszonych o szukanie księgi, nie było nikogo, kto miałby większe szanse niż on na jej odnalezienie.

Wczesnie rano następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, Thaddeus Clegg wyruszył w drogę, wyprzedzając armię. Szedł na północ, do Akacji i pałacu, w którym, jak miał nadzieję, księga wciąż mogła leżeć w ukryciu.

ROZDZIAŁ 58

Hanishowi nie podobało się ostatnie rozstanie z Corinn. Żegnając się z nią, patrzył jej prosto w oczy, niepewny jej reakcji, przygotowany na dąsy. Może nawet pragnął jakiegoś wybuchu uczuć. Corinn jednak była dziwnie powściągliwa. Nie sprzeciwiała się, że wyjeżdża na spotkanie Haleevena i karawany wiozącej Tunishnevre. Wbrew oczekiwaniom Hanisha nie poprosiła też, by zabrał ją z sobą. Chociaż życzyła mu powodzenia i szybkiej podróży, podczas ostatnich pocałunków jej ustom brakło żarliwości. Nie wtuliła się w niego, co zwykle robiła. Traktowała go z uprzejmą obojętnością. Zaczął się zastanawiać, czy się nim nie zmęczyła, lecz odrzucił tę niemądrą myśl. Uznał, że Corinn po prostu coraz lepiej umie ukrywać uczucia i zachowuje się jak Meininka.

Utwierdzał się w tym przekonaniu, płynąc z wyspy w stronę Aos. Doszedł do wniosku, że Corinn targają emocje, które chce ukryć: drgały jej kąciki ust, miała przenikliwy wzrok, z irytacją odrzuciła kosmyk włosów, który spadł jej na czoło. Tak, dobrze to widział. Nie umiał tego sprecyzować, lecz nie różniła się tak bardzo od tej bezbronnej dziewczyny sprzed lat, która utraciła rodzinę. Została osamotniona i cień tego zagrożenia wciąż nad nią wisiał. Nie lubiła się żegnać, chociaż usiłowała się z tym nie zdradzić. Jakie to ironiczne, pomyślał Hanish, zważywszy, że to jego powrotu powinna się bać, a nie pożegnania z nim.

Podjeżdżał też, że usłyszała o ujawnieniu się Alivera w Talay, a może nawet pogłoski, że Mena i Dariel też żyją. Nie wiedział, jak to może na nią wpłynąć. Szczerze mówiąc, sam nie uporał się jeszcze z tą wiadomością. Jak to możliwe, że przez te wszystkie lata nie odnalazła ich żadna z grup poszukiwawczych? Dlaczego nikt ich nie zdradził w zamian za obiecane przez niego bogactwa? Było to dotychczas powodem nieustającego rozczarowania, a teraz wręcz irytacji. Przynajmniej może polegać na Maeanderze; ze swoim zamiłowaniem do siania zniszczenia, broni i z tymi wypaczonym istotami, którymi jest tak zachwycony, na pewno odpowiednio się zajmie Akaranami.

Uporządkowawszy to sobie w myślach, ze wszystkich sił starał się pozbyć wszelkich uczuć, jakie żywił wobec Corinn. Rozkazał Punisarim nie spuszczać jej z oczu. Wytoczył wyraźne granice, poza które nie wolno jej było wychodzić. Strażnicy nie mogli oczywiście dać jej tego do zrozumienia. Miała czuć się wolna, lecz pozostać zamknięta w bezpiecznych murach pałacu. To wystarczyło, by mogła odegrać swoją rolę. Gdyby nie udało się jej

zastąpić innym potomkiem Akaranów, to dla uwolnienia przodków Hanisha na ołtarzu będzie musiała umrzeć ona. To go zasmuci, owszem, lecz upora się z tym później. Był na tyle silny i zdecydowany, że mógł i chciał zrobić to, co konieczne.

Przecież taki był cel jego sprawy. Teraz zamierzał pomóc Haleevenowi w transporcie Tunishnevre na ostatnim odcinku ich podróży do Akacji, do komory, którą specjalnie zbudował. Nie miał ważniejszego zadania. Nigdy przedtem nie było ważniejszego zadania, a po wykonaniu tej pracy nigdy takiego zadania już nie będzie. Nie mogła się z nim nawet równać zbliżająca się wojna z Aliverem i jego coraz większą armią. Maeander rozprawi się z nimi bez problemu. Hanish ufał wojskowym umiejętnościom swego brata. Pokonanie Alivera miało oczywiście duże znaczenie, dlatego pozwolił Maeanderowi użyć wszelkich środków, łącznie z antokami, stworami nigdy jeszcze nie użytymi w żadnej bitwie w Znanym Świecie. Jednak niekorzystny wynik starcia na polach Talay nie przesądzi o losie zmagających się. Przesądzi o nim uwolnienie Tunishnevre.

Zszedł na ląd w Aos i ruszył z portu pod górę, nie zatrzymując się, by popatrzeć na olśniewające piękno tego miejsca. Pod rządami Akacji miasto portowe się rozwijało, lecz to było przed wojną. Teraz mieszkała tu garstka meinińskiej szlachty i całkiem sporo Punisarich z elitarnych oddziałów, otoczonych pięknem i bogactwem niewyobrażalnym dla nich w czasach, kiedy kulili się z zimna w Tahalian. Może to pamięć o tym sprawiała, że Hanish nie podnosił wzroku. Jego lud zaszedł tak daleko, lecz jeszcze się nie stał prawdziwie imperialnym. Pod wieloma względami wciąż byli okupantami paradującymi w bogatych szatach pokonanych wrogów. Miał nadzieję szybko to zmienić z pomocą swoich uwolnionych przodków.

Na niego i jego oddział Punisarich czekały świeże konie. Dosiedli ich i bez zwłoki wyjechali z miasta, nie zwracając uwagi na chcących ich powitać oficjeli. Dwa dni jechali przez szachownicę pól dostarczających imperium tyle żywności. Ponieważ dopisywała letnia pogoda, a niebo było błękitne i bezchmurne, na noc rozbili prosty obóz, nie stawiając nawet namiotów. Trzeciego i czwartego dnia przejechali przez pofałdowaną trawiastą krainę, mijając stada owiec i bydła pasące się pod opieką młodych mężczyzn i kobiet, którzy patrzyli na Meinów, jakby byli wilkami w przebraniu.

Hanisha ciągle zdumiewało, że teraz kontroluje te wielkie przestrzenie, że te wszystkie bogactwa należą do niego. Są prawowitą własnością jego i jego ludu. Świat należy do zuchwalców, którzy go sobie biorą, a czy był kiedykolwiek ktoś zuchwalszy od niego?

Hanish zastanawiał się nad tym pytaniem w obozie rozbitym na skraju Lasów Eilawańskich. We wszystkich pokoleniach meinińskich wojowników szukał kogoś, kogo

mógłby uważać za równego sobie. Niegdyś myślał o nich z podziwem, lecz teraz u każdego po kolei znajdował jakieś wady. Jedynie Hauchmeinish wydawał się człowiekiem o niezaprzeczalnej wielkości. Czasy były wtedy tak burzliwe; Hauchmeinish urodził się w czasie wojny i całe życie przeżył w oku cyklonu. Był groźnym wojownikiem i utalentowanym przywódcą, poddanym wielkim próbom charakteru. Kto inny mógłby poprowadzić pogrążonych w smutku, pokonanych Meinów w wędrówce na lodowate pustkowia, mogące ich zabić? Hauchmeinish postarał się o to, by wytrwali, lecz w końcu była to klęska. Co ma mu powiedzieć Hanish, kiedy spojrzy mu w twarz? Czy powinien się pokłonić takiemu przodkowi? A może powinien przed nim przyklęknąć?

Hanish wiedział, czego przodkowie będą się spodziewać: pochylonej głowy, pokory, wdzięczności. Zawsze szeptali mu, że bez nich jest nikim. Jest tylko efektem ich działań. Wszystkie jego osiągnięcia należą nich, bo żaden pojedynczy człowiek nie znaczy nic w porównaniu z siłą, którą wspólnie uosabiają. W życiu kierował się tą zasadą; nie zawiodła go nigdy. Dlaczego więc teraz jego umysł buntuje mu się przeciwko tym pewnikom, kiedy jest tak bliski zakończenia swojego zadania?

Niepokoiliła go świadomość, że największym szacunkiem darzy akacjańskich bohaterów. Edifus mógłby mu dorównać, a Tinhadin z pewnością mu dorównywał. Wcale nie był pewien, czy wygrałby, gdyby to z nimi prowadził wojnę. Edifus walczył tak uparcie, bez ustanku, wypowiadając wojnę każdemu, kto mu się sprzeciwił. Nie był człowiekiem pełnym sprytu czy przebiegłości, lecz walczył w pierwszych szeregach wszystkich większych bitew swoich czasów. Tinhadin był inny, stanowił wzór zdrady, wiarołomstwa i zabójczej obłudy; był człowiekiem pragnącym zrealizować wizję tak koszmarną i rozległą, że niewielu mogłoby ją choćby wymyślić. Hanish uświadomił sobie, że uczył się od założycieli Akacji. W pewien sposób ich szanował, chociaż byli największymi wrogami jego ludu. Zasnął ukołyszany pocieszającą – oraz rozczarowującą – myślą, że teraz nie ma już takich ludzi jak tamci dwaj, którzy mogliby mu stawić czoło.

Później, w nocy otworzył nagle oczy i ujrzał kremowy rozbryzg gwiazd namalowanych na nocnym niebie. Chwilę gorączkowo się zastanawiał, co go wyrwało ze snu, a wszystkie jego zmysły gwałtownie się budziły. Zauważył strażników stojących w ośmiu punktach wokół niego, innych śpiących na ziemi, konie. Wszędzie panował taki sam spokój, jak wtedy gdy zasypiał, a powietrze rozbrzmiewało cykaniem świerszczy. Nie obudziło go coś, co się działo wokół niego. Śniła mu się Akaranka, kobieta wyglądająca dokładnie jak Corinn. Lecz to nie była Corinn i nie chodziło o amory. To musiała być... Mena. Mena z szablą w dłoni. Gniewna bogini: tak opisała samą siebie we śnie. Uniosła broń, by mu ją

pokazać. Klinga ociekała krwią, która jakby z niej wypływała. To widok tej szabli i kobiecych dłoni na jej rękojeści wyrwał go ze snu. Ale dlaczego mu się śniła? Czy to nie Aliver przewodzi rebelii? Dlaczego miałby się budzić ze strachu przed kimś, kogo nadal uważał za dziewczynkę?

O Menie wiedział niewiele poza tym, że zabiła Larkena jego własną szablą, następnie pozbawiła życia kilku Punisarich i podburzyła załogę statku do buntu. To ostatnie było zapewne najłatwiejsze. Niestety, rzeczywistość imperium była taka, że aby podtrzymać jego funkcjonowanie, obsadzić statki, przygotowywać posiłki i budować drogi, każdy Mein musiał polegać na całych zastępach podbitych ludzi. Mimo wszystko drobna Mena nie powinna była tak łatwo im się wymknąć.

Hanish postanowił, że jeśli nadarzy się okazja, by ją schwytać, podczas ceremonii złoży w ofierze Menę. Lepiej się jej pozbyć. Może Corinn nawet mu wybaczy. Może kiedy to wszystko się skończy, będą mogli prowadzić wspólne życie. Hanish przetoczył się na bok, czując pod sobą nierówności ziemi. Zamknął oczy, spróbował zasnąć i nie myśleć o kochance. Nie udało mu się ani jedno, ani drugie.

Nazajutrz, siedząc na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na krętą drogę biegnącą przez Lasy Eilawańskie, Hanish zobaczył zbliżającą się karawanę. Na jej przedzie i po bokach jechała kawaleria. Potem w zwartym szyku, ściśniętym przez wąską drogę, maszerowały oddziały Punisarich. Za nimi posuwał się wąż wozów, robotników i kapłanów oraz ciągnięte przez woły platformy wyładowane setkami sarkofagów. Hanish wiedział, że w każdym z nich spoczywa jeden z jego przodków. Wiatr przynosił trzask batów woźniców. To się naprawdę dzieje, pomyślał. To się naprawdę stanie.

Zbliżając się do procesji, nie potrafił sobie wyobrazić, jak im się udało przebyć zryta koleinami i nasiąkniętą wodą tundrę Płaskowyżu Mein. Nawet latem była to pełna wstrząsów podróż przez śmierdzące, płytkie trzęsawiska, gdzie platformy mogły łatwo przechylić się i zgubić ładunek albo ugrzęznąć w błocie. Może w ogóle nie byłoby w stanie tego zrobić bez pomocy numreckiej techniki. To oni nauczyli Meinów budować wozy takich rozmiarów, z ogromnymi kołami i giętkimi podwoziami, które nie pękały pod naciskiem. Ale i tak na myśl o wielkich platformach powoli zjeżdżających z Krawędzi stromym, wijącym się szlakiem Hanisha przebiegały ciarki. Będzie musiał zapytać o to Haleevena później, po podziękowaniach i gratulacjach. To był wyczyn, o którym każe jakiemuś poecie napisać balladę.

Kiedy Haleeven ujrzał bratanka, uśmiechnął się od ucha do ucha. Przywitali się, zderzając się czołami, a następnie przycisnęli głowy do siebie, obejmując je rękami. Było to

tradycyjne powitanie, praktykowane tylko między bliskimi krewnymi, i to powodowanymi potężnymi emocjami. Miało boleć. Lecz ból ten był niczym w porównaniu z wrażeniem, jaki robił widok Haleevena. Poza żebrakami krążącymi po zaułkach Alesji, Hanish nigdy nie widział tak wymizerowanego człowieka: Haleeven miał podarte, ubłocone ubranie, wargi spierzchnięte, a oczy zniknęły mu pod nawisłymi brwiami. Skóra na twarzy zwiotczała, jakby sama tkanka była zmęczona tą wielotygodniową pracą. Włosy miał zupełnie siwe. Hanish usiłował sobie przypomnieć, czy były takie wcześniej. Chyba nie. Sterczały na wszystkie strony, jak srebrne nitki zamrożone przez lodowaty wiatr.

– Dobrze wyglądasz – powiedział Hanish, odsuwając się od wuja.

Kłamstwo wyrwało mu się, zanim zdał sobie z tego sprawę. Haleeven pokazał mu zmarszczeniem brwi, co o tym sądzi, lecz w następnej chwili znów poweselał.

– Nie, to ty wyglądasz dobrze. Ja... nie czuję się najlepiej. Ależ mi zleciłeś misję, bratanku. Co za zadanie...

– Ale je wykonałeś.

Haleeven przyglądał mu się przez chwilę, a potem skinął głową.

– Chodź, wszystko ci pokażę.

U boku Haleevena Hanish odwiedził wszystkich przodków. Wchodził na wielkie wozy, dotykał sarkofagów dłońmi, szeptał pozdrowienia i stare modlitwy pochwalne. Czuł ich życie. Sarkofagi pulsowały niezaprzeczną, gwałtowną energią. Biła w świat w milczeniu, jakby każdy z przodków wrzeszczał na całe gardło w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Hanish zauważył zmęczenie i niepokój w ruchach robotników. Oczy mieli pełne strachu i byli wyczerpani bardziej emocjonalnym ciężarem swoich obowiązków niż pracą fizyczną. Nawet woły, zwykle spokojne stworzenia, zrobiły się narowiste i trzeba było je krótko trzymać.

Przez całe popołudnie oraz wieczorem przy kolacji w obozie Haleeven opowiadał o podróży, która była jednym ciągiem trudów i komplikacji. Kiedy skończył, siedzieli dalej, w milczeniu, a wokół nich zapadała noc. Hanish nie widział gwiazd, bo zasłaniały je drzewa o liściach podświetlonych od dołu blaskiem ognia. Haleeven zapalił fajkę napełnioną liśćmi konopi i zaciągnął się dymem. Hanish nie wiedział, że wuj nabrał tego zwyczaju. Niemal powiedział coś pogardliwego. Ale Haleeven nie palił przecież mgły. Może zasłużył sobie na pobłażliwość. Hanish właśnie zaczął znów myśleć o Corinn, kiedy wuj przerwał milczenie.

– Są tacy niecierpliwi – powiedział. Hanish nie musiał pytać, o kim mówi.

– Wiem.

– Są rozgniewani. – Wiem. Zrobiłem...

Wuj usiadł gwałtownie z półleżącej pozycji i chwycił Hanisha na nadgarstek. Zaczekał, aż bratanek spojrzy mu w oczy, i przygwoździł go płonącym spojrzeniem.

– Nie wiesz! Nie czułeś ich tak, jak ja przez te wszystkie dni. Są już w pełni rozbudzeni. Kipią niechęcią. Tak bardzo pragną zemsty, że aż drżą na myśl o jej bliskości. Boję się ich, Hanishu. Boję się ich tak, jak jeszcze nigdy niczego się nie bałem na ziemi.

Hanish odsunął rękę, powoli przekręcając ją tak, że wuj musiał puścić.

– Ich gniew nie jest skierowany przeciwko tobie, wuju – rzekł z przekonaniem, które powinien chyba czuć, starając się uwierzyć we własne słowa. – Nie mamy się czego bać ze strony swoich. – Tak nam zawsze mówiono – odparł Haleeven. – Co powiedziałaś królownie?

– O tym, co się stanie z Tunishnevre? Powiedziałem jej, że może mi pomóc ich uwolnić. Że do zdjęcia klątwy potrzebujemy tylko kropli jej krwi oraz błogosławieństwa. Nie zaproponowała jednak, że mi je da. A ja nie naciskałem. Myśli, że mogę to zrobić bez jej błogosławieństwa.

– Możesz – stwierdził Haleeven. – A powiedziałaś jej, co oznacza zdjęcie klątwy? Albo że są na to dwa różne sposoby, z których każdy przyniesie inny rezultat?

– Powiedziałem, że chcę uwolnić przodków, by mogli uciec w prawdziwą śmierć i w końcu odpocząć. Powiedziałem, że chcą tylko spokoju i uwolnienia.

– I to wszystko?

Hanish skinął głową.

Haleeven przez chwilę milczał, a potem rzekł:

– A zatem okłamałeś ją przez niedopowiedzenie.

– Owszem. Wierzy, że przodkowie pragną spokoju, kiedy tak naprawdę pragną znów chodzić po ziemi...

– Z dobytymi szablami...

– Krwawo się mszcząc.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, nie mając już nic do powiedzenia po tym, jak podzielili się swoimi przemyśleniami. Hanish wyciągnął rękę i gestem poprosił o fajkę. Haleeven odwrócił ją i wsunął bratankowi w dłoń.

ROZDZIAŁ 59

Maeander przeczuwał to już wcześniej, lecz teraz nie miał żadnych wątpliwości: nic nie wzbudzało w nim tak wielkich emocji, jak perspektywa walki. Podboje miłosne, konkurowanie w sprawności fizycznej, zdobywanie bogactw, polowanie na zwierzęta czy ludzi oraz potyczki – to wszystko traciło znaczenie w porównaniu z obietnicą masakry na dużą skalę. Rozlew krwi podczas pierwszej wojny znakomicie mu odpowiadał; od tego czasu głównie się nudził. Kilka razy próbował namówić Hanisha, by pozwolił mu wywołać wojnę z jakimś ludem, lecz brat zawsze go odprawiał z kwitkiem jako żartownisia. Teraz, w końcu, po dziewięciu latach pokoju, czuł, jak serce znów mu szybciej bije. Wrócił Aliver Akaran i sprowadził ze sobą dość przyjaciół, by sytuacja stała się interesująca.

Rozmieszczając swoje oddziały w rozmaitych punktach wzdłuż środkowego wybrzeża Talay i wysyłając je na niewielką odległość w głąb lądu, Maeander myślał o zbliżającym się konflikcie jak o wspaniałej rozrywce. Nie znajdował u siebie ani cienia strachu, niepokoju czy troski, że los mógłby mieć dla niego w zanadrzu coś nieprzyjemnego. Wiedział, że nie może przegrać. Nigdy nie spotkał nikogo z umysłem tak sprawnym w urządzaniu rzezi jak jego własny. Może mógłby mu dorównać legendarny Tinhadin, ale poza nim niewielu innych. Oddziały Maeandera były doskonale przygotowane. Hanish dopilnował, żeby zbyt nie rozkoszowały się swoim zwycięstwem i nie zaniedbały się jak Akacjanie. Nie było to łatwe, jako że większość tych żołnierzy z dnia na dzień stała się bogatymi ludźmi. Lecz Hanish kazał im złożyć przysięgę, że będą przestrzegać surowej dyscypliny. Nie podporządkowało mu się tylko kilku z nich.

Teraz stanowili groźniejszą siłę niż podczas pierwszej wojny: mieli lepsze zaopatrzenie i szersze horyzonty, byli w lepszej kondycji, lepiej wyszkoleni i tak samo dumni. Nie byli tak spragnieni sukcesu, jak we wcześniejszym konflikcie, lecz gorąco chcieli zachować to, co zdobyli. Młodszy byli głodni chwały zdobytej już przez ich ojców, wujów i starszych braci. Dostali broń, na którą Aliver był całkowicie nieprzygotowany; ta niespodzianka mogła się okazać nawet bardziej zaskakująca od Numreków.

Maeander wierzył w siebie i swoje oddziały, a ponadto Tunishnevre obiecali mu, że zwycięży Akarana. Zapewnili go, że własnoręcznie przeleje krew Alivera. Pozwolili mu w razie potrzeby go zabić. Do ceremonii uwolnienia ich od klątwy wystarczy Corinn, natomiast

nie można dopuścić, by Aliver żył i stanowił dla nich zagrożenie.

Obserwując gromadzącą się armię tego młokosa z grzbietu jednego ze wzgórz zamykających łańcuchem od północy przysze pole bitwy, Maeander był tak podniecony, jak chłopiec, który przeżywa takie sceny w wyobraźni. Kilka dni spędził na rozlokowywaniu żołnierzy w strategicznie położonych obozach. Jeśli Aliver sądzi, że bunty wybuchające w całym imperium pozbawią Meinów sojuszników, to się rozczaruje. Hanish odwołał się do przywódców z każdej prowincji, ludzi, którzy wzbogacili się dzięki popieraniu Meinów i którym tak się spodobało wyniesienie nad współziomków, że chcieli walczyć, by zachować swoją pozycję. Te grupy przyczyniały się do stłumienia rebelii w swojej okolicy i odpowiadały na wezwanie Maeandera do przysyłania żołnierzy. Numrekowie jeszcze nie przybyli. Podobno znajdowali się ledwie o parę dni drogi. Stracą niewiele walki. Maeander nie był pewien, czy w ogóle będzie ich potrzebował.

Talay może i znajdowało się poza jego kontrolą, ale zajmował przecież Bocoum i większość wybrzeża, dzięki czemu miał nieograniczone możliwości sprowadzania zaopatrzenia drogą morską. Na morzu tysiące statków ligi tylko czekały, by w razie potrzeby udzielić mu pomocy. Siły Maeandera liczyły trzydzieści tysięcy ludzi. Każdy z nich był wojownikiem, wyszkolonym i wybranym do tej bitwy. Był przekonany, że jego armia to stalowa klinga, która rozetnie rozdęte siły Alivera. Miło by było nadal mieć Larkena jako prawą rękę, lecz przez Menę, tę dziwną, kłamliwą istotę, nie było to możliwe.

Z tego powodu Maeander miał nadzieję, że Aliver przyjmie jego zaproszenie do rokowań. Chciałby znów spojrzeć Menie w twarz i poszukać oznak jej wojskowych umiejętności, których nie zauważył podczas ich pierwszego spotkania. Zastanawiał się, jak wygląda Aliver. Martwił się, że może się nim rozczarować – lepiej było wyobrazić sobie walecznego, dzielnego wroga – ale i tak był ciekaw i wiedział, że nim się pojawi następną możliwość spotkania, Aliver zapewne będzie martwy.

Akaranie jednakże odmówili. Przysłali wiadomość, w której przypominali mu, że podczas ostatniej wojny Meinowie wykorzystali szacowną tradycję rokowań jedynie do uaktywnienia plugawej broni. Aliver oznajmił, że nie dopuści do powtórzenia tej sytuacji. Gdyby Maeander pragnął poddać siebie, swego brata i wszystkich Meinów, którzy walczyli przeciwko Imperium Akarańskiemu lub odnieśli korzyść z jego upadku, to wtedy mogliby o tym porozmawiać. W innym wypadku powinni sprawę rozstrzygnąć na polu walki.

Maeander odpisał, że to mu odpowiada. Też nie miał wiele do powiedzenia królewiczowi; nie była to całkowita prawda, gdyż wysłał kolejną wiadomość. Napisał, że w tej chwili nie przyjąłby nawet bezwarunkowej kapitulacji Alivera. Maeander stwierdził, że

królewicz zdecydował o swoim losie w dniu, w którym postanowił wyjść z ukrycia. Od owego dnia jego życie zdążyło do szybkiego zakończenia. Wziąwszy to pod uwagę, żadne rozmowy nie przydałyby się na nic ani jednemu, ani drugiemu, a ta prosta wymiana wiadomości wystarczyła za rokowania. Przed pierwszą wojną Maeander nigdy by nie wysłał tak rozwlekłej wiadomości, lecz teraz wydawała się ona na miejscu. Może kulturalne życie na Akacji wywarło na niego wpływ, czyniąc go bardziej gadatliwym.

Następnego dnia przed świtem wysłał przymusowych robotników daleko na równinę, by oczyścili pole walki. Kazał zatoczyć katapulty na miejsce. Wschodzące słońce oświetliło gromadzące się oddziały. Między obiema armiami rozciągał się szeroki, płaski, otwarty teren, porośnięty tu i ówdzie krzakami i nielicznymi akacjami. Wojska Alivera były niemal dwukrotnie liczniejsze od wojsk Maeandera. Ustawiły się w dwóch szeregach, podzielonych na jednostki, które musiały mieć swoich niezależnych dowódców, ze względu na językową różnorodność tych wojsk. Maeander nazywał je wojskami akacjańskimi, lecz tak po prawdzie składały się one głównie z Talayan przemieszanych z wszelkimi innymi nacjami. Ogromna liczba żołnierzy nosiła pomarańczową barwę Akaranów. Niektórzy mieli w tym kolorze koszule albo spodnie, inni przewiązali sobie czoła albo ręce pomarańczowymi szarfami, jeszcze inni mieli pomarańczowe pasy. Balbarowie, którzy chodzili niemal nago, wymalowali sobie na piersiach znaki ochrą. W sumie wojska przedstawiały się niezwykle barwnie. Maeander miał szczególne powody, by się z tego cieszyć. Był przekonany, że żołnierzy sparaliżują bariery językowe, odmienne zwyczaje i taka rozpiętość umiejętności, odwagi oraz przygotowania do walki, że wystarczy, by wywołał pośród nich chaos i dokonał rzezi rozpadającej się armii.

Działania rozpoczął dwoma jednoczesnymi manewrami, mającymi nie dopuścić do przejęcia inicjatywy przez Alivera. Wydał swoim oddziałom rozkaz marszu i polecił obsadom katapult zarzucić oba skrzydła sił Alivera kulami płonącej smoły. Armia Maeandera była ciasno sformowana, zdyscyplinowana. Posuwała się do przodu równym tempem, które robiło duże wrażenie. Przednie linie Akacjan na pewno usłyszały jej śpiew, rytmiczne uderzenia stóp i okrzyki bojowe wznoszone przez poszczególne klany. Wszystko to było dość przerażające.

Należało do tego jeszcze dodać katapulty, które wysyłały wysoko w niebo rozpalone pociski wlokące za sobą ogon czarnego dymu. Meinowie zmodyfikowali tę broń, sprowadzoną do Znanego Świata przez Numereków. Były to większe, ulepszone wersje ich katapult z potężnymi przekładniami i dwukrotnie większym zasięgiem. Dzięki pomocy inżynierów ligi Meinom udało się uformować smołę w kule, które można było wtoczyć na

odchylone ramię katapulty i dopiero potem je podpalić. W powietrzu zachowywały kształt i paliły się równym płomieniem. W środku miały nieduże zębate trójnogi z żelaza, które po uderzeniu kuli o ziemię rozsypywały się dookoła i nieruchomiały ze sterczącym w górę ostrym kolcem. To była drobna broń, lecz Maeander był pewien, że okulał setki ludzi i koni; Aliver nie miał niczego podobnego i nie będzie przygotowany na niszczycielską siłę tych kul. Jego wojska wypuściły w odpowiedzi salwy strzał, które, mimo że wyrządziły nieco szkód, wydawały się niewiele groźniejsze od roju komarów.

Pierwsze kule wybuchły jeszcze przed starciem się armii, podpalając wszystko w promieniu pięćdziesięciu metrów i wyrzucając bryłki stopionej smoły jeszcze dalej. Żołnierze w panice uciekali od wybuchających pocisków, tratując się i zmierzając w stronę środka armii. Chaos już się rozprzestrzenił. Maeander kazał przesunąć kilka katapult i zmienić ich kąt rzutu. Po kilku minutach pierwsza z nich trafiła kulą w tyły sił Alivera i wyeliminowała jednostkę, która mogła się spodziewać, że nie weźmie dziś udziału w walce.

Niech się poczują otoczeni, pomyślał Maeander, osaczeni ogniem i zniszczeniem z trzech stron, a z czwartej przez swoich katów. Patrząc na kłęby dymu i fale zamętu przetaczające się przez szeregi wroga, odwrócił się, by rzucić jakiś żart i uśmiechnąć się do stojącego obok mężczyzny. Nie był to jednak Larken. Ta myśl popsowała mu nastrój, ale tylko na chwilę.

Obie armie zetknęły się pod deszczem ognia spadającego z nieba. Patrząc na rozwój wypadków, Maeander nie mógł być bardziej zadowolony z tego, jak zaplanował działania. Pośrodku swoich wojsk umieścił klin konnicy. Aliver nie mógł jej dorównać, nawet gdyby chciał; w ogóle nie miał oddziału jezdnych, a jedynie rozrzuconych tu i ówdzie konnych wojowników. Jeźdźcy Hanisha mieli ciężkie pancerze i lance, którymi mogli ranić piechurów w piersi, szyję i twarz. Byli to barczyści, muskularni mężczyźni, którzy nieustannie trenowali, przygotowując się na takie starcia. Potrafili setki razy bez zmęczenia powtarzać zadawane z góry ciosy. Ich konie, agresywne wierzchowce szkolone do traktowania ludzi, były największe w imperium.

W ciągu pół godziny konnica Maeandera wycięła sobie ścieżkę do centrum wojsk Akacji. Mogło się to wydawać ryzykownym manewrem, jako że wkrótce znalazła się głęboko w szeregach wroga, otoczona przez niego z trzech stron. Lecz za konnymi wlewała się rzeka piechociarzy, wywijających szablami i toporami. Były one takiej jakości i tak doskonale naostrzone, że łatwo przecinały ciało, mięśnie i kości, wyprawioną skórę, a nawet lekkie kolczugi. Osłonięci takimi zbrojami żołnierze Alivera padali przed nimi, posiekani na krwawe kawałki. Piechurzy Maeandera przebili się do środka armii, zostawiając większość rannych

wrogów jako nieruchawe cele dla katapult.

Maeander czuł, jakby własnymi rękami kontrolował rzeź, jaka się potem zaczęła. Trwała godzinami, od rana do popołudnia. Już samo patrzenie na tę krwawą jatkę było nużące. Kiedy dał swoim oddziałom sygnał do odwrotu, był zlany potem, a mięśnie bolały go tak, jakby przez cały dzień znajdował się w wirze walki. Przez cały ten czas nie wydarzyło się nic, czego by wcześniej nie zaplanował lub na co nie miałby wpływu. Wydawało się, że stracił niewielu ludzi, za to zabił ich bardzo dużo. Tylko dzięki ogromnej liczbie żołnierzy Alivera trochę ich ocalało.

Podczas wieczornej odprawy generałowie Maeandera nie byli aż tak pełni optymizmu. Owszem, zabili wielu ludzi, lecz nie tak wielu, jak mu się wydawało. Bitwa, którą opisywali, przypominała tę, którą oglądał Maeander, lecz niektórymi szczegółami się od niej różniła. Choćby stratami obu stron. Akacjanie byli tratowani, rąbani, gniecieni. Niektórzy zginęli od ciężkich ran. Wielu jednak udało się wycofać, mimo okaleczeń, które powinny ich unieruchomić. Inni, których piechociarze uznali za martwych i zostawiali za sobą, jakiś czas potem wstawali i atakowali ich od tyłu. Zdaniem generałów katapulty nie siały takiego zniszczenia, jak sądził Maeander. Ich pociski trafiały, owszem, lecz ginęli tylko bezpośrednio trafieni. Innych powalały na ziemię i odrzucały dalej. W jednej chwili płonęli, a w następnej już tylko dymili, nie odniósłszy żadnych obrażeń.

– Trudno ich zabić – stwierdził jeden z oficerów. – To niepokojące. Po prostu trudno ich zabić.

Zgodzili się z nim wszyscy generałowie, którzy oglądali bitwę z bliska. Żaden z nich tego nie rozumiał. Maeander znów żałował, że nie może o tym porozmawiać z Larkenem, bratem albo wujem... wątpił jednak, by którykolwiek z nich powiedział mu coś, czego sam nie wiedział. Pominąwszy szczegóły, tego dnia on zwyciężył. Jeśli Akacjanie zechcą z nim walczyć nazajutrz, to będzie ich koniec. Przynajmniej tego generałowie nie kwestionowali.

Następnego ranka Maeander stanął w pierwszym szeregu swoich żołnierzy. Chciał zobaczyć wroga z bliska, krwawo przypieczętować przewidywane zwycięstwo. Lecz od pierwszych chwil starcia armii nic nie działo się tak, jak sobie wyobrażał. Wrogowie rzeczywiście okazali się trudni do zabicia. Ranni wycofywali się, kiedy tak naprawdę powinni padać martwi. Ci, których uważał za niemal nieżywych, odczołgiwali się albo wręcz wstawali, nie tak ciężko zranieni, jak sądził. Wydawało się, że chcąc się upewnić, iż kogoś zabił, musi oddzielić jego głowę od tułowia.

Poza tym mimo gorszej broni i gorszego wyszkolenia oraz cienkich lub niepełnych zbroi, żołnierze Alivera walczyli nieprawdopodobnie dobrze. Raz, walcząc z kilkunastoletnim chłopcem, Maeander stwierdził, że zabicie go jest koszmarnie trudne, choć powinno być łatwe. Chłopiec był szczupłym Bethunim, miał tylko włócznię, a jego nagie nogi, ręce i pierś stanowiły łatwy cel. Maeander widział, że jest przerażony – trząsał się, oczy miał szeroko otwarte i rozbiegane. Udawało mu się poruszać wystarczająco szybko, by blokować ciosy Maeandera, broniąc się, czasami samemu uderzając. Maeander nie mógł powstrzymać się od śmiechu, widząc dziwną mieszankę strachu chłopca i swojej niemożności powalenia go. To było komiczne, dopóki szczeniak nie drasnął go w ramię. Rozzłoszczony Maeander nasilił atak, lecz pod naporem walczących z boku, stracił chłopaka z pola widzenia. Nie posiadając się ze złości, patrzył, jak przeciwnik mu się wymyka, i chyba dostrzegł w spojrzeniu jego piwnych oczu rozbawienie. To było tylko jedno z wielu porannych niepowodzeń.

Znalazłszy się po południu z powrotem na szczycie wzgórza, które służyło mu za centrum dowodzenia, Maeander doszedł do wniosku, że poszczególne jednostki Alivera reagują z prędkością, której początkowo nie docenił. Poszczególne części tej ludzkiej zbieraniny komunikowały się ze sobą bardzo szybko. Właściwie zbyt szybko, by dało się to logicznie wytłumaczyć. Maeander kazał obsłudze katapult skupić się na zniszczeniu nielicznych ruchomych wież obserwacyjnych, rozrzuconych wśród nieprzyjacielskich oddziałów. Nie mógł być tego pewien, lecz w wieżach tych prawdopodobnie przebywali generałowie, tacy, a może nawet sami Akaranie. Ściąganie na siebie uwagi w ten sposób wydało mu się niemądre, lecz wieże tam były. Do czegoś ich używano. Dwa razy widział, jak spadały na nie pociski i wybuchały. To go cieszyło. Bez względu na to, czy w którejś z nich znajdował się potomek rodu Akaranów, każdy wybuch musiał zabić kilku oficerów.

Pod koniec dnia znów poczuł się lepiej. Następnego dnia rozpocznie od zniszczenia reszty wież. Zmieni taktykę i każe konnicy oskrzydlić Akacjan, a ostrzał katapult skoncentruje na środku ich armii. Zaczynało brakować kul smoły, ale i tak ich użyje. Przecież po to są. Wykorzysta do końca ich zapas i wykończy Alivera potężną ulewą ognia. Po dwóch dniach rzezi na pewno są osłabieni, zdziesiątkowani. Jego ludzie nadal są silni i liczni. Trzeci dzień położy kres całej sprawie.

Lecz wydawało się, że w ciągu nocy armia Alivera uzupełniła straty. Musieli przybyć nowi rekruci, zastępując zabitych, gdyż armia, którą Akacjanie skierowali do walki trzeciego dnia, wyglądała na niewiele mniej liczną od tej z pierwszego dnia. To, że mogli tak szybko włączyć do walki nowe oddziały, wydawało się nieprawdopodobne, lecz wysyłali je do bitwy w dniu przybycia. Jakimś sposobem wszyscy walczyli ze zdyscyplinowaniem i wprawą

doświadczonych żołnierzy.

A deszcz ognia? Owszem, spadł, lecz z jeszcze mniejszym skutkiem niż w poprzednich dniach. Jedna wieża, trafiona bezpośrednio, zachwiała się od uderzenia, strzeliła ogniem, a potem... cóż, potem pożar zgasł, jakby zdusił go podmuch wiatru. Na oczach Maeandera wieża jakby odzyskała równowagę i pierwotny kształt. Dymiała, poczerniała, lecz przetrwała. Kiedy dał sygnał do zakończenia walki, miał wrażenie, że utknęli w martwym punkcie. Zamiast upajać się zwycięstwem, czuł, że się chwieje.

Wcale nie wygrywał. A jeśli tak będzie dalej, to nazajutrz jego wojska zostaną odepchnięte.

Pierwszy dzień walk lekko go zaniepokoił. Drugi zbił z tropu. Trzeci zmartwił. Po raz pierwszy Maeander dopuścił do siebie myśl, że Aliver jest obdarzony jakimś rodzajem magii. Sądził, że takie rzeczy już dawno nie istnieją, lecz jakie mogło być inne wyjaśnienie tej sytuacji? Nic innego nie miało sensu. Wraz z tą świadomością poczuł pierwsze ukłucie niepewności. Gdy już raz się pojawiła, nie umiał się jej pozbyć. Jeśli przywoływał zdrowy rozsądek, znikwała, lecz tylko na chwilę. A potem znów się pojawiała. Wcale mu się to nie podobało.

Numrekowie nie przybyli. Gdzie się podziiali? W co grają? Liga wciąż była gotowa do pomocy, ale zapasy kul ze smoły mogła uzupełnić dopiero za cztery dni. Ludzie Maeandera zaczęli wykazywać oznaki zmęczenia. Przybył posłaniec od Hanisha z żądaniem informacji. Kazał go umieścić pod strażą w namiocie.

Tego wieczoru podjął decyzję. Postanowił spróbować czegoś, do czego Hanish pozwolił mu się uciec w ostateczności. Mają broń, której jeszcze nikomu nie pokazywali. To był podarunek od ich sprzymierzeńców zza Szarych Zboczy. Tym razem nie choroba, lecz także coś dotychczas nieoglądanego w Znanym Świecie. Nie lubił ujawniać sekretów, jeśli nie było to absolutnie konieczne, lecz instynkt podpowiadał Maeanderowi, że obecna sytuacja taką konieczność stwarza.

Wysłał posłańca do Alivera z propozycją dwudniowej przerwy w walce. Pierwszy dzień miał być poświęcony na oczyszczenie pola i opatrywanie rannych, a drugi na uczczenie poległych. Aliver się zgodził. Zapewniwszy sobie tę zwłokę, Maeander skontaktował się ze statkami z sekretnym ładunkiem na pokładzie, stojącymi w porcie w Bocoum. Powiedział, że potrzebuje antoków. Kazał je wylądować na brzeg i przygotować.

ROZDZIAŁ 60

Corinn wiedziała, że ma tylko jedną szansę na porozmawianie z przedstawicielem ligi. Przybył w tajemnicy na Akację poprzedniej nocy. Dowiedziała się o tym, ponieważ kilkoro swoich służących – pośród których oczywiście nie było Meinów – zmusiła do przekazywania jej wszelkich informacji. Zanim dokonała wstrząsającego odkrycia, że Hanish chce złożyć ją w krwawej ofierze swoim przodkom, nigdy nie szukała pomocy u służących. Wydawało się jej to nieodpowiednie, jakby się poniżała, okazywała słabość. Uznała jednak, że nie ma nic gorszego od zakończenia życia na jakimś ołtarzu i nic bardziej żalosego niż dać się poprowadzić na rzeź, będąc we władzy cielejącej miłości. Nie chciała kończyć życia cicho. Właściwie w ogóle nie chciała go kończyć.

Kiedy owej dziwnej nocy dowiedziała się o zamiarach Hanisha, musiała zrewidować wszystkie swoje wcześniejsze założenia. Jej służący byli dotąd pozbawionymi twarzy oraz imion istotami krążącymi na granicy pola jej widzenia. Lecz od pamiętnego poranka postrzegała ich inaczej. Mimowolnie przyglądała się ich twarzom, zastanawiając się, co takiego wiedzą, czego ona nie wie. Co o niej myślą? Wobec kogo są lojalni? Zaczęła ich obserwować, zwracając uwagę na ich zachowanie w różnych sytuacjach. Usiłowała ocenić, którzy z nich są lepiej od innych nastawieni do niej, którzy ledwie skrywają niechęć i którzy sprawiają wrażenie podatnych na manipulację. A potem zaczęła traktować ich odpowiednio do wyciągniętych wniosków.

Opląciło jej się to. Służący nie byli tak lojalni wobec Meinów, jak zakładała. Niemal się wydawało, że czekali, by się otrząsnęła i zaczęła z nimi spiskować. Dowiedziała się, że wielu z nich jest przekonanych o nieuchronności powrotu Alivera. Pewien służący powiedział jej, że w pałacu jest Rialus Neptos. Inny poinformował ją o śmierci Larkena. Kiedy dziewczyna imieniem Gillian przyniosła jej wiadomość o przybyciu na wyspę Sire'a Dagona, Corinn podziękowała jej uściskiem i całusem w policzek. Przedstawiciel ligi poprosił o jak najszybsze przygotowanie do lotu ptaka pocztowego. Miał opuścić Akację z samego rana, więc Corinn nie traciła czasu.

Wyszła ze swoich komnat w szarym świetle przedświt; szła przez pałac cicho, kierując się pamięcią, bez pochodni czy świecy. Ubrała się wyjątkowo starannie. Włożyła jasnyniebieską suknię z jedwabiu, korzystnie podkreślającą jej dekolt i szyję. Przedstawiciele

ligi to przecież mężczyźni.

Zaczęła rozumieć, że teraz pałac jest dla niej rodzajem więzienia. Ani Hanish, ani nikt inny jej tego nie powiedział, lecz od kilku tygodni nie opuszczała wyspy. Za każdym razem, kiedy wspominała o ewentualnych wycieczkach, Hanish ją zbywał. Od niedawna meinińscy strażnicy wodzili za nią wzrokiem uważniej niż przedtem. Obserwowała ich zachowanie, zbliżając się do granicy królewskich terenów albo kiedy zapuszczała się w pobliże sali narad. Nigdy nie posunęła się aż tak daleko, by któryś ze strażników zastąpił jej drogę, lecz nabrała pewności, że Hanish kazał ją śledzić. Powstała wokół niej niewidoczna granica. Świadomość tego sprawiała, że cierpła na niej skóra.

Obszar dolnego pałacu zarezerwowany dla ligi był jednak w dużej mierze terenem prywatnym. Weszła tam, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Zapewne Hanishowi nie przyszło do głowy, że mogłaby chcieć skontaktować się z ligą. Kiedy przekraczała bramę, nie musiała już zawracać sobie głowy meinińskimi strażnikami. Miała natomiast niejakie trudności z przekonaniem oficerów Ishtat, by przekazali Sire'owi Dagonowi jej prośbę o audiencję. Udało się jej to w końcu tylko dlatego, że zagroziła im gniewem Hanisha i z naciskiem dała do zrozumienia, że to sam wódz wysłał ją do przedstawiciela ligi. Umówiono ją na spotkanie, chociaż obiecano jej zaledwie kilka minut rozmowy.

Kiedy weszła do gabinetu Sire'a Dagona, ten przerzucał papiery swoimi długimi palcami. Zerknął na nią z roztargnieniem, poświęcając jej tylko część uwagi.

– Moja droga królewno, co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał. – Pośpiesz się, proszę, jako że, niestety, mam mało czasu. Masz jakąś... wiadomość od Hanisha?

Królowna nie była tak zdenerwowana, jak się tego obawiała. Wiedziała, że sprawa, z którą przyszła, dawniej sparaliżowałyby ją ze strachu. Czasami nawet teraz zastygła w bezruchu, wpatrując się w przestrzeń. Często też wracała myślami w przeszłość, do ojca, matki, krótkiego wygnania na Kidnabanie. Lecz teraz nie była już taka jak w dzieciństwie. Czuli się coraz mniej związana ze swoim dawnym życiem. Wierzyła, że może mieć wpływ na losy świata. Że może kształtować własny los. Kryła się w tym pewna ironia, gdyż jej zamiary tylko do pewnego stopnia pokrywały się z tym, co uważała za zamiary Alivera.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego wróciłeś? – powiedziała. – Jakie masz wieści?

Przedstawiciel ligi podniósł na nią wzrok.

– Mam uwierzyć, że Hanish prosi o tę informację?

– Jeśli chcesz. Lecz nie jesteś pionkiem Hanisha. Ja to wiem, nawet jeśli on nie zdaje sobie z tego sprawy. Jeśli to możliwe, niech to zostanie między nami. Nie zatrzymałbyś się tu i nie poprosił o ptaka pocztowego, nie mając jakichś ważnych wieści. Mam powody do

ciekawości.

– W to potrafię uwierzyć. Jednak może ci się nie spodobać to, co mam do powiedzenia. Po co pytać o sprawy, których nie można zmienić?

Corinn wzruszyła ramionami. Powiedziała, że chce wiedzieć dla samej wiedzy.

Sire Dagon też wzruszył ramionami, przedrzeźniając ją. Zacisnął pogardliwie usta, lecz zaraz je rozluźnił.

– Skoro musisz... Wróciłem, by wysłać wiadomość do Inspektoratu. Jeden z naszych patroli zauważył, że na wody Morza Wewnętrznego wpływa... no cóż, chyba można to nazwać flotą statków rybackich i handlowych. To są Vumuanie. Z pewnych powodów doszliśmy do wniosku, że podjęli misję uratowania twojej siostry.

– Mojej siostry?

– Przybyli, by włączyć się do bitwy, co niewątpliwie znaczy, że nie staną po stronie Meinów. Zamierzam wysłać ptaka pocztowego do Inspektoratu, by zniszczył tę flotę, zanim dotrze do Talay. W porównaniu z naszymi okrętami wojennymi są niczym dziecinne łódki kołyszące się na stawie.

Corinn słyszała go, lecz jeszcze nie w pełni dotarła do niej wzmianka...

– Powiedziałeś, że Mena żyje?

Sire Dagon zachichotał.

– Tak myślałem, że cię to zainteresuje. Twoja siostra jest boginią. – To ostatnie słowo wypowiedział z udawanym szacunkiem. – Boginią... Ludy plemienne zawsze mnie zdumiewają. Być może wcale nie jest boginią, lecz zabójczynią bogini. Naprawdę nie mam pojęcia, jak to jest. Moje informacje nie są zbyt szczegółowe. Mogę ci jednak powiedzieć, że schwytali ją Maeander i Larken. Nie pozostała jednak długo w ich mocy. Przebiła Larkenowi serce jego własną szablą. Zabiła dwóch Punisarich i zraniła kilku innych, a potem przejęła statek i przekonała większość marynarzy, by przyłączyli się do sprawy twojego brata. Trudno to sobie wyobrazić, prawda? Mała Mena, dzierżąca szablę zabójczyni bogiń, pokonała jednego z najbardziej przebiegłych Marahów, jakich widziałem.

Mówiąc to wszystko, przedstawiciel ligi cały czas przekładał papiery. Potem zamilkł, uniósł wzrok i chwilę przyglądał się Corinn.

– To rzeczywiście stawia cię w trudnej sytuacji, prawda, moja droga? Chodzi mi o konflikt lojalności. Może nie powinienem ci o tym mówić. Zawsze słyszałem, że jesteś słabego zdrowia. Zapewne bardzo dziwnie jest być królową Corinn Akaran. Może cię to zaskoczy, lecz te wieści o twoim rodzeństwie są dla mnie bardzo interesujące. Pomyśl, kim się stali: jeden brat przewodzi lojalnej wobec niego armii, drugi jest zbójcą, morskim

kapitanem, który także ma zwolenników gotowych za niego – a przynajmniej z nim – umrzeć, a siostrę nazywa bóstwem fanatycznie jej oddany lud. Jestem pewien, że twój ojciec tego nie planował, lecz przynajmniej uczynili ze swoim życiem coś interesującego. Szkoda, że tobie pozwolono się stać tylko kochanką zdobywcy.

Corinn właśnie miała wyrazić zaskoczenie dziwnymi wieściami o siostrze. Chciała nawet poprosić Sire'a Dagona o radę, o pomoc. Lecz zarzuciła wszystkie te zamiary w chwili, gdy mężczyzna okazał jej współczucie. Nie chciała przyjąć jego litości. I nie zamierzała godzić się z sugestią, że jej życie nie jest interesujące albo wartościowe.

– Mylisz się – powiedziała. Obeszła biurko i zbliżyła się do Sire'a Dagona. Wyczuła niewidzialną barierę, punkt wyznaczający granicę tego, co uważał za swój prywatny teren. Naparła na niego i poczuła opór. Twarz przedstawiciela ligi nie zdradzała zakłopotania, a mimo to Corinn widziała, że mężczyzna walczy z chęcią cofnięcia się. Ucieszyło ją to i dodało pewności siebie. – Jako członek ligi wiesz, że pozory to jedno. To, co się pod nimi kryje, to coś innego. Prawda?

– Już odpowiedziałas na własne pytanie.

– A więc możliwe, że jeszcze nie wiesz, co się kryje pod tą fasadą. Sądzisz, że nic, ale powinieneś być mądrzejszy. Liga twierdzi, że nie ma żadnych ukrytych interesów, ale to absurd. Nie pragniecie tylko bogactwa, czyż nie?

– Chcemy żyć tak, jak zawsze – odparł Sire Dagon. – Służymy potęgom świata. Zbliżamy ze sobą różne narody, by rozwijać handel i powiększać dobrobyt...

– Proszę cię, Dagonie – przerwała mu Corinn. – Nie obrażaj mnie. Macie inny cel. Czuję to pod twoją maską.

– Nie noszę żadnej maski, pani.

– Ależ nosisz. – Zbliżyła się o pół kroku i przekrzywiła głowę, jakby szukała czegoś bardzo małego na linii jego włosów. – Przyszyto ci ją w dzieciństwie nitką cienką jak włos. Może tak się do niej przyzwyczałeś, że nie widzisz własnego oszustwa. Lecz ścieg jest nadal widoczny, Sire Dagonie. Jest tutaj...

Uniosła dłoń z palcami zetkniętymi opuszkami, jakby chciała wyskubać tę nitkę.

Przedstawiciel ligi trzepnął ją w rękę i odwrócił się na pięcie; jego szata musnęła biodro Corinn. Materiał był sztywny i ciężki jak płyta elastycznej zbroi.

– Twoja arogancja nie zna granic.

– Mam nadzieję, że nie, ale jeszcze tego nie wiem. Dopiero odkryłam arogancję i wzięłam ją sobie do serca. Wy jednak dzięki niej rozkwitacie. Pragniecie kontrolować cały świat. Chcecie czuć, że jesteście niczym bogowie, że pociągacie za sznurki, zmuszając narody

do tańca. Czyż nie tego pragnienie?

– Jak powiedziałem, chcemy jedynie zachować to, co już mamy.

– A co takiego macie?

Znalazłszy się nieco dalej od niej, Sire Dagon odzyskał panowanie nad sobą. Uśmiechnął się szeroko. Pytanie sprawiło mu przyjemność.

– Teraz pytasz o coś istotnego. Co już mamy? Co chcemy zachować? Zastanów się nad tym... Jeśli nie przywieziemy wody do kopalni Kidnabanu, robotnicy umrą z pragnienia. Na wyspie jest mało wody, a oni nie mogą się z niej wydostać, ponieważ kontrolujemy morza. Więc jeśli powiemy, że zginą z powodu suszy, to zginą z powodu suszy. Zważ, że teraz tylko liga wyrabia smołę. Nawet Numrekom nie chce się jej wytwarzać. Dlaczego mieliby to robić, skoro my wykonujemy tę pracę i dajemy im smołę? Zatem my – liga – znamy sekret zrzucania z nieba płonących meteorytów. Tylko my handlujemy z Lothan Aklun. Tylko my znamy całą wielkość potęgi, której służą. To my trzymamy na dystans Inne Ziemie, by Znany Świat nadal mógł uważać się za świat skończony. Rozumiesz, co to znaczy? Dodaj to wszystko do siebie, a potem dodaj jeszcze więcej, niż ja mógłbym chociaż zacząć ci opowiadać, i co otrzymasz? Powiem ci. Nie chcemy stać się podobni bogom. My już nimi jesteśmy. Nie chcemy pociągać za sznurki przymocowane do każdej duszy w Znanym Świecie. My już to robimy. Gdybyś umiała je dostrzec, uświadomiłabyś sobie, że z każdego z moich palców wybiega milion cieniutkich nitek. Taka jest prawda. Dawca zostawił świat nam i od tego czasu Znany Świat nie czuł ręki żadnego innego bóstwa prócz nas, a nie Akaranów ani Meinów.

– Nie Lothan Aklun?

– Oni to oddzielna sprawa.

– Wiem o tym – rzekła Corinn, znów się do niego przybliżając. – Nie są potęgą, jak zawsze wmawialiście ludziom, prawda? Hanish wyjawiał mi, co mu powiedziałaś. Prowadzicie z nimi interesy, ponieważ jest to mniejsze zło niż nie handlowanie z nimi w ogóle. Są bogaci. Bogatsi od was, a wy zazdrościcie im tego bogactwa, prawda? Nazywacie ich wielką potęgą z powodu tych bogactw, bo tylko to się dla was liczy. Lecz nie podoba wam się, że musicie się z nimi dzielić zyskami z handlu jako nierównorzędni partnerzy. Czasami śni wam się w nocy, że jesteście właścicielami ich pałaców. To was podnieca najbardziej ze wszystkiego na świecie. Mam rację?

Sire Dagon cofnął się ze skwaśniałą miną.

– Najpierw ja robię wykład tobie, a potem ty usiłujesz zrobić wykład mnie. Nie mam na to czasu. Dam ci ostatnią szansę powiedzenia mi, co cię tu sprowadza.

Czuąc się dziwnie swobodnie z zamiarem wypowiedzenia kłamstwa, odparła:

– Przynoszę wiadomość od mojego brata. Chce, żebyście przestali pomagać Hanishowi. Jeśli tak uczynicie, hojnie was wynagrodzi.

– Mamy przestać pomagać Hanishowi? – powtórzył, marszcząc lekceważąco brwi. – Czyż dopiero co nie wyjaśniłem, że nad światem nie panują ani Meinowie, ani Akaranie?

– Ale wy też nie, a przynajmniej nie samodzielnie. Na pewno nie bez zgody mas. A może ją wam zapewnić mój brat, nawet łatwiej niż Hanish.

– Twój brat! Złości mnie w takim samym stopniu, jak bawi. Wiesz, że w jakiś sposób przekonał ludzi, by przestali palić mgłę? To ogromnie denerwujące.

Corinn nic nie wiedziała o tym, że ludzie przestają palić mgłę, lecz nie okazała zaskoczenia.

– Właśnie dlatego powinniście życzyć mu zwycięstwa. Uwalnia ich, by pomogli mu wygrać tę wojnę. Jednak po zwycięstwie sytuacja będzie zupełnie inna. Możemy sprawić, by była zadowalająca i dla nas, i dla was. Ani Aliver nie jest taki jak nasz ojciec, ani ja taka nie jestem. Powiedz mi, że naprawdę sądzisz, iż nowa dynastia akarańska nie przyniesie korzyści i nam, i wam? Pomyśl o wszystkim, czego dokonaliśmy razem. Hanish Mein był tylko koniecznym dla nas przebudzeniem. Lecz możesz mi wierzyć, że teraz jesteśmy bardzo czujni.

Sire Dagon wbił w nią spojrzenie swoich blisko osadzonych oczu z taką siłą, że jeszcze przed paroma dniami Corinn by się przed nim ugięła. Nawet teraz trudno jej było nie spuszczać wzroku.

– Powiedzmy, że potraktuję twoje słowa poważnie – powiedział. – Nie słyszałem na razie nic, co usprawiedliwiłoby taką zmianę polityki. Twój brat nie zwycięży w tej próbie, Corinn. Uwierz mi. Mam dostęp do informacji, których nie znasz. Dlaczego więc miałbym się związać z przegraną stroną, a zwłaszcza taką, która deklaruje chęć zaszkodzenia moim interesom? Odpowiedz mi na to pytanie przekonująco, a będziemy dalej rozmawiać. W przeciwnym wypadku pożegnam cię, królowno.

Usiłując nie odwracać wzroku, Corinn starała się przygotować argumenty. Musiała uporządkować wiele spraw, a pod spojrzeniem przedstawiciela ligi wszystko jej wirowało w głowie. Przez chwilę chciała wyjawić mu wszystkie swoje sekrety i zostać osądzoną, zrozumianą lub skazaną. Lecz nie po to tu przyszła. Nie powie mu, jak kochała Hanisha i jakie cierpienie przyniosło jej odkrycie, że ich związek jest kłamstwem. Nie zamierzała przyznać, że nienawidzi własnych słabości, że uświadomiła sobie, iż przez całe życie była głupią owcą prowadzoną na rzeź. Nie zamierzała mu też mówić, ile nosi w sobie bólu; że

nadal tęskni za życiem, jakie mogłaby wieść ze swoim rodzeństwem; że czasami myśli o Igguldanie, księciu, który z miłością padł przed nią na kolana; i że wciąż płonie z wściekłości, że odebrano jej ojca, a w dzieciństwie utraciła matkę. Wszystkie te sprawy kotłowały się w jej umyśle, lecz wydobyła spomiędzy nich to, co chciała powiedzieć.

Chciała powtórzyć, że liga musi – dla własnego dobra – odsunąć się od Hanisha. Musi wycofać flotę wspierającą Maeandera i nie zwracać uwagi na vumuańskie statki. Musi czekać, to na razie wszystko. Ale też nie działać przeciwko Hanishowi. Tak, jak nie pomagała ani nie szkodziła żadnej ze stron w pierwszej wojnie. Jeśli Hanish zwycięży, bezczynność ligi nie będzie miała znaczenia. Liga zostanie co najwyżej zbesztana i otrzyma wybaczenie. Co innego mógłby uczynić Hanish? Naprawdę, wycofując się, liga nic nie straci. Lecz gdyby dalej pomagała Meinom, a oni by przegrali... wówczas Aliver będzie bezlitosny. Mógłby całkowicie zakazać handlu. Zwróciłby wściekłość całego świata bezpośrednio na nią i ze wszystkich sił starałby się ją zniszczyć. A jeśli to wszystko Sire'a Dagona nie przekona, to Corinn może mu złożyć jeszcze jedną obietnicę, taką, której chyba tak łatwo nie zignoruje.

To była wielka prośba, lecz kiedy przedstawiciel ligi kolejny raz dał do zrozumienia, że jego cierpliwość się kończy, otworzyła usta.

– Sire Dagonie, mogę ci powiedzieć w imieniu brata, że nie pragnie on zaszkodzić waszym interesom. Wręcz przeciwnie, oboje jesteśmy przekonani, że partnerstwo między ligą oraz Akaranami może być jeszcze korzystniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Takim początkiem go zainteresowała. Sire Dagon skinął głową, dając znak, że ma mówić dalej, że po raz ostatni słucha jej z uwagą.

ROZDZIAŁ 61

O świcie nie było słycać żadnych odgłosów znajomego, naturalnego porządku świata. Nie docierały do niego zwykle sygnały, że nocne stworzenia układają się na spoczynek, ustępując miejsca dziennym. Żadnego porannego śpiewu ptaków. Żadnych kogutów, oznajmiających z uniesionymi głowami, że są właścicielami jaśniejącego świata. Żadnego szczekania wioskowych psów. Nie słyszał dzieci wybuchających zaraźliwym śmiechem ani ich krzyków towarzyszącym zabawom. Nie dobiegały go melodyjne głosy kobiet, pozdrawiających się wedle pradawnego talayskiego obyczaju. W powietrzu nie unosił się też dźwięk młócki, której rytm stał się przez te wszystkie lata łagodną zachętą do obudzenia, tak stała, jak wschód słońca, i równie miła.

Tego ranka, kiedy miała zostać wznowiona walka z Maeanderem, Aliver leżał na posłaniu w namiocie, tęskniąc za tym wszystkim. Takie momenty wydawały mu się teraz tak odległe, jak wspomnienia z dzieciństwa. Były to przebłyski niewinnego świata, w który już ledwie wierzył. Wtedy, dawniej, uważał, że cierpi na wygnaniu, lecz teraz każdy dzień lat spędzonych w Talay wydawał mu się idyllą. Wspomnienie, że niegdyś żył jak zwykły człowiek w normalnym świecie, sprawiało mu fizyczny ból, który dręczył go przez całą noc, nawet podczas krótkich okresów snu. Wszystkie kłopoty, zmartwienia i obawy, które wtedy zdawały się ważne, były bez znaczenia w porównaniu z tym, co go teraz czekało.

Usiadł i próbował wycisnąć zmęczenie z oczu kostkami palców zaciśniętych w pięści. Kilka minut później wyszedł z namiotu. Wokół widział tłum ludzi, którzy zjednoczyli się dla jego sprawy. Setki namiotów i szałasów, tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci szykujących się do kolejnego dnia jego wojny. Halalyowie, którzy z własnej woli strzegli każdego jego kroku, powitali go skinieniem głowy. Wszędzie wokół widział unoszące się ku niemu uśmiechnięte, pełne nadziei twarze. Wszyscy wierzyli, że wojna jest już właściwie wygrana. Ufali mu całkowicie, mieli wrażenie, że jest Edifusem, który powrócił, Tinhadinem. Chociaż wyjaśniał, że tak nie jest, ludzie najwyraźniej wierzyli, że to on jest strzegącą ich potęgą, a nie niewidzialni Santoth.

Nieustannie wodził wzrokiem, bojąc się go dłużej zatrzymać na którymś ze swoich wiernych zwolenników. Nie mógł okazać im niepewności. Możesz ją odczuwać, powiedział mu krótko Thaddeus, zanim zniknął, lecz nie wolno ci jej okazać. Dopóki stary kanclerz nie

odszedł, Aliver nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zaczął na nim polegać. Chociaż wydawało się to dziwne, czasami miał wrażenie, jakby to jego ojciec przemawiał ustami człowieka, który go zdradził. Powiedział, że wszyscy ludzie błędzą w życiu, nawet królowie. Lecz dobry król postępuje tak, jakby był dawnym bohaterem. Tacy bohaterowie nigdy w siebie nie wątpili, a przynajmniej tak sądził świat. Aliverowi bardzo brakowało Thaddeusa. Starzec się z nim nie pożegnał, lecz królewicz wiedział, czego szuka. Modlił się, by szybko to odnalazł.

Menę i Dariela zastał rozmawiających przy śniadaniu. Siedzieli obok siebie, stykając się kolanami; każde z nich w jednej ręce trzymało drewnianą miseczkę, a drugą nabierało łyżką owsiankę. Mena była drobna, a mimo to pełna siły, której nie skrywał jej skąpy strój, niebezpieczna, chociaż pokazywała światu spokojną, mądrą twarz; pod ręką miała szablę. Dariel z psotnymi ognikami w oczach łatwo się uśmiechał i tryskał energią; jego rozpięta koszula odsłaniała płaski brzuch. Pochylali się do siebie i jednocześnie mówili i jedli. Wyglądali jak... cóż, jak nieprawdopodobnie żyte ze sobą rodzeństwo. Lata, które spędzili oddzielnie, jakby się nie liczyły.

Aliver zachwiał się, uderzony falą emocji. Chciał przeskoczyć dzielącą ich odległość i objąć oboje. Gdyby to zrobił, wszyscy potoczyliby się na ziemię, a on wylałby na nich łzy. Szlochałby i płakał i wcale nie był pewien, czy zdołałby się podnieść z takiego uścisku i zrobić to, co miał do zrobienia. W najbliższych godzinach on albo oni mogliby zginąć. Wiedział o tym. Chciał powiedzieć im mnóstwo rzeczy, by ich do tego przygotować. Powinien wydobyć najdelikatniejszą część samego siebie i podzielić się z nimi jej zawartością, by go zrozumieli i zapamiętali. Pragnął spędzić z nimi wiele dni, dowiadując się wszystkiego o ich dotychczasowym życiu, starając się z ich pomocą zrozumieć życie, jakie sam prowadził do tej pory, szukając w ich wspomnieniach pełniejszego obrazu wszystkiego, przez co każde z nich przeszło.

Wcześniej ukazał im fragmenty swojej wizji przyszłości. Powiedział, że kiedy zwyciężą, nie będzie nimi rządził. Nie chciał być tyranem, który nie da im prawa głosu we władaniu imperium. Wszystkie decyzje będą podejmować we czwórkę, na zasadach zgody i kompromisu. W długich rozmowach znajdą większą mądrość, niż mieliby ją oddzielnie. Zarazem będą ponosić większą odpowiedzialność za funkcjonowanie imperium, jako że zapewnią pełniejszą reprezentację jego rozmaitych regionów. Każdy będzie miał coś do powiedzenia na temat kształtu przyszłości.

We wszystko to szczerze wierzył, lecz tak mówiłby królewicz, a nie brat. Brat chciał podzielić się z rodzeństwem mnóstwem innych spraw. Kiedy ruszył w ich stronę, przyznał

sam przed sobą, że nic w jego życiu nigdy się nie pokrywało z jego wyobrażeniami; cokolwiek ma się zdarzyć, to się nie zmieni. Sama świadomość czekającego ich dnia sprawiła, że nie mógł ich objąć tak, jak chciał, ani uwolnić łez. Na takie emocje będzie czas później, w spokojniejszych dniach, kiedy nie będą się ważyć losy tysięcy ludzi. Dlatego odezwał się cierpkim tonem, jak starszy brat do młodszego rodzeństwa.

– Jak to się dzieje, że wy dwoje zawsze wstajecie przede mną?

Mena wstała, uśmiechnęła się i ścisnęła go za łokieć.

– Pytanie, jak ci się w ogóle udaje spać – rzekł Dariel.

– Lekko, bracie – odpowiedział Aliver, używając starego talayskiego powiedzenia. – Śpię lekko i nie zanurzam głowy w morze snów.

W ciągu godziny cała trójka uzbroiła się i ubrała zgodnie ze swymi rolami. Poprzednio dowodzili poszczególnymi częściami armii. Mena i Dariel nie znali się na dowodzeniu całymi armiami, lecz szybko się uczyli i umieli spoglądać daleko w przód. Mena walczyła w pierwszych szeregach, zadziwiając wszystkich swymi umiejętnościami szermierzymi oraz zdolnością zabijania bez wyrzutów sumienia, ale z zachowaniem skromności i człowieczeństwa. Dariel miał w sobie coś, co wzbudzało u żołnierzy niemal euforyczną radość. Opowieści, które snuli o nim jego piraci, przekonały masę, że Dariela nie ma się żadna broń, że jest nietykalny i błogosławiony. To były symbole, wokół których ludzie chcieli się gromadzić. Polecenia Alivera, przekazywane przez jego rodzeństwo, podnosiły wojsko na duchu bardziej, niż umieli to osiągnąć nawet tacy doświadczeni generałowie, jak Leeka Alain.

Częściowo do tego służyły im wieże. Rodzeństwo wysyłało sobie z nich nawzajem wiadomości za pomocą luster i różnokolorowych chorągiewek.

Wieże pozwalały też Aliverowi kontaktować się z Santoth, ponieważ z wysokości łatwiej było jego świadomości ich dosięgnąć. Lecz po ostatnim dniu bitwy, kiedy Maeander systematycznie celował w nie z katapult, wieże trzeba było porzucić. Zmieniły się w śmiertelne pułapki. Drugiego dnia Mena tylko przypadkiem udało się uniknąć uwięzienia w jednej z nich. Kiedy się do niej zbliżała, coś ją zatrzymało. Zamiast tkwić w środku, oglądała jej zniszczenie, stojąc tuż poza zasięgiem katapulty.

W ostatniej, trafionej trzeciego dnia, znajdował się sam Aliver. Właśnie wszedł na jej szczyt, otworzył umysł na Santoth i poczuł, jak nawiązuje i umacnia z nimi kontakt. W następnej chwili wszyscy żołnierze wokół niego rzucili się na podłogę, a on poczuł się tak, jakby słońce spadło na ziemię. Dach się wygiął i zawalił na niego, a z każdego otworu buchnęły płomienie. Żłociste płomienie zmieniły się w zwęgloną czerń, a potem w nicość.

Przez kilka długich sekund Aliver czuł ból palonego ciała. Pamiętał, że miał jakąś ostatnią myśl, lecz podobnie jak to się dzieje w snach, nie umiał jej sobie przypomnieć. Może nawet jej nie dokończył przed nadejściem zmiany.

Powrót do życia był szybki. W jednej chwili znajdował się w rozpalonym piecu, a w następnej płomienie odsunęły się od jego ciała i jakby wyparowały. Wieża, która waliła się na ziemię od siły uderzenia, wyprostowała się. Drewno napięło się, cała wieża trzeszczała z wysiłku. W następnej sekundzie stała prosto. Gorąco zniknęło. Aliver był nietknięty. Ludzie leżący wokół niego wstali oszołomieni.

Odpowiedział na ich niezadane pytania prawdą. Chociaż sam był zaskoczony, wypowiadał słowa z pewnością, jakby stwierdzał coś, co wie każde dobrze się uczące dziecko. Powiedział wtedy, że ich sprawa jest błogosławiona. Chronią ich niewidzialni Santoth. Już przedtem wygłosił mowę na temat tego, że wszyscy stanowią część rodzącego się mitu. Teraz im o tym przypomniał i poprosił, by wyobrazili sobie pieśń, jaką przyszłe pokolenia będą śpiewać o tej armii. Zostali ściągnięci z całego obszaru Znanego Świata, a chronią ich pradawni czarnoksiężnicy, którzy chcą jedynie wrócić do świata żywych i naprawić stare krzywdy. Powiedział, że to jest zbyt wspaniałe przedsięwzięcie, by miało się nie udać.

Nie wspominał o tym, że czarnoksiężnicy prawdopodobnie chronią tylko jego, a innych ocalili dlatego, że znajdowali się w pobliżu. Nie wyjawiał też, że udało im się to zrobić tak dramatycznie, ponieważ połączenie między nimi było świeże, a atak przypadkiem zdarzył się w odpowiedniej chwili. Nauczył się jednak, że częściowa prawda czasami służy lepiej niż pełna. Miał pewność, że kilka godzin po tym wydarzeniu cała armia będzie wiedziała, co się stało. Powstanie kolejna opowieść o magii i prorocत्वie. Dla nich to on był magiem. Wierzyli, że to wszystko jego dzieło. Choć wiedział, że to nieprawda, widział też, że to im dodaje odwagi. To było cenne.

Ponieważ zrezygnowali z wież, rodzeństwo ruszyło w stronę pierwszych szeregów armii. Żołnierze jeszcze się formowali, zacieśniali szyk i przekraczali wzgórza, schodząc długim stokiem na pole bitwy. Po drodze znalazł ich posłaniec Oubadala i przekazał wiadomość, której Aliver nie potrafił zrozumieć. Dotyczyła rozmieszczenia wroga, tego, że nie zajmuje on pola. Znajdowali się na tyle blisko punktu obserwacyjnego, że Aliver po prostu minął posłańca i ruszył do przodu, by to zobaczyć samemu. To, co ujrzał, oszołomiło go.

Przed nim rozciągały się szeregi jego własnych żołnierzy, zmierzających do ustalonego miejsca. Lecz przed nimi pole było puste – jasna, sucha przestrzeń z

porozrzucanymi gdzieniegdzie krzewami i akacjami. Nie było żadnej armii. Aliver wyszarpnął z kieszeni na piersi lunetę. W oddali widział obóz wroga, pełen kształtów i cieni, w których Aliver domyślał się ludzi. Tu i ówdzie z ognisk wznosiły się pionowe pasma dymu, stopniowo wyginające się ku wschodowi. Armia tam była, lecz nic nie wskazywało, by szykowała się do walki. Czy zaszło jakieś nieporozumienie? Czy rozejm miał trwać dłużej niż dwa dni?

– Co to takiego? – zapytała Mena.

Aliver dostrzegł to w chwili, gdy zadała pytanie. Na polu znajdowało się kilka obiektów, lecz początkowo nie przyciągały one wzroku. W porównaniu z zastępami, jakie spodziewał się zobaczyć Aliver, przedmioty te, o wiele mniejsze, wymagały uważniejszego spojrzenia. A przynajmniej tak mu się wydawało, gdy przyglądał im się dokładniej. W miejscu, gdzie powinny się znajdować pierwsze szeregi wrogiej armii, stały w odstępach cztery drewniane skrzynie wzmocnione zewnętrznym szkieletem z grubych metalowych belek. Miały wysokość dwóch lub trzech mężczyzn i długość około stu kroków.

Po kilku chwilach Aliver poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej. W skrzyniach coś było. Nie widział co, ale wyczuwał jakieś stworzenia, ich ruch w ciasnych klatkach – tak, to były klatki. Poruszył szczękami, jakby przygotowując się do wydania rozkazu. Nic się jeszcze nie pokazało.

– Jak to miło ze strony Maeandera, że zostawił nam prezenty – odezwał się Dariel. – Może to jakiś pojednawczy gest?

Aliver nie odpowiedział.

Pół godziny później stali przed pierwszymi szeregami swojej armii, mając najbliżej siebie wojowników Oubadala. Jako że Halalyowie byli dumną rasą, zawsze stawiali się do bitwy jako pierwsi. Za nimi stało w gotowości całe wojsko. Wszyscy znajdowali się już na swoich stanowiskach; przedstawiali sobą taki sam barwny widok, jak pierwszego dnia. Skrzynie stały w odległości stu kroków. Z tej odległości Aliver zobaczył, że wokół każdej z nich skupiła się garstka ludzi. Sądząc po ich wyglądzie, nie byli to wojownicy. Od stóp do głów byli odziani w proste skórzane stroje burego koloru, dzięki którym wtapiali się w teren. Niektórzy z nich trzymali piki z hakami na końcach. Była to długa, nieporęczna broń, nieprzystosowana do walki z ludźmi. Żaden z nich nie wyglądał na dowódcę, nie było też widać żadnego meinińskiego oficera, nie mówiąc już o samym Maeanderze.

– Mamy jakiś plan? – zapytał Dariel.

Jak zwykle w jego pytaniu zabrzmiało ironiczne rozbawienie. Aliverowi podobało się to u brata, lecz nie miał okazji, by mu odpowiedzieć. Przednie ściany czterech klatek uchyliły

się u góry, ciągnięte przez obsługę linami w dół. Kiedy tylko uderzyły o ziemię, ludzie odskoczyli w kłębach pyłu unoszących się wokół otworów i zasłaniających to, co kryło się wewnątrz. Potem okrążyli skrzynie, chwycili piki i wyciągnęli je przed siebie obronnym ruchem.

Aliver przełknął ślinę i czekał. Dopóki nie wiedział, co go czeka, nie potrafił nic wymyślić. Chmury pyłu odpłynęły i odsłoniły kwadratowe otwory. Aliver czuł się, jakby wstrzymywał oddech całej swojej armii.

– Tam – odezwała się Mena. – Ta od wschodu!

Tak. Coś się poruszyło. Najpierw ciemniejsza plama w cieniach, a potem na światło dzienne wychynał pysk. Płaski ryj z dwoma rozdymającymi się nozdrzami, nieco przypominający świński, ze straszliwą plataniną sterczących, pełnych zadziorów kłów, o których trudno było powiedzieć, czy wyrastają z górnej, czy z dolnej szczęki; z całą pewnością były dłuższe od ciała dzika. Zwierzę powoli wyszło, podobnie jak pozostałe, ale Aliver nie spuszczał wzroku z tego pierwszego.

Było potężne. To było widać nawet z tak daleka. Oczy miało umieszczone blisko siebie, co ułatwiało mu polowanie. Jego przednie nogi były podobne do świńskich, a stawy barkowe zbudowane miał inaczej niż zwierzęta, które Aliver kiedykolwiek widział. Kręgosłup zwierza sterczał tak, jakby chciał się przepchnąć przez ciało. Wzdłuż jego grzbietu biegły zgrubienia, a niski zad wspierał się na krótkich, mocnych nogach pełnych żylastych wybrzuszeń. Były to nogi biegacza. Zwierzę miało też naturalny pancerz pokrywający większość jego klatki piersiowej, zbudowany ze stwardniałych guzów, wyglądających jak olbrzymie brodawki zeszlifowane do postaci płytek.

Aliver wiedział już, na co spogląda. Na to zwierzę z pogłosek. Na broń, którą nieliczni potrafili nazwać, a której nikt wiarygodnie nie opisał. Na nienaturalną, pokręconą formę życia, o wiele gorszą od laryksa. Na produkt wypaczonego czarnoksięstwa. Aliver wydał rozkaz cofnięcia się. Może walka z tymi stworami nie będzie konieczna. Znajdowały się w odległości setki kroków. Jeśli armia po prostu wycofa się za wzgórze, cicho, spokojnie...

Jedno ze zwierząt, to, które pierwsze wyszło z klatki, zaryczało. Pozostałe trzy mu odpowiedziały. Wszystkie cztery uniosły łby i wciągnęły w nozdrza powietrze. Skupiły wzrok na ludzkiej masie stojącej przed nimi rzędami na stoku. Widok ten je zelektryzował. Buro odziani treserzy stali z boku i z tyłu, z pikami w pogotowiu, lecz zwierzęta nie zwracały na nich uwagi.

Aliver ponowił rozkaz wycofania się, lecz przy tak wielkiej liczbie ludzi trudno było wykonać ten manewr sprawnie. Ledwie się poruszyli, stwory – antoki – ruszyły ku nim

klusem. Na ich widok armia wpadła w panikę. Żołnierze, którzy w minionych dniach dzielnie walczyli, teraz odwrócili się i rzucili do ucieczki. Niektórzy ciskali broń i usiłowali schronić się za innych. Akaranie wołali o zachowanie spokoju. Aliver odwołał rozkaz odwrotu i próbował sformować i zawrócić żołnierzy, by stawili czoło zwierzętom z bronią gotową do użycia. Niektórzy go posłuchali, lecz nie wszyscy.

Antoki zaatakowały w chwili wielkiego zamętu. Przebiły się przez gęsty tłum, uderzając w ziemię rozdwojonymi racicami, jakby był to bęben ze skóry, i wprawiając ją w rytmiczne drgania. Miażdżyły ludzi pod nogami, przewracały ich, odrzucały pyskami z boku na bok. Porywały ich z ziemi i zakrwawionych i krzyczących wyrzucały w powietrze. Każde z czterech zwierząt zostawiało za sobą szlak zniszczenia. Oddawały się rzezi z takim zapamiętaniem, że po prostu szły do przodu bez wyraźnego celu, w swoim nieokiełznanym entuzjazmie dziwnie przypominając szczenięta. Kiedy indziej działały wspólnie, sprytnie zaganiając swe ofiary niczym mieczniki tnące ławicę sardeli. Poruszały się z taką szybkością, że żołnierze ani nie mogli ich dogonić, ani im uciec. Zostawiały za sobą pasy ziemi zasłane zmasakrowanymi ciałami zabitych. Żołnierze na tyle odważni, by stawić im czoło z dobytą bronią, nic nie mogli zdziałać. Strzały i włócznie odbijały się od pancerzy antoków. Sermierzy, którzy chcieli się do nich zbliżyć na odległość ciosu, tratowały.

Jeden z nich minął Alivera w tak bliskiej odległości, że opryskał go śliną. Zanim dowódca starł z oczu zabarwioną krwią wydzielinę, stworzenie szalało już dużo dalej. Wzrok królewicza padł na kobietę, siedzącą w dziwnej pozycji o parę kroków dalej. Jej ciało zostało zmiażdżone w pasie i wciśnięte w ziemię. W oczach miała łzy i poruszała ustami, mówiąc coś, czego Aliver nie mógł usłyszeć. Jej ręce usiłowały ogarnąć sytuację, wzajemne położenie ziemi i jej ciała. Wodziła dłońmi po gruncie, jakby wygładzała fałdy na prześcieradle. Aliver widział wielu rannych podczas poprzednich walk, lecz na widok całkowitej, żalosalnej bezradności tej kobiety ścisnęło go w gardle.

Rozejrzał się po polu. Dariela nigdzie nie było widać. Mena mignęła mu w oddali. Ściagała jednego ze stworów, chociaż on nie zwracał na nią żadnej uwagi, mając przed sobą tyle ciał do rozszarpania. W ciągu kilku minut antoki zabiły setki ludzi. Nie okazywały najmniejszego zmęczenia. Żadnej chęci zatrzymywania się nad zabitymi. Nawet nie próbowały ich jeść. Po prostu chciały zabijać. Aliver widział, jak jeden z antoków przycisnął kopytem nogi żołnierza do ziemi, chwilę przyglądał się szarpiącemu się człowiekowi, a potem wgrzył się w niego, rozerwał na pół, potrząsnął jego torsem jak zabawką i wyrzucił go w powietrze.

Aliver wiedział, że musi coś zrobić. Cały ten tłum zgromadził się tu na jego

wezwanie. Nie mógł pozwolić wszystkim zginąć. Zanucił uspokajającą melodię i skupił się na jednej myśli. Santoth. Jeśli uda mu się ich osiągnąć, to może zapewnią ochronę. Mógłby im wyjaśnić, co się dzieje, a oni swoją magią unieszkodliwiliby bestie. Dwa razy próbował się skontaktować z czarnoksiężnikami. Czuł, jak jego wezwanie rozwija się z jego ciała niczym zwoje liny wyrzucone w powietrze, lecz za każdym razem więź pękała. Tak trudno było się skupić wśród okrzyków przerażenia.

Właśnie podjął trzecią próbę, kiedy Kelis coś do niego zawołał.

– Zobacz – powiedział, wskazując podbródkiem na północny wschód. – Nadchodzą inni.

– Jacy inni?

Kierując się wskazówkami Talayanina, Aliver zlokalizował grupę ludzi zbliżającą się do północnego skraju pola bitwy. Najpierw pomyślał, że to nieprzyjaciel, chociaż nie nadchodzili od strony obozu Maeandera ani nie było ich wielu. W ciągu sekundy, kiedy podnosił lunetę do oka, pomyślał z drżeniem, że może to Santoth odpowiadają na jego rozpaczliwe wezwanie. Przyjrzał się powiększonemu, rozedrganemu obrazowi przez lunetę i uświadomił sobie, że nie są to ani wrogowie, ani Santoth.

Zbliżał się oddział liczący około stu żołnierzy. Biegli przez równię prosto na scenę rzezi. Byli niemal nadzy, w większości ciemnoskórzy, niscy i drobni. Nie mieli żadnej chorągwi ani żadnych barw, a uzbrojeni byli w coś, co wyglądało jak drewniane szable ćwiczebne.

Jeden z antoków zauważył zbliżających się żołnierzy. Oderwał się od atakowanych ludzi i rzucił się ku przybyszom z radosnym pośpiechem. Aliver starał się utrzymać lunetę nieruchomo. Na widok zbliżającego się zwierzła żołnierze stanęli. Chwilę gorączkowo rozmawiali między sobą, prawie nie odrywając spojrzeń od antoka. Uwagę Alivera zwrócił na siebie jeden z nich, wyższy od pozostałych. Był dziwnie znajomy, lecz królewicz nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

Wydawało się, że antok wbije się między przybyszy. Jednak w miarę zbliżania się do nich zwierzę coraz bardziej zwalniało, aż wreszcie zatrzymało się poślizgiem, tuż przed nimi. Żołnierze wyciągnęli przed siebie swoje drewniane szable. Stali nieruchomo, niezachwianie, z nieosłoniętymi torsami. Byli nieprawdopodobnie odważni i Alivera aż skręcało z żalu na myśl o tym, co się zaraz z nimi stanie.

Lecz antok wcale nie zaatakował. Podszedł do żołnierzy, węsząc i przechylając łeb. Przetruchał wzdłuż ich szeregu. Grzebnał ziemię nogą wyraźnie zdezorientowany, przyjrzał się im z różnych stron i żadnego nie uznał za wartego zachodu. A potem się odwrócił i ruszył

kłusem z powrotem.

Aliver – ucieszony, zdumiony, wdzięczny – nie mógł od nowo przybyłych oderwać oczu. Antok ich nie tknął. Nic im nie zrobił! Stał o kilka centymetrów od ich nagich piersi, od broni, która żadną miarą nie mogła mu wyrządzić krzywdy, i... i... i co? Z zakamarków umysłu Alivera usiłowała się wydostać jakaś myśl. Świadomość, że tam jest, że usiłuje się przedrzeć, że jest ważna, niemal sprawiała mu ból. Dotyczyła nowo przybyłych... A także treserów stojących wokół klatek... To dlatego nie byli atakowani.

Skierował lunetę z powrotem na własną armię. Gwałtowna zmiana widoku uświadomiła mu, o co chodzi. Zastanawiał się nad tym tylko przez chwilę. To mu wystarczyło, by nabrał takiej pewności, jakby sam wyszkolił te potwory. Szepnął coś Kelisowi, a potem wykrzyczał to samo pozostałym.

ROZDZIAŁ 62

Menie wydawało się, że ściga antoka już kilka godzin. Przez cały czas powinna mieć obok siebie strażników, lecz ruszyła tak szybko, że od razu ich zgubiła. Biegła przez pole zasłane trupami, ślizgając się w ich krwi, czasem płacząc w ich trzewiach. Przeskakiwała przez ciała i przedzierała się przez wrzaski i błagania rannych. Zlana potem, z płonącymi od wysiłku nogami i zadyszana, nie chciała się zatrzymać. Starła się nie słyszeć ani nie widzieć nic poza ściganym stworzeniem, wiedząc, że w przeciwnym razie sparaliżuje ją ta potworność.

Bez względu na to, jaką wybierała trasę, ani razu nie udało jej się zbliżyć do antoka. Nie wiedziała zresztą, co by wtedy zrobiła poza tym, że wiązało się to z wyładowaniem gniewu przez stalową klingę szabli. Zupełnie się nie bała tego stwora, zbytnio go nienawidziła. Wewnątrz niej ciskała się Maeben, usiłując wydostać się na zewnątrz i rozedrzeć zwierza wściekłymi szponami, klnąc słabe ciało Meny: pozbawione skrzydeł, krótkonogie, drobne. To jeszcze bardziej rozwścieczało królową.

Zatrzymała się, dopiero gdy ktoś chwycił ją za ramię, by wysłuchała poleceń brata. Żelazny uścisk związał jej staw barkowy z tym kimś, a reszta jej ciała nie miała wyboru i musiała gwałtownie się zatrzymać. Mena okręciła się w miejscu, gotowa skłąć tego człowieka. Twarz, którą ujrzała, była pobrużdżona i znużona – a jednocześnie stanowcza i błagalna. Menie zabrakło słów.

– Królowno – powiedział Leeka Alain – przestań biegać.

Za nim skupiła się garstka zadyszanych, spoconych strażników. Ku jej zdumieniu wykorzystywali tę przerwę w pogoni za nią na rozpinanie pancerzy, zdejmowanie hełmów, rozcinanie pomarańczowych opasek, którymi owiązali sobie ramiona.

– Powiedz mi, co to za lud, który idzie na wojnę niemal nago, z drewnianymi szablami? Ciemnoskórzy, czarnowłosi ludzie?

Odpowiedź wyrwała się jej z ust, zanim w ogóle zrozumiała, dlaczego Leeka pyta ją o coś takiego.

– To mój lud, to znaczy Vumuanie.

Leeka mruknął coś pod nosem.

– No tak, przyszedł za tobą twój lud, królowno. I dobrze, bo pokazał Aliverowi sposób.

– Sposób na co? – zapytała z roztargnieniem Mena.

Podniosła wzrok i poszukała antoka, którego grzebieniasty grzbiet rozcinał tłum jak stercząca z morza płetwa rekina.

– Sposób na uspokojenie tych potwornych wieprzy, a potem, być może, ich zabicie. Na początek musisz się rozebrać.

Błyskawicznie otrzeźwiała.

– Co?

– Do naga.

– Mówisz poważnie?

Stary żołnierz zmarszczył brwi.

– Nie chcę powiedzieć, że moich oczu nie ucieszy ten widok, królewno, ale to rozkaz twojego brata. Rozbierz się i chodź za mną. To szalony pomysł, ale to być może jedyny sposób na przeżycie tego dnia. Nie będziesz w nagości sama.

Odszedł, po drodze zdzierając z siebie krótką kolczugę. Mena poszła za jego przykładem, osłonięta rozbierającymi się żołnierzami stanowiącymi jego ochronę. Patrzyła, jak generał zdjął koszulę przez głowę, odrzucił ją, rozpiął pas z szablą, dobył jej, a pochwę upuścił na ziemię. Właśnie miała go zapytać o co chodzi, kiedy Leeka obejrzał się na nią. Wyjaśnił, co się stało, kiedy ona ścigała antoka. Słuchając go, obserwowała zmiany w otoczeniu.

Antoki nadal szalały, zmuszały żołnierzy do ucieczki i podrzucały w powietrze z maltretowanymi ciałami, lecz wszystkich, którzy nie mieli bezpośrednio do czynienia z bestiami, połączył jeden cel. Wszyscy zrzucali ubrania. Zdzierali z siebie co tylko mogli, a opaski na ramionach rozcinali sztyletami. Ludzie odrzucali ubrania, jakby paliły ich samym dotykiem. Dopiero kiedy byli całkowicie nadzy, armia zaczęła się przegrupowywać.

Żołnierze nie tworzyli na powrót jednostek, do jakich zostali przedtem przydzieleni, lecz zbierali się w grupy, tłocząc się blisko siebie.

Jeśli Mena dobrze zrozumiała to, co mówił Leeka, Aliver był przekonany, że zwierzęta są przyciągane przez jaskrawe kolory. Ani treserzy, ani Vumuanie nie byli atakowani, ponieważ antoki uważały kolor ich strojów i ciał za neutralny. Może jest to ich naturalny kolor albo może poskromili je ciemnoskórzy ludzie. A może tak zostały wyszkolone, żeby ich opiekunowie nie byli narażeni na atak. Akacjańskie armie – nawet ta pełna Talayan – zawsze nosiły jaskrawą pomarańczową barwę akarańskiej rodziny królewskiej, co czyniło z żołnierzy łatwy cel. Bez względu na argumentację, warto było spróbować. Ubrania i zbroje i tak nie chroniły przed kłami, kopytami i wściekłością antoków.

Mena, która na Vumu nigdy się nie wstydziła swego ciała, rozebrała się do naga kilkoma szybkimi ruchami. Zapinając na nowo pas z bronią, spojrzała na siebie. Klatkę piersiową, ręce i nogi miała mocno opalone, lecz uda i brzuch jaśniejsze. Zastanowiło ją to.

– Myślę o tym samym – stwierdził Leeka, przyglądając się jej. Jego nagi tors i brzuch były blade. – Czego bym nie dał, żeby mieć talayską skórę. Ale chodź, dołączmy do pozostałych. Osłonią nas.

Zrozumiała jego słowa kilka chwil później, kiedy wśliznęli się do wnętrza bezkształtnej ludzkiej masy, co ułatwiały im spocone ciała. Zewnętrzną ścianę utworzyli Talayanie ze wszystkich plemion, a w środku skupili się wszyscy o odcieniu skóry jaśniejszym niż ciemny brąz: Akacjanie, Candovianie, Senivalowie i Aushenianie. Talayanie przekazywali ich sobie z rąk do rąk, wpychając do środka, osłaniając ich. Mena musiała się przepychać, żeby zostać blisko skraju i śledzić wydarzenia. Straciła kontakt z Leeką i jego strażnikami. Krzyczała, że jest królowną, uderzała żołnierzy w głowy, rozpychała się łokciami i szturchała.

Wkrótce otoczyła ją bethuńska straż. To jej pomogło, lecz przez długi czas widziała jedynie otaczających ją rosnących mężczyzn. W końcu stanęła na głazie, z którego miała lepszy widok. Bethuni podtrzymywali ją ze wszystkich stron, by się nie zsunęła. Położyła im ręce na ramionach, dziękując dotykiem, i skupiła na rozgrywającej się przed nią scenie.

Rozciągające się wokół ludzkie morze miało jednolity kolor. Wszyscy pozbyli się barwnych strojów, które ich wyróżniały, i wdeptali je w ziemię. Antoki tkwiły w tym oceanie ludzi. Nadal przedzierały się przez tłum, ale w inny sposób niż dotąd. Poruszały się zrywami, z wahaniem, rozglądając się za nowymi celami. Za każdym razem, kiedy dostrzegały jakąś plamę koloru, rzucały się w jej stronę, jakby chciały ukarać jej nosiciela. Pędząc otwierającymi się przed nimi ścieżkami, nie zwracały uwagi na ludzi, których mogłyby stratować. Mijały w pędzie nagie ciała, nie okazując im najmniejszego zainteresowania. Liczył się tylko kolor.

Jeden z antoków porwał z ziemi trupy i wyrzucił je w powietrze. Inny rzucił się na stertę ubrań i rozszarpał je na kawałki, miotając się pośrodku wielobarwnego wiru, który sam stworzył. A potem nagle znieruchomiał. Spadające kawałki materiału osiadały mu na bokach, grzbiecie, a nawet na głowie i pysku, zaplątując się w włosach. Antok dyszał, rozglądał się i pochrząkiwał. Mena widziała, że jest zdezorientowany. To był główny antok; zaryczał do pozostałych, a one po kolei odpowiedziały. W ich głosach brzmiało takie samo rozczarowanie i niepokój. Nie zbliżyły się jednak do siebie. Każdy był otoczony brązowymi, ruchomymi ludzkimi ścianami, których kruchości chyba sobie nie uświadamiały.

W ciszy zapadłej po tych rykach Mena zdała sobie sprawę, jak cicho jest na całej równinie. Wokół stworzeń stały tysiące żołnierzy, lecz nikt nic nie mówił. Nikt nie wykrzykiwał rozkazów. Nie grały rogi. W powietrzu unosiła się atmosfera smutku, było słychać tłumione szlochy i krzyki rannych, lecz cisza była taka, że Mena słyszała kroki i oddechy antoków. Słyszała nawet trzeszczenie stawów najbliższego z nich, idącego powoli wzdłuż ściany wpatrzonych w niego ludzi. Wyglądali przy nim jak dzieci. Gdyby wyprostował nogi, mógłby nad nimi swobodnie przejść.

Obserwując go, Mena po raz pierwszy napotkała wzrok Alivera. Był niedaleko, stał po drugiej stronie przestrzeni zostawionej dla zwierząt. Znajdował się ledwie o kilka kroków od tego z trzeszczącymi stawami. Z postawy i umięśnienia był tak podobny do Talayanina, że zanim Mena go zauważyła, jej wzrok musiał się po nim prześliznąć parę razy. Stojąc ramię w ramieniu z otaczającymi go Talayanami, tworzył zewnętrzną linię grupy. Był od nich nieco jaśniejszy. Wiedziała, że jest w niebezpieczeństwie.

Zwierz znajdował się o kilka kroków od Alivera. Przesuwając się wzdłuż grupy coraz bliżej królewicza, skupiał wzrok na twarzach mijanych ludzi, szukając pretekstu do zaatakowania któregoś z nich. Jego kły przypominały nagie klingi zakrzywionych szabli. Mena położyła dłoń na rękojeści swojej i poczuła bicie własnego serca. Patrzyła, jak antok zbliża się do jej brata. Chciała się wyswobodzić i podbiec do niego. Wszystkie mięśnie i włókna jej ciała rwały się do przeskoczenia dzielącej ich odległości z szabłą tnącą powietrze przed nią. Była na tyle blisko, że gdyby wybiła się z ramion mężczyzny stojącego przed nią, mogłaby wylądować na wolnej przestrzeni, dobyć szabli i...

Aliver spojrzał na nią. Nie poruszył nawet głową. Jego ciało w najmniejszym stopniu nie zmieniło pozycji, lecz jego oczy zatrzymały się na niej. Wbił w nią wzrok, chcąc jej coś przekazać. Ale ona nie wiedziała, co. Leciutko pokręciła głową. Aliver pokazał wzrokiem na antoka, wpatrywał się w niego przez chwilę, i znów spojrzał na nią. Powtórzył to trzy razy. Na nic więcej nie miał czasu.

Antok przeszedł obok Alivera, przerywając ich kontakt wzrokowy. Mena prześliznęła się spojrzeniem po szorstkiej sierści zwierza, jego pancerzu, suchej skórze i pomarszczonym zadzie. Kiedy minął jej brata i Mena znów go ujrzała, Aliver całą uwagę skupiał na antoku. Po napięciu jego ciała poznała, że coś krzyknął. Nie słyszała słów, ale widziała napiętą szyję i otwarte usta, jakby gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Wieprz odwrócił potężną głowę, a najbliższa grupa żołnierzy cofnęła się, zbijając się w jeszcze ciaśniejszą gromadę. Zawrócił. Zbliżył się do człowieka, który go drażnił, czując przyływ zainteresowania tym stworzeniem. Przyjrzał się mu wypukłym, żyłkowanym okiem, stojąc tak blisko Alivera, że

mógłby go polizać. Zmierzył go wzrokiem.

Aliver patrzył prosto w to oko. Zapewne czuł oddech zwierza na twarzy. Przy każdym wydechu spryskiwała go mgielka potu, krwi i jakiejś wydzieliny. Aliver wpatrywał się w antoka z kamienną twarzą. Tak mogłoby wyglądać jego popiersie. Znów poruszył ustami. Cokolwiek powiedział, znalazło to odbicie na twarzach otaczających go Talayan. Wszyscy jak jeden mąż unieśli wzrok do góry.

Co on robi? – pomyślała Mena. Co chce, żeby zobaczyła? Aliver musi coś planować. No bo jak inaczej mógłby stać tak spokojnie? Tak opanowany, jakby by właścicielem zwierza. Mimo że bardzo chciała pofrunąć w powietrzu, popychana gniewem Maeben, czuła też w samym środku swego jestestwa miłość do brata, dumę i wiarę w niego, wiarę, która w tej chwili graniczyła z uwielbieniem dla bohatera. Wiedziała, że Aliver może zwyciężyć. Może, tyle że usiłował powiedzieć jej coś, czego nie rozumiała. Spojrzała uważniej, próbując się tego domyślić.

Aliver trzymał w prawej ręce Zaufanie Króla, a w lewej sztylet. Mena pomyślała, że planuje atak. A skoro tak, to musiał znaleźć jakiś słaby punkt. Spojrzała na jego twarz i próbowała się domyślić, na jakie miejsce po swojej stronie ciała antoka patrzy. Wyszukała to samo miejsce po swojej stronie – i wtedy zrozumiała.

Między płytami na ramieniu zwierza rytmicznie unosił się i opadał płat skóry. Pulsował. Pulsował. Pulsował. Unosił się w sposób, który mógł oznaczać tylko jedno – że pod grubą skórą przebiegała jakaś tętnica. Nigdy by tego nie zauważyła, gdyby zwierzę nie stało nieruchomo. Nie odrywając od niego wzroku, pochyliła się do najbliższego Bethuniego i szepnęła do niego. Zauważył to miejsce natychmiast.

– Powiedz innym, żeby robili to, co mój brat.

Po chwili ujrzała wystającą nad tłumem głowę Leeki Alaina. Długo przyglądał się antokowi, a potem spojrzał na nią, skinął głową i z powrotem zniknął w tłumie. Wśród ludzi poniósł się szept.

Mena nie wiedziała, ile czasu upłynęło – wydawało się, że ledwie kilka sekund. Zwierzę straciło zainteresowanie królewiczem i zaczęło się odwracać. Aliver rzucił się na niego; podbiegł dwa kroki i skoczył. Wbił sztylet po rękojeść w przednią nogę zwierza i użył go jako osi obrotu. Jego następny ruch był niemal delikatny, jak wykonany w zwolnionym tempie. Wspierając się na sztylcie, przyłożył czubek Zaufania Króla do tętnicy i wbił klingę do połowy w ciało antoka. Puścił sztylet, chwycił szablę i zawisł na niej całym ciężarem. Stal rozkroiła ciało zwierza pionowo w dół, przecinając tętnicę.

Antok odwrócił się w stronę rany, lecz Aliver odbił się od niego nogami, uwalniając

jednocześnie szablę. Zeskoczył na ziemię w pewnej odległości, z dala od fontanny krwi, która tryskała na najbliższych stojących żołnierzy. Musieli osłaniać oczy od czarnej i gęstej jak oliwa cieczy. Antok wirował, wyraźnie szukając źródła bólu.

Aliver stał samotnie, z dala od innych, zataczając wzniesioną szablą kółka. Zaufanie Króla wyglądało w jego rękach lekko; było tak cienkie, że czasami klinga niemal zniknęła. Aliver powiedział coś cicho, czekając, aż zwierzę sobie o nim przypomni. W końcu zalany krwią antok przerwał swój taniec i zauważył wroga. Odwrócił się do niego chwiejnie, nie spuszczać z niego wzroku. Mrugał szybko, jakby usiłował otrzeźwieć – rana powodowała zmniejszony dopływ krwi do mózgu. Wciąż mrugał; wydawało się, że trudno mu skupić wzrok. Potrząsnął łbem i prychnął.

Aliver pochylił się i podniósł z ziemi kawałek materiału. Potrząsał nim, aż się rozwinął, i zakręcił nim tak, że pomarańczowy materiał zaśnił w słońcu. Znowu powiedział coś do antoka i przewiesił sobie materiał przez pierś.

To zaproszenie zwierzę zrozumiał. Zaryczał i rzucił się do przodu, kulejąc, lecz skupiony i groźny. Aliver zaczekał, aż zbliżył się na kilka kroków, i wyrzucił materiał w powietrze. Antok uniósł łeb, rozwarł szczęki i wspiął się na zadnie nogi. Królewicz pochylił się, wbiegł pod stwora, wbił w niego szablę i rozciął go od klatki piersiowej po żołądek. Błyskawicznie wyskoczył, a zwierzę zważyło się na ziemię w kaskadzie wylewających się z niego wnętrzności.

ROZDZIAŁ 63

Dostanie się do pałacu nie było szczególnie trudne, gdyż Thaddeus znalazł na to sposób dzięki mimowolnej wzmiance Dariela. Pewnego wieczoru wkrótce po przybyciu do Talay młodszy brat królewicza opowiadał o tym, jak poznał Vala z Verspinow, zbójcę, który został jego przybranym ojcem. Ze szczegółami opisał wszystko, co zapamiętał z podziemnej części pałacu, chociaż opis ten był niejasny. Nawet jeśli mówił o szczegółach, wydawały się zniekształcone przez dziecięcą wyobraźnię, pełne ekscentrycznych postaci zamieszkujących labirynt korytarzy, który, sądząc z opisu, liczył całe kilometry, o czym mieszkańcy górnych części pałacu nie mieli najmniejszego pojęcia.

Lecz o tym, jak niemal został zmieciony do morza, Dariel opowiadał szczegółowo, i wiarygodnie. Tego wspomnienia nie zatarł upływ czasu. Powiedział, że na północnym skraju wyspy w pobliżu świątyni Vady tuż nad poziomem wody jest półka, niewielka płaska przestrzeń wykuta w skale w jakimś dawno zapomnianym celu. Tuż nad nią znajdowało się wejście do korytarza, wykute w skale pod pewnym kątem, co utrudnia dostrzeżenie go z wody. Korytarz prowadził do góry aż do samego pałacu, do komnat dziecinnych.

Thaddeus dobrze zapamiętał ten opis. Po odejściu bez pożegnania z obozu Alivera przez kilka dni maszerował na północ. Następnie skręcił na zachód, by ominąć gromadzącą się armię Maeandera. Po przybyciu do portowego miasteczka kupił najmniejszy słup, w jakim mógł wypłynąć na morze. Wyruszył o zachodzie słońca tego samego dnia. Przez większość nocy wiatr miał od rufy i szarzejące światło przedświt zastało go kołyszącego się na falach w pobliżu świątyni, tuż przy skałach północnego brzegu Akacji.

W coraz jaśniejszym świetle dnia szukał tak długo, jak się ważył. W końcu postanowił przybić do brzegu, ze względu na ryzyko wykrycia. Wiedząc, że nie może pozwolić, by ktoś znalazł żaglówkę, postawił żagiel, by wiatr wyniósł ją w morze, wyskoczył za burtę i patrzył, jak się od niego oddala. Dopłynął do skał i po raz pierwszy od wielu lat znów znalazł się na Akacji.

Mimo wszystko znalezienie wejścia do korytarza trwało dłużej, niż planował. Kiedy mu się to w końcu udało, był zlany potem, ciężko oddychał i bał się, że znalazł się w samym środku kolejnego wielkiego szaleństwa. Odnalazłszy szczelinę w skale, wylewnie podziękował Dawcy, po czym wkroczył do podziemi, które okazały się tak opustoszałe i

niesamowite, jak opisywał je Dariel.

Mimo wiary, jaką pokładał w ryzykownej podróży, zdziwił się, że z taką łatwością dostał się do pałacu. Tak niespodziewanie znalazł się w jego korytarzach, że nie zdążył się na to przygotować. Trudno mu było powstrzymać się przed wyjściem na znajome korytarze i chodzeniem nimi tak, jakby tu było jego miejsce. Musiał uważać, zwłaszcza teraz. Cofnął się i w ciągu dnia pozostawał w ukryciu. Nie zawsze umiał odróżnić porzucone korytarze od tych nadal używanych przez służbę, więc stawał przy szparach w ścianach, przez które widział i słyszał, co się dzieje. Zdumiewało go, że można było w ten sposób poruszać się po pałacu. Zastanawiał się, czy ktoś to robił za jego czasów.

Znał już odpowiedź, formułując to pytanie. Miał taką pewność, że aż przebiegły go ciarki; oczywiście, że go szpiegowano. Jeśli ktokolwiek używał tych korytarzy, to na pewno przedstawiciele ligi. Czyż nie służyli z niemal nadnaturalnych zdolności przewidywania zbliżających się wydarzeń, powstających dekretów i cudzych poglądów? Może nadal wykorzystywali te przejścia do obserwowania Hanisha. Thaddeus podwoił wysiłki, by zachować swe przybycie w tajemnicy; przemieszczał się tylko po to, by znaleźć miejsce, skąd mógłby obserwować rytm meinińskiego życia pałacowego.

Uderzyło go, że nie miało ono żadnego rytmu. W pałacu panował zamęt. Służący tryskali energią i byli pełni podniecenia, jakby spodziewali się nadejścia jakiegoś wyjątkowego zdarzenia. Thaddeus trochę znał meiniński. Z urywków rozmów domyślił się, że Hanisha nie ma na wyspie, ale że wkrótce wróci. Kiedy zapadła noc, uznał, że powodem aż takiego podniecenia jest ta nieobecność. Nie miał całkowitej pewności, lecz nie przybył tu w roli szpiega.

Miał ważną misję. Jeśli wniosek, jaki w końcu wysnuł ze wskazówek, które nosił w sobie od dziewięciu lat, był słuszny, to „Pieśń Eleneta” przez cały czas tkwiła w bibliotece Leodana. Właściwie nigdy nie zaginęła. A jeśli w komnacie niczego nie zmieniono, to księga zapewne nadal stoi w tym samym miejscu, które zajmuje od dziesięcioleci. Wystarczyło przekraść się niepostrzeżenie do biblioteki, znaleźć księgę, a potem potajemnie wynieść się z pałacu i wyspy.

W środku nocy Thaddeus skradał się do biblioteki, skupiony i ostrożny, a zarazem jeszcze raz przeżywając chwile, które doprowadziły go do tego miejsca. Z bólem przypominał sobie ostatnią rozmowę z Leodanem. Cierpiał każdego dnia i każdej nocy od tamtej chwili, lecz teraz rozumiał tę rozmowę inaczej. Kiedy przypominał sobie wpatrzony w niego oczy Leodana, nie miał już pewności, czy umierający wspominał spędzone razem lata. Nie miał nawet pewności, czy Leodan patrzył na niego z miłością, nieufnością czy nienawiścią.

Niczego nie był pewien, ponieważ Leodan mówił wtedy do niego szyfrem. Nie powiedział mu wyraźnie, gdzie się znajduje księga. Nie powierzył tego sekretu w całości ani jemu, ani dzieciom, które były za małe, by wiedzieć, co z nią uczynić. Zamiast tego rozdzielił między nich wskazówki co do miejsca jej przechowywania, żeby mogli je łatwo odkryć, kiedy będą na to gotowi, kiedy naprawdę będą jej potrzebowali.

Leodan napisał wtedy: „Powiedz dzieciom, że opowiadanie zostało napisane tylko do połowy. Powiedz im, by napisały resztę i umieściły obok najwspanialszej opowieści. Powiedz im. Ich opowieść stoi obok najwspanialszej opowieści, jaka kiedykolwiek została opowiedziana". To było takie proste. Powiedział Thaddeusowi, że opowieść dzieci powinna się znajdować obok „największej opowieści", a dzieciom, że najwspanialszą opowieścią jest ta o Dwóch Braciach. Kiedy złoży się to razem, odpowiedź jest oczywista. Ich opowieść to nie tylko opowieść o ich życiu. To nie jest nawet historia rodu Akaranów – to dłuższa opowieść o ludzkim szaleństwie. Opowieść o tym, jak ludzie nauczyli się stawać bogami, panować nad językiem, o tym, jak rozgniewali bogów, zniewolili stworzenia Dawcy i zapewnili sobie panowanie nad światem. To historia zdrady Eleneta.

Otwierające się drzwi biblioteki robiły o wiele za dużo hałasu. Zawiasy piszczały od długiego nieużywania. Zapach był taki, jaki zapamiętał: kurz, pleśń i drewno sandałowe. Przez wysokie okna wpadało jasne światło księżyca; kilka z nich było uchylonych i do środka wpłynęło nocne powietrze. Thaddeus poruszał się w księżycowym blasku. Drogę między wysokimi regałami znał na pamięć, a księgę znalazł dokładnie tam, gdzie się tego spodziewał. Łatwość jej odszukania zdumiała go. Książka zatytułowana „Dwaj bracia" stała na swoim miejscu, a obok niej widniał gładki grzbiet jakiegoś starego tomu. W chwili, kiedy go otworzył, wiedział, że jest to księga, której szuka.

Była to „Pieśń Eleneta", słownik napisany własnoręcznie przez pierwszego czarnoksiężnika. Wzrok Thaddeusa, błędząc po okładce, nie znalazł na niej żadnych wskazówek co do treści. Była ze zwykłej, wytartej skóry. Książka sprawiała wrażenie, jakby była jakimś rejestrem pomniejszego urzędnika rządowego. Kiedy ją otworzył, wygląd liter czy też nagłówków też nie sugerował wagi jej treści. Poczul, że powinien przeczytać fragment, by nabrać pewności, że się nie pomylił. Tylko tyle, by potwierdzić, że znalazł właściwą księgę. Usiadł z nią w jednym z wykuszy okiennych i zaczął kartkować, przy każdym odwróceniu strony czując na twarzy powiew stęchłego powietrza.

Każda strona zmuszała go do spojrzenia na następną, lecz nie z powodu tego, co przeczytał. Przewracał kartki, ponieważ nie umiał nic odczytać. Przekonał się, że jego umysł nie potrafi zatrzymać słów na dłużej niż trwa prześlizgnięcie się po nich wzrokiem. Czytał, a

mimo to nie czytał. Miał przed sobą wiele zapisanych stron. Proste litery i słowa, niczym się niewyróżniające pismo na papierze, którego wiek można było poznać po szorstkości. Każda strona była podobna do innych, wypełnionych słowami, które Thaddeus niemal rozpoznawał, lecz bez względu na to, jak bardzo się starał, nie umiał zrozumieć choćby jednego zdania z tego, co czytał. Nie umiał zapamiętać wyrażenia, myśli ani nawet atmosfery tego, co miał przed oczyma. Zatracił się w próbach, przerzucając stronę za stroną i cały czas czując, że jest na krawędzi zrozumienia. Stracił poczucie czasu.

W końcu syknął z wściekłością:

– Na co się komu przyda coś takiego?

Brzmienie własnego głosu wstrząsnęło nim. Rozejrzał się po bibliotece, popatrzył na kurz unoszący się w powietrzu i posłuchał ciszy, szukając jakiegokolwiek oznaki, że ktoś go mógł usłyszeć albo zobaczyć. Komnata była cicha i pusta, lecz Thaddeus uświadomił sobie, że noc już dawno się skończyła. Nie był to nawet wczesny poranek. Przez okna wpadało światło pogodnego dnia. Spędził nad księgą wiele godzin. Był tak zajęty, że ktoś mógłby wejść, a on by tego nie zauważył. Słyszał głosy dobiegające z dziedzińca, stukanie obcasów w korytarzu, szuranie ciężkiego mebla przesuwanego w sąsiedniej komnacie.

A potem poczuł ciężar księgi, jakby świadomie naciskała na jego uda, z drwiną zachęcając go do kolejnej próby. Zamknął ją z trzaskiem. Nie była przeznaczona dla niego. Nie zamierzał dalej próbować jej odczytać. Można ją było zrozumieć tylko po dogłębnym przestudiowaniu, a badać ją powinien tylko ten, kto chciałby poświęcić swoje życie na uczenie się księgi i przyjęcie ogromu tego, co się z taką wiedzą wiąże. Thaddeus nie był taką osobą. Wetknął księgę pod pachę i ruszył do drzwi. Był bardzo zmęczony i głodny. Wydostanie się żywcem z pałacu zapewne pochłonie wszystkie jego siły.

Kiedy podchodził do drzwi, przez otwarte okno z lewej strony dobiegł go głos wołającej kogoś kobiety. Nie słyszał wyraźnie słów, lecz coś w ich brzmieniu zaintrygowało go na tyle, że chciał zobaczyć, kto je wypowiedział i do kogo. Podeszedł do okna i wyjrzał. Rozpościerający się przed nim widok zapierał dech w piersiach.

Plecami do niego stała grupka trzech kobiet. Jedna z nich machnęła do innej młodej kobiety, idącej po przeciwnej stronie dziedzińca; ta się zatrzymała, zawahała, a potem odwróciła i podeszła do nich. Patrząc na nią, Thaddeus uświadomił sobie, kto to jest. Corinn. To była Corinn. Widać było jej podobieństwo do Leodana i Aleery, a także w mniejszym lub większym stopniu do Alivera, Meny i Dariela. Wszystkim odziedziczonym cechom nadawała niezwykle wdzięk. Miała postawę po dworsku wyprostowaną, wąską kibić, piersi i ramiona otulone jasnobłękitną suknią. Thaddeus zrozumiał, że królewna jest częścią świetności Akacji

w sposób, w jaki jej rodzeństwo już być nie mogło.

Zaraz jednak pomyślał, że to nie całkiem tak. Tu było jej miejsce, lecz nie na obecnych warunkach. Nie jako więźniarki; nie jako kochanki Hanisha Meina; nie jako żywego obrazu wymuszonej zdrady wszystkiego, co było jej drogie. To malowało się na jej twarzy, kiedy rozmawiała z tymi kobietami. Była oszałamiająco piękna, lecz uroda nie zacierała cierpienia, kryjącego się tuż pod jej powierzchnią. Twarz Corinn miała w sobie coś kruchego, jakby delikatność kryształu. Wyglądała, jakby w każdej chwili mogła się rozpaść na tysiące kawałeczków.

Thaddeus przyglądał się jej przez cały czas, kiedy stała na dziedzińcu. Po raz drugi zapomniał o potrzebie zachowania ostrożności. Potem obserwował Corinn i jej otoczenie z różnych okien, wyciągając z tej obserwacji wnioski. Szybko się przekonał, że królowna znajduje się pod ścisłą obserwacją. Ludzie szpiegujący daną osobę mogą dobrze ukrywać swoje działania przed nią, lecz często są one oczywiste dla innych. Strażnicy obserwowali ją ukradkiem. Przechodzący urzędnicy rzucali na nią spojrzenia spod oka. W polu widzenia Thaddeusa pojawiła się kilka razy służąca z koszykiem, do którego nic nie dokładała. W tym wszystkim stary kanclerz widział oznaki uwięzienia Corinn. I dlatego postanowił ją oswobodzić.

Ta myśl już wcześniej przysłała mu do głowy. Zastanawiał się nad nią, idąc przez północne Talay, lecz wtedy ją porzucił. Wszystko zależało od tego, czy odzyska księgę, a ratowanie królowny ogromnie skomplikowałoby całą misję. Stwarzałoby o wiele więcej okazji do tego, by się nie powiodła. A on nie mógł zawieść. Wyobrażał sobie nawet rozmowy z Hanishem, w których więziona Corinn występowała w roli karty przetargowej. Wątpił, by Hanish chciał jej zrobić krzywdę. Nie po tak długim okresie utrzymywania jej przy życiu i w zdrowiu, nie po tym, jak noc w noc leżał z nią w tym samym łóżu. Thaddeus doszedł do wniosku, że będzie bezpieczna do chwili rozwiązania konfliktu.

Lecz tak uważał przedtem, kiedy Corinn była zaledwie cieniem, zjawą, o której myślał codziennie, lecz której nie widział od dziewięciu lat. Kiedy ją ujrzał, zmienił zdanie. Gdyby udało mu się uciec z wyspy i z „Pieśnią Eleneta”, i z królowną Corinn, uczyniłby wiele dla odkupienia swych poprzednich grzechów. Wszystkie dzieci byłyby bezpieczne. Przyszłość świata spoczęłaby w ich pewnych rękach. Świadomość, że mogłby do tego doprowadzić, oznaczała, że musi spróbować to zrobić. To oczywiste.

ROZDZIAŁ 64

Maeander obserwował bitwę z podestu ustawionego obok jego namiotu w meinińskim obozie. Miał własne urządzenie wspomagające widzenie, a mianowicie dwie połączone lunetki, dzięki którym odległe sceny oglądał obojgiem oczu. Nucił, kiedy Akacjanie schodzili ze zbocza w szyku bojowym. Uśmiechnął się, widząc ich wahanie na widok klatek z amokami. Wyobrażał sobie ich zdumione miny i co pewien czas rechotał ze śmiechu, wzbudzając zdziwienie otaczających go ludzi.

Mimo to spustoszenie siane przez antoki wypuszczone z klatek zaskoczyło nawet jego. Sądził, że wie, czego się spodziewać. W ciągu lat, które upłynęły od czasu, kiedy liga dostarczyła szczenięta antoków jako podarunki od Lothan Aklun, osobiście doglądał ich szkolenia. Obserwował ich wzrost od czasu, gdy były wielkości prosiąt. Poleciał treserom przygotować je do podobnych okazji jak obecna. Nauczyli je nienawidzić wszelkich kolorów, zaszczepili w nich strach przed wizualną różnorodnością. W ciągu długich miesięcy pracy zmusili je do utożsamienia pomarańcza, czerwieni, fioletu, zieleni oraz błękitu z bólem i cierpieniem. A także nauczyli, że jedynym właściwym sposobem reagowania na takie kolory jest wściekłość. W sumie nie było to trudne. Wściekłość leżała w naturze antoków od chwili wydostania się dzięki wierzganiu z łona matki.

Lecz to, co Maeander oglądał przez te pierwsze kilka godzin, przerosło jego wyobrażenia. Mając widok na całe pole bitwy, widział, jak te cztery potwory ze sobą współpracowały. Przeorywały z zapamiętaniem gęste skupiska żołnierzy, lecz nie tak przypadkowo, jak musiało się to wydawać Akacjanom. Skręcały na skraj armii, zaganiając uciekinierów, panując nad wzbudzonym przez siebie szaleństwem. Maeander ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że treserzy nie kłamali na temat ich możliwości; opowieści Lothan Aklun o tych stworzeniach były prawdziwe. Był przekonany, że zobaczy śmierć wszystkich Akacjan oraz ich sprzymierzeńców. Antoki nie spoczną, dopóki nie zostanie zmiażdżony lub rozerwany ostatni skrawek poruszającego się koloru. Oprócz euforii Maeander poczuł strach przed tymi obcymi zza Szarych Zboczy. Jeśli rozdają taką broń, to jaką potęgę zachowują dla siebie?

Rozważania te przerwało mu przybycie grupki obcych; jak się wkrótce dowiedział, byli to Vumuanie. Wiedział, dlaczego antok ich nie zaatakował, lecz nie spodziewał się, że w

zamecie bitwy Akacjanie będą umieli wyciągnąć odpowiednie wnioski. Kiedy zobaczył, że się rozbierają, zaklął. Chciał zawołać, żeby przestali. To was nie uratuje! Umierzcie z godnością, a nie z obnażonymi tyłkami! Musiał przyglądać się, jak powoli opanowali zwierzęta i otoczyli je ścianami z własnych ciał. Wszyscy stali nadzy i bezbronni, z odsłoniętymi piersiami. Okiełznali dzikość antoków tak prostymi środkami. Nigdy by sobie tego nie wyobraził.

Nie mógł też uwierzyć własnym oczom, widząc, jak Aliver znajduje sposób na uśmiercenie antoków. Nagi jak w dniu narodzin i bardzo podobny do otaczających go Talayan, jedynie z dwiema stalowymi klingami w rękach, dał taki pokaz odwagi, że byłby z niego dumny on sam. Nie widział dokładnie szczegółów, ale zobaczył, jak Aliver wskakuje na zwierza, który po chwili go zaatakował, a potem padł na ziemię, powalony śmiertelną raną. Inni żołnierze z armii Alivera poszli za jego przykładem. W ciągu pół godziny wszystkie cztery antoki padły martwe. Tryumfujący Talayanie wspięli się na nie i radośnie tańczyli.

Generałowie, którzy tego wieczoru wzięli udział w naradzie z Maeanderem, starali się podkreślić sukcesy. Akacjanie nie będą w stanie wystawić nazajutrz armii. Oficerowie oceniali, że podczas krótkiego ataku antoków wróg stracił ponad piętnaście tysięcy żołnierzy. To była imponująca liczba, mniej więcej jedna czwarta ich stanu. Poza tym na polu bitwy nie było tego dnia żadnych oznak czarnoksięstwa, nie pomagała im żadna zewnętrzna siła. Może ten, kto wspierał ich magią, zginął w ataku antoków. A może miał niewielkie umiejętności i wyczerpał swoją magię, tak jak można zużyć wszystko inne.

– Aliver opóźnił swoją klęskę – rzekł jeden z generałów – lecz teraz jesteśmy gotowi wszystko zakończyć. Rano powinniśmy ruszyć na nich wszystkimi oddziałami. Zalejmy ich, nawet jeśli nie wyjdą w pole. Wyrznijmy ich w obozach i ułóżmy ich ciała obok niepochowanych zabitych.

Kilku generałów mruknęło z aprobatą. Inny, wypełniając ciszę, w której powinna zabrzmieć odpowiedź Maeandera, powiedział:

– Pamiętajcie, że dzisiaj nie straciliśmy ani jednego żołnierza. Ani jednego. Nawet Hanish nie mógłby odnieść większego sukcesu.

Lecz była to słaba pociecha dla Maeandera. Tym razem to on, a nie jego doradcy, widział korzyści odniesione przez wroga mimo pozornej porażki. Opowieść o tym, jak Aliver własnoręcznie zabił pierwszego antoka, obiegnie krainę z prędkością zarazy. Uczyni z królewicza żyjącą legendę i wywoła w kraju jeszcze większą gorączkę.

Tego wieczoru dostał wiadomość o innych niepokojących wydarzeniach. Wycofały się rozmieszczone wzdłuż wybrzeża, a kontrolowane przez ligę statki. Nie podały żadnego

wyjaśnienia i nie odpowiadały na próby kontaktu, który usiłowali z nimi nawiązać nieliczni meinińscy kapitanowie dowodzący własnymi statkami. Była to na pewno zdrada. Oznaczało to oczywiście, że Maeander nie będzie mógł ewakuować swoich wojsk, gdyby zostały przyparte do morza. Chociaż nikomu o tym nie wspomniał, zastanawiał się, czy to nie jest posunięcie jego brata, kara, wyzwanie. Nie miało to sensu, ale i tak nie powstrzymało go przed obracaniem w głowie tej myśli.

Jeszcze później tego samego wieczoru, kiedy siedział samotnie w namiocie i wpatrywał się w nieruchomy płomień lampy oliwnej stojącej na stole, posłaniec przyniósł mu jeszcze jeden list, od Hanisha, przyniesiony przez ptaka pocztowego. W liście nie było nic o lidze – może Hanish jeszcze nie słyszał, co się stało. Pisał natomiast z entuzjazmem, że już wypłynął z Lądu. Są z nim Tunishnevre. Wszyscy. Podróż im nie zaszkodziła i pulsuje w nich życie. Rwą się na wolność. Za kilka dni umieści ich bezpiecznie w nowej komorze na Akacji. A potem ich uwolni.

A potem, pomyślał Maeander, dokonasz dzieła swego życia. A ja... ja tylko pomogę ci zyskać sławę.

Ta myśl go przygnębiła. Zaraz potem przypomniał sobie wydarzenie z czasu, kiedy on miał jedenaście lat, a Hanish właśnie skończył trzynaście. Ich ojciec jeszcze żył i z dumą wypowiadał się o nich obu. Dla uczczenia urodzin Hanisha Heberen polecił im zatańczyć maseret przed szanowaną grupą weteranów w Calathrock. Miał to być jeden z ostatnich pojedynków Hanisha jako nowicjusza – ostatnia walka nie na śmierć i życie. Mieli prawdziwe noże, ale włożyli kolcze kamizelki i thalby. Zaznaczone na nich punkty wskazywały serca chłopców. Aby zakończyć zawody, musieli w nie trafić.

Obaj byli gibcy i silni; Maeander wzrostem i siłą niemal dorównywał Hanishowi i od pewnego czasu przypuszczał, że potrafi lepiej od niego tańczyć. Tym razem, w obecności starszyny, nie mógł się powstrzymać, by nie zmusić brata do największego wysiłku. Nie planował tego. To się po prostu stało. Szalejąca w nim duma napędzała jego działanie. Poruszał się szybciej niż dotąd, nieoczekiwanie zmieniając tempo. Dziwił się spokojowi niezmiennie malującemu się na twarzy Hanisha; robiło to tym większe wrażenie i było tym bardziej denerwujące, że Maeander czuł wysiłek, do jakiego go zmuszał. Nie starał się wygrać pojedynku. To byłaby zbyt jawna obelga. Ale chciał mieć pewność, że starszyna go zauważy, więc skaleczył brata. Musnął jego lewe nozdrze ruchem na odlew, jednocześnie patrząc na tłum. Po kilku ruchach pozwolił Hanishowi dotknąć punktu oznaczającego serce. Zszedł z areny zadowolony z siebie. Według zasad tańca skaleczenie twarzy nie było niczym ważnym i samo w sobie nie stanowiło poważnej rany. Zostanie jednak po nim trwała blizna.

Był z tego zadowolony.

Jednak w nocy został wyrwany ze snu. Obudził się z przerażeniem. Czuł na plecach żywy ciężar. Ktoś trzymał go za włosy i odginał mu głowę do tyłu, jego skóry dotknęła płaska strona noża przechylonego tak, że Maeander czuł, jak ostrze rozcina mu ciało.

I wtedy tuż przy jego uchu rozległ się zimny głos Hanisha. Powiedział, że Maeander już nigdy go nie upokorzy.

– Nie zaprzeczaj, że nie chciałeś! Widzieli to wszyscy, którzy mają oczy. Ja to czułem. Chciałeś, żebym wiedział, że jesteś lepszy ode mnie. Chcesz, żebym się ciebie bał, tak? Ale ja się ciebie nie boję. Przy twojej szyi jest mój nóż, bracie. Zawsze tam był i zawsze będzie. Gdybym chciał, mógłbym cię zabić tu i teraz.

Maeander w to nie wątpił. Jego brat mówił z taką pewnością siebie, że mógłby przemawiać głosem Dawcy. Hanish dał mu wybór. Mógł zginąć na miejscu – niczego nie osiągnąwszy – albo mógł pomóc mu zmienić świat.

– Przysięgnij przodkom, że nigdy nie będziesz działał przeciwko mnie. Przysięgnij, że zawsze będziesz mi posłuszny. Przysięgnij to im, a pozwolę ci żyć. Inaczej zginiesz tu i teraz. Nikt mi nic nie robi. Wiesz o tym.

Maeandera nadal czuł wstyd, że odpowiedź wydobyła się z niego sama. Może jedynym powodem, dla którego dotrzymywał złożonej owej nocy przysięgi, był ogrom tego wstydu. Stojąc w obliczu śmierci, zawahał się. Leżał sparaliżowany ze strachu, przerażony, że nie zdobędzie w życiu chwały, którą sobie tak wyraźnie wyobrażał. Wiedział, że była to chwila niewybaczalnej słabości. Hanish postawił go wobec jedynej groźby, jakiej mógł się bać Mein – wobec śmierci przed osiągnięciem wielkości. Jak na ironię, wedle meinińskiego kodeksu i tak powinien był wysyczyć słowa sprzeciwu i przyjąć ten najgorszy los z uśmiechem i obojętnością. Nie zrobił tego.

Gdyby nie to, co później zrobił Hanish, wydarzenie to stałoby się nieznośną hańbą. Kiedy usłyszał on wymruczane przyrzeczenie, jego ciało zwiotczało. Zaczął gwałtownie chwytać powietrze. Po kilku chwilach Maeander się zorientował, że jego brat rozdierając płacze z głębi swego jestestwa, że każdy szloch wyrywa mu się z głębi trzewi. Maeander się nie poruszył ani nawet nie wspomniął, że Hanish wciąż przykłada mu nóż do szyi. Od tego czasu nigdy nie rozmawiali o tej nocy, chociaż Maeander wspominał ją niemal codziennie.

A teraz... teraz Hanish stoi na wyciągnięcie ręki od swego największego tryumfu. W porównaniu z nim Maeander zawiódł. Do tego się to sprowadzało. Zawiódł. Nie oznaczało to klęski jego ludu. Nic, co mógłby zrobić Aliver, nie powstrzyma Hanisha od dopełnienia ceremonii mającej uwolnić Tunishnevre. Kiedy przodkowie znów będą chodzić po ziemi,

staną się niezwyciężoną siłą. Wszystkie sztuczki, wybiegi i strategie, które wymyślili razem z bratem, będą niczym w porównaniu z wściekłością Tunishnevre. Zatem, zatrzymując armię Alivera w północnym Talay, Maeander pomógł bratu odnieść całkowite zwycięstwo. Świetnie. Lecz nie o to chodzi. Chodzi o to, że Maeander Mein nie zdobędzie już w tej opowieści prawdziwej chwały. Kto go będzie pamiętał? Kto będzie śpiewał o Maeanderze po tym, jak Hanish dokona tego jednego czynu, na który jego lud czeka od ponad dwudziestu dwóch pokoleń? Czuł się tak, jakby Hanish nigdy nie odsunął tego noża od jego gardła.

W obliczu takiej możliwości Maeander uznał, że pozostał mu tylko jeden honorowy sposób zrehabilitowania się. Wysłał do swoich generałów posłańców z informacją, że opóźnią poranny atak. Przygotował coś na rozpoczęcie dnia. Nie przeżyje go, lecz nie ma to znaczenia. Jeśli teraz dołączy do Tunishnevre, niedługo zostanie uwolniony wraz z nimi. Będzie należał do Tunishnevre, będzie jednym z przodków, a jego brat będzie musiał go czcić. Tak czy owak, zbyt długo nie spoglądał wrogowi w twarz. Nawet Hanish nigdy tego nie robił. A jeśli uda mu się dokonać tego, co zaplanował, nikt nie będzie mógł mu tego odebrać.

Nazajutrz rano jego twarz ani postępowanie nie pozwalało się domyślić, o czym myśli lub co planuje. Wyruszył z obozu w ukośnych promieniach wschodzącego słońca na czele swojego przybocznego oddziału. Stanowiła go garstka Punisarich; wszyscy byli wyżsi od przeciętnych Meinów, a ich ogorzałe twarze wyglądały jak wyrzeźbione w kamieniu, podobnie jak ich muskularne ciała. Każdy z nich miał jasnoblonde włosy spadające na plecy; kilku nosiło tradycyjne splecione loki, by pamiętać o latach, kiedy ich przodkowie wędrowali po dzikich pustkowiach na wygnaniu; wszyscy wiedzieli, jakie ich czeka zadanie, lecz żaden nie okazywał wahania. Maeander ściągnął razem trzy warkocze, które wraz z wplecionymi w nie kolorowymi wstążkami oznaczały liczbę własnoręcznie zabitych ludzi. Tułów osłonił szarą thalbą. Jediną bronią, jaką miał przy sobie, był sztylet Ilhachów, umocowany poziomo na brzuchu.

W takim towarzystwie i tak uzbrojony Maeander szedł do akacjańskiego obozu przez puste, zryte pole, będące poprzedniego dnia sceną bitwy. Niósł chorągiew oznaczającą pragnienie podjęcia rokowań, a na twarzy miał spokojną, uśmiechniętą maskę.

ROZDZIAŁ 65

Łabędź z papieru czekał tuż przy drzwiach. Ktoś musiał go wepchnąć przez szparę. Nie rozumiała, jak tego dokonano, zważywszy na to, że łabędź stał prosto w odległości kilku centymetrów od szpary pod drzwiami, w której by się nie zmieścił stylizowany, geometryczny ptak. Poza tym obok leżał liścik, pasek papieru tak cienki, że trudno go było podnieść. Corinn zrobiła to ostrożnie, ścisnąwszy go dwoma palcami. „Przyjmij ten dar”, przeczytała, „na wypadek, gdybyś go potrzebowała”.

Nie było podpisu, lecz Corinn wiedziała, kto go podłożył. Nie miała pojęcia, w jaki sposób agenci Sire'a Dagona ominęli zewnętrzne strażę, a świadomość, że może byli w jej pokoju, kiedy spała, przyprawiała ją o mrowienie skóry. Uniosła łabędzia do nosa i ostrożnie powąchała. Żadnego zapachu. Ściskając papier między palcami, czuła ukryte wewnątrz kryształki. Wiedziała, że zostały wydestylowane z korzenia pewnego polnego kwiatu metodą znaną tylko lidze. Wytwarzano z nich śmiertelną truciznę, która nie pozostawiała smaku ani zapachu i której nie można było wykryć. Chciała jeszcze raz spojrzeć na liścik, lecz papier rozkruszył się i rozsypał. Został z niego tylko osad na jej palcach i ślad na podłodze. Powiew powietrza wpadający przez szparę pod drzwiami już go rozwiewał. Była w swoim dawnym pokoju, gdzie czasami spędzała noc pod nieobecność Hanisha. Miała tu więcej prywatności, a ponieważ usiłowała opanować zawieruchę myśli, potrzebowała ostatnio coraz więcej samotności. Tego ranka obudziła się z przekonaniem, że następne dni całkowicie zmienią bieg jej życia. Wiadomość przesłana w postaci łabędzia je wzmocniła. Było to drobne, milczące, sugestywne potwierdzenie, że siły rządzące światem działają w porozumieniu z nią. Wiedząc, że nie należy igrać z tym łabędziem, ścisnęła mu skrzydła na płask i wsunęła go pod pasek.

Odwróciła się i podeszła do toaletki, przy której siedziała, kiedy zauważyła łabędzia. Usiadła na stolku, a układ kilku luster pokazał jej rozmaite odbicia jej twarzy. Zamierzała zaplanować przyszłość, lecz na chwilę znieruchomiała, patrząc w lustra. Jak jej się to często ostatnio zdarzało, poczuła mdłości. Każde odbicie jej twarzy ujawniało inny charakter. Zależnie od kąta, wyglądała na nieszczęśliwą albo piękną, delikatną, podekscytowaną albo pewną siebie, albo... niegodziwą. Tak, oglądana niemal z profilu, z lewej strony, musiała przyznać, że w wykroju oczu, ustach oraz w sposobie trzymania podbródka, jakby to była

uniesiona ostrzegawczo broń, kryje się poprzednio niezauważone okrucieństwo. Nie podobało jej się to, co zobaczyła. A przynajmniej teraz jej się nie podobało. Czasami nie podobały jej się inne odbicia. Którą z tych twarzy powinna pokazać Hanishowi po jego powrocie?

Miał wrócić nazajutrz. Przyplynie na czele floty statków, którymi sprowadzi na wyspę swoich legendarnych przodków. Ledwie wczoraj dostała od niego entuzjastyczny list, nawiązujący do jego planów jak najszybszego umieszczenia przodków w nowo wybudowanej komorze. Pisał o swej radości na widok statków wyladowanych sarkofagami. Jaki to cudowny widok – pisał, jakby mogła poczuć to samo! Przypomniał jej o swojej wielkiej nadziei, że dotrzyma obietnicy i pomoże mu uwolnić ich, by zaznali wiecznego spoczynku. Kiedy to uczyni, zostanie ostatecznie zasypana przepaść, od wieków szpecąca Znany Świat. Meinowie i Akacjanie dostaną szansę złagodzenia wzajemnej wrogości. Przyrzekł, że ziemia w końcu zostanie uleczona. O to zawsze chodziło w jego wojnie. Była to długa bitwa, trudna podróż, lecz koniec jest bliski. Napisał: „Ty, Corinn, pomożesz to wszystko urzeczywistnić. Będzie cię za to czcił i mój, i twój lud. I będę cię za to czcił ja”.

– On nie wie, co się we mnie kryje – powiedziała Corinn do milczącego pokoju. Kiedyś prawda tego stwierdzenia sprawiłaby jej ból. Teraz jednak tylko od niej zależały wszystkie jej plany. Hanish myślał, że może ją wykorzystać jak największą idiotkę świata; ona jednak postanowiła nigdy do tego nie dopuścić. – On nie wie, co się kryje we mnie.

– Nie – odezwał się w odpowiedzi łagodny głos – nikt tego nie wie. Nikt nigdy nie mógłby się tego domyślić.

Corinn zerwała się na równe nogi, okręciła i rozejrzała za źródłem głosu. Początkowo nic nie zauważyła. Pokój był pusty; stały w nim jedynie rodzinne pamiątki, bezpieczne pod sielankowymi freskami na suficie. Tkaniny ufarbowane na rozmaite kolory przydawały ścianom miękkości. Nagle między dwoma sąsiadującymi gobelinami powstała szpara, z której wyłonił się jakiś mężczyzna. Znajdował się ledwie o kilka kroków od Corinn. Jego bliskość, namacalność jego obecności była tak szokująca, że oddech uwiązał jej w gardle.

– Nie bój się – powiedział mężczyzna. – Proszę cię, królewno, nie krzycz. Jestem tu po to, by ci pomóc. Służę twojemu bratu i tobie.

Rozpoznała go po pierwszych słowach. Kanclerz Thaddeus. Najbliższy przyjaciel ojca. Jego zdrajca. Na Dawcę, ależ on jest stary! Twarz miał pobrużdżoną, policzki zapadnięte, garbił się. Wyglądał na bardzo zmęczonego, miał worki pod oczyma i lekko chwiały się na nogach, a do piersi przyciskał jakąś książkę. Jakoś udało się jej przemóc zaskoczenie i zapytała o pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

– Jak się tu dostałeś?

Thaddeus zapytał, czy może usiąść. Mówił cicho, słabym głosem.

– Z radością wszystko ci opowiem, królewno Cor...

– Jesteś w moim pokoju! – W miarę, jak docierało do niej nieprawdopodobieństwo sytuacji, Corinn traktowała ją z coraz większym niedowierzaniem. – Jakim sposobem znalazłeś się w moim pokoju?

– Proszę cię, mogę usiąść? Jeśli tego nie zrobię, upadnę. I... proszę, mogłabyś zadbać o to, by nikt nam nie przeszkadzał? Moja obecność nie może zostać odkryta. Wyjaśnię, dlaczego.

Corinn wpatrywała się w niego. Wiedziała, że musi szybko myśleć. Takie odwiedziny miały znaczenie, które należy właściwie wykorzystać. Nie mogła zrobić fałszywego kroku, ponieważ po prostu nie mogła zignorować ani zaprzepaścić tego, co sprowadziło starego kanclerza do jej pokoju. Z pewnością nie stwarzał dla niej fizycznego zagrożenia. Bez względu na to, jak tu dotarł, co go sprowadziło i jak ona na to zareaguje, powinna go wysłuchać i to w cztery oczy.

– Zaczekaj tu – wyszeptwała.

Wyszła na korytarz i poinformowała służących, że pod żadnym pozorem nie wolno jej przeszkadzać. Kazała postawić strażników przy zewnętrznych drzwiach jej komnat i przeprowadziła Thaddeusa do osłoniętej wnęki na balkonie. Tam posadziła go na krześle z wysokim oparciem, a sama przechadzała się przed nim. Opowiedział jej o wszystkim – jak się dostał do pałacu i jak krążył tajnymi przejściami wewnątrz jego murów. Dotarcie do jej pokoju zajęło mu wiele godzin, lecz w końcu znalazł nisko sklepiony tunel, który kończy się w kącie za jej łóżkiem. Na pewno zdziwi się, że był tam cały czas, ukryty dzięki prostej sztuczce architektonicznej. Ale zacznij od początku...

Powiedział, że wysłał go Aliver, a potem rozpoczął pochlebny opis mężczyzny, na jakiego wyrósł jej brat. Opowiadał, jak dojrzał do tego, by spełnić, a nawet przekroczyć wszystko, co wyobrażał sobie Leodan! Ma wielką wizję i dar poruszania mas. Płonie z niecierpliwością, by dopiąć celu. Thaddeus mówił też o Menie i Darielu, o dzierżącej szablę kapłance i odważnym morskim zbójcy. Razem biorą udział w bitwie, której nie mogą przegrać. Aliver rozpalił w ludziach wiarę, że ich los jest teraz w ich rękach. Kiedy zwycięży, nie będzie rządził nimi, będzie rządził dla nich – za ich pozwoleniem i tylko w ich interesie. Zetrze całą niegodziwość, która napędzała Znany Świat, i znajdzie nowe drogi prowadzące do dobrobytu. Zbuduje zaufanie między narodami, wyniesie uciskanych, złamie kręgosłup ligi, zlikwiduje Kontyngent, zakaże pracy przymusowej.

Stary kanclerz mówił i mówił. Corinn słuchała, zdając sobie sprawę, że powinno ją

przepelniać poczucie ulgi, radości, wyczekiwania. Starala się to wszystko poczuć. Im dluzej jednak Thaddeus mowil, tym bardziej sprawialo to na niej wrazenie jakiejś szalonej perory. Opowiastki dla dzieci. Czystej fantazji, w której nie widziala miejsca dla siebie. Jak on moze wierzyć, ze cokolwiek z tego się ziści? Troche już o tym slyszala od Rhrenny i Rialusa. Jeszcze wiecej dowiedziala się z podsłuchanych rozmów. Lecz teraz, kiedy mowil o tym starzejacy się kanclerz, wszystko to wydawalo się jeszcze mniej wiarygodne. Mowil jak nowo nawrócony uczeń, czczacy proroka... czego? Równości? Wyzwolenia? To brzmialo tak, jakby Aliver planowal zbudowac imperium w niebie, jakies idylliczne królestwo unoszace się w chmurach. Chciala powiedziec, ze cos takiego zniknie jak mgla, zdmuchniete pierwszym silnym podmuchem wiatru. Poczula przyplyw zdumiewajacej goryczy, lecz jej nie okazala.

Na balkonie pojawila się zlocista malpka. Śmiało zeskoczyla z góry i zaskoczyl ją widok ludzi w zacienionej wnęce. Zaćwierkala wysokim głosem jak ptak. Na tle błękitnego nieba sprawiala wrazenie jaskrawo ubarwionej. Corinn odwróciła się do niej plecami.

– Hanish wraca jutro. Sprowadza Tunishnevre. Chce, zebym pomogła mu przeprowadzić ceremonię, kładacą kres klątwie. Mówi, ze kiedy tego dokona, zostanie zasypana przepaść między Meinami i Akacjanami. Mówi, ze przejdzie to do historii. Co o tym sądzisz?

– Sprowadza Tunishnevre tutaj? – zapytał Thaddeus. Przez chwile siedzial w milczeniu z otwartymi ustami i szklistym wzrokiem. – Powinienem był to przewidziec. To oczywiste... Mial czas przygotowac tu komore. Wyslal swego brata do walki z Aliverem nie dlatego, ze nie traktowal powaznie zagrozenia z jego strony, ale dlatego, ze mial wspanialsze zadanie dla siebie. Caly czas mial tu ciebie... tak, powinienem był to przewidziec. Szukamy sprzymierzeńców w naszych własnych mitach; dlaczego Hanish nie mialby robic tego samego?

Podniósł wzrok na Corinn.

– Zapytalaś mnie, co o tym sądzę. Sądzę, ze Hanish kłamie. Wedle przekazów istnieją dwa sposoby zdjecia klątwy z Tunishnevre. Mógłby uwolnić ich dzięki darowi twojej krwi, ofierze przebaczenia. Lecz on zamierza cos innego. Jeśli odbierze ci zycie wbrew twojej woli i zabije cię na oltarzu, to obudzi swoich przodków, ożywi ich, a nie uwolni, by odeszli w śmierć. Odzyskają ciała i znów będą chodzic po ziemi, Corinn. Będą niewiarygodnie potężni, i żądni zemsty. Jeśli do tego dojdzie, przegramy ostatecznie. Dlatego musisz odejść ze mną.

– Czy dlatego tu przybyłeś? – zapytala Corinn. – Zeby mnie wyswobodzić?

– Przybyłem z innego powodu – odparł były kanclerz.

Opowiedzial jej o Santoth, o wypaczeniu ich wiedzy i o ogromnej potrzebie

posiadania „Pieśni Eleneta”. Wyjaśnił, że odnalazł księgę, ponieważ w końcu złożył razem wszystkie wskazówki pozostawione im przez Leodana. Aliver jeszcze nie wie o jego sukcesie. Musi dostarczyć mu księgę jak najszybciej, lecz teraz równie ważne jest to, by Corinn uciekła z wyspy razem z nim. To będzie ryzykowne, lecz jeśli wrócą tą samą drogą, którą on się dostał do pałacu, to wyjdą na powierzchnię nieopodal świątyni Vady. Mógłby tam pójść i na pewno przekonałby kapłanów, żeby dali mu jakąś łódkę. Wróciłby po Corinn i popłynęliby z wiatrem. Może nawet mógłby wysłać ze świątyni wiadomość do Alivera, żeby królewicz mógł podjąć odpowiednie działania.

Corinn zachowywała kamienną twarz. Nie chciała się jeszcze zajmować kwestią ucieczki.

– Czy to jest „Pieśń Eleneta”? – zapytała, wskazując na księgę spoczywającą na kolanach Thaddeusa.

Tom nie wyglądał okazale, lecz Corinn zauważyła, że kanclerz ani razu nie zdjął ręki z okładki, jakby się bał, że coś jej się może stać nawet tutaj, w obecności tylko ich dwojga.

Skinął ostrożnie głową.

Corinn wyciągnęła po nią rękę.

– Nie mamy wiele czasu, królewno – rzekł Thaddeus. – Rozumiem, że Hanish ma wrócić jutro. Musimy...

– Pokaż mi księgę – zażądała władczo, nie spuszczać wzroku z przekrwionych oczu starca.

Była pewna, że gdyby nie wpatrywała się w niego tak intensywnie, mógłby jej odmówić, grać na zwłokę, wymyślić jakąś wymówkę albo zmienić temat. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz ona wyjęła mu księgę z ręki i odeszła kilka kroków.

Księga była o wiele lżejsza, niż na to wyglądała. Otworzyła się łatwo pod naciskiem palców. W momencie, kiedy Corinn spojrzała na jej zawartość, wiedziała, że wszystko w jej życiu się zmieni. Strona była pełna tańczących słów z zawijasami i pętelkami. Poruszały się przed jej oczyma, rosły i zmieniały, zapisane w obcym, pięknym języku. Słowa, które odczytywała, dźwięczały nutami w jej duszy. Nie wiedziała, co znaczą, lecz pod dotykiem jej wzroku unosiły się ze strony i napępniały ją pieśnią. Witały ją. Wychwalały. Tańczyły wokół niej w powietrzu jak egzotyczne ptaki. Zapewniały ją, że czekały na nią. Czekwały na nią. Teraz wszystko będzie dobrze. Ona, ona, ona może to sprawić. Ocierały się o nią zmysłowo, mrucząc natarczywością głodnego kota. Nie umiała wyjaśnić, w jaki sposób poznała, usłyszała lub zrozumiała te doznania, deklaracje czy obietnice. Lecz przesłanie i niezrównane piękno wypowiedających je głosów były niezaprzeczone. Bez wątplenia ta księga była

darem, na który czekała całe życie.

Kiedy ją zamknęła, a pokój wrócił do normalności i znów mogła się skupić na Thaddeusie, zrozumiała to, czego nie rozumiała wcześniej. Jasno widziała, co trzeba zrobić.

– To jest cudowne – odezwała się z całkowitą szczerością. – Powiedz mi prawdę – czy ktoś wie o tej księdze? Że ją masz i że jest tutaj, u mnie?

– Nie, nie musisz się tego bać. Wiemy tylko ty i ja. Sądząc po twojej minie... coś w niej zobaczyłaś?

Uśmiechnęła się ciepło, lecz odpowiedziała wymijająco.

– Zrobiłeś coś wielkiego. Mój ojciec słusznie cię kochał.

Jeśli miał jakieś wątpliwości, to zapewnienie je rozwiało. Jego stare oczy natychmiast napelniły się łzami.

– Dziękuję – rzekł Thaddeus. – Dziękuję ci za te słowa. A zatem możesz mi wybaczyć?

Corinn odparła, że nie wie, o czym kanclerz mówi. Co ma mu wybaczyć? Może mu jedynie dziękować. To sprawiło, że z oka spłynęła mu łza, którą otarł z policzka. Rozpoczął kolejną perorę, z ust wylewał mu się potok słów, wyjaśnienie tego, co i dlaczego zrobił, jak tego żałował i jak modlił się oraz pracował, by to naprawić.

Corinn nie bardzo go słuchała, ale patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma i kiwała głową. Zanim skończył, zaczęło go ogarniać znużenie. Jego gesty stały się powolne, a słowa niewyraźne. Oczy same mu się zamykały. Corinn słuchała go tylko tyle czasu, ile potrzebowała na podjęcie decyzji, co ma robić dalej, a potem przerwała kanclerzowi.

– Wystarczy, Thaddeusie – rzekła. – Nie widzę w tobie żadnej skazy, rozumiesz? – Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego podbródka. – Masz szlachetny charakter. Nie musimy już o tym rozmawiać. Przyniosę ci coś do jedzenia i picia. Odpocznij tu. Kiedy wrócę, zadecydujemy, co robić.

Wyczuwając rodzący się w nim protest, wcisnęła mu do rąk „Pieśń Eleneta”. To go uspokoiło. Corinn wyszła z pokoju, posłała służącą po herbatę i lekki posiłek, a potem stała samotna i drżąca. Wspomnienie pieśni już było zaprawione kroplą gorzkości. Tak bardzo jej się podobała. Dzięki pieśni życie wydawało się błogosławione, słuszne i dobre. Z pieśnią wszystko będzie możliwe. Pragnęła wrócić do pokoju i znów otworzyć księgę. Wiedziała, że nauczenie się języka, w którym przemawiała, nie będzie łatwe. Będzie wymagało miesięcy albo nawet lat pilnego studiowania. Księga w jakiś sposób jej to przekazała. Da jej wiele, lecz tylko wtedy, gdy Corinn stworzy sobie warunki do spokojnego, a może potajemnego jej studiowania. Dlaczego ojciec – i poprzedzające go pokolenia – ignorowali „Pieśń”, chowali

ją? To było szaleństwo. Ona nie popełni tego błędu.

Jeśli miała zrobić to, co zaplanowała, to było jeszcze tyle spraw do załatwienia i tak mało na to czasu. Czekałym ją wyzwaniom musiała sprostać, posługując się tylko własnym rozumem i sprytem, wykorzystując wcześniej podjęte działania. Będzie musiała przemyśleć każdy krok i zawnazu wyeliminować wszystkie możliwe błędy. Będzie też musiała gruntownie przemyśleć wszystko, co Thaddeus powiedział jej o zamiarach Alivera, by je zrozumieć i znaleźć najlepszą metodę przeciwstawienia się im. Musi także napisać liścik do Rialusa i jakoś go wysłać ptakiem pocztowym. To nie będzie łatwe, lecz musi to zrobić tylko raz. I musi zbadać te przejścia w ścianach. Ale najpierw musi się zająć Thaddeusem.

Kiedy wróciła służąca, Corinn wzięła od niej tacę i powiedziała, że nadal stanowczo nie życzy sobie, by jej przeszkadzano. Patrzyła, jak młoda Akacjanka wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Corinn postawiła tacę. Wsunęła palce za pasek i wyjęła złożonego papierowego ptaka. Pstryknięciem palców przywróciła mu kształt łabędzia, ścisnęła palcami, przechyliła i wsypała lśniące kryształki do herbaty. Miała nadzieję, że naprawdę jest tak pozbawiony zapachu i smaku, jak twierdzili chemicy ligi. Uświadomiła sobie, że jakaś część jej świadomości już zaplanowała podanie trucizny Hanishowi. Porzuciła tę myśl, patrząc na rozpuszczające się maleńkie ziarenka. Znajdzie na niego inny sposób. Jaki to szczęśliwy traf, że paczuska pojawiła się tego dnia, tuż zanim kanclerz wyszedł z za gobelinów. Kolejny znak, że tak miało być.

Ujęła srebrną łyżeczkę i powoli zamieszała płyn. Nie czuła gniewu na Thaddeusa. Kwestia zdrady, którą wydawał się tak przejęty, nawet nie zagnieździła się w jej myślach. Nie, wcale nie podjęła tej decyzji pod wpływem emocji. To było proste. Thaddeus przyniósł jej właśnie to, czego szukała, chociaż sama nie wiedziała, że tego szuka. Wiedziała, jakby podpowiadała jej to świeżo odkryta i pobudzona do życia rodowa pamięć, że jej przeznaczeniem jest posiadanie tej księgi. Dlatego Thaddeus przyniósł księgę jej, a nie zawiózł Aliverowi. On tego nie wiedział, lecz dla niej to było jasne. To ona – a nie Aliver – ma zrozumieć zasady funkcjonowania świata. Aliver jest naiwnym i idealistycznym marzycielem; Corinn była przekonana, że świat zawsze będzie wykorzystywał takich ludzi. Ona wie, jak wykorzystać władzę. To ona bez najmniejszej wątpliwości rozumie, że może polegać wyłącznie na sobie. Oraz na „Pieśni”. Wiedza zawarta w tej księdze jest przeznaczona dla niej. Powiedziała sobie, że może pozwoli Aliverowi też z niej korzystać. Tak, pozwoli mu. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, a ona dobrze go pozna i będzie pewna, że nie jest głupcem kierującym się idealistycznym zapalem.

Wróciła do pokoju, trzymając w ręce tylko kubek parującej herbaty. Były kanclerz

spał. Siedział wyprostowany na krześle, lecz głowa przekrzywiła mu się na bok, miał otwarte usta i oddychał chrapliwie. Obserwowała go przez chwilę, ogarnięta nostalgią, która jednak nie uformowała się w żadne konkretne wspomnienie. Powiedziała sobie, że to, co zamierza zrobić, jest słuszne. Niektórzy umrą, inni będą cierpieć. Lecz kiedy to wszystko się skończy, ona pomoże stworzyć świat odmienny od wszystkiego, co było przedtem. Zrobi to, ponieważ kocha swoją rodzinę, ponieważ chce jej zapewnić powodzenie, chce ją uchronić przed popełnieniem fatalnych błędów, o skłonności do których świadczy retoryka używana przez tę rodzinę. To, co zamierza zrobić, nie jest skierowane przeciwko niej; zrobi to dla rodziny.

Zbliżyła się do Thaddeusa powoli, z ostrożnością anioła, trzymając przed sobą gorący kubek z herbatą; ciążył jej w dłoniach niczym roztopiony ołów.

ROZDZIAŁ 66

Potworności masowych działań wojennych przerastały wszystko, czego doświadczył Dariel w swoim pirackim życiu. Na szczęście miał w sobie pokłady spokoju, które pomogły mu przez to przejść. Od spotkania z Aliverem i Meną stał się młodszą, szczęśliwszą, pogodniejszą wersją samego siebie. Wiedział, że przystąpili do walki na śmierć i życie, lecz nie był sam. Widział, jak jego siostra prowadzi armię do bitwy z szablą w dłoni, która wyglądała, jakby była jej częścią. Patrzył, jak jego brat bez mrugnięcia okiem staje nagi przed koszmarną bestią, a potem powala ją na ziemię niczym bohater z legendy. To nie do wiary, że to jego rodzeństwo. Jednak nie jest sierotą. Ma rodzinę. Wkrótce przejmą kontrolę i wtedy wszystko – śmierć i cierpienie, lata spędzone na wygnaniu, niesprawiedliwość plugawiąca świat – zostanie naprawione.

To przekonanie pomogło mu dojść do siebie po bitwie z antokami. Następnego ranka wstał przed świtem po dwóch godzinach snu. Wyszedł z namiotu wciąż oblepiony zakrzepłą krwią, z brudem na rękach, w zmarszczkach na czole i szyi. Chciał jak najszybciej zrobić coś dla rannych, umierających i martwych. Zatrzymał się tylko na chwilę, by ochlapać sobie twarz wodą i zetrzeć brud z rąk, tylko dlatego, że nakazała mu to Mena. Sprawdziła, czy nie jest ranny, zapytała, jak długo odpoczywał i czy coś jadł albo pił. Była przecież jego starszą siostrą, jedną z nielicznych osób na świecie, które mogły od niego wymagać takich rzeczy; kochał ją za to. Kiedy to wszystko się skończy, usiądzie z nią i spokojnie wyjaśni swoje uczucia do niej. Obsypie ją prezentami i wyjawi, że zawsze pamiętał, jaka była dla niego miła w dzieciństwie.

Takie myśli pomagały mu radzić sobie z bólem i cierpieniem, jakie te potwory zadały tak wielu dobrym ludziom. Owinał się tym uczuciem rodzinnych związków niczym płaszczem. Pomagało mu ono przez cały ranek, kiedy badał i opatrywał rany, chwalił i dodawał otuchy, przytykał tykwy z wodą do spieczonych ust. Szeptał do uszu odchodzącym, mówił, jak bardzo są kochani i jak dobrze będą ich wspominać i czcić przyszłe pokolenia.

Wiadomość dotarła do niego po kilku godzinach takich zajęć. Wykrzykiwane słowa początkowo go omijały, szybkie jak podmuch wiatru szarpiący jego ochronnym płaszczem. Dopiero po chwili zrozumiał, co właśnie usłyszał, a uwierzył w te słowa dopiero wtedy, gdy stanął u boku brata i siostry, z oszołomieniem wpatrujących się w grupkę wrogów.

Było ich dziesięciu; byli wysocy, jasnowłosi i groźni, uzbrojeni tylko w sztylety. Emanowała z nich swoboda, pewność siebie i obojętność na tysiące oczu wpatrujących się w nich z nienawiścią. Maeander Mein. Dariel nie miał pojęcia, czego chce, lecz gdy tylko go zobaczył, ścisnęło go w żołądku.

Podczas gdy jeden z meinińskich oficerów oficjalnie przedstawiał go Aliverowi, Maeander rozglądał się z uśmiechem na zaciśniętych ustach, przyglądając się rodzeństwu, jakby nigdy nie widział tak zabawnego zbiegowiska. Z jego postawy biła siła. Był idealnie zbudowany, muskularny, lecz nie zwalisty, tors miał zwarty i szczupły, jakby duża część jego siły skupiła się pośrodku ciała i w udach. Dariel uznał, że jest zwinny i z łatwością uwierzył w jego reputację sprawnego zabójcy. Lecz jego arogancja wzburzyła w nim krew.

– Królewiczu Aliverze Akaranie – zaczął Maeander, kiedy formalnościom stało się zadość. – A może wolisz, by cię nazywać Śniegowym Królem? Muszę powiedzieć, że to dziwne określenie. Nie widzę tu ani śladu śniegu. Gdyby na tę spaloną ziemię spadł choćby jeden jego płatek, zaskwierczałby i zniknął w okamgnieniu.

– Nie wybieramy imion, które nadają nam inni, ani nie decydujemy o tym, jak będzie nas pamiętać historia – odparł spokojnie Aliver.

– To prawda – rzekł Maeander. – Możemy starać się osiągnąć wielkość, lecz kto wie, co nas spotka? Jestem pewien, że twój ojciec nie wyobrażał sobie, że jedna z jego latorośli wyprowadzi z pustyń Talay armię hołoty, druga zostanie kochanką jego pogromcy, trzecia symbolem vumuańskiej sekty religijnej, a ostatnia zwykłym piratem. Bez względu na to, jak bardzo się staramy, nasze życie zawsze okazuje się niespodzianką, nieprawdą?

Mówiąc to, przeniósł wzrok z Alivera na Menę. Zatrzymał go na jej twarzy, a potem powiódł nim po ciele dziewczyny, jakby oceniał kurtyzanę. Zanim jednak odwrócił spojrzenie, skinął jej głową. Był to gest pełen szacunku, wyraźnie odmienny od tego, czego spodziewał się Dariel. Kiedy w następnym momencie poczuł wzrok Maeandera na sobie, miał ochotę zetrzeć mu ten uśmieszek z twarzy. Lecz wróg zachowywał tak niebezpieczną swobodę, że Dariel wcale nie był pewien, czy by mu się to udało.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytał Aliver.

Maeander wyciągnął przed siebie ręce jak kupiec zaświadczejacy o swej uczciwości.

– Chcę ci przedstawić propozycję. Prosta propozycja. Zatańcz ze mną w pojedynku, Aliverze. Tylko ty i ja, uczciwie, na śmierć i życie. Nikt nie będzie przeszkadzał; wszyscy będą mogli zobaczyć, kto z nas jest dzielniejszy.

– Pojedynek? – zapytał Aliver. – A co on rozwiąże? Chyba nie prosisz mnie, bym uwierzył, że po twojej śmierci twoja armia uzna się za pokonaną? Że Hanish się spakuje,

opuści Akację i wróci na pustkowia Meinu? To by mnie skusiło, lecz taka możliwość nie istnieje. Obaj o tym wiemy.

Maeander się roześmiał. Przyznał, że nic takiego nie obiecuje. Nie prosi też Alivera, by złożył podobne przyrzeczenie. Ale dlaczego nie mieliby stanąć twarzą w twarz jak mężczyźni? Kiedyś przywódcy stawali przed swoimi armiami i własną krwią uświęcali zmagania. To oni mają najwięcej do zdobycia lub stracenia; dlaczego więc nie mieliby zaryzykować własnego życia równie chętnie, jak narażają na niebezpieczeństwo życie innych? Jest to szlachetna idea, wyznawana niegdyś i przez Meinów, i przez Akacjan. Została zapomniana przez pokolenia następujące po rządach Tinhadina, kiedy szlachetność zgnieciono, napiętnowano i...

– Jesteś szalony – przerwał mu Dariel. Nie mógł się powstrzymać. Wyglądało na to, że Aliver rozważa propozycję. Nic w jego tonie czy zachowaniu nie sugerowało pogardy, którą Dariel uważał za właściwą odpowiedź. Chciał mieć pewność, że jego brat rozumie, co on sądzi o tej absurdalnej propozycji. – Mamy armię, która walczy ze swoich własnych pobudek. Wszyscy mężczyźni i kobiety są wolni. A prowadzą wojnę o jeszcze większą wolność. Ani jeden żołnierz nie zechce, by Aliver ryzykował życie na oczach któregoś z nich.

Ze wszystkich stron dobiegły potakiwania. Ludzie klaskali, krzyczeli, przeklinali. Kilku z nich rzuciło obelgami.

Maeander raczył spojrzeć na Dariela na tyle długo, by zadać pytanie:

– To ty jesteś tym zbójcą, tak? Nie spodziewałbym się, że wiesz coś o honorze. Ja tylko proponuję, by Aliver stanął twarzą w twarz z równym sobie i poddał się próbie.

Dariel splunął na ziemię. Poczuł dotyk Meny na łokciu, lecz go zignorował.

– Z równym sobie? Nie jesteś królem. Nie jesteś Hanishem. Dlaczego Aliver Akaran miałby ryzykować zdradę z twojej strony, skoro nawet nie chodzi tu o ciebie? Musisz być bardzo zdesperowany. – I, odwróciwszy się w stronę tłumu, zawołał: – To jedyny powód jego przybycia. Meinowie są zdesperowani! Pobiliśmy ich, przyjaciele. O to w tym wszystkim chodzi.

Zwróciwszy wzrok z powrotem na Alivera, Maeander powiedział wśród wrzawy, jaka powstała po słowach Dariela:

– Nic nie umacnia armii tak, jak symbol. Jeśli – a może powinienem powiedzieć: kiedy – mnie zabijesz, królewiczu Aliverze, masz moje pozwolenie na odcięcie mi głowy. Osadź ją na długiej tyce i unieś wysoko, by mógł ją ujrzeć cały świat. Maeander Mein zabity! Aliver Akaran zatryumfował! Twoja armia z dnia na dzień powiększy się dwukrotnie. Uciskane masy – z których większość zapomniała, czyj obcas wdeptywał je w ziemię, zanim

zaczął robić to mój brat – ruszą jedną wielką falą. Proroctwa spełnione! Przeznaczenie! Kara!

Wydawało się, że Aliver czuje się podczas tej rozmowy swobodnie. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego sytuacją ani w najmniejszym stopniu zakłopotanego spoglądaniem w twarz człowieka, który przygotował tak straszną rzeź. Pochylił się lekko do przodu, zainteresowany, i uniósł rękę, by uciszyć wojsko.

– A jeśli zginę?

– To jest w tym wszystkim najpiękniejsze – rzekł Maeander. – Twoja śmierć wywołałaby podobny skutek. Gniew! Wściekłość! Stałbyś się bohaterem, poświęciwszy się dla narodu. Czasami męczennik wyzwala dziwny rodzaj oddania...

– Dobrze mówisz – stwierdził Aliver – lecz to samo można by powiedzieć o tobie. Gdybyś zatryumfował, zyskałbyś to samo. Czyż zatem ten pojedynek nie jest pozbawiony sensu?

– Nie, wcale nie. Ja wzbudzam strach, nie miłość. Mam władzę, lecz nie jestem naczelnym wodzem, jak zauważył twój brat. Nie, ty zyskałbyś więcej na mojej śmierci niż ja na twojej.

– Dlaczego więc proponujesz ten pojedynek?

– Bo jest głupcem – wtrącił Dariel.

Maeander błyskawicznie zastąpił uśmiech poważną miną.

– On ma rację. Uważaj mnie za głupca, Aliverze. Ale stocz ze mną walkę. Wyzywam cię wedle Starych Kodeksów, tych sprzed czasów Tinhadina. Jako człowiek honoru musisz takie wyzwanie przyjąć. Wiesz o tym, nawet jeśli nie wie tego twój brat.

Podczas prywatnej narady, która się potem odbyła, Dariel usiłował przemówić Aliverowi do rozsądku. Stale powtarzał swoje zdanie, że zgoda na pojedynek to szaleństwo. To zasadzka, jakaś sztuczka, rozpaczliwa próba zdrady. Nie może z tego wyniknąć nic dobrego. Propozycję Maeandera powinno się odrzucić, a jego samego schwytać lub zabić na miejscu. Nie zasługuje na ochronę, jaką mu dają reguły rokowań. Dariel mówił to wszystko wiele razy i na różne sposoby, denerwując się, że Aliver wysłuchuje go ze spokojem, a mimo to wydaje się gotów przyjąć wyzwanie. Od chwili, kiedy ich niewielka grupa zebrała się w jego namiocie, było jasne, że już podjął decyzję. Nie usiadł, chociaż innych poprosił o to gestem. Rozciągał się, poruszał, rozgrzewał ciało.

– Co to za Stare Kodeksy, o których mówił Maeander? – zapytał Kelis swoim cichym, spokojnym głosem z talayskim akcentem.

Aliver wyjaśnił, że są to niepisane zasady postępowania z dalekiej przeszłości, kiedy Znany Świat składał się z niezależnych plemion. Każde miało własne obyczaje, jeszcze

bardziej różniące się od siebie niż obecnie. Lecz, działając poza swoją grupą plemienną, ludzie polegali na ustalonych zasadach zachowania, które wszyscy znali i rozumieli. Wymienił kilka takich obyczajów i gdyby Leeka Alain mu nie przerwał, mówiłby dalej.

– Niektóre zasady ze Starych Kodeksów najlepiej byłoby zapomnieć – stwierdził generał – lecz Maeander przywołał znany precedens. Drań z niego. W owych czasach królowie spotykali się na oczach swoich żołnierzy i starali się rozstrzygnąć konflikt przed wystawieniem całych armii na ryzyko. Czasami walczyli na śmierć i życie. Pierwsza forma – Edifus pod Carni – była takim pojedynkiem.

– A Tinhadin zlikwidował te kodeksy, tak?

Leeka westchnął i przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Ku naszemu nieustającemu wstydnemu. Zmienił jednak wszystko, nie tylko te kodeksy. Zapanował nad całym Znanym Światem i wiele z tego, co niegdyś istniało, nie mogło dalej trwać.

Obok Meny siedział Melio Sharratt, który poprzedniego dnia dowodził vumuańskim oddziałem. To on nauczył ją, jak się posługiwać szablą.

Pomógł także uratować ich przed antokami i dlatego nikt nie protestował, kiedy Mena zabrała go na naradę. Aliver dobrze go pamiętał i zauważył zeszłego wieczoru, że jego przybycie sprawiło mu radość. Melio zapytał, czy kiedykolwiek ktoś zastąpił króla i walczył w jego imieniu.

Aliver nie pozwolił nikomu odpowiedzieć na to pytanie.

– Nikt nie będzie mnie zastępował – stwierdził stanowczo, lecz z uśmiechem. – Nie ty, Kelisie – widzę, że o tym myślisz. I na pewno nie ty, Melio. Nadal uważasz, że jesteś lepszy ode mnie, tak jak wtedy, kiedy byliśmy chłopcami?

– Wcale nie, panie – odparł z szacunkiem Melio. – Przewyższyłeś mnie już dawno temu.

Aliver przerwał ćwiczenia i spojrzał wszystkim kolejno w oczy. Twarz miał opaloną, pociągłą, przystojną. Szare plamki i srebrzyste żyłki rozjaśniały jego piwne oczy. Nigdy nie wyglądał bardziej na ideał młodego króla.

– Maeander ma rację. Nie mogę ignorować Starych Kodeksów. Stanowią część tego, o co walczymy. Zgadzam się z zasadą odpowiedzialności przywódcy, na którą powołuje się Maeander. A jeśli się z nią zgadzam, to muszę przyjąć jego propozycję. Gdybym tego nie zrobił, zdradziłbym wszystko, co chcę osiągnąć. Nie spodziewałem się tego, wstając rano, ale propozycja padła. Powinienem ją raczej przyjąć niż od niej uciekać.

Nikt nie zaprzeczył. Nawet Dariel nie znalazł nowych argumentów.

– Jeśli wszystko już postanowione – rzekł z goryczą w głosie – to dlaczego jeszcze rozmawiamy?

Kącki ust Alivera uniosły się w uśmiechu.

– Ponieważ lubię wasze towarzystwo i chcę, żeby ci na zewnątrz mieli nad czym się zastanawiać.

– Możesz mi obiecać, że nie umrzesz? – Dariel wiedział, że pytanie brzmi dziecinnie, ale nie mógł się powstrzymać, by go nie zadać. – Możesz mi to obiecać?

Aliver przyznał, że nie może. Oczywiście, że nie może złożyć takiej obietnicy. Podeszedł do Dariela i ujął go pod brodę. Nazwał go bratem i przypomniał mu, że stał obok ich ojca, kiedy Thasren Mein ugodził go w pierś zatrutą klingą. Powiedział, że stał na wyciągnięcie ręki. Widział uderzającą klingę i twarz zabójcy; od tego czasu widział ją milion razy. Mógłby ją wyrzeźbić w kamieniu z najdrobniejszymi szczegółami. Nie został tak naprawdę wyzwany na pojedynek tego ranka. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy on pozwolił Thasrenowi zabić ich ojca.

– Walczymy za szlachetne ideały – powiedział – ale krew to krew. Ojców należy pomścić. To także należy do Starych Kodeksów. Być może Maeander o tym zapomniał. Ja nie.

Odpinając Zaufanie Króla i kładąc szablę przed sobą na stole, Aliver wyjaśnił posłańcowi, że przyjmuje wyzwanie. Będą walczyć sztyletami. Żadnej innej broni. Żadnej zbroi. Będzie tylko ich dwóch. Po zakończeniu pojedynku Maeander i jego ludzie – lub tylko sami jego ludzie – będą mogli bezpiecznie odejść. Aliver złożył przysięgę, że będzie tego przestrzegać.

Kiedy kilka minut później wyszli z namiotu, wydawało się, że słońce wybieliło świat. Było zbyt jasno. Dariel patrzył zmrużonymi oczyma na przygotowywanie miejsca pojedynku. Miał to być nieduży owal, ograniczony ścianą ciał; ludzie ci byli nieuzbrojeni i przyrzekli ani nie pomagać, ani nie przeszkadzać walczącym. Dariel patrzył, jak Aliver i Maeander krążą po wolnej przestrzeni, ubrani tylko w to, w czym mieli walczyć. Wysłuchali reguł walki i kazali sprawdzić swoją broń oraz wymyć ją z ewentualnej trucizny.

Mena stanęła za Darielem, ścisnęła go za ramię i szepnęła:

– Czyż Aliver nie zabił antoka? Czyż nie kontaktuje się z Santoth? A przedtem upolował laryksa. Może magia pomagała mu przez całe życie. Uwierz w niego, Darielu.

A potem nadszedł czas pojedynku. Aliver stanął przed przeciwnikiem bez koszuli, tylko w sięgającej kolan spódniczce talayskiego biegacza; nóż w jego dłoni wyglądał jak lodowa drzazga. Maeander był ubrany w thalbę tak cienką, że widać było przez nią zarysy

jego muskularnej piersi i brzucha. Nóż miał krótszy niż Aliver, lekko zakrzywiony na końcu i z ciemnej stali. Aliver coś powiedział. Maeander przez chwilę wyglądał na zdumionego, a potem chyba zrozumiał i odpowiedział.

Dariel nie słyszał ich słów. Obserwował wydarzenia z dziwnego, wyciszonego miejsca, nieświadom swego ciała, nic nie słyszał, a widział tylko to, co uwydatniał ostry blask słońca. Patrzył, jak dwaj mężczyźni krążą wokół siebie. Oceniali swoje mocne i słabe strony, wykonując próbne pchnięcia i zasłony. Dariel widział uśmiechnięte wąskie usta Maeandera, który żartował i bezustannie komentował ruchy przeciwnika, lecz nie słyszał z tego ani słowa. Patrzył, jak Maeander rzuca się do ataku błyskawicznie jak kobra. Aliver uratował się wyskokiem nad głową Maeandera, jednocześnie zamachnął się nożem. Wciąż przypominając węża, Maeander odchylił się do tyłu, przywarł do ziemi, dotykając jej ramionami, a nogi wyniosły go spod Alivera.

Taka sekwencja ruchów oszołomiła Dariela, lecz ci dwaj nawet nie przerwali walki. Krążyli wokół siebie ciasniej, zadawali częściej ciosy. Ich noże się zderzały. Kiedy odskakiwali od siebie, Aliver rozciął skórę na jednym z kłykci Maeandera. Tempo walki stale rosło. Przeciwnicy zmienili się w rozmazane plamy; okrążali się, atakowali i cofali, wirowali tak szybko, że trudno było śledzić walkę. Któryś zranił drugiego w ramię. Potem któryś upadł i musiał się wycofać na czworakach. Dariel myślał, że to Aliver, lecz w następnym momencie znalazł się on w powietrzu w chmurze pyłu, wirując jak jakiś szalony akrobata i tnąc powietrze czubkiem noża.

Patrząc na niego, Dariel poczuł pierwszą iskierkę nadziei. Aliver był błogosławiony. Jakże inaczej mógłby przewidywać każdy atak Maeandera, tańczyć szybciej od niego, ruszać się z większą precyzją, wykonywać teatralne gesty, które sprawiały, że Dariel wyobrażał sobie, jak pewnego dnia staną się formą. Tak, to właśnie to... Oglądał powstawanie formy... Mena miała rację; tutaj musi działać magia. Aliver też miał rację; wygra ten pojedynek w imieniu ojca. Zakończy pojedynek rozpoczęty przed wielu laty.

I wtedy Dariel zamarł. Przez kilka sekund jego umysł rejestrował tylko fizyczne szczegóły, kolorową scenę; sekundy przechodziły jedna w drugą, a on nie rozumiał znaczenia tego, co widzi. Zanurkowawszy pod ciosem Maeandera, Aliver odwiódł ramię do tyłu, by szerokim zamachem rozciąć jego brzuch, tak jak wtedy, gdy wypatroszył antoka. A przynajmniej to chciał zrobić. W rzeczywistości stało się inaczej.

Maeander podskoczył, wykorzystując całą siłę swych nóg. Wzleciał w powietrze. Aliver się wyprostował, a jego nóż prześliznął się tak blisko brzucha Maeandera, że Darielowi wydawało się, że rozciął mu talbę. Aliver uniósł się w ślad za przeciwnikiem, chcąc tym

ruchem zakończyć walkę, pragnąc tego tak bardzo, że cały skupił się na zadaniu ciosu. Zapomniał jednak o nożu w wyciągniętej ręce Maeandera, która spoczęła mu na ramieniu. Ostrze znalazło się za jego głową. Wciąż był skupiony na ataku, kiedy Maeander wbił mu czubek sztyletu w kark.

Wtedy uświadomił sobie, co się stało, ale było już za późno. Maeander przeciągnął nożem od karku Alivera aż do podbródka, przecinając po drodze tętnicę. Niemal delikatnie złapał jego wirujące, zakrwawione ciało i złożył je na ziemi. Chwilę potem od niego odskoczył, z nożem Alivera w uniesionej ręce, tryumfujący, nieświadom gorączkowej wrzawy, która właśnie wybuchła. Zupełnie jakby to wszystko zaplanował.

Dariel runął w stronę Alivera z tłumem innych. Musiał ich szturchać i odpychać, wrzeszcząc, chociaż nic nie słyszał, nawet swego głosu. Wsunął ręce pod brata, czując straszliwą bezwładność jego ciała i ciepłą wilgoć. Bojąc się spowodować jakieś dalsze obrażenia, starał się być delikatny, starał się go pocieszyć, podnieść na duchu. Mówił z ustami tuż przy skroni Alivera. Nie podobało mu się, że jego głowa zwisa tak bezwładnie. Przeklął się za niezdarność. Pomyślał, że może powinien położyć go na ziemi, żeby nie pogarszać sytuacji, ale wtedy zorientował się, że naprzeciwko siedzi Mena, która trzyma Alivera tak samo jak on, z twarzą białą jak kreda i skrzywioną z żalu. Z żalu, a nie ze strachu. Nie ze zmartwienia czy niepokoju... z żalu.

Spojrzawszy znów na brata, Dariel zrozumiał w końcu, co się właśnie stało. Już nigdy nie będzie mógł spojrzeć na szyję innego mężczyzny, nie widząc rany od ciosu, który zabił Alivera Akarana. To zbyt wiele. Zbyt wiele. Uczucia, jakie go przepełniało, nie był w stanie zachować go dla siebie.

Wstał. Spojrzał w stronę, w którą odeszli ludzie Maeandera. Dopiero po chwili dostrzegł małą grupkę, przedzierającą się przez niechętnie rozstępujący się przed nią tłum. Czuł na sobie wzrok tysiąca oczu. Wiedział, na co czekają i chciał tego samego. Poczł to samo, co oni, a skupiając na sobie ich spojrzenia, stał się ośrodkiem ich pragnień. Ogarnął go niepoohamowany gniew, czysta nienawiść, jakby w głowie wybuchła mu gwiazda. Chciał popełnić haniebną zbrodnię. Chciał to zrobić tu i teraz, na oczach tysięcy świadków. Wiedział, że potem będzie się tego wstydził i że będzie musiał żyć nie tylko z ciężarem tego czynu, lecz także ze świadomością, że Aliver by tego nie zaakceptował. Ale nie dało się tego powstrzymać. Otwierając usta, uczynił najgorszą możliwą rzecz: poprosił o współuczestnictwo tysiące ludzi. Nie spuszczał wzroku z oddalających się pleców Meinów, sprzeniewierzył się zasadom, których przestrzegania zażądałby od niego brat.

– Zabić go – szepnął.

Kiedy nikt nie zareagował, podniósł głos i wykrzyczał rozkaz z całej siły. Tym razem wszyscy usłyszeli jego głos wyraźnie.

ROZDZIAŁ 67

Hanish wykorzystał statki ze swojej prywatnej floty oraz inne, pożyczone mu przez meinińskich szlachciców, chcących mieć swój udział w przewiezieniu Tunishnevre na ostatnim, morskim odcinku podróży do Akacji. Rejs z Łądu odbył się bez przeszkód. Po przybyciu na miejsce przejęli port. Zajęli wszystkie miejsca do cumowania, wypędzili rybaków, kupców i pozostałych mieszkańców do dolnego miasta. Oczyszciliby port bez względu na wszystko, lecz ich zadanie okazało się ułatwione, ponieważ nie panował w nim normalny ruch. Szczególnie rzucała się w oczy nieobecność statków ligi. Hanish to zauważył i zastanawiał się, czy nie kazać tego wyjaśnić przed przystąpieniem do dalszych działań, lecz wydawało się, że teren został zabezpieczony. Poza tym jego uzbrojeni po zęby Punisari byli gotowi odeprzeć każdy zdradziecki atak. Rozkazał rozpocząć wyładunek.

W ciągu godziny przez port, a potem w górę w stronę pałacu zaczęły sunąć po licznych pochylniach sznury sarkofagów. Przed opuszczeniem portu Hanish zobaczył, jak pierwszy przodek przekracza bramę w pałacowych murach. Cienisty otwór pochłaniał ich jednego po drugim, za każdym razem wywołując uczucie ulgi; przodkowie byli w końcu bezpieczni i podążali do komory wybudowanej specjalnie dla nich. Ich długa podróż wreszcie dobiegła końca; wkrótce rozpocznie się nowa, możliwe, że już nazajutrz.

Kiedy Hanish szedł pod górę do pałacu z Haleevenem u boku, wybiegli mu na spotkanie sekretarze i adiutanci. Zalali go wiadomościami, meldunkami, sprawozdaniami, całym mnóstwem spraw, czekających na jego powrót. Wyjaśnili, że port nie jest zatłoczony, ponieważ odpłynęły stacjonujące w nim zwykle okręty ligi. Nie przybiły te, które miały się pojawić. Sire Dagon opuścił swój kompleks poprzedniego dnia bez słowa wyjaśnienia, zabierając ze sobą cały personel. Coś było nie w porządku, chociaż nikt nie wiedział co. Nie było nawet wiadomo, czy liga nadal wspiera Maeandera na morzu.

To kazało Hanishowi zapytać o wiadomości o Maeanderze i bitwie. Po chwili miał w rękach ostatni list od brata. On też dotarł tego ranka. Kiedy zaczął go czytać, znów się zirytował, że nie może się kontaktować z Maeanderem poprzez podróż we śnie. Długo podejrzewał, że brat celowo go blokuje, nie chcąc dać mu dostępu do swojej świadomości. Tak więc, idąc w górę po bruku, najpierw dowiedział się o klęsce antoków. Wiadomość przyniósł ptak pocztowy, miała więc ona co najmniej jeden dzień.

Antoki wyrządziły znaczne szkody, twierdził Maeander, lecz nie przesądziły o zwycięstwie. Nie były tak niepokonane, jak liczył, a Aliver dysponował chyba jakąś formą czarnoksiężstwa. Ale to nic, pisał Maeander, bo zaplanował coś jeszcze. Nie zdradził nic więcej. Hanish dowie się, co zaplanował, albo jaki jest tego skutek, dopiero kiedy następny ptak pocztowy pokona morze.

– Jest zbyt tajemniczy – powiedział Hanish, pokazując list wujowi.

Haleeven przeczytał go bez komentarzy, a następnie wysunął podbródek, chcąc przypomnieć bratankowi, żeby skupił się na najważniejszym, na tym, co go czeka w pałacu.

Chociaż myślał o Corinn stale, Hanish planował zobaczyć się z nią dopiero wieczorem. Nie powiedział jej tego; na pewno sama się tego domyśli. Za każdym razem, kiedy wracał, musiał się zająć milionem spraw, teraz jeszcze pilniejszych niż zwykle. Resztę poranka i wczesne popołudnie spędził w swoim gabinecie, zajmując się sprawami nagromadzonymi na biurku pod jego nieobecność. Doradcy wojskowi dostarczyli mu drobiazgowo opisy wojny w Talay oraz informacje o wybuchach zamieszek w całym imperium. Zgromadzili tyle wojska pod dowództwem Maeandera, że prowincje nie były kontrolowane zbyt dobrze. Wielu stacjonujących tam żołnierzy było obcej krwi, a zatem ich lojalność budziła wątpliwości. Doradcy ostrzegali, że w razie klęski Maeandera w Aushenii, Candovii i Senivalu zapewne wybuchną rebelie. A Numrekowie nie dołączyli do Maeandera. Po prostu nie brali udziału w walkach i nie zareagowali na żaden z wysłanych do nich rozkazów. Hanish pomyślał, że to może być zła wiadomość, lecz nie umiał sobie wyobrazić, co knują Numrekowie, i nadal sądził, że w końcu się pojawią, dopiąwszy jakiegoś swego celu.

Najbardziej go zaniepokoiło to, że Alivera okazał się dobrym przywódcą oraz postacią, wokół której powstają mity i która może mieć zdolności magiczne. Fatalnie, że własnoręcznie zabił pierwszego antoka. Bez względu na to, co uda się osiągnąć Maeanderowi w walce z Aliverem, przez następne lata minstrelle będą opowiadać w górnołotnym stylu o jego zwycięstwie nad tymi bestiami. Pomyślał, że najlepiej byłoby schwytać wszystkich Akaranów żywcem i przeprowadzić ich ulicami wszystkich miast imperium. Niech ludność ujrzy ich zakutych w łańcuchy. Może to obaliłoby mity. Prawda zwykle potrafiła tego dokonać, jeśli traktowało się ją uczciwie.

Jedyną pociechą Hanisha było przekonanie, że jeszcze nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Akacjanie mogą sądzić, że zyskują przewagę, lecz ich drobne zwycięstwa nie mają wielkiego znaczenia. Po ceremonii nic się nie przeciwstawi meinińskiej potędze. Być może Aliver ma po swojej stronie jakąś magię, lecz Hanish wykorzysta wkrótce

nagromadzoną wściekłość wielu pokoleń. Zapewne dlatego liga się wycofała. Ma powody obawiać się potęgi, która zostanie obudzona. Dobrze, pomyślał Hanish. Niech przez jakiś czas jej przedstawiciele podygocą. Może przodkowie wezmą wodze świata w swoje na nowo ożywione ręce. Chciałby, żeby tak się stało. Niech przemierzają z wściekłością prowincje, odzyskując je; niech Sire Dagon stanie przed nimi, prężąc mięśnie. Hanish z radością by odpoczął i spróbował zapomnieć o kilku sprawach.

Kiedy dzień zaczął się chylić ku końcowi, coraz częściej myślał o Corinn. W końcu wstał, odprawił doradców i resztę personelu i zapowiedział, że będą kontynuować naradę rano. Poprosił Haleevena, by razem z nim udał się na inspekcję miejsca ceremonii. Wiedział, że potem będzie wreszcie mógł pójść do Corinn i spędzić z nią ostatnią noc.

Budowa komory rozpoczęła się pod koniec pierwszego roku jego panowania nad Akacją. To monumentalne zadanie, realizowane potajemnie, polegało na powolnym drążeniu skał. Kopalnie pracowali w skale na wschodnim brzegu wyspy, tuż pod pałacem. Prace nigdy nie były prowadzone otwarcie i brała w nich udział tylko niewielka grupa robotników. Cały wydobyty kamień wnoszono jednym wyjściem. Użyto go do rozbudowy portu i usypania sztucznej wyspy na morzu, która ułatwiała cumowanie dużym statkom ligi. Znajdował wiele zastosowań, a oficjalnie nic się nie mówiło o tym, dlaczego jest wydobywany.

Hanish wiedział, że dolne miasto aż huczy od plotek o tym, co buduje głęboko w ziemi. Twierdzą nie do zdobycia. Sale tortur. Klatki, w których będzie hodował wynaturzone zwierzęta. Salę jak Calathrock, w której będą się odbywać gry i ćwiczenia wojskowe. Domysły tych ludzi nie miały znaczenia; nigdy nie zbliżyły się do prawdy.

Wewnątrz jaskini robotnicy umieszczali na swoich miejscach ostatnie sarkofagi; pracowali pod surowymi spojrzeniami kapłanów, których twarze oświetlały czysto palące się płomienie lamp oliwnych. Hanish podziwiał dzieło kamieniarzy. Wydrążyli jaskinię według wskazówek przekazanych mu przez samych niemartwych. Pod względem konstrukcji przypominała ona komorę w Tahalian, gdzie przodkowie byli ułożeni jedni na drugich. Trzeba było wybudować taką komorę tutaj, na Akacji, gdyż tutaj rzucono klątwę i można ją było zdjąć tylko tu. Nisze na poszczególne sarkofagi zostały wykute bezpośrednio w granicie, wygładzone i wypolerowane; całość przypominała olbrzymi kamienny ul. Kiedy przodkowie Hanisha znów zaczęły oddychać i po raz pierwszy od lat, dziesięcioleci albo wieków dotknął świat, będą mogli pieścić palcami skałę, na której stali dawni Akaranie, kiedy wyruszali na podbój świata.

Pośrodku znajdował się kamień ze Scatevith; wielki głaz był tak ciemny i zbity, że sprawiał wrażenie, jakby wsąsł życie w swoją mroczną głębię. To był ten sam bazaltowy

głaz, który został wycięty z podnóża Gór Czarnych, wysoko na Płaskowyżu Mein. Przodkowie Hanisha zostali zmuszeni do podarowania go Akaranom budującym wielki mur pod Alesją. Po swoim zwycięstwie Hanish kazał go stamtąd wyjąć i sprowadzić tutaj, by na nim zginął przedstawiciel rodu Akaranów. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu.

Przypominał sobie o tym bezustannie, powtarzał jak modlitwę, która miała przesłonić wszystko inne, lecz cały czas wyobrażał sobie Corinn podczas ceremonii. Wejdzie w jej połowie, kiedy Hanish już wypowie pradawne słowa, podpowiadane mu przez przodków. Będzie ku niemu szła z całym swoim wdziękiem, przekonana, że ma oddać uzdrawiające krople krwi. On spojrzy jej w twarz, uspokajając ją, prowadząc ją ku śmierci tak, by się nie zorientowała. W pewnej chwili jednak domyśli się, co się dzieje. Być może będzie już wtedy stała na głazie nad misą czekającą na jej krew, a on będzie trzymał w ręce nóż, przygotowując się do zadania ciosu. Ale...

W pewnym momencie królewna zorientuje się, że nie chodzi tylko o jej krew, ale także o życie. Prawdopodobnie dojrzy to w jego oczach albo gestach, a może usłyszy w drzeniu jego głosu, jeśli nie będzie nad sobą panował. Był pewien, że nie pójdzie spokojnie na śmierć. Wyobraził sobie, jak ją wciąga na głaz, a ona z nim walczy. Będzie go przeklinać, drapać po twarzy, zapierać się, będzie się starała wydrapać mu oczy. Co mu powie? Potrafił wymyślić tysiąc obelg, a każda z nich byłaby prawdziwa.

Haleeven, który stał obok niego, wyczuł jego myśli.

– Szkoda, że nie ma innego sposobu – odezwał się. – Ale sytuacja tak się właśnie rozwinęła. Ja przynajmniej wiem, jak bardzo starałeś się odnaleźć pozostałych Akaranów i jak wiele poświęcasz dla Tunishnevre. To dlatego zostałeś wybrany. Ponieważ masz siłę, by to uczynić.

Hanish poczuł, jak w trzewiach rodzi mu się fala sprzeciwu, grożąc, że się przeleje. Wiedział, że wuj stara się pomóc, lecz teraz nie mógł słuchać takich rzeczy.

– Odejdź – powiedział.

Podniósł głos i rozkazał robotnikom na kilka minut opuścić komorę. Chciał być sam.

Siedział, dopóki wszyscy nie wyszli; nie zwracał uwagi na kwaśne miny kapłanów. Kiedy zapanowała cisza, kiedy zaczął wyczuwać puls, bicie serca Tunishnevre, zamgłiły mu się oczy. Poczzerwieniał. Gwałtownie mrugał, zawstydzony strumieniem łez, których nie umiał powstrzymać. Starł je z policzków kantem dłoni, zaniepokojony, że ktoś – może któryś z kapłanów – mógłby wetknąć do środka głowę i go zobaczyć. Lecz łzy płynęły z niepohamowaną siłą. Wywołały je myśli o Corinn, lecz nie chodziło tylko o nią. Żal związany z tym, co dla niej zaplanował, spletał się ze strachem przed siłami, które zamierzał uwolnić.

Tunishnevre. Mściwy panteon jego czcigodnych przodków. Jakże się ich boi. Jakże ich nienawidzi. Przez całe życie klaniał się ich duchom, a teraz spotka ich już niedługo twarzą w twarz, jako ludzi z krwi i kości, ożywionych przez wypaczoną wersję języka Dawcy.

Kiedy był chłopcem, ojciec często zabierał go do komory w Tahalian. Heberen przyciskał czoło Hanisha do zimnej podłogi i zmuszał do leżenia plackiem godzinami. Zostawiał go samego, mówiąc, że musi się nauczyć słyszeć głosy przodków. Będzie mógł im służyć tylko wtedy, gdy ich będzie słyszał. A służba dla nich jest celem jego życia. Jakże się wtedy bał! Sam w ciemności, w powietrzu gniewne wołania duchów, dookoła setki ciał, żywych i martwych zarazem. Tak przerażała go świadomość, że wciąga ich w siebie z każdym oddechem, że ledwie pozwalał sobie na oddychanie. Owszem, słyszał ich. Słyszał ich w ten czy inny sposób każdego dnia swego życia.

Jeszcze jako chłopiec chciał zapytać, dlaczego przodkowie tak bardzo znów chcą żyć. Jeśli życie jest tylko preludium śmierci – i jeśli żywi są tylko służącymi zmarłych – to dlaczego ci zmarli tak bardzo chcą znów chodzić po ziemi? Pytanie to powstało w jego głowie, kiedy miał osiem czy dziewięć lat. Nigdy go jednak nie zadał. Bał się, że obnaży kłamstwo, które zawstydzi przodków, a jego skompromituje w nieodwracalny sposób. Teraz, po dziesiątkach lat, jaki miał wybór niż doprowadzić kłamstwo do końca? Nad tym przecież cały czas pracował. Jeśli zawiedzie przy przebudzeniu, to zawiedzie zarazem w najważniejszej sprawie, do której dążył przez całe życie. Zatem obiecał sobie, że nie zawiedzie. Haleeven ma rację. Wybierając właśnie jego, Tunishnevre dokonali słusznego wyboru.

Kiedy wychodził z komory, sądził, że wypłakał już wszystkie łzy, chociaż, jak miał wkrótce się przekonać, nie była to prawda. W korytarzu tuż za drzwiami komory zderzył się z nim jego sekretarz, biegnący niemal na oślep. Kiedy tylko odzyskał równowagę, wyciągnął w stronę Hanisha zwinięty kawałek papieru i powiedział, że właśnie przyniósł go z Bocoum ptak pocztowy.

– Od mojego brata?

– Nie – odparł sekretarz, nerwowo spoglądając okrągłymi, błękitnymi oczyma. – Nie od niego, ale o nim. Mówi o śmierci dwóch ludzi. – Wyciągnął drżącą rękę z wiadomością. – Proszę, panie, na pewno zechcesz to sam przeczytać.

Jakiś czas później, kiedy Hanish wszedł do swoich komnat i zobaczył, jak Corinn podnosi na niego wzrok, wstaje i rusza ku niemu, piękna jak zwykle, w sukni podkreślającej jej kształty, z trenem omiatającym kamienie posadzki i dzwoneczkami akcentującymi delikatnym dźwiękiem każdy jej ruch, wiedział, że w każdym calu jest oszustem, tchórzem,

draniem, jak nazwałaby go Corinn, gdyby naprawdę go znała. Wiedział to, lecz pośpieszył w jej ramiona. Usłyszał własny głos przekazujący jej wiadomość i rozkoszował się zbliżającymi się chwilami. Będą się pocieszać nawzajem. Będą się dzielić swoimi stratami. Jeszcze go nie nienawidzi, ponieważ w tym momencie tylko oni dwoje na całym świecie doznają w równej mierze tego samego cierpienia.

Myślał więc o tym i starał się zapomnieć, że nazajutrz ją zabije.

ROZDZIAŁ 68

– Jak możesz być martwy? – zapytała Mena po raz setny.

Późnym wieczorem drugiego dnia po pojedynku Alivera siedziała na kocu w obwisłym namiocie. Noc był spokojna, żaden podmuch wiatru nie poruszał ciepłego powietrza. W jednej ręce ścisnęła wisior w kształcie wężorza, naciągając sznurek, na którym wisiał, nie wiedząc, czy ma go użyć jako amulet, czy zerwać z szyi i odrzucić. Obok niej niespokojnie spał Melio. Leżał twarzą w dół, a jedną ręką mocno trzymał ją za kostkę u nogi, jakby jego palce czuwały.

– Jak możesz być martwy?

Mówiła cicho, nie chcąc obudzić Melia. Przeszli przez to już wiele razy: ona zadawała to samo pytanie, on jej szeptał odpowiedzi, znajdował wciąż nowe słowa pocieszenia, odsuwał od studni żalu, do której chciała wpaść. Ostatnie dwa dni były swego rodzaju dziwnymi zalotami. Nie mówili o liście, który do niego napisała. Kiedy mieliby to robić? Jednak ta sprawa wisiała w powietrzu między nimi, podobnie jak to, że rzucił się za nią przez morze z armią, którą udało mu się sklecić z niczego. Jeśli kiedykolwiek mieliby ujrzeć spokojny świat, nie szukałaby miłości gdzie indziej; jednakże ta miłość tkwiła po drugiej stronie przepastnego, nieprzewidywalnego „jeśli”.

Czas, jaki upłynął od śmierci Alivera z rąk Maeandera, był najdłuższą męką w życiu Meny. Nic się z nią nie mogło równać. Tak naprawdę nie miała możliwości oswojenia się ze śmiercią brata. Świat się nie zatrzymał, by dać jej czas, którego potrzebowała, a następne wydarzenia potoczyły się zbyt szybko. Tak jak rozkazał Dariel, żołnierze rzucili się na Maeandera i jego świtę. Mena została z Aliverem, tuląc go i starając się skupić tylko na nim, lecz słyszała, co się stało. Meinowie walczyli dzielnie. Zaatakowani przez przedstawicieli ludów ze wszystkich zakątków Znanego Świata, utworzyli wieloramienną gwiazdę; każdy z nich ustawił się twarzą do niezliczonego morza Akacjan, Talayan i Aushenian. Maeander wymyślał im i śmiał się cały czas, nazywając ich pozbawionymi honoru bękartami i dziwkami, ubliżając im z mistrzostwem dorównującym jego umiejętnościom bojowym. Meinowie zabili wielu ludzi, zanim wszyscy polegli. Napastnicy maltretowali ich martwe ciała, siekąc je klingami. Wydawało się, że każdy chce zanurzyć szablę w krwi Maeandera, ukarać go za jego czyn i spróbować zapomnieć jego słowa. Mena słuchała tego wszystkiego z

niechęcią; nie podobało się jej, że Dariel też tam jest i daje upust swej rozpaczy i zagubieniu, wyzywając się na trupie.

Jednak to nie było wszystko, co czekało ich tego dnia. Ledwie opadła gorączka, wśród tłumu podniosły się nowe krzyki. Wykorzystując zamieszanie, meinińska armia niezauważona przemierzyła pole. Meinowie byli zrozpaczeni, rozgorączkowani śmiercią swego przywódcy. Rzucili się do ataku, szukając zemsty. Znali los Maeandera i wiedzieli o zdradzie, której padł ofiarą, zanim ta wieść mogła do nich dotrzeć. To się stało ledwie przed kilkoma chwilami! Musiał powiedzieć swoim generałom, co się stanie, zanim ruszył tego ranka w stronę akacjańskiej armii. Dlatego jego armia walczyła z większą niż wcześniej wściekłością i oburzeniem. Maeander uczynił z siebie bohatera, przywódcę o większej charyzmie niż za życia. Stał się męczennikiem. A, jak powiedział wcześniej, męczennik wyzwala oddanie. Bezgraniczne oddanie. Miał na myśli jego śmiertelnie groźną odmianę.

Mena wydała rozkaz chronienia ciała Alivera, chwyciła swoją broń i pognała na spotkanie wroga. Chociaż bardzo się starali, Menie, Darielowi, Leece i pozostałym generałom nie udało się ustawić wojska w szyku. Armia zatraciła się w żalu. Żołnierze starali się reagować na rozkazy, ale sprawiali wrażenie otumanionych, niepewnych; mieli świadomość, że Aliver już nie poprowadzi ich do zwycięstwa. Śniegowy Król nie żyje. Nie da im tych wszystkich rzeczy, które im obiecał. Nie powróci zwycięski do Akacji z przesłaniem sprawiedliwości. A jeśli on nie wróci, to jak mogliby oni wrócić?

Bitwa szalała wśród namiotów, wokół ognisk i latryn, między stertami zaopatrzenia i żywności. W pewnej chwili Mena przestała próbować zebrać wojsko i skupiła się na własnych morderczych pragnieniach. Dowodziła, dając przykład. Wdarła się głęboko w meinińskie szeregi, przepelniona tak intensywnym pragnieniem zabijania i wściekłością, że czuła, że jeśli choć na sekundę przestanie się poruszać, spłonie. Szabla, którą zwrócił jej Melio, wirowała wokół niej, jakby miała własną wolę – wolę zabijania. Ona tylko szła za nią, wnikając coraz dalej w szeregi nieprzyjaciela, wiedząc, że musi się trzymać z dala od swoich. Zabijała zbyt szybko, by odróżniać przyjaciół od wrogów.

I chociaż napędzała ją wściekłość, nie czuła radości, dokonując tej rzezi. Wręcz przeciwnie. To była koszmarna bitwa. We wszystkim dookoła Mena widziała Alivera. Widziała go, kiedy cięła i rąbała, odcinała kończyny i zdierała skórę z twarzy, kiedy posyłała w powietrze odrąbane uszy i wypruwała wnętrzości. Wiedziała, że zabija wroga – jego wroga – lecz był on obecny w każdym zabitym Meinie, w kształcie ich kończyn, w wyrazie szklanych oczu i głosach krzyczących z bólu. To przyprawiało ją o szaleństwo. Rzuciła się w wir walki, jakby rzezią mogła zatrzeć obraz gwałtownej śmierci brata. Zostawiała wokół

siebie sterty porąbanych ciał. Gdyby jej szabla nie była wykonana z najlepszej stali, szybko stępiłaby ją i pogięła. A tak nawet pod koniec dnia była wystarczająco ostra, by rozcinać czaszki i gładko przechodzić przez mięśnie i kości.

W końcu Meinowie się wycofali. Nie zostali pokonani ani nawet odparci. Sądząc po wyglądzie obozu i stertach martwych Akacjan, mogli być pewni zakończenia sprawy nazajutrz. Halalyowie Oubadala jako pierwsi stawili czoło meinińskiemu atakowi; rozeszła się pogłoska, że już ich nie ma, że zostali wybici do nogi. To był wielki cios. Nawet te plemiona, które, przystępując do wojny, bały się ich lub nienawidziły, przez te ostatnie kilka dni nauczyły się ich szanować. A teraz ich już nie było.

Kelis, wielki przyjaciel Alivera, został draśnięty włócznią w brzuch; rana była na tyle poważna, że musiał leżeć; cierpiał wielki ból. Ilu rannych umrze tej nocy? Ilu wymknie się załamanych, uciekając do swoich domów, żałując, że w ogóle brali udział w tej wojnie?

Idąc wśród trupów, drżąca i cała pokryta zakrzepłą krwią, Mena czuła na sobie wzrok żołnierzy. Nawet Dariel, który wcześniej wydał rozkaz popełnienia haniebnego morderstwa, wpatrywał się w nią ze zdumieniem graniczącym z grozą. Może wszyscy oni po raz pierwszy zobaczyli, jakim naprawdę jest potworem. Chciała na nich krzyczeć. Na co się gapią? Oczywiście, że jest zabójczynią. Jest Maeben. Zawsze nią będzie. Zawsze wściekłość będzie przychodziła jej łatwiej niż inne uczucia. Łatwo było ulec wrażeniu, że osobiście zabiła wszystkich, których ciała leżały w zasięgu jej wzroku.

Później w namiocie, kołysana w objęciach Melia, z jego szeptem w uszach... dopiero wtedy Mena odnalazła dość spokoju, by uwierzyć, że na polu bitwy nie zabijała wciąż od nowa Alivera. Pamiętała, że trzymała na rękach jego ciało śliskie od krwi. Był taki gorący, gorąco wylewało się z niego jak z pieca. Na języku i w nosie czuła posmak rdzy. Pamiętała, że był taki straszny moment, kiedy usiłując zbadać ranę i ocenić zagrożenie, wsunęła palce w rozcięcie. Ilekroć to przedziwne wspomnienie do niej wracało, przypominała sobie niewiarygodną miękkość i ciepło tkanek brata. Nigdy przedtem nie dotykała czegoś tak miękkiego, tak delikatnego. A zarazem czuła dogłębne obrzydzenie zrodzone z myśli, że to jej palce spowodowały tę ranę, że potrafią ciąć z taką łatwością, jak jej szabla.

Lecz to wszystko było wcześniej. Teraz Melio spał niespokojnie, trzymając ją jedną ręką, chroniąc ją. Dziwny pomysł. Przed czym mogłaby potrzebować ochrony? Jej ciało rozpaczliwie chciało spać, lecz ona mu na to nie pozwalała. Bała się, że jej nieprzytomny umysł wyczaruje z tego pobłędzenia palców coś straszego.

– Jak możesz być martwy? – zapytała po raz kolejny.

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, wróciła do czegoś innego, co utkwilo w jej

pamięci, a mianowicie do rozmowy z Aliverem przed pojedynkiem. Kiedy wychodzili z namiotu, gdzie odbyli naradę, pociągnął ją na bok. Zaczekał, aż inni nieco się oddalą, a potem zajrzał jej w oczy.

– Jeśli zginę – powiedział – przechowaj przez jakiś czas Zaufanie Króla. Kiedy uznasz, że Dariel jest gotowy, daj mu szablę. Chcę, by ją miał. Ty jej nie potrzebujesz, prawda, Meno? Stworzyłaś własną mityczną szablę. – Uśmiechnął się. – I jeszcze jedno. To ważne. Musisz być gotowa do wezwania Santoth.

Zaczęła protestować, lecz Aliver ją uciszył. Musi przyjąć tę odpowiedzialność. Wyjaśnił, że jeśli on zginie, to wszystko spadnie na nią i Dariela. Dariel ma w sobie wielką siłę, lecz nadal zbyt ulega emocjom. Jest z nich najmłodszy i jeszcze długo będzie zbyt emocjonalny, zanim się go tego nie oduczy. Tylko ona będzie musiała wnieść się ponad powstały zamęt i wysłać wezwanie do Santoth. Powiedziała, że nie wie jak, ale Aliver odparł, że dowie się, kiedy nadejdzie pora.

– Nie zamierzam was dzisiaj opuścić, Meno – dodał – lecz jeśli tak się stanie, a nasza sprawa znajdzie się na skraju katastrofy, wezwij Santoth. Mów do Nualo. To jeden z Santoth, bardzo dobry człowiek, Meno.

– A co z „Pieśnią Eleneta”? – zapytała wtedy.

Aliver patrzył na nią spokojnie.

– Nie wiem. Myślisz, że wiem, jak to wszystko zrobić? Nie wiem. Chciałbym mieć tę księgę, lecz wezwij ich, nawet jeśli nie będziesz jej miała. A potem... zobaczysz, co się będzie działo.

A później poszedł na miejsce swojej śmierci.

Czy naprawdę to powiedział? „Zobaczysz, co się będzie działo”? Nie wydawało się możliwe, by tak potężne wyzwanie można było wysłać niejasnymi uczuciami. Aliver mówił o komunikowaniu się z Santoth, lecz nigdy wyraźnie, Menie nigdy nie przyszłoby do głowy, że sama tego spróbuje. Wymagało to otwarcia umysłu i osiągnięcia stanu spokoju i medytacji, opróżnienia świadomości ze wszystkiego prócz myśli o tych, z którymi chce się skontaktować. Aliver powiedział, że pozwala wezwaniu wypłynąć z ciała i znaleźć właściwy kierunek. To mogło długo trwać, lecz w końcu słyszał w sobie ich odpowiedzi. Wtedy mówił do nich wprost ze swego jestestwa. Do pewnego stopnia odczytują ogólny stan jego umysłu, ale potrafił się też skupić na poszczególnych myślach i je przekazywać. Wymagało to cierpliwości, wiary...

Tak, to też powiedział. Wymagało to wiary, a o wierze sama szeptała Darielowi do ucha. Lecz wydawało się, że śmierć Alivera dowiodła bezsilności wiary. Może była bezsilna,

a może liczyła się tylko w obliczu nieszczęścia tak wielkiego, że nie można się odwołać do niczego innego. Mena stała właśnie przed czymś takim. Wszystko wskazywało na to, że rano Meinowie dokonają rzezi na niedobitkach armii Alivera. To będzie przypiecztowanie zwycięstwa, które już odnieśli. Wiedząc o tym, postanowiła jeszcze raz spróbować uwierzyć. Obiecała to.

Rozejrzała się, jakby w poszukiwaniu czegoś do pomocy, chciała poprzestawiać sprzęty w namiocie albo wysunąć kostkę z uścisku Melia, by łatwiej się skupić. Lecz nie znalazła nic użytecznego. Otoczenie nie sprzyjało koncentracji, ale ona nie chciała zrywać kontaktu z Meliem. Usiadła wygodnie, przycisnęła kciuki do srebrnego węgorza i zamknęła oczy.

Usiłowała uspokoić myśli. Jakiś czas walczyła z nawałą brutalnych obrazów z pola bitwy, obrazów martwego Alivera oraz Alivera w trakcie pojedynku, kiedy wszystko wciąż było możliwe... Wydawało się, że tylko czekały, by ją schwytać w pułapkę. Wyzwól się z tego, pomyślała. Oczyść umysł. Myśl tylko o Santoth. Nie umiała ich sobie wyobrazić, jako że nigdy ich nie widziała. Zamiast tego spróbowała zlokalizować ich energię. Pomyślała o niej jako o punkciku światła na pustym niebie, a potem jako o iskiecce ciepła w otaczającym zimnie, a jeszcze później jako o pulsowaniu życia w milczącej wieczności: tego wszystkiego szukała wewnątrz swego umysłu. Wydawało się, że to tylko ćwiczenie, które odbywa się wewnątrz niej, zamiast w świecie, lecz nie ustawała w wysiłkach.

Uświadomiła sobie, że w pewnej chwili znalazła ten punkcik ciepłego pulsującego światła. Nie, nie znalazła go; ona go stworzyła. Skupiła się na nim i przyciągała go coraz bliżej, aż stał się jej namacalnym ośrodkiem. Znajdował się w niej. Spróbowała sformułować myśl, by ją do niego wepchnąć, lecz miała zbyt wiele do powiedzenia. Nie umiała wybrać jednej myśli, więc zebrała wszystko: swoje obawy, nadzieje i pragnienia, życzenia i marzenia; okropności ostatnich dni, sceny rozlewu krwi, antoki, pojedynki; całą zbliżającą się śmierć i cierpienie. Utoczyła z tego kulę i pchnęła ją w to światło. Jeśli Santoth mają cokolwiek zrozumieć, to równie dobrze mogą zrozumieć wszystko.

Kiedy tylko nabrała pewności, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, by wysłać wiadomość, zaczęła nasłuchiwać. Czekala. Przeszukiwała otaczającą ją ciszę. Wydawała się to nie mieć końca, lecz Mena czekała, nie wiedząc, co innego może zrobić. Po prostu czekała na jakąś odpowiedź.

A ona nie nadchodziła.

Mena obudziła się w namiocie skąpanym w świetle brzasku. Zaskoczona, że zasnęła, wyprostowała się. Obok niej poruszył się Melio. Z zewnątrz dobiegały odgłosy budzącego się

obozu. Ktoś przeszedł obok namiotu, idąc z chrzęstem po wysuszonej ziemi. Stwierdziła, że Melio już jej nie ściska za kostkę; zasmuciło ją to.

Wraz z tym uczuciem zalały ją wspomnienia minionego dnia, łącznie z tym, co usiłowała zrobić. Spróbowała wezwać Santoth, tak jak prosił ją o to Aliver. Lecz nie uzyskała odpowiedzi. Nasłuchiwała tak uważnie i tak długo, że ukołysało ją to do snu. Nie zdarzyło się nic więcej. Nie miała nawet pewności, czy całe to ćwiczenie w ogóle wyszło poza granice jej umysłu. To światełko po prostu sobie wyobraziła, wymyśliła je, siedząc w namiocie obok Melia we wczesnych godzinach tego straszliwego dnia. Pomyślała, że nie udało jej się zrobić nic więcej i że to nie wystarczy. A zatem Aliver popełnił dwa błędy, a nie tylko ten jeden, jakim było stanięcie do pojedynku z Maeanderem.

Powoli wróciła jej świadomość tego, co ma się zdarzyć. Nadchodzącego dnia nie można było uniknąć. Jediną pociechą było to, że nareszcie wszystko się skończy. Przynajmniej wiedziała, jak zginie. Maeander wiedział to, wyzywając Alivera. Stąd się brał jego spokój, jego pewność siebie. Skinął do niej głową, jakby chciał jej to przekazać, chociaż uświadomiła to sobie dopiero teraz. Przewidział swoją przyszłość. Powinna była odciąć mu wtedy głowę. Nie powinna była pozwolić, by przejął inicjatywę. Wtedy popełniła pierwszy błąd.

Ale czy na pewno? Już wcześniej popełniała błędy. I nie liczyły się tylko jej błędy – w minionych latach było tak wiele spraw, które powinny się potoczyć inaczej. Nie, nie w latach – w dziesięcioleciach i stuleciach. Jeszcze we wczesnych wiekach, kiedy po nowo stworzonej ziemi wciąż chodził Dawca. Wtedy ktoś powinien był powalić Eleneta, zanim ukraść to, co nigdy nie powinno było wpaść w jego ręce. Ale jeśli to prawda, to czy w rzeczywistości winy nie ponosił Dawca? To wszystko było jego dziełem. To przed nim Mena chciała stanąć pewnego dnia i go zganić. Dlaczego pozwolił, żeby to wszystko tak szybko się splugawiło? Ledwie wyschła rosa tworzenia, a on już pozwolił, by jego dzieci go zdradziły. I dlaczego nie obchodzi go, że teraz niektórzy walczą o dobro, o to, by zapanował pokój na świecie? Bała się tego pytania. Mógłby je odwrócić i wyśmiać jej aspiracje do bycia sprawiedliwą – przecież była zabójczynią, osobą łatwo wpadającą we wściekłość, doskonałą morderczynią. Może Hanish wcale nie jest większym draniem od niej. Może nie istnieje różnica między dobrem i złem...

Czyjaś ręka szarpnęła klapę namiotu i na sekundę oślepił ją promień światła. A potem usłyszała bardzo zmieniony głos Leeki Alaina:

– Chodź, królewno. Powinnaś to zobaczyć. Coś się dzieje.

ROZDZIAŁ 69

Rialus Neptos był żalonym cherlakiem. Najbardziej rzucało się to w oczy, kiedy stał w otoczeniu numreckich wojowników, mężczyzn wysokich, barczystych, umięśnionych tak, jakby pod zabarwioną na bordowo skórą kryły się grapefruity. Był łasicą w otoczeniu wilków. Każdy z Numreków pochylających się, by zmieścić się pod niskim sklepieniem ukrytych przejść, mógłby chwycić ambasadora za szyję wielką, twardą dłonią i wyrząść z niego życie. Gdyby Corinn nie potrzebowała go do tłumaczenia rozkazów, które właśnie miała zamiar wydać, mogłaby ich o to poprosić. To dziwne, pomyślała, że jej los zależy od takich wątpliwych sprzymierzeńców.

Rzadko miała okazję przebywać tak blisko Numreków. W ciągu dziewięciu lat, jakie upłynęły od wojny, siedziała obok nich podczas kilku uczt, lecz najlepiej zapamiętała ich poprzednią bladość. Po raz pierwszy widziała ich tuż po tym, jak została schwytana i przywieziona z powrotem na Akację. Ich skóra była biała o niebieskim odcieniu i właśnie zaczynała się czerwienić od słońca. Byli jak stworzenia z podziemnej jaskini wypchnięte nagle na światło dnia. Bardzo się różnili od ciemnoskórych istot, na które teraz patrzyła. Mogłaby niemal pomyśleć, że to odmienna rasa, tyle że pamiętała ich postawę, gęste ciemne włosy i rysy twarzy, wymizerowane i pełne zarazem. Wtedy nienawidziła ich z całego serca. Teraz wcale nie czuła się inaczej. Lecz nie chodziło tu o jej uczucia; chodziło o zadanie do wykonania.

Przed kilkoma godzinami leżała w łóżku z Hanishem, dotykając go palcami i słuchając jego równego oddechu. Przedtem nawet splotła się z nim w pościeli; ich nagie ciała były śliskie od potu, łez i namiętności.

Dyszała mu do ucha, a on powtarzał jej imię. A jeszcze wcześniej po prostu się obejmowali, oszołomieni wiadomością o śmierci swoich braci. Ironia tego wszystkiego zapierała jej dech w piersiach. Aliver i Maeander, dwie ofiary; Corinn i Hanish, kochankowie udający, że ich romans nie ma nic wspólnego z toczącą się między nimi walką.

Lecz to było wcześniej, zanim nadszedł świt. W gruncie rzeczy to wszystko było z nim związane i Corinn wiedziała, że Hanish jest o tym przekonany tak samo jak ona. Kiedy rozstała się z nim przed paroma minutami, pocałowała go w usta i życzyła mu powodzenia w rozpoczęciu ceremonii uwalniania Tunishnevre. Powiedziała, że nadszedł czas uzdrawiania,

przerwania szaleństwa wojny, pogrzebienia dawnej nienawiści między ich ludami. Czas uhonorowania zmarłych. Obiecała, że się przygotuje i do niego przyjdzie. Zamiast tego poszła do swego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i wśliznęła się do ukrytego przejścia, które opisał jej Thaddeus. Znalazła Rialusa i Numreków tam, gdzie poleciła im się zebrać – wewnątrz murów pałacu.

Byli tam. Stali w zbrojach, obwieszani bronią, i zatrawali oddechami duszne powietrze. Na myśl o tym, co robi, poczuła ukłucie paniki. Przewyciężyła ją przypomnieniem zdrady planowanej przez Hanisha oraz własnego przyrzeczenia, że nigdy już nie pozwoli się oszukać, utwierdzeniem się w zamiarze pomszczenia brata oraz wspomnieniem pięknych obietnic zawartych w „Pieśni”.

Służący jako tłumacz Rialus przedstawił ją dowódcy. Calrach zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów, przyglądając się z uwagą jej kształtom. Powiedział coś, co wzbudziło zainteresowanie jego towarzyszy. Nawet Rialus spojrział na nią z zaskoczeniem.

– Królewno – powiedział – czy to prawda, że spodziewasz się dziecka? Ja tego nie widzę, lecz Numrekowie... mają nosa do takich spraw.

Corinn nie miała chęci rozpoczynać rozmowy w ten sposób. Musiała stłumić chęć osłonięcia brzucha dłonią.

– Ilu masz ze sobą ludzi, Calrachu? – zapytała.

Rialus odpowiedział, nie tłumacząc pytania.

– Dwustu.

– Dwustu? – powtórzyła Corinn. – Kiedy do ciebie pisałam, kazałam ci sprowadzić oddział zdolny zająć cały pałac oraz częściowo dolne miasto. A ty przyprowadzasz mi dwustu ludzi?

– Więcej nam się nie udało, królewno – odparł Rialus. – To zdumiewające, że nie zostaliśmy zauważeni. Wiesz, jak trudno było przewieźć nocą tych dwustu ludzi kilkoma małymi łodziami? Gdyby ich było choć trochę więcej, zdradzilibyśmy się. Chociaż przyznaję, że ten korytarz jest niewiarygodny! Pomyśleć, że do serca Akacji mogłyby przenikać całe pokolenia wrogów, gdyby tylko znali tę drogę... – Zauważywszy, że Corinn zaciska niecierpliwie wargi, Rialus zakończył dygresję. – W każdym razie dwustu Numreków w zupełności wystarczy do zdobycia pałacu od wewnątrz. Trudno ich zabić.

– Hanish ma tu całą armię, a wśród żołnierzy są Punisari. Ich też jest trudno zabić.

Calrach, zirytowany, że nie uczestniczy w rozmowie, szturchnął Rialusa. Drobny mężczyzna powiedział do niego coś po numrecku, płynnie i z ożywieniem. Calracha to rozbawiło. Patrząc na Corinn, odpowiedział coś nieharmonijnie.

– Punisari to nie problem – przetłumaczył Rialus. – Mówi, że zajmie dla ciebie pałac w ciągu kilku godzin, a sprzątanie po tym będzie trwało dłużej niż sam czyn.

Corinn popatrzyła w szeroko rozstawione, bursztynowe oczy Numreka. Nigdy przedtem nie zauważyła ich koloru. Patrzyła w nie prawie z przyjemnością. Dziwnie było tak tu stać i cicho rozmawiać z Calrachem o tym wszystkim. Numrekowie nie musieli nienawidzić, żeby zabijać. Nie było istotne, że nie mają jakichś głęboko zakorzenionych żalów do Hanisha i jego ludu. Owszem, mieli powody do narzekania, lecz nie byli szczerze oddani tej walce. Corinn wiedziała, że dopóki czerpią z niej korzyści, tak naprawdę nie obchodzi ich, kto wygra. To jej odpowiadało. Żadna ideologia nie wypaczy ich motywacji ani nie zmaci im myśli. W ich chciwości kryła się prostota, zrozumiałe uzasadnienie tego, o co ją poprosili w zamian za pomoc. Z takimi ludźmi zawsze będzie wiedziała, jak wygląda sytuacja.

– Możecie przeprowadzić ten atak? – zapytała. – Jesteś pewien?

Calrach odparł, że na wojnie nie ma nic pewnego. Potem jednak wyszczerzył się w uśmiechu i dodał:

– Nic oprócz zwycięstwa Numreków.

Rozejrzał się po towarzyszach, którzy zaczęli mrukliwie mu przytakiwać. Zaczekał, aż wszyscy odpowiedzą, co zajęło parę chwil, bo odezwali się nawet ci, którzy przyczaili się dalej w mroku korytarza.

– Przeczysz sam sobie – rzekła Corinn, kiedy już się uciszyli. – Nic z tego nie wyjdzie, jeśli...

Numrek jej przerwał. Mówił kilka chwil, a potem Rialus przetłumaczył.

– Mówi, że zabiją ich wszystkich.

– Nie powiedział nic więcej?

Rialus uśmiechnął się z wyższością.

– To sedno jego wypowiedzi. Opisał też swoje metody, ale nie sędzę, by cię zainteresowały.

– A zatem zróbcie to – powiedziała Corinn, zwracając się do Calracha. – Zabijcie wszystkich. Wszystkich bez wyjątku. Nie okazujcie litości, nie słuchajcie błagań. Zabijcie ich wszystkich oprócz samego Hanisha. Zachowajcie go przy życiu dla mnie.

Usłyszawszy to ostatnie polecenie, Calrach wzruszył ramionami. Powiedział, że się zgadza. Hanish go już nie interesuje. Zanim jednak odszedł, poprosił Corinn, by potwierdziła zasady ich umowy. Kiedy to zrobiła, uśmiechnął się, a jego wystające zęby zaślniły w blasku pochodni.

– Z radością się zgadzamy. Ale skąd mam wiedzieć, czy dotrzymasz tej obietnicy?

– Stąd, że to, czego chcecie, jest dokładnie tym, czego chcę i ja. Nie obiecuję ci tego jako podarku. To leży w interesie nas obojga.

Po usłyszeniu tłumaczenia tych słów Calrach długo się jej przyglądał. Wzrok miał taksujący, nachalny, a mimo to obojętny.

– O wiele bardziej wolę pracować z tobą, niż robić interesy z Hanishem – oznajmił w końcu. – Dlatego dostaniesz swój pałac z powrotem. A także spełnimy twoje życzenie i nikomu nie powiemy, co nam obiecałaś. To będzie nasza tajemnica, tak? Między królowną Corinn i Numrekami. Nikt inny nie musi jej znać – do dnia, w którym wyjawimy ją światu.

Corinn odsunęła się na bok i przepuściła żołnierzy. Byli niezwykle rośli i głośni. Kiedy się poruszali, skrzypiały ich skórzane spodnie. Broń i fragmenty zbroi podzwaniały i zgrzytały. Wielu z nich rozmawiało w swoim nieharmonijnym języku. Mijając ją, niektórzy szczerzyli się w uśmiechu za zasłoną szorstkich włosów. Kilku nawet roześmiało się swobodnie z niezrozumiałych dla Corinn żartów, jakby po prostu szli na ćwiczenia. Kiedy Rialus mówił o dwustu ludziach, liczba wydawała się niewielka, lecz gdy przechodzili obok królowny, wydawało się, że jest ich niezliczone mnóstwo.

A potem zniknęli. Zapanowała cisza, która wróciła na swoje miejsce, jakby zde gustowana niedawnym najściem. Rialus, który nie brał udziału w walce, kręcił się nerwowo i często chrząkał, jakby chciał coś powiedzieć. Corinn nie zwracała na niego uwagi. Opadły ją wątpliwości. Pozbawiły ją tchu i sprawiły, że żołądek podjechał jej do gardła. Nierealność tego, co się działo, oraz fakt, że to ona, Corinn, nadaje bieg wydarzeniom, były niemal nie do pojęcia. Czuła się, jakby naciskał na nią sufit. Ciągle na niego zerkiała, podejrzewając, że się obsuwa. Po raz pierwszy zauważyła dziwaczne rzeźby pokrywające ściany w pobliżu, kształty na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce. Czy tak kiedyś wyglądał jej lud? Czy to jej przodkowie?

Rialus przerwał jej rozmyślenia.

– Czy mogę zapytać, królowno, jak się dowiedziałas o tych tajnych przejściach?

– Od Thaddeusa Clegga – odpowiedziała odruchowo.

– Od Clegga? – zapytał Rialus z niepokojem w głosie. – Naprawdę? Od tego starego zdrajcy? Jest tu, w pałacu? Jemu nie można ufać. Co on...

– On nie żyje, Rialusie. Nie zagraża ci w żaden sposób.

Odszedł, pomyślała Corinn, lecz dar, który mi zostawił, nie zniknął. Pewnego dnia, kiedy nauczy się nim posługiwać, zrobi wiele rzeczy. Wiele dobrego. Wtedy nie będzie musiała zabijać. Nie będzie musiała się sprzymierzać z...

– Cóż, czy mogę zapytać, co zamierzasz teraz robić? Niezupełnie zmierzasz do tego samego celu, co twój brat. Przykro mi to mówić, ale on już się nie liczy, lecz pozostają Mena i Dariel. Co się stanie, kiedy...

Corinn odwróciła się do ambasadora i podeszła tak blisko, że cofnął się o krok, zaniepokojony nagłością jej ruchu. Możliwość wyładowania na nim wzburzenia pomogła jej wziąć się w garść.

– Nie, Rialusie, nie możesz mnie o nic pytać. Jeśli rozmawiamy, to dlatego, że ja cię o coś zapytałam. Między nami nie istnieje nic więcej, zrozumiano? Potrzebuję cię, lecz nie mam złudzeń co do natury twojej lojalności. Tak samo ma się sprawa z Numrekami. Tak jak oni, będziesz lojalny z jednego powodu – ponieważ tylko ja daję ci wszystko to, czego pragniesz. Meinowie obdarliby cię żywcem ze skóry. Mój brat albo siostra uwięziliby cię jako zdrajcę, bo nim jesteś. Tylko ze mną masz jakąkolwiek szansę na przetrwanie. Wątpisz w to?

Nie wątpił.

– Dobrze. Moim rodzeństwem zajmę się, kiedy będę musiała. Oczywiście ich kocham. Oni kochają mnie. Tym się nie interesuj.

Przestała mówić i dała ręką znać, że Rialus też powinien zachować milczenie. Usłyszała okrzyki niepokoju i szczęk broni. Dźwięki te były stłumione i zniekształcone przez odległość, sprawiając niemal upiorne wrażenie. Gdyby nie nasłuchiwała, mogłaby ich nawet nie zarejestrować. Słyszała dość opowieści o tym, jak walczą Numrekowie, by móc wyobrazić sobie sceny rozgrywające się w pałacu. Zapewne w tej chwili Numrekowie rozbiegają się po korytarzach. Pojawiają się w samym sercu pałacu bez najmniejszego ostrzeżenia i powodują niesłychany zamęt. Przebiegają z pomieszczenia do pomieszczenia, wywijając toporami bojowymi, obcinając ręce i rozbijając czaszki, przyszpilając ludzi do ścian włóczniami, rozcinając szablami brzuchy, nikomu nie okazując litości.

Przycisnęła dłonie do brzucha, porażona wyobrażonymi obrazami ludzi, których skazała na taką śmierć. Mężczyzn takich jak Haleeven, wuj Hanisha, którego nawet lubiła. Kobiet takich jak Rhrenna, jej niegdysiejsza przyjaciółka, i Halren, która się z niej śmiała przy kolacji tamtego wieczoru w Calfa Ven. Strażników i żołnierzy, pokojówek i służących, oficjeli, szlachcianek i ich dzieci. Wspomnienia twarzy i imion były jak grad ciosów w żołądek. Jakiż koszmar uwolniła! Cofnęła się i oparła o ścianę. Musiała pamiętać, że to jej wrogowie. Zawsze nimi byli. Co do jednego. Jeśli wydawali się dystyngowani i nieszkodliwi, to tylko dzięki temu, że inni siali śmierć w ich imieniu.

Ambasador podszedł do niej z pytaniem, czy dobrze się czuje.

– Powiedziałeś wcześniej, że twoim zdaniem nie będę zainteresowana wszystkim, co

mówił Calrach. W przyszłości, Rialusie, kiedy będziesz dla mnie tłumaczył, rób to dokładnie. Nie twoim zadaniem jest skracać to, co ja lub oni mamy usłyszeć.

Rialus skinął głową, potulnie przyjmując reprimendę. Kiedy chwilę potem spojrzała na niego, zauważyła na jego twarzy uśmiech zadowolenia. Omal nie zapytała ostro, dlaczego się uśmiecha. Ale zaraz zrozumiała powód. Właśnie obiecała mu przyszłość. Wyglądało na to, że teraz może tak obdarowywać ludzi. Albo im coś odbierać.

Przyzwyczajenie się do tego zajmie jej trochę czasu.

ROZDZIAŁ 70

Kiedy w świetle przedświt Leeka Alain wyszedł z namiotu, już postanowił, że to będzie jego ostatni dzień. Tak wiele walk stoczył w swoim życiu, w tak różnorodnym terenie, od tych wysuszonych pól po góry Senivalu i bagna Candovii, aż do wysoko położonej tundry Meinu i w lasach Aushenii. Potykał się z żołnierzami Maeandera Meina; walczył z wojskiem Hanisha; ścierał się z senivalskimi góralami oraz walczył z Numrekami, rasą, którą spotkał jako pierwszy w Znanym Świecie. Okiełznał nawet jednego z tych cudzoziemskich wierzchowców, przypominających nosorożce. Przetrwał śnieżne zawieje i burze płonących kul. Odniósł kilka zwycięstw, ale i niejedną klęskę. Zniżył się nawet do poziomu pełzającego na brzuchu nałogowego palacza mgły. A mimo to został wskrzeszony i otrzymał jeszcze jedną szansę.

To czyniło z niego jednego z najszcześliwszych ludzi na świecie. Dzięki twardej dyscyplinie Thaddeusa Clegga dostał szansę rozpoczęcia nowego życia. Wraz z nim odnalazł młodego królewicza Dariela. Miał swój udział w nauczaniu go jego prawdziwego imienia i przemianie ze zbójcy w człowieka godnego szlachetności, której był spadkobiercą. Widział jak Mena, gibka i drobna, staje się niezrównaną mistrzynią sztuki wojennej. To, co robiła z szablą poprzedniego dnia, było niewiarygodne. Patrząc na jej szczupłą figurę i inteligentną twarz, trudno było zrozumieć, że kryje w sobie takie pokłady wściekłości. I widział, jak najstarszy syn króla Leodana staje się prorokiem zmiany, szlachetnym człowiekiem, który mówił o lepszym świecie i chciał brać udział – oraz umrzeć – w walce o urzeczywistnienie go. Zastanawiał się, co mogłoby kiedykolwiek przebić widok królewicza powalającego antoka, stwora rodem prosto z jaskiń piekła?

To najlepsza chwila w jego życiu, tak jak śmierć Alivera następnego dnia była niewątpliwie najgorszym przeżyciem generała. Jakże kapryśną drogą podążają ich losy.

Leeka nie żałował życia, jakie wiódł. Na pewno nie chciałby zmienić ani jednego momentu z lat, kiedy pracował dla swego króla i kraju. To jednak całkiem możliwe, że jego podróż przez życie nie zakończy się tak, jakby sam chciał. Uznał, że stawi czoło tej prawdzie z największym spokojem, na jaki będzie go stać. Przynajmniej poniesie klęskę z godnością i umrze zgodnie z zasadami kodeksu, wedle którego żył. Uważał, że o to właśnie będzie chodzić w walce na śmierć i życie z Meinami, jaka się rozegra w nadchodzącym dniu. Szedł

do niej w zbroi, z szablą u boku i z pobrużdżoną twarzą o tak spokojnym wyrazie, jaki tylko zdołał na nią przywołać, by dać przykład swoim podwładnym.

Taki w każdym razie miał zamiar, kiedy odsunął klapę namiotu i wyszedł na zewnątrz. Lecz to, co ujrzał na południowym horyzoncie, było tak dziwaczne i nieoczekiwane, że natychmiast opuścił go cały spokój. Dosłownie opadła mu szczęka, a usta ułożyły się w pełen zdumienia owal. Jego oczy przypominały dwie miedziane monety i z każdą chwilą robiły się coraz większe.

A ujrzał niebo pełne skłębionych czerwonych i pomarańczowych chmur, płonące pióropuszcami żółci i czerwieni. Na tym tle widać było zbliżającą się grupę olbrzymów. Widok był dziwaczny i surrealistyczny, a ich postacie na tyle niematerialne, że czasami przeświecały przez nie ostatnie gwiazdy przedświt, widziane w przerwach między kłębiącymi się chmurami. Patrzył na czarne sylwetki, olbrzymie wydłużone postacie, chwiejące się w rytm kroków. Wymachiwały na boki rękami, jakby szły po niepewnym gruncie i chwyciły równowagę. Każdym krokiem pokonywały całe kilometry. Za pierwszymi olbrzymami Leeka dostrzegł następnych i poczuł napór kolejnych, wyłaniających się zza horyzontu. Poszukał w pamięci czegoś, co mogłoby wyjaśnić ten widok. Przypomnił sobie tylko jedno.

– Czy mogą to być Mówcy Boga? – zapytał Menę, kiedy wyszła z namiotu na jego szorstkie wezwanie. – Kiedy Tinhadin ich wygnał, czy nie udali się na południe, niszcząc wszystko po drodze jak rozwścieczone olbrzymy? Przypominam to sobie z lekcji z dzieciństwa.

Z lekcji z dzieciństwa? Sam ten pomysł brzmiał na tyle absurdalnie, że Leeka zaczął powątpiewać we własne zdrowie psychiczne. Może śni albo ma halucynacje. Mena zaraz na niego spojrzy i powie, że oszalał.

– Mam nadzieję, że też ich widzisz? – zapytał bez zwykłego opanowania w głosie.

Mena milczała, lecz wpatrywała się w zbliżające się postacie, to wystarczyło za odpowiedź.

Po chwili dołączył do nich Dariel, równie oniemiały. W ciągu kilku minut niedobitki armii stanęły wpatrzone w scenę rozgrywającą się na tle południowego nieba. Trudno było ocenić, jak daleko znajdują się te postacie. Każdy ich krok wydawał się olbrzymi. Wyglądało to, jakby ich nogi rozciągały się tak, że stopę postawią już za patrzącymi. Lecz następny krok sprawiał takie samo wrażenie, podobnie jak kolejny. Wszystko to było bardzo dziwne. Leeka wiedział, że w rzeczywistości się zbliżają, lecz obszar, jaki przemierzali, znajdował się poza granicą jego pojmowania.

Leeka wyczuł narastający wokół niepokój. Jemu samemu nie przyszło do głowy się bać. Coś tu się działo, owszem. Coś nieoczekiwanego. Był z tego zadowolony, nawet nie wiedząc, co to takiego. Lecz zważywszy na to, czego ostatnio byli świadkami, pozostali mogli się przestraszyć. Nie wszyscy byli starcami, jak on. Nie wszyscy postanowili umrzeć. To oczywiste, że doszli do wniosku, że cokolwiek się zbliża, chce ich zaatakować.

Ktoś zaczął mamrotać modlitwę po bethuńsku. Ktoś inny wypowiedział słowo, oznaczające meinińskich przodków, i stwierdził, że przybywają, by pomścić Maeandera. Jeszcze inny głos wrzasnął, że wraca sam Maeander. Został zabity niehonorowo i teraz wszyscy zostaną za to ukarani.

– Spokój! Zachowajmy spokój – rzekł Leeka.

Chyba nikt go nie usłyszał. Ludzie zaczęli się cofać, potykając o rozmaite przedmioty i wytrzeszczając oczy ze strachu.

– Stać! Wszyscy! – ryknął Leeka. – Wysłuchajcie mnie! Cokolwiek się zbliża, bądźcie odważni i powitajcie to razem z nami. Nadal walczymy za królową Menę i królewicza Dariela. Nasza sprawa jest słuszna...

Mena chwyciła generała za rękę.

– Ja wiem, kim oni są – powiedziała. – Masz rację. To Mówcy Boga. To ja ich przywołałam. – Podniosła głos; był ostrzejszy i wyższy niż głos Leeki, zwracał uwagę. Krzyknęła, że nie mają się czego bać. Zbliżające się olbrzymy to czarnoksiężnicy Santoth. Przybyli na jej wezwanie i są przyjaciółmi jej brata, przyjaciółmi ich wszystkich. – Nie ma się czego bać.

Ton, jakim Mena wypowiedziała to ostatnie zdanie, nie świadczył o jej pewności siebie, lecz samo słuchanie jej słów uspokoiło żołnierzy. Zamiast uciekać, skupili się. Zacieśnili szeregi, obstawiając królewskie rodzeństwo i generała. Nawet ci, którzy stali dalej i prawdopodobnie nie słyszeli słów królowy, kierowali się w jej stronę, może pamiętając jej wyczyny z poprzednich dni i czerpiąc z nich otuchę. Czekali, zbici w jedną masę.

Leeka, który stał tuż za Akaranami, zobaczył, że Dariel odwraca głowę i szepcze siostrze do ucha:

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, Meno.

– Ja też – odparła, znów wpatrując się w niebo. – Ja też.

Kiedy postacie zmieniły kształt, uczyniły to szybko, w ciągu kilku sekund. W jednym momencie były olbrzymami, które po raz pierwszy ujrzał Leeka. W następnym momencie zrobiły się mniejsze, a potem jeszcze mniejsze. I jeszcze mniejsze. Działo się to tak szybko, że Leeka patrzył na niebo jeszcze jakiś czas, gdy nic już tam nie było widać. Kłębujące się

chmury znikwały bezdźwięcznie, zza nich wyjrzało poranne niebo w zwykłym bladym odcieniu talayskiego błękitu.

Leeka zastanawiał się, czy to już koniec. Niematerialny pokaz światła na niebie, trudny do zrozumienia, w ostatecznym rozrachunku rozczarowujący. Lecz to nie było wszystko. Wszędzie wokół słyszał, jak ludzie wstrzymują oddech, poczuł, jak Mena musnęła go ręką. Opuścił wzrok.

W niewielkiej odległości dostrzegł grupę mężczyzn. Byli normalnego wzrostu, z ciała i krwi, szli swobodnym krokiem. Było ich około stu. Chwiali się lekko, jak tamte olbrzymy, lecz pod wieloma względami stanowili ich przeciwieństwo: byli mali i materialni. Mieli zgarbione ciała i chude kończyny jak starcy oraz wymizerowane, wygłodniałe twarze. Nie powinni wzbudzać strachu. Mimo to Leeka bezwiednie cofnął się o krok, wciskając się w ciżbę ludzi stojących tuż za nim.

Pierwszy z mężczyzn zatrzymał się w odległości zaledwie kilku kroków. Pozostali skupili się za nim. Leeka wpatrywał się w ich twarze. Coś z nimi było nie w porządku. Nie były normalne. Widział szczegóły: rozmaite kształty nosów, poszarpanie linie włosów, różne kształty oczu. Lecz zarazem prawie że widział szwy na krawędzi czoł i pod brodami, jakby przejęli cudze skóry i naszyli je na swoje. Czasami ich ciała przebiegał dreszcz, po którym wyglądały zupełnie inaczej. Im dłużej Leeka im się przyglądał, tym bardziej mu się wydawało, że w rysach tych mężczyzn widzi twarze znajomych osób. W zmarszczonym czole jednego z nich, w brwiach innego i linii szczęki jeszcze kolejnego zobaczył nawet siebie...

Kto nas wezwał?

Pytanie to pojawiło się w jego umyśle. Usłyszał je, chociaż nie zostało wypowiedziane. Postacie nie poruszyły ustami, lecz słowa odezwały się w jego wnętrzu chóralnym brzmieniem zmieszanych głosów. Kiedy się rozejrzył, zrozumiał, że nie jemu jednemu zadano to pytanie.

Kto nas wezwał?

– Ja – rzekła Mena. Jej głos sprawiał wrażenie kruchego jak gałązka. Wydawało się, że zauważyła to. Spróbowała jeszcze raz. Powiedziała, nie otwierając ust:

Ja. Jesteście Santoth? Nualo? Czy jeden z was to Nualo?

Postacie się przybliżyły. Wyglądało to tak, jakby zmierzały w stronę Meny na rolkach. Jedna z nich wystąpiła do przodu. Udało jej się przekazać, że nazywa się Nualo, nie potwierdzając tego w otwarty sposób. Leeka po prostu to wiedział, podobnie jak wszyscy stojący w pobliżu. Wszyscy brali w tym udział.

Dlaczego nie wezwał nas pierwotny?, zapytał Nualo.

Mena zerknęła na brata, na Leekę. Przełknęła ślinę.

Aliver, pierworodny, umarł... Zarumieniona, z drżącymi ustami, ciągnęła wypowiedź. Został zabity przez wroga. Dlatego was wezwałam. Przed śmiercią powiedział, że tylko wy możecie...

Santoth nie pozwolił jej dokończyć. Poprosili o dowód śmierci pierworodnego. Mena powiedziała, że jego ciało znajduje się nieopodal. Czarnoksiężnicy natychmiast przemieścili się w tamtą stronę. Nie trzeba im było mówić, jak mają znaleźć ciało Alivera.

Oniemiały, nie wiedząc, co począć, Leeka nawet się nie poruszył. Inni też tylko patrzyli po sobie. W końcu ciszę przerwał Dariel.

– Pytałem już o to wcześniej i w tej sytuacji spróbuję zapytać jeszcze raz... Mamy jakiś plan? – powiedział, siląc się na humor.

Mena nie miała czasu na odpowiedź. Santoth już wracali na te same miejsca, które zajmowali wcześniej. Leeka ledwie nadał za rozmową, jaką Mena z nimi nawiązała. Przekazywali sobie tak wiele, nie tylko słowa, lecz także myśli, które nie przybierały werbalnego kształtu. Leeka się pogubił, lecz Menie udało się utrzymać kontrolę nad przepływem informacji. Santoth przyznali, że odczuli śmierć Alivera. Wyczuli moment przerwania więzi z nim, lecz mieli nadzieję, że uda się ją nawiązać ponownie. Uwierzyli mu, kiedy obiecał, że ich uwolni. Mógł to uczynić tylko on, jako pierwszy ze swego pokolenia oraz bezpośredni potomek Tinhadina. Chcieli wiedzieć, jak mógł dać się zabić, nie spełniwszy danej im obietnicy.

Mena nie umiała na to odpowiedzieć; tak się po prostu stało. Zapytała jednak, czy Aliver nie mógłby ożyć. Czy nie mogliby przywrócić mu życia? Czyż nie dysponują mocą, by go uzdrowić? Lecz Nualo, mówiący teraz w imieniu innych, powiedział, że nie. Nie potrafią przywracać życia. Elenet nie nauczył się, jak to robić. Dawca chronił tę wiedzę nade wszystko i odszedł, nigdy nie wypowiedziawszy odpowiednich słów. Być może w ogóle nie istnieją słowa przywracające życie osobie, która umarła naprawdę, bez udziału magii.

A zatem zróbcie, co możecie, rzekła Mena. Pomóżcie nam pokonać Meinów. Właśnie ku nam zdążają. Spójrzcie, jeśli nie wierzycie. Nadchodzą.

Nualo oraz pozostali odwrócili się we wskazaną przez nią stronę. To była prawda. Meinińska armia zbliżała się, wydawała się nawet liczniejsza niż poprzedniego dnia, by zakończyć to, co zaczęła. Patrząc na tych żołnierzy, Leeka uświadomił sobie, jak całkowitą klęskę ponieśli. Mógł mieć nadzieję, że te olbrzymie kształty na niebie wytrącą wrogów z równowagi, lecz oni maszerowali, jakby nie widzieli niczego niezwykłego. Leeka czuł, że jego wojsko traci otuchę. Zbliżał się koniec. Nastąpił za kilka minut.

Nie możemy, rzekł Nualo. Wyrządzilibyśmy jedynie szkody.

– Jakby oni nie zamierzali ich wyrządzić – odezwał się Dariel, lecz w jego słowach zabrakło humoru, szczególnie że w obecności Santoth brzmiały tak nieharmonijnie.

Nualo wyjaśnił, że język Dawcy zawsze zwodzi. Nie był przeznaczony dla ludzi. Nigdy nie powinni byli go studiować. Potęga, jaką władali, była niebezpiecznym narzędziem nawet w najlepszych czasach, nawet wtedy, kiedy mieli „Pieśń Eleneta” i mogli ją czytać. Bez względu na to, że usiłowali czynić dobro, ono zawsze okazywało się wypaczone. Tinhadin nie wygnał ich bez powodu. Żaden Santoth nie chciał ryzykować wykorzystywania ich wiedzy do aktów przemocy. Gdyby ją zapoczątkowali, nie umieli przewidzieć, jak by się to skończyło.

Królewicz wiedział, że nie możemy nic zrobić bez wcześniejszego zapoznania się z „Pieśnią Eleneta”, powiedział Nualo.

– To po co o tym rozmawiamy? – wtrącił się Dariel. Spojrzał ku północy, rojącej się teraz od Meinów, którzy śpiewali i wykrzykiwali obelgi. A potem zwrócił się do Santoth, lecz powstrzymał słowa cisnące mu się na usta i porozumiał się z nimi tak jak Mena. *Aliver nie żyje! Ta armia nadchodzi, by nas zniszczyć. Widzicie ją, prawda? Wyjaśnij mi, jaką będziecie mieć nadzieję na powrót z wygnania, jeśli zginiemy? Żadnej i dobrze o tym wiecie.*

Nualo skupił całą uwagę na młodszym Akaranie. Na czole Santoth pojawiła się zmarszczka, ześliznęła mu się po gałce ocznej, zmieniła kształt nosa i wygięła kącik ust, a potem zniknęła. Leeka wiedział, że była oznaką gniewu, desperacji i świadectwem tego, jak trudno jest tym wygnańcom zamieszkiwać fizyczny świat.

Leeka usłyszał w głowie głos Nualo: *Nie wiesz, co mówisz.* Obserwując go, generał wiedział, że mówi prawdę.

Zirytowany Dariel odwrócił się i ruszył w stronę Meinów, wołając, by inni uczynili to samo. Mijając swój namiot, zebrał rzeczy. Odpowiedziało mu kilka osób, lecz Mena nie spuszczała wzroku z Nualo.

On może nie wie, ale ty wiesz, przesłała. Wezwałam was, a wy przybyliście. Nie po to, by nic nie zrobić, prawda? Zróbcie, co możecie. Później, kiedy na świecie zapanuje pokój, znajdziemy „Pieśń Eleneta”. Znowu będziecie mogli przemawiać czystym językiem. Wtedy odwróćcie wszelkie zło.

Nualo i jego towarzysze zastanawiali się nad tym przez jakiś czas. Teraz ich twarze zmieniały się jeszcze szybciej – marszczyły się, zmieniały kształt, pokrywały dziobami, łuszczyły, a potem odnawiały; ich rysy były w ciągłym ruchu. Czarnoksiężnicy byli poruszeni, rozgniewani, wygłodniali. Tak, byli też wygłodniali. Naradzali się.

Leeka usłyszał odgłosy zaczynającej się bitwy. Poczul jej zew. Nie mógł pozwolić, by

Dariel zginął bez niego. Właśnie się odwrócił i zaczął oddalać, kiedy usłyszał słowa Nuala:

Inni też popełnili ten błąd, wierząc, że ze zła zrodzi się dobro. Nie jest tak. Dzisiaj nie będzie inaczej.

Leeka szedł dalej. Położył dłoń na szabli i poczuł znajomy kształt jej rękojeści. Wiedział, że Santoth jeszcze nie skończyli. Umiał wyczuć gniew, widział, jak popycha ludzi do działania i czuł za plecami jego coraz intensywniejsze pulsowanie. Zrobią to. Bez względu na swoją mądrość i pragnienie pokoju, są ludźmi. Buntują się przeciwko losowi. Opłakują śmierć swego wybawcy. Pragną zemsty. I pragną zrobić to, co było im zakazane od pokoleń. Chcą otworzyć usta i przemówić.

Cokolwiek się stanie, trzymajcie się z tyłu, powiedział Nualo. Nie idźcie za nami i nie patrzcie. Będzie dla was lepiej, jeśli nie będziecie patrzeć.

Leeka wciąż jeszcze szedł, kiedy wielkimi krokami minęli go Santoth. Jeden z nich wykonał ręką gest, który odepchnął starego generała, niemal go przewracając. Tak samo postąpili z innymi, także z tymi, którzy znajdowali się przed nimi. Poruszeniami palców lub dłoni wyrwali żołnierzy z wiru walki i odrzucali z dala od Meinów. Leeka zobaczył jak Dariel, jakby ciągnięty za głowę, przesuwają się po ziemi i gwałtownie lądują obok siostry. Mena pomogła mu wstać, a potem odwróciła go plecami do bitwy. Zawołała, by inni zrobili to samo.

– Nualo powiedział, żeby nie patrzeć! – stwierdziła. – Róbcie, co kazał. Nie patrzcie, cokolwiek będzie się działo.

Leeka miał tylko kilka sekund na zastanowienie. Ale tak naprawdę nie zastanawiał się nad tą decyzją. Nie zamierzał też swoim aktem nieposłuszeństwa okazać choćby odrobiny braku szacunku. Ale obudził się tego ranka z zamiarem poniesienia śmierci, pewien, że wychodzi na światło słońca po raz ostatni w życiu. Teraz, mając w zasięgu wzroku widok stuleci, nie mógł się od niego odwrócić. Jeśli nie ma innego wyjścia, niech to będzie ostatnia rzecz, jaką ujrzy. Odwrócił się od Meny, Dariela i skulonych pleców akacjańskiej armii. Poszedł do bitwy za czarnoksiężnikami.

Był wśród nich, kiedy rozeszli się promienieście po polu; na tyle blisko, by widzieć, że pracują z zamkniętymi oczyma. Poruszali ustami. Mówili. Nie, śpiewali. Napętlali powietrze zmienną, melodyjną płataniną słów i dźwięków. Ich pieśń miała w sobie fizyczną gęstość. Muzyka ocierała się o Leekę ze słyszalnym szelestem, podobna w dotyku do szorstkiego grzbietu węża. Co pewien czas jeden z czarnoksiężników powoli poruszał w powietrzu ręką, jakby chciał wyczuć czubkami palców eter.

Meinowie cofnęli się, zdumieni, pełni wahania. Kilku generałów usiłowało

przywrócić porządek i kontynuować atak, lecz nie mieli na to szans. Wszyscy Santoth zaatakowali w tym samym momencie. Ruszyli do przodu, nie zmieniając kroku, lecz pokonywali przestrzeń błyskawicznie, trudnymi do zmierzenia skokami. Wykrzykiwali przy tym dziwne, niezrozumiałe słowa. Wymachiwali rękami, młóćąc powietrze jak szaleńcy nęكاني przez niewidzialne demony.

Leeka pobiegł za nimi. Znajdował się za Santoth, który zbliżył się akurat do grupy blondwłosych żołnierzy. Przygotowali się na spotkanie z nim: szeroko rozstawili nogi, szable ujęli obiema rękami, odwiedli łokcie. Lecz Santoth jednym machnięciem ręki obdarł dwóch z nich ze zbroi, ubrania, a nawet skóry. Upuścili szable i stali, nic nie rozumiejąc; mięśnie twarzy, ścięgna i chrząstki mieli wystawione na działanie powietrza, a z brzuchów wyśliznęły się im jednym kłębem wnętrzości. Santoth minął ich, zanim padli na ziemię, i zrobił to samo z kolejnymi.

Inny czarnoksiężnik uderzył pięścią w powietrze; ruch wyglądał dziwnie, jako że nie miał przed sobą przeciwnika. Sekundę później cała grupa żołnierzy stojących sto metrów dalej zamieniła się w ciecz. Najpierw każdy z nich zmienił się w tysiące kuleczek z płynem, zebranych w ludzki kształt. Spadając na ziemię, kuleczki pękały i zostawiały po sobie kałuże czerwonej cieczy. Inny czarnoksiężnik wydmuchnął swoją wściekłość prosto z gardła z siłą, która wypaczyła powietrze przed nim i utorowała krwawą ścieżkę, łamiącą kości jak toczący się głaz.

W ciągu kilku sekund wszystko się zmieniło. Meinowie uciekali w popłochu. Wielu z nich rzucało broń i zrywało hełmy z głów. Szarpali i tratowali towarzyszy w ataku paniki. Przepychali się, opanowani strachem. Było jasne, że zostali całkowicie pokonani. To, co widzieli w twarzach czarnoksiężników, przejmowało ich przerażeniem. A Santoth ścigał ich z rosnącą furią. Poruszali się szybciej, wykonywali obszerniejsze gesty, potężniej ryczeli. Tupali, a ziemia wokół nich wybrzuszała się i przesuwiała, jakby skorupa ziemi była zrobiona z tanich desek, rozbijanych od dołu toporami; żołnierze przewracali się jak pionki.

Leeka mruknął do siebie, że to niemożliwe. To nie może być prawdziwe. Powtarzał to raz po raz. Nie mogło być prawdziwe, nawet jeśli było mu znajome. Było to podobne do jego wizji z czasu, kiedy płonął gorączką i miał koszmary, leżąc w stercie trupów wysoko na Płaskowyżu Mein. Obrazy szalejące mu wówczas w głowie były bardzo podobne do tego, co go teraz otaczało. Lecz tamte sny nie były prawdziwe. To były złudzenia. Chciał wierzyć, że te obrazy to też wytwory jego umysłu. Nie powinien w nie wierzyć, nie mógł ufać swoim zmysłom. Jeśli miałby wierzyć własnym oczom, to świat był obrazem namalowanym na lichym płótnie. Można je było podrzeć na strzępy. Te rozdarcia mogły biec przez niebo i

ziemię, a czasami przez ciała ludzi znajdujących się na ich drodze. Blizny zrastały się tak szybko, jak powstawały, lecz widok i towarzyszące ich powstawaniu odgłosy budziły niewyobrażalne przerażenie. I jeśli jego oczy nie kłamały, to z nieba lał się deszcz wijących się okropieństw. Węże, robaki, wije rozmiarów starych sosen, stwory podobne do węgorzy, wyrwane z głębin jakiegoś wielkiego oceanu – wszystkie spadały z głuchym hukiem na ziemię. Skręcały się i wiły, rozganiając oddziały, miażdżąc Meinów. Potwory tarzały się po ziemi, zgniatając żołnierzy. A Leeka wiedział, że nie widzi najgorszego. Był przekonany, że prawdziwe potworności dzieją się tuż na krawędzi pola jego widzenia i umykają mu. Rozgorączkowany, kręcił głową na boki, rozglądając się. Mimo to nie zdołał dojrzeć pełni koszmaru, który wyczuwał w pobliżu.

Zobaczył jednego z Santoth, stojącego nieruchomo z ustami otwartymi w pieśni. To był Nualo. Leeka ruszył w jego stronę. Podszedł tak blisko, jak się ważył, i stanął zadyszany, zmęczony jak nigdy w życiu, wyczerpany przez coś więcej niż wysiłek fizyczny.

Trudno żywym przebywać w pobliżu magii, pomyślał. Taka siła jest...

Nualo się odwrócił. Nie był to nagły ruch, lecz powolny obrót zapoczątkowany przez oczy, za którymi podążyła głowa i reszta ciała. Czarnoksiężnik spojrział na rozciągające się za nim pole bitwy. Leeka nigdy nawet nie wyobrażał sobie takiej wściekłości. W oczach Nuala ujrzał płonąca, drżącą intensywność, jakby odbijał się w nich cały ten chaos.

Wypaczona. Taka siła jest wypaczona. Leeka usłyszał te słowa w głowie i zrozumiał, że umieścił je tam Nualo, kończąc jego myśl. *Jakim sposobem ty żyjesz?*

Patrząc w oczy czarnoksiężnika i wiedząc, że wszędzie wokół niego wiją się, krzyczą i giną żołnierze, Leeka nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Czuł się, jakby został wyrwany z normalnego porządku świata i obserwował to wszystko z jakiegoś miejsca w nim i jednocześnie poza nim. Pozwalano mu być świadkiem i przeżyć, lecz nie umiał sobie wyobrazić, jak i dlaczego do tego doszło.

Później nie bardzo rozumiał, co widział tego dnia. Tak wiele wspomnień będzie strzaskanym kolażem niemożliwych zdarzeń. Jedno natomiast wiedział na pewno: potęga, którą obserwował, była przerażająca nie tylko z powodu zniszczeń, jakie powodowała, ale dlatego, że była absolutnie zła. Być może pomysł jej przywołania nie powstał z niegodziwych pobudek. Nualo i pozostali Santoth nie byli źli. Nawet napędzająca ich wściekłość powstała z miłości do świata, z tęsknoty do powrotu do niego. Lecz potęga, jaką obudzili, miała własną osobowość. Jeśli język Dawcy był językiem stworzenia i jeśli akt stworzenia był peanem na cześć miłości, dzięki któremu świat powstał z muzyki, tkanki samego istnienia, i, jak mówią legendy, był cudownie dobry... jeśli tak było, to Santoth uwolnili coś całkowicie

mu przeciwnego. Ich pieśń była ogniem pochłaniającym świat, głodem pożerającym stworzenie, a nie karmiącym je.

Wypaczenie nawet w najmniejszym stopniu nie oddaje istoty rzeczy, pomyślał Leeka.

Nualo zapewne to usłyszał, lecz nie odpowiedział. Odwrócił się ze wstrętem, zniecierpliwiony. Z jego ust znów wydostały się krzyki rozdzierające powietrze. Ruszył do przodu i, machając rękami, rozrywał świat na poszarpane wstęgi.

Leeka zrobił to, do czego, jak teraz sądził, został wybrany. Podbiegł, by nie zostać w tyle. Podbiegł, by być świadkiem. Jeśli kiedykolwiek nadejdzie odpowiednia pora, ktoś będzie mógł zaświadczyć, dlaczego to, co stworzone, nigdy nie powinno przywłaszczać sobie mocy stwórcy.

ROZDZIAŁ 71

Utrzymywanie wzroku z dala od śladów krwawej rzezi widocznych w całym pałacu wymagało od Corinn dużego skupienia. Usiłowała zachować obojętność, dzięki czemu ciała leżące na podłodze, zbryzgane krwią ściany i porozrzucane, porozbijane meble pozostałyby jedynie punktami, między którymi musiała się poruszać. Skupiała uwagę na zwykłych przedmiotach, malowidłach ściennych na końcu korytarzy, framugach, pojedynczych ceglach. Zamierzała zamknąć się w swoim pokoju aż do zakończenia sprzątanego, do chwili, kiedy wszystkie ślady zorganizowanej przez nią rzezi zostaną zmyte z podłóg i ścian oraz sprane z tkanin. Wyśle Rialusa do dolnego miasta, by sprowadził do tych prac chowających się tam akacjańskich chłopów. Zapłaci im wolnością, przywilejami, miłością i podziękowaniami. Znowu tchnie w nich dumę z Imperium Akacjańskiego. Jest bardzo dużo do zrobienia, ale to później. Najpierw musi przejść przez te korytarze i dokończyć pewną sprawę.

Rialus na nią czekał. Wcześniej, kiedy wrócił jeden z numreckich żołnierzy z informacją, że pałac został opanowany, Rialus poszedł ocenić sytuację. Teraz wyglądał, jakby go mdliło. Językiem jednak obracał wystarczająco szybko i jeszcze zanim Corinn do niego podeszła, zdążył wyrazić zdumienie, że pałac padł z taką łatwością. Jej plan powiódł się znakomicie. Pałac już znajduje się w jej rękach. Dolne miasto jest zamknięte i całe drży. W pomieszczeniach dla służby i w mieście może się ukrywać paru Meinów, lecz Numrekowie polują na nich od domu do domu. Kapłani pilnujący Tunishnevre okazali się dość uparci. Przywarli do sarkofagów, tak że trzeba ich było odrywać od nich siłą i zabijać na miejscu. Schwymano kilka szlacheckich rodzin usiłujących wypłynąć z portów jachtami wyładowanymi wszystkim, co zdołały zabrać. Kilku żaglówek udało się uciec. Numrekowie, jako lud nie pływający po morzu, nie...

– Gdzie on jest? – przerwała mu Corinn.

Rialus nie musiał pytać, o kogo jej chodzi.

– W sali ceremonialnej, jak rozkazałaś.

Idąc obok niej, Rialus trąkotał dalej o tym, czego się dowiedział o bitwie. W dużym stopniu jej przebieg był zgodny z przewidywaniami Numreków. Ich nagłe pojawienie się wywołało chaos. Pierwszymi ofiarami były dwie meinińskie kobiety, których głowy zawirowały w powietrzu, zanim one same zdążyły podnieść alarm. Potem nastąpiła rzeź.

Meinińscy strażnicy walczyli dość dzielnie, lecz padali po dwóch i trzech, tylko nielicznym udało się zorganizować jakąkolwiek obronę. Na głównym górnym dziedzińcu, gdzie skupił się pałacowy batalion, wywiązała się duża potyczka. Numrekowie przystąpili do niej z radością.

Kiedy rozpoczął się atak, Hanish przebywał w sali ceremonialnej. Potem dołączył do grupy Punisarich i utrzymywał z nimi dolny dziedziniec do ostatniego żołnierza, usiłując zagrozić wejście do komory. Numrekowie ich otoczyli i, wykorzystując swoją przewagę liczebną, wyrznęli jak rzeźne zwierzęta, choć Punisari nie poddawali się łatwo. Byli to najlepsi ludzie Hanisha, szczupli i muskularni, zdolni przeciąć nawet potężną, umięśnioną rękę Numreka. Każdy z nich pracował szablą z największą szybkością, aż ich ruchy zlewały się w rozmazaną plamę, mimo to nie okazywali zmęczenia; wielu z nich dzierżyło po dwie szable. Walczyli w kręgu, który zacieśniał w miarę, jak ich ubywało. Żaden nawet nie próbował się poddać. Sam Hanish cały czas mówił do swoich ludzi. Jednak tylko nieliczni Numrekowie znają jakiś język oprócz swojego, dlatego żaden z nich nie umiał powiedzieć Rialusowi, co wódz mówił do swoich ludzi, kiedy ginęli i oni, i wszystko, o co walczyli.

– Szkoda – stwierdził ambasador. – Chciałbym usłyszeć, jak oceniał sytuację. Musiała go nieco zaskoczyć. Nie to planował, kiedy się obudził...

Najtrudniej było się pozbyć ostatnich dwóch żołnierzy, którzy pozostali przy Hanishu. Osiągnęli szczyt gorączki bitewnej i zadanie im ciosu było bardzo trudne. Jeden padł dopiero po tym, jak obcięto mu nogę w kolanie. Usiłował się podnieść, wspierając się na tryskającym krwią kikucie, lecz pozbyto się go już bez kłopotu. Drugiego ugodziła w tył głowy numrecka lanca; uszkodziła mu kręgosłup, powodując natychmiastowy paraliż.

Wtedy Hanish z całych sił starał się zginać w walce. W pewnej chwili uświadomił sobie jednak, że Numrekowie nie chcą go zabić. Przestał walczyć, opuścił szablę i powoli się obracał, czekając. Kiedy nikt go nie zaatakował, dobył sztylet Ilhachów i gdyby Numrekowie go nie powstrzymali, rozplątałby sobie brzuch. To musiał być dziwny widok – horda uzbrojonych po zęby, zakrwawionych po kilkugodzinnej rzezi żołnierzy rzucających broń i siłą powstrzymujących mężczyznę przed odebraniem sobie życia. Rialus przyznał, że Numrekowie źle się obeszli z Hanishem, lecz nie pozostawił im wielkiego wyboru. Ale żyje. Został związany wedle rozkazu i czeka na nią w komorze.

Kiedy Rialus wyczerpał swoją wiedzę o wydarzeniach dnia, odwrócił się i przyjrzał profilowi Corinn.

– Królowo, to jest dzieło geniuszu i prostoty. Kiedy wszystko zostanie uprzątnięte, świat pokłoni się tobie i twojej urodzie. Zapomni o tym rozlewie krwi. – Zawahał się i zwilżył

językiem wargi. – Ze wszystkich wymyślonych przez siebie niespodzianek sama jesteś największą. Modlę się, byś nigdy nie znalazła powodu, by pozbawić mnie swoich łask.

Coś w tej pochwalę ją poruszyło. Poczowała, że rumieni się wokół oczu, co zwiastowało rychłe łzy.

– Dziękuję, Rialusie – powiedziała szybko. – Bardzo mi pomogłeś. Nie zapomnę ci tego.

Corinn zostawiła ambasadora na otwartym dziedzińcu przed wejściem do korytarza prowadzącego do komory mieszczącej obecnie Tunishnevre. Przystanęła na chwilę, by się uspokoić, a potem wyjęła jedyną broń, jaką teraz nosiła. Minęła Numreków kłębiących się przy wejściu i weszła do ciemnego korytarza stanowczym krokiem, nieświadomie naśladowując chód Maeandera, od którego mogły popękać kamienie. Kiedy znalazła się w komorze, poczuła kłębiące się w powietrzu bezcielesne życie. Usiłowała nie zwracać na nie uwagi, przemierzając tę ogromną przestrzeń bez żadnych oznak niepokoju. Wymagało to od niej wielkiego wysiłku. Gdyby powietrze miało pazury, zostałaby rozszarpana na kawałki. Gdyby milczące krzyki mogły pochłaniać ciało, zostałaby pożarta żywcem. Instynkt podpowiadał jej, by się odwróciła i uciekła. Nie zrobiła tego. Rozcinała powietrze podbródkiem. Duma, nawet w obliczu niemartwych, wydawała jej się teraz bardzo ważna.

Hanish wisiał nad kamieniem ze Scatevith za ręce związane w nadgarstkach. Głowa zwisała mu bezwładnie jak u trupa. Był nagi od pasa w górę; pierś miał posiniaczoną i poobcieraną. Z rozcięcia pod pachą płynęła rdzawa strużka krwi, sięgając aż do spodni. Nogi miał związane w kostkach w taki sposób, by nie mógł nikogo kopnąć. Jedna stopa sterczała pod dziwnym kątem, złamana. Najgorzej wyglądała jednak jego głowa. Włosy zostały obcięte numreckimi szablami; były nierówne, rozczochrane, a miejscami przeświecała przez nie naga czaszka.

Jakaś część Corinn chciała do niego podbiec, objąć go w pasie i znaleźć jakiś sposób, by go opuścić w dół, a potem błagać o wybaczenie. Chciała poszukać na ziemi kępek jego jasnych włosów i przykleić je z powrotem na miejsce. Wydawało się niepojęte, że Hanish, wódz Znanego Świata, został doprowadzony do takiego stanu w ciągu kilku godzin. Czy tak się toczy świat? Czy ona może aż tak wpływać na jego losy?

Kiedy się zbliżała, starała się nie okazywać żadnych emocji. Ten mężczyzna chciał ją zabić. Powiedziała sobie, że duma gardzi niepewnością. Zaczęła mówić, gdy tylko uniósł głowę i ją zobaczył.

– Pomyślałam, że mogłabym tu wejść z łukiem i kołczanem strzał. Mogłabym kazać cię rozpiąć na ścianie jak cel. Przypominasz sobie, jak dobrą jestem łuczniczką, prawda?

Kazałabym ci wymienić miejsca, w które miałyby trafiać kolejne strzały.

Hanish mrugał i chyba miał trudności z patrzeniem. Kropelki krwi z nadgarstków spływały mu na czoło. Sprawiał wrażenie oszołomionego, jakby nie był w pełni przytomny.

– Wystarczyłaby jedna w serce – powiedział w końcu.

Corinn skrzywiła się, ukrywając emocje za zaciśniętymi wargami.

– Nigdy wcześniej o tym nie myślałem – ciągnął Hanish – ale teraz rozumiem, dlaczego jesteś taką dobrą łuczniczką. Najlepiej zabijasz z odległości. Możesz wypuszczać strzały z ukrycia, z bezpiecznego miejsca. Teraz rozumiem, dlaczego odpowiada ci ten sport.

Z bezpiecznego miejsca? Corinn nigdy w swoim życiu nie znalazła bezpiecznego miejsca. Zamierzała jednak je odkryć. Uniosła sztylet wysoko, by mógł go zobaczyć.

– A mimo to przyszedłem tu z twoją klingą. Umrzesz od niej.

Hanish uśmiechnął się, pokazując zęby brązowe od zaschniętej krwi.

– A więc to wszystko to twoja osobista zemsta? Zostałaś wzgardzona i dlatego rozkazałaś zabić tysiące ludzi? Wiesz, kim się przez to stałaś? Stałaś się taka sama, jak ja, a może nawet gorsza.

Nie jestem jak ty, chciała powiedzieć Corinn. Bała się jednak, że głos jej zdradzi i zdradzi swe uczucia. Trzymała się planu.

– Zanim umrzesz, powinieneś się dowiedzieć, pod jakim względem zawiodłeś. Przede wszystkim straciłeś wszystko dla mnie, swojej konkubiny. Wszystko. Wycięłam serce twojego imperium. Nawet jeśli armia twojego martwego brata pokona armię mojego martwego brata, nie zmieni tego, czego dokonałam.

Zaczęły jej się podobać własne słowa. Wypowiadanie ich sprawiało, że czuła się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat. Weszła po granitowych stopniach na kamień ze Scatevith, wyczuwając ceremonialne znaczenie podestu, otaczające ją szeregi Tunishnevre i ich energię krążącą w powietrzu niczym elektryczność. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że sarkofagi zaczną się kolejno otwierać i że spoczywające w nich wysuszone ciała ożyją siłą własnej nienawiści.

– W tej chwili wypływają w morze we wszystkich kierunkach statki z wiadomością – powiedziała, wpatrując się w misę wykuta w kamieniu, którą Hanish planował napęłnić jej krwią. – W ciągu godziny zostaną wypuszczone ptaki pocztowe. Zniosą całemu Znanemu Światu wieść, że Hanish Mein nie żyje i że Akacja znów znajduje się w akarańskich rękach. Poza tym twoi Tunishnevre nigdy już nie będą chodzić po ziemi. Jeśli po to żyłeś, to wiedz, że zawiodłeś.

Hanish wciągnął powietrze przez zęby, a potem splunął bez większego przekonania;

ślina osiadła mu na brodzie.

– Powiniennem był zakuć cię w kajdany, kiedy tylko się dowiedziałem, co twoja siostra zrobiła Larkenowi. Powiniennem był zdać sobie sprawę, że kobiety Akaranów są niebezpieczniejsze od ich mężczyzn.

Przysunęła się bliżej, trzymając sztylet wystarczająco wysoko i blisko, by zagroził jego posiniaczonej skórze, by łatwo było ciąć go po żebrach i naciągniętych mięśniach.

– Czy to dlatego wy, Meinowie, nie pozwalacie walczyć swoim kobietom? – zapytała.
– Boicie się ich?

– Powiniennem był zakuć cię w kajdany – powtórzył Hanish, wbijając w nią spojrzenie swoich szarych oczu. – Ale zanadto cię kochałem. Powiniennem się tego bać – miłości. Teraz oboje wiemy, dlaczego.

– Nie możesz mnie już przekonać – powiedziała Corinn, chociaż nie udało jej się wypowiedzieć tych słów wystarczająco szorstkim tonem.

Pociły jej się dłonie. Rękojeść sztyletu ślizgała się jej w ręce. Chciała go odłożyć, tylko na chwilę, żeby zetrzeć wilgoć ze skóry. Zadała sobie pytanie, jak może jeszcze w tej chwili cokolwiek czuć do tego człowieka?

Wydawało się, że życie ucieka z Hanisha z każdym jego oddechem. Znów opuścił głowę, z gardła wyrwał mu się cichy jęk. Zapytał powoli, przerywając, by złapać oddech:

– Chcesz mnie teraz zabić? Zrób to dla mnie. Moi przodkowie chcą mi coś powiedzieć... osobiście. Nie pozwól, by zniewoliła cię przeszłość, Corinn. Umarli chcą nas obciążyć... chcą zniszczyć nam życie tak, jak zmarnowali swoje. Nie pozwól im na to.

Zamilkł. Oddychał regularnie, lecz z wysiłkiem; pozycja, w jakiej wisiał, utrudniała pracę płuc. Nie było wiadomo, czy jest przytomny.

Trzymany wysoko nóż lśnił w świetle kilku ocalałych lamp oliwnych. Corinn uniosła go jeszcze wyżej i spojrzała na pierś swego byłego kochanka, na jego szyję, umięśniony brzuch. Gdzie wbić nóż? Żadne miejsce nie wydawało się jej odpowiednie. Wszystkie były zbyt znajome. Zbyt często przytulała się do tej piersi, muskała ustami tę skórę i słuchała bicia serca. Wiedziała, że w pewnym sensie bije w niej kawałek tego serca, jeszcze mały, cichy, ale coraz większy. Nie było na ciele Hanisha miejsca, w które mogłaby wbić klingę. Zrobiła więc coś innego, coś, czego zupełnie się po sobie nie spodziewała.

Przycisnęła ostrą klingę sztyletu do wnętrza swojej drugiej dłoni. Z łatwością rozcięła ciało do kości, nie czując bólu. Odsunęła nóż, zacisnęła zranioną dłoń w pięść i na chwilę uniosła. Spomiędzy palców wyciekł szkarłat, powoli posuwając się wzdłuż ręki.

– Wiesz co? – szepnęła. Chciała, żeby ją usłyszał, ale miała nadzieję, że nie podniesie

głowy, że słowa po prostu wnikną do jego nieprzytomnego umysłu; nie wiedziała, czy zdoła mu je powiedzieć w oczy. – Noszę twoje dziecko. Dasz wiarę? Spłodziłeś przyszłość Akacji. – Pochyliła się i przycisnęła zakrwawioną dłoń do miski, zostawiając rozmazany odcisk, który kamień wchłonął w siebie niczym gąbka. – Wychowam dziecko dobrze, jako Akacjanina. Czy sprawi ci to radość, czy będzie karą, zależy od ciebie. Ale ani ty, ani twoi przodkowie nie będziecie mieli nic do powiedzenia w sprawie losu tego dziecka.

Nie była pewna, czy kiedy się odwróciła i schodziła z kamienia, nie usłyszała wołania Hanisha. Możliwe, lecz powietrze było pełne innych dźwięków. Kto wie, może powinna wypowiedzieć pewne konkretne słowa w określony sposób? Może powinna była posłużyć się językiem zapisanym w „Pieśni Eleneta”, w tej ukrytej księdze, którą wkrótce zacznie studiować. Na pewno nie zrobiła tego właściwie. Uczyniła jednak to, co miało prawdziwe znaczenie. Ofiarowała swoją krew, dobrowolnie, w duchu przebaczenia. W chwilach, które po tym nastąpiły, powietrze wypełniło się tysiącem krzyków, protestami tych niemartwych przeciw odebraniu im drugiej szansy na życie. Lecz nie trwało to długo. Wyczuła, że spoczywające w trumnach ciała przodków Hanisha w końcu odeszły z tak długo zajmowanego czyścica. Zmieniły się w proch, a ich duchy powróciły do naturalnego porządku świata. Połączyły się z tajemnicą; nie były już uwięzione na zewnątrz niej, nie stanowiły już żadnego zagrożenia dla żywych.

Kiedy wyszła z powrotem na słońce, zastała Rialusa patrzącego w stronę południa i tak porażonego widokiem, że jej nie zauważył. Podążyła za jego wzrokiem. Kiedy przyzwyczała oczy do blasku późnego popołudnia, dostrzegła kłębiące się chmury, które tak zafascynowały ambasadora. Na horyzoncie szalała jakaś dziwna burza. Niebo drżało od jej potęgi, ożywione kolorami, lśniło światłem błyskawic; takiej burzy Corinn nie widziała nigdy w życiu. To mógł być złowieszczy widok, lecz im dłużej się w niego wpatrywała, tym większego nabierała przekonania, że wszystko to dzieje się bardzo, bardzo daleko. Nie będzie miało wpływu na Akację.

Pewna swego, dotknęła ramienia Rialusa. Odwrócił się do niej; na jego twarzy pojawiło się zaniepokojenie.

– Jesteś ranna? – zapytał na widok krwi spływającej z jej dłoni.

Odparła, że nie.

– Już po wszystkim, królewno?

– Nie. Jak mogłabym zabić ojca mego dziecka? Jeśli to uczynię, to okaże się, że sprowadził mnie do swego poziomu. Że mnie poniżył. Patrzyłam na niego i wiedziałam, że jeśli przeciągnę tą klingą po jego ciele, to do końca życia będę na nowo przeżywać tę chwilę.

Nigdy się od niej nie uwolnię. Widziałabym go w twarzy mego dziecka. Rozumiesz? Rządziłby mną nawet po śmierci. Więc nie mogłam tego zrobić. – Odwróciła wzrok od twarzy Rialusa, niezadowolona z rodzącego się na niej wyrazu poufałości, zaskoczona łatwością, z jaką wypłynęło z niej to wyznanie. – Zatem uczynisz to ty, Rialusie. Proszę, zrób to jego własnym sztyletem. Daję ci go w podarunku.

Rialus wziął broń do ręki i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Wąska klinga przypominała cienki półksiężyc. Spojrzał na Corinn, a potem znów na sztylet. Mógłby być handlarzem meinińskimi wyrobami, tak uważnie przyglądał się literom wygrawerowanym na gardzie i wzdłuż żebrowanej rękojeści. Lecz Corinn, przyglądająca się powolnym zmianom wyrazu jego twarzy, wiedziała, że ambasador wcale nie skupił się na szczegółach broni. Błyskawicznie przeglądał długą listę żalów, jakie żywił do Hanisha. Przypominał sobie, jak bywał przez te wszystkie lata lekceważony, wyśmiewany, unikany. Myślał o tym, jak był bezsilny i jak bardzo pragnie zemsty.

– Możesz to zrobić? – zapytała Corinn.

– Czy jest... unieruchomiony?

Corinn powiedziała, że Hanish nie sprawi mu kłopotu. Jest unieruchomiony. Czekaj. Rialus skinął głową i ruszył w stronę korytarza.

– Tak – powiedział ledwie słyszalnym głosem – mogę to zrobić, królowno, jeśli takie jest twoje życzenie.

Stawiał krótkie, pełne wahania kroki; był tak oszołomiony tym szerokim uśmiechem fortuny, którego nigdy sobie nie wyobrażał, że jeszcze w niego nie wierzył.

Kiedy zniknął w mroku, Corinn odwróciła się w stronę chaosu panującego na południowym niebie. Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Kipiącą tam wściekłość stłumiła odległość. Bardziej godne uwagi było piękno tej sceny: to, jak wyższe rejony nieba zdawały się płonąć płynnym ogniem, tańczyć kolorami, których nie potrafiła nawet nazwać. Kolorami, jakich chyba nigdy wcześniej nie widziała. Nie mogła powstrzymać wrażenia, że ten widok jest przeznaczony dla niej, że w jakiś sposób oznacza zmianę w świecie, której właśnie dokonała. Żałowała, że nie czuje większej radości, większej ulgi, większej otuchy, lecz coś w tym widoku zabarwiało jej uczucia melancholią. Nie umiała tego dokładnie określić. Z całą jednak mocą odrzuciła to, co powiedział Hanish. Mylił się. Wcale nie jest taka jak on.

– Jestem lepsza od ciebie – powiedziała to na głos, chociaż obok niej nie było nikogo, kogo miałyby to przekonać prócz niej samej.

KONIEC KSIĘGI III

EPILOG

Popołudnie było chłodne, wietrzne i pochmurne, a morze wokół Akacji pokryte grzywaczami i opustoszałe. Procesja wyszła z pałacu przez zachodnią bramę i ruszyła traktem w stronę Skały Portowej. Długi, cienki sznur żałobników wił się wzdłuż grzbietów wzgórz i dolin opadających prosto w szare wody czasu późnej jesieni. Mena z pozostałym rodzeństwem oraz niedobitkami uchodzącymi teraz za akacjańską arystokracją szła na początku grupy, za ozdobnym wozem z dwiema urnami. Jedna zawierała prochy Leodana Akarana, ukrywane przez te wszystkie lata przez Thaddeusa Clegga. W drugiej znajdowały się szczątki Alivera Akarana, młodego przywódcy, o którym pamięć przetrwa wieki, królewicza, który prawie został królem.

Ostatni raz Mena przemierzała tę drogę przed dziesięciu laty. Wciąż pamiętała, jak jechała wtedy konno z ojcem i całym rodzeństwem. Wówczas nie umiała wyobrazić sobie śmierci ojca ani Alivera, ani dziwnych kolei losu, jakie się stały ich udziałem w czasie między tymi dwoma okropnymi wydarzeniami. Idąc tak w milczeniu, mimowolnie przypomniawszy sobie dziecko, jakim niegdyś była. Patrzyła na pióropusze listowia rozsiane po okolicy i wspominała, jak się kiedyś bała akacji. Mogłoby się to wydawać niemądre – drzewo to tylko drzewo – lecz Mena zastąpiła te dziecinne lęki nowymi.

Teraz bała się swoich snów. Nazbyt często znów stawała w nich twarzą w twarz z Larkenem, swoją pierwszą ofiarą. Za każdym razem doświadczała niemal tego samego, co wtedy w rzeczywistości: była pewna siebie, poruszała się stanowczo, zdolna odciąć mu kawałek ciała bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Podobnie było ze wspomnieniami bitew w Talay, a zwłaszcza tego popołudnia sprzed trzech miesięcy, kiedy po śmierci Alivera zabijała z takim zapamiętaniem, że wydawało się, iż została stworzona wyłącznie do tego. Kiedy się budziła, przed oczyma stawały jej szczegóły rzezi niczym setki portretów, unoszące się między nią i światem. Wiedziała, że będzie ją to nękać przez wiele lat. Jednakże nie tego się bała. Przerazająca była świadomość, że w każdej sekundzie znów może zabić. Naprawdę wchłonęła w siebie część Maeben. Zawsze będzie miała pod skórą jej dar wybuchania wściekłością.

Nie ona jedna wyszła z wojny okaleczona. Tuż za nią włókł się Dariel z Sikorką u boku. Młoda kobieta czuła się wyraźnie nieswojo w stroju, jakiego wymagała sytuacja. Przez

całe życie rabowała na morzu i nadal sprawiała wrażenie nonszalanckiej, lekko agresywnej osoby. Jednakże Mena ją lubiła i miała nadzieję, że dziewczyna da jej bratu szczęście na wiele lat. Dariel potrzebował radości. Zdarzało mu się śmiać i żartować, lecz uważał, że ponosi całkowitą odpowiedzialność za śmierć Alivera. Kiedy wydawało mu się, że nikt na niego nie patrzy, ciężar tej świadomości przygniatał go niczym płaszcz z łoświu. Mena nie dała mu jeszcze Zaufania Króla. Nie był gotów, lecz pewnego dnia będzie.

Inni w ogóle nie ocalili z konfliktu. Kiedy Numrekowie zaatakowali, Thaddeus Clegg przebywał w pałacu. Najwyraźniej zginął w rzezi wywołanej przez Corinn. Być może nikt się nigdy nie dowie, dlaczego się tam znalazł i czy udało mu się odnaleźć „Pieśń Eleneta”. Po księdze nie było śladu. Corinn nawet kwestionowała jej istnienie. W kieszeni na piersi Thaddeusa znajdowała się informacja o tym, gdzie ukrył prochy króla Leodana, którym zapewnił bezpieczeństwo przez te wszystkie lata. Tylko dzięki niemu mieli teraz szczątki króla.

Los Leeki Alaina skrywała jeszcze większa tajemnica. Kilka osób przysięgało, że kiedy Santoth zaprzestali dzieła zniszczenia i znów się udali na wygnanie, generał poszedł za nimi. Jeśli można było tym osobom wierzyć, starzec pobiegł za czarnoksiężnikami, wykorzystując otaczający ich chaos. Być może stał się jednym z nich. A może po prostu ich wściekłość zmiotła go z powierzchni ziemi. Tak czy owak, w Znanym Świecie nie pozostał po nim ślad oprócz wielkiego szacunku dla jego osoby – jeździł przecież na nosorożcu.

A sam świat po sprowadzeniu Santoth też nie był już taki sam. Mena nie umiała dokładnie określić różnic ani stwierdzić, jak mogłyby wpłynąć na przyszłość, lecz wiedziała, że konsekwencje tego straszliwego dnia w Talay będą jeszcze długo trwały. Czasami czuła rozdarcia, które powstały wówczas w materii stworzenia. Kiedy indziej miała wrażenie, że szwy spajające świat grożą pęknięciem. Mijające dni złagodziły nieco chaos panujący na niebie, lecz nie zniknął on całkowicie. Owego dnia Santoth rzucali na polu bitwy zakłęcie za zakłębciem. Tkali magię tylko kilka godzin, lecz kto mógłby powiedzieć, w jaki sposób pozostałości wypaczonego języka Dawcy mogą zmienić świat?

Kiedy wdrapali się na pofalowany płaskowyż ciągnący się aż do urwisk, Mena zobaczyła, jak idąca przed nią Corinn ogląda się przez ramię. Chyba chciała zwolnić, by Mena mogła się z nią zrównać. Jej siostra była zupełnie niepodobna do dziewczyny, którą pamiętała Mena. Szczerze mówiąc, nie darzyła jej spontanicznym uczuciem. Istniała między nimi wrodzona więź, związek krwi, lecz Mena miała wrażenie, że jest to bardzo delikatna kwestia. Wiadomość, że Corinn odebrała Hanishowi Meinowi Akację, była niewiarygodną niespodzianką. To, że dokonała tego z pomocą Numreków i że zawarła umowę z ligą, jeszcze

bardziej zdumiewało jej młodsze rodzeństwo. Oboje czuli się następcami Alivera. Brali udział w wojnie, znajdowali się w samym centrum zmagania, a tymczasem Corinn czekała na nich na oswobodzonej Akacji i niewątpliwie dzierżyła władzę, miała własną numrecką armię i flotę statków... Mena jeszcze się z tym wszystkim nie pogodziła.

Nadal wspominała ich spotkanie z niepokojem. Wydarzenie, które powinno być radosne, okazało się... Jeszcze nie bardzo wiedziała, jak określić to doświadczenie, lecz nie tak je sobie wyobrażała. Nastąpiło ono tydzień po tym, jak Santoth oczyścili pole ze wszystkich meinińskich żołnierzy w zasięgu wzroku. Razem z Dariem wpłynęła do portu Akacji; stali oboje na dziobie słupa odebranego Larkenowi i patrzyli na miasto rozłożone na tarasach, które niegdyś było ich domem. Było takie, jakim je zapamiętała, lecz wydawało jej się nierzeczywiste, ponieważ przez tak wiele lat wątpiła w szczegóły przywoływane z pamięci.

Za nimi płynęła sklecona naprędce flota z resztkami wielkiej armii. Chociaż Mena wiedziała, że żołnierze są zmęczeni, czuła się przez nich popędzana, jakby to oni byli wiatrem wypychającym łódź do portu. Byli tryumfem, ulgą i znużeniem. Przynosili ze sobą także żal, lecz on już na stałe towarzyszył zwycięstwu. Mena wątpiła, by kiedykolwiek jeszcze odczuła nieskazoną radość. Jak dotąd życie jej takiej radości nie dało, ani jako małej królownie Menie, ani jako Maeben na ziemi, ani jako wojownicze wymachującej szablą na talayskich równinach. Mimo to z niecierpliwością patrzyła na zbliżającą się wyspę. Wreszcie wracała do domu.

Zacumowali i zeszli na ląd wśród rozentuzjasmowanego tłumu. W powietrzu rozbrzmiewała muzyka fletów i cymbałów, unosił się słodki zapach kadzidła i smakowite aromaty pieczonego mięsa, bulgocących potrawek i smażonej ryby. Oficjele, którzy wyszli im na spotkanie, powiedzieli, że Corinn czeka na nich nieopodal. Rzeczywiście, kiedy wyszli z portu, przedarli się przez tłum zebrany w dolnym mieście i weszli na drugi taras, nie mogli jej nie zauważyć. Stała na pierwszym podejściu głównych granitowych schodów prowadzących do pałacu. Otaczała ją świta składająca się z doradców i oficjeli oraz kilku numreckich oficerów pełniących rolę jej osobistej straży. Ich stroje były w kolorach przywodzących na myśl krew: w rozmaitych odcieniach szkarłatu, brązu i rdzy. Mena już trochę wiedziała, w jaki sposób Corinn odzyskała pałac i pokonała Hanisha, lecz była zdumiona, że jej siostrze najwyraźniej udało się już stworzyć jakąś władzę.

Corinn wyglądała wspaniale! Mena pamiętała, że zawsze uważała swoją siostrę za piękność, lecz teraz wyglądała jeszcze bardziej zachwycająco. Miała na sobie lśniąca suknię z długimi rękawami uszytą z lekkiego kremowego materiału o delikatnym pomarańczowym

odcieniu. Włosy ułożyła w skomplikowaną fryzurę; w ciasny kok wplotła wstążki i przekłuła go białym piórem jakiegoś ptaka. Rysy jej twarzy były delikatne i idealnie ukształtowane, a krój sukni podkreślał krągłość biustu i bioder. Ramiona miała zmysłowe – kształtne, lecz nie nazbyt szczupłe czy umięśnione jak Mena – a kiedy wyciągnęła je w geście powitania, jej nadgarstki i palce okazały się tak pełne ekspresji jak u tancerki.

Wyraźnie czekała, by weszli po schodach. Idąc ku niej, Mena pomyślała coś niewybaczalnego. Nie wiedziała, skąd się wzięła ta myśl, i uznała ją za wytwór umysłu zmęczonego wojną. Otóż wyobraziła sobie, że Corinn wyjmuje z włosów szpilkę i ciska ją niby zatrutą strzałkę. Pomyślała, że w chwili, która ma być radosna, nie powinien jej przyjść do głowy taki nieprzyjemny i podły obraz. Co się z nią dzieje?

Lecz kiedy z tą myślą podniosła wzrok na wspaniałą Corinn, uświadomiła sobie, jak sama wygląda w porównaniu z siostrą: półnaga w krótkiej spódniczce i tunice bez rękawów, drobna i żylasta, spalona słońcem, z rękami i nogami pokrytymi skaleczeniami i obtarciami, z kaskadą rozczochranych włosów. Nagle poczuła skorupę soli na policzkach, brud w zagięciach łokci oraz warstwę pyłu na stopach obutych w sandały. Zerknęła na Dariela. Mimo że w rozchełstanej koszuli i opalony wyglądał szalenie atrakcyjnie, też bardziej przypominał jakiegoś zbira niż królewicza Akacji. Dlaczego nie pomyśleli o tym, by doprowadzić się do porządku?

Corinn w końcu ruszyła im na spotkanie, pokonując kilka ostatnich stopni. Wyciągnęła do nich ręce skierowane wnętrzem dłoni do góry, przechyliła głowę na bok i patrzyła łagodnym wzrokiem.

– Witajcie w domu – powiedziała – moja siostro, mój bracie. Witajcie, akacjańscy wojownicy.

Mówiła dalej dziwnie oficjalnym językiem, jakby jej słowa stanowiły część wcześniej przygotowanego powitania przeznaczonego bardziej dla gapiów niż dla Meny i Dariela. Corinn objęła ich krótko, a potem odsunęła od siebie i kolejno przyglądała się ich twarzom. Oczy miała pełne łez, jej pełne usta lekko drżały. Była uprzejma, pełna miłości i wielkoduszna, a jednak to wszystko wydawało się jakoś fałszywe. Nawet kiedy podniosła głos i poprosiła tłum, by powitał „córę i syna Akacji” w domu, a potem uśmiechnęła się do nich z góry w narastającej wrzawie, Mena nie mogła oprzeć się wrażeniu, że za tą pełną miłości fasadą Corinn właściwie nie jest zadowolona z tego, co w nich zobaczyła.

I tak już zawsze od tej chwili układało się między nimi. Mena nie umiała wskazać żadnego konkretnego afrontu, jaki by ją spotkał ze strony Corinn. Jej słowa nigdy nie były okrutne, zawsze odpowiednie do sytuacji. Spędzali wspólnie wieczory przy wykwinnym

jedzeniu i winie, rozmawiając o przeszłości i ponownie poznając się nawzajem. Jeździli konno jak w dzieciństwie i odbywali narady jako zespół stawiający czoło niezliczonym problemom związanym z ponownym złożeniem imperium w całość. Wydawało się, że Dariel ufa Corinn całkowicie, więc Mena nie podzieliła się z nim swoim niepokojem. Lecz cały czas obawiała się, że między nią i siostrą nigdy nie zapanuje to swobodne, naturalne ciepło, które cechowało jej związek z Aliverem i które nadal czuła do Dariela. Corinn jedynie stwarzała pozory takiego związku. Jeśli tworzyli teraz trójkąt – jak powiedziała sama Corinn – to najwyraźniej chciała, by zrozumieli, że ona znajduje się na jego szczycie, a Mena i Dariel stanowią wspierającą ją podstawę.

Mena zastanawiała się nad tym wszystkim, idąc w szarpanej wiatrem procesji pogrzebowej. Corinn uśmiechnęła się, zrównując z nią krok. Podniosła rękę z wyraźnym już wydatnym brzucha i dotknęła palcami ramienia Meny.

– Nareszcie nadszedł ten dzień, siostró – odezwała się. – Dzisiaj sprawimy, że nasz ojciec poczuje się szczęśliwy. Wiesz o tym, prawda? Jestem pewna, że zawsze tęsknił do dnia, w którym zostanie uwolniony, tak jak przed wielu laty nasza matka. Spotka się z nią i stanie się częścią tej wyspy. Będzie w każdej akacji. Pamiętaj o tym.

Najwyraźniej to było wszystko, co chciała powiedzieć. Kiedy zaczęła się oddalać, Mena zapytała:

– Czy stworzymy lepszy świat? – Corinn spojrzała na nią ze zdziwieniem, więc Mena spróbowała wyjaśnić swoje pytanie. – Nie znałaś Alivera... to znaczy pod koniec jego życia. Gdybyś słyszała, co mówił... Miał tyle pomysłów na to, co powinniśmy zrobić z władzą. Mówił o innym porządku świata. Sądził, że możemy znieść takie rzeczy jak Kontyngent...

– Nie mam aż tyle czasu, by się nad tym zastanawiać tak jak ty – przerwała jej Corinn. – Czy stworzymy lepszy świat? Oczywiście. Rządzimy nim zamiast Hanisha. Ktoś wątpi, że to już jest jakiś postęp?

Podczas ostatnich rozmów z Corinn Mena uważała, by nie sprzeczać się z siostrą. Nie chodziło o to, że Corinn złościła się tak jak wtedy, kiedy była młodsza. Po prostu zwykle sama podejmowała decyzje. A kiedy już to zrobiła, nie można jej było przekonać do zmiany zdania.

– Oczywiście, że to jest postęp – zgodziła się Mena. A potem dodała łagodnie: – Tylko że nie znieśliśmy Kontyngentu. Nie zamknęliśmy kopalni ani...

– Ja też mam ideały – oznajmiła Corinn – jeśli o to ci chodzi. Lecz mówienie o rządzeniu bardzo się różni od rządzenia w rzeczywistości. W mojej pracy nie ma odpoczynku. W odpowiednim czasie zajmę się wszystkimi sprawami, o których wspomniałaś. Na razie

wciąż wylapujemy Meinów, którym udało się uciec z Akacji i Manil jachtami wyładowanymi wszystkimi skarbami, jakie udało im się zgromadzić. A prowincje... Zdziwiłabyś się, Mena, jak zwracają się przeciwko nam, wznoszą bariery, upierają się przy warunkach, roszczą sobie prawa do rzeczy, do których nie mają żadnych praw. Gdyby tylko zgodziły się na istniejący porządek, moglibyśmy zacząć czynić świat – jak to ujęłaś? – „lepszym”. A nad tym wszystkim unosi się zagrożenie ze strony Lothan Aklun, których nikt z nas nigdy nie widział. Ironia całej sytuacji polega na tym, że najbardziej liczę na dwie siły, których poprzednio najbardziej się bałam: ligę i moich Numreków. W sumie to oni mi wszystko umożliwili.

Mena chciała powiedzieć, że za tę sprawę walczyła też armia i zginęły za nią dziesiątki tysięcy ludzi. Chciała przywołać ofiarę Alivera, przypomnieć siostrze, że do ich zwycięstwa w dużej mierze przyczynili się również Santoth. Wspomnieć, że Corinn nie wspomniała o zwycięstwie swego rodzeństwa, że uznała Numreków za należących do niej i użyła słowa „mi”, a nie „nam”.

Mena mogłaby jej to wszystko wytknąć, lecz powiedziała tylko:

– Pomogę ci, jak tylko będę umiała. Wystarczy, że mnie poprosisz.

– Już pomagasz. Kontynuuj organizowanie armii i szkolenie nowej Elity. Będziemy potrzebować doskonałych wojowników, szlachetnych i wyszkolonych. Kto byłby dla nich lepszą instruktorką od ciebie? – Corinn uśmiechnęła się z zaciśniętymi wargami. – Słyszałam, że gawędziarze już układają o tobie legendę. Mówią o tym, jak walczyłaś z boginią i zrzuciłaś ją z jej górskiego gniazda. Osoby pragnące na nowo otworzyć akademię przychodzą do mnie z obietnicami, że będą uczyć twojej techniki fechtunku jako najwyższej formy. Ty, moja mała siostrze, jesteś taką samą legendą jak Aliver.

– W gruncie rzeczy to było tylko drzewo – rzekła Mena – na którym orzeł miał gniazdo, a nie góra. A mnie się tylko udało przeżyć spotkanie z nim.

Corinn przyglądała się jej przez chwilę z rozbawieniem, wyginając brwi w identyczne łuki.

– Gawędziarze zawsze wszystko płaczą, prawda? Tak czy owak, cieszę się, że nie zginęłaś przez swoją waleczność.

Podjeżdżając, że Corinn zamierza się oddalić, Mena zapytała o jeszcze jedną rzecz, która ją trapiła.

– Co zaproponowałaś Numrekom za ich lojalność, siostrze? Wciąż tego nie rozumiem.

– Mogą rządzić dużą częścią Talay wedle swojej woli.

Mena zastanawiała się przez chwilę.

– Tak, ale to nie wydaje się wystarczające.

– Ty tak mówisz. – Corinn odwróciła wzrok, jakby straciła zainteresowanie tematem.
– Ale dość już rozmów. Jesteśmy tu po to, by złożyć hołd dwóm ludziom. Zrobmy to bez rozpraszania uwagi.

Cudownie było patrzeć na wielojęzyczną grupę, która się zebrała przy urwiskach. Wszyscy stali jak przyrośnięci do ziemi, usiłując nie krzywić się na smród ptasich odchodów, unoszący się na zimnym i wilgotnym wietrze uderzającym od morza. Candovianie stali ramię w ramię z Senivalami, a ci z kolei stali obok Aushenian jaśniejących w swych białych strojach. Zbójcy z Wysp Zewnętrznych przemieszali się z akacjańskimi arystokratami. Sangae, zastępczy ojciec Alivera, stał w grupie Talayan, obok Halalyów i Balbarów. Vumuanie przyozdobili włosy orlimi piórami. Bethuni pomalowali twarze białą farbą.

Zgodnie z tradycją urny zdjęły z wozu dwie szacowne osoby nie należące do rodziny. Urnę Alivera niósł ciemnoskóry Kelis; wyleczył się z rany, od której niemal zginął tego samego dnia, co jego przyjaciel, a Melio, z długimi brązowymi włosami rozwiewanymi przez wiatr, trzymał szczątki Leodana; obaj byli urodziwi w sposób charakterystyczny dla swojej rasy. Są tacy młodzi, pomyślała Mena, młodzi i silni, pełni życia. Tego chciałby Aliver.

Zastanawiała się jednak, co by pomyślał o innych gościach, takich jak Rialus Neptos, który krążył na skraju towarzystwa z czerwoną twarzą, ciekącym nosem i wysoko postawionym kołnierzem płaszcza. Był też Sire Dagon i kilku innych przedstawicieli ligi; wszyscy siedzieli na stołkach przyniesionych dla nich przez służących. Co tu robili ci ludzie – ludzie, którzy opuścili Leodana, którzy przez wiele lat ścigali Dariela i usiłowali go zabić? Obserwowali ceremonię z uniesionymi podbródkami i wzrokiem często błędzącym po zachmurzonym niebie, jakby myślami byli już gdzieś indziej.

A Calrach i jego oddział Numreków stali na honorowym miejscu. Menie trudno było nie wpatrywać się w nich, tym bardziej że zachowywali się bardzo dystyngowanie, mieli schludne ubrania i wszyscy odgarnęli włosy z twarzy i zapletli je w długie warkocze zwisające aż na plecy. Ich twarze właściwie nie różniły się aż tak bardzo od twarzy innych ras. Mena jednak nie wiedziała, czy uważa, że upodobnili się do innych ludzi, czy też może zaczęła uważać, że inni ludzie przypominają Numreków bardziej, niż przyznawała to przedtem.

Uroczystość była prosta. Nie było mowy pogrzebowej. Żadnych ostatnich obrządków. Żadnych słów wypowiedzianych dla upamiętnienia zmarłych. Żadnej muzyki. O to wszystko zadbano wcześniej, w dniach poprzedzających ten ostatni. Tutaj, na Skale Portowej, dwaj zmarli mężczyźni mieli zostać uwolnieni tak jak przed nimi wszyscy akacjańscy królowie. Corinn dała wyraźnie do zrozumienia, że według niej jej brat był królem, nawet jeśli nie

został oficjalnie koronowany.

Kiedy już wszyscy znaleźli się na swoich miejscach, Corinn wzięła urnę z rąk Melia. Wypowiedziała imię ojca i wyraziła życzenie, by znalazł pokój w powrocie do ziemi oraz radość z odnalezienia żony i zjednoczenia się z nią. Od chwili zdjęcia pokrywki z urny zaczęły się wymykać smugi popiołu. Kiedy Corinn odwróciła ją do góry dnem, wiatr porwał pióropusz popiołu niby dym i poniósł go ponad zebranymi w głąb wyspy. Chwilę później w ten sam sposób wypuściła prochy Alivera, dziękując mu za heroiczne czyny, za które zawsze będzie pamiętany. Następnie Corinn pochyliła głowę, prosząc tym samym obecnych, by ku pamięci zmarłych pogrążyli się w ciszy.

Mena pochyliła głowę, lecz nie zamknęła oczu. Obserwowała siostrę, która jedną ręką obejmowała brzuch, poruszając palcami do wtóru myśli. Stała nieruchomo na wietrze. Sprawiała wrażenie obojętnej. Zniecierpliwionej, owszem, lecz w jakiś sposób obojętnej.

Znów pojawiły się pytania, nękające Menę od czasu śmierci Alivera, i zakłóciły ten moment spokoju. Zaczęła się zastanawiać, czy tego ranka, kiedy Aliver zgodził się na pojedynek z Maeanderem, nie popełnił błędu. Wiedział, że zostanie pokonany. Czy tak go zaślepiła żądza zemsty, że stracił zdolność osądu sytuacji? Miała nadzieję, że to nie jest prawdą. Chciała wierzyć, że zrobił to, co pragnął zrobić. Chciała wierzyć, że dawno temu jej ojciec zapoczątkował dokładnie taki łańcuch wydarzeń, jaki chciał. Chciała wierzyć, że to wszystko jest jego dziełem. Lecz w przeciwieństwie do siostry, Mena nie umiała znaleźć pociechy w prawdach absolutnych.

Kiedy prochy się rozwiały, Corinn się odwróciła i uważnie spojrzała na zwrócone ku niej smętne twarze.

– Wy, którzy tu przyszliście – odezwała się; musiała mówić głośno, by przekrzyczeć wiatr – reprezentujecie wszystkie ludy Znanego Świata. Czyńcie to z dumą, z nadzieją na przyszłość. Ci królowie Akacji... są wolni, tak jak nasz naród. Teraz mamy możliwość stworzenia takiego świata, jakiego pragnęli ci dwaj marzyciele. – Na chwilę zatrzymała wzrok na Menie. – A zatem, ludu mój, zetrzyjmy żalobę z twarzy i zwróćmy się ku nadchodzącym dniom, tak jak chcieliby tego Leodan i Aliver. Zróbmy to razem, z siłą w sercach, z wiarą we wszystkie nasze działania.

Chwilę później Corinn oddaliła się od urwiska. Zatrzymała się obok Meny, pochyliła do niej i zapytała:

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co zaproponowałam Numrekom? Jest tylko jedna rzecz, której pragnę ponad wszystko – wrócić do swej ojczyzny i zemścić się na Lothan Aklun, którzy przed wielu laty wygnali ich na lód. Sądzę, że jest to wojna, w której musimy wziąć

udział z wielu powodów. W odpowiednim czasie zaczniemy przygotowania. Razem z Numrekami i ligą wyślemy flotę na Szare Zbocza przeciwko Lothan Aklun. Kiedy ich pokonamy, obejmiemy kontrolę nad handlem z Innymi Ziemiemi. Dopiero wtedy będę miała dość władzy, by zmienić świat na lepsze. – Corinn cofnęła się, by spojrzeć siostrze w oczy. – Nasze bitwy nie skończyły się, Meno. Będziemy bezpieczni dopiero wtedy, gdy będzie się nam kłaniał cały świat. Teraz już wiesz, co zamierzam.

Odeszła, a Mena stała w miejscu; czuła się tak, jakby stała obok siebie. Melio wsunął dłoń do jej dłoni i zapytał, czy dobrze się czuje, a ona nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrząc na oddalającą się Corinn, uświadomiła sobie, że nie zgadza się ze światem w tym kształcie ani z tym, kto ma nim rządzić. Po raz pierwszy zrozumiała, kim naprawdę jest jej siostra, i to ją oszołomiło. Oto w nikłym świetle wietrznego zmierzchu schodziła ze wzgórza królowa Akacji; obejmowała rękoma swego dziedzica, za nią szła jej świta, a przyszłość zależała od niej.

KONIEC